

ANNE

BISHOP

PISANE

SZKARŁATEM

INNI - tom pierwszy

ANNE

BISHOP

Przełożyła

Monika Wyrwas-Wiśniewska

Kraków 2013



Tytuł oryginału: WRITTEN IN RED

Copyright © ANNE BISHOP, 2013

All rights reserved

<http://www.annebishop.com>

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO INITIUM

Tłumaczenie z języka angielskiego: MONIKA WYRWAS-WIŚNIEWSKA

Redakcja i korekta: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Projekt okładki, skład i łamanie: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: BARBARA JARZĄB

Fotografia na pierwszej stronie okładki © NEJRON PHOTO

Fotografia na czwartej stronie okładki © ZACARIAS PEREIRA DA MATA

Grafika na stronach rozdziałowych © ROMAN MALYSHEV

[www.shutterstock.com](http://www.shutterstock.com)

Wydanie I

ISBN 978-83-62577-37-8

## Spis treści

Podziękowania  
NAMID – ŚWIAT  
Plan Lakeside  
Dziedziniec w Lakeside  
Krótką historia świata

Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Rozdział 21  
Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31



## RT Books Review Seal of Excellence

Co miesiąc redaktorzy RT Books Review wyróżniają jedną książkę, powieść, która nie tylko jest porywająca, ale również rozszerza granice miejskiego fantasy i wyróżnia się na tle innych pozycji recenzowanych w danym wydaniu lub na stronie internetowej. W marcu 2013 roku nagroda Seal of Excellence trafiła do Anne Bishop za powieść *Pisane szkarłatem*.

Niesamowita – to słowo pasuje jak ulał do najnowszej książki Anne Bishop. Autorka potrafi niezwykle umiejętnie budować światy, a także tworzyć fascynujące postacie. Wręcz nie sposób oderwać się od przebiegu walki o władzę pomiędzy Innymi a ludźmi, a dodatkowo musimy przeniknąć tajemnicę otaczającą postać głównej bohaterki. To z pewnością jedna z książek roku!

– Morgan Doremus, redaktor RT

Jeśli chcecie wybrać książkę roku należącą do nowego, miejskiego nurtu literatury fantasy, wybierzcie *Pisane szkarłatem* Anne Bishop. Akcja pierwszego tomu nowej serii rozgrywa się na Ziemi, gdzie rządzą dziwne, obdarzone paranormalnymi zdolnościami istoty – Inni. Na ich Dziedzińcach nic nie jest takie, jak się wydaje; żyją tu wampiry, wilkołaki, Żywioty i inne tajemnicze stworzenia, a każdego człowieka, który przekroczy granicę, czeka pewna śmierć. Na szczęście czytelnicy mogą tam wejść za sprawą jasnowidzącej Meg Corbyn, która szuka bezpiecznej kryjówki, gdzie mogłaby rozpocząć nowe życie. Trzymajcie się pokrętej krwawej ścieżki wytyczonej przez autorkę, a przemkniecie przez *Pisane szkarłatem* wilczym pędem.

– Mala Bhattacharjee, redaktor RT

*Pisane szkarłatem* to prawdziwa perełka w nurcie miejskiego fantasy. Moc głównej bohaterki polega nie na fizycznej sile, którą pokonuje ona wrogów, ale na spokojnej stanowczości i zważaniu na uczucia innych. W świecie, gdzie ludzie postrzegani są głównie jako pożywienie, Meg odnajduje się dzięki swojej wrażliwości. Muszę przyznać, że podbiła moje serce równie szybko jak serca Innych. Jej związek z Samem, małym osieroconym wilczkiem, i jego burkliwym wujem Simonem jest po prostu czarujący. I nic nie szkodzi, że antagonistą jest niezwykle inteligentnym człowiekiem, którego czytelnicy pokochają (naprawdę pokochają) nienawidzić.

– Regina Small, redaktor RT

## Podziękowania

Chciałabym podziękować Blairowi Boone'owi za to, że nadal jest moim pierwszym czytelnikiem oraz za wszystkie informacje, które wykorzystałam przy tworzeniu świata Innych. Dziękuję Debrze Dixon za to, że jest moim drugim czytelnikiem, Dorannie Durgin za opiekę nad moją stroną internetową i za informację o krowich językach, Adienne Roehrich za prowadzenie fan page'u na Facebooku, Julie Green za informację o byczych pałkach, Jennifer Crow za pomysł kolumny savoir-vivre'u dla Innych, Nadine Fallacaro za informacje medyczne, Douglasowi Burke'owi za cenne informacje o policji (i za to, że nigdy nie zapytał, po co mi one) oraz Pat Feinder – za wsparcie i zachętę. Dziękuję również Kristen Britain, Starr Corcoran, Julie Czernedzie, Claire Eamer, Lorne'owi Katesowi i Pauli Lieberman – za wkład w tworzenie Dziedzińca.

Chciałabym podziękować osobom, które użyczyły swoich imion i nazwisk postaciom z tej książki. Są to: Elizabeth Bennefeld, Blair Boone, Douglas Burke, Starr Corcoran, Jennifer Crow, Lornie MacDonald Czarnota, Julie Czerneda, Roger Czerneda, Merri Lee Debany, Michael Debany, Chris Fallacaro, Dan Fallacaro, Mike Fallacaro, Nadine Fallacaro, Mantovani „Monty” Gay, Julie Green, Lois Gresh, Ann Hergott, Danielle Hilborn, Heather Houghton, Lorne Kates, Allison King i John Wulf.

# NAMID – ŚWIAT

## *Kontynenty i terytoria (jak dotąd)*

Afrikah  
Celtycko-Romańska Wspólnota Narodów  
Kociość  
Kościste Wyspy  
Burzowe Wyspy  
Thaisia  
Tokhar-Chin  
Brytania/Dzika Brytania

## **Wody**

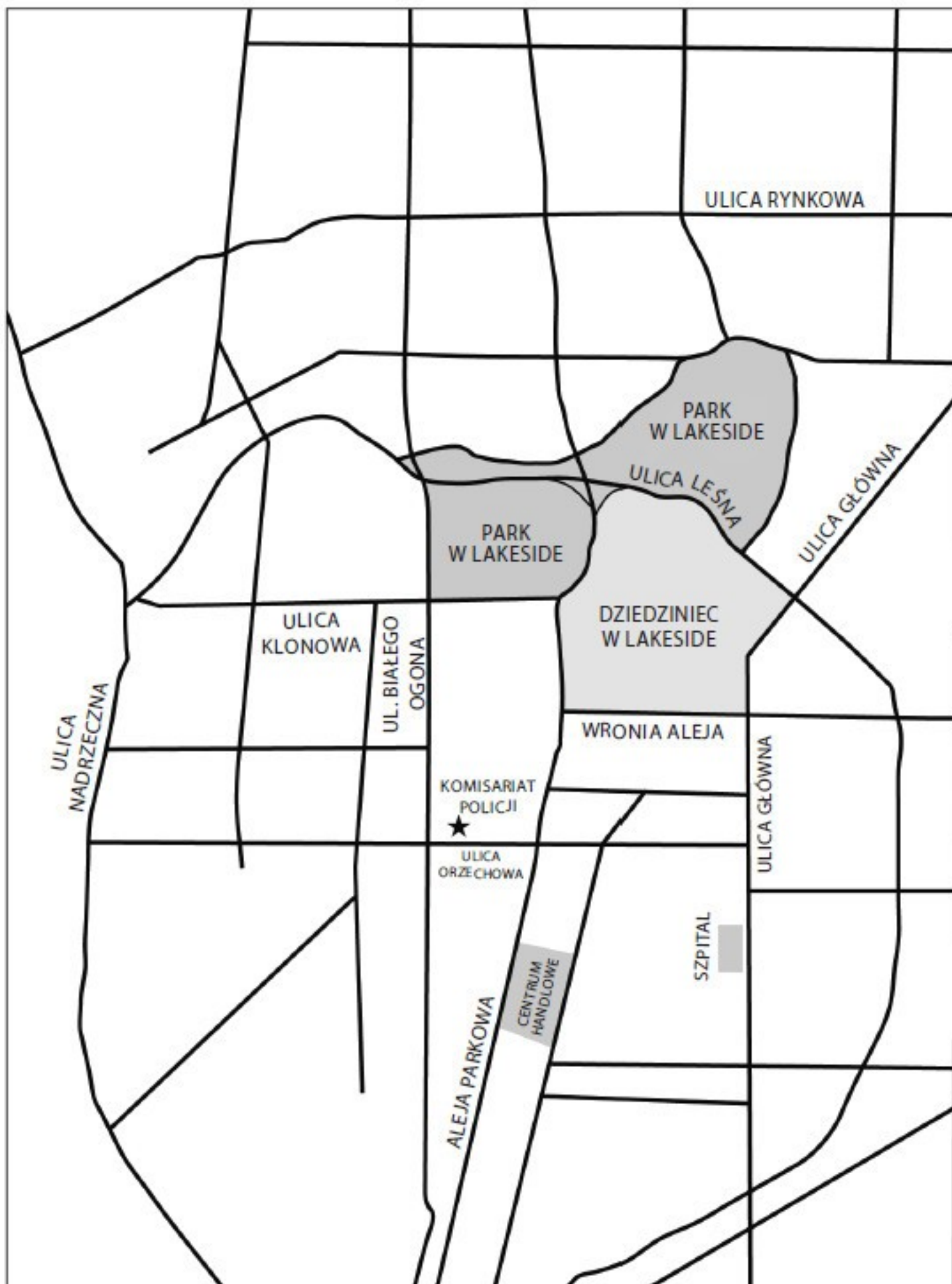
**Wielkie Jeziora:** Największe, Tala, Honon, Etu i Tahki  
**Pozostałe jeziora:** Jeziora Piór/Jeziora Palczaste  
**Rzeka:** Talulaha/Wodospad Talulaha

## **Miasta i wioski**

Centrum Północ-Wschód (Dyspozytornia), Georgette, Laketown, Podunk,  
Sparkletown, Talulah, Toland

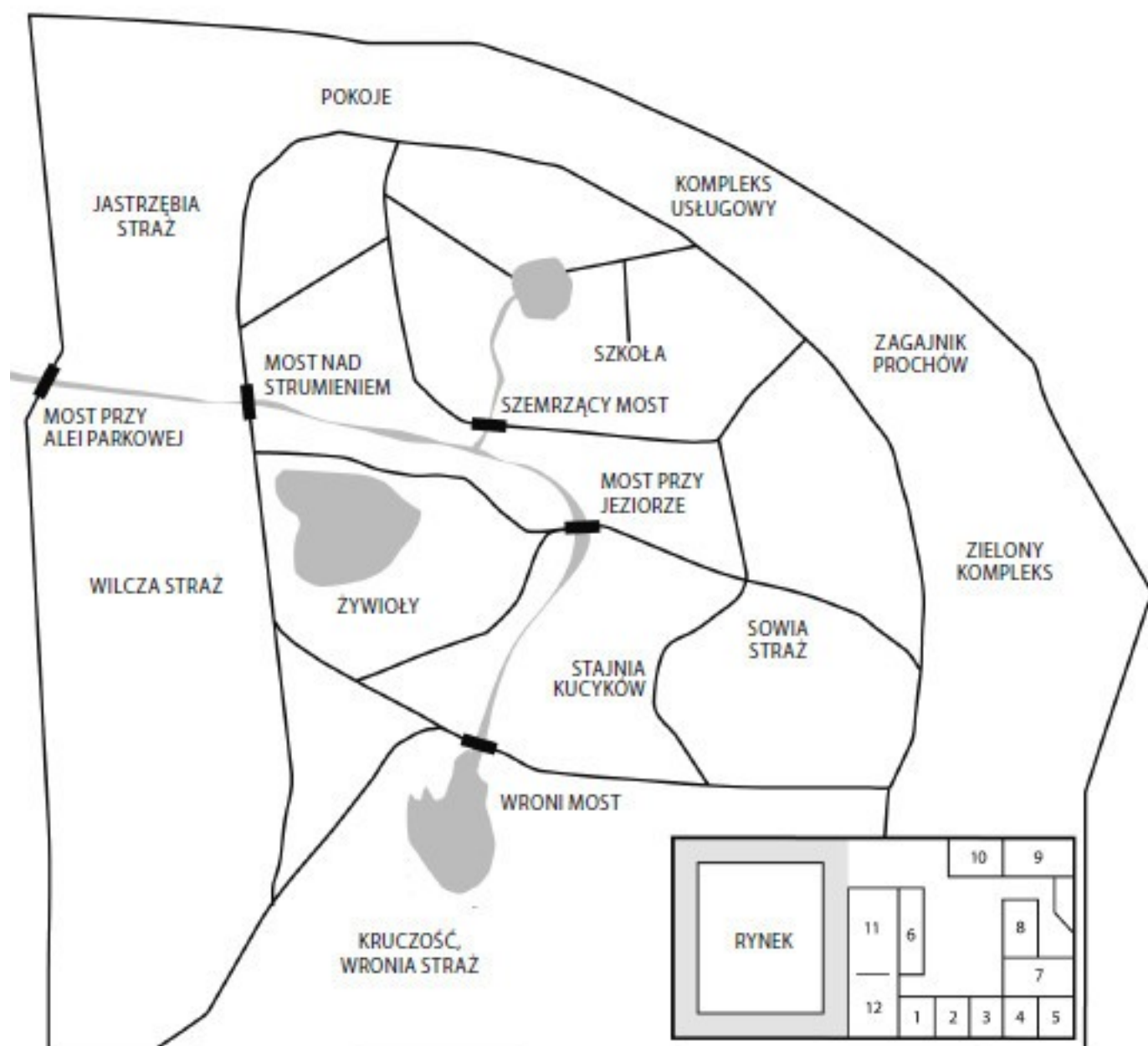


## **Plan Lakeside**



Autorka zaznaczyła tylko elementy występujące w powieści.

## **Dziedziniec w Lakeside**



© 2012 Anne Bishop

- |  |                                     |
|--|-------------------------------------|
| 1. Pracownia krawiecka/<br>mieszkania służbowe | 7. Galeria i pracownia<br>Henry'ego |
| 2. Coś na Ząb                                  | 8. Biuro łącznika                   |
| 3. Zabójczo Dobre Lektury                      | 9. Konsulat                         |
| 4. Siup i Łup                                  | 10. Trzy P                          |
| 5. Świetlica                                   | 11. Parking dla pracowników         |
| 6. Garaże                                      | 12. Parking dla klientów            |

## Krótką historia świata

Dawno, dawno temu Namid zrodziła wszelkie istoty żywe – w tym te nazywane ludźmi. Podarowała ludziom żyzne obszary samej siebie i wodę zdatną do picia, a znając ich delikatną naturę, jak również naturę innych swoich dzieci, odizolowała ich, by mieli szansę przeżyć i rozwijać się. Ludzie dobrze wykorzystali tę szansę. Nauczyli się budować domy i krzesać ogień. Nauczyli się uprawiać ziemię i wznosić miasta. Zbudowali też łodzie i zaczęli łowić ryby w Morzu Śródziemnym i Morzu Czarnym. Rozmnażali się i rozprzestrzeniaли po swojej części świata, aż natrafili na dzikie miejsca. To wtedy odkryli, że resztę świata zasiedlają inne dzieci Namid. Jednak Inni nie dostrzegli w ludziach zdobywców. Dostrzegli w nich nowy rodzaj mięsa.

Tak zaczęły się wojny o dzikie miejsca. Czasami ludzie wygrywali i rozprzestrzeniaли się nieco bardziej, częściej jednak znikwały całe fragmenty ich cywilizacji, a ci, którzy ocaleli, trzęśli się ze strachu, słysząc wycie wilków. Zdarzało się też, że ktoś za bardzo oddalił się od domu, a rano znajdowano go martwego, pozbawionego krwi.

Mijały wieki. Ludzie zbudowali większe statki i przepłynęli Atlantyck. Kiedy natrafili na dziewiczy ląd, na wybrzeżu zbudowali osadę. Wówczas odkryli, że i to miejsce zajęte jest przez *terra indigena*, czyli tubylców ziemi. Innych.

*Terra indigena* rządzący kontynentem nazywanym Thaisią poczuli gniew, gdy ludzie zaczęli wycinać drzewa i orać ziemię, która nie należała do nich. Zjedli więc osadników i nauczyli się przybierać ich kształt, tak jak wcześniej wielokrotnie nauczyli się przybierać kształt innego mięsa.

Druą fala osadników znalazła opuszczoną osadę i ponownie spróbowała ją zasiedlić.

Ich również zjedli Inni.

Na czele trzeciej fali osadników stał człowiek, który był mądrzejszy niż jego poprzednicy. Zaproponował Innym ciepłe koce, materiał na ubrania i interesujące błyszczące przedmioty – w zamian za zgodę na zajęcie osady i uprawę okolicznej ziemi. Inni uznali, że to uczciwa wymiana, i opuścili tereny użyczone ludziom. Otrzymali więcej prezentów w zamian za prawo do polowań i połowu ryb. Taki układ zadowalał obie strony, choć jedna z trudem tolerowała nowe sąsiedztwo, a druga ogradzała swe osady i żyła w ciągłym strachu.

Płynęły lata, osadników przybywało. Wielu umierało, ale wielu wiodło się całkiem dobrze. Osady rozrastały się w wioski, te w miasteczka, a te z kolei w miasta. Stopniowo ludzie rozprzestrzenili się po całej Thaisii na ziemiach użyczonych im przez Innych.

Mijały wieki. Ludzie byli bystrzy, ale Inni również. Ludzie wynaleźli elektryczność i kanalizację. Inni kontrolowali wszystkie rzeki, które zasilały

generatory, i wszystkie jeziora, które dostarczały wody pitnej. Ludzie wynaleźli silniki parowe i centralne ogrzewanie. Inni kontrolowali zasoby paliwa potrzebnego do pracy silników i ogrzewania domów. Ludzie wynajdowali i produkowali różne rzeczy. Inni kontrolowali surowce, a zatem decydowali o tym, co można, a czego nie można produkować w ich części świata.

Oczywiście zdarzały się konflikty i niektóre ludzkie miasta znów pochłonął las. Wreszcie ludzie pojęli, że to *terra indigena* rządzi Thaisią i tylko koniec świata może to zmienić.

Obecnie sytuacja kształtuje się następująco: na ogromnych terenach należących do Innych rozrzucone są niewielkie ludzkie osady. W większych miastach znajdują się ogrodzone parki nazywane Dziedzińcami, gdzie mieszkają Inni, których zadaniem jest obserwowanie ludzi i pilnowanie przestrzegania umów, jakie zawarli z *terra indigena*. Po jednej stronie wciąż panuje niechętna tolerancja – a po drugiej strach. Ale jeśli ludzie będą ostrożni, przetrwają. Przynajmniej większość z nich.

## Rozdział 1

Zawierucha niemal ją oślepiła. Wyszła niepewnie na otwartą przestrzeń pomiędzy dwoma budynkami, a potem ostrożnie skręciła za róg. Skarpetki i trampki miała zupełnie przemoczone, a stopy tak zmarznięte, że właściwie ich nie czuła. Wiedziała, że to niedobrze, że to może być groźne – jednak kiedy pojawiła się okazja ucieczki, złapała tylko to, co miała pod ręką.

Nie słyszała za sobą pogoni, ale to nic nie znaczyło. Mur ciągnący się wzdłuż drogi tłumił nawet odgłosy ruchu ulicznego.

Musi znaleźć jakieś schronienie. Nie można nocować na dworze przy takim mrozie. Na szkoleniu widziała fotografie ludzi, którzy zamarli na śmierć. Ale schroniska dla bezdomnych to pierwsze miejsce, w którym będą jej szukać.

Czy umrze tej nocy? Czy ta zamieć śnieżna to początek końca? Nie. Nawet nie brała pod uwagę takiej możliwości. Nie podjęła takiego ryzyka, nie zaszła tak daleko, by zamiast początku miał ją spotkać koniec. Poza tym nie zrealizowały się jeszcze inne elementy przepowiedni. Nie spotkała ciemnowłosego mężczyzny w zielonym swetrze. A póki go nie spotka, nie musi się martwić o swoje życie.

Choć to nie znaczy, że stać ją na robienie głupstw.

Jej uwagę przyciągnął budynek w głębi otwartej przestrzeni – głównie dlatego że tylko stamtąd padało światło. Wyjrzała za róg, by upewnić się, że nadal jest sama, po czym ruszyła w jego stronę. Może uda jej się pod jakimś pretekstem wejść do środka choć na kilka minut, żeby jej przemrożone stopy odtajały.

Światła, które z daleka wydawały się takie jasne, okazały się tylko nocnym oświetleniem. Budynek był zamknięty, ale w błysku lampy udało jej się odczytać napis umieszczony nad przeszklonymi drzwiami. Gdyby nie znajdowała się w tak rozpaczliwej sytuacji, jego treść zmroziłaby ją bardziej niż śnieg i przeszywający wiatr.

Dziedziniec w Lakeside

l.p.t.n.d.

Ludzkie Prawo Tu Nie Działo. Znajdowała się na ziemi należącej do Innych. A to oznaczało, że choć chwilowo nie grozi jej niebezpieczeństwo ze strony ludzi, znajduje się na łasce stworzeń, które tylko wyglądały jak ludzie. Nawet ktoś, kto dotąd żył w więzieniu, wiedział, co się dzieje z ludźmi, którzy nie zachowują rozwagi podczas spotkań z *terra indigena*.

Na przeszklonych drzwiach, od wewnątrz, przyklepiono taśmą jakąś kartkę. Zatrzymała się przy niej na dłuższą chwilę, choć trzęsa się z zimna i nie czuła już stóp.

Poszukujemy łącznika z ludźmi



zainteresowani mogą się zgłaszać

w Zabójczo Dobrych Lekturach

(tuż za rogiem)

Praca. Sposób zdobywania pieniędzy na jedzenie i mieszkanie. Miejsce, gdzie mogłaby się chwilowo ukryć, bo nawet jeśli ją tu znajdą, nie będą jej mogli zabrać. Ponieważ ludzkie prawo tu nie działa.

Zabójczo Dobre Lektury. To musi być sklep prowadzony przez Innych.

Wiedziała, że grozi jej śmierć. Większość ludzi, którzy mieli nieszczęście zetknąć się z Innymi, umierała w ten czy inny sposób. Ale według proroctwa i tak miała umrzeć, więc przynajmniej raz w życiu niech coś stanie się na jej warunkach.

Podjąwszy tę decyzję, zawróciła i wyszła na Wronią Aleję. Kiedy skręciła w prawo, zobaczyła dwie osoby wychodzące ze sklepu. Światło i życie. Ruszyła w ich stronę.

Simon Wilcza Straż zajął miejsce w kasie, spojrzał na ścienny zegar, po czym powiedział:

Teraz

Z zaplecza księgarni dobiegło go przeciągłe wycie. Kilka kobiet pisnęło, a mężczyźni wydali z siebie zaskoczone chrząknięcia.

– Za dziesięć minut zamykamy – oznajmił Simon głośno, tak żeby usłyszeli go wszyscy klienci.

Oczywiście ludzie o tym wiedzieli, a wycie było tylko przypomnieniem – podobnie jak Wilk siedzący przy drzwiach, który pilnował bezpieczeństwa księgarni. Kiedy odgryzł rękę niedoszłemu złodziejowi, zaszczepił w ludziach przychodzących do Zabójczo Dobrych Lektur bezwzględna uczciwość. Widok kałuży krwi i Wilka, który z upodobaniem chrupał ludzkie palce, zapisał się trwale w ich pamięci i z pewnością dostarczał im wielu koszmarów sennych.

Nie zmieniło to faktu, że następnego dnia mały przybyły tłumnie do księgarni, żeby popatrzeć na poplamioną podłogę i szeptać do siebie niespokojnie wśród półek z książkami. Dreszcz emocji, jakiego doświadczali, gdy zdarzyło im się zobaczyć tu Innego w jego zwierzęcej formie, i obawa przed przemocą wyraźnie podnosiły wyniki sprzedaży horrorów i thrillerów, dzięki czemu księgarnia wypracowywała odpowiedni zysk.

Oczywiście żaden sklep na Dziedzińcu nie potrzebował zysku, żeby się utrzymać. Prowadzono je dla wygody tutejszych *terra indigena* – tu mogli zaopatrywać się w interesujące ich ludzkie wyroby. Simon starał się zdobyć zyski z księgarni raczej po to, by zrozumieć ludzki sposób prowadzenia interesów – i sprawdzić uczciwość ludzkich firm, z którymi miał do czynienia.

Jednak w Zabójczo Dobrych Lekturach nie obowiązywały ludzkie zasady prowadzenia handlu, szczególnie jeśli chodziło o godziny pracy. W te wieczory, kiedy księgarnia była otwarta dla ludzi, zamykano ją punktualnie o dwudziestej pierwszej. Personel nigdy nie wahał się zmieniać postaci i gryźć maruderów, którzy

uważali, że godziny otwarcia to tylko sugestia, a nie zasada.

Simon sprzedał kilka książek więcej, niż spodziewał się sprzedać w taki wieczór, kiedy każdy rozsądny człowiek powinien siedzieć w domu, zamiast szwendać się po mrozie kłusującym niczym Wilk. Oczywiście większość tych małych mieszkała w pobliżu i często zachodziła do księgarni i przylegającej do niej kawiarni Coś na Ząb. Chętnie oddawały się socjalizacji, jeśli nie miały ochoty pić przez cały wieczór w tawernach na ulicy Głównej.

*Nie mały, ludzie*, napomniał się w myślach i poprawił druciane okulary. Nie potrzebował ich, ale uważał, że dzięki nim wygląda nieco gamoniowato i bardziej przyjaźnie. *Nazywaj ich ludźmi, kiedy jesteś w księgarni. Nie powinienesz bez potrzeby obrażać personelu. Tak trudno znaleźć pracowników, których daje się tolerować. Nie ma sensu tracić tych, których mamy, z powodu niewłaściwych słów.*

Określenie „mały” pochodziło zza oceanu, z Afriki, gdzie pewien członek Lwiej Straży opisał ludzi właśnie jako bezwłose bełkoczące mały. Kiedy *terra indigena* z Thaisii ujrzeli wizerunki małego, zaczęli określać tym słowem ludzi ze względu na uderzające podobieństwo. Ale Simon był członkiem Stowarzyszenia Przedsiębiorców, które prowadziło sklepy na Dziedzińcu, również te dostępne dla ludzi, a także przywódcą Dziedzińca w Lakeside, dlatego starał się nie zachowywać obraźliwie – a przynajmniej nie robić tego oficjalnie.

– Simonie?

Odwrócił się na dźwięk głosu, którego brzmienie przypominało ciepły syrop. Jego właścicielka zakładała właśnie skafander z kapturem. Krótki sweterek podjechał jej przy tym trochę do góry, ukazując kilka centymetrów brzucha, miękkiego i na pierwszy rzut oka całkiem smacznego.

Wiele ludzkich kobiet przychodziło do księgarni w nadziei, że zwrócą na siebie uwagę i nawiążą bliższe stosunki z *terra indigena*. Ale patrząc na tę konkretną, Simon miał ochotę zatopić kły w jej gardle, a nie kąsać jej brzuch.

– Tak? – Przechylił głowę w geście, który był jednocześnie zachętą i odprawą.

Nie rozumiała. Nigdy nie rozumiała. Azja Crane zwróciła na niego uwagę od razu pierwszego dnia, kiedy zjawiała się w Zabójczo Dobrych Lekturach. Między innymi dlatego jej nie lubił. Im bardziej starała się do niego zbliżyć, tym mniej miał ochotę na jej towarzystwo. Ale nigdy nie naciskała na tyle, żeby atak był usprawiedliwiony.

Jeszcze dwie osoby zakładały skafandry i szaliki, ale w pobliżu kasy nie było nikogo.

Rzuciła mu uśmiech typu: *Ugryź mnie, lubię to*, po czym powiedziała:

– No dalej, zgódź się. Obiecałeś, że o tym pomyślisz, a minął już tydzień.

– Niczego nie obiecywałem – odparł i zaczął porządkować ładę wokół kasy.

Azja Crane miała jasne włosy i brązowe oczy. Dwóch ludzi, mężczyzn pracujących na Dziedzińcu, zapewniało, że jest piękna. Ale Simona coś w niej niepokoiło, choć nie potrafił postawić na tym łapy. Owszem, uganiała się za nim, choć dał jej do zrozumienia, że nie jest zainteresowany, ale owo niejasne uczucie było powodem, dla którego nie zatrudnił jej w ZDL, kiedy przyszła szukać tu pracy. I dla którego nie chciał jej wynająć jednej z czterech kawalerek, które czasem Dziedziniec udostępniał ludzkim pracownikom. A teraz chciała zostać łącznikiem z ludźmi. Ponieważ ta

posada dałaby jej dostęp do Dziedzińca, prędzej ją zje, niż zatrudni. Vladimir Sanguinati, który wraz z nim prowadził Zabójczo Dobre Lektury, nie raz proponował mu swą pomoc, gdyby któregoś wieczoru, patrząc na Azję, poczuł głód. Był to uczciwy układ, gdyż Włada interesowała tylko krew, a Simon wolał świeże mięso. – Księgarnia jest już zamknięta. Wracaj do domu – powiedział.

Westchnęła teatralnie.

– Naprawdę chciałabym dostać tę pracę. To, co robię teraz, jest nudne, a pensja ledwie starcza na opłacenie mieszkania.

Teraz nawet nie próbował być miły.

– Już zamknięte.

Kolejne westchnienie, a potem urażone spojrzenie. Azja zapięła suwak skafandra, założyła rękawiczki i wreszcie wyszła.

John, członek Wilczej Straży, porzucił swoje stanowisko przy drzwiach i ruszył sprawdzić, czy nikt nie został w środku, więc Simon był przy kasie sam, kiedy drzwi znów się otworzyły, wpuszczając do środka zimny podmuch wiatru. Chłodne powietrze przyniosło odświeżenie po tych wszystkich sztucznych zapachach, jakich używali ludzie.

– Już... – Spojrzał w stronę drzwi, ale nie dokończył zdania.

Kobieta stojąca w progu sprawiała wrażenie śmiertelnie przemarzniętej. Na nogach miała trampki – w taką pogodę! – a jej dzinsy były przemoczone aż do kolan. Pod drelichową kurtką – odpowiednią na letni wieczór – miała koszulkę z krótkim rękawem.

Była tak przemarznięta, że nawet przez chwilę nie zastanowił się, czy jest jadalna.

Popatrzyła na niego, jakby widziała go już wcześniej, i to ją przerażało. Jednak on jej nie rozpoznał. Ani z wyglądu, ani z zapachu.

Zrobiła dwa kroki w stronę kasy, zapewne tylko po to, żeby zanurzyć się głębiej w ciepło pomieszczenia, a nie żeby się do niego zbliżyć.

– Zobaczyłam ogłoszenie – wyjąkała. – W sp-prawie p-pracy.

*Ona się nie jąka, to tylko zęby jej dzwonią*, pomyślał Simon. *Ile czasu spędziła na dworze?* Zamieć była dziełem natury, nadciągała znad jeziora. Pierwsza w nowym roku. Niemniej i tak była paskudna.

– Jakiej pracy? – zapytał.

– Ł-łącznika z ludźmi – wyjąkała. – Było napisane, żeby zgłaszać się t-tutaj.

Mijały kolejne sekundy. Kobieta spuściła wzrok. Zapewne nie miała dość odwagi patrzeć mu w oczy, skoro powiedziała już, co miała do powiedzenia. Coś go w niej niepokoiło, ale inaczej niż w przypadku Azji Crane. Postanowił nie wyganiać jej na śnieg, póki nie stwierdzi, co to takiego. Poza tym tylko ona, nie licząc Azji, była zainteresowana tą posadą. Już ten fakt wystarczyło, żeby poświęcił jej kilka minut.

Ruch na skraju pola widzenia. John, obecnie w ludzkiej postaci, ubrany w sweter i dzinsy, przekrzywił pytająco głowę.

Simon skinął lekko głową w niemej odpowiedzi i spojrzał na kasę.

– Chcesz, żebym zamknął? – spytał John, podchodząc z uśmiechem do dygoczącej kobiety.

– Tak – odparł, nie spuszczać wzroku z przybyłej. – Chodźmy obok, napijemy się kawy i porozmawiamy o pracy. – Odwróciła się i spojrzała niepewnie na drzwi prowadzące na zewnątrz.

– Nie. Tędy. – Wszedł zza lady i wskazał jej przejście.

Kiedy księgarnia była zamknięta, a kawiarnia otwarta, przejście zamykano na kratę. Na ścianie obok znajdował się napis: Zapłać za książki, nim pójdziesz do „Czegoś na Ząb”, albo cię ugryziemy.

Napis po drugiej stronie kraty głosił: Jasne, możesz zabrać ten kubek. a my weźmiemy sobie w zamian twoją rękę.

Nie sądził, by umysł kobiety odtajał na tyle, żeby zdołała zinterpretować te napisy. Po pierwszym zaskoczeniu, jakie okazała na jego widok, rzeczywistość chyba przestała do niej docierać.

Kiedy weszli, Tess myślała właśnie szklaną gablotę na ciastka. Przyjacielski uśmiech, którym przywitała Simona, zniknął, gdy zobaczyła jego towarzyszkę.

– Czym mogę służyć? – zapytała.

– Możemy dostać kawy? – Simon usiadł przy stoliku najbliżej lady, jak najdalej od drzwi i zimnej strefy przy stolikach pod oknami.

– Jeszcze trochę mi zostało – odparła Tess, rzucając kobiecie ostre spojrzenie. Odchylił się na krześle i oparł kostkę jednej nogi o kolano drugiej.

– Jestem Simon Wilcza Straż – zwrócił się do kobiety. – A ty?

– Meg Corbyn.

Po wahaniu w jej głosie odgadł, że na co dzień nie używa tego imienia. Czyli nie nosi go od dawna. Nie lubił kłamców. Ludzie, którzy kłamali w drobnych sprawach, kłamali też w wielu innych, często istotniejszych.

Zresztą imię to nie jest drobna sprawa, kiedy przychodzi co do czego.

Ale kiedy Tess przyniosła kubki z kawą i zobaczył, jak Meg obejmuje swój, żeby zagrzać ręce, postanowił odpuścić. Podziękował Tess i znów zwrócił się do swojego gościa:

– Czy wiesz, na czym polega praca łącznika z ludźmi?

– Nie.

– Więc nie masz doświadczenia?

– Nie. Ale mogę je zdobyć. Chcę się uczyć.

Nie wątpił w szczerść jej słów, ale podejrzewał, że umrze na zapalenie płuc albo coś w tym rodzaju, nim zdąży się czegokolwiek nauczyć.

Nagle przypomniał sobie staruszkę, która grzała się w słońcu i proponowała ludziom wróżenie z kart. Jemu nie postawiła kart, ale jej słowa dzwięczały w jego myślach przez ostatnie dwadzieścia lat. Teraz niespodziewanie znów je sobie przypomniał, tak wyraźnie, jakby usłyszał je wczoraj: *Bądź przywódcą swego ludu. Bądź głosem, który decyduje, kto będzie żyć, a kto umrze na twoim Dziedzińcu. Nadejdzie dzień, kiedy życie, które ocalisz, uratuje kogoś ci drogiego.*

Fakt, że Simon był przywódcą Dziedzińca w Lakeside, nie ocalił dwa lata temu jego siostry Daphne. Ale teraz, kiedy patrzył na tę zmarzną Meg czekającą na jego decyzję, wspomnienie słów staruszki sprawiło, że poczuł się nieswojo.

Tess postawiła na stoliku gliniane miski z zupą i krakersy.

– Resztki z kotła – oznajmiła.

– Dziękuję, ale... nie mam czym zapłacić – szepnęła Meg, patrząc tęsknie na jedzenie.

Tess znów rzuciła Simonowi wrogie spojrzenie.

– Na koszt firmy – powiedziała i odeszła.

– Jedz – polecił Simon. – Jest pożywna i rozgrzeje cię.

Czekał, aż Meg się posili, obserwując Tess porządkującą kawiarnię. Jak zawsze obudziła w nim niepokój. Granica pomiędzy traktowaniem ludzi jak rozrywkę a zupełnym brakiem tolerancji dla ich obecności była u niej szczególnie cienka. Nie wiedział, kim jest Tess, wiedział tylko, że należy do Innych. Była tak niebezpieczna, że budziła strach nawet w innych rasach *terra indigena*. Ale kiedy kilka lat temu pojawiła się na Dziedzińcu w Lakeside, coś w jej oczach wzbudziło w nim pewność, że jeśli jej do siebie nie przyjmą, stanie się wrogiem wszystkich istot żywych.

Przyjęcie Tess na Dziedziniec to była jego pierwsza oficjalna decyzja jako nowego przywódcy. I jak dotąd nigdy jej nie żałował.

Co nie oznaczało, że ufał Tess.

– Co robi łącznik z ludźmi? – spytała Meg.

Simon spojrział na jej miseczkę. Była w połowie opróżniona. Albo Meg miała już dość, albo musiała odpocząć.

– Na podstawie umowy pomiędzy ludźmi a *terra indigena* w każdym mieście w Thaisii znajduje się Dziedziniec, miejsce, gdzie mieszkają Inni. To tutaj *terra indigena* mogą zaopatrywać się w produkty wytwarzane przez ludzi. Ale ludzie nie ufają Innym, a my nie ufamy ludziom. Ludzie dostarczają nam wielu produktów, ale incydenty, jakie się przy tym zdarzają, przekonały i ludzki rząd, i naszych przywódców, że rozsądnie jest mieć kogoś, kto będzie przyjmował pocztę i paczki przeznaczone dla *terra indigena*, nie mając jednocześnie ochoty zjeść kuriera. Dlatego przy każdym Dziedzińcu stworzono biuro łącznika, gdzie odbywają się dostawy. Stowarzyszenia Przedsiębiorców, działające przy Dziedzińcach, decydują o wynagrodzeniu łącznika i związanych z nim świadczeniach. Zgodnie z umową ludzki rząd nakłada kary na firmy przewozowe, które odmawiają dostarczania przesyłek na Dziedziniec. Jednak jeśli stanowisko łącznika nie jest obsadzone przez określony, niezbyt długi czas, firmy przewozowe mogą odmówić realizacji dostaw na nasz teren bez obawy nałożenia na nie kary. Wakaty na stanowisku łącznika powodują, że tolerancja obu stron spada – a kiedy spada, ludzie zaczynają umierać. Czasami umiera masa ludzi.

Meg podniosła do ust kolejną łyżkę zupy.

– Czy to dlatego pozwalacie kupować ludziom w waszym sklepie? – zapytała.

– Żeby budować tolerancję pomiędzy ludźmi a Innymi?

*Mądra kobieta*, pomyślał Simon. Jej wniosek wprawdzie nie był prawidłowy – większości *terra indigena* nie interesowała tolerancja wobec ludzi – ale najwyraźniej rozumiała, dlaczego potrzebny jest łącznik.

– Dziedziniec w Lakeside to rodzaj eksperymentu – wyjaśnił. – Sklepy na rynku obsługują wyłącznie *terra indigena* i naszych ludzkich pracowników, natomiast te wychodzące na Wronią Aleję w niektórych porach są otwarte również dla ludzi. Oprócz księgarni i kawiarni jest jeszcze centrum fitness, gdzie dopuszcza

się członkostwo ludzi, pracownia krawiecka i galeria na ulicy Głównej, która jest otwarta dla wszystkich, o ile w ogóle jest otwarta.

– Ale ludzkie prawo nie działa w tych sklepach – zauważyła kobieta.

– To prawda. – Simon przyjrzał się jej uważnie. Azji Crane zwyczajnie nie ufał, ale jego reakcja na Meg nie była taka prosta. Dlatego właśnie postanowił ją zatrudnić. Dziedzińcowi nie zaszkodzi, jeśli pobędzie tu kilka dni, szczególnie gdy ktoś będzie ją nadzorował, a on w tym czasie ustali, dlaczego czuje się przy niej tak niepewnie. Ale nim poinformuje Meg o swojej decyzji, musiał jej uświadomić coś jeszcze. – Ludzkie prawo tu nie działa. Czy rozumiesz, co to znaczy? – Kiwnęła głową. Nie uwierzył jej, ale postanowił odpuścić. – Jeśli naprawdę chcesz tę posesję, jest twoja.

Spojrzała mu w oczy. Jej tęczęwki były szare i przejrzyste jak u Wilka. Ale nie była Wilkiem. Błada skóra zaróżowiła się nieco na policzkach. Włosy zaczęły jej wysychać i okazało się, że nie tylko mają dziwny czerwony kolor, ale też że okrutnie cuchną. Będą musieli coś z tym zrobić.

– Mam pracę? – upewniła się Meg, a w jej głosie zabrzmiało coś na kształt nadziei.

Simon kiwnął głową.

– To praca na godziny – oznajmił. – Będziesz musiała prowadzić rejestr. Możesz zamieszkać w jednej z kawalerek nad pracownią krawiecką i robić zakupy we wszystkich sklepach na rynku.

W tym momencie, jak na zawołanie, z zaplecza wyszła Tess i rzuciła na ladę pęk kluczy.

– Przyniosę ze sklepów parę rzeczy, kiedy będziesz pokazywał Meg mieszkanie. Zostawcie naczynia na stole, zajmę się nimi później.

Wyszła równie szybko jak się zjawiała.

– Pamiętaj, Meg, mamy zasady i wymuszamy ich przestrzeganie. – Simon wziął klucze. – Dostęp na Dziedziniec jest ograniczony. Bez naszej wiedzy nie wolno ci sprowadzać do mieszkania gości. Jeśli zwęszymy obcego, zabijemy go. Nie interesują nas wymówki i nie dajemy drugiej szansy. W sklepie na rogu ludzie i Inni mogą się spotykać bez zezwolenia przywódcy. Możesz tam zabierać swoich gości. Rozumiesz?

– Tak – odparła krótko, kiwając głową.

Zaprowadził ją z powrotem do ZDL. Na ladzie John zostawił mu zimowy płaszcz. Simon założył go, otworzył drzwi i przytrzymał, żeby Meg mogła wyjść. Potem zamknął na klucz, wziął kobietę pod rękę, żeby się nie poślizgnęła, i poprowadził do przeszklonych drzwi budynku, w którym mieściła się pracownia krawiecka.

Wyciągnął pęk kluczy i włożył jeden z nich do zamka. Wprowadził ją do małego przedsionka i zamknął za sobą drzwi. Mając na uwadze fakt, że ludzie nie widzą w nocy tak dobrze jak Wilki, włączył światło i ich oczom ukazały się schody na piętro.

Meg weszła na górę i zaczęła na niego na podeście. Minał ją, sprawdził numer mieszkania na kluczu i wydał cichy pomruk zdumienia. Tess dała mu klucz do mieszkania od frontu, położonego najdalej od drzwi wychodzących na Wronią Aleję

– i najbliższej schodów, które prowadziły na Dziedziniec.

Otworzył mieszkanie i włączył światło. Zdjął mokre buty i zostawił je w przedpokoju, a czekając, aż Meg zrobi to samo, rozejrzał się po mieszkaniu. Czysto i schludnie, choć bez luksusów. Na jednym końcu łazienka i szafa. Na drugim wnęka kuchenna z małą lodówką, kuchenką mikrofalową, szafkami i zlewem. Klasyczne łóżko i komoda. Niewielki prostokątny stolik i dwa krzesła o prostych oparciach. Fotel i puf oraz lampa do czytania, stojąca obok pustych półek na książki.

– W łazience powinien być komplet ręczników – powiedział Simon. – Wyglądasz na kogoś, komu przydałby się prysznic.

– Dziękuję – szepnęła Meg.

– Łazienka jest tam. – Wskazał.

Trzęsa się tak bardzo, że wątpił, czy uda jej się zdjąć z siebie te mokre rzeczy. Ale nie zamierzał jej pomagać.

Drzwi łazienki zamknęły się. Niewiele dało się ukryć przed jego słuchem, ale tym razem postanowił ignorować dochodzące go dźwięki. Kiedy wyciągnął z dolnej szuflady komody dodatkowy koc, usłyszał spuszczenie wody. Chwilę później Meg odkręciła prysznic.

Patrzył przez okno na padający śnieg, kiedy do mieszkania weszła Tess. Miała ze sobą dwie duże torby zamykane na suwak.

– Wpiszę to na twój rachunek – oświadczyła.

Jej włosy, zwykle brązowe i proste, teraz skręciły się. Przetykały je zielone pasma – znak, że Tess jest niespokojna. Na szczęście nie były jeszcze czerwone, gdyż to wskazywałoby, że jest wściekła. Kiedy włosy Tess stawały się czarne, ludzie umierali.

– Na mój rachunek? – zdziwił się Simon.

– Dwa komplety ubrań, piżama, przybory toaletowe, zimowy płaszcz i botki. No i jedzenie.

Płaszcz był jaskrawoczerwony. Mieszkańcom Dziedzińca podobał się ten kolor, ponieważ zwykle przywodził na myśl upolowaną zdobycz. Najprawdopodobniej dlatego nikt go dotąd nie kupił. *Ciekawe, dlaczego Tess przyniosła go dla Meg*, zastanawiał się.

– Myślałem, że w ramach wynagrodzenia będziemy jej serwować obiady – zauważył.

– Pewnie będziesz musiał porozmawiać ze Stowarzyszeniem Przedsiębiorców, zanim podejmiesz te wszystkie decyzje. Zważ, że właśnie zatrudniłeś bez naszej wiedzy łącznika – odparła ostro.

– Przyniosłaś mi klucze do mieszkania, nim zdażyłem o nie poprosić.

Najwyraźniej więc też podjęłaś decyzję – wytknął jej Simon.

Nie odpowiedziała. Po prostu postawiła jedną torbę na łóżku, a drugą zaniósła do kuchni. Kiedy schowała jedzenie, podeszła do niego.

– To nie w twoim stylu przygarniać przybłądy. Szczególnie małpie przybłądy.

– Nie mogłem jej tak zostawić na mrozie.

– Owszem, mogłeś. Innych ludzi zostawiałeś na pastwę losu. Dlaczego dla niej zrobiłeś wyjątek?

Simon wrzucił ramionami. Nie chciał opowiadać jej o staruszce, której słowa

wpłynęły na tyle jego decyzji.

– Potrzebny nam łącznik, Tess – powiedział więc tylko.

– To głupi pomysł, jeśli chcesz znać moje zdanie – odparła. – O tę pracę ubiegają się jedynie złodzieje, którzy chcą nas okradać albo tacy, którzy ukrywają się przed ludzkim prawem. Ostatniego wyrzuciłeś za lenistwo, a przedostatniego... przedostatniego zjadły Wilki.

– Nie tylko my go zjedliśmy – mruknął Simon.

Ale musiał przyznać, że Tess ma rację. Łącznicy ledwie mieli czas nauczyć się swojej pracy – o ile w ogóle fatygowali się to robić – kiedy z tego czy innego powodu musieli szukać nowego kandydata. Ludzie zawsze chcieli dostać pracę z powodów, które nie miały nic wspólnego z pracą. Czy nie dlatego odmówił Azji? Z jej strony była to tylko kolejna próba zwrócenia na siebie jego uwagi. A nie chciał, żeby węszyła wokół niego bardziej niż teraz.

– Przed czym ucieka Meg Corbyn? – spytała Tess. – Skąd się tu wzięła w takim stroju?

Nie odpowiedział, ponieważ doskonale znał jej podejrzenia i całkowicie się z nimi zgadzał. Równie dobrze Meg mogła mieć wypisane na czole słowo ZBIEG.

Zielone pasma zniknęły z włosów Tess.

– Może zostanie na tyle długo, żeby rozładować ten korek dostaw, który nam się zrobił – westchnęła.

– Może – zgodził się. Nie spodziewał się, żeby Meg Corbyn, czy jak tam naprawdę nazywała się ta kobieta, przetrwała tu dłużej niż do pierwszej wypłaty. Ale powiedziała, że chce się uczyć – nigdy nie usłyszał tego od żadnego innego człowieka. Nawet od Azji.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

– Powinieneś iść – powiedziała wreszcie Tess. – Naga dziewczyna pod prysznicem. Obcy mężczyzna. Czytałam takie historie w ludzkich książkach. Zwykle kończyły się tak samo.

Simon zawahał się, ale wiedział, że Tess ma rację.

– Przekaż Meg, że będę na nią czekał w biurze łącznika jutro o ósmej trzydzieści – powiedział. – Chcę jej wyjaśnić, co ma robić, nim zaczną przychodzić dostawy.

– Ty tu jesteś szefem.

Położył klucze na stole i wyszedł z mieszkania. Choć miał wątpliwości, czy zostawiając Meg sam na sam z Tess, nie skazuje jej na rychłą śmierć.



Gorąca woda rozgrzewała obolałe ciało. Cudownie. Meg namydliła się i umyła włosy, a potem długo stała pod prysznicem, opierając się ręką o ścianę.

Chwilowo jest bezpieczna. Wiatr i śnieg zatarły jej ślady. Wprawdzie ludzie będą ją widywać, co może stanowić zagrożenie, ale póki pozostanie w granicach Dziedzińca, nikt nie będzie mógł jej tknąć. Nawet...



Drżąc, wyciągnęła przed siebie obie ręce. Cienkie, proste blizny, rozmieszczone w równych odstępach, co pół centymetra, pokrywały skórę od ramienia po łokieć. Takie same blizny miała u góry lewego uda i po zewnętrznej stronie prawego oraz po lewej stronie pleców – proste jak strzała i równo rozmieszczone. Właśnie takie musiały być, inaczej były mniej warte – a nawet nic niewarte. Chyba że miały służyć karze.

Przyjrzała się trzem pokrytym strupami przecięciom na lewym przedramieniu. Tych blizn nie będzie żałować. Wizje, które ujrzała, kiedy przecięła skórę w tych miejscach, przyniosły jej wolność. Oraz pokazały, w jaki sposób umrze.

Biały pokój. Wąskie łóżko z metalową barierką. Była zamknięta w tym pokoju, przywiązana do łóżka, tak zmarznięta, że ledwie mogła oddychać. A Simon Wilcza Straż, ciemnowłosy mężczyzna, którego widziała w prorocztwie, krążył po pokoju i warczał.

Zakręciła wodę i otworzyła drzwi kabiny prysznicowej.

Chwilę później ktoś zapukał do łazienki.

– Meg? – usłyszała głos. – To ja, Tess. Otworzę drzwi i podam ci piżamę, dobrze?

– Tak. Dziękuję.

Meg wzięła ręcznik i zakryła się nim z przodu, zadowolona, że lustro jest zbyt zaparowane, by odbiły się w nim jej plecy.

Kiedy Tess wycofała się, Meg wyszła spod prysznica, wytarła się szybko i włożyła piżamę. Starła parę z lustra i sprawdziła, czy nie widać nigdzie blizn, a potem otworzyła drzwi i weszła do pokoju.

– Daj mi swoje mokre rzeczy – poleciła Tess. – Wysuszę je.

– Dobrze. Dziękuję. – Meg kiwnęła głową i przyniosła ubrania z łazienki.

– Jedzenie masz w szafce i w lodówce. Przyniosłam ci dwa komplety ubrań, ale rozmiar oceniłam raczej na oko, więc jeśli nie będą pasować, wymień je w sklepie. Simon będzie na ciebie czekał w biurze łącznika jutro rano, o wpół do dziewiątej. Wprowadzi cię w obowiązki.

– Dobrze – powtórzyła Meg. Teraz, kiedy było jej ciepło, niemal zasypiała na stojąco.

– Klucze są na stole – dodała Tess i ruszyła do drzwi.

– Bardzo ci dziękuję. Za wszystko.

Tess odwróciła się i popatrzyła na nią.

– Prześpij się.

Meg policzyła do dziesięciu, po czym podeszła do drzwi. Nie wiedziała, czy zdoła coś usłyszeć, przykładając do nich ucho, jak ludzie na filmach, ale spróbowała. Ponieważ jednak nic nie usłyszała, zamknęła drzwi na klucz i zgasiła górne światło. Lamy na Wroniej Alei świeciły dość jasno, by mogła podejść do okna. Zaciągnęła ciężkie zasłony na jednym oknie, a po chwili wahania postanowiła nie zasłaniać drugiego. Po omacku odszukała łóżko i wślizgnęła się pod koce. Drżała, póki nie zagrzały się od jej ciała.

Śmierć czekała na nią gdzieś na Dziedzińcu. Ale nie dziś. Dziś była bezpieczna.

Odetchnęła z ulgą, zamknęła oczy i odpłynęła w sen.



Simon otrząsnął się, żeby zmierzwić futro. Śnieg przestał wreszcie padać, a Wilkom nie przeszkadzał mróz – szczególnie że zbierały się na wilczy pęd po Dziedzińcu.

Nie chciałby tu być w swojej ludzkiej postaci. Jeśli za długo musiał w niej przebywać, zaczynał być podminowany. Owszem, sam zgłosił się na przywódcę tego Dziedzińca i sam nalegał na otworenie kilku sklepów dla ludzi, żeby mieć na nich oko, ale to nie oznaczało, że mniej niż innych *terra indigena* irytowała go ich obecność w Zabójczo Dobrych Lekturach. Dlatego musiał odpocząć, przybierając postać Wilka. Musiał pobiegać.

Truchtem zbliżył się do niego Elliot. Choć to Simon był dominującym Wilkiem w Lakeside, jego ojciec był oficjalną twarzą Dziedzińca. Elliota nie interesowało prowadzenie sklepów i nie czuł się swobodnie w stosunkach z innymi gatunkami *terra indigena*, szczególnie z Żywiołami i Sanguinatimi, ale dobrze sobie radził z ludzkim rządem i potrafił godzinami rozmawiać z burmistrzem i innymi urzędnikami, nikogo przy tym nie kłusając.

Dlatego Simona często brano za biznesmena, natomiast bardziej towarzyskiego i wyrafinowanego Elliota za przywódcę Dziedzińca Lakeside. Simonowi to odpowiadało. Ojciec mógł ścisnąć dłonie, chodzić na kolacje i robić sobie zdjęcia, a przy odrobinie szczęścia burmistrz i jego kumple nigdy nie odkryją, jak płytkie w istocie jest jego wyrafinowanie.

Po chwili przyłączyło się do nich siedem innych Wilków. Simon, zadowolony z towarzystwa, ruszył zaśnieżoną drogą. Każdy gatunek *terra indigena*, który mieszkał na Dziedzińcu, miał tu własne terytorium, ale reszta ziemi była wspólna. Kiedy Simon i jego przyjaciele przejdą przez Most nad Strumieniem, znajdą się na terenie Jastrzębiej Straży. Potem skręcą w pierwszą drogę na ziemię niczyją, żeby rozpocząć wilczy pęd.

*Wilk*, pomyślał, kiedy ruszyli truchtem, by rozgrzać mięśnie. Może wilki wyglądały jak oni, kiedy świat był młody, ale *terra indigena* – szybkie, silne i zabójcze – miały się do zwierząt, które ludzie nazywali wilkami, tak jak tygrys do rysia.

Biegli truchtem po drodze, na której leżało zaledwie kilka centymetrów śniegu; reszta została skrupulatnie zwiana na jedno pobocze. Będzie musiał pamiętać, żeby podziękować za to dziewczynom na jeziorze.

Gdy mięśnie się rozgrzały, Simon przeszedł w cwał, prowadząc watahę przez most. Dobrze było biec. Dobrze było czuć mroźne powietrze. Dobrze było zasmakować...

Wiatr się zmienił. Sowa, nocna straż Dziedzińca, przeleciała nad ich głowami, przekazując ostrzeżenie.

Intruzi!

Na drodze, która wiła się między Parkiem Lakeside a Dziedzińcem, nie

powinno być teraz nikogo, wyjąwszy pługi śnieżne, które pracowały z hałasem, by umożliwić ludziom dotarcie do pracy następnego dnia. Jeśli już jakiś urzędnik miejski musiał udać się na Dziedziniec, szczególnie w nocy, ktoś najpierw musiałby się skontaktować z Elliotem.

Simon złapał trop i skręcił w wąską ścieżkę, która biegła wzdłuż ogrodzenia otaczającego Dziedziniec, po czym ruszył pełnym pędem.

Żadnego wycia, żadnego dźwięku, żadnego ostrzeżenia. Tylko czarne, białe i szare kształty, zlewające się z nocą i śniegiem – ścigające wroga.

Jeśli ludzie przynieśli ze sobą broń, głębszy śnieg na ścieżce spowolni Wilki, na tyle że zdołają oddać ze dwa strzały. To niebezpieczne, ale oni też będą musieli brnąć przez śnieg, więc nawet gdyby ranili dwa Wilki, i tak nie zdołają uciec.

Tam powiedział Simon.

Trzech ludzi szło z wyraźnym trudem od czarnego płotu z kutego żelaza, który wyznaczał granice Dziedzińca.

Strzelba stwierdził Elliot.

Widzę odparł Simon. Tylko jeden człowiek wszedł na ich teren z bronią? Mało prawdopodobne. Fakt, że innej nie widział, nie oznaczał jeszcze, że jej nie było.

Biegnąc ku intruzom, zauważył czarny dym unoszący się tuż nad śniegiem. Zignorował go i skupił się na człowieku ze strzelbą. Głupiec nie zauważył ani jego, ani pozostałych Wilków, póki jego kolega nie rozejrzał się i nie krzyknął ostrzegawczo.

Strzelba skierowała się w stronę Simona.

Nie dotrą do wroga dość szybko. Kula ugryzie któregoś z nich.

Nagle postać ze strzelbą otoczył czarny dym. Wychynęły z niego ręce, które skierowały lufę strzelby w niebo, w chwili gdy człowiek pociągnął za spust.

Simon minął spowitą dymem postać i skoczył na następnego człowieka z takim impetem, że obaj wylądowali w świeżym śniegu poza ścieżką. Zaciśnął zęby na grubym szaliku otaczającym szyję mężczyzny, powoli dusząc ofiarę. Pozostałe Wilki rzuciły się na jego ręce, uniemożliwiając mu walkę.

Mężczyzna krzyczał przeraźliwie, ale Simon nie puścił go, póki ten nie przestał walczyć. Dopiero wtedy zwolnił chwyt, uniósł głowę i obwąchał jego twarz. Był nieprzytomny, ale żywy.

Świetnie.

Krew z gardła trzeciego z ludzi zalała ziemię ognistą kałużą. Wilki porwały na nim ubranie, żeby dostać się do mięsa.

Dym wokół pierwszego zgęstniał, po czym zmienił się w kruczowłosego mężczyznę. Był ubrany w czarny golf i džinsy. Przytrzymał rękami człowieka, a raczej jego strzelbę.

Sanguinati przybierali formę dymu, owijali się wokół swojej ofiary i spijali krew przez jej skórę. W zimie większość skóry ludzie zakrywali ubraniami, dlatego twarz zaatakowanego człowieka pokryta była kropelkami krwi, które natychmiast zamarzały.

Vlad? zapytał Simon.

Vladimir uśmiechnął się, ukazując wydłużone kły.

– Zabiorę go na Pokoje. Dziadek ogląda akurat stare filmy. Ucieszy się

z przekąski. – Simon kiwnął głową. – Wpadnę potem z Nyx, sprawdzę, czy coś może nam się przydać, i pozbędę się resztek – dodał Vlad z uśmiechem, po czym wyrwał strzelbę człowiekowi, chwycił go mocno za płaszcz i ruszył ku tej części Dziedzińca, która należała do Sanguinatic. Bez trudu włókł za sobą swoją ofiarę.

Idąc tropem ludzi, Simon zobaczył połamane jałowce. Zasadzono je, by osłaniały Dziedziniec przed wzrokiem przechodniów i ciekawskich z parku po drugiej stronie ulicy. Uniósł się na tylne łapy i oparł o krzaki.

Ślady prowadziły do samochodu, który stał na światłach awaryjnych na poboczu Alei Parkowej. Na pewno kierowca pługu śnieżnego, który będzie tędy przejeżdżał, powiadomi o nim władze, ale to stanie się dopiero rano. Wcześniej nikt nie będzie zadawał żadnych pytań – o ile w ogóle ktoś je zada.

Wrócił truchtem na miejsce rzezi. Kilka Wilków z entuzjazmem rozrywało na strzępy drugiego człowieka. Elliot czekał tymczasem obok nieprzytomnej ofiary, patrząc w kierunku, w którym odszedł Vlad.

To była nasza zdobycz warknął.

Jego też. Simon wyszczerzył zęby. Dzielimy się?

Strata mięsa.

Nie, nie strata. To prawda, Sanguinati nie jadali mięsa, ale kiedy rodzina Vlada skończy ucztować, wezwie Boone'a Jastrzębią Straż, rzeźnika Dziedzińca. Jutro w sklepowej witrynie pojawi się dyskretna tabliczka informująca *terra indigena*, że w ofercie jest specjalne mięso.

Człowiek zaczął oddychać szybko, co wskazywało na to, że odzyskiwał przytomność. Nadszedł czas na kolację.

Palce przednich łap Simona i Elliota zmieniły się w silne, porośnięte włosami odnóża zakończone wielkimi szponami. Rozerwali na człowieku płaszcz, zerwali szalik, flanelową koszulę i podkoszulek, podarli na strzępy dżinsy i długie kalesony, od ud po same kostki.

Sapnięcie. Człowiek otworzył oczy.

Simon wyszczerzył kły i wgryzł się w jego brzuch, a Elliot zatopił zęby w gardle, gwałtownie przerywając pełen bólu krzyk.

Szarpięcie. Ugryzienie. Kęs gorącego, świeżego mięsa. Simon wyszarpał wątrobę i pożarł ją ze smakiem, pozostawiając Elliotowi serce. Zjadł swoją część, a potem odszedł, zaś jego palce znów przybrały wilczą formę. Zaczął tarzać się w czystym śniegu, by oczyścić futro. Kiedy jego przyjaciele najedli się do syta, Simon zawył Pieśń Zdobyczy. Inne Wilki, które tej nocy ogarnęła gorączka wilczego pędu, wpadną tu potem na kęs czy dwa.

*Dzielimy się*, pomyślał, patrząc na rękę, którą wyrwał człowiekowi. Podniósł ją i zawrócił na główną drogę Dziedzińca. Potem przebiegł przez Most nad Strumieniem, minął tereny Wilczej Straży i wreszcie położył kończynę na ziemi, która należała do Wron. Śniadanie na pewno je ucieszy.

Chwilę później dogonił go Elliot. Włókł ludzkie zebra. Jego ojciec nie lubił dzielić się zdobyczą, ale kiedy przenieśli się do Lakeside, zgodził się słuchać Simona.

Tak, rano Wrony się najedzą. A kiedy wszyscy dostaną już swoją porcję, niewiele zostanie do pochowania.

## Rozdział 2

*To jest samochód, to jest pociąg, to jest autobus... Czaszka i skrzyżowane piszczele oznaczają truciznę... Ciii. Cisza. To kolejna lekcja... Uważaj, cs759. Zobacz, co się dzieje, jeśli ktoś zostanie otruty... To jest pies, to jest kot... Ten film pokazuje kobietę na koniu... To jest dziecko, to jest młotek. Oto co się dzieje z twarzą, kiedy...*

Jakiś dźwięk wyrwał Meg z niespokojnego snu. Serce waliło jej jak młotem, kiedy patrzyła na ciemne kształty majaczące w szarym świetle, usiłując przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Nasłuchiwała kroków na korytarzu – znaku, że chodzące imiona zaczęły lekcje i codzienne „rozpieszczanie”.

*Opiekunowie i pozostały personel – wszyscy w białych strojach z przypiętymi do kieszonki na piersi identyfikatorami. Mężczyźni w białych fartuchach poszturchujący i obmacujący dziewczęta, żeby zdecydować, co jest im potrzebne dla zachowania dobrej kondycji. I cs747, krzycząca, że też ma imię, że ma na imię Jean i że chociaż nie widnieje na plakietce, jest równie prawdziwe, jak ich imiona.*

*Jean była starsza od Meg. Pewnego dnia ukradła jedną z tych plakietek i szpilką wydrapała sobie na brzuchu swoje imię, kalecząc cenną skórę. Krępowano ją pasami przez kilka kolejnych tygodni, a imiona personelu zaczęto wyszywać na bluzach. Kiedy wróciła na szkolenie, nazwała wszystkich pracowników kompleksu chodzącymi imionami, nie chcąc uznać ich tożsamości.*

*Chodzące imiona nie znosiły Jean. Ale Meg, wsłuchując się w jej bredzenie i we własne enigmatyczne wspomnienia o innym życiu, zaczęła tęsknić za czymś, co widziała jedynie na zdjęciach podczas lekcji. Zaczęła myśleć o sobie „Meg”, zamiast „cs759”. To był pierwszy przejaw jej milczącego buntu.*

Znów ten dźwięk. Jednostajne chrupanie albo grzmiący huk.

Nie znajdowała się już w kompleksie, w zasięgu władzy chodzących imion i Kontrolera. Była na Dziedzińcu w Lakeside... w zasięgu *terra indigena*.

Wyślizgnęła się z łóżka i podeszła do okna. Wyrzała – ostrożnie, tak żeby nikt jej nie zauważył. Wielka ciężarówka przetoczyła się z hukiem ulicą, jej ciężki lemiesz odgarniał śnieg z jezdni. Pług śnieżny. Widywała takie na filmach szkoleniowych, ale bez dźwięku. Identyfikowania dźwięków uczono je osobno. Kiedy oglądały filmy, dźwięk i obrazy nie zawsze odtwarzano równocześnie.

Jednostajne chrupanie.

Przesunęła się, żeby widzieć więcej.

Samochód. Chrząszczenie to był odgłos opon na śniegu. Przypomniała sobie, że jej buty wczoraj tak samo chrzęściły. Śnieg i mróz. Teraz знаła już dźwięki, które towarzyszyły temu, co widziała i czuła – wspomnienie zamiast szkoleniowego filmu.

Drżąc z zimna, wróciła do łóżka i zwinęła się w kłębek pod kocem, żeby się rozgrzać.

Uciekła. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się kompleks – biegnąc, myślała tylko o tym dokąd, a nie skąd ucieka – ale miała poczucie, że znajduje się daleko od miejsca, gdzie Kontroler trzymał swoje dziewczęta. Na pewno posłał już kogoś, żeby ją odszukał. Wprawdzie była na tyle zużyta, by spisać ją na straty, ale gdyby jej ucieczka się powiodła, inne dziewczęta mogłyby wówczas pójść w jej ślady, a na to Kontroler nie mógł sobie pozwolić.

Póki co jednak miała pracę – i pracodawcę, który w innej postaci był Wilkiem. To właśnie oznaczało jego nazwisko. Każdy przedstawiciel *terra indigena* o nazwisku Wilcza Straż może zmienić się w Wilka – i każdy Wilk może zmienić się w człowieka. Nawet Kontroler, choć miał na swoich usługach tylu szpiegów, wiedział o Innych tylko tyle co wszyscy.

Pomyślała o śniegu i mrozie. Miała ochotę zostać w łóżku cały dzień. Ale wiedziała, że jeśli nie stawi się do pracy pierwszego dnia, znów znajdzie się na ulicy. Wstała więc i wzięła długi, gorący prysznic. Mogła sobie na to pozwolić, ponieważ nie było tu nikogo, kto by jej tego zabronił. Włożyła szlafrok i wycierając włosy do sucha, przejrzała rzeczy, które zostawiła dla niej Tess. Były mało urozmaicone. Czarne dżinsy i granatowe dżinsy. Dwa swetry wkładane przez głowę – czarny i niebieski. Dwie kremowe koszulki ze stójką.

Czarny kolor wydał jej się zbyt poważny jak na pierwszy dzień pracy, ubrała się więc na niebiesko. Z ulgą stwierdziła, że wszystko na nią pasuje, od bielizny, po buty, które wyglądały na ciężkie, ale były zaskakująco wygodne.

Poszła do wnętrza kuchennej, by zapoznać się z zawartością szafki i szuflad. Wśród wyposażenia rozpoznała mały ekspres do kawy i kuchenkę mikrofalową, ale nie wiedziała, jak ich używać. Znalazła wprawdzie w szufladzie instrukcje obsługi, ale rzut oka na zegar kazał jej odłożyć na później rozpracowywanie tych urządzeń. W głowie miała pełno obrazów, jednak ukazywały tylko wyniki działania, a nie jego zasady. Potrafiła rozpoznawać rzeczy, ale nie miała pojęcia, jak ich używać.

Cięcia, którymi karano ją za kłamstwa i opór, niemal doprowadziły ją do szaleństwa, ale dzięki nim połączyła ze sobą wiele obrazów, które musiała widzieć w prorocत्वach, tworząc z nich użyteczny kontekst. Paradoksalnie gdyby jej nie karano, nie dowiedziałaby się, jak uciec.

Nie wiedząc, na ile mają jej starczyć zapasy jedzenia, zadowolili się połową szklanki soku pomarańczowego, dwoma kęsami ostrego żółtego sera i kawałkiem gotowanego kurczaka. Nadal głodna, przeszukała szafkę i znalazła pudełko płatków i paczkę czekoladowych ciasteczek. Otworzyła opakowanie i pochłonęła dwa ciastka tak szybko, że ledwie poczuła ich smak. Kolejne zjadła już powoli, delektując się ich smakiem. Potem schowała paczkę do szafki i zamknęła drzwiczki.

*Filmy szkoleniowe. Owady oblażące otwarte opakowania z jedzeniem pozostawione w szafkach.*

Meg ponownie otworzyła szafkę i wyjęła paczkę ciastek. Znalazła kilka małych szklanych naczyń z przykrywkami, ale ciastka nie mieściły się do żadnego z nich – chyba że trochę nadje.

Wzięła kolejne ciastko i znów zaczęła szukać. W końcu natrafiła na garnek – wystarczająco duży i z przykrywką. Rzuciła okiem na zegar nad mikrofalówką i stwierdziła, że skończył jej się czas. A więc garnek będzie musiał wystarczyć.

Włożyła botki i schowała buty do jednej z zapinanych na suwak toreb, które zostawiła jej Tess. Będzie musiała sprawić sobie torebkę na osobiste drobiazgi, które zwykle noszą przy sobie kobiety.

Jakie przedmioty noszą przy sobie kobiety?

Ruszyła do drzwi, usiłując przypomnieć sobie ze szkolenia zdjęcie damskich torebek i ich zawartości. Ciche pukanie sprawiło, że pisnęła i odskoczyła gwałtownie od drzwi. Serce waliło jej jak młotem. Pukanie rozległo się znowu, głośniejsze i bardziej natarczywe, jednak w jakiś dziwny sposób uspokajające.

Przekręciła zamek, uchyliła drzwi i wyjrzała na korytarz.

Napotkała wzrok Simona Wilczej Straży.

– To ty – powiedziała, otwierając szerzej drzwi. – Nie spodziewałam się ciebie.

– Nie? – Wszedł do środka, zmuszając ją, by się cofnęła. – Ponieważ nigdy wcześniej nie wykonywałaś takiej pracy, pomyślałem, że pewnie chciałabyś, by ktoś wytłumaczył ci twoje obowiązki. I pokazał skrót do biura łącznika, żebyś nie musiała chodzić ulicą. – Skąd wiedział, że nie chce opuszczać ich terytorium? Czyżby domyślał się, kim ona jest? Czym jest? Przyglądał się jej uważnie. Okulary w drucianej oprawie nie ukrywały jednak bursztynowych oczu drapieżnika, tak jak wczoraj. Przyglądał się jej, ponieważ... czekał, aż włoży płaszcz, żeby mógł ją zaprowadzić do biura łącznika nim uda się do własnej pracy. Tak po prostu. Na niektórych filmach szkoleniowych pokazywali im ludzi, którzy mówili „uch” albo łapali się za głowę, by pokazać, że o czymś nie pomyśleli. Miała wrażenie, że Simon Wilcza Straż już uznał ją za dość bezmyślną, i nie chciała utwierdzać go w tym przekonaniu. Wyciągnęła z szafy czerwony płaszcz. – Czapka, rękawiczki i szalik – powiedział, rozglądając się po pokoju, jakby chciał sprawdzić, czy wprowadziła tu jakieś zmiany. Meg znalazła wymienione przedmioty na półkach w szafie. Owinęła szyję szalikiem, a na głowę naciągnęła czapkę. – Klucze – dodał. Leżały na stole. Meg rozejrzała się po pokoju, tak jak on, zastanawiając się, o czym jeszcze pamiętałaby zwyczajna osoba przed wyjściem z domu. – Gotowa? – spytał.

Czy to było podchwytliwe pytanie? Ją samą dręczyło tyle wątpliwości, o tylu rzeczach nie miała pojęcia. Ale Simon był jej pracodawcą, więc nie byłoby rozsądnie pytać go o coś, co nie miało nic wspólnego z pracą.

– Tak...

Wszedł na korytarz i zaczekał, aż zamknie drzwi. Schowała pęk kluczy do kieszeni płaszcza i zasunęła ją na suwak. Ludzie zawsze gubią klucze. Potwierdzały to blizny, jakie miała na palcach u nóg.

Kilka kroków od drzwi mieszkania znajdował się kolejny korytarz, który prowadził na tyły budynku i kończył się przeszklonymi drzwiami.

Simon otworzył zamek.

– Do nich jest ten trzeci klucz – wyjaśnił. – Nie jest potrzebny, żeby wyjść, tylko żeby wrócić.

– Trzeci klucz – powtórzyła. Gdy wyszła za Simonem na dwór, poczuła się tak, jakby nagle zamarzyły jej płuca. – Zimno – poskarżyła się.

– W zimie na północnym wschodzie powinno być zimno – odparł. – Uważaj na schodach. Odśnieżono je dziś rano, ale mogą być śliskie.

Wbrew własnemu ostrzeżeniu, Simon biegiem pokonał kolejne stopnie. Meg

jedną ręką chwyciła się mocno poręczy, w drugiej kurczowo ściskając torbę.

Już na dole Simon pokazał jej budynek stojący po przekątnej od domu, w którym mieszkała.

– To tylne wejście do biura łącznika. Zaraz tam pójdziemy, ale najpierw... –  
Minał pospiesznie piętrowy budynek z wielkimi drzwiami. – Garaże. W dwóch stoją pojazdy. Reszta służy jako magazyny.

– Garaże – powtórzyła pod nosem, starając się dotrzymać mu kroku.

Skręcił w lewo na pustą przestrzeń, z trzech stron otoczoną ścianami.

– Parking dla pracowników. – Zatrzymał się na chwilę i wskazał bramę w murze na tyłach. – Prowadzi na parking dla klientów. Jest zamknięta, używamy jej tylko przy sprzątanii. – Minał parking i wkroczył do tunelu w murze. Meg przeszła za nim, spoglądając na budynki otaczające plac. Z trzech stron domy miały po dwa piętra. Po tej stronie, gdzie znajdowały się dwie bramy, budynki były niższe, piętrowe. – To jest rynek – oznajmił Simon. – Na środek placu prowadzą schody, ale teraz ich nie widać, więc trzymaj się blisko budynków. – Zaczął wskazywać kolejne drzwi. – Biblioteka Dziedzińca. Możesz tam wypożyczać książki, chyba że wolisz kupować w Zabójczo Dobrych Lekturach, żeby mieć je na własność. Muzyka i Filmy to wypożyczalnia i sklep jednocześnie. Mamy tu także sklep spożywczy, mięsny, gabinet chodzących ciał dla *terra indigena* – wy nazywacie ich lekarzami – zębiarza, drogerię, sklep przemysłowy, z ubraniami...

– Błyskotki i Starocie? – Meg przeczytała na jednym z szyldów.

– Prowadzi go pięć Wron. Znajdziesz tam fałszywe diamenty, prawdziwe diamenty, lalkę bez ręki, takie tam rzeczy. Ludzie, którym wolno robić zakupy na rynku, mówią, że sklep Wron to połączenie straganu z jubilerem. Odwiedzają go głównie inne Wrony, ale słyszałem, że ludzie, którzy wiedzą, czego szukać, znajdują tam wartościowe przedmioty. Meg musiała przyznać, że Błyskotki i Starocie wyglądały interesująco. Zauważyła też inne intrygujące szyldy, w tym sklep z lodami i czekoladą. Ale nie było czasu na postój, bo Simon ruszył już z powrotem. Zatrzymał się na tyłach biura łącznika. – To są tylne wejścia do Zabójczo Dobrych Lektur i Czegoś na Ząb – powiedział, wskazując drzwi. – W ramach wynagrodzenia możesz jadać obiady u Tess, więc w przerwie wejdiesz tymi drzwiami. – Meg kręciło się już w głowie. Tyle obrazów w tak krótkim czasie. Tyle rzeczy do zapamiętania! Rozpoznała jednak schody, którymi zeszli kilka minut temu, i poczuła się spokojniejsza. Gdyby tylko wiedziała, dlaczego Simon jest na nią zły. Nie prosiła go przecież o tę wycieczkę. To on trzymał ich na mrozie, choć sam co chwila pociągał nosem. – Czwarty klucz jest do tylnego wejścia – oznajmił jeszcze mniej przyjaźnie niż przed chwilą.

– Czwarty klucz – powtórzyła cicho, czując, że się zjeżył. Jakby zajmował więcej miejsca, zużywał więcej powietrza.

– Cokolwiek zrobiłaś z włosami, nie rób tego więcej – warknął niespodziewanie, gdy wyciągnęła klucze z kieszeni.

Twarz Simona znalazła się nagle tak blisko jej twarzy, że Meg aż upuściła klucze. Sprzed drzwi odgarnięto śnieg, ale i tak musiała otrzepać je z jego pozostałości.

– A co ci się nie podoba w moich włosach? – spytała obronnie.



– Śmierdzą.

– Umyłam je szamponem, który znalazłam w mieszkaniu, nic więcej. – Jeszcze bardziej niż ten obronny ton denerwowała ją myśl, że znów będzie musiała podporządkować się komuś, kto uważa, że ma prawo kontrolować jej życie.

– I tylko tego będziesz używać. *Terra indigena* sami wytwarzają kosmetyki i sprzedają je w swoich sklepach, ponieważ nie zasmradzają powietrza. Ale nie mówiłem ani o mydle, ani o szamponie. Nie wiem co zrobiłaś, żeby twoje włosy wyglądały jak stara krew zmieszana z pomarańczową skórką, ale sprawiło to tylko, że cuchną, więc nie rób tego więcej! – *O rany...* Chciała jakoś odmienić swój wygląd i musiała coś pokręcić, kiedy nakładała na włosy tę czerwoną farbę. Najwyraźniej kolor, jaki zobaczyła dziś rano w lustrze, nie wynikał jednak z marnego oświetlenia w łazience. – Wbij to sobie do głowy, Meg Corbyn. Pozwalamy ludziom mieszkać w naszej części świata nie dlatego, że was lubimy. Pozwalamy wam tu mieszkać, ponieważ potraficie być użyteczni i wymyślacie rzeczy, które się nam podobają. Gdyby nie to, byłibyście tylko zwyczajnym mięsem. Powinnaś o tym pamiętać.

– To niesprawiedliwe, że złościsz się na mnie za włosy – burknęła, usiłując ukryć dreszcze. Telepanie się w tej sytuacji to nie był dobry pomysł.

– Nie muszę być sprawiedliwy – warknął Simon. – Jesteś na Dziedzińcu. Nie obowiązują mnie zasady ograniczające ludzkich pracodawców. Mogę cię zatrudnić, chociaż nie masz pojęcia o tej pracy, i mogę cię wyrzucić, bo śmierdzą ci włosy!

– Nic nie poradzę, że śmierdzą. Chyba że chcesz, żebym je obciąła! – odwarknęła i w tej samej chwili przeraziła się, że właśnie tego od niej zażąda.

Warczenie. Ryk. Krzyk. Nie potrafiła opisać dźwięku, jaki wydał jej nowy przełożony.

Nie mogła dłużej powstrzymać drżenia. Nadal wyglądał jak człowiek, ale dziki i niebezpieczny.

Nagle za nimi zagrzmiął jakiś tubalny głos:

– Czy to zły moment, żeby się przedstawić? – Wielki mężczyzna z potarganą grzywą brązowych włosów, które opadały mu aż na ramiona. Dzinsy i flanelowa koszula, płaszcz rozpięty, jakby zupełnie nie przeszkadzała mu minusowa temperatura. – Będziesz ją tak trzymał na mrozie, czy pokażesz jej miejsce pracy? – spytał, patrząc na Simona. – A może ja...

Simon wyszczerzył zęby, wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i otworzył drzwi.

– To jest Meg Corbyn. – Wskazał głową swoją towarzyszkę, po czym spojrzął na mężczyznę zmrużonymi oczami. – A to Henry Niedźwiedzia Straż – dodał i bez słowa wepchnął Meg do środka. Zatrzasnął drzwi, ale nawet przez nie usłyszała tubalny śmiech Henry'ego. – Te kołki na ścianie są na płaszcze – wyjaśnił Simon. – Buty zostawiamy na matach. Podłoga jest śliska, kiedy jest mokra. Nasze chodzące ciała nie mają pojęcia o leczeniu ludzi, więc jeśli się poślizgniesz i złamiesz nogę, zjemy cię jak jelenia. – Zdjął buty i włożył mokasyny, które stały na macie. – Łazienka jest za tamtymi drzwiami. Obok magazyn. Ubrania w skrzyniach są dla *terra indigena*, nie ruszaj ich. Pod blatem lodówka. Mikrofalówka i czajnik elektryczny do gotowania wody. Szklanki, talerze i sztuce w szafce. Masz po sobie zmywać. – Rzucił Meg ostre spojrzenie. – Zamierzasz tak stać?

– Nie.

Zdjęła płaszcz i botki, włożyła buty, które ze sobą przyniosła, a kiedy na nią warknął, cofnęła się i zabrała swoje klucze z kieszeni palta. Zamierzała jak najszybciej opanować swoje nowe obowiązki, żeby nie mieć dłużej do czynienia z Simonem.

Otworzył kolejne drzwi, za którymi znajdowało się duże pomieszczenie.

– Sortownia – powiedział, podszedł do panelu na ścianie i przekreślił włącznik.

– Stąd otwiera się drzwi dostawcze. Mają pozostać zamknięte, chyba że akurat przyjmujesz zaplanowaną dostawę albo wydajesz pocztę.

– Skąd mam wiedzieć, czy to zaplano...

– Przegródki na tej ścianie są przeznaczone na pocztę dla sklepów na rynku – przerwał jej. – Te większe są na paczki i wszystko, co musi leżeć poziomo. Paczki można trzymać też pod stołem do sortowania albo w tych szafkach. – Rzucił jej wrogie spojrzenie, otworzył kolejne drzwi i wskazał przykręconą do nich tabliczkę. – Widzisz? Tu jest napisane NIE WCHODZIĆ. Poza tobą do sortowni nie wchodzi nikt, kto nie jest *terra indigena*. Czy to jasne?

– Jasne, ale... dlaczego? – spytała Meg.

– Ponieważ ja tak mówię. Ponieważ to, co się dzieje na Dziedzińcu, to wyłącznie nasza sprawa. – Simon spojrział na ścienny zegar i warknął. – Mam teraz inne sprawy na głowie, więc reszty będziesz musiała domyślić się sama.

– Ale...

– Poranne dostawy przyjmujemy od dziewiątej do południa – znów wszedł jej w słowo. – Popołudniowe zwykle od drugiej do czwartej. Ciężarówki *terra indigena* przyjeżdżają w innych porach, ale to już nie twoja działka. W szufladzie jest lista numerów telefonów. Jeśli będziesz miała pytania, możesz zadzwonić do Zabójczo Dobrych Lektur albo do Czegoś na Zęb. Wszystkie worki z pocztą i paczki należy posortować. Robiliśmy, co w naszej mocy, kiedy szukaliśmy łącznika, ale mamy własną pracę i brakuje nam czasu na twoją.

– Ale...

– Otwierasz o dziewiątej – rzucił jeszcze Simon, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie.

Meg odprowadziła go wzrokiem aż do drzwi prowadzących na zaplecze.

Podskoczyła, kiedy zamknęły się z trzaskiem.

Wstrzymywała oddech, póki nie zdobyła pewności, że jest sama. Dopiero wtedy wypuściła powietrze.

– Zły Wilk – mruknęła.

Miała tylko nadzieję, że uda jej się jakoś sensownie rozpocząć pierwszy dzień pracy.



Simon miał ochotę kogoś ugryźć, ale w pobliżu był tylko oparty o ścianę obok tylnych drzwi do ZDL Henry, a żaden samotny Wilk nie zaczepia Grizzly, szczególnie jeśli Niedźwiedź jest przewodnikiem duchowym Dziedzińca. Oraz jedną

z niewielu istot, z którymi Simon mógł porozmawiać, nie ważąc swoich myśli i słów.

– Zawiązałeś sobie rano ogon na supeł? – zapytał Henry swobodnym tonem. – Może lepiej nie spłosz nowej łączniczki, zanim nie przesortuje naszej poczty.

Simon wsadził klucz do zamka i obrócił, ale nie otworzył drzwi.

– Ona nie ma zapachu zdobyczy – powiedział. – Odpoczęła, nakarmiliśmy ją i nie jest jej zimno. Więc dlaczego nie czuć jej zdobyczą?

– Nie wszyscy ludzie mają ten zapach – odpowiedział spokojnie Henry.

Simon pokręcił głową.

– Zdarza się, że postanawiamy kogoś nie konsumować, ponieważ jest użyteczny. Ale taki ktoś też ma woń zwierzyny. A ona nie.

– Nie wszyscy ludzie mają ten zapach – powtórzył Henry. – Wprawdzie wyjątków jest niewiele, ale jednak kilka się znajdzie. – Urwał. – Może maskują ją te cuchnące włosy?

Simon zmierzył go wzrokiem.

– Wyczuleś je z daleka?

– Nie, wiatr wiał w drugą stronę, ale słyszałem, jak się wydzierasz. Myślę, że słyszeli to wszyscy w okolicy.

Simon oparł czoło o drzwi.

– Brak tego zapachu miesza mi w głowie.

– Widzę. Ale ona nie jest *terra indigena*. Tego jestem pewien.

– Ja też. Pachnie człowiekiem. Ale nie ma woni zwierzyny.

– Jeśli sprawia tyle kłopotów, zanim jeszcze ktoś ją zobaczył, może powinieneś usunąć ją z Dziedzińca?

Simon cofnął się od drzwi i westchnął.

– Nim o tym zdecyduję, niech obejrzy ją Stowarzyszenie Przedsiębiorców. Potrzebujemy łącznika. Równie dobrze może zostać na trochę.

Henry kiwnął głową.

– Wyjaśniłeś jej, co ma robić? – Simon tylko warknął, sfrustrowany. – Więc trzymaj się od niej z daleka dziś rano. Wyjaśni jej to ktoś inny.

– Kto?

– Wiesz kto.

Owszem, wiedział. Wiedział również, że jeśli zacznie się wyklócać, Henry walnie jego głową w ścianę, żeby nauczyć go rozsądku. W imię przyjaźni oczywiście.

– Dobrze. Niech Kojot zajmie się nią przez kilka godzin.

Dopiero kiedy Simon wszedł do księgarni i odwiesił płaszcz, zorientował się, że nadal ma na nogach mokasyny, w dodatku zupełnie przemoknięte. Był taki zły, skołowany i tak strasznie chciał uwolnić się od Meg – nim się przemieni i ugryzie ją, tylko po to, żeby dowieść samemu sobie, że jednak jest zwierzyną – że zapomniał zmienić buty.

Wściekły na wszystkich ludzi – a szczególnie na kobietę ze śmierdzącymi włosami – poszedł do swojego biura na piętrze, gdzie czekały na niego papierkowa robota i wczorajsza dostawa. Księgarnia otworzy się za godzinę. Jeśli wszyscy będą mieli szczęście, opanuje się do tego czasu i może nie zje żadnego z klientów.



Dziwaczne ogłoszenie o wolnej posadzie zniknęło.

Azja patrzyła z daleka na przeszklone drzwi. Nie śmiała podejść bliżej. Odgarnięty śnieg wskazywał, że Inni są już na nogach.

Chciała dostać tę cholerną pracę. Naprawdę chciała ją dostać. Przebywała w Lakeside już kilka miesięcy, a nadal nie udało jej się dowiedzieć o Dziedzińcu czegokolwiek, co nie byłoby już powszechnie znane. Jej sponsorzy zaczęli się niecierpliwić, coraz częściej napomykali, że może powinni poszukać do tego zadania profesjonalisty.

To dzięki swojej urodzie zdołała wyrwać się z Podunk, gdzie nie czekała jej żadna przyszłość. Dzięki urodzie trafiła do Sparkletown i wzięła nawet udział w kilku zdjęciach próbnych. Ale więcej wdzięczyła się na kanapach, niż występowała przed kamerą – póki nie dowiedziała się o żonie Grubej Ryby ze Sparkletown czegoś, co pozwoliło mu się rozwieść bez strat finansowych. W ramach wdzięczności, pod pretekstem szkolenia jej do roli w nowym programie telewizyjnym, Gruba Ryba pomógł Azji udoskonalić jej wrodzony dar do zbierania informacji, a potem posłał ją na przeszpiegi do konkurencji.

Nadal nie była pewna, czy to pierwsze zadanie miało być testem, ale za zdobyte informacje otrzymała grubą kopertę z gotówką. A potem kolejne zadanie.

Zupełnie jakby płacili jej za odgrywanie roli tajniaka albo szpiega przemysłowego. Tak, to byłaby idealna praca dla niej: Azja Crane, superszpieg. Czasami posyłali ją do dużych miast, gdzie nosiła modne stroje i ekstrawagancką biżuterię. Kiedy indziej trafiała na kilka tygodni do miejsc bliźniaczo podobnych do Podunk, gdzie odgrywała rolę nieśmiałej młodej wdowy pragnącej rozpocząć życie od nowa. Ubrana w pastelowe bliźniaki i lakierki, zdobywała informacje na temat wskazanego celu – albo pomagała zniszczyć jego karierę czy polityczne ambicje.

To była ekscytująca, zabawna i dobrze płatna praca. Potentat załatwił jej kilku bogatych sponsorów, a zadania stawały się coraz trudniejsze. Zapewne inne aktorki nie zaczynają w ten sposób kariery, ale Azja obiecywała sobie, że za rok czy dwa wróci do Sparkletown z taką furą kasy i z takim doświadczeniem, że dadzą jej każdą rolę, jakiej zapragnie.

Przeniknięcie na Dziedziniec było jak dotąd jej największym i najbardziej ryzykownym zadaniem. Przyjechała do Lakeside, ponieważ był to jedyny Dziedziniec w całej Thaisii, gdzie zatrudniano ludzi nie tylko jako łączników. Nawet Toland na Wschodnim Wybrzeżu i Sparkletown na Zachodnim Wybrzeżu – odpowiednio centrum finansowe i centrum rozrywki kontynentu – nie mogły poszczycić się tak tolerancyjnymi wobec ludzi Dziedzińcami. Zadaniem Azji było przeniknąć do wewnątrz, obserwować i raportować o wszystkim, co mogło pomóc w stosunkach z Innymi albo jeszcze lepiej – uniemożliwić ich kontrolę nad ludzkimi miastami w Thaisii.

Gruba Ryba mógł ją wspomóc jedynie garścią informacji. Na podstawie tego,

czego dowiedział się od przyjaciół, którzy mieli przyjaciół w radzie Lakeside, wytypowali dwa potencjalne cele, które mogłyby jej pomóc dostać się na Dziedziniec: Elliota Wilczą Straż i Simona Wilczą Straż. Przy Elliocie obracałyby się wśród urzędników miejskich i śmietanki towarzyskiej i mogłyby zbierać informacje finansowe. Jednak w ostatniej chwili Gruba Ryba odkrył, że przed przeniesieniem do Lakeside Elliot oznajmił pewnej dziewczynie z towarzystwa, która próbowała z nim flirtować, że pieprzenie małpy jest równie ekscytujące jak posuwanie stodoły, a jego nie interesuje ani jedno, ani drugie. Nikt nie pamiętał już, co odpowiedziała dziewczyna, ale kilka dni później w jej sypialni znaleziono jej ciało – częściowo zjedzone. Azja skreśliła więc Elliota Wilczą Straż ze swojej listy.

Pozostał Simon, który wyglądał na faceta po trzydziestce – był zatem dość młody, żeby lubić regularne pieprzenie, ale jednocześnie na tyle stary, by nie tracić kontroli przy ludzkim partnerze. Azja ukształtowała swój wygląd i zachowanie na wzór dziewczyn z Uniwersytetu w Lakeside, które kręciły się w księgarni. Zapisala się nawet na zajęcia, żeby jakoś zabić czas. I co dostała w zamian za swoje wysiłki? Nic. Ani pracy, ani seksu, ani łóżkowych rozmów od serca, ani choćby kilku minut obściskiwane na zapleczu. Nie dostała nawet członkostwa w pieprzonym klubie fitness!

A czas leciał. Wkrótce musiała wykazać się jakimiś postępami. W innym razie sponsorzy mogą przerwać misję i kimś ją zastąpić. Jeśli tak się stanie, Gruba Ryba wypnie się na nią i Azja wyląduje z powrotem w Podunk, zamiast zostać gwiazdą własnego programu telewizyjnego.

Krakanie ostrzegło ją o przybyciu Wron. Kilka wylądowało na sięgającym jej do ramienia murku, który okalał lewą stronę terenu dostaw. Jedna poleciała na drewnianą rzeźbę stojącą przed oknem biura łącznika. Najwyraźniej śledziła, co się dzieje w środku. Pozostałe cztery Wrony obserwowały Azję.

Odwróciła się od niechcienia, jakby zatrzymała się tu tylko na chwilę. A potem odeszła.

Z Simonem Wilczą Strażą daleko nie zajdzie. Może lepiej jej się powiedzie z nowym łącznikiem?



Meg otworzyła drzwi z napisem NIE WCHODZIĆ, po czym zamknęła oczy i wyobraziła sobie biuro łącznika, tak jakby zostało narysowane na papierze. Prostokątny budynek podzielony na trzy duże pomieszczenia. To na tyłach miało łazienkę, służyło również jako pokój socjalny i magazyn. Dwoje drzwi, jedno prowadzące na zewnątrz, drugie do sortowni. Sortownia miała wielkie drzwi dostawcze, wewnętrzne drzwi dostawcze, które dawały dostęp do pomieszczenia od frontu oraz drzwi z napisem NIE WCHODZIĆ, które znajdowały się za kontuarem. We frontowym pomieszczeniu z przeszklonymi drzwiami i dwoma dużymi oknami musiały odbywać się dostawy – ponieważ znajdował się tam kontuar.

Meg ponownie rozejrzała się po sortowni, dumając, kto zaprojektował biuro

łącznika. Jak na pomieszczenie, które miało być PRYWATNE, sortownia miała zadziwiająco dużo drzwi, nie wspominając już o oknach, które ułatwiały niekontrolowany dostęp. Ale to nie jej problem. Póki będzie pamiętała o zamykaniu drzwi dostawczych, kiedy nie będą używane, uniknie zjedzenia. *Może. Miejmy nadzieję.* A teraz należało przygotować się do pracy.

Włączenie światel we frontowym pomieszczeniu było łatwe – przełączniki znajdowały się tuż obok drzwi z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Trudniej było dostać się do frontowych drzwi, ponieważ nie miała pojęcia, jak się otwiera przejście z boku kontuaru, który otaczał je z trzech stron. Przyniosła więc z sortowni stółek i po nim przeszła nad kontuarem. Przekręciła prosty zamek, po czym uświadomiła sobie, że jest tylko dodatkiem do ciężkiej zasuw. Jej otwarcie wymagało klucza, który zapewne znajdował się w pęku kluczy w sortowni.

*Kra, kra.*

Trzy czarne ptaki siedziały na zewnątrz na płaskim kawałku drewna, poprawiając się, tak by łatwiej im było zajrzeć przez okno. Meg już chciała je zignorować, ale uświadomiła sobie, że mogą to być Wrony *terra indigena*, które przyleciały obejrzyć nowego łącznika.

Uśmiechnęła się z przymusem, pomachała im i bezgłośnie powiedziała „dzień dobry”. Potem wróciła do kontuaru i spróbowała przeskoczyć na drugą stronę.

Chodzące imiona nie udzielały dziewczętom żadnych informacji o nich samych, ale kilka rzeczy zdołała podsłuchać. Miała dwadzieścia cztery lata, metr sześćdziesiąt wzrostu, czarne włosy, szare oczy i jasną karnację. Na jej różowych policzkach zapewne będzie dobrze widać blizny, ale póki co jej twarz była od nich wolna. Dziewczęta w kompleksie utrzymywano w dobrym zdrowiu, codziennie wyprowadzano je na spacer, ale nie wolno im było robić rzeczy, które mogłyby je wzmocnić fizycznie.

Czasami determinacja może zastąpić siłę i wytrzymałość. A czasami nie.

Kiedy po raz czwarty wylądowała po niewłaściwej stronie kontuaru, usłyszała czyjś spokojny głos:

– To bardzo zabawne, ale dlaczego po prostu nie otworzysz drzwiczek? – Meg cofnęła się gwałtownie. W progu drzwi z napisem WSTĘP WZBRONIONY stał szczupły mężczyzna. Miał jasnobrażowe oczy i nieco ciemniejsze włosy o pasmach w różnych odcieniach, nawet szarym. – Przepraszam. Nie chciałem cię zaskoczyć – powiedział. – Nazywam się Jester. Henry uznał, że przyda ci się pomoc w pierwszym dniu pracy, a ponieważ Simon gryzie dziś rano własny ogon, padło na mnie. – Wyciągnął przed siebie obie ręce. – Żadnych sztuczek, obiecuję. – Potem posłał jej uśmiech, równocześnie przyjacielski i chytry. – Przynajmniej nie dziś.

– Muszę otworzyć drzwi, zanim zaczną przychodzić dostawy – powiedziała Meg, zła, że w jej głosie słychać było niepokój. – Klucze, które dostałam, są w sortowni, ale nawet nie wiem, czy jest tam klucz do tych drzwi.

– Nie ma. – Jester zniknął na kilka sekund w sortowni. – Masz tu tylko klucz do tylnego wejścia – ciągnął, wracając do pomieszczenia od frontu i przeskakując przez kontuar. – Pokażę ci, gdzie są klucze od biura. – Otworzył zasuwę, przyglądał się przez chwilę Wronom, a potem wrócił do kontuaru z szerokim uśmiechem. – Wykonujesz tę pracę od niecałej godziny, a już jesteś najzabawniejszym łącznikiem,

jakiego tu mieliśmy.

– Dzięki – rzuciła cierpko Meg, wyobrażając sobie, co by pomyślał Simon Wilcza Straż, gdyby się o tym dowiedział. – Nie mów nikomu o kontuarze, dobrze?

– Ja? Nie. One? – Jester wskazał głową okno. Wrony przepychały się na drewnianej rzeźbie, żeby lepiej widzieć, a dwie stały pod drzwiami i zaglądały do środka. – Cały Dziedziniec dowie się o tym najpóźniej za godzinę. – Meg westchnęła ciężko. – Chodź, pokażę ci, jak to otworzyć. – Wskazał zasuwkę łączącą drzwiczki z kontuarem.

– Próbowałam – oświadczyła.

– Ta zasuwka jest używana w dzień, kiedy często trzeba wychodzić z za lady. – Sięgnął pod blat. Chwilę później Meg usłyszała kliknięcie kolejnej zasuwki, a potem jeszcze jednej. – Tu są dwie większe, na które zamyka się kontuar w nocy. Masz o nich pamiętać, jak będziesz wychodziła na obiad czy do domu. – Jester otworzył drzwiczki i cofnął się, żeby mogła przejść. Potem zamknął je, zabezpieczył małą zasuwką i pokazał, gdzie znajdują się te większe, ukryte. Na półkach pod ladą leżały rozmaite przedmioty: podkładka z papierem do notowania, ceramiczny kubek z kolorowymi długopisami, spinacze i gumki recepturki. Na drugim końcu kontuaru stał telefon, a na półce pod nim leżała książka telefoniczna oraz katalogi. Masa katalogów różnych sklepów, a także jadłospisy z okolicznych restauracji. – Na rynku mamy prawie wszystko, ale w niewielkim wyborze – powiedział. – Kilka przecznic dalej jest plac, który służy ludziom mieszkającym w tej części Lakeside. Są tam najróżniejsze sklepy i masa towarów. Autobus Dziedzińca jeździ tam dwa razy w tygodniu, zabiera na zakupy każdego, kto ma ochotę.

– Czy to nie jest niebezpieczne? – spytała Meg, pamiętając ze szkolenia wizerunki walki, krwi i rozdartych ciał.

Jester rzucił jej dziwne spojrzenie.

– Mała grupa *terra indigena* nigdy nie jest bezpieczna wśród ludzi – powiedział. Machnął ręką w stronę Wron, a potem dotknął palcami piersi. – Zapamiętaj to sobie, Meg Corbyn. Nas widzisz, ale nie tylko my tu jesteśmy. Dlatego mamy tyle katalogów – dodał już łżejszym tonem. – Nasze sklepy zamawiają towary prosto od producentów, tak jak ludzkie sklepy. Niektóre dostawy zostają tutaj, inne wysyłane są do naszych pobratymców, którzy lubią produkty ludzi, ale nie chcą się z nimi kontaktować. Zamawiamy też masę rzeczy z ludzkich sklepów. Dostarcza się je tutaj i właśnie na tym polega twoja praca. – Meg skinęła głową. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. W jego słowach kryło się tyle ostrzeżeń. Tyle rzeczy musiała jeszcze przemyśleć. – Gotowa?

– Tak.

Przeszli do sortowni. Jester wziął pierwszy worek ze stosu leżącego na podłodze, otworzył go i wysypał zawartość na stół do sortowania.

– Pocztę przywożą nam rano – powiedział. – Oddawaj im puste worki. Na początek sortuj po adresie albo straży. Później nauczysz się układać dokładniej. Potem... – *Kra, kra.* Jester uśmiechnął się. – Twoja pierwsza dostawa.

Meg wyszła do frontowego pomieszczenia, przymykając częściowo drzwi sortowni. Położyła na kontuarze podkładkę, sprawdziła, czy długopis działa, i starannie wpisała datę na górze strony – miała nadzieję, że kalendarz pod ladą

pokazuje właściwy dzień.

Wrony wzbiły się w powietrze. Większość odleciała, ale kilka znów usiadło na kamiennym murku i drewnianej rzeźbie wystającej ze śniegu.

Z zielonej furgonetki wysiadł jakiś mężczyzna i otworzył tylne drzwi. Meg zapisała godzinę, kolor furgonetki i nazwę firmy: Dostarczamy Wszędzie.

To był starszy człowiek, na którego twarzy wiek odcisnął już piętno, ale ruchy miał konkretne i energiczne. Zatrzasnął łokciem drzwi furgonetki, patrząc kątem oka na Wrony, po czym wszedł do biura, niosąc cztery paczki. W progu jakby się zawahał.

– Dzień dobry – powiedziała Meg przyjacielsko.

Kurier odprężył się i podszedł do kontuaru.

– Dzień dobry. Mam dla pani paczki.

Z całych sił starała się wytrwać w roli, choć właśnie uświadomiła sobie, że każdy przybysz może być wrogiem.

– To mój pierwszy dzień w tej pracy – wyjaśniła. – Czy mogę zapisać pewne informacje?

Mężczyzna pokazał zęby w szerokim uśmiechu. Nie było wątpliwości, że nie były to zęby, z którymi się urodził.

– Doskonały pomysł, panno...

– Meg.

– Panno Meg. Jestem Harry. H, A, dwa R, Y. Z firmy Dostarczamy Wszędzie.

Nazwa nie jest może wymyślna, ale prawdziwa. Zwykle bywam tu dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i czwartki koło dziewiątej, ale dziś jazda jest utrudniona, bo pługi wciąż pracują na ulicach. Cztery paczki. Musi pani pokwitować. – Meg zapisała jego imię, dni, w które zwykle przywozi dostawy, i liczbę paczek. Harry spojrzał na jej podkładkę i westchnął z zadowoleniem. – Miło widzieć, że ktoś tu pracuje jak należy. Ostatni łącznik, jakiego mieli... – Pokręcił głową. – Nie dziwię się, że go wykopali. Dziwię się raczej, że trzymali go tak długo. Nic go nie obchodziło, a to niewłaściwe. N-i-e-w-ł-a-ś-c-i-w-e. Niech pani pamięta, że jak się tak ciągle otwiera i zamyka drzwi, robi się tu zimno. Przydałyby się pani takie rękawiczki bez palców. Moja żona nosi je w domu i zarzeka się, że dzięki nim jest jej ciepło. Pani też powinna sobie takie sprawić.

– Postaram się.

– Niech pani na siebie uważa, panno Meg.

– Postaram się. Do zobaczenia, Harry.

Mężczyzna pomachał jeszcze do Wron i wrócił do furgonetki.

Meg postawiła na ladzie kubek z długopisami, a podkładkę schowała na półkę pod spodem. Potem wróciła do sortowni.

Jester uśmiechnął się do niej szeroko.

– On nie jest dziwny, jeśli ta myśl cię niepokoi. Po prostu cieszy się, że będzie miał do czynienia z kimś niegroźnym. A jego troska o twoje zdrowie to przejaw dbałości o własne interesy. Tak jak i nasza. – Przyjrzał się jej uważnie. – Poza tym ma rację.

– Tak? – Meg nie spodobał się sposób, w jaki na nią patrzył, szczególnie że złapał ją przy tym za ramię i ścisnął mocno. Na szczęście puścił, zanim zdążyła



zaprotestować.

– Nie jesteś gruba, ale brak ci mięśni. Musisz nad nimi popracować. W Siup i Łup mają bieżnie i...

– Nie lubię bieżni. – Usłyszała panikę we własnym głosie. *Nie myśl o kompleksie. Nie myśl o Kontrolerze ani o bieżniach, ani o niczym stamtąd.*

– Tu jest dużo miejsc, gdzie można spacerować – powiedział łagodnie Jester, ale w jego oczach pojawił się jakiś ostry wyraz. – Nie zdołałaś przeskoczyć przez kontuar, dlatego sądzę, że przydadzą ci się ćwiczenia na wzmocnienie mięśni. Na piętrze w Siup i Łup mają zajęcia z tańca, skakania i takich tam...

– Pomyślę – ucięła krótko.

Zapadła niezręczna cisza, którą w końcu przerwało polecenie Jestera:

– Sortuj po straży, a potem po osobach. Za dwie godziny wrócę tu z kucykami.

– Z kucykami?

– Są kurierami na Dziedzińcu, kiedy mają na to ochotę – wyjaśnił i wyszedł.

Gdy Meg została sama, zaczęła się zastanawiać, czy nie powiedziała mu o sobie zbyt dużo.



Jester zamknął tylne wejście i rozejrzał się. Wrony zmieniały stanowiska, obserwowały i nasłuchiwały – również tego, co musiały im mówić zwykle wrony. Jastrzębie unosiły się wysoko. One również obserwowały.

W biurze łącznika z ludźmi wyczuł tajemnicę. I strach.

Miał ochotę dowiedzieć się więcej o jednym i drugim.

Nie mógł porozmawiać z Simonem. Nie dziś. Henry zdążył już go ostrzec. Ale Tess? Tak, Tess mogła wiedzieć, w jaki sposób znaleźli nowego łącznika. No i miała dla niego zapas trawiastej herbaty. O tej porze Coś na Ząb jeszcze nie było otwarte dla ludzi, więc może będzie miała czas na plotki – jeśli Jester odpowiednio sformułuje swoje uwagi i pytania.

Na szczęście Henry go uprzedził, że ona nie pachnie jak zdobycz. Gdyby Niedźwiedź nie powiedział mu, że jest w niej coś dziwnego, zachowałby większy dystans.

Ciekawiło go, jak i dlaczego Simon zatrudnił tę Meg Corbyn. Ale przede wszystkim musiał wiedzieć, dlaczego czuł, że ona może stanowić dla nich wszystkich zagrożenie.

### Rozdział 3

Monty zapłacił taksówkarzowi i wysiadł na rogu ulic Orzechowej i Białego Ogona. Jazda taksówką to był luksus, na który nie mógłby sobie pozwolić każdego ranka, ale nie chciał się spóźnić zaraz pierwszego dnia. Musiał sprawdzić rozkłady jazdy i trasy autobusów, a może nawet przemyśleć zakup samochodu.

Popatrzył na zegarek i zawahał się. Komisariat policji na ulicy Orzechowej znajdował się w zasięgu wzroku, a do spotkania z kapitanem Burke'em miał jeszcze pół godziny. Naprzeciwko komisariatu znajdowała się jadłodajnia, taka, która serwuje pożywne posiłki z mięsa i ziemniaków i na tyle mocną kawę, by utrzymała człowieka na nogach, kiedy jest zbyt zmęczony, by ustać o własnych siłach. W połowie przecznicy zauważył Uniwersalną Świątynię.

Jeszcze raz spojrzął na zegarek, przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył do celu. Bez względu na to, jaka była prawda, robiło mu się lżej na sercu, gdy myślał, że istnieje coś poza światem fizycznym, coś, co – w przeciwieństwie do świata fizycznego – żywiło dobre uczucia wobec ludzi.

Otworzył drzwi, otrząsnął śnieg z butów i wszedł do świątyni.

Przez zaśniewane okna wpadało łagodne, naturalne światło. Ze świec unosił się w powietrze delikatny waniliowy aromat. Od czasu do czasu z ukrytego systemu nagłaśniającego odzywały się dźwięki dzwonek medytacyjnych. Wyściełane pluszem ławki można było dowolnie przestawiać. Dziś stały przy wnękach, w których umieszczono podobizny opiekuńczych duchów.

Mikhos, opiekun policji, strażaków i sanitariuszy, stał najbliżej drzwi. Miało to swój sens, zważywszy, jak blisko komisariatu znajdowała się świątynia.

Monty wziął zapalnik z uchwyty, zapalił świecę, po czym usiadł w ławce. . Starł się kontrolować swój oddech, by oczyścić umysł z niespokojnych myśli i usłyszeć cichy głos mądrości.

Jednak to nie mądrość wypełniła jego umysł, ale wspomnienia.

*Zastrzeliłem człowieka, żeby chronić Wilka.*

*Zastrzeliłem pedofila, który przetrzymywał w domu dziewczynkę. Miał nóż i groził, że ją zabije.*

*Porzuciłem ранego człowieka na łaskę terra indigena.*

*Nie wyczułem pulsu. Nie wiedziałem, że jeszcze żyje, kiedy poszedłem sprawdzić resztę domu.*

Nie miał pojęcia, że dziewczynka należy do *terra indigena*. Że była Wilkiem. Nie miał pojęcia, że drań, którego zastrzelił, technicznie rzecz biorąc, nadal żył. Wezwał wsparcie i sanitariuszy, a potem zostawił dziewczynkę samą i szybko sprawdził resztę domu. Nie miał pojęcia, że młody wygłodzony Wilk może w tak krótkim czasie do tego stopnia zmasakrować człowieka.

Nie powinien był tam wchodzić sam. Nie powinien był opuszczać

dziewczynki. Tylu rzeczy nie powinien był zrobić. I drogo za to zapłacił. Ale zastrzelenia pedofila nie żałował, szczególnie kiedy odnalazł ciała sześciu innych dziewczynek.

Gdyby ta, którą ocalił, była człowiekiem, nadal mieszkałby w Toland z Elayne Borden i ich córką Lizzy. Co wieczór czytałby małej bajki na dobranoc, zamiast mieszkać w ciasnej kawalerce setki mil od niej.

Ale zastrzelił człowieka, żeby ochronić Wilka, i nikt mu tego nie zapomniał. Komisarz policji w Toland dał mu wybór: przeniesienie do Lakeside albo rezygnacja z pracy w policji. Na zawsze.

Elayne była wściekła i zbulwersowana, że sprowadził na nią taki skandal, że wykluczył ją z towarzystwa, że uczynił z Lizzy ofiarę prześladowań w szkole, i to ze strony dzieci, które zaledwie tydzień wcześniej były jej przyjaciółmi.

Ich związek nie był sformalizowany. Elayne tego nie chciała – przynajmniej póki Monty nie udowodni, że potrafi zapracować na status, jakiego pragnęła. Ale nie zawahała się przed wezwaniem prawnika, który zmienił obietnicę płacenia alimentów na Lizzy w formalny dokument prawny. Odmówiła też wspólnego wyjazdu i rozpoczęcia wszystkiego od początku. Zamieszkać w Lakeside? Czy on oszalał?

Lizzy. Jego mała Lizzy. Czy Elayne pozwoli jej go odwiedzać? Jeśli w weekendy będzie jeździł pociągiem do Toland, czy pozwoli mu widywać się z córką?

*Nie widziałem Wilka, Lizzy. Widziałem dziewczynkę, niewiele starszą od ciebie, i przez chwilę wyobrażałem sobie ciebie w rękach takiego człowieka. Nie wiem, czy to policjant, czy ojciec pociągnął za spust. Nie wiem, czy kiedyś to zrozumiesz. I nie wiem, co tu bez ciebie zrobię.*

Po raz ostatni odetchnął wonnym powietrzem, wyszedł ze świątyni i udał się na komisariat, by przekonać się, jaka przyszłość go czeka.



Kapitan Douglas Burke był wielkim facetem o schludnie ostrzyżonych ciemnych włosach otaczających okrągłą łysinę. Jego niebieskie oczy były równocześnie dzikie i przyjazne; potrafiły uspokoić albo przerazić osobę siedzącą po drugiej stronie biurka.

Burke zmierzył Monty'ego wzrokiem, za nim wskazał mu krzesło i otworzył jego akta osobowe. Monty wiedział, co zobaczył kapitan: ciemnoskórego mężczyznę średniego wzrostu, który z trudem zachowywał szczupłą sylwetkę, unikając chleba i ziemniaków, i którego kręcone czarne włosy poprzetykane były srebrnymi nitkami siwizny, choć nie miał jeszcze czterdziestki.

– Porucznik Crispin James Montgomery... – Burke obdarzył Monty'ego dziwnym uśmiechem, zamknął teczkę i położył na niej splecione dłonie. – Toland to duże miasto. Tylko Sparkletown i dwa inne na całym kontynencie są równie duże i zaludnione. A to oznacza, że ludzie, którzy tam mieszkają, mogą przeżyć całe życie, ani razu świadomie nie stykając się z Innymi, i łatwiej im przychodzi udawanie, że

*terra indigena* nie obserwują uważnie każdego kroku ludzi. Ale Lakeside zbudowano na brzegu jeziora Etu, jednego z Wielkich Jezior, które są największym rezerwuarem słodkiej wody w Thaisii i należą do *terra indigena*. W promieniu trzydziestu mil od miasta leży kilka farm i wiosek. Na Wielkiej Wyspie uprawia ziemię komuna Prostego Życia, niedaleko stąd znajduje się też miasteczko Talulah Falls – ale poza nimi najbliższe ludzkie osiedla dzielą od nas dwie godziny jazdy pociągiem. Wszystkie drogi prowadzą przez lasy. Lakeside to małe miasteczko a jego mieszkańców nie stać na to, by zapomnieć, co w nich mieszka.

– Tak jest – odparł Monty. Między innymi dlatego Elayne nie chciała przenieść się do Lakeside: tutaj nie można było wierzyć, że pozycja towarzyska ma jakiegokolwiek znaczenie, nie można było zapomnieć, że jest się tylko myślącym mięsem.

– Komisariat na ulicy Orzechowej ma pod swoją jurysdykcją dzielnicę, w której znajduje się tutejszy Dzielziniec. Zostałeś przydzielony na stanowisko łącznika między policją a Innymi – oznajmił Burke.

– Panie kapitanie... – Monty chciał zaprotestować, ale kapitan mu przerwał:

– Otrzymasz trzyosobowy zespół. Posterunkowy Kowalski będzie twoim kierowcą i partnerem, MacDonald i Debany obsadzą drugą zmianę, ale będą cię o wszystkim informować w dzień i w nocy. Elliot Wilcza Straż jest konsulem, rozmawia z burmistrzem i ściska ręce urzędników miejskich, ale lepiej nawiązać stosunki z Simonem Wilczą Strażą. Po pierwsze, prowadzi sklep *terra indigena*, w którym pracują ludzie i toleruje ludzkich klientów, a po drugie, ma o wiele większe wpływy na Dzielzińcu, niż sądzą nasi urzędnicy.

– Tak jest. – Zajmować się bezpośrednio Innymi? Może jeszcze nie jest za późno, żeby wrócić do Toland i znaleźć sobie jakąś inną pracę? Nawet jeśli Elayne nie przyjmie go z powrotem, będzie bliżej Lizzy.

Burke wstał i obszedł biurko. Gestem nakazał Monty'emu, by pozostał na miejscu. Przeciągle zmierzył go wzrokiem.

– Słyszałeś o Zatopionym Mieście? – zapytał.

Monty kiwnął głową.

– To legenda.

– Nie. Wcale nie. – Burke wziął z biurka nóż do papieru, przez chwilę obracał go w palcach, a potem odłożył na miejsce. – Mój dziadek był w jednej z drużyn ratowników, które szukały ocalałych. Nie powiedział na ten temat ani słowa, póki nie skończyłem akademii policyjnej. Dopiero wtedy wyjaśnił mi, co zaszło. Z tego, co zdołano ustalić, trzech młodych wyszczekanych chłopaków uznało, że jeśli pozbędą się Innych, ludzie zdominują kontynent. Więc włali całe beczki trucizny do strumienia, który dostarczał wodę na Dzielziniec. Inni złapali ich na ziemi, która znajdowała się pod kontrolą ludzi, więc wezwano policję, która dokonała aresztowania. Karę miał im wymierzyć ludzki sąd zgodnie z ludzkim prawem. – Twarz Burke'a spochmurniała. – Okazało się, że jeden z tych chłopaków to siostrzeniec jakiegoś ważniaka. Uznano zatem, że tylko stali obok beczek z trucizną, ponieważ nikt nie widział, żeby wlewali ją do strumienia. Zostali zwolnieni, a rada miejska była na tyle głupia, by publicznie twierdzić, że taki wyrok jest zwycięstwem ludzi. *Terra indigena* słuchali i obserwowali. Późnym wieczorem zaczęło padać. Lało

jak z cebra, przepusty się przepełniły, a strumienie i rzeczki wystąpiły z brzegów, nim ktoś zorientował się w powadze sytuacji. Błyskawice trafiały idealnie w transformatory i pozbawiły całe miasto światła. Telefony przestały działać. Środek nocy. Nic nie widać, nie ma jak wezwać pomocy. I cały czas pada. Drogi zaczęły się zapadać, wyrwy były tak duże, że mogła się w nich zmieścić ciężarówka. Wkrótce miasto zostało zupełnie odcięte od świata. Mosty, które stały od setek lat, zarwały się. Trzęsienia ziemi burzyły domy, podmyte budynki rozpadały się jak domki z kart. I cały czas lało. Ludzie tonęli we własnych autach, próbując uciekać – albo w domach, z których nie mogli się wydostać. Deszcz przestał padać o świcie. Kierowcy ciężarówek, którzy przyjechali do miasta z porannymi dostawami, pierwsi zorientowali się, że coś się stało, i wezwali pomoc. Znaleźli samochody pełne ludzi, pływające po polach po obu stronach drogi. – Burke odchrząknął. – Jakoś tak się złożyło, że samochody, w których były tylko kobiety i dzieci, ocalały. Ale większość mężczyzn w wieku tych, którzy zatruli strumień Innych, utonęła. – Monty w milczeniu patrzył na kapitana. To wcale nie przypominało legend o Zatopionym Mieście, które słyszał do tej pory. – Kiedy woda zaczęła opadać, zespoły ratownicze w łodziach ruszyły na poszukiwania ocalałych – ciągnął Burke. – Nie było ich wielu prócz tych, którzy wypłynęli z miasta. Nie ocalał żaden budynek rządowy, żaden komisariat. Zespół ratowników mojego dziadka dotarł w pobliże Dziedzińca i zobaczył, co ich obserwuje. To był pierwszy – i jedyny – wgląd w prawdę o Dziedzińcach i *terra indigena*. – Odetchnął głęboko i wrócił na krzesło za biurkiem. – Inni, zmiennokształtni i wysysacze? Ci, którzy robią zakupy w ludzkich sklepach i rozmawiają z ludźmi? To tylko przykrywka, poruczniku. Choć są śmiertelnie niebezpieczni, to nic w porównaniu z tym, co zamieszkuje Dziedzińce, z tym, czego nie widzimy... Dziadek powiedział, że w tajnych raportach używano słowa „Żywioły”. Nie potrafił wyjaśnić, czym byli, ale choć minęło tyle lat, kiedy wymawiał to słowo, nadal trzęsły mu się ręce. – Monty zadrżał. Burke splótł palce i położył ręce na biurku. – Nie chcę, żeby Lakeside stało się drugim Zatopionym Miastem, i spodziewam się, że pomożesz mi tego dopilnować. Mamy już jeden punkt karny. Nie możemy pozwolić sobie na drugi. Czy to jasne, poruczniku?

– Tak jest – odparł Monty. Chciał zapytać o ten punkt karny, ale miał już dość do przemyślenia jak na jeden dzień.

– Na biurku znajdziesz odznakę i telefon komórkowy. Posterunkowy Kowalski już na ciebie czeka. – Ponieważ Burke jasno dał mu do zrozumienia, że skończyli, Monty wstał, skłonił głowę na pożegnanie i otworzył drzwi biura. – Krąży taki dowcip: Czy wiesz, co zabiło dinozaury? – spytał nagle Burke.

Monty odwrócił się i uśmiechnął niepewnie.

– Nie, nie wiem. Co takiego?

Burke nie odpowiedział uśmiechem.

– Inni.



Posterunkowy Karl Kowalski był przystojnym mężczyzną pod trzydziestkę, który potrafił sprawnie poruszać się samochodem po zaśnieżonych ulicach Lakeside.

– Mam nadzieję, że wkrótce pojawią się piaskarki – powiedział, kiedy auto przed nimi nie zdołało wyhamować na czerwonym świetle. – Inaczej przez cały dzień będziemy się zajmować stłuczkami i wyciąganiem samochodów z zasp.

– W tym celu patrolujemy miasto? – spytał Monty, otwierając mały notatnik, który zawsze przy sobie nosił.

– Mam nadzieję.

Dziwna odpowiedź, zwłaszcza że ich pierwsze wezwanie dotyczyło samochodu porzuconego w Alei Parkowej.

Monty sprawdził swoje notatki.

– Kierowca pługu śnieżnego zauważył samochód w nocy, ale zgłosił to dopiero rano? Dlaczego tak późno?

– Samochód mógł wpaść w poślizg i utknąć. Właściciel pewnie zadzwonił po znajomego, żeby odwiózł go do domu, a wozem zajął się dopiero rano – odparł Kowalski. – Albo zadzwonił po pomoc drogową, a sam poszukał jakiegoś schronienia, bo w taką pogodę musiałby czekać na lawetę kilka godzin.

– Ale samochód nadal tu jest.

– Tak. Samochód nadal tu jest, więc czas mu się przyjrzeć. – Kowalski zatrzymał radiowóz za porzuconym wozem i włączył koguta na dachu. Spojrzał w stronę zarośli, które zasłaniały teren za płotem. – O k... Przepraszam, poruczniku.

Monty spojrział na nierówności w śniegu. Wyglądały jak ślady prowadzące w stronę płotu.

– Co to?

– Nic dobrego – odparł Kowalski ponuro i opuścił wóz.

Monty otworzył drzwi i wybadał stopą grunt, żeby nie wpaść w zakryty śniegiem rów. Po chwili brnął już w stronę najbliższego podejrzanego wgłębienia.

*Kra, kra.*

Obejrzał się w prawo – na pobliskich drzewach siedziało kilka ptaków.

Wysoki do piersi płot nie miał ozdobnych prętów, które zniechęcałyby do przechodzenia przez niego. Krzaki też nie stanowiły przeszkody, szczególnie jeśli ktoś już przeskoczył przez płot. Zauważywszy połamane gałęzie, Monty przechylił się przez ogrodzenie i rozgarnął je.

*Kra, kra.*

– O bogowie, tam jest pełno krwi – stwierdził, patrząc na zalany szkarłatem, zdeptany śnieg za krzakami. – Podsadź mnie. Ktoś jest ranny i potrzebuje pomocy.

– Poruczniku. – Kowalski chwycił go za ramię i odciągnął kilka kroków, a potem powiedział przyciszonym głosem: – To jest Dziedziniec. Proszę mi wierzyć, po drugiej stronie tego płotu nie ma żadnego rannego. – Słyszac strach w jego głosie, Monty rozejrzał się. Stado Wron powiększyło się, a kolejne leciały już w ich stronę. Jastrząb przysiadł na latarni, a drugi krążył wysoko nad nimi. Wszystkie ptaki obserwowały policjantów. Potem rozległo się wycie. – Musimy wracać do samochodu. Już – poganiał Kowalski.

Monty kiwnął głową i ruszył z powrotem. Kiedy wsiedli, Kowalski zablokował drzwi i włączył silnik, podkręcając równocześnie ogrzewanie.

– Myślałem, że bariera między ludźmi a Innymi jest... solidniejsza – powiedział Monty drżącym głosem. – To naprawdę Dziedziniec?

– Tak. – Kowalski przyjrzał mu się uważnie. – Nie pracował pan przy Dziedzińcu w Toland?

Monty pokręcił głową.

– Nigdy nawet nie byłem w pobliżu. – Zauważył, że Kowalskiemu dalej trzęsą się ręce. – Jesteś pewien, że po drugiej stronie płotu nie ma rannego?

– Jestem pewien. – Mężczyzna wskazał głową otwarty teren po drugiej stronie czteropasmowej drogi. – Kiedy przyjedzie pomoc drogowa, możemy sprawdzić przy kamieniach, kto przeszedł na drugą stronę.

– Nie rozumiem.

– Każdy Dziedziniec prowadzi własną politykę wobec ludzi. Ten od kilku lat podlega Wilczej Straży, a ich zasady są jasne. Dzieci, które przełazą przez płot podczas zabawy w wyzywanki, są przerzucane z powrotem. Czekają na miejscu, aż przyjedziemy i aresztujemy je za włamanie. Nastolatkom dostaje się paskudne ugryzienie albo złamana kość, ale ostatecznie też lądują za płotem. Dorośli, którzy wejdą tam bez zaproszenia, już nie wracają. A jeśli jakiś człowiek – wszystko jedno, dziecko, nastolatek czy dorosły – przejdzie przez płot z bronią... – Kowalski pokręcił głową. – Inni zostawiają przy kamieniach portfele, klucze i przedmioty osobiste, żebyśmy wiedzieli, kto już nie wróci. Wypełniamy wtedy ZMN. Zna pan te formularze? – Monty w milczeniu pokręcił głową. – ZMN. Zmarły, Miejsce Nieznane. Na jego podstawie rodzina uzyskuje akt zgonu, chociaż nie ma ciała. Monty pustym wzrokiem zagapił się na krzaki. Wciąż myślał o zdeptanym czerwonym śniegu. Kowalski pokiwał głową, jakby czytał w jego myślach. – Właśnie. Wypełniając ZMN, staramy się nie myśleć o tym, co się stało z ciałem. Nikomu nie przyniesie to nic dobrego. – Kowalski rozglądał się po drzewach i latarniach. Według Monty'ego liczba obserwujących ich Innych nie zmieniła się, ale jego partner miał chyba lepsze wyczucie. – Dwa lata temu Daphne Wilcza Straż i jej synek bawili się tutaj. Daphne została zastrzelona przez człowieka. Drugi strzelił do jej synka, ale spudłował. Zdażyli odjechać, ale Wilki wytropiły w parku ślady ich samochodu. Tej wiosny Inni zasadzili te jałowce, żeby osłonić Dziedziniec, a nasz burmistrz i rada miejska zmienili park przylegający do ich terenu w rezerwat przyrody, gdzie wolno wchodzić jedynie zorganizowanym wycieczkom z przewodnikiem. Zakazali też polowań. Każdy, kto pojawi się w parku nocą, zostaje aresztowany i ukarany grzywną. Każdy przyłapany tu z bronią, bez względu na porę dnia, idzie do więzienia, chyba że akurat mamy sezon polowań na jelenie, a wszyscy w grupie mają zezwolenie na polowanie z łukiem. Kapitan Burke bardzo się starał odnaleźć mężczyzn, którzy zabili Daphne Wilczą Straż, ale najprawdopodobniej opuścili oni Lakeside. Przypuszcza się, że tylko przyjechali tutaj, żeby coś upolować, i zniknęli. To nadal otwarta sprawa.

– Dlaczego?

Kowalski uśmiechnął się niewesoło.

– Nie zdziwił pana podatek od wody, poruczniku?

– Owszem, zdziwił. – Rzeczywiście Monty był zaskoczony, kiedy gospodyni przekazała mu ściśle zasady korzystania z wody. Inni lokatorzy powiedzieli mu, że

do mycia samochodu i podlewania ogródka warzywnego używa się deszczówki. Nikt nie chciał mu wyjaśnić, dlaczego nałożono podatek na wodę, choć mieszkają na skraju wielkiego jeziora.

– Inni kontrolują całą słodką wodę – wyjaśnił Kowalski. – Stawki za wodę i dzierżawę gruntów, które żywią Lakeside, negocjowane są z tym Dziedzińcem. W roku, kiedy zginęła Daphne Wilcza Straż, do zwykłych stawek doliczono podatek od wody. Kapitan nie zamyka tej sprawy, ponieważ wiadomo, że jeśli ludzie odpowiedzialni za to morderstwo zostaną schwytani i ukarani, podatek zostanie zniesiony.

Monty odetchnął głęboko.

– Czy dlatego przyjąłeś ten przydział? Dla dodatku za ryzyko?

Kowalski kiwnął głową.

– Za pół roku się żenię. Te dodatkowe pieniądze pomogą nam płacić miesięczne rachunki. Ryzykujesz za każdym razem, kiedy spotkasz Innego, ponieważ nigdy nie wiesz, czy nie potraktuje cię jak obiad. Są niebezpieczni, ale można sobie z nimi radzić, jeśli się uważa.

– Ten płot to granica?

– Nie, ich ziemia ciągnie się aż do drogi. Płot to bardziej ostrzeżenie niż barykada. Między nim a drogą jest strefa przejściowa, w której wolno się poruszać pracownikom miasta.

– Ale są oni bez przerwy obserwowani – stwierdził Monty, patrząc na Jastrzębia. Ptak nie spuszczał z niego czujnego wzroku.

– Zawsze. Obserwują dużo większy teren niż Dziedziniec i park. – Kowalski poprawił lusterko. – O, jest pomoc drogowa i drugi radiowóz. Jeśli oni zostaną na miejscu, my możemy jechać.

Kiedy otworzył drzwi, żeby iść porozmawiać z kolegami z drugiego radiowozu, Monty zapytał:

– Kto powiadamia rodziny o przypadkach ZMN?

*Proszę, tylko nie ja...*

– Mamy specjalny zespół śledczych i psychologa, którzy się tym zajmują – odparł Kowalski i zamknął za sobą drzwi.

– Świetnie – szepnął pod nosem Monty, oddychając z ulgą.

*Jesteśmy lokatorami, nie właścicielami, powiedział kiedyś kapłan na cotygodniowym nabożeństwie. Jedynie pożyczamy powietrze, którym oddychamy, jedzenie, którym się żywimy, i wodę, którą pijemy.*

W Toland łatwo było o tym zapomnieć. Monty podejrzewał jednak, że podatek od wody stale przypomina mieszkańcom Lakeside, jaka jest prawda.

Kowalski wrócił do radiowozu, zapalił silnik i przejechał przez pas zieleni oddzielający jezdnie. Zatrzymali się naprzeciwko miejsca, gdzie parkowali przed chwilą.

Pomimo że ziemia przykryta była świeżym, puszystym śniegiem, nie mieli problemów z odszukaniem kopca kamieni i porzuconych przedmiotów. Trzy portfele z dokumentami tożsamości i kartami kredytowymi. Trzy pęki kluczy.

– Jest trochę gotówki – powiedział Kowalski. – Zapewne nie cała, jaką mieli, ale Inni nigdy nie zabierają całej.



*To nie były dzieci*, pomyślał Monty, przeglądając dokumenty tożsamości. Młodzi, owszem, ale dość dorośli, by nie ryzykować w głupi sposób – co oczywiście nie pocieszy ich rodzin.

– Młodzi ludzie zwykle noszą przy sobie więcej rzeczy – zauważył.

– Zapewne ci również. Ale portfele i klucze to najczęściej wszystko, co dostajemy. Biżuteria, broń, różne drobiazgi, wszystko to kończy w sklepach Innych na tutejszym Dziedzińcu albo w Rejonie Północno-Wschodnim, czasem gdzieś indziej na kontynencie. Nawet broń zostanie sprzedana, chociaż nie nam. Inni nie zabijają, żeby kraść, ale kiedy mięso jest już martwe, wykorzystują wszystko, co przy nim znajdują.

Monty poczuł paskudne uczucie w żołądku.

– Tak właśnie myślisz o własnym gatunku? Jak o mięsie?

– Nie, panie poruczniku, ale *terra indigena* owszem. A ja niestety widziałem konsekwencje tego, kiedy ludzie – również policjanci – o tym zapominają.

*Nie zastanawiaj się, czy nie powinienesz użyć więcej kul, kiedy zobaczyłeś, jak ten Wilk zmienia się na powrót w dziewczynkę, którą uratowałeś. Nie zastanawiaj się nad tym. Nie tutaj. Nie teraz*, napominał się Monty.

– Zabierzmy te rzeczy na komisariat – powiedział. – Rodziny zapewne zaczynają się już zastanawiać, dlaczego ich chłopcy nie wrócili na noc.

– A co potem? – spytał Kowalski.

– Potem chyba przedstawię się Simonowi Wilczej Straży.



Paczki i pudełka piętrzyły się na dwóch wózkach. Furgonetki dostawcze podjeżdżały co chwilę, a kierowcy oglądali się nerwowo na Wrony siedzące na murku. Na widok niskiej kobiety za kontuarem wyraźnie się odprężali. Szybko podawali nazwę firmy i swoje nazwisko, literując je, jeśli zaszła potrzeba, a Meg zapisywała wszystko na podkładce. Identyfikacja, potwierdzenie. Niektórzy musieli wracać do samochodu po resztę paczek. Meg podejrzewała, że unikali dostaw pod ten adres tak długo, jak tylko się dało.

W ciągu pierwszej godziny jej pracy drzwi otwierały się i zamykały tak często, że postanowiła sprawić sobie rękawiczki bez palców, o których wspomniał Harry, i jakąś ciepłą kamizelkę, którą mogłaby narzucić na sweter.

Chcąc się trochę rozgrzać i wykazać jakimiś postępami, zanim wróci Jester, poszła do sortowni i zajęła się pocztą.

Szybko przekonała się, że to prawdziwe wyzwanie. Część przesyłek adresowana była do konkretnych osób, część do straży, część podawała ulicę – chyba była to ulica – a niektóre miejsce przeznaczenia, którego w ogóle nie potrafiła rozszyfrować. Jediną rzeczą, jaką poczta i odebrane przez nią paczki miały ze sobą wspólnego, był napis „Dziedziniec w Lakeside”.

– Nic dziwnego, że mieli kłopoty z sortowaniem poczty – mruknęła pod nosem.

Zanim wrócił Jester, udało jej się z grubsza przesortować pierwszy worek i przyjąć jeszcze dwie dostawy.

– Nieźle – podsumował i zaczął przekładać listy z jednej sterty na drugą. – Kruczość podpada pod Wronią Straż. Tak nazywają swój kompleks mieszkalny. Pokoje to siedziba Sanguinatic. Numery wskazują konkretne Pokoje. Zielony Kompleks to jedyna rezydencja, która nie przynależy do określonego gatunku. Znajduje się najbliżej rynku i mieszkają tam członkowie Stowarzyszenia Przedsiębiorców.

– Macie jakąś mapę albo listę, na której mogłabym sprawdzać takie rzeczy? – spytała Meg.

Twarz Jestera przybrała pusty wyraz.

– Popytam – powiedział po chwili. – A teraz chodź, poznasz swoich pomocników. – Podeszedł do panelu w ścianie i otworzył zewnętrzne drzwi sortowni. – Meg chciała jeszcze skoczyć na zaplecze po płaszcz, ale natychmiast o tym zapomniała. – To Grom, Błyskawica, Tornado, Trzęsienie Ziemi i Mgła – powiedział Jester. – Tylko te kucyki mają dziś ochotę realizować dostawy.

Były na tyle wysokie, by patrzeć jej w oczy. Puszyste beczki na krótkich nogach. Meg patrzyła na ich naburmuszone pyszczki i zastanawiała się, czy wszystkie kuce są tej wysokości. Grom był czarny, Błyskawica biała, Tornado i Trzęsienie Ziemi brązowe, a Mgła w szare cętki.

– Cześć – powiedziała niepewnie.

Najmniejszej zmiany na naburmuszonych mordkach.

– Każdy ma swój koszyk na przesyłki – instruował Jester. Podeszedł do stołu i wziął dwie garście poczty. – Na koszach są wypisane sektory Dziedzińca, widzisz? Na przykład poczta dla Kruczości albo dla osób o nazwisku Wronia Straż powinna trafić do koszyka Gromu. – Wsadził małe koperty do czterech przegródek kosza, a większe koperty i katalogi do kosza po drugiej stronie. Spojrzał na kucyka. – Dziś idziesz do Wron.

Grom pokiwał głową i odsunął się.

Błyskawica dostała pocztę dla kwatery Wilczej Straży, Tornado dla Jastrzębi, Trzęsienie Ziemi dla Sów i Stajni Kucyków, a Mgła dla Sanguinatic.

– A co robią, kiedy są już na miejscu? – spytała Meg.

– Och, zawsze trafią na kogoś, kto opróżni kosze i rozda pocztę adresatom – odparł Jester, zamykając na zamek zewnętrzne drzwi. – Hmm, nie ma kto zanieść poczty do Zielonego Kompleksu ani nad jezioro. Pewnie będą musieli poczekać do jutra. – Przechylił głowę i uśmiechnął się do Meg. – Czy Simon dał ci przepustkę? – Pokręciła głową. W jego uśmiechu pojawiło się prawdziwe rozbawienie. – No cóż, jest dziś dość niepozobierany. Rzecz w tym, że potrzebujesz przepustki, żeby móc się poruszać po rynku albo po Zielonym Kompleksie, jedynym obszarze mieszkalnym, gdzie nie panuje całkowity zakaz wstępu ludziom. Powinnaś zawsze nosić ją ze sobą, żeby uniknąć nieporozumień.

– Skąd mam ją wziąć?

– Z biura konsula, tu obok. Zajdę tam i przyniosę ci ją potem.

– A co mam zrobić, gdy wózki w recepcji będą już pełne?

Jester otworzył wewnętrzne drzwi dostawcze i wciągnął wózki do sortowni.

– To zależy – powiedział, zamykając drzwi. – Jeśli paczka zmieści się do kosza, kucyk może ją zawieźć razem z resztą poczty. Albo możesz sama dostarczyć ją w PNK. Nie zachęcaliśmy naszych poprzednich łączników do robienia dostaw na Dziedzińcu, ale w zasadzie należy to do twoich obowiązków. Jeśli oczywiście będziesz chciała to robić.

Czy dostawy naprawdę należały do jej obowiązków, czy może Jester z jakiegoś powodu świadomie pakował ją w kłopoty?

– PNK? – Meg pierwszy raz słyszała ten skrót.

– Pudełko na Kólkach – wyjaśnił Jester. – Mały pojazd, którego używamy na Dziedzińcu. Ma elektryczny napęd, więc pamiętaj, żeby ładować akumulatory, jeśli nie chcesz gdzieś utknąć. PNK łącznika stoi w garażu na tyłach biura. Na pewno go poznasz.

– Czyli mam samochód – powiedziała z uśmiechem.

– Masz Pudełko na Kólkach – poprawił ją. – Nie wolno nim wyjeżdżać na ulice miasta. Chcesz teraz iść na przerwę?

Meg spojrzała na ścienny zegar i pokręciła głową.

– Powinnam przyjmować dostawy do południa, więc teraz posortuję pocztę.

– Jak chcesz. Przyniosę ci przepustkę. – Jester wyszedł drzwiami z napisem NIE WCHODZIĆ i przeskoczył nad kontuarem. Wrócił kilka minut później. Nie miał przepustki, ale na stole w sortowni położył coś innego. – To jest mapa Dziedzińca – powiedział cicho. – Są tu zaznaczone drogi i miejsca, gdzie mieszkają straż.

– Aha – sapnęła zaciekawiona Mag, myśląc, że jej Kontroler zapłaciłby fortunę za tę mapę. Zabiłby bez chwili wahania, żeby zdobyć tak cenne informacje o wnętrzu Dziedzińca.

Wilcza Straż. Wronia Straż. Jastrzębia Straż. Sowia Straż. Sanguinati. Zielony Kompleks. Jezioro Dziewcząt. Zagajnik Prochów. Kompleks Usługowy. Jeziora. Strumień. Rezerwuar wody.

– Proponuję, żebyś chowała ją do szuflady, kiedy jej nie używasz – powiedział stanowczo Jester. – Nie ufaliśmy dwóm ostatnim łącznikom na tyle, żeby im ją przekazać, i jak już wspominałem, nie zachęcaliśmy ich do zapoznawania się z Dziedzińcem. Powinnaś uważać, komu mówisz o tym, że masz tę mapę, Meg Corbyn.

– Czy pan Wilcza Straż wie, że ją dostałam?

– Simon dał mi ją dla ciebie. – *Próba*, pomyślała Meg. Simon Wilcza Straż poddawał ją próbie, żeby sprawdzić, czy może jej zaufać. Nie powinna więc polegać na informacjach z mapy. Jeśli uznał ją za szpiega, który próbuje podstępem zdobyć dane o Dziedzińcu, przekazanie wrogowi fałszywych informacji to jeszcze lepsza taktyka niż nieprzekazywanie mu żadnych. Niespodziewanie Jester uśmiechnął się szeroko.

– A teraz pójdę po przepustkę – oznajmił i wyszedł.

Kiedy przez kolejne pół godziny nie przyszła żadna dostawa, Meg sprawdziła odtwarzacz muzyki. Z rozczarowaniem stwierdziła, że nie ma żadnych płyt, ale zupełnie przypadkiem udało jej się włączyć lokalne radio. Następne kilka minut spędziła więc na szukaniu stacji, która nadawałaby możliwą do zaakceptowania muzykę. I nagle uderzyło ją, że przecież nie potrzebuje niczyjej zgody czy akceptacji.

Może słuchać codziennie innej muzyki i sama zdecydować, co jej się podoba i na co ma ochotę.

Podniecona, dostroiła radio i ochoczo wróciła do pracy.



– Siup i Łup? – Monty odczytał szyld nad wejściem do jednego ze sklepów należących do *terra indigena*.

– Centrum fitness – wyjaśnił Kowalski i skręcił na parking. Na placu było o jedną trzecią miejsc parkingowych mniej niż zwykle, ponieważ na tych pod ścianą zalegały góry śniegu. – No wie pan, bieżnie i te różne maszyny do ćwiczenia mięśni. A z tą nazwą chodziło im chyba o odgłos spadania ciężarków. Nie wiem, co robią na piętrze. Nie mam też pojęcia, po co im centrum fitness, skoro mogą biegać po ponad trzystu hektarach ziemi.

*Może nie lubią zapachu mokrego futra i wolą biegać w pomieszczeniach, kiedy pada?* pomyślał Monty.

– A ten sklep bez szyldu? – zapytał.

– Tutejsza świetlica. Ten Dziedziniec zatrudnia ludzi i czasami pozwala im mieszkać w mieszkaniach nad pracownią krawiecką. Ale nie pozwala im zapraszać tam gości, więc spotykają się z przyjaciółmi w świetlicy. Chodzi się tam też, jeśli chce się poznać jakiegoś *terra indigena*.

– A jeśli ktoś ma ochotę na... prywatną randkę? – Monty spojrzał na partnera.

– Nad świetlicą są pokoje do wynajęcia.

– Słyszałeś o tym na ulicach czy wiesz to z własnego doświadczenia?

– A jest szansa, że przedstawię pana kiedyś swojej matce?

Monty z trudem ukrył uśmiech.

– Zapewne.

Kowalski odetchnął.

– Nie, tak naprawdę nie wiem tego z własnego doświadczenia. Słyszałem tylko, że jeśli wynajmie się taki pokój, trzeba potem zmienić pościel, a brudną wrzucić do wózka na pranie, który stoi na końcu korytarza. Obok jest słoik na pieniądze – pięć dolarów za pościel i pokój.

– A jeśli pieniądze w słoiku nie zgadzają się z ilością zużytej pościeli?

– Następnym razem nie będzie czystej pościeli. A dziewczyny bywają drażliwe i nie chcą się pieścić na używanej.

Teraz Monty nie próbował już nawet ukryć uśmiechu.

– Jesteś prawdziwą kopalnią wiedzy o zwyczajach Innych, posterunkowy – powiedział, a Kowalski spojrzał na niego spode łba.

Śmiejąc się, Monty wysiadł z samochodu. Mimo wiatru, który przenikał go aż do kości, nie zapiął kurtki, więc widać było spod niej broń. Wyciągnął też oprawioną w skórę odznakę, po czym ruszył do Zabójczo Dobrych Lektur.

– Po strzelaniu sprzed dwóch lat wszystkie okna w sklepach są z kuloodpornego szkła – powiedział Kowalski.

– Strzelec może wejść do sklepu i tam użyć broni – zauważył Monty.  
– Może wejść, ale zapewne żywy już nie wyjdzie. – Kowalski przekrzywił lekko głowę, otwierając drzwi.

W progu Monty zamarł. Wpatrywały się w niego bursztynowe oczy. Drżące ostrzegawczo wargi odsłoniły zęby w milczącym grymasie. Stworzenie leżące przy regale z książkami podniosło się. Było naprawdę wielkie. Barkami sięgałoby mu do biodra, gdyby stanęli obok siebie. I chyba było od niego cięższe.

Dziewczynka, którą uratował, wyglądała jak wilcze szczenięta z filmów przyrodniczych. Ale tego stworzenia nie dawało się pomylić z wilkiem. To było coś bardziej pierwotnego niż dzisiejsze zwierzęta. Pierwsi ludzie, jacy postawili stopę na tym kontynencie, zapewne używali określenia „wilk”, tylko po to żeby zmniejszyć swój strach przed stworzeniami, które przyglądały im się z lasu albo polowały na nich w ciemności.

Kowalski odchrząknął cicho.

Świadom, że wszyscy w księgarni trzęsą się ze strachu, Monty wyjął odznakę i podszedł do lady.

Na pierwszy rzut oka uznał osobę stojącą przy kasie za człowieka. Ciemne włosy mężczyzny były nieco rozwiane, ale perfekcyjnie ostrzyżone, koszula i rozpinany sweter odpowiednie do takiej pracy i równie dobrej jakości jak ubrania w sklepach w Toland. Okulary w drucianej oprawie sprawiały, że twarz była nie tylko atrakcyjna, ale i odzwierciedlała uczony umysł jej właściciela.

Mężczyzna uniósł oczy, które były równie bursztynowe jak oczy Wilka.

*Jak można spojrzeć w te oczy i nie widzieć w nich drapieżnika?* pomyślał Monty, podchodząc do lady. *Jak mogłeś pomyśleć, że kryje się za nimi cokolwiek ludzkiego?*

– Pan Simon Wilcza Straż? – zapytał.

– Tak – odparł sprzedawca barytonem, który wydałby się całkiem przyjemny, gdyby nie groźny pomruk.

Udając, że go nie słyszy, Monty ciągnął dalej:

– Porucznik Crispin James Montgomery. Ja i moi ludzie zostaliśmy wyznaczeni na waszych łączników w tutejszej policji, więc chciałem się przedstawić.

– Po co nam łącznicy w policji? – spytał Simon. – Na Dziedzińcu sami dbamy o swoje sprawy.

Wilk za nim zawarczał ostrzegawczo.

Grupka dziewczyn na froncie sklepu pisnęła i odsunęła się w głąb pomieszczenia. Resztę przedstawienia oglądały skryte między regałami.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę – odparł Monty, napędzając swój głos spokojną, ale stanowczą uprzejmością. – Ale jeśli będziecie mieli pewność, że zareagujemy na każde wezwanie, być może uznacie, że nie zawsze musicie sami się wszystkim zajmować. Na przykład złodziejami w sklepach.

Simon wzruszył ramionami.

– Jak ktoś nam coś ukradnie, odgryziemy mu rękę – jedną, jeśli to będzie pierwsza kradzież.

Zza regałów rozległy się nerwowe chichoty.

– A jeśli nie? – spytał Kowalski. Podszedł bliżej do lady, ale nie spuszczał

wzroku z Wilka w wilczej formie.

Wyraz oczu Simona zrobił się bardziej drapieżny, a jego uśmiech szerszy.

– Przy drugiej kradzieży nie zwracamy sobie głowy ręką. – Zrozumieli ostrzeżenie. Monty domyślał się, jaki to wysiłek utrzymywać wyraz twarzy i język ciała ludzkiego sprzedawcy – zapewne stąd staranny strój i okulary. Ale dziś nie do końca mu się udawało. Nie do końca potrafił ukryć swą drapieżną naturę. – Może pójdziemy na kawę, tu po sąsiedzku? – zaproponował Simon, choć jego słowa brzmiały bardziej jak rozkaz niż propozycja. – Policjanci lubią kawę, prawda?

– Lubimy – przytaknęła Monty.

Simon pokiwał palcem na ciemnowłosą, ciemnoooką dziewczynę, jedyną, która nie uciekła z pozostałymi za regały. Przyglądała się im tak zachłannie, że zdaniem Monty’ego brakowało jej tylko popcornu i coli.

– Jenni, popilnujesz kasy przez kilka minut? – spytał Simon, a dziewczyna natychmiast wskoczyła na ladę i zeskoczyła po drugiej stronie. Uśmiechnęła się do Wilczej Straży w taki sposób, że Monty odruchowo sprawdził, czy ma jeszcze portfel. – Jeśli ktoś zechce coś kupić, da ci pieniądze, a ty wydasz resztę – pouczył ją Simon.

– Ale nie błyszczące – oświadczyła Jenni, przechylając głowę. – Błyszczące są nasze.

Simon wyglądał tak, jakby miał ochotę kogoś ugryźć. Mimo to kiwnął głową i spojrzał na Wilka, który usiadł koło kasy.

Potem zaprowadził ich przejściem do sąsiedniego sklepu.

*Niezbyt dużo klientów*, pomyślał Monty, rozglądając się po kawiarni. Dwoje ludzi pracujących na laptopach i popijających kawę z wielkich kubków, to wszystko.

– Tess? – zawołał Simon do stojącej za ladą szatynki. – Poprosimy trzy kawy.

– Już robię – odparła.

Usiedli przy stoliku. Monty schował odznakę do kieszeni, a Tess po chwili postawiła przed nimi trzy kubki i talerz z kawałkami ciasta. Kiedy wróciła z dzbankiem z kawą, serwetkami i dzbanuszkim ze śmietanką, Simon przedstawił jej Monty’ego i zaczął czekać, aż ten przedstawi swojego partnera. Potem przyjrzał się Kowalskiemu i zapytał:

– Wąchałem cię już kiedyś?

Kowalski zaczerwienił się gwałtownie i omal nie upuścił kubka.

– Nie, nie sędzę.

– Masz na sobie czyjś zapach?

Kowalski pokręcił głową, ale zaraz zbladł i szepnął:

– Mojej narzeczonej.

– Lubi książki?

– Tak. – Mężczyzna napił się kawy. Ręce mu drżały, kiedy odstawiał kubek. – Oboje lubimy. Dużo czytamy.

Simon nadal przyglądał mu się w taki sposób, że Monty miał ochotę przewrócić stół, albo zacząć krzyczeć, żeby tylko przestał.

– Grzeczna – stwierdził nagle Wilcza Straż. – Ładnie pachnie. Nie skrzeczy, kiedy mówi. Pytała o książki, których nie może znaleźć w ludzkiej księgarni. Dostawa powinna przyjść jutro. Może odebrać te, które już mamy. – Wyszczерzył

zęby w uśmiechu. – Albo ty je odbierz.

Kowalski spojrzał Simonowi w oczy.

– Jestem pewien, że woli sama odebrać zamówienie i sprawdzić, czy to właściwe książki.

– Twoja narzeczona interesowała się nie tylko książkami. Ale ZDL nie sprzedaje muzyki na płytach, a sklep z muzyką jest otwarty tylko dla mieszkańców Dziedzińca. – Simon uśmiechnął się do Monty'ego. – Możemy jednak zorganizować wycieczkę po rynku dla naszych nowych przyjaciół z policji. Każdy z was będzie mógł przyprowadzić jednego gościa, a także coś kupić.

– Pod warunkiem że nie będziemy się domagać od kupców wydawania błyszczących? – spytał Monty, próbując zachować spokój. Miał nadzieję, że Kowalski też nad sobą panuje.

Tess, która właśnie miała dolać im kawy, aż podskoczyła.

– Simon, chyba nie zostawiłeś w kasie jednej z Wron?

– Nic się nie stanie – odparł krótko.

– Powtórz mi to, jak wieczorem podliczysz kasę. – Kręcąc głową, wróciła za ladę.

Monty odwrócił od niej wzrok, zanim ktoś mógłby zauważyć, że się gapi. Kiedy tu weszli, włosy Tess były brązowe i proste. Teraz wyglądały, jakby zrobiła sobie zielone pasemka i zakręciła lokówką. Ale przecież nie wychodziła ani na chwilę z kawiarni. Był pewny, że nie wychodziła.

– Ponieważ to ja dziś zamykam, może powinienem stanąć za kasą – oświadczył jakiś mężczyzna, podchodząc do ich stolika.

Czarne włosy, ciemne oczy, czarny sweter i dżinsy. Oliwkowa cera i niebezpieczny urok.

– To Vladimir Sanguinati, mój wspólnik – przedstawił go Simon.

Kubek zakołysał się w ręku Kowalskiego i kawa chlupnęła na stół.

– Przepraszam – wymamrotał, wycierając blat serwetkami.

– To jest porucznik Crispin James Montgomery, a to posterunkowy Karl Kowalski, nasze nowe kontakty w policji – Wilcza Straż kontynuował prezentację.

– Intrygujące – stwierdził Vladimir.

Monty nie miał pojęcia, dlaczego Kowalski zareagował tak na jego nazwisko. Stwierdził jednak, że nie ma najmniejszej ochoty mówić albo myśleć rzeczy, których nie było bezpiecznie myśleć albo mówić w tej kawiarni.

– Nie będę zabierał panu więcej czasu, panie Wilcza Straż – powiedział cicho i wstał. Wyciągnął z kieszeni jedną ze swoich nowych wizytówek i podał Simonowi. – Tu jest mój telefon stacjonarny na komisariacie i numer mojej komórki. Jeśli będzie wam potrzebna pomoc – albo cokolwiek innego – proszę zadzwonić.

Simon wstał i włożył wizytówkę do kieszeni spodni. Nawet na nią nie spojrzał.

– Ponieważ jesteśmy już zaprzyjaźnieni, powinniście znów wpaść na kawę – odezwała się Tess.

– Dziękuję, proszę pani. Na pewno przyjdziemy – obiecał Monty. Zapiął płaszcz i razem z Kowalskim podeszli do wyjścia. – Zaczekaj, aż wsiądziemy do samochodu – wycedził do partnera przez zęby, czując na sobie wzrok Innych, kiedy szli na parking.

Gdy wreszcie wsiedli do radiowozu, Kowalski odetchnął z ulgą.

– Dokąd teraz, poruczniku?

– Na razie nigdzie. Po prostu zapal silnik, żebyśmy tu nie zamrzli. – Monty patrzył prosto przed siebie, czekając, aż jego myśli przybiorą formę słów. Ale nie był jeszcze gotowy zwerbalizować tego, co nagle zrozumiał. – Sanguinati. Podskoczyłeś, jakby cię ktoś dźgnął, kiedy usłyszałeś to nazwisko. Dlaczego?

– Z niczym się panu nie kojarzy? – Kowalski odczekał chwilę. – A zna pan termin „wampir”?

Monty spojrział na niego.

– Czy to jeden z nich?

Kowalski kiwnął głową.

– Wie pan, piją krew swoich ofiar i tak dalej. W książkach nazywa się ich wampirami, ale ten gatunek *terra indigena* nosi nazwisko Sanguinati. Niewiele o nich wiadomo, tylko tyle że piją krew i są równie niebezpieczni jak zmiennokształtni. Pojawiły się też pewne... dowody... że wcale nie muszą ugryźć, żeby pozbawić kogoś krwi.

Monty, zadowolony, że nie wypił dużo kawy, przełknął ślinę, by uspokoić ściskający się boleśnie żołądek.

– Myślisz, że wykorzystują te sklepy jako teren polowań?

Kowalski odchylił głowę.

– Nie mam pewności co do Sanguinatic, ale inni zmiennokształtni nie wykorzystują w ten sposób sklepów – powiedział po chwili. – Wilcza Straż nie żartował, jeśli chodzi o zjadanie ręki złodzieja, ale nigdy nie wypełnialiśmy ZMN osoby, która poszła do jednego z ich sklepów. – Spojrzał uważnie na Monty’ego. – Co panu chodzi po głowie, poruczniku?

– Pomyślałem, że większość twojej wiedzy o *terra indigena* pochodzi stąd, że przez całe życie się o nich ocierasz. Zapewne dorastałeś w okolicy Dziedzińca, skoro znasz zasady obowiązujące w świetlicy.

– Nie jestem jedynym gliniarzem w Lakeside, który ociera się o Innych poza służbą – odparł Kowalski. – *Terra indigena* kontrolują większość świata. Skoro jest okazja, by dowiedzieć się o nich czegoś, głupio byłoby ją przegapić. A tak dla jasności, nim poznałem Ruthie, pieszczochowałem się trochę z dziewczyną, która pracowała na Dziedzińcu, ale rozstaliśmy się po kilku randkach. Nigdy nie korzystałem z pokoi nad klubem, żeby sobie pofiglować w pościeli.

W samochodzie zapadła cisza. Monty przerwał ją, zanim zaczęła im ciążyć.

– *Terra indigena*. Rdzenni mieszkańcy Ziemi. W Akademii Policyjnej nikt nigdy nie wyjaśnił, co to znaczy. Może dowództwo nie wie tego dokładnie, a może boi się, że prawda nas przerazi, a przerażeni ludzie z bronią mogą spowodować śmierć na wszystkich.

– Co może być bardziej przerażającego niż obcowanie ze stworzeniami, które uważają, że jesteś jadalny?

– Oni naprawdę nie są ludźmi, Karl – powiedział z naciskiem Monty. – Wiedziałem o tym, a teraz wie to również moje ciało. *Terra indigena* nie są zwierzętami, które zmieniają się w ludzi, ani ludźmi, którzy zmieniają się w zwierzęta. Naprawdę są czymś innym, obcym, co z jakichś powodów nauczyło się



przybierać ludzki kształt. Zapewne czerpią z tego korzyści, nie wiem, pionową postawę, albo przeciwstawny kciuk, tak jak czerpią korzyści z kształtu zwierzęcia, w które się zmieniają.

– Czyli wyznaje pan teorię pierwotnego kształtu? – spytał Kowalski.

– O tym nie uczyli w Akademii – odparł Monty z wymuszonym uśmiechem.

– Ruthie natrafiła na nią w starej książce historycznej jakiś czas temu. Istnieje teoria, że Inni mieli wiele form, zmieniali kształt, w miarę jak zmieniał się świat wokół nich i zamieszkujące go stworzenia, żeby zawsze pozostać dominującymi drapieżnikami. Ale istniał kiedyś jakiś pierwotny kształt, ewolucyjny przodek *terra indigena*. Teoria głosi również, że Inni przejmują pewne cechy formy, jakiej używają – jak ta dziewczyna Wrona, którą wabią błyskotki.

– Też mi się tak wydawało – stwierdził Monty. – Nauczyli się przybierać formę człowieka, ale nie ma w nich nic ludzkiego, nic, co dostrzegałoby w nas coś więcej niż mięso. Sprytniejsze niż jelen czy krowa, niemniej mięso. Ale kiedy nie potrafili znaleźć ludzi, którzy zabili jedno z nich, ukarali wszystkich mieszkańców miasta, nakładając podatek na wodę. Co oznacza, że żywią jakieś uczucia wobec swoich pobratymców.

– No dobra, ale jak się ma do tego propozycja Simona Wilczej Straży, żebyśmy obejrzeni coś, co jest zwykle poza naszym zasięgiem? – zastanawiał się Kowalski. – I dlaczego dał mi do zrozumienia, że rozpoznaje zapach Ruthie? Był pan dla niego grzeczny, a w zamian otrzymał pan same groźby.

– Nie sądzę, żeby to były groźby. Myślę, że Simon Wilcza Straż próbował zachowywać się po przyjacielsku. Ale linia *terra indigena*, z której pochodzi, przejęła cechy wilka tysiące lat temu, a ludzi w najlepszym razie przed kilkuset laty, więc sprawia wrażenie groźnego, choć wcale nie ma takiego zamiaru. Z jakichś powodów otworzył te sklepy dla ludzi i zaprosił nas na rynek Dziedzińca. Domyślam się, że niewiele osób tam bywa.

– Więc?

– Więc przyjmujemy jego ofertę – zdecydował Monty. – Wybierzemy się na wycieczkę na rynek. Ruthie też, jeśli uważasz, że możesz ją o to poprosić. Będziemy regularnie przychodzić tu na kawę. Sprawimy, że Inni będą nas rozpoznawać. Spróbujemy zmienić dynamikę, Karl. Oni nie są ludźmi, nigdy nimi nie będą, ale spróbujemy sprawić, żeby dostrzegli przynajmniej w kilku z nas coś więcej niż przydatne czy nawet sprytne mięso. A wtedy może – ale tylko może – gdy następnym razem jakiś dorosły wygłupi się i wejdzie na Dziedziniec bez zaproszenia, dostaniemy wezwanie, zamiast wypełniać ZMN.

– Nie jestem pewien, czy ktoś kiedykolwiek próbował zmienić dynamikę między nami a Innymi – powiedział Kowalski ostrożnie.

– Więc najwyższy czas, żeby to zrobić – westchnął Monty. – No dobrze, jeszcze jeden przystanek, a potem chciałbym zwiedzić miasto. Muszę wyczuć teren.

– Zatem dokąd teraz?

– Pójdziemy przedstawić się osobie, która może być naszym najlepszym sprzymierzeńcem – łącznikowi z ludźmi.

Wyjechali z parkingu i skręcili w lewo na skrzyżowaniu Wroniej Alei z ulicą Główną. Minęli jeden sklep i zjechali na teren dostaw dla biura łącznika i konsulatu.

– Ten sklep nazywa się Tubylcy Ziemi – powiedział Kowalski. – Rzeźby, ceramika, obrazy i tkaniny *terra indigena*, kosztowne, ale ludzie mogą je kupować. Są tu też tak zwane ogrodowe totemy, rzeźbione z powalonych pni drzew. Duże rzeczy, które mogą ważyć prawie sto kilo, albo takie małe, że można z nich zrobić stolik do kawy. Ruthie chce kupić taki do naszego nowego mieszkania. – Chwilowo Monty puścił te informacje mimo uszu. Kowalski wskazał na prawo. – Ten budynek to konsulat. Ma tam biuro Elliot Wilcza Straż, a w tamtejszej sali konferencyjnej spotyka się z członkami rady miejskiej.

– Zostań tutaj – powiedział Monty.

Kiedy wysiadł z samochodu, z wysokiego do ramion murku poderwała się połowa Wron, a druga połowa zaczęła na niego krakać. Dobiegające zza ogrodzenia stukanie młotkiem nagle ucichło.

Monty podszedł do drzwi biura i otworzył je, udając, że nie widzi Wron – udając, że nie wyczuwa nic złowieszczonego w ciszy, jaka zapadła po drugiej stronie.

Kiedy zbliżył się do kontuaru, najpierw zauważył włosy kobiety. Przywiodył mu na myśl jedną z lalek Lizzy, która miała czuprynę z pomarańczowej włóczki.

– Dzień dobry... – Powitalny uśmiech kobiety zniknął, gdy dostrzegła radiowóz za plecami gościa.

– Dzień dobry – odparł Monty, wyjmując odznakę. – Jestem porucznik Crispin James Montgomery.

– Meg Corbyn. – W jej szarych oczach dostrzegł niepokój, może nawet strach. Wyraźnie trzęsły jej się ręce. – Mogę coś dla pana zrobić?

Zobaczył napis nad drzwiami: L.P.T.N.D. Wiedział, co oznacza. A z jego doświadczenia wynikało, że kobiety zwykle nie boją się bez powodu.

– Nie, proszę pani. Zajmuję się w policji sprawami Dziedzińca i chciałem się przedstawić. – Wyjął wizytówkę i położył na blacie. Kiedy po nią nie sięgnęła, zaczął mówić tonem łagodniejszym niż zwykle: – Panno Corbyn, czy jest tu pani z własnego wyboru? Zauważyłem, że jest pani zdenerwowana.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Och... To po prostu mój pierwszy dzień w pracy. Chcę się sprawdzić, a przede mną jeszcze tyle nauki.

Monty odwzajemnił uśmiech.

– Doskonale panią rozumiem. To również mój pierwszy dzień w nowej pracy. Jej spojrzenie było już nieco pewniejsze. Wzięła jego wizytówkę i zmarszczyła czoło.

– Ale panie poruczniku, przecież ludzkie prawo nie obowiązuje na Dziedzińcu.

– Wiem. Mimo to gdyby potrzebowała pani mojej pomocy, proszę dzwonić.

Meg zawahała się.

– Czy zna się pan na kucykach? – spytała nagle.

Monty zamrugał.

– Na kucykach? Nie, raczej nie... Ale jak byłem młody, jeździłem konno. Nosilem przy sobie marchewki i jabłka. Konie nie lubią siodłania, ale podchodziły do płotu po marchewki.

– Może to zadziała – mruknęła.

– Czyli jednak udało mi się pomóc? – Meg zaśmiała się w taki sposób, jakby

nie do końca wiedziała, jak to się robi, jakby to nie był dla niej naturalny odruch. Zaniepokoiło go to. Zresztą nie tylko to. – Życzę pani powodzenia w tym pierwszym dniu.

– Dziękuję, wzajemnie – odparła.

Gdy wyszedł z biura, ujrzał napięcie na twarzy Kowalskiego. Obejrzał się przez ramię i zobaczył zwałistego mężczyznę w dzinsach i flanelowej koszuli, trzymającego w rękach młotek i dłuto. Pomyślał, że to zapewne tutejszy rzeźbiarz.

– Dzień dobry – przywitał się Monty, idąc do samochodu.

Mężczyzna nie odpowiedział. Tylko patrzył.

– Panie poruczniku? – Kowalski spojrzał na niego wyczekująco.

– Jak na jeden dzień wystarczy nam kontaktów z mieszkańcami Dziedzińca – odparł Monty. – Teraz pokaż mi dzielnicę.

– Z chęcią.

– Jaki twoim zdaniem powinien być łącznik z ludźmi? – spytał porucznik, kiedy odjechali kawałek od Dziedzińca.

– Energiczny, obrotny – odparł Kowalski bez wahania.

– Niewinny?

Mężczyzna rzucił mu zaskoczone spojrzenie, a potem znów zwrócił wzrok na drogę.

– Nie określiłbym tak kogoś, kto pracuje z Innymi.

– Odniosłem wrażenie, że pannie Corbyn brakuje dojrzałości odpowiedniej dla jej wieku. Gdybym nie widział jej twarzy, uznałbym, że jest o połowę młodsza.

Kowalski znów zerknął na niego z ukosa.

– Ludzie z Prosteego Życia czasami sprawiają takie wrażenie, ponieważ nie korzystają z naszej techniki. Może przeniosła się tu z Wielkiej Wyspy?

Monty nigdy nie widział ludzi z tej komuny, więc nie miał zdania na ten temat.

– Warto by sprawdzić – mruknął tylko.

– Rzecz w tym, poruczniku, że Inni kontrolują na tej wyspie wszystko oprócz ziemi, którą wydzierżawili komunie Proste Życie i sześciu rodzinom rybackim na południowym brzegu. Dziewczyna z komuny byłaby przyzwyczajona do widoku Innych. Życie wśród nich byłoby dla niej pewnie mniej straszne niż mieszkanie w dużym mieście.

*Może tak być*, pomyślał Monty. Jednak powód zdenerwowania Meg wciąż go dręczył.



Azja zaklęła pod nosem. Cholerne Wrony bez przerwy obserwowały biuro łącznika. Jeśli będzie tędy regularnie przejeżdżał, w końcu zorientują się, że wciąż widzą ten sam samochód. Stojący na parkingu radiowóz też nie sprzyjał wizytom. Azja wiedziała, że jej wygląd zwraca uwagę, i wolała nie pokazywać się gliniarzom. Chciała natomiast zobaczyć nowego łącznika, którego Simon zatrudnił zamiast niej. Objechała kwartał bocznymi uliczkami, zastanawiając się, gdzie są pługi śnieżne,

i wróciła na początek ulicy. Tym razem radiowóz parkował przed biurem łącznika.

Na szczęście policjanci wkrótce odjechali, ale nim zdążyła wykorzystać szansę, do biura wszedł tubylec, który sprzedawał rzeźby i inne artystyczne bzdury. Azja zawsze czuła się przy nim niepewnie, i to nie tylko z powodu jego rozmiarów.

*Spróbuję jutro*, pomyślała.

Kiedy włączyła kierunkowskaz, uświadomiła sobie nagle, że jadąca przed nią biała furgonetka robi dokładnie to samo.

– Widocznie nie tylko ja jestem ciekawska – mruknęła pod nosem.

Zapamiętała rejestrację furgonetki, a potem zatrzymała się na pierwszym lepszym parkingu i dla pewności zapisała numer. Zawsze to jakaś informacja dla Grubej Ryby. Ciągle powtarzał, że informacja to cenny towar. Więc może on i jego kumple docenią, że ktoś interesuje się nowym łącznikiem z ludźmi.

## Rozdział 4

Eksperyment z ekspresem do kawy zakończył się absolutną klęską, więc Meg musiała zadowolić się miską płatków śniadaniowych i jabłkiem. Obiecała sobie za to dziesięciominutową przerwę na kawę, gdy tylko otworzą Coś na Ząb.

Ponownie zakładając niebieskie ubrania, żeby mieć w zapasie czysty czarny strój, obiecała sobie jeszcze jedno – że wpadnie do sklepu na rynku i kupi sobie kilka strojów do pracy, przynajmniej tyle, na ile będzie ją stać. Jak Inni robią pranie? Ubranie Simona Wilczej Straży nie śmierdziało, więc zapewne gdzieś je pierze. Musi się dowiedzieć gdzie i jak.

Tyłu rzeczy musi się jeszcze nauczyć. Tyle rzeczy zna tylko ze zdjęć i filmów szkoleniowych. Jak ma to zrobić, nie ujawniając jednocześnie swojej niewiedzy?

Ale teraz nie miała czasu na takie myśli. Musiała się szykować do pracy.

Wyjęła z lodówki trzy marchewki, umyła je, wytarła i położyła na blacie. Podciągnęła rękawy swetra, po czym sięgnęła po nóż.

Ciało i stal. Cóż za intymny taniec...

*Z każdym nowym cięciem zbliżasz się do tego, które cię zabije, ostrzegala ją Jean. Jeśli nadal będziesz używać brzytwy, kiedy się stąd wydostaniesz, sama się zabijesz.*

Brzęk o blat. Meg odskoczyła, wpatrując się w błyszczącą stal. Potarła lewą rękę, by usunąć nieprzyjemne mrowienie pod skórą. Zwykle wskazywało, że pora na kolejne cięcie. Jeśli z jakichś przyczyn je opóźniano, mrowienie nasilało się, miała wręcz wrażenie, że coś usiłuje przegryźć się przez jej skórę.

*Tylko jedna mała ranka, pomyślała i wyjęła z kieszeni džinsów składaną brzytwę. Tylko jedna mała ranka, żeby zobaczyć, czy marchewki zadziałają, czy kucyki mnie polubią.*

Próbowała przekonać samą siebie, że to tak naprawdę bez znaczenia, że zużywanie skóry na coś takiego to głupota. Poza tym nie wiedziała, jak zareagują Inni na zapach świeżej krwi. Nie pomyślała o tym, kiedy przyjmowała tę posadę.

Jednak już urwała kawałek papierowego ręcznika i ułożyła na blacie obok zlewu. Otworzyła brzytwę i przytknęła ostrze do ciała. Nabrała powietrza i przycisnęła, rozcinając skórę na tyle głęboko, by pozostała blizna.

Zalała ją fala bólu, przypominającego ten, którym karano ją za kłamstwa albo za opór. Zobaczyła kucyki i...

Ból zniknął, zastąpiła go oszałamiająca euforia. To była ekstaza, do której tęskniły dziewczęta, ekstaza pojawiająca się tylko wówczas, gdy brzytwa pocałowała skórę. To...

Meg zamrugnęła. Zachwiała się. Popatrzyła na krew na papierowym ręczniku. Coś związanego z kucykami.

*Żeby zapamiętać, co widzisz, musisz przełknąć słowa razem z bólem,*

powiedziała Jean. *Jeśli wypowiesz przepowiednię, wszystko, co widziałas, rozwieje się jak sen. Będziesz pamiętała pojedyncze fragmenty, ale za mało, żeby mieć z tego jakiś pożytek.*

Musiała coś powiedzieć, musiała opisać, co widzi. Ale nikt nie słyszał jej słów, więc przepowiednia przepadła. Nie dowie się niczego o kucykach.

Popatrzyła na brzytwę i przez chwilę zastanawiała się, czy nie zrobić drugiego nacięcia. Potem spojrzała na zegar. Nie, i tak straciła już za dużo czasu.

Pobiegła do łazienki, przemyła ranę. W apteczce nad umywalką znalazła częściowo zużytą rolkę bandaży i plaster. Opatrzyła ranę, wróciła do kuchni, pospiesznie opłukała brzytwę i schowała ją do kieszeni džinsów. Potem wzięła nóż kuchenny i pokroiła marchewki. Jeśli ktoś zauważy bandaż albo poczuje krew, będzie miała usprawiedliwienie. W kuchni łatwo o wypadek. Skaleczenie na palcu nie będzie niczym niezwykłym, nie wzbudzi niczyich podejrzeń.

Wrzuciła pokrojone marchewki do miski z zakładanym wieczkiem, uprzątnęła kuchnię, po czym narzuciła płaszcz i zebrała resztę rzeczy. Wyszła z mieszkania i zbiegała tylnymi schodami, ciesząc się, że ma tak blisko do pracy.

Nadal było okropnie zimno, ale dużo spokojniej niż poprzedniego ranka. Przynajmniej do momentu, aż Simon Wilcza Straż wyszedł z Czegoś na Ząb z jednym z tych wielkich kubków z przykrywką, które widziała wczoraj w sklepie na rynku.

Na jej widok zatrzymał się gwałtownie i powęszył w powietrzu. Miała nadzieję, że jej włosy śmierdzą na tyle mocno, by zniechęcić go do podchodzenia.

– Dzień dobry, panie Wilcza Straż – powiedziała grzecznie.

– Dzień dobry, panno Corbyn.

Kiedy nic nie dodał, ruszyła szybko do biura łącznika, świadoma, że wciąż na nią patrzy.

Odwiesiła płaszcz i zmieniła buty. Po dłuższym namyśle doszła do wniosku, że marchewki o temperaturze pokojowej będą zdrowsze dla kucyków niż marchewki z lodówki, postawiła więc miskę na blacie. Żałując, że nie ma nic ciepłego do picia, przejrzała zawartość szafek w małej kuchni. Poprzedni łącznik musiał być okropnym niechlujem. Na pewno nic tu nie włoży, póki nie umyje półek. Najpierw jednak będzie musiała dowiedzieć się, jak to zrobić.

Ale przynajmniej dziś rano miała muzykę. Poprzedniego dnia wybrała się do sklepu Muzyka i Filmy i wzięła na kredyt pięć płyt. Musi sobie sprawić notes i zapisywać, jaka muzyka jej się podoba, a jaka nie, jakie potrawy lubi, a jakich nie i... w ogóle wszystko.

Włożyła pierwszą płytę do odtwarzacza, a potem zaczęła szykować się do otwarcia biura. Założyła świeży papier na podkładkę, wyjęła klucze z szuflady w sortowni i odetchnęła z ulgą, kiedy udało jej się otworzyć przejście w kontuarze, a potem frontowe drzwi.

Ptaki wróciły – trzy przysiadły na murze, a jeden na drewnianej rzeźbie. Chociaż Meg nadal nie była pewna, czy to zwykłe wrony, czy Inni, wystawiła głowę za drzwi i powiedziała:

– Dzień dobry.

Pełna zaskoczenia cisza. Kiedy cofała głowę, dwie wrony zakrakały. Ich głos

brzmiał łagodniej niż normalne krakanie, więc postanowiła, że uzna to za pozdrowienie.

Ledwie miała czas wyjąć mapę z szuflady i przenieść na stół do sortowania worków z pocztą, kiedy przyjechała pierwsza furgonetka.

*Nie potrzebuję dzwonka w drzwiach, kiedy czuwają tu Wrony*, pomyślała, kwitując przesyłkę i zapisując dane samochodu.

Kiedy kurierzy stawali w drzwiach, wyczuwała w nich tę samą ostrożność, co wczoraj. A potem tę samą ulgę, kiedy uświadamiali sobie, że nie będą mieli do czynienia z Innymi. Bez oporu podawali jej informacje o tym, kim są i w jakie dni zwykle robią dostawy.

Ciekawe, że prawie zawsze równocześnie podjeżdżały dwie lub trzy furgonetki. Większość kierowców najwyraźniej się znała. Być może uzgadniali między sobą, o której będą realizować dostawy dla Dziedzińca – w grupie zawsze różniej.

Kiedy skończyła się pierwsza fala dostaw, Meg otworzyła drzwi do sortowni i wciągnęła do środka jeden z wózków. Nie lubiła bieżni – zbyt wiele wspomnień o ćwiczeniach w kompleksie – ale może naprawdę powinna iść do Siup i Łup i zobaczyć, jak inaczej można poprawić kondycję? Jeśli nie będzie w stanie dźwigać paczek i worków z pocztą, nie zdobędzie uznania w oczach Simona Wilczej Straży.

Włączyła odtwarzacz CD i zajęła się sortowaniem poczty, kołysząc biodrami do rytmu.

– Stowarzyszenie Przedsiębiorców Dziedzińca – odczytała na kopercie. – Mają tu stowarzyszenie przedsiębiorców? Gdzie? – Odłożyła kopertę na stos: „Spytać Jester”.

Potem natrafiła na kilka listów do Pokoi z czerwonym stemplem „OSTATECZNE WEZWANIE”. Podejrzewała, że wcześniejsze wezwania znajdzie na dnie stosu worków z pocztą.

Czy Inni z zasady nie sortują poczty, czy też uznali, że wszystko może poczekać, póki nie znajdą kogoś do tej pracy? Czy naprawdę wszyscy byli tak zajęci swoimi sprawami, że nie mieli czasu rozesłać poczty i paczek?

Zastanawiała się nad tym, kiedy nagle ktoś otworzył frontowe drzwi. Odłożyła koperty i wyszła za kontuar, przymykając za sobą drzwi do sortowni.

Kobieta, która podeszła do kontuaru, miała błyszczące, długie do ramion jasne włosy, brązowe oczy i staranny makijaż. Na podstawie fotografii szkoleniowych Meg umieściła ją w kategorii „piękna”. Rozpięty skafander ukazywał ponętne ciało w obcisłych dzinsach i sweterku.

Nie mając skali porównawczej, Meg nie mogła się zdecydować, czy kobieta, która ubiera się tak z samego rana, to gwiazda filmowa, czy prostytutka.

– Szukam nowego łącznika – oznajmiła bez zbędnych wstępów.

– To ja – odparła Meg.

– Doprawdy? – W jej oczach mignął gniew, choć usta wygięły się w szerokim uśmiechu. – Och, przecież jesteś taka mała. – Meg wiedziała, że gniew i uśmiech to obrazy pozostające ze sobą w konflikcie, ale widywała już takie konflikty na twarzach chodzących imion, szczególnie kiedy Jean powodowała kłopoty i podburzała inne dziewczęta. Niepewna, jak zareagować, cofnęła się o krok. Gdyby

musiała wezwać pomoc, miała telefon i w sortowni, i tutaj. A w drzwiach do sortowni był zamek. Kobieta przyglądała się jej przez chwilę. – Och, kotku, nie musisz się mnie obawiać. Jestem zła na Simona, że zatrudnił kogoś innego, chociaż to mnie obiecał tę posadę. Nie złoścę się na ciebie.

– Słucham?

Kobieta machnęła ręką.

– Woda pod mostem, jak to mówią. – Przyjacielski uśmiech. – Jestem Azja Crane. Studiuję na Uniwersytecie w Lakeside. Zabójczo Dobre Lektury to coś w rodzaju mojego domu z dala od domu, więc zapewne będziemy się często widywać.

Mało prawdopodobne, ponieważ Meg nie zamierzała zachodzić do księgarni – a przynajmniej nie wtedy, kiedy był tam Simon Wilcza Straż, który albo miażdżył ją wzrokiem, albo czynił niegrzeczne uwagi na temat jej włosów.

– Jestem Meg Corbyn.

Azja klasnęła w ręce.

– Crane. Corbyn. Nasze nazwiska są takie podobne, że mogłybyśmy być siostrami!

– Tylko że ja nie wyglądam tak jak pani – zauważyła Meg. Czy zachowanie Azji było typowe dla ludzi, którzy poznają kogoś nowego?

– Och, nie psujmy wszystkiego nieistotnymi szczegółami! Proszę, nie czuj się urażona moją uwagą o wzroście. To przecież urocze. Bohaterki romansów, które czytuję dla rozrywki, też zwykle są maleńkie.

Meg z trudem przyszło uwierzyć, że Simon sprzedaje romanse. A może to ktoś inny decyduje o tym, jakie książki zamawiają do księgarni?

– Miło cię poznać, ale muszę wracać do pracy – powiedziała.

– A co takiego robisz? – Azja przechyliła się przez ladę i zmarszczyła nos, rozglądając się uważnie. – Chyba się tu strasznie nudzisz. W sumie może to i dobrze, że nie dostałam tej pracy.

– Ta praca to nie tylko przyjmowanie dostaw – oświadczyła Meg obronnie.

– Tak? A co jeszcze?

Meg zawahała się, ale odpowiedź na to pytanie nie wydawała jej się tajemnicą, szczególnie że Simon właściwie obiecał tę pracę Azji.

*Ale skoro obiecał ją jej, to dlaczego zatrudnił mnie?*

– Sortuję pocztę dla Dziedzińca – powiedziała, próbując zignorować mrowienie w prawej ręce.

Azja otworzyła szeroko oczy.

– Dla całego Dziedzińca? Nie tylko dla sklepów, ale dla całego Dziedzińca? Sama?

Meg kiwnęła głową.

– Och, kotku, wątpię, żeby płacił ci dość za furę takiej nudnej roboty.

– Wcale nie jest nudna i wcale nie jest jej dużo... to znaczy jak już rozładuję korek.

Mrowienie przybrało na sile, a przecież nie powinna go czuć tak szybko po poprzednim cięciu. Czy to oznacza, że coś jest z nią nie tak? Chodzące imiona zawsze powtarzały dziewczętom, że nie przetrwają długo poza kompleksem, że świat



je przytłoczy. Jean twierdziła, że to kłamstwo, ale od tak dawna nie mieszkała już poza kompleksem, że nie mogła wszystkiego dobrze pamiętać.

– Wiesz co? Przynies tu trochę tej poczty. Pomogę ci, a przy okazji poznamy się lepiej – zaproponowała Azja.

Meg pokręciła głową i cofnęła się pół kroku w stronę drzwi.

– Dziękuję bardzo, ale poczta musi zostać w sortowni, a tam nikomu nie wolno wchodzić bez pozwolenia pana Wilczej Straży.

– Simon na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. – Azja oparła ręce na kontuarze, podskoczyła i sprawnie przerzuciła nogi na drugą stronę.

Nie zdążyła jednak zeskoczyć, bo w tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież i do recepcji wpadł Simon. Kiedy rzucił się w stronę Azji, ta pisnęła, przerzuciła nogi z powrotem i uciekła poza zasięg jego rąk.

– Simon ma coś przeciwko temu – warknął. – Następnym razem jak spróbujesz wejść tam, gdzie cię nie proszą, stracisz nogę!

Azja wypadła za drzwi, zatrzymała się za progiem i obejrzała na nich. Po chwili odeszła.

Meg przylgnęła do ściany. Nie miała odwagi się ruszyć.

– P-panie W-wilcza Straż, mówiłam jej, że to zabronione, ale ona m-mówiła...

– Wiem, co mówiła – przerwał jej. – A tobie nie płacę za pogaduszki z innymi małpami, kiedy robota leży odłogiem. Jeśli chcesz utrzymać posadę, masz się zabrać do pracy.

– W-wiem.

– Czego się jąkasz? Zimno ci?

Meg, nie śmiać się odezwać, tylko pokręciła głową. Jego następne warknięcie wciąż było pełne gniewu, ale też frustracji. Jeszcze raz rzucił groźne spojrzenie w okno, po czym wrócił do sortowni.

Chwilę później Meg usłyszała trzaśnięcie zewnętrznych drzwi.

Roztrzęsiona i wciąż zbyt przerażona, by się ruszyć, zaczęła płakać.



Simon wpadł do Zabójczo Dobrych Lektur, zerwał z siebie ubranie i przyjął postać Wilka. Ani chwili dłużej nie zniósłby ludzkiego kształtu. Zawył przeciągle, dając wyraz swojej furii.

Nie wiedział, dlaczego jest taki wściekły. Wiedział tylko, że coś w tonie głosu Meg, kiedy próbowała bronić swojego terytorium – i to z tak mizernym skutkiem! – poruszyło go do głębi.

Do magazynu dotarł John, ale jedno spojrzenie na Simona kazało mu się wycofać. Tess zjawiała się następna. W jej włosach połyskiwały zielone i czerwone pasma.

– Simonie, co się stało? – spytała.

Nim odpowiedział, tylne drzwi znów się otworzyły, omal nie uderzając go w zad. Odwrócił się i kłapnął zębami w stronę Jenni, która porzuciła formę Wrony

i drżała teraz z zimna, zupełnie naga.

Całkowicie ignorując i zimno, i Simona – co było wyjątkowo obraźliwe, ponieważ był przywódcą Dziedzińca – zwróciła się do Tess:

– Simon był podły. Teraz Meg przez niego płacze. Idę do sklepu poszukać błyszczącego, żeby się znowu uśmiechnęła. Ta Meg dużo się uśmiecha, kiedy Wilk na nią nie warczy.

Jenni wyszła, zmieniła się we Wronę i poleciała do Błyskotek i Staroci.

Nie nawarczałem na Meg, warknął Simon.

Tess odwróciła się i ruszyła śladem Jenni.

– Porozmawiam z Meg i postaram się wszystko naprawić – rzuciła przez ramię.

Miał wrażenie, że dodała pod nosem „ty idioto”, ale może tylko się przesłyszał.

Spojrzał na Johna, który przykucnął, tak by jego łeb znalazł się niżej niż głowa Simona.

Przynieś ubranie, polecił mu Simon. Potem wbiegł na schody i ruszył do biura.

John przyniósł mu rzeczy, położył na najbliższym krześle i uciekł na dół.

Simon przez chwilę krążył po biurze, wyjąc raz po raz. Nie nawarczał na Meg. Nie do końca. Ale wątpił, by jakakolwiek samica na Dziedzińcu przyznała mu dziś rację.

Zmienił się w człowieka i pospiesznie założył ubranie. Potem podszedł do okna wychodzącego na Wronią Aleję. Ulice były w niezłym stanie. Zaśnieżone, ale przejezdne.

Odwrócił się i rzucił okiem na papiery, które leżały na jego biurku. No cóż, w końcu sam zachęcał ludzi do kontaktów, żeby mógł obserwować ich z bliska.

– Było łatwiej, kiedy chcieliśmy ich tylko zjeść i ograbić – mruknął.

I kiedy nie obchodziło go, że doprowadza kogoś z nich do płaczu.



Azja była tak roztrzęsiona, że nie mogła włożyć kluczyka do stacyjki samochodu.

Gruba Ryba uprzedzał ją, że stosunki z Innymi są ryzykowne, dlatego sponsorzy dali jej tyle czasu na przeniknięcie na Dziedziniec. Dopiero teraz pojęła, że dał jej tak sowitą zaliczkę, ponieważ wiedział, że ryzykowny może oznaczać śmiertelnie niebezpieczny.

Wyciągnęła ze schowka manierkę i upiła łyk whisky, żeby uspokoić nerwy. A potem jeszcze jeden, by pozbyć się wizji drapieżnika, który pożera jej nogę.

– Pieprznięty Wilk – syknęła po trzecim łyku. – Cholerny pieprznięty Wilk powinien siedzieć we własnym sklepie, zamiast węszyć przy takiej brzyduli! – Ta brzydula bez wycucia stylu miała przecież reprezentować Dziedziniec! A na domiar złego była słaba intelektualnie!

Azja spodziewała się mężczyzny, ubrała się tak, żeby zrobić na nim wrażenie.

Była pewna, że Wilcza Straż nie zatrudnił jej na to stanowisko, ponieważ łącznikami byli zwykle mężczyźni, i akurat zgłosił się odpowiedni kandydat. Tymczasem Simon zatrudnił głupawą dziewczuchę o dziwacznych włosach, która uważała, że sortowanie poczty jest interesujące!

Pociągnęła kolejny łyk, a potem wrzuciła manierkę do schowka.

Meg musiała być niespełna rozumu. Bo kto inny starałby się o pracę łącznika dla samej pracy? Ktoś, kto chce się ukrywać – oto kto. Ale przed czym? Przed kim? Kierowca białej furgonetki obserwował kogoś na Dziedzińcu, a Meg Corbyn była jedynym nowym pracownikiem.

A więc ma nazwisko i rysopis dla swojej Grubej Ryby. Kiedy skontaktuje się z nim dzisiaj, powie mu, żeby ustalił, kto interesuje się tą całą Meg. A póki nie dowie się o niej więcej, zostanie jej nową najlepszą przyjaciółką i wykorzysta tę przyjaźń, żeby zdobyć informacje o Dziedzińcu. To jednak oznaczać będzie konieczność konfrontacji z Simonem Wilczą Strażą.

Samobójstwo przy pomocy Wilka. Słyszała to wyrażenie mnóstwo razy, ale dopiero teraz zrozumiała jego sens. Ale jeśli teraz się nie odważy, nigdy nie będzie miała już szansy na realizację swojego planu dotyczącego Meg.

Rozmyślała przez chwilę, a potem uznała, że to nawet dobrze, że czuć od niej whisky. Przyda się to w tym małym dramacie, który zaraz rozegra. W końcu nikt w księgarni nie uwierzy, że ktokolwiek może na trzeźwo zacząć kłótnię z Wilkiem. Agentka do zadań specjalnych Azja Crane powinna być osobą z burzliwą przeszłością i od czasu do czasu zaczynać dzień od drinka.

Któregoś dnia musi spisać swoje pomysły. Będzie miała gotowe argumenty przy rozmowie z Grubą Rybą o swoim autorskim programie telewizyjnym.

Wysiadła z samochodu i ruszyła do Zabójczo Dobrych Lektur.

Weszła do księgarni, zacisnęła ręce w pięści i krzyknęła:

– Simonie Wilcza Straż! Zwlecz tu swoją dupę! Mam ci coś do powiedzenia! – Kilka osób z wrażenia upuściło książki. Kiedy pojawił się Simon, zapadła przerażająca cisza. Azja miała nadzieję, że jego oczy pałają czerwienią, tylko dlatego że w szklach okularów odbija się światło. Nim zdążył się do niej zbliżyć, zaatakowała go słowami: – Simonie Wilcza Straż, jesteś podlejszy niż wściekły skunks!

– Wlazłaś, gdzie ci nie wolno! – ryknął.

– Wybacz, że próbowałam się zaprzyjaźnić! Wpadłam się przedstawić i podnieść na duchu twojego nowego pracownika. Nie miałam pojęcia, że nie wolno jej rozmawiać z ludźmi! To jasne, że biedaczka ma problemy. – Azja postukała się wymownie w czoło. Nie miało znaczenia, czy Simon zrozumie ten gest. Wystarczy, że wszyscy ludzie w sklepie go rozpoznają i uznają, że zatrudnił niemotę. – A jak tylko ktoś się nią zainteresuje, zaczynasz mu grozić. Nie zdziwię się, jeśli ucieknie pewnej nocy i nie wróci, bo tak ją traktujesz. Wiesz, kim jesteś, Simonie?

– Nie – warknął. – Kim jestem?

– Głupim bydlakiem z kłami! Człowiek musi być naprawdę zdesperowany, żeby pracować dla kogoś takiego jak ty!

– Ty chciałaś dla mnie pracować. I nie tylko pracować!

Azja zaczerwieniła się, ale zadarła dumnie podbródek.

– To było, zanim się zorientowałam, że wy, Inni, naśladowacie ludzi tylko po to, żeby dostać od nich to, co chcecie. Ale nie macie pojęcia, co ludzie mają w środku!

Simon wyszczerzył zęby.

– Wiemy doskonale, co ludzie mają w środku. Wnętrznosci. Smaczne.

Szczególnie serce i wątroba.

Kolana się pod nią ugięły, a serce zaczęło walić jej o żebra. Głos wiązał jej w gardle, ale oświadczyła dumnie:

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. – Potem wyszła ze sklepu.

Kiedy dotarła na parking, oparła się o maskę samochodu i zwymiotowała.

*Strach i whisky to niewskazana mieszanka*, pomyślała, jadąc do swojego mieszkania. Postanowiła, że weźmie gorący prysznic, założy coś wygodnego i do końca dnia będzie oglądać ulubione filmy. Za jakieś dwa dni wróci tu i sprawdzi, czy uda jej się spędzić trochę czasu z nowym łącznikiem.

Osiągnęła przynajmniej jedno. Jeśli Meg Corbyn zniknie pewnej nocy, bez względu na przyczynę, wszyscy uznają, że uciekła przed Simonem Wilczą Strażą. I nikt nie będzie jej szukał.



Meg sortowała pocztę, pociągając nosem. Nie miała pieniędzy, by znowu uciekać, więc będzie musiała doczekać tutaj do pierwszej wypłaty.

Podniosła wzrok, kiedy drzwi na zapleczu otworzyły się, ale milczała, dopóki Tess nie stanęła po drugiej stronie stołu.

– Pan Wilcza Straż zostawił kawę – powiedziała w końcu cicho, rzuciła okiem na Tess, a potem skupiła się na poczcie. Pamiętała, że wczoraj kobieta miała zielone pasemka, ale dziś jej włosy mieniły się czerwienią. Czyżby codziennie zmieniała kolor włosów? Jeśli tak, to dlaczego Simon czepia się jej fryzury?

Tess popatrzyła na duży termiczny kubek z pokrywką i wydeła wargi.

– Właściwie to przyniósł ją dla ciebie – odparła. Meg, zaskoczona, podniosła głowę. – Co się stało, Meg? – spytała Tess łagodnie. – Płakałaś. Simon jest wściekły, a Wrony właśnie mi powiedziały, że Azja uciekła stąd, jakby gonila ją cała wataha.

– Zaczynałam sortować pocztę, kiedy przyszła i się przedstawiła. Powiedziała, że pan Wilcza Straż obiecał jej tę pracę, ale zamiast niej zatrudnił mnie. Więc była ciekawa, co robię poza przyjmowaniem paczek.

– I co jej powiedziałaś?

– Że sortuję pocztę dla Dziedzińca.

– Powiedziałaś jej coś o tym, kto zamieszkuje Dziedziniec? Wymieniłaś jakieś nazwiska?

Meg pokręciła głową.

– To chyba naturalne, że ludzi ciekawi to miejsce. Propozycja, że pomoże mi sortować pocztę, to było trochę za dużo, wiem o tym. Ale niektórzy ludzie tacy są – dodała obronnym tonem. – Otwarci i rozmowni. Harry z Dostarczamy Wszędzie też taki jest, ale Jester nie mówił, że rozmowa z nim to coś złego, a ja przecież

powiedziała Azji, że muszę wracać do pracy. Nie powinna była siadać na kontuarze ani przekładać nóg na drugą stronę, ale ludzie tak robią, kiedy chcą pogadać. Siadają na meblach i machają nogami. – Kiedy strach zaczął mijać, ogarnęła ją złość. – A potem pan Wilcza Straż wpadł tutaj i zagroził Azji, że odgryzie jej nogę. Więc uciekła i zapewne już nigdy nie wróci.

– A chciałybyś, żeby wróciła? – spytała Tess.

– Mam masę pytań – odparła Meg. – O rzeczy, o które nie mogę zapytać *jego*. Tess uniosła brwi.

– Jego, czyli pana Wilczą Straż? – Westchnęła. – Jakie to pytania, Meg?

– Nie znalazłam na rynku miejsca, gdzie robi się pranie. Mam prać ubrania w umywalce w łazience czy...? – Chodzenie do pralni poza Dziedzińcem nie wchodziło przecież w grę.

Tess zamyśliła się, wzięła kubek termiczny i podała Meg.

– Kawa nie będzie już gorąca, ale powinna być jeszcze ciepła. Aha, i pamiętaj, że nie wolno wstawiać go do mikrofalówki.

– Będę pamiętać. – Meg wzięła kubek, zdjęła wieczko i napiła się kawy.

– Jeśli chodzi o pranie, to grubsze rzeczy wysyłamy do pralni – no wiesz, pościel, zasłony i to... czego nie chcemy prać sami. Jest też pralka na monety i suszarka w świetlicy, mogą z nich korzystać pracownicy. Każdy kompleks mieszkalny ma własną pralnię.

– Czy jest tam instrukcja, jak obsługiwać pralkę?

*Zdjęcia szkoleniowe. Pralnia, ściany zachlapane krwią, dwie martwe osoby na podłodze.*

Meg zadrzała.

– Wiesz co? Przyjdę po ciebie około wpół do piątej – zaproponowała Tess. – Dostawy powinny się już skończyć, nawet uwzględniając opóźnienia spowodowane przez śnieg. Pójdziemy do sklepu z ubraniami i kupimy ci dość rzeczy na kilka dni. A potem zabiorę cię do pralni w Zielonym Kompleksie. Dostałaś kartę do sklepów?

– Jester podrzucił mi ją razem z przepustką, ale nie wyjaśnił, do czego służy.

– Typowe – mruknęła Tess. – Zawsze próbuje narobić zamieszania. To działa tak: wszyscy pracownicy naszych sklepów są opłacani w ludzkiej walucie, ale otrzymują również kredyt, który mogą wykorzystać w dowolnym sklepie na Dziedzińcu. Więc choć twoja pensja nie jest duża, przeliczając na pieniądze, drugie tyle dostajesz w kredycie na swojej karcie, co tydzień. Pod koniec miesiąca możesz pójść do naszego banku i poprosić o wyciąg, żeby sprawdzić, ile ci zostało na karcie. – Zważywszy, że nie musiała płacić za mieszkanie, Meg pomyślała, że wynagrodzenie jest bardziej hojne, niż się spodziewała. – Nie będę udawać, że rozumiem ludzi – ciągnęła Tess. – Stowarzyszenie Przedsiębiorców zdecydowało się otworzyć dla nich niektóre nasze sklepy, żeby dać obu stronom szansę zrozumienia się nawzajem. Porozmawiam z Simonem, żeby pozwolił Azji Crane wpadać tu czasem na pogawędkę – ale obie musicie pamiętać, że jeśli Simon poczuje jej zapach, tam gdzie nie powinna wchodzić, zabije ją. A o sprawy codzienne możesz pytać mnie. Może być?

– Tak. Dziękuję – odparła Meg.

Tess uśmiechnęła się i spojrzała na ścienny zegar.

– Pozwolę ci teraz wrócić do pracy. Niedługo zjawią się kucyki. I nie zapomnij przyjść na lunch. W Czymś na Ząb masz zapewniony południowy posiłek.

– Będę pamiętać.

Meg zaczekała, aż Tess wyjdzie, a potem wystawiła na ladzie tabliczkę z napisem „Wracam za pięć minut”. Zamknęła drzwi do sortowni i poszła do łazienki umyć twarz. Nic nie poradzi na zapuchnięte oczy, ale zawsze może zwalić winę na kurz. W kącie, gdzie leżą worki z pocztą, jest masa kurzu.

Otworzyła znów drzwi do recepcji i zdjęła z lady tabliczkę w samą porę, by przyjąć kolejną dostawę.

Będzie mogła wypróbować wymówkę z kurzem i sprawdzić, czy ktoś się na to nabierze.



– Simon!

Słyszając ton głosu Tess, Simon przeskoczył przez ladę kasy. To była instynktowna reakcja, zapisana w genach jego rasy – zapewnić sobie dość miejsca do walki.

Kiedy wyszła z zaplecza, jej włosy były zupełnie czerwone i dziko skręcone. Nie czarne. Jeszcze nie w kolorze śmierci. Ale już prawie.

Rozejrzała się. Jej głos dotarł do wszystkich kątów ZDL.

– Zabójczo Dobre Lektury są dziś zamknięte – oznajmiła. – Wszyscy obecni w sklepie mają sześćdziesiąt sekund na jego opuszczenie albo nikt ich więcej nie zobaczy.

I ludzie, i Inni jak jeden mąż rzucili się do najbliższych wyjść prowadzących na ulicę albo do Czegoś na Ząb.

– Tess? – spytała Julia Jastrzębia Straż, stojąca w przejściu do kawiarni. – Czy my też się zamykamy?

– Klienci wynocha. Ty i Merri Lee zostajecie, żeby posprzątać. – Kiedy Simon ruszył do wyjścia na ulicę, żeby zamknąć drzwi na klucz i wywiesić tabliczkę, Tess warknęła: – Ty zostajesz, Wilcza Straż.

Zawrócił i podszedł do niej.

– Jestem przywódcą Dziedzińca. Mieszkasz tu, ponieważ cię zaprosiłem. Nie zapominaj o tym.

W jej czerwonych włosach pojawiły się czarne pasma.

– Skoro muszę zaprzyjaźnić się z małpą, żeby po tobie posprzątać, ty też musisz iść na pewne ustępstwa – stwierdziła.

– Nie musisz się z nikim zaprzyjaźniać. – Simon nie był pewien, czy ona w ogóle jest zdolna do przyjaźni. A choć obaj z Henrym nie szczędzili wysiłków, nadal nie udało im się ustalić, jakiego rodzaju *terra indigena* reprezentuje Tess. Wiedzieli jednak, że potrafi zabić. Wiedzieli to na pewno.

– Cóż, muszę. Dla dobra Dziedzińca zaprzyjaźniłam się z naszym łącznikiem z ludźmi. Teraz twoja kolej.

– A czego ode mnie oczekujesz? Azja Crane wsadzała nos tam, gdzie nie powinna. I dalej wsadza.

Tess przekrzywiła głowę.

– Nawet teraz?

– Nawet teraz. A Meg nie jest dość silna, żeby ją powstrzymać. – *A jednak była dość silna, żeby skądś uciec, i miała dość odwagi, by poprosić mnie o pracę,* dodał w myślach.

– Zmieniłeś Azję w zakazany owoc – stwierdziła Tess.

– Co?

– Przeczytałeś dość ludzkich książek, żeby wiedzieć, co to jest zakazany owoc.

– Owszem, wiedział. Gdyby Meg miała normalny zapach zwierzyny, tak jak powinna, nie reagowałby w ten sposób – jakby chronił kogoś ze swoich. Och, na pewno zmusiłby Azję do wycofania się, ale postąpiłby z nią tak samo, jak z klientem, który próbuje zajrzeć na zaplecze księgarni. Czyli to wina Meg, że nie zachował się właściwie. – Simon?

Usłyszał w głosie Tess ostrzeżenie.

– Nie zabronię Azji odwiedzać Meg, pod warunkiem że zostanie po właściwej stronie kontuaru.

– A ja porozmawiam z moimi pracownicami, żeby pomogły mi się zaprzyjaźnić z łącznikiem – powiedziała Tess.

– I obserwować Azję?

– To też.

Jej włosy nadal były czerwone, ale czarne pasma zniknęły, a loki zaczęły się prostować.

Simon zrobił krok w tył i rozejrzał się.

– Nie mam ochoty otwierać księgarni.

– I tak nikt tu dziś nie przyjdzie – mruknęła Tess. – Ale jutro strach zniknie. – Uśmiechnęła się. – John wspominał, że dostałeś partię terrorów.

– Horrorów. – Teraz on też się uśmiechnął. – Dwie skrzynie książek autorów *terra indigena*. Zwykle nie udostępniam ich ludziom.

– Może powinieneś je wystawić. Przewiduję, że będziemy mieli ruch w interesie.

– Potroilibyśmy sprzedaż, gdybyśmy zjedli jakiegoś klienta.

Tess roześmiała się.

– Może następnym razem.

Simon westchnął.

– Muszę choć na jeden dzień pozbyć się tej skóry.

– A ja potrzebuję kilku godzin samotności. Do jutra, Wilcza Straż.

– Do jutra. – Skinął głową w stronę Czegoś na Ząb. – Co z kawiarnią?

– Julia i Merri Lee posprzątają i zamkną. Powiem im, żeby przed wyjściem zaniósł Meg coś do jedzenia.

Simon nie pytał o nic więcej. Wyjął klucze i zaryglował drzwi od ulicy. Sprawdził biuro, zadzwonił do Vlada i powiedział mu, że zamyka. Wspomniał też o wystawieniu horrorów autorstwa *terra indigena*. Potem przeszedł przez księgarnię, gasząc wszędzie światła, włożył palto i wyszedł, zamykając na klucz tylne wejście.

Nie chciał być w tej skórze. Chciał nosić ciało Wilka. Ale musiał zachować tę formę, póki nie wyprowadzi Sama, syna Daphne, na kilka minut na dwór – mały tylko tyle był w stanie znieść od tamtej nocy, kiedy jego matka padła ofiarą ludzi. Potem jednak odstawił malca do domu, zmienił się i pobiegał przez kilka godzin.

Ruszył w stronę Zielonego Kompleksu z nadzieją, że spacer w zimny dzień zamrozi jego gniew i frustrację – jak zwykle żałując, że nie jest w stanie przełamać strachu, który utrzymywał Sama uwięzionego w jednej formie.



Czekając na kucyki, Meg położyła płaszcz i miskę z marchewką na stole do sortowania, obok poczty. Kiedy się zjawiły, otworzyła drzwi sortowni i uśmiechnęła się do ich ponurych mordek.

– Dzień dobry – powiedziała, mając nadzieję, że nie zauważą, jak bardzo wymuszony jest jej uśmiech. – Przyniosłam coś dla was, ponieważ tak ciężko pracujecie, dostarczając pocztę. Więc najpierw zapakuję kosze, a potem pokażę wam niespodziankę.

*Może one nie są ponure, pomyślała, wypełniając przegródki w koszyku Gromu. Może po prostu wszystkie kucyki mają takie pyszczki?*

Kiedy Grom odszedł, poczuła rozczarowanie, że ją lekceważył, ale on tylko zrobił kółko i ustawił się za Mgłą, żeby potem znów być pierwszy.

Kiedy Meg poszła po ostatnią partię poczty do Zielonego Kompleksu, gdzie miała dziś udać się Mgła, zabrała ze sobą miskę z marchewkami.

Wtedy okazało się, że pyszczki kucyków mają więcej wyrazów. Grom pierwszy kawałek marchewki wziął nieufnie, a drugi już z zapalem. Kiwając głową odbiegł truchtem, a do miski zaczęła przepychać się reszta.

Dopiero gdy Meg napomniała je, by czekały na swoją kolej, i zapewniła, że wystarczy dla wszystkich, uspokoiły się i czekały cierpliwie, zainteresowane nią na równi z marchewkami.

Kiedy ostatni z nich odszedł, Meg zamknęła drzwi i poczuła, że wreszcie coś jej się udało. Odstawiła miskę na stół, żeby sama mogła pogryzać marchewki przy pracy, i poszła do łazienki, zmyć z siebie ślinę kucyków i założyć na palec nowy opatrunek.



Kiedy Kowalski skręcił we Wronią Aleję, Monty zauważył tabliczkę z napisem „Zamknięte” na drzwiach Zabójczo Dobrych Lektur.

– Zatrzymaj – polecił. Popatrzył na drzwi księgarni, a potem na zamkniętą kawiarnię. – Czy to normalne, że zamykają, chociaż inne sklepy są otwarte?

– Nie – odparł Kowalski. – Inni są kapryśni, jeśli chodzi o godziny pracy, a czasami ich sklepy są zamknięte dla ludzi, żeby *terra indigena* nie musieli mieć



z nami do czynienia. Ale wtedy wywieszają na drzwiach tabliczkę „Tylko dla miejscowych”. Nie gasiliby też światła, a w środku byłiby klienci.

– Więc coś musiało się stać – stwierdził Monty. – I zapewne nie było to nic dobrego.

– Zapewne.

Monty otworzył drzwi radiowozu.

– Widzę jakiś ruch w kawiarni. Zaczekaj tutaj.

Wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi i zapukał tak głośno, żeby dwie będące w środku kobiety nie mogły go zignorować. Ciemnowłosa podeszła do drzwi i wskazała tabliczkę. W odpowiedzi Monty pokazał swoją odznakę.

Otworzyła drzwi.

– Już nieczynne – oświadczyła stanowczo.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytał Monty, spokojnie i uprzejmie.

Pokręciła głową i już chciała zamknąć drzwi, kiedy odezwała się druga kobieta:

– Wpuść go, Merri Lee. Zabierze kawę i jedzenie. To policja. Tess powiedziała, że mamy być dla niego grzeczne.

Kobieta nazwana Merri Lee wpuściła Monty’ego i zamknęła za nim drzwi na klucz.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Wcześniej mieliśmy... pewną nieprzyjemność. Lepiej, żeby ludzie się tu dziś nie kręcili.

– A wy?

– Julia należy do Jastrzębiej Straży, więc nic mi nie będzie – odparła, po czym zwróciła się do kobiety, która nalewała już kawę do dwóch dużych jednorazowych kubków: – Mam zanieść jedzenie Meg?

– Już wszystko przygotowałam – odparła Julia. – Dla ciebie też. I dla mnie. Masz torbę?

Dopiero po chwili Monty zorientował się, że pytanie skierowane było do niego.

– Nie, proszę pani, nie mam.

– Zwykle je sprzedajemy, ale jesteś z policji, więc dam ci ją za darmo – oświadczyła Julia.

Torba z grubego płótna miała dwie przegródki ze sztywnym dnem na kubki oraz zapinaną na suwak część na kanapki albo pojemniki z jedzeniem. Była nawet kieszeń na sztuce.

Monty w milczeniu przyglądał się, jak Julia pakuje kanapki i ciastka. Najwyraźniej pozbywali się wszystkiego, co zamierzali dziś sprzedać, a co nie wytrzyma do jutra.

– Co tu się stało? – spytał.

– Jenni powiedziała, że Simon zdenerwował Meg i doprowadził ją do płaczu – odparła Julia. – Potem ta cała Azja przyszła do Zabójczo Dobrych Lektur i krzyczała na Simona, a jeszcze potem Tess i Simon nakrzyczeli na siebie za to, co było z Meg. Wtedy zamknęli sklepy. Nie jest bezpiecznie, kiedy Simon i Tess na siebie krzyczą.

– Czy pannie Corbyn coś się stało?

– Nie. Jest tylko zdenerwowana – odparła Merri Lee. Popatrzyła, jak Julia

zapina torbę, i dodała: – Powinien pan już iść.

Troska i ostrzeżenie. Cokolwiek tu się dziś stało, zdarzało się już wcześniej. Ludzie – i Inni – wiedzieli, jak nad tym zapanować.

Monty miał nadzieję, że wiedzieli również, jak przeżyć.

Nie mógł zrobić nic więcej, więc przyjął torbę z jedzeniem i podziękował. Opuszczając sklep, dał Merri Lee swoją wizytówkę.

Kiedy wsiadł do samochodu, bez słowa wyjaśnienia zwrócił się do Kowalskiego:

– Stań na parkingu, muszę kilka minut pomyśleć. Poza tym dostaliśmy jedzenie i kawę.

Merri Lee pewnie nikomu nie wspomni, że był w kawiarni, ale Julia Jastrzębia Straż poinformuje o jego obecności Innych, więc nie mógł teraz tak po prostu zajrzeć do Meg Corbyn i upewnić się, że jest „tylko zdenerwowana”. Będzie to musiał sprawdzić w inny sposób.



Ktoś zapukał głośno do tylnych drzwi, a potem jeszcze raz, zanim Meg zdążyła do nich podejść. W progu stała jakaś kobieta

– Cześć – powiedziała. – Jestem Merri Lee. Mogę wejść do środka, żeby ciepło nie uciekało? – Nadal dotknięta tym, jak Simon zareagował na Azję, Meg odsunęła się na bok. Czuła lekki opór, choć kobieta trzymała w ręku przepustkę. – Przyniosłam ci obiad – wyjaśniła Merri Lee. – Dziś jest niespokojnie, więc... Łał! – Rozejrzała się, wyraźnie zaskoczona. – Drugi pokój też jest w takim stanie?

– W podobnym. – Meg też się rozejrzała. – Dość brudno, prawda? – Tak uważała, ale nie była pewna, czy inni ludzie też tak sądzą.

Merri Lee podała jej torbę.

Słuchaj, w tym biurze może przebywać tylko łącznik i *terra indigena*, ale ja nie chciałabym tu pracować, póki nie posprzątam.

– Trzeba przesortować masę poczty – odparła Meg obronnie.

– Jasne, to twój obowiązek – zgodziła się Merri Lee. – Ale Coś na Ząb jest dziś zamknięte, więc mogę w godzinach pracy posprzątać chociaż to pomieszczenie.

– Jeśli nie wolno ci tu przebywać, wpadniesz w kłopoty. – Merri Lee była bardzo miła i Meg nie chciała, żeby spotkało ją coś złego.

– Nie, jeśli dostanę zgodę członka Stowarzyszenia Przedsiębiorców. – Merri Lee poruszyła się niepewnie. – Nie mogę spytać Simona ani Tess, a wolałabym nie zwracać się z tą sprawą do Vlady czy Nyx. – Nagle jej twarz się rozjaśniła. – Jeśli Henry jest w swojej pracowni, zapytam jego o pozwolenie. Masz tu jakieś środki czyszczące?

– Nic nie znalazłam.

– Nawet do toalety? – Meg pokręciła głową. – Na bogów... No dobrze, znajdę coś, ale najpierw porozmawiam z Henrym. – Rzuciła okiem na rękę Meg. – Co ci się stało w palec?

– Kroiłam marchewki dla kucyków. Zagapiłam się. Ale to nie jest głęboka rana.

Merri Lee kiwnęła głową.

– Znajdę ci jakieś rękawiczki ochronne. Będzie szczypać, jeśli środki chemiczne dostaną się do rany. – Podała jej drugą torbę. – To moje jedzenie. Połóż je gdzieś, póki nie wrócę, dobrze? – Uśmiechnęła się do Meg, pomachała jej i odeszła szybkim krokiem.

Meg zaniósła torby na stół w sortowni. Nie chciała okłamywać kogoś, kto był dla niej miły. Źle się z tym czuła. Nie sądziła, że kłamstwo ma swoją fizyczną wagę. Ale nie zamierzała też przed nikim zdradzać prawdy o swoich ranach i przepowiedniach. Chyba że nie będzie miała innego wyjścia.

Otworzyła torbę z jedzeniem. Gdy wyjmowała kanapkę, coś małego i brązowego śmignęło przez podłogę i ukryło się w stosie worków z nieposortowaną pocztą.

Kiedy kilka minut później Merri Lee wróciła z Henrym Niedźwiedzią Strażą i dwoma kobietami, Meg klęczała na stole do sortowania, wpatrując się z przerażeniem w róg pomieszczenia. Merri Lee zatrzymała się w progu, najwyraźniej gotowa do ucieczki. Henry i pozostałe kobiety weszli do sortowni.

Meg bez słowa wskazała im drżącą dłonią kąt pomieszczenia. Henry natychmiast tam podszedł, powęszył chwilę i stwierdził bez cienia emocji:

– Mysz.

– Na bogów... – jęknęła Merri Lee.

– Łatwiej je złapać, jeśli zostawi się jedzenie na podłodze – pouczyła kobieta o brązowych włosach.

– Po co? – spytała Meg.

– Świeża przekąska – odparła wesoło czarnowłosa.

– Na bogów! – powtórzyła Merri Lee i zasłoniła sobie ręką usta.

Henry przyjrzał się jej, a potem przeniósł wzrok na Meg.

– Ludzie nie lubią myszy? – zapytał.

– Nie w domu – stwierdziła Meg.

– I nie przy jedzeniu – dodała Merri Lee.

Trójka *terra indigena* wydawała się zaskoczona.

– Ale to przecież świeże mięso – powiedziała wreszcie kobieta o brązowych włosach.

– Ludzie nie jadają myszy – wyjaśniła Merri Lee. – Ani szczurów. Po prostu nie jadają i już.

Cisza.

Wreszcie Henry westchnął głośno.

– Odłożymy dziś inne prace i posprzątamy biuro naszego łącznika – oznajmił i wskazał palcem Merri Lee. – Pokażesz nam, jak to się robi.

– Pójdę na rynek po środki czyszczące i wysprzątamy tu na błysk – powiedziała Merri Lee.

– Potrafisz robić błyszczące? – zakrakała nagle ożywiona czarnowłosa kobieta.

– W pewnym sensie.

Zachęcona tym stwierdzeniem, Wrona postanowiła pójść z Merri Lee, a Henry

zaczął przekładać worki i pudełka leżące w kącie sortowni.

Kobieta o brązowych włosach miała na imię Allison i była Sową. Od razu z wielką zręcznością złapała dwie myszy, ale Henry kazał jej wyjść i zjeść je na zewnątrz, co Meg przyjęła z wielką ulgą.

Kiedy pięć osób zabiera się za sprzątanie trzech pomieszczeń – a jedna z nich to silny jak niedźwiedź mężczyzna – robota idzie szybko, nawet mimo przerw, jakie robiła sobie Allison na mysie przekąski. Okazało się, że niektóre paczki w kącie zostały nadgryzione, a inne zgniecione. Meg zauważyła, że wiele zaadresowanych było do osób mieszkających w Pokojach. Zaciekawilo ją, kim są ci Sanguinati, że poprzedni łącznik nie chciał realizować im dostaw.

Z drugiej strony Jester mówił przecież, że nie zachęcali poprzedniego łącznika do kręcenia się po Dziedzińcu. Jednak zdaniem Meg powinno się coś zrobić, żeby dostarczyć paczki ludziom, którzy na nie czekali.

Wymówiła się od jedzenia, kiedy sprzątali – tym bardziej że nadal istniała możliwość natknięcia się na myszy. Ponieważ Merri Lee również unikała posiłku, chociaż głośno burczało jej w brzuchu, Inni pogodzili się z tym dziwnym zachowaniem.

Wreszcie stare paczki zostały ustawione na jednym z wózków, a wszystkie blaty, stoły, szafki i podłogi porządnie umyte. Kuchenka mikrofalowa i lodówka lśniły czystością, a łazienka nie budziła już odrazy. Allison wróciła do Kompleksu Sowiej Straży, żeby opowiedzieć o dziwnych uprzedzeniach ludzi wobec myszy, a Crystal Wronia Straż pobiegła do Błyskotek i Staroci ze szmatami i butelką preparatu czyszczącego w sprayu. Chciała, żeby ich wystawa też zaczęła się świecić.

Gdy zostali we trójkę, Henry wycelował palec w Meg.

– Jest czysto. Teraz jedz. – Potem wskazał Merri Lee. – Możesz ją odwiedzać i siedzieć z nią w pokoju na zapleczu.

Meg spojrzała na zegar.

– Już prawie druga. Muszę się zająć dostawami.

– Jedz – nakazał ostro Henry. – Ja popilnuję, póki nie skończysz.

Meg poszła na zaplecze. Stały tam stolik i dwa krzesła.

– Rano ich tu nie było – stwierdziła za zdziwieniem.

– Owszem – odparła Merri Lee, wyjmując jedzenie z lodówki. – Ale wspomniałam Henry’emu, że byłoby milej, gdybyś mogła gdzieś usiąść i zjeść, kiedy nie chcesz wychodzić podczas przerwy, a wtedy on je skądś przyniósł. – Rozejrzała się po pomieszczeniu i z aprobatą pokiwała głową. – Lepiej. Dużo lepiej.

– Masz rację – zgodziła się Meg. – Dziękuję.

Nie rozmawiały wiele. Może obie były zbyt głodne, by myśleć o czymś poza jedzeniem. A może po prostu na tę chwilę dowiedziały się o sobie wystarczająco, by o nic więcej nie pytać.

Merri Lee wyszła, gdy tylko skończyła jeść. Meg schowała do lodówki to, czego nie dały już rady zjeść, a potem poszła do recepcji – w samą porę, żeby przyjąć dwie dostawy od kurierów, którzy na widok Henry’ego zaczęli się wycofywać.

Kiedy zostawili paczki i odjechali, Henry z zadowoleniem pokiwał głową.

– Nie odbieram telefonu, kiedy rzeźbię, ale gdybym był ci potrzebny, zgłoś się do Wron, one mnie zawołają – powiedział.

– Dziękuję za pomoc – odparła Meg.

Gdy wyszedł, wróciła do sortowania poczty, ale co chwilę spoglądała na stare paczki. Jutro musi coś z nimi zrobić.

Miała zamykać, kiedy na teren dostaw wjechał radiowóz.

*Znalazł mnie*, pomyślała Meg i serce jej zamarło. *Kontroler mnie znalazł. Dlatego przyjechała policja.*

Nie widziała wcześniej tych ludzi, ale oni zapewne mieli już do czynienia z Innymi, ponieważ obaj wysiedli, zdjęli czapki i popatrzyli prosto na Wrony, zanim weszli do biura.

– Dzień dobry – powiedział jeden z nich, kiedy podeszli do kontuaru. – Jestem posterunkowy Michael Debany, a to mój partner Lawrence MacDonald. Pracujemy z porucznikiem Montgomerym. Chcieliśmy się przedstawić i powiedzieć, że zawsze służymy pomocą, jeśli będzie taka potrzeba.

Kiedy podczas krótkiej rozmowy posterunkowy Debany raz jeszcze powtórzył tę deklarację, Meg zrozumiała, że chcą się dowiedzieć czegoś o dzisiejszym zajściu, a także ustalić, czy coś jej się stało i czy nie boi się stąd wyjść.

Nawet gdyby była w potrzebie, nie poszłaby z nimi, ale poczuła się lepiej ze świadomością, że ludzie pracujący dla *terra indigena* mogą liczyć na jakąś pomoc.

Kiedy policjanci wyszli, zamknęła recepcję i dalej sortowała pocztę. Później Tess pomogła jej z zakupem ubrań i praniem i okazało się to dużo przyjemniejszym doświadczeniem, niż się spodziewała.

Wieczór upłynął Meg w dobrym nastroju. Popsuł go dopiero człowiek, którego zobaczyła przez okno, gdy zaciągała zasłony. Stał na ulicy i obserwował ją.

## Rozdział 5

Następnego dnia zjawiło się osiem kucyków. Meg napełniła ich kosze, rozdała przekąski i odetchnęła z ulgą, że nie zabrakło jej marchewek. Nie była pewna, czy potrafią liczyć i czy ostatni kucyk zorientował się, że dostał jeden kawałek marchewki zamiast dwóch, ale na szczęście się nie obraził.

Pomachała im, kiedy odchodziły, a potem zamknęła drzwi, umyła ręce i wróciła do sortowania. Środa była najwyraźniej dniem odpoczynku od dostaw z ludzkich firm, ale z powodzeniem zastąpiły je ciężarówki z emblematem *terra indigena* na szoferce. Te nie podjeżdżały jednak do biura łącznika; przejeżdżały tylko drogą dojazdową między biurem a konsulem, na miejsce dostaw dla rynku.

Według Merri Lee Dziedziniec w Lakeside zaopatrywał *terra indigena*, którzy chcieli cieszyć się ludzkimi produktami, ale nie chcieli mieć do czynienia z ludźmi. Z farm prowadzonych przez Innych napływały na Dziedziniec mięso, nabiał i inne produkty. Z kolei ubrania, książki, filmy i tym podobne przedmioty wędrowały w drugą stronę.

Meg spojrzała na stare paczki. Nalepki: „Dziedziniec w Lakeside”. Czy były przeznaczone dla osad *terra indigena*? Nie chciała zawracać głowy Henry’emu, który zresztą i tak nie odbierał telefonu, a tym bardziej nie miała ochoty dzwonić do wielkiego złego Wilka. Ale kogoś musiała spytać, ostatecznie wybrała więc numer księgarni.

– Może przejechało go drzewo – mruknęła, czekając, aż ktoś podniesie słuchawkę. Wyobrażała sobie kłodę spadającą ze wzgórza i rozgniatającą po drodze pewnego Wilka. Widziała takie rzeczy na filmach szkoleniowych, więc pewnie mogło się to zdarzyć. Ta myśl była tak pocieszająca, że Meg w wyobraźni zamieniła kłodę na wałek do ciasta, który rozwałkował Wilka na wielki włochaty placek...

– Zabójczo Dobre Lektury – usłyszała w końcu.

Potrzebowała chwili, żeby zebrać myśli.

– Mówi Meg Corbyn.

– Chcesz rozmawiać z Simonem?

– Nie.

– Aha.

Spróbowała wymyślić jakieś pytanie, na które każdy w księgarni mógłby odpowiedzieć, żeby mogła się rozłączyć, nim ktoś powie Wilkowi, że dzwoni. Spojrzała na paczki.

*Pomnienie. Kobieta zamknięta w pudle – niespodzianka dostarczona jako prezent. Ale nikt nie wiedział, że ona jest w pudle, dlatego nikt nie szukał paczki, kiedy nie dostarczono jej na czas...*

Dziewczęta nie pamiętały swoich przepowiedni, jeśli wypowiedziały je na głos, ale w ich pamięci pozostawały obrazy, coś na kształt zdjęć szkoleniowych. Jean

nazywała je pomnieniami, ponieważ było to więcej niż zwykłe obrazy, ale też mniej niż prawdziwe wspomnienia.

W żadnej z tych paczek nie było kobiety. Nikt nie umarł tam w środku. Ale i tak ktoś na nie czeka i jest coraz bardziej rozczarowany.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, czy paczki, które mam w biurze, mają trafić do ciężarówek *terra indigena* razem z resztą dostaw?

Chwila milczenia.

– Ktoś, ale nie Simon? – upewnił się ostrożnie głos.

– Właśnie.

Jej rozmówca musiał zakryć dłonią słuchawkę, bo nie rozumiała słów – ale wyczuła emocje. Najwyraźniej znów zrobiła zamieszanie w ZDL.

Cisza, jaka nastąpiła potem, była tak absolutna, jakby połączenie zostało przerwane. W końcu głos po drugiej stronie oznajmił:

– Vlad przyjdzie i popatrzy.

– Dziękuję.

Meg odłożyła słuchawkę i wróciła do sortowania. Nie była pewna, czy Vlad będzie lepszy od *niego*, ale przynajmniej na nią nie nakrzyczał. Jeszcze.



Vlad oparł się o drzwi biura i obrzucił Simona takim spojrzeniem, że Wilkowi od razu wydłużyły się kły, a paznokcie zmieniły się w szpony.

– Idę do biura łącznika – oświadczył z uprzedzającą grzecznością.

– Dlaczego? – warknął Simon.

– Ponieważ Meg najwyraźniej nie ma ochoty z tobą rozmawiać. A ty zapewne czujesz, że ma ku temu powody. Inaczej nie siedziałbyś tu przez całe rano, zajmując się rzeczami, których nie znosisz. Coś mi się zdaje, że próbujesz odpokutować.

– Nie potrzebuję pokuty.

– Narobiłeś wczoraj niezłego bigosu.

– To ona narobiła.

– Możesz sobie mówić, co tylko chcesz – stwierdził Vlad, odpychając się od drzwi. – Niczego to nie zmieni.

– Możesz mnie ugryźć.

– Dziś jesteś za kwaśny. Wolę spróbować... – Simon natychmiast poderwał się na równe nogi. Vlad popatrzył na niego, a potem podniósł ręce. – Idę tam na prośbę Meg, żeby udzielić jej odpowiedzi na kilka pytań – nic więcej. Masz moje słowo, Wilcza Straż.

Głupio byłoby pobić się z przyjacielem, zwłaszcza jeśli tym przyjacielem był Sanguinati. Jednak Simona wiele kosztowało opanowanie się.

W końcu jednak przyjął całkowicie ludzką formę, usiadł za biurkiem i wziął pióro, jakby już wszystko ustalili.

– Jeśli musisz kogoś próbować, zrób nam wszystkim przysługę i ugryź Azję Crane.

Vlad zaśmiał się.  
– Jesteś naprawdę podły.



Gdyby Meg miała opisać Vlada, kierując się określeniami ze zdjęć, jakie pokazywano jej na szkoleniu, użyłaby słów: wysoki, mroczny, nieznajomy, niebezpieczny.

Przeraził ją. Jego ruchy były bardziej płynne niż ruchy innych *terra indigena*. Oni byli drapieżnikami w sposób oczywisty, natomiast przy Vladzie ludzie zapewne nie uświadamiali sobie niebezpieczeństwa, póki nie było za późno.

A jednak zachowywał się uprzejmie i nie naskoczył na nią, tylko sprawdził adresy na paczkach, które odłożyła na bok, i zgodził się, że powinny trafić na ciężarówkę *terra indigena*. Później zadzwonił do Jestera i poprosił o kuca oraz sanie, żeby przewieźć paczki. Kiedy czekali, wyjaśnił Meg, że kierowcy sami zorientują się, która paczka powinna trafić na którą ciężarówkę.

Jester zjawił się z kucykiem o imieniu Trąba Powietrzna i razem z Vladem załadowali paczki na małe sanki. Potem Trąba Powietrzna zawiózł ładunek na miejsce dostaw, gdzie stały ciężarówki.

– Jeśli to już wszystko, muszę wracać do księgarni – powiedział Vlad z uśmiechem. – Simon postanowił zająć się dziś papierkową robotą, więc lepiej, żeby nie obsługiwał klientów. Lepiej dla klientów. – Gdy był już w drzwiach, dodał: – Podejrzewam jednak, że Wilcza Straż około południa zrobi sobie przerwę na łyk świeżego powietrza. – A zatem Wilk może wsadzić nos do biura i znów wytknąć jej parę błędów. – Co chcesz z nimi zrobić? – spytał Jester, wskazując stos paczek nadal leżący na wózku. – Mam przysłać po nie Trąbę Powietrzną?

– Nie – odparła Meg szybko. – Wezmę PNK i dostarczę je osobiście. Mówiłeś, że to należy do moich obowiązków.

– Owszem. – Rozbawienie w jego oczach wskazywało, że dobrze wie, dlaczego Meg nie chce tu być podczas przerwy obiadowej. – Odłączyłaś już PNK od zasilania? – Pokręciła głową. To była jedna z tych rzeczy, których jeszcze nie próbowała. – Więc jeszcze dziś ja to zrobię i przyprowadzę ci tutaj PNK.

– Czy mogę zabrać ze sobą mapę, póki nie poznam okolicy? – zapytała. Rozbawienie zniknęło z twarzy Vlada.

– Lepiej, żebyś jej nie zgubiła – rzucił surowo.

*Ani nikomu nie pokazywała*, dodała w myślach Meg.

– Będę ostrożna.

W jego oczach znów pojawiło się rozbawienie, ale innego rodzaju. Ostre, niemal drapieżne.

– Może zrobię ci kopię w Trzech P? To naprzeciwko. Lorne wprawdzie jest człowiekiem, ale można na nim polegać. – Uśmiech Jestera jasno powiedział Meg, że nie wszystkim ludziom pracującym dla Innych można zaufać. – Trzy P to Poczta, Prasa i Papier – wyjaśnił. – Lorne sprzedaje papeterie i znaczki potrzebne na listy



wysyłane poza Dzedziniec. Drukuje też tygodnik Dzedzińca.

– Macie własną gazetę? – spytała z zaskoczeniem.

– Oczywiście. Inaczej skąd mielibyśmy wiedzieć, jakie filmy wyświetlają w świetlicach w kompleksach mieszkalnych? Albo jakie nowe książki mają w bibliotece? – Jester przycisnął dłoń do piersi. – Poza tym są jeszcze rady Pani Wiem Wszystko w jej rubryce „Etykieta Innych”.

– Macie rubrykę z poradami? – Meg aż otworzyła usta ze zdziwienia. – Żartujesz?

– Z Pani Wiem Wszystko nie żartujemy. Pamiętaj o tym – odparł. Potem złapał mapę i wyszedł.

Meg nie ruszyła się z miejsca, próbując poukładać sobie w jedną całość słowa i skrajne reakcje Jester, na przykład kiedy spytała, czy może zabrać mapę. To on ją przyniósł i nakazał ostrożność. A teraz nagle radzi jej, gdzie można ją skopiować i kupić znaczki na listy wysyłane poza Dzedziniec. Czyżby chciał świadomie wpakować ją w kłopoty?

*Test*, pomyślała. Może tak naprawdę wielu innych ludzi widziało już tę mapę. Może to wcale nie była taka wielka tajemnica. Może to w ten sposób Inni decydowali, czy mogą zaufać danemu człowiekowi. *A jeśli ludzie, którzy oblewają ten test, znikają? Umrę na tym Dzedzińcu, wiem o tym. Nie wiem tylko, czy z powodu mapy, czy dlatego że obleję jakiś inny test.*

Kilka minut później usłyszała klakson PNK. Odsunęła od siebie niepokojące myśli, założyła płaszcz, otworzyła drzwi sortowni i zaczęła pakować paczki na tył pojazdu.

PNK to naprawdę było pudełko na kołach. Z przodu miał dwa siedzenia, a reszta niewielkiej przestrzeni w środku służyła do przewożenia ładunków.

Jester położył na siedzeniu pasażera kopię mapy, a oryginał zaniósł do sortowni. W międzyczasie rzucił coś o tym, że Wilk miałby z tyłu masę miejsca, tak jakby miała ochotę, żeby jakiś Wilk dyszał jej w kark, kiedy będzie prowadzić.

Czy oni wszyscy naprawdę sądzili, że jeśli będą wciąż wspominać o Simonie, Meg zapomni, jak ją wczoraj potraktował? Może Inni nie czują strachu, ale ludzie na pewno.

Nawet tacy jak ona.

Trochę przed południem zamknęła biuro i wsiadła do PNK. Upewniła się, że ma przepustkę w kieszonce swojej nowej torebki.

Kiedy Jester zapukał w okno, odwróciła je.

– Coś jeszcze? – zapytała grzecznie.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście. – Miała nadzieję, że jej głos zabrzmiał pewnie. Naprawdę chciała, żeby sobie poszedł, nim spróbuje ruszyć.

– Powiem Tess, że spóźnisz się na obiad.

*Ciekawe, co jeszcze jej powie.*

– Dziękuję.

Znów dostrzegła rozbawienie w jego oczach. Najwyraźniej domyślił się, dlaczego nie zamierza ruszać przy nim. W końcu odszedł.

Meg przywołała w pamięci zdjęcia szkoleniowe wewnątrz samochodów, znalazła

przełącznik świateł i włącznik wycieraczek, a także pokrętło od ogrzewania. Nie do końca przekonana, czy da sobie radę – pewnie będzie musiała jechać nie tylko do przodu – ruszyła na swoją pierwszą dostawę.

Po kilku minutach jazdy po ośnieżonej drodze zaczęła się zastanawiać, czy kucyk i sanie nie byłyby jednak lepszym rozwiązaniem. Kucyk przynajmniej nie próbowałby co chwilę zbaczać z drogi. Choć musiała przyznać, że PNK to dzielny mały pojazd. Wytrwale wspinał się na wzniesienia i starał się nie wpadać w poślizgi.

Z mapy wynikało, że jedzie główną drogą, która okrąży cały Dziedziniec, więc powinna być odpowiednio odsnieżona na całej długości. Póki z niej nie zjedzie, nie jej się nie stanie. Poza tym myśl o powrocie do biura i nieuniknionym spotkaniu z Simonem tylko popędzała ją do dalszej jazdy. Zresztą i tak nie wiedziała, jak się zawraca.

To nie była jej wina, że nigdy nie prowadziła samochodu w śniegu – ani w żadnych innych warunkach. Życie takich jak ona było kontrolowane i sterylne. Dziewczęta nie stykały się z innymi bodźcami niż obrazy i dźwięki na szkoleniach. Dzięki temu można było weryfikować przepowiednie, ponieważ zakładano, że wszystkie widziały i słyszały to samo. Chodzące imiona odkryły, że takie życie uwrażliwiało dziewczęta na wszelkie bodźce, ponieważ im ich brakowało.

Czy gdyby miały możliwość odczuwania innych przyjemności, innych wrażeń, nadal potrzebowałyby przecinania skóry?

Ale sterylne życie Meg należało już do przeszłości. Teraz zdobywała doświadczenie w prowadzeniu pojazdu po śniegu i o ile nie wpadnie na inny pojazd albo do rowu, Wilk nie będzie miał powodów, by ją skrytykować.

Dojechała do rozwidlenia. W lewo skręcało się do kompleksu Sowiej Straży i do Stajni Kucyków. A na głównej drodze stał znak: jak wejdiesz to cię zjemy.

Meg z trudem przełknęła ślinę i pojechała dalej główną drogą, mijając Zielony Kompleks, a potem Zagajnik Prochów i Kompleks Usługowy. Wreszcie dotarła do ozdobnego czarnego płotu otaczającego Pokoje – część Dziedzińca należąca do Sanguinatic.

Próbowała przypomnieć sobie, co o nich wie, z czym kojarzy jej się to nazwisko, choć dziewczęta uczono bardzo niewiele rzeczy o Innych. Przede wszystkim jednak musiała polegać na ostrzeżeniu Jesterki: *Płoty wokół Pokoi nie są dekoracją. To jest granica. Nikt nie wchodzi na ziemię Sanguinatic bez powodu. Ten, kto wejdzie tam bez ich pozwolenia, już nie wyjdzie. A ja nigdy nie słyszałem, żeby komuś na to pozwolili.*

Te słowa odnosiły się nie tylko do ludzi, lecz również do innych *terra indigena*.

Ale Meg nie musiała przecież łamać zasad, żeby dostarczyć paczki. Kiedy podjechała do pierwszego budynku z białego marmuru otoczonego płotem, ujrzała dziewięć metalowych skrzynek pomalowanych na czarno. Stały na kamiennym fundamencie. Nie było na nich numerów, więc zapewne służyły wszystkim, którzy mieszkali w tym... Czy to był grobowiec?

Otworzyła pierwszą skrzynkę. Dość miejsca na gazety i inne przesyłki podobnej wielkości. Kolejna była szersza, odpowiednia na paczki, które przywiozła. Nappełniła trzy skrzynki, a potem wróciła do PNK i podjechała do następnego

budynku.

Cztery paczki dla mieszkańców tej części Pokoi. Kiedy zamykała wieko ostatniej skrzynki, zauważyła sadzę wokół grobowca. A może dym? Jakby coś paliło się w środku.

Sięgnęła do PNK i wyjęła komórkę, którą załatwiła jej Tess. Posłusznie zaprogramowała w niej numery do Simona, Tess i konsulatu. Komu powinna zgłosić pożar? Jak na Dziedzińcu radzono sobie z takimi przypadkami?

Nagle dym odsunął się od budynku i ruszył w jej stronę.

Meg wsiadła szybko do PNK i ruszyła do następnego ogrodzonego terenu.

Ten grobowiec właściwie nie różnił się od poprzednich dwóch, ale był mniejszy i zbudowano go tuż przy płocie rozdzielającym dwie budowle. Ścieżka prowadząca od bramy do pięknie rzeźbionych drzwi była odśnieżona, podobnie jak marmurowa weranda.

Dym dryfował tuż przy płocie.

Jester nie powiedział, że nic się jej nie stanie, jeśli pozostanie po swojej stronie płotu. Powiedział, że na pewno coś jej się stanie, jeśli wejdzie za płot.

Może Sanguinati docenią, że ktoś wreszcie dostarcza im paczki?

Wsadziła przepustkę do kieszeni płaszcza, wysiadła z PNK, otworzyła bagażnik, wyjęła paczki i włożyła do kilku skrzynek.

Potem wyjęła przesyłkę dla pana Erebusa Sanguinatiego. To była jedna z paczek, które leżały na samym dnie, więc czekała na dostarczenie wiele tygodni, może nawet miesięcy.

Nie była ciężka – raczej kwadratowa niż prostokątna i za szeroka, żeby zmieścić się w skrzynce. Meg przygryzła wargę, zastanawiając się, co powinna zrobić.

– Coś nie tak?

Cofnęła się gwałtownie. Nie usłyszała, żeby ktoś się zbliżał. Obok płotu oddzielającego dwa grobowce stała piękna kobieta o ciemnych oczach i czarnych włosach sięgających aż do pasa, ubrana w czarną aksamitną suknię.

– Mam przesyłkę dla pana Erebusa Sanguinatiego – powiedziała Meg niepewnie. – Ale paczka nie chce zmieścić się do skrzynki.

– Jesteś nowym łącznikiem?

– Tak. Nazywam się Meg Corbyn.

Kobieta nie przedstawiła się. Popatrzyła na większy grobowiec – jego drzwi były teraz uchylone i chyba ktoś zza nich wyglądał.

– Możesz zostawić zawiadomienie, że paczka jest do odbioru w biurze łącznika – powiedziała.

– Przeleżała w biurze już bardzo długo – odparła Meg. – Dlatego pomyślałam, że powinnam dostarczyć ją osobiście.

Uśmiech kobiety był bardziej zabójczy niż zachęcający.

– Zostaw ją na śniegu. Poprzedni łącznicy tak robili – oczywiście jeśli mieli dość odwagi, żeby tu przyjechać.

Meg pokręciła głową.

– To, co jest w środku, może zamoknąć.

Na ścieżce do większego grobowca rozległ się szelest, jakby ktoś szurał

nogami w suchych liściach.

Kobieta, nasłuchując chwilę, wydawała się zaskoczona. Przyjrzała się Meg z niepokojącym zainteresowaniem.

– Dziadek Erebus mówi, że możesz wejść na Pokoje i postawić paczkę pod drzwiami. Trzymaj się ścieżki, a nic ci się nie stanie.

– Powiedziano mi, że nie wolno wchodzić na teren Pokoi – zaprotestowała Meg.

Kobieta uśmiechnęła się z przekąsem.

– Nawet Wilcza Straż słucha dziadka.

Dym przeleciał szybko nad śniegiem, zbierając się po jednej stronie bramy. Jego część zgęstniała nagle, tworząc kształt ręki, która otworzyła bramę, a potem znów zmieniła się w dym.

Musiała sobie przypomnieć. Coś o dymie i nazwisku Sanguinati...

Otworzyła nieco szerzej bramę i podeszła do grobowca. Przy drzwiach ujrzała rękę – starą, o sękatych stawach, wyraźnych żyłach i pożółkłych, zrogowaciałych paznokciach. Zza drzwi wychynęła pobrużdżona twarz o ciemnych oczach. Nie śmiąc w nie spojrzeć, Meg ostrożnie postawiła paczkę na suchym marmurowym stopniu i powiedziała nieśmiało:

– Przepraszam, że tak długo musiał pan czekać na tę paczkę, panie Erebusie. Teraz ja będę się zajmować dostawami i postaram się jak najszybciej dostarczać przesyłki.

– Słodkie dziecko – szepnął starzec szeleszczącym głosem. – Szanuje starego człowieka.

– Mam nadzieję, że nic się nie uszkodziło – dodała Meg, wycofując się. – Do widzenia panu.

Odwróciła się i wróciła do PNK, świadoma, że przy płotach gromadzi się dym. Brama zamknęła się za nią. Kobieta nie spuszczała wzroku z Meg, kiedy ta wsiadała do PNK i odjeżdżała.

Miała jeszcze kilka paczek do innych Pokoi, ale była tak roztrzęsiona, że musiała opuścić tę część Dziedzińca. Jechała przed siebie, aż minęła ostatni z ozdobnych czarnych płotów i skierowała się ku Kompleksowi Jastrzębiej Straży.

Nagle sobie przypomniała. Dym Sanguinati.

Zahamowała gwałtownie i omal nie wjechała w zaspę. Zdołała jednak zatrzymać PNK i podkręcić ogrzewanie, zanim na dobre zaczęła się trząść.

*Wampiry.* Podczas jednej z tych pospiesznych, zakazanych rozmów Jean powiedziała jej, że Sanguinatic przeżywa się wampirami. Kiedy polowali, przybierali formę dymu.

*A kiedy zabijali?*

Teraz zrozumiała, dlaczego tak niebezpiecznie było wchodzić na ich ziemię – i dlaczego jeśli ktoś zrobił to nieproszony, już jej nie opuszczał.

A jednak stary potężny wampir pozwolił jej wejść na Pokoje i dostarczyć paczkę...

Meg poczuła mdłości. Pochyliła się i zamknęła oczy. Chwilę później otworzyła je z obawy, że zboczy z trasy albo nie zauważy jakiegoś pojazdu z naprzeciwka.

Ilu ich tam było? Ilu ją obserwowało?

Uznała, że nic dobrego nie przyjdzie jej z takich myśli, więc ruszyła dalej, do kompleksu Jastrzębiej Straży, który składał się z trzech budynków wzniesionych na planie litery U. Były piętrowe, oddzielone od siebie drogami prowadzącymi do garaży i na parking.

Każde mieszkanie miało patio lub balkon z własnym wejściem. Meg nie znalazła skrzynek na listy i tych większych, na paczki. Czyli pocztę należało dostarczyć gdzie indziej.

Zatrzymała się przy środkowym budynku i wysiadła z PNK.

– Czego chcesz? – rozległo się niespodziewanie.

Pisnęła i sięgnęła do klamki, ale zaraz odzyskała panowanie nad sobą i rozejrzała się. Patrzył na nią brązowowłosy i brązowooki mężczyzna. Wcale nie wyglądał przyjaźnie.

– Cześć – powiedziała, próbując się uśmiechnąć. – Jestem Meg, nowy łącznik. Mam paczki dla Kompleksu Jastrzębiej Straży, ale nie wiem, gdzie powinnam je zostawić. Możesz mi pomóc?

Nie odpowiadał tak długo, że poczuła się niezręcznie. Wreszcie wskazał centralnie położony pokój na parterze.

– Tam.

– Czy każdy budynek ma własny pokój pocztowy? – spytała Meg, wciąż nie bardzo rozumiejąc, w jaki sposób należy sortować paczki.

Sapnął z irytacją. Mogłaby przysiąc, że włosy podniosły mu się jak nastroszone pióra.

– Tam.

Podszedł do PNK i otworzył drzwiczki. Powęszył trochę, po czym zaczął buszować wśród porządnie ułożonych paczek.

– Co ty robisz? – spytała Meg.

– Mysz – odparł, biorąc po kolei paczki i obwąchując każdą.

– Tam nie ma żadnych myszy. – Przynajmniej taką miała nadzieję. – Były w miejscu, gdzie je przechowywano.

– Aha.

Mężczyzna porzucił paczki, najwyraźniej momentalnie tracąc nimi zainteresowanie. Ale pomógł Meg nosić te przeznaczone dla Jastrzębi. W pokoju pocztowym na ścianie umieszczono przegródki. Obok nich stał stół. Czyli to tutaj dostarczało się pocztę dla kompleksu Jastrzębiej Straży. Na przegródkach były numery, nie było natomiast nazwisk, a większość paczek oznaczono po prostu hasłem: „Jastrzębia Straż” i numerem.

Nagle Meg przyszło do głowy, że większość poczty adresowana była w ten sposób. Nazwa straży i czasami inicjał, to wszystko. Trudno było stwierdzić, ile osób z każdej rasy żyło na Dziedzińcu, skoro tylko kilka, jak Erebus Sanguinati czy Simon Wilcza Straż, podawało swoje pełne imię.

Czy nie zwracali uwagi na takie rzeczy, czy może aż do tego stopnia skrywali przed ludźmi swoją prywatność? Czy fakt, że Erebus używał pełnego imienia i nazwiska, miał jakieś znaczenie? Czy było mu obojętne, kto się dowie, że mieszka na Dziedzińcu w Lakeside, czy może miało to być ostrzeżenie?

Kiedy podziękowała Jastrzębiowi za pomoc, miała wrażenie, że musiał

poszperać głęboko w pamięci, żeby jej odpowiedzieć.

– Nie ma za co – rzucił w końcu, nie obdarzając jej nawet przelotnym spojrzeniem.

Kiedy dotarła do Mostu nad Strumieniem, zatrzymała się i zerknęła na mapę. Jeśli pojedzie prosto, znajdzie się na terenie Wilczej Straży. Nie miała ochoty tam jechać i przypadkiem wpaść na *niego*. Zresztą i tak musiała wracać do biura. Ale starczy jej czasu, by zajrzeć w miejsce, które wzbudziło jej ciekawość. Przejechała przez most i skręciła w prawo, na drogę prowadzącą do małego jeziora.

Kiedy ujrzała dziewczynkę ślizgającą się po zamrożonej tafli, zatrzymała PNK i wysiadła. Powietrze było tak czyste i zimne, że każdy oddech sprawiał Meg ból. Jednak dziewczynce, ubranej w białą sukienkę z krótkimi rękawami, przenikliwy chłód zdawał się wcale nie przeszkadzać.

Meg podeszła na skraj jeziora. Dziewczynka rzuciła na nią okiem, zatoczyła koło i podjechała bliżej.

Wyglądała jak dziewczynka, ale nie była człowiekiem. Jej twarz, a szczególnie oczy, mogły uchodzić za ludzkie tylko z daleka.

– Jestem Meg – powiedziała cicho, nie mając pojęcia, skąd bierze się jej przeświadczenie, że ta osóbką jest groźniejsza od wszystkich Sanguinatic.

– Zatrzymałaś się. Dlaczego? – spytała dziewczynka.

– Chciałam się przedstawić. – Meg zawahała się. – Jesteś tu sama? Gdzie są twoi rodzice?

Dziewczynka roześmiała się.

– Mama jest wszędzie. A ojciec nie tryska nasieniem o tej porze roku. – Znów się roześmiała, widząc zdezorientowaną minę Meg. – Nie lubisz tryskania nasieniem? Nie szkodzi. Moje siostry i kuzynki są ze mną, to wystarczy. Mieszkamy tam. – Wskazała kilka małych budynków z kamienia i drewna.

– Cieszę się, że nie jesteś sama.

Posłała Meg zdziwione spojrzenie.

– A ma to dla ciebie znaczenie?

– Wiem, jak to jest być samą. – Meg pokręciła głową, chcąc się pozbyć wspomnień o izolatce, a także tych o oglądaniu filmów w sali pełnej dziewcząt. – Chciałam tylko powiedzieć, że będę teraz regularnie dostarczać pocztę, i zapytać, czy nie potrzebujesz czegoś z rynku. To daleka droga dla ciebie i twoich sióstr. Mogę was podwozić do sklepu.

– Uprzejmość. Niespodziewana – mruknęła dziewczynka. – Mamy na Dzedzińcu autobus, który przyjeżdża dwa razy dziennie, żeby *terra indigena* mogli odwiedzać sklepy. Zawsze też mogą nas podwieźć kucyki. Ale...

– Ale?

Wzruszyła ramionami.

– Zamówiłam książki w bibliotece. Nie zostały dostarczone.

– Zaczekaj chwilę. – Meg poszła do PNK, wyjęła z torebki notes i długopis i wróciła nad jezioro. – Jeśli zapiszesz mi tytuły, pójdę po pracy do biblioteki i sprawdzę, czy są już dostępne. – Dziewczynka zapisała kilka tytułów, po czym oddała notes i długopis Meg. – Jeśli trafię na twoje siostry, kiedy wrócę tu z książkami, o kogo mam pytać?

Kolejne zdziwione spojrzenie, tym bardziej przerażające, że zabarwione rozbawieniem.

– O tej porze roku moje siostry głównie śpią, więc możesz spotkać jedynie moje kuzynki – odparła dziewczynka. A po chwili namysłu dodała: – Jestem Zima.

– Miło mi cię poznać, Zimo – powiedziała Meg, czując, że zęby zaczęły jej dzwonić.

Zima roześmiała się.

– Chyba masz już dość.

Zanim Meg wsiadła do ciepłego wnętrza PNK, obróciła się jeszcze, żeby pomachać nowej znajomej. Zima odmachnęła, a potem popatrzyła na Wrony i Jastrzębie zebrane na drzewach po drugiej stronie jeziora. Wszystkie nagle poderwały się do lotu, jakby obawiały się zwrócić na siebie jej uwagę.

Meg zauważyła, że przynajmniej część z nich towarzyszyła jej w drodze do biura.

Z trudem wjechała do garażu. Drzwi były niemal dwa razy szersze od pojazdu, ale była tak zdenerwowana, że ledwie zdołała w nie trafić. Zdenerwowała się jeszcze bardziej, kiedy wysiadła z PNK i zobaczyła jakiegoś mężczyznę ubranego w kombinezon mechanika. Spod rozpiętego nieco kombinezonu wystawał sweter, a bursztynowy blask w jego wilczych oczach wyraźnie mówił, że Meg pokrzyżowała mu plany na dziś i wcale nie jest z tego zadowolony.

– Wilcza Straż mówi, że mam ci naładować PNK – oznajmił, gdy tylko mu się przedstawiła.

– Och... – Popatrzyła na kabel i przyciski na ścianie. – Pewnie powinnam się nauczyć to robić.

– Wilcza Straż mówi, że ja mam się tym zająć. Ty masz zjeść, a potem otworzyć biuro, zanim przyjadą dostawy. Ci idioci nie wysiądą z furgonetek, jeśli zobaczą Wilka zamiast ciebie, a ja czekam na dostawę części. – Przesunął czule ręką po masce PNK. – Nie zbliżyłbym się do małą, gdybym nie czekał na części, które dziś mają przyjechać.

– No to lepiej pójdę po lunch i otworzę biuro – powiedziała Meg wesoło, na wszelki wypadek odsuwając się nieco. Ten Wilk sprawiał wrażenie bardziej dzikiego niż Simon. Nie była pewna, czy słyszał kiedyś powiedzenie „Pomyśl, zanim ugryziesz”. – Dziękuję za opiekę nad PNK.

– Musimy być dla ciebie grzeczni, tylko dlatego że przytrzasnął ci ogon drzwiami – warknął, po czym powęszył w jej kierunku. – W czym się wytarzałaś, że tak ci śmierdzi futro?

Irytacja przeważała nad ostrożnością. Czy naprawdę wszyscy tutaj mieli obsesję na punkcie zapachów?

– W niczym się nie wytarzałam. A moje włosy wcale aż tak nie śmierdzą.

– Skunksom też.

Ponieważ najwyraźniej był to koniec rozmowy, Meg ruszyła w stronę tylnego wejścia do Czegoś na Ząb.

Tess wystarczyło jedno spojrzenie, by rozgryźć jej nastrój.

– Widzę, że poznałaś Blaira – powiedziała, uśmiechając się szeroko.

– Niewykluczone – mruknęła Meg. – Czy istnieje choć jeden człowiek,

którego on lubi?

– Jasne. Ale zwykle narzeka, że mają za mało chudego mięsa.

– Chyba nie mam ochoty na lunch.

– Owszem, masz. Zupa jarzynowa i kanapka z indykiem. Zapakuję ci.

Meg ruszyła za Tess do lady.

– Więc kto to jest ten cały Blair?

– Trzeci Wilk, po Simonie i Elliocie. Oni zajmują się ludźmi i światem poza Dziedzińcem, a on samym Dziedzińcem. Tropi zwierzynę na naszej ziemi, organizuje polowania, kiedy rzeźnik zamawia mięso, generalnie pilnuje porządku. Jak mało kogo intryguje go mechanika i źródła energii, więc nadzoruje *terra indigena*, którzy obsługują wiatraki i panele słoneczne dostarczające prąd do budynków w dzielnicy handlowej. – Tess uśmiechnęła się i podała Meg torbę. – Jest bardzo zajęty i ogranicza do minimum swoje kontakty z ludźmi – obaj z Simonem tak wolą.

– Czeka na paczkę z jakimiś częściami. Do kogo powinnam zadzwonić, kiedy ją przywieźą? – spytała Meg, a gdy Tess posłała jej przeciągłe spojrzenie, westchnęła i powiedziała z rezygnacją: – No tak, do Simona.

Kiedy szła do biura łącznika, drzwi do garażu były zamknięte. Nigdzie w pobliżu nie zauważyła Wilka. Otworzyła frontowe drzwi i ujrzała trzy furgonetki i czekających na nią kierowców – oraz stojącego za nimi czarnego sedana, który nie mógł podjechać pod konsulát, dopóki co najmniej jedna z furgonetek nie zrobi mu miejsca.

Meg odniosła wrażenie, że to samochód samego konsula – może nawet ma kierowcę? – więc jak najszybciej przyjęła paczki, żeby nie powodować opóźnień. Najwyraźniej kurierzy podzielali jej uczucia, bo dwie minuty później odjechali, a pod drzwi konsulatu podjechał sedan.

Mężczyzna, który z niego wysiadł, był smukły i zaczynał łysieć. Popatrzył w jej stronę, a potem wszedł do konsulatu.

*Jeśli to był Elliot Wilcza Straż, zapewne właśnie dostałam punkty karne,* pomyślała. Trudno. Dziś będzie szczęśliwa, jeśli dotrwa do końca dnia i nikt jej nie zje.

Zbyt zdenerwowana, żeby jeść, schowała zupę i kanapkę do lodówki. Przez godzinę w spokoju sortowała pocztę i paczki, a później zadzwoniła do Zabójczo Dobrych Lektur i zostawiła wiadomość, że przyszły dwie paczki dla B. Wilczej Straży oraz kilka zaadresowanych do Kompleksu Usługowego. Dowiedziała się, że Blair odbierze je po zamknięciu biura.

Może to dobrze, że włosy jej śmierdzą. Przynajmniej Wilki trzymają się od niej na dystans.

Pocieszona tą myślą, Meg odgrzała zupę i zjadła spóźniony lunch.



Simon wyjrzał przez okno na tyłach ZDL i zobaczył Blaira. Wyszedł właśnie z biura łącznika z paczką i zapakował ją do PNK przydzielonego do Kompleksu



Usługowego. Blair zczekał, aż Meg wyjdzie z pracy – dopiero wtedy poszedł po paczki z częściami, którymi się bawił.

Meg udała się na rynek, co oznaczało, że będzie tędy przechodzić w drodze do domu. Lepiej dla nich obojga, jeśli na siebie nie wpadną. W każdym razie lepiej dla niego. Jeśli zdenerwuje dziś Meg, Henry z pewnością go walnie – a walnięcie przez Niedźwiedzia to nic zabawnego, nawet dla Wilka.

Zostawił Heather, jedną z ludzkich pracownic księgarni, przy kasie i kazał jej zawołać Vlada, gdyby zjawiała się tu Azja Crane. Potem założył płaszcz i udał się do biura łącznika.

– Dostałeś swoje części? – spytał, kiedy Blair niósł do PNK kolejną paczkę.

Blair kiwnął głową i zamknął tylną klapę pojazdu.

– Podwieźć cię? – zapytał.

Simon wprawdzie nie potrzebował podwózki, ale jeśli dotrze do domu za dnia, może zdoła skłonić Sama, żeby wyszedł na dwór. Poza tym jeżeli Meg zdenerwowała czymś Blaira, lepiej żeby dowiedział się o tym, zanim poleje się krew.

– W sumie chętnie skorzystam – odparł po chwili namysłu.

Ruszyli do Zielonego Kompleksu, ale przez dłuższy czas żaden z nich nie odezwał się słowem. Wreszcie Blair rzucił jakby od niechcenia:

– Może powinniśmy uprać ją w tym samym roztworze, co młode, które spryskał skunks? – Simon parsknął śmiechem. Potem pomyślał o konsekwencjach i niechętnie pokręcił głową. Blair westchnął. – Też tak pomyślałem. – Potem zmienił temat: – Elliot będzie chciał z tobą porozmawiać. Furgonetki dostawcze blokowały dziś podjazd przez dwie minuty i nie mógł podjechać pod konsulat tym swoim błyszczącym samochodem.

– Nie zależy mu na tym samochodzie – odparł Simon.

– Ale dba o swoją pozycję w sposób, który przemawia do małp. Więc nie sądzę, żeby ten incydent nastroił go pozytywnie do twojego łącznika.

– Ona tylko wykonuje swoją pracę.

– I sprawia kłopoty. – Simon warknął i zauważył, że Blairowi drgają z rozbawienia kąciuki ust. Zachował jednak dość rozsądku, żeby milczeć. Nie odzywali się do siebie przez resztę drogi do Zielonego Kompleksu. Dopiero gdy byli na miejscu, Blair przerwał ciszę: – To sezon na jelenie, więc jeszcze przez dwa tygodnie będą polować z łukami w parku.

– Co z tego? – Wilcza Straż otworzył drzwi i wysiadł.

– Jeśli nie będzie nosiła czapki, jej włosy będą jak pomarańczowa kamizelka.

Wiesz, taka, jakie noszą myśliwi, żeby się nawzajem nie postrzelić.

Simon zamknął drzwiczki PNK nieco mocniej, niż było to konieczne. Gdy Wilk odjeżdżał, przez chwilę jeszcze słyszał jego śmiech.

Szukając w kieszeni kluczy, ruszył do domu. W Zielonym Kompleksie mieszkali obok siebie różne gatunki *terra indigena*. Duże mieszkania znajdowały się w piętrowych budynkach, mniejsze w parterowych. Podobnie jak inne kompleksy, i ten zbudowany został na planie litery U. W jego środkowej części znajdowały się pokój pocztowy, pralnia i świetlica na piętrze, gdzie wyświetlano filmy na dużym telewizorze. Przy stołach można było zagrać w gry planszowe, które Inni przerobili z ludzkich wersji gier.

Kiedy włożył klucz do zamka, usłyszał skrzypnięcie. To było charakterystyczne wycie Sama.

W dużym salonie stała kanapa, dwie lampy, telewizor, odtwarzacz kompaktowy, niski stolik z wiklinowymi koszami pod spodem i klatka, w której mieszkał Sam.

Machał ogonem jak radosny szczeniak, póki Simon nie otworzył drzwi klatki. Wówczas skulił się w kącie i zaczął piszczeć.

Simon wyciągnął rękę i powiedział łagodnie:

– Chodź, Sam. Jeszcze widno. Będziemy bezpieczni. Chodź na zewnątrz, musisz się załatwić.

Ponieważ szczeniak dalej trząsał się i popiskiwał, Simon sięgnął do klatki i wyciągnął go za skórę na karku, ignorując próby kąsania. Powtarzali to kilka razy dziennie – od dwóch lat, od dnia, gdy zginęła Daphne, a Simon został opiekunem Sama. Szczeniaka przerażał świat zewnętrzny, ponieważ to tam na jego oczach umarła matka.

Kiedy to się stało, Sam przestał rosnąć, przestał się rozwijać jak inne szczeniaki. Nikt nie wiedział, w jakim stanie jest jego ludzka forma, ponieważ przez dwa lata ani razu jej nie użył.

Simon nie mógł sobie wyobrazić, jak to jest – utknąć na całe życie w jednym kształcie, nie móc się zmieniać. Nie chciał sobie tego nawet wyobrażać.

Zabrał opierającego się szczeniaka na zewnątrz i starannie zamknął drzwi do mieszkania. Zaniósł Sama pod drzewo rosnące w donicy, postawił na ziemi i zablokował mu drogę powrotną do mieszkania. Nie wróć do środka, póki szczeniak się nie załatwi. Codziennie krajało mu się serce, kiedy to robił, a kły nienawiści wobec odpowiedzialnych za to ludzi coraz bardziej się wydłużały.

*Pewnego dnia...*

Szczeniak wciąż trząsał się ze strachu, kiedy przed kompleksem zatrzymał się błyszczący czarny sedan. Tylne drzwiczki otworzyły się i z samochodu wysiadł Elliot Wilcza Straż. Podobnie jak Daphne i Sam, Elliot miał szare oczy zamiast bursztynowych – lodowate, idealnie pasujące do surowego wyrazu jego ludzkiej twarzy.

Teraz jednak rozpromienił się na widok szczeniaka. Podeszedł bliżej.

– Cześć, Sam. – Kucnął w śniegu, by podrapać Wilczka za uszami. Potem spojrzał pytająco na Simona. – Jak się miewa nasz chłopiec? – Simon bez słowa wzruszył ramionami. Uśmiech Elliota zniknął. – Powinieneś powiedzieć łącznikowi, żeby nosił zegarek, skoro bez niego spóźnia się do pracy – powiedział, wstając z kucek.

– Robiła dostawy na Dziedzińcu, a nie próżnowała. – Głos Simona był na tyle ostry, by przypomnieć Elliotowi, kto tu jest dominującym wilkiem.

– Rozumiem – odparł Elliot po chwili. – Powiniennem się domyślić, że wypełnia swoje obowiązki. Wrony ciągle o niej plotkują. Najwyraźniej je bawi, skoro tak ochoczo obserwują biuro. Wolę nie mieć z nimi do czynienia, ale jeśli da nam powód do złożenia skargi, dowiem się o tym.

– Nie jada myszy. Dlatego jest dziwna. Przynajmniej zdaniem Sów.

– No dobra, Simon, masz rację – parsknął Elliot, spuszcżając z tonu. – Skoro

w końcu mamy łącznika wartego pieniędzy, które mu płacimy, spróbuję okazać więcej tolerancji.

– Będę ci wdzięczny.

– Blair już ją poznał?

Simon kiwnął głową.

– I nawet jej nie ugryzł.

– To już coś. Wychodzę wieczorem na kolację do burmistrza. Będę miał przy sobie komórkę, gdybyś mnie potrzebował.

– Baw się dobrze.

– To już będzie zależało od menu. Jeśli podadzą wołowinę, da się znieść. Jeśli kurczaka... – Elliot wzdygnął się. – Na co komu kury?

– Dla jaj?

Elliot machnął ręką.

– Do jutra.

Kiedy odjechał, Sam zaczął wspinać się po nodze Simona, popiskując cicho.

– Musisz poćwiczyć łapy – oznajmił Simon stanowczo i kazał mu iść na piechotę do mieszkania. Wziął go na ręce dopiero w progu, wyjął ręcznik z kosza w przedpokoju i wytarł mu łapy i futerko.

Kiedy puścił go na podłogę, Sam natychmiast czmychnął do swojej klatki.

Starając się nie okazać rozczarowania, Simon poszedł do kuchni, odwiesił ręcznik na kołek przy tylnym wyjściu i przygotował kolację dla siebie i Wilczka. Potem puścił jeden z filmów, które kiedyś tak podobały się chłopcu, i usiadł w salonie z jedzeniem i książką, dotrzymując towarzystwa małemu siostrzeńcowi.



Meg otworzyła dziennik, który sobie kupiła. Pierwszą stronę zatytułowała „Książki”, na drugiej napisała „Muzyka”. Potem przewróciła kolejną kartkę, napisała na górze datę i zawahała się.

Od czego powinna zacząć – *Kochany dzienniczku, nie zostałam dziś zjedzona?* Była to prawda, choć niewiele z niej wynikało. A może wynikało z niej wszystko.

Nadal nie była pewna, dlaczego rotacja wśród ludzkich pracowników Dziedzińca jest tak duża. Czy sami rezygnują z pracy, czy po prostu nie udaje im się przeżyć wśród Innych? Oprócz Lorne’ego, który prowadził 3P, i Elizabeth Bennefeld, terapeutki, która dwa razy w tygodniu przyjmowała pacjentów w salonie masażu W Dobrych Rękach, Merri Lee pracowała na Dziedzińcu najdłużej ze wszystkich ludzi, czyli nieco ponad rok. Jasne, pracowników uważano powszechnie za niejadalnych, ale to nie zapewniało im bezpieczeństwa, jeśli zrobią coś, co Inni uznają za zdradę.

Tylko co Inni uważają za zdradę? Na pewno akt fizyczny skierowany przeciwko nim. A kłamstwo, które nie ma z nimi nic wspólnego? Czy to też byłoby w ich oczach zdrada?

Wciąż obawiając się, że jej prywatność to tylko iluzja, Meg nie wymieniła

w dzienniku żadnych nazwisk ani miejsc, które odwiedziła, robiąc dostawy tego dnia. Odnotowała natomiast, że zapisała się na zajęcia Spokój Umysłu, które odbywały się na piętrze Siup i Łup, i że odwiedziła bibliotekę. Znalazła tam trzy z książek, które zamówiła Zima, a także dwie dla siebie. Wpadła też na Merri Lee, która namówiła ją na te zajęcia. Poszły nawet razem do dwóch sklepów, żeby kupić strój i matę do ćwiczeń.

Zdobywała przyjaciół i budowała sobie życie, które będzie dobre, bez względu na to, ile jeszcze potrwa. Żałowała tylko, że zapomniała wstąpić do sklepu i kupić sobie coś na kolację. Czuła się jednak zbyt zmęczona, by znów wychodzić z domu. Musiała zadowolić się resztkami jedzenia, które przyniosła jej Tess.

Kiedy się najadła i rozluźniła mięśnie pod gorącym prysznicem, położyła się do łóżka z jedną z książek. Czytała, słuchając warkotu samochodów i rozmów ludzi wracających po pracy do domów. Słyszała też wycie Wilków, ale nie była pewna, skąd dobiega. Jak daleko wędruje dźwięk? W bibliotece były komputery, które dawały dostęp do informacji za pośrednictwem linii telefonicznych. Może znajdzie tam jakieś informacje o zwykłych wilkach, które pomogą jej zrozumieć Wilki *terra indigena*?

Zamarła, gdy na korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Odetchnęła z ulgą, słysząc brzęk kluczy i odgłos otwieranych drzwi w mieszkaniu naprzeciwko. Spotkała dziś na rynku Henry'ego, a on uprzedził ją, że będzie nocował w jednym z mieszkań, ponieważ nie chce oddalać się od pracowni.

Wzięła znów swój dziennik i zanotowała, żeby obejrzeć zdjęcia rzeźb i totemów, jeśli będzie miała okazję skorzystać z komputera w bibliotece.

Samochody nadal warczały na ulicy. Meg poszła zaparzyć sobie rumianek i wróciła do łóżka. Była nieco zgorszona treścią powieści, którą czytała, ale chyba bardziej tym, że nikt nie zabrania jej czytać.

Nagle zorientowała się, że dźwięki za oknem ucichły. Spojrzała na zegar i niechętnie zamknęła książkę. Wstała jeszcze na chwilę, odniosła kubek do kuchni i skorzystała z toalety. Jutro miała wolne, biuro łącznika i większość sklepów na Dziedzińcu będą zamknięte. Miała nadzieję, że nie dotyczy to sklepu spożywczego. Jabłka dla kucyków na poniedziałek? Będzie musiała pokroić je tuż przed przybyciem koników, inaczej zbrązowieją. Wiedziała to ze zdjęć szkoleniowych. Kiedyś przez cały tydzień pokazywano im fotografie różnych owoców, od świeżych po zgniłe. W przepowiedni po stanie owocu można było zorientować się, ile dni minęło od zaginięcia danej osoby... albo od jej śmierci.

Meg westchnęła głęboko. Może takie jak ona zawsze oglądają świat w postaci obrazów, za pomocą których tworzy się inne obrazy, dla kogoś innego. A może tylko tak nauczono ją myśleć. Jean nie zawsze używała standardowych obrazów, ale ona była niezwykła, trudna. Inna.

*Będiesz miała szansę uciec od takiego życia, Meg. Będiesz miała szansę żyć dla siebie. Kiedy już nadejdzie, wykorzystaj ją i uciekaj – i nigdy tu nie wracaj. Nie pozwól, żeby sprowadzili cię z powrotem.*

*A co z tobą?*

*Chodzące imiona dopilnowały, żeby nie mogła uciec, ale pewnego dnia będę wolna. To też widziałam.*

Mrowienie zaczęło się w stopach, potem powędrowało w górę łydek. Meg stłumiła okrzyk, nie chcąc, żeby Henry ją usłyszał. Mógłby zacząć dobijać się do drzwi, żądając wyjaśnień.

Poszła do łazienki w nadziei, że znajdzie w apteczce coś, co złagodzi to irytujące uczucie. Znała skuteczny sposób na pozbycie się mrowienia, ale było za wcześnie na kolejne cięcie. Poza tym pamiętała dobrze ból, jaki sprawiało zatrzymywanie przepowiedni dla siebie, a wygłaszanie jej do czterech ścian nie przyniesie żadnego pożytku poza chwilowym złagodzeniem napięcia.

Kiedy walczyła ze sobą, żeby po raz kolejny nie przeciąć skóry, mrowienie zniknęło samo z siebie.

Ochlapała twarz wodą, a potem wróciła do pokoju. Postanowiła skupić się na teraźniejszości, a nie na przeszłości, ponieważ jej teraźniejszość zapewne należy mierzyć w dniach, najwyżej tygodniach.

A więc poczęstunek dla kucyków. Ile jabłek? Będzie musiała wziąć kilka na zapas, na wypadek gdyby zjawili się więcej koników. Ile może ich mieszkać na Dziedzińcu? Będzie musiała zapytać Jesterka.

Rozmyślając o kucykach i jabłkach, i o tym, co będzie robić w swój wolny dzień, Meg odsunęła zasłonę, by wyjrzeć na ulicę – i natychmiast wszystkie te myśli umknęły jej z głowy.

Mężczyzna znowu tam był. Nie widziała jego twarzy, ale miał na sobie ten sam ciemny płaszcz i czapkę. Była tego pewna.

Nagle przeszedł na drugą stronę Wroniej Alei, kierując się prosto do przeszklonych drzwi w jej budynku. Drzwi były zamknięte na klucz. Była bezpieczna.

*Obraz szkoleniowy. Ręce operujące wąskim metalowym przyrządem, by sforsować zamek.*

Zamknięte na klucz drzwi nie zapewnią jej bezpieczeństwa. Przerazona, zamarła przy oknie. Kiedy usłyszała dźwięk, którego nie potrafiła zidentyfikować, wróciło mrowienie w nogach. Pojawiło się również w rękach, kiedy przypomniła sobie ostatnią rozmowę z Jean.

*Nie pozwól, żeby sprowadzili cię z powrotem.*

Przebiegła przez pokój, pewna już, że to Kontroler przysłał tego mężczyznę.

Nie może wyjść. Jest zamknięta, tak jak kiedyś, w kompleksie. Nie, nie jak kiedyś. Teraz to ona ma klucze. Musi znaleźć klucze! Dysząc ciężko, zaczęła grzebać w torebce, a kiedy je znalazła, trzęsącymi się dłońmi bezskutecznie usiłowała trafić w dziurkę.

Czy on wchodzi już na górę? Skrada się korytarzem? Jeśli otworzy drzwi, czy będzie tam na nią czekał?

Mrowienie w rękach stało się tak bolesne, że klucze upadły jej na podłogę. Meg zaczęła walić w drzwi i krzyczeć:

– Henry! Henry!

Czy ją usłyszysz? *Bogowie, proszę, niech mnie usłyszysz!*

Bardziej wyczuła, niż usłyszała ruch na korytarzu, a potem pełen zaskoczenia krzyk i pospieszny tupot butów.

Podbiegła do okna i zobaczyła, jak mężczyzna przebiega przez ulicę i znika za

rogiem. Wróciła do drzwi, podniosła klucze i wreszcie zdołała otworzyć drzwi.

Henry stał na końcu korytarza, patrzył w dół schodów. Nie widziała wyrazu jego twarzy – światło z mieszkań nie sięgało tak daleko, a Henry nie włączył lamp na korytarzu – ale odniosła wrażenie, że jest bardzo zły.

Gdy zapytała, czy powinna zadzwonić po policję albo do kogoś z Dziedzińca, podszedł do niej i pokręcił głową.

– Nie ma takiej potrzeby. Rozejrzę się tu jeszcze, a rano porozmawiam z Simonem. Zamykaj drzwi na klucz, Meg, a nic ci się nie stanie.

*Nie, nieprawda...* Nie mogła jednak wyjaśnić tego Henry’emu, więc posłusznie przekręciła klucz w zamku. Potem przycisnęła ucho do drzwi i powoli w myślach zaczęła liczyć.

Kiedy doszła do stu, Henry ruszył ku schodom. Gdy zdobyła pewność, że już jej nie usłyszy, przebrała się w dżinsy i sweter, a potem wzięła kosmetyczkę z przyborami toaletowymi i schowała do zasuwanej torby wraz z książką, słoikiem ze świecą i pudełkiem zapalek. Zawinęła poduszkę w zapasowy koc, który znalazła w komodzie. Potem założyła płaszcz i botki, odetchnęła głęboko i przekręciła klucz w zamku, wciąż nasłuchując uważnie.

Wymknęła się z mieszkania najciszej jak potrafiła i wybiegła tylnym wyjściem na zewnątrz. Pędem dopadła drzwi do biura łącznika, a kiedy wreszcie znalazła się w środku, załkała z ulgą.

Tu była równie bezbronna jak w mieszkaniu. I równie samotna, gdyż sklepy i konsulaty będą jutro zamknięte. Ale przynajmniej nikt nie wiedział, że tu jest. W recepcji zawsze zostawiano włączone światło, więc nie zwróci niczyjej uwagi. Blask świecy będzie widoczny tylko z okna w sortowni, a to wychodziło na podwórze za pracownią Henry’ego.

Tej nocy będzie tu bezpieczna – przynajmniej na tyle, na ile jest to możliwe.

Nie włączając górnego oświetlenia, Meg zdjęła botki, poszła do sortowni i rzuciła na stół poduszkę i koc. Potem podeszła do blatu pod oknem, wyjęła z torby świecę i zapaliła ją. Nie musiała przecinać sobie skóry, żeby odgadnąć, że Kontroler ją odszukał. To tylko kwestia czasu i znajdzie sposób, żeby ją stąd zabrać.

Jedynie kwestia czasu.



W zachodniej części kontynentu, gdzie Niedźwiedzie *terra indigena* władały równie dużą ilością Dziedzińców co Wilki, ludzie nazywali czasami jego pierwszą formę duchem niedźwiedzia.

Duch niedźwiedzia poruszał się po świecie niewidzialny, ale niektórzy wyczuwali jego obecność. Wiedzieli, że tu jest, nim przyjął namacalny kształt – z kłami i pazurami.

Henry szedł tropem intruza aż do miejsca, gdzie zapewne stał wcześniej jego pojazd. Potem wrócił na Dziedziniec, podszedł do przeszkłonych drzwi i przyjrzał się uszkodzonemu zamkowi. Cały czas zastanawiał się, co to wszystko oznacza.

Tyle strachu za drzwiami Meg. Tyle desperacji w jej głosie, kiedy go wołała.

Gdyby nie poczuł, że musi zostać blisko drewna, czy zniknęłaby dziś w nocy? Uznaliby, że była tylko kolejnym człowiekiem, który przez kilka dni korzystał z darmowego schronienia. Chyba że wyłamany zamek i zapach obcego poruszyłyby Simona i innych *terra indigena*, którzy tu mieszkali.

Henry porzucił drzwi, poszedł na róg ulicy i skręcił w lewo. Szedł wzdłuż granicy Dziedzińca, sam nie wiedząc, czego właściwie szuka. Kierował nim instynkt.

Przeszedł przez teren dostaw i powęszył przed frontem biura łącznika i konsulatu. Nie było tu zapachu intruza, ale kiedy zbliżył się do drzwi dostawczych sortowni, wyczuł inną woń – świeższą, niż spodziewałby się zastać tutaj o tej porze.

Obszedł biuro łącznika i znalazł się na podwórzu za swoją pracownią. Stąd widział przyćmione światło w sortowni. Przybrał formę niedźwiedzia, oparł łapy na ścianie i zajrzał przez okno.

Meg spała na stole w sortowni.

Opuściła mieszkanie, ponieważ wszyscy spodziewali się, że właśnie tam zastaną ją o tej porze.

Pięcioro odpowiedziało na jego wezwanie. Wylądowali na murku oddzielającym jego pracownię od terenu dostaw.

Czego od nas chcesz? spytała Allison.

Intruz, odparł Henry. Rozglądajcie się tutaj. Meg jest w biurze.

Dwie sowy odleciały i zajęły pozycję na dachu konsulatu. Trzecia usiadła na dachu jego pracowni. Allison i młody samiec pozostali na murze.

Henry wrócił do mieszkania, przybrał ludzką formę i zabrał ze schodów ubranie, które tam wcześniej zostawił. Zaparzył sobie mocną czarną herbatę, zaprawił ją hojnie miodem, po czym usiadł w bujanym fotelu koło okna, skąd widać było biuro łącznika. Pijąc herbatę, myślał o kobiecie, która tak nagle wkroczyła w ich świat.

Myślał o niej przez resztę nocy.

I o tym, co rano powie Simon.

## Rozdział 6

Simon wyszedł spod prysznicy i energicznie wytarł się ręcznikiem. Nie lubił stosować się do ludzkiego zwyczaju dzielenia dnia na małe przegródki. Słońce i księżyc, i zmiana pór roku powinny wystarczyć każdemu. A skoro już musiał się przystosować, żeby prowadzić księgarnię na ludzki sposób, nie powinien być do tego zmuszany w jedyny dzień w tygodniu, kiedy mógł żyć jak Wilk – od jednego wschodu słońca do następnego.

Niedziela była dniem odpoczynku, dniem, kiedy Dziedziniec był zamknięty dla ludzi, żeby *terra indigena* mogli biegać i bawić się, i być tym, kim byli: rdzennymi mieszkańcami ziemi. To był jedyny dzień, kiedy Simon nie musiał przybierać kształtu, który był może użyteczny, ale nigdy nie wydawał się naturalny.

Ponieważ na co dzień miał tak dużo do czynienia z ludźmi, potrzebował czasu spędzonego wyłącznie z Wilczą Strażą, potrzebował pobyc wśród swoich. Oto pułapka czyhająca na Innych, którzy mieli bliski kontakt z ludźmi: jeśli za bardzo się przystosowali, zapominali, kim są, i w końcu nie byli ani jednym, ani drugim. Dlatego nawet przerażenie Sama na widok jego wilczej formy nie skłoniło go do rezygnacji z tej potrzeby.

Ale wiadomość, którą dziś rano zostawił mu Henry na automatycznej sekretarce, spowodowała, że złamał własne zasady. Niedźwiedzia Straż dał jasno do zrozumienia, że czeka w swojej pracowni na Wilczą Straż w ludzkiej formie.

Ubrał się, a potem sprawdził, czy Sam ma jedzenie i wodę – i czy nie nabrudził w klatce. Postanowił, że skoro i tak zmienił się w człowieka, zabierze go na dwór, zanim wróci do formy Wilka, by spotkać się z Blairem i pozostałymi na wilczy pęd.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie iść pieszo do pracowni Henry'ego, żeby zapewnić swojej ludzkiej formie trochę ruchu. W końcu jednak poszedł do garażu i wsiadł do jednego z PNK. Ludzka forma miała dość ruchu w ciągu tygodnia. Dziś im szybciej zmieni skórę, tym lepiej się poczuje.

W nocy spadło kilka centymetrów śniegu. PNK ślizgał się na drodze i Simon doszedł do wniosku, że musi porozmawiać z *terra indigena*, którzy pracowali w Kompleksie Usługowym i zajmowali się odśnieżaniem na Dziedzińcu. Jeśli Meg zamierza robić jutro dostawy, przekaże jej przez Jesterę, żeby trzymała się głównych dróg, inaczej utknie w śniegu. PNK dość dobrze radził sobie na śniegu – o ile kierowca nie był głupi.

Kiedy dotarł do dzielnicy handlowej Dziedzińca, zaparkował na parkingu dla pracowników, czyli między rynkiem a sklepami i pracownią Henry'ego. Wysiadł i zatrzymał się na chwilę, nasłuchując rytmicznego szurania szufli po śniegu.

Obchodził garaże, gdy nagle zamarł na widok śladów przed biurem łącznika. W niedzielę nie było dostaw, więc nie powinno tu być świeżych śladów, prowadzących do biura.



Poszedł do Henry'ego, który odsnieżał teren pomiędzy zapleczem sklepów a biurem łącznika. Usuwał śnieg. Eliminował ślady.

– Na świeżym śniegu trudno nie zostawiać śladów – powiedział Niedźwiedzia Straż. Wyraz jego oczu zaniepokoił Simona, tym bardziej gdy dodał: – Mieliśmy wczoraj gościa.

Wilcza Straż spojrział na tylne wejście do biura.

– Intruz?

– Nie tutaj. – Henry wskazał kciukiem schody prowadzące do mieszkań nad pracownią krawiecką.

Przez chwilę Simon tylko patrzył na Henry'ego. A gdy dotarło do niego znaczenie jego słów, warknął, kły mu się wydłużyły, a paznokcie zaczęły zmieniać się w pazury. Na piersi i plecach pojawiły się pierwsze kępkę futra.

– Mówiłem Meg, że nie wolno jej sprowadzać gości. Mówiłem jej... – Zadławił się własną złością i dziwnym poczuciem zdrady. Miał ochotę zagryźć, rozszarpać na kawałki osobę, która je spowodowała.

– Simon. – Myślał, że jest inna niż ludzkie małpy. Myślał, że w końcu znaleźli kogoś, z kim będą mogli pracować, choć brakiem woni zwierzyny doprowadzała go do szaleństwa. Zgodził się powierzyć jej mapę Dziedzińca, ponieważ miał wrażenie, że ona naprawdę chce wykonywać swoją pracę. Gdyby zamierzał zatrudnić kłamcę jako łącznika, to miał pod ręką Azję Crane! – Simon. – Słyszac ostrzeżenie w głosie Henry'ego, z wysiłkiem wrócił do ludzkiej formy. – Jeśli zamierzasz przyjąć gościa, to raczej nie każesz mu wyłamywać zamka w drzwiach od ulicy. A kiedy przyjdzie, nie krzyczysz, żeby zaalarmować Niedźwiedzia z mieszkania naprzeciwko.

– Przecież nie wiedziała, że tam będziesz – powiedział Simon niewyraźnie, z całej siły próbując zredukować kły do rozmiarów ludzkich zębów.

– Wiedziała. Spotkałem Meg wczoraj na rynku i powiedziałem jej, że będę tu nocował, żeby się nie przestraszyła, jeśli mnie usłyszysz.

Przestraszyła. To słowo sprawiło, że cała wściekłość ulotniła się i pozwoliła Simonowi znowu myśleć trzeźwo.

Meg ukrywała się przed kimś. Miał tego świadomość, już kiedy ją zatrudnił, ale tak bardzo ganiał z jej powodu za własnym ogonem – albo robił uniki, żeby nikt mu na niego nie nadepnął – że całkiem o tym zapomniał.

Raz jeszcze spojrział na ślady.

– A to? – zapytał.

– Kiedy intruz uciekł, wymknęła się z mieszkania. Spała na stole do sortowania poczty – wyjaśnił Henry.

*Za bardzo się bała, żeby zostać we własnej norze? To nie do przyjęcia!*

Mówienie nadal przychodziło Simonowi z trudem.

– Widziałeś intruza?

– Niezbyt dobrze. Ale znam jego zapach i rozpoznam, jeśli znów się tu zjawi. Jeśli intruz polował na Meg, na pewno przyjdzie tu znowu.

– Dopiero jutro będzie można naprawić ten zamek.

Wilk i Jastrząb uczyli się naprawiać zamki. Być może daliby radę wymienić ten wyłamany, ale Dziedziniec miał umowę na wyłączność z Chrisem z Fallacaro Klucze i Zamki; uczył Innych w zamian za pracę na Dziedzińcu.

– Sowy, które pełniły straż tej nocy, popilnują terenu także następnej – powiedział Henry. – Wezwałem już dwa Jastrzębie i kilka Wron, żeby obserwowały dziś tę część Dziedzińca. Ja również będę tu dziś nocował.

– A w ciągu dnia? – zapytał Simon. – Sklepy są zamknięte, więc będzie zupełnie sama. – Mało prawdopodobne, żeby ktoś przyszedł tu w dzień, ale Meg trochę za bardzo przypominała mu jelenia, który oddzielił się od stada – idealna zwierzyna. Oczami wyobraźni zobaczył Daphne i Sama, biegnących samotnie tamtej strasznej nocy, pewnych, że nic im nie zagraża.

– Powinniśmy wezwać policję? – spytał Henry.

– I co im powiemy? Że ktoś wyłamał zamek? Nic nie zginęło. Nie mamy pewności, że intruz poluje na Meg. Ludzie już próbowali się tu włamywać, by skorzystać z mieszkań. Może to był ktoś, kto szukał schronienia przed zimnem na jedną noc i zamierzał zniknąć, zanim go zauważymy?

– To się nazywa wtargnięcie na teren prywatny – oświadczył Henry. – Ludzie wymyślili prawo, które tego zabrania.

– Zajmiemy się tym po swoim – zdecydował Simon. – Zaczekaj, wezmę szufłę i pomogę ci odśnieżać. – W ten sposób znikną ślady, po których inny drapieżnik zdołałby odgadnąć, gdzie schowała się jego zwierzyna.

– A co z Meg?

Nie prosiła go o pomoc, a jego to dręczyło. Przecież był przywódcą Dziedzińca.

– Dziś będziemy pilnować. A jutro zastanowimy się co dalej.

I wyciągniemy z niej informację, przed kim ucieka – i dlaczego ten ktoś ją goni.



Meg usłyszała wycie, gdy tylko zakręciła wodę pod prysznicem. Zupełnie jakby cała wataha zebrała się pod jej oknem. Wytarła się pospiesznie, zawinęła włosy w ręcznik, zarzuciła szlafrok i podeszła do okna.

Nie widziała ich. Ale sądząc po tym, że samochód, który mijał właśnie parking Dziedzińca, przyspieszył tak gwałtownie, że aż wpadł w poślizg, nie mogły być daleko.

Kiedy rano wróciła do mieszkania, po Henrym nie było śladu. Czyżby pracował u siebie również w niedzielę? A może była całkiem sama w tej części Dziedzińca? Merri Lee mówiła, że żaden sklep nie jest otwarty w niedzielę, ale biblioteki nigdy nie zamykano, a rankiem dwóch Innych wydaje resztki w Mięsie i Zieleninie, restauracji na rynku. Mogła więc zjeść coś w restauracji, a potem pójść do biblioteki i poszperać trochę w książkach.

Znowu wycie, idealnie wyraźne mimo zamkniętego okna.

*Jesteśmy tutaj.*

Nad nią, gdzieś na dachu, zakrakały Wrony.

*Jesteśmy tutaj.*

Napięcie, które czuła od wczorajszej nocy, zaczęło powoli opadać. Dziś była jedynym człowiekiem w tej części Dziedzińca, ale nie była sama. Spędzi ten dzień na czytaniu i drzemce, może nawet trochę posprząta, skoro w końcu wie, jak to się robi. Nie wszystkie ludzkie sklepy zamyka się na niedzielę, więc Dziedziniec co chwilę mijały samochody – również radiowozy, jak zauważyła, podchodząc do okna. Będzie bezpieczna, póki nie zapadnie zmrok.

Później zdecyduje, gdzie ukryje się w nocy.



Tego popołudnia Azja Crane przejechała powoli przed biurem łącznika i konsulatem. Jak zwykle w niedzielę wjazd na teren dostaw blokował łańcuch z zawieszonym na nim znakiem STOP. W ten sposób skutecznie uniemożliwiano tam parkowanie ludziom, gdy szli do restauracji lub sklepów naprzeciwko Dziedzińca otwartych w ten dzień.

Jej Gruba Ryba nie był w stanie zebrać żadnych informacji na temat białej furgonetki i kierowcy obserwującego Dziedziniec. Prawdopodobnie był to tylko porzucony mąż albo chłopak, który chciał zabrać do domu swoją głupią kobietę. Choć Azja nie mogła pojąć, dlaczego komuś zależy na kimś tak nieatrakcyjnym jak Meg.

Właściwie nie obchodziło ją, kto chce zabrać dziewczynę i dlaczego, pod warunkiem że ta brzydula zniknie ze stanowiska łącznika z ludźmi, a ona sama zyska kolejną szansę dostania się na Dziedziniec.

*Do diabła!* Przeklęła w duchu, widząc, że w oknie nadal nie ma ogłoszenia o wolnej posadzie. Czyli facet z białej furgonetki jeszcze nie wykonał swojego zadania. No cóż, może będzie mogła mu w tym pomóc?

Jutro przeprowadzi podwójny atak. Sprawdzi, jak zostanie przyjęta w Zabójczo Dobrych Lekturach, i spróbuje zaprzyjaźnić się z Meg.

Potem obmyśli kolejny ruch. Tak czy inaczej, Simon Wilcza Straż zapłaci jej za to, że sponsorzy zaczynają się niecierpliwić brakiem postępów.

## Rozdział 7

Simon otworzył frontowe drzwi Zabójczo Dobrych Lektur, przekręcił tabliczkę, założył okulary w drucianej oprawie i zabrał się za pozostałe czynności związane z otwarciem księgarni.

Dosłownie minutę później w progu stanęła Azja Crane. Wiedział, że to zdeterminowana suka, więc nie zdziwił się, że nawet jego ostatni wybuch nie odpędził jej na długo. Gdyby ją lubił, pewnie podziwiałby determinację, z jaką próbowała skłonić go do seksu. Ale gdyby stwierdził, że węszy wokół niego i Dziedzińca z innych powodów, zabiłby ją.

Azja rzuciła mu wrogie spojrzenie, rozpięła skafander i ruszyła w stronę półki z nowymi książkami, prowokacyjnie kręcąc biodrami, które opinały obcisłe dzinsy.

Obserwował, jak jej pierś unosi się i opada pod krótkim, obcisłym sweterkiem, a pośladki pozostają w delikatnym, płynnym ruchu, choć ona sama stała już w miejscu, przeglądając książki – zupełnie jakby się bała, że jeśli przestanie nimi kręcić, znieruchomieją na zawsze. Kiedy zauważył jej lekki, pełen satysfakcji uśmiech, zorientował się, że go obserwuje. Skąd ta satysfakcja? Przecież kiedy tak wypina pierś, nawet nie wygląda apetycznie.

Chyba że po prostu wciąż jest syty po jeleniu, którego upolowali wczoraj, i nie interesuje go kolejna zwierzyna?

– Panie Wilcza Straż? – Simon skierował wzrok na Heather. – Skoro obsługuje pan kasę, to czy mam zająć się wykładaniem książek na półki? – Uśmiechnęła się z wahaniem, a on wyczuł woń jej zdenerwowania.

– Jesteś rozsądną kobietą – powiedział, podnosząc głos, tak żeby Azja nie musiała podkładać się bliżej, żeby go usłyszeć.

– Dzięki – powiedziała Heather. – Ale... dlaczego? Przecież nic nie zrobiłam. Simon niedbale machnął ręką.

– Ubranie nie ogranicza twoich ruchów. Możesz odetchnąć pełną piersią. Gdyby ktoś cię gonił, nie padłabyś po kilku krokach z powodu braku tlenu. – Oczywiście miał na myśli tylko ludzkiego prześladowcę. Wilk dogoniłby ją w sekundę, bez względu na to, czy mogła oddychać, czy nie.

Heather zagapiła się na niego, a woń jej strachu dobitnie świadczyła o tym, że przed chwilą powiedział coś niewłaściwego. Tymczasem on tylko wyraził swoją aprobatę, ponieważ właśnie zrozumiał, dlaczego Azja Crane wykonuje te przesadne ruchy biodrami: chciała ukryć fakt, że w tym stroju nie może poruszać się szybko. Nie wiedział, czym przestraszył Heather, ale wyraz jej oczu przywiódł mu na myśl królika, który zamierza rzucić się do ucieczki.

Lubił gonić króliki. Nawet kiedy był najedzony.

– Pójdę poustawiać książki – powiedziała Heather, wycofując się niepewnie.

– Dobrze. – Starał się mówić miłym tonem, żeby nie rzuciła tej pracy. Vlad

nienawidził roboty papierkowej równie mocno jak on, dlatego obiecali sobie, że dla własnej wygody nie będą zjadać ludzkich pracowników. Jak zauważyła Tess, zjadanie pracowników źle wpływa na morale i utrudnia znalezienie nowych.

Kiedy Heather po prostu wyszła z zaplecza z wózkiem pełnym książek – zamiast jak dwóch poprzednich pracowników uciec tylnymi drzwiami, pozostawiając na stole karteczkę z napisem „Odchodzę” – Simon znów skupił się na Azji.

Musiała czekać na tę chwilę. Policzki miała zarumienione i wyglądała na wkurzoną. Cisnęła książkę na blat i zadarła dumnie podbródek.

– Dziś nie ma tu nic interesującego – stwierdziła zimno.

– Więc powinnaś sobie pójść – odparł. – Chociaż... – Przeskoczył przez ladę, podszedł do regału z nowościami, wybrał książkę i podał jej. – Ta może cię zainteresować.

Był to jeden z horrorów napisanych przez *terra indigena*. Okładka była czarna i prezentowała otwarty pysk Wilka, który właśnie zamierza kogoś ugryźć. Albo może już ugryzł, zważywszy krew na zębach.

Azja bez słowa wypadła z księgarni.

Przyglądając się, jak biegnie przez parking, Simon pomyślał, że w takim stroju w ogóle nie jest w stanie biegać. Pomyślał też, że zapach jej strachu jest całkiem przyjemny.



Monty poprawił kołnierz kurtki i zapukał do drzwi gabinetu kapitana.

– Niech pan wejdzie, poruczniku – powiedział Burke, czyniąc zapraszający gest ręką, choć nie podniósł głowy znad dokumentu, który właśnie czytał. – Zadomowił się pan już?

– Tak jest, dziękuję.

Wczoraj Monty poszedł do świątyni opodal swojego mieszkania i odzyskał trochę spokoju. Potem zadzwonił do Elayne w nadziei, że będzie mógł porozmawiać z Lizzy, ale znów go zbyła. Nigdy nie pozwalała Lizzy chodzić przed obiadem do koleżanek w dzień odpoczynku i medytacji i nie sądził, żeby zmieniła zasady, ale jeśli tak, to zrobiła to wyłącznie po to, by uniemożliwić mu rozmowę z córką. Aż do wczoraj wciąż uważał się za kochanka Elayne, mimo że wyjechał. Jednak dała mu jasno do zrozumienia, że rozgląda się za kimś nowym, kimś, kogo status społeczny wymaże „plamę”, jaką zostawił na jej życiu. I życiu ich córki. Czyli szanse na rozmowę z Lizzy, a tym bardziej na to, że przyjedzie do niego w wakacje, są w zasadzie żadne.

– Wczoraj mieliśmy kilka zgłoszeń o spotkaniu z Wilkami – powiedział Burke.

– Ich wycie słychać z dużej odległości, więc ludzie do niego przywykli, ale widok watahy w środku dnia na parkingu Dziedzińca to ciągle coś niezwykłego.

– Sprawdzę to – obiecał Monty.

Burke kiwnął głową, po czym odwrócił dokument, który czytał, w taki sposób, żeby Monty mógł go zobaczyć.

– Pańskim priorytetem jest Dziedziniec, ale na patrolu proszę mieć oczy szeroko otwarte, może zauważy pan tę osobę. Komuś, kto ma dojście do gubernatora Rejonu Północno-Wschodniego, bardzo zależy na schwytaniu tej złodziejki i odzyskaniu skradzionych przedmiotów. Gubernator naciska na naszego burmistrza, a sam pan wie, jakie to może mieć skutki. – Monty popatrzył na list gończy i poczuł, jak krew gwałtownie odpływa mu z głowy. *Niechaj bogowie, ci z góry i z dołu, mają nad nami litość.* – Każę powielić ten list i rozdać...

– Nie! Nie może pan tego zrobić!

Burke splótł palce i uśmiechnął się groźnie do Monty'ego.

– Mówi pan swojemu kapitanowi, co mu wolno, a czego nie?

Monty wskazał twarz widoczną na liście gończym. Nie mógł powstrzymać drżenia rąk. Był pewien, że Burke to zauważył.

– To jest nowy łącznik z ludźmi Dziedzińca w Lakeside. Poznałem ją parę dni temu. – Skoro Meg Corbyn była poszukiwana za kradzież czegoś tak cennego, że sprawa trafiła na biurko gubernatora, nic dziwnego, że zdenerwowała się na jego widok. Nie bała się pracować z Wilkami. Bała się, że on ją rozpozna.

– Jest pan pewien, poruczniku? – spytał Burke cicho.

Monty kiwnął głową.

– Na zdjęciu ma ciemniejsze włosy. – Zapewne dziwaczny pomarańczowy kolor to skutek pospiesznego farbowania. – Ale to na pewno ona.

– Poznał pan Simona Wilczą Straż. Uważa pan, że ją wyda? – Ludzkie prawo nie działało na Dziedzińcach – ani nigdzie poza obszarem, który *terra indigena* wydzierżawili ludziom, żeby zbudowali swoje farmy i miasta – i nigdy nie stosowało się do Innych. Ale Simon Wilcza Straż prowadził księgarnię i nie tolerował złodziei. Czy to ma jakieś znaczenie? – Mogę wstrzymać dalszą dystrybucję listu gończego, ale na pewno dostały go już wszystkie komisariaty i pozostali kapitanowie rozdadzą go swoim ludziom. Skoro mam być jedynym, który nie wykona bezpośredniego polecenia burmistrza, by zatrzymać tę kobietę, lepiej niech mi pan da dobry powód.

– Chciałbym zrobić odbitkę i pokazać ją panu Wilczej Straży – powiedział Monty. – Zobaczymy, co zdecyduje.

– Niech pan pamięta, że tylko ta kobieta wie, gdzie znajdują się skradzione przedmioty. Potrzebna jest nam żywa, a nie w charakterze ZMN. Proszę dopilnować, żeby on też to zrozumiał.

– Tak jest.

– I proszę informować mnie na bieżąco.

Monty zrobił kopię listu gończego i zwrócił oryginał kapitanowi. Potem poszedł do Kowalskiego, który opierał się biodrem o jego biurko.

– Jedziemy do księgarni – zarządził.

– Będziemy pytać o tę watahę Wilków? – spytał Kowalski.

Monty starannie złożył list gończy i schował do kieszeni marynarki.

– Coś w tym rodzaju.

Kiedy jechali do Zabójczo Dobrych Lektur, zastanawiał się, jak najlepiej przekazać Simonowi tę informację. Nie wiedział, czy uda się osiągnąć to, czego chcieli gubernator i burmistrz, ale wiedział jedno: jeśli Inni odmówią współpracy, list gończy będzie równie niebezpieczny dla ludzi w Lakeside, jak swego czasu becзки

z trucizną dla Zatopionego Miasta.



Simon wyjął z koperty wszystkie kawałki papieru i ułożył je na blacie, dzieląc według straży. Większość stanowiły zamówienia na książki z osad *terra indigena* obsługiwanych przez Dziedziniec w Lakeside. Do tego kilka zamówień z innych sklepów na rynku.

Telefony i poczta elektroniczna przesyłana za pomocą komputerów były użytecznymi sposobami komunikacji, kiedy informacja musiała podróżować szybko z jednego Dziedzińca na drugi albo kiedy mieli do czynienia z ludźmi. Ale *terra indigena*, którzy nie życzyli sobie utrzymywać stosunków z małpami, nie korzystali z rozwiązań ludzkiej techniki, więc na obszarze trzykrotnie większym od Lakeside można było znaleźć niewiele ponad tuzin budynków z telefonami i elektrycznością. Wyjąwszy sprawy bardzo pilne, większość Innych wysyłała na Dziedziniec papierowe zamówienia.

W Czymś na Ząb poniedziałki zawsze były pracowite, ale w Zabójczo Dobrych Lekturach zwykle aż do południa panował spokój, dlatego to wtedy Simon zajmował się zamówieniami. Teraz wyciągnął wózek z zaplecza – a przy okazji sprawdził, czy Heather naprawdę pracuje, czy może ukrywa się gdzieś przed nim – po czym wrócił na teren sklepu. Szybko przejrzał tytuły, podjechał wózkiem pod regał z nowościami i ustawił na półce po kilka egzemplarzy nowych nabytków. Potem przyciągnął wózek do lady, wziął pierwsze zamówienie i zaczął szykować książki.

– Recepturki... – mruknął pod nosem. Gumki recepturki były to małe użyteczne przedmioty dodawane gratis do zamówień. Nawet jeśli ktoś zamówił tylko jedną książkę, Simon nakładał na nią recepturkę.

Właśnie miał przeskoczyć przez ladę po paczkę tych gumek, kiedy drzwi księgarni otworzyły się i do środka wszedł porucznik Montgomery.

Od zeszłego czwartku, kiedy się poznali, porucznik i jego ludzie ciągle kręcili się po okolicy. Nie robili tego nachalnie – nie byli aż tak głupi – była to raczej ludzka wersja wilczego wycia, zaznaczania swojej obecności. A następnego dnia po kłótni o Azję Crane i niespodziewanym zamknięciu ZDL Kowalski przyszedł do księgarni i kupił dwa horrory.

Simon nie wiedział, czy Kowalski albo jego samica naprawdę lubią takie książki, czy też był to tylko pretekst, żeby się tu rozejrzeć. Odniosł wrażenie, że policjant odetchnął z ulgą, kiedy stwierdził, że nigdzie nie ma plam krwi, choć inni klienci byli tym wyraźnie rozczarowani.

Porucznik zbliżył się do lady.

– Dzień dobry, panie Wilcza Straż.

– Dzień dobry, poruczniku Montgomery. – Simon wyczuł zdenerwowanie policjanta, które chyba nie do końca spowodowane było strachem. – Nie przyszedł pan kupować książek – stwierdził.

– Istotnie. – Montgomery wyjął z kieszeni kurtki złożony kawałek papieru, rozprostował go i położył na ladzie między nimi. – Przyszedłem pokazać panu to.

Simon zauważył słowa „poszukiwana” i „kradzież”, ale do jego świadomości dotarł jedynie widok twarzy Meg.

Nie zdawał sobie sprawy, że szczyrzy zęby, póki Montgomery nie zaczął się ostrożnie odsuwać, odchylając równocześnie połę płaszcza i marynarki, żeby w razie czego móc szybko sięgnąć po broń. Zdając sobie sprawę, co robi, jeśli ręka człowieka choć muśnie kolbę pistoletu, Simon popatrzył twardo w oczy Montgomery’ego. Policjant instynktownie zamarł, nie śmiać nawet odetchnąć.

Upewniwszy się, że człowiek nie robi nic głupiego – przynajmniej nie w tej chwili – Simon znów spojrzał na list gończy.

– Zdjęcie jest dobrej jakości – powiedział po chwili. – Więc dlaczego nie ma tu nazwiska?

Montgomery pokręcił głową.

– Nie rozumiem?

– Czasami oglądam wasze wiadomości. Kiedy robicie zdjęcie komuś, kto kradnie w sklepie albo w banku, a nie wiecie, kto to jest, zdjęcie jest zamazane. Ale kiedy macie zdjęcie tej jakości – wskazał list gończy – zawsze znacie też nazwisko swojej zwierzyny. – Przecież wiedział, że ona przed kimś ucieka. Wiedział, że naprawdę nie nazywa się Meg Corbyn. Powinien pozwolić jej zamarznąć na śniegu, zamiast przyjmować na Dziedziniec. Ale skoro ją przyjął, jej dalszy los zależy wyłącznie od niego. – Więc? Dlaczego nie ma nazwiska? – powtórzył.

Montgomery, skonsternowany, spojrzał na list gończy. Simon zwęszył jego niepewność.

– Wygląda mi to na zdjęcie z dokumentów – stwierdził policjant cicho. – Z prawa jazdy albo... – Sięgnął do kieszeni, wyciągnął legitymację i odznakę w skórzanym portfeliku i pokazał je Simonowi. – Ale rzeczywiście, skoro ktoś był w stanie dostarczyć takie zdjęcie, dlaczego nie podał nazwiska?

Wilcza Straż zamierzał uzyskać odpowiedź na to pytanie. Później zdecyduje, czy podzieli się nią z ludźmi.

Wziął list gończy, złożył go i schował do kieszeni spodni.

– Porozmawiam z członkami naszego Stowarzyszenia Przedsiębiorców. Jeśli będziemy mieli jakieś informacje o tej osobie, zawiadomimy pana.

– Proszę pamiętać, że musimy ją zatrzymać i przesłuchać w sprawie kradzieży.

Simon uśmiechnął się, celowo odsłaniając zęby – wiedział, że kły nie skurczyły mu się jeszcze do ludzkich rozmiarów.

– Rozumiem. Dziękuję za informację, poruczniku Montgomery. Będziemy w kontakcie.

Konsternacja. Niepokój. Ale Montgomery miał dość rozsądku, żeby wyjść z księgarni, nie próbując się spierać. Jurysdykcja policji nie sięgała na Dziedziniec.

Simon odczekał chwilę, a potem zadzwonił do Vlada.

– Słuchaj – powiedział Vlad bez wstępów. – Nyx i ja musimy z tobą porozmawiać.

– Później – przerwał mu Simon, starając się nie warczeć. – Musimy coś przedyskutować. Zbierz wszystkich członków Stowarzyszenia Przedsiębiorców.



Spotkamy się za godzinę w sali spotkań. Wezwij też Blaira i Jesterę. I po jednym przedstawicielu Sowiej, Jastrzębiej i Wroniej Straży.

– Kogoś jeszcze? – spytał Vlad spokojnie.

Simon wiedział, dlaczego pyta, wiedział również, o którą konkretnie grupę *terra indigena* mu chodzi. Ale nie, oni nigdy nie interesowali się takimi sprawami.

– To wszystko – powiedział.

– W takim razie za godzinę. Ale i tak musimy porozmawiać. To ważne.

Simon wyłączył się i ruszył na zaplecze księgarni. W przelocie wydał polecenia Heather:

– Siądź za kasą i przygotuj zamówienia. Zadzwoń do Johna, niech tu przyjdzie.

Założył płaszcz i buty. To był dowód, że panuje nad sobą i zachowuje się w sposób cywilizowany. Bo jeśli straci kontrolę...

*Okłamała go.*

...zmieni się w Wilka, a gdy z nią skończy, nigdy nie zdołają na tyle doczyścić plam krwi w biurze łącznika, żeby udało im się zatrudnić kogoś innego.

Tylne wejście do biura nie było zamknięte na klucz, więc Simon wszedł do środka, zdjął buty i poszedł dalej w samych skarpetkach. Nawet przez zamknięte drzwi sortowni słyszał cichą muzykę. Kiedy je otworzył, Meg wyjmowała właśnie płytę z odtwarzacza.

– Nie lubię takiej muzyki – mruknęła do siebie.

– To po co jej słuchasz? – spytał.

Odwróciła się na pięcie tak gwałtownie, że na chwilę straciła równowagę. Schowała starannie płytę do pudełka i zapisała coś w notatniku leżącym koło odtwarzacza, zanim mu odpowiedziała.

– Słucham różnej muzyki, żeby sprawdzić, co lubię. – *Dlaczego po prostu nie wiesz, co ci się podoba?* – Czy mogę coś dla pana zrobić, panie Wilcza Straż?

Dzisiejsza poczta jeszcze nie przyjechała, ale znalazłam kilka przesyłek w starej.

Włożyłam je do przegródki ZDL. – Wskazała przegródki na ścianie sortowni. – Poza tym nie wiem, czy pocztę na rynek dostarczają kucyki, czy może ktoś powinien po nią przychodzić.

W tej chwili Simona nie obchodziła poczta, przesyłki, ani nic związanego z małpami.

Wyjął z kieszeni list gończy, rozprostował i położył na stole.

– Żadnych więcej kłamstw – powiedział, tłumiąc warkot. – To, co się zaraz stanie, zależy od tego, czy odpowiesz mi szczerze na dwa pytania.

Meg spojrzała na list gończy i jej twarz pobladła. Zachwiała się. Simon postanowił, że jeśli zemdleje, pozwoli jej upaść.

– Znalazł mnie... – szepnęła. – Tak podejrzewałam, ale myślałam... miałam nadzieję... – Przełknęła z trudem i spojrzała na niego. – Co chce pan wiedzieć?

Smutek w jej oczach rozwścieczył go równie mocno jak jej kłamstwa.

– Jak się nazywasz i co ukradłaś? – To nie mogło być nic małego. Nie polowaliby na nią, gdyby to było coś małego.

– Nazywam się Meg Corbyn.

– To imię nosisz, odkąd tu przybyłaś – warknął. – Jak się nazywałaś wcześniej?

Na jej twarzy pojawiła się dziwna mieszanka złości i dumy. Zaniepokoiło go to, ponieważ z jakiś przyczyn wiązało się z tym irytującym brakiem woni zwierzyny.

– Moje oznaczenie to cs759 – odparła.

– To nie jest nazwisko!

– Nie, to nie jest nazwisko. Ale tylko to mi dali. Wszystkie mamy takie oznaczenia. Ludzie nadają imiona nawet swoim zwierzętom, ale własność nie zasługuje na imię. Jeśli coś otrzymuje oznaczenie zamiast imienia, nie trzeba się zastanawiać, czy ma uczucia, kiedy... – Patrzyła mu prosto w oczy, choć nagle zaczęła mieć problemy z oddychaniem. Simon stał zupełnie nieruchomo. Gdyby się poruszył, furia wyrwałaby mu się spod kontroli. *Co oni ci robili, Meg?* – A jeśli chodzi o to, co ukradłam, to wzięłam tylko to. – Wyjęła coś z kieszeni i położyła na liście gończym.

Simon wziął to do ręki. Było srebrne. Jedną część ozdobiono misternymi liśćmi i kwiatami. Na drugiej był tylko prosty napis „cs759”. Znalazł szczelinę, w którą należało włożyć paznokiec, by wysunąć błyszczące cienkie ostrze brzytwy.

Widział taką dwadzieścia lat temu. Przeszedł go dreszcz.

– Jest ładna, ale nie może być wiele warta. – Jego głos był schrypnięty, niepewny. Miał wrażenie, że ściga królika, który nagle zmienił się w niedźwiedzia. Coś tu było nie tak. Bardzo nie tak.

– Sama w sobie zapewne nie jest wiele warta – zgodziła się Meg. – Ale ukradłam jeszcze to. – Ściągnęła sweter przez głowę i rzuciła na bok. Potem podciągnęła lewy rękaw koszulki aż do łokcia i pokazała Simonowi przedramię.

Patrzył na regularne, równe blizny na jej skórze.

*Stara kobieta siedziała przy małym stoliku i stawiała karty, żeby zarobić na utrzymanie. Jej nagie ręce pokryte były brązową opalenizną i białymi, cienkimi bliznami. Ludzka społeczność, wegetująca na skraju osiedla terra indigena. Utrzymywali się z oprowadzania turystów po lasach i snucia opowieści. Niektórzy uczyli Innych swoich rzemiosł, takich jak tkactwo czy stolarka. A niektórzy szukali tylko pretekstu, żeby umrzeć, i czekali, aż jakiś Wilk czy Niedźwiedź zrobi im tę przysługę.*

*Staruszka siedziała w pełnym słońcu, w słomianym kapeluszu na głowie, uśmiechając się do dzieci, ludzkich i Innych, choć wyśmiewały się z niej, gdy ją mijały.*

*Ale on się nie śmiał. Nie minął jej też obojętnie. Zaintrygowały go i zaniepokoiły jej blizny. I wyraz jej oczu. A wtedy... „Nie zostało mi wiele dobrej skóry, ale dla ciebie starczy...”*

*Srebrna brzytwa błysnęła w słońcu, kiedy wyjęła ją z kieszeni sukienki. Precyzyjne cięcie na policzku, oddalone od starej blizny o szerokość ostrza.*

*To, co wówczas zobaczył, to, co mu powiedziała, ukształtowało jego życie.*

– Wieszcza krwi... – szepnął. – Jesteś *cassandra sangue*.

– Tak – odparła, po czym opuściła rękaw.

– Ale... dlaczego uciekłaś? Wasz rodzaj przebywa w specjalnie wyznaczonych miejscach. Dbają o was, dają wam najlepsze...

– To bez różnicy, czy nas biją, czy rozpieszczają, czy nas tuczą, czy głodzą, czy mieszkamy w brudzie, czy w luksusie. Klatka zawsze pozostanie klatką –

stwierdziła Meg gwałtownie. – Uczymy się tylko tego, czego chcą nas nauczyć chodzące imiona, ponieważ jasnowidząca musi umieć opisać, co widzi. Dzień w dzień siedzimy w sali i oglądamy zdjęcia różnych rzeczy, które istnieją na świecie, ale nie wolno nam rozmawiać, nie wolno się zaprzyjaźniać, chyba że to część szkolenia. Mówi się nam, kiedy mamy jeść, spać albo ćwiczyć na bieżni. Planują nawet, kiedy mamy się wypróżniać! Jesteśmy żywe, ale nie pozwalają nam żyć. Jak długo wytrzymałby pan w takim miejscu?

Zaczęła się trząść. Simon nie wiedział, czy to z zimna, choć znowu założyła sweter, czy ze zdenerwowania.

– Więc dlaczego więcej was nie ucieka? – spytał.

– Mam wrażenie, że większości z nas nie przeszkadza życie w klatce i oznaczenie zamiast imienia. Poza tym dokąd miałybyśmy uciec? – Umknęła mu wzrokiem. – Pozwoli mi pan zostać tu do zmroku? Może po ciemku uda mi się wymknąć ludziom Kontrolera.

Simon przechylił głowę, usiłując zrozumieć, co ma na myśli.

– Zamierzasz znowu uciekać?

Wreszcie na niego spojrzała.

– Wolę umrzeć niż tam wrócić.

Szczerłość tego spokojnego oświadczenia przeraziła go, ponieważ usłyszał w głosie Meg zbyt wiele z Wilka. Nie była *terra indigena*, ale nie była też takim człowiekiem jak inne małpy. Wprowadzała w jego życie zamieszanie i póki nie nauczy się jej rozumieć, będzie musiał opierać się wyłącznie na instynkcie.

Kilka dni temu przysłała do niego, szukając pracy, ponieważ chciała żyć. Gdyby nie chciała, zasnęłaby gdzieś w zaspie. A teraz chce umrzeć?

Nie podobało mu się to. Zupełnie mu się nie podobało.

Schowwał do kieszeni list gończy i brzytwę.

– Brzytwa jest moja – zaprotestowała.

– Więc będziesz musiała zostać, póki ci jej nie zwrócę.

– Panie Wilcza Straż...

– Zostajesz tu, Meg – warknął. – Póki nie zmienię zdania, zostajesz tutaj. – Z zewnątrz dobiegł ich warkot furgonetki, potem drugiej. – Masz robotę.

Przechodząc przez zaplecze, Simon chwycił swoje buty. Nie zatrzymał się jednak, żeby je założyć, tylko pognał prosto do ZDL.

Cs759. Znaczenie liter było jasne, *cassandra sangue*. Nie chciał nawet myśleć, co oznacza numer.

Ten Kontroler próbował posłać jej tropem policję. Czy Meg szukali też myśliwi innego rodzaju? Czy ten, który próbował się tu włamać dziś w nocy, był drapieżnikiem na zlecenie?

Simon dał znać Heather i Johnowi, że wrócił, a potem poszedł na górę do swojego biura i zmienił przemoczone skarpetki. Czekał na członków Stowarzyszenia Przedsiębiorców, patrzył w okno wychodzące na biuro łącznika.

Władza. Wszelkie stosunki *terra indigena* z ludźmi sprowadzały się do walki o władzę.

Był przywódcą Dziedzińca w Lakeside i to, czego chciał, miało swoją wagę, ale tak poważnej decyzji nie mógł podjąć sam.



Meg wyłączyła odtwarzacz płyt. Nie było sensu słuchać muzyki, żeby się dowiedzieć, co lubi. Przyniosła na stół ostatni worek starej poczty i spróbowała skupić się na jej sortowaniu. Chciała skończyć jakiegokolwiek zadanie, nim jej życie dobiegnie końca.

Biały pokój i jedno z tych okropnych łóżek. I Simon Wilcza Straż. Widziała to wszystko w przepowiedni.

Czy Simon wyda ją Kontrolerowi, na przykład w zamian za kilka przepowiedni? Albo może, skoro już wie, będzie robił z nią to samo, co Kontroler? Czy wie jak? Czy to dlatego widziała łóżko, do którego przywiązywano dziewczęta, gdy cięto ich intymne miejsca?

Aż podskoczyła, kiedy usłyszała rzenie przed drzwiami sortowni.

– Och, na bogów – mruknęła, patrząc na zegar. Miała zamiar pójść do sklepu spożywczego po marchewki i jabłka, ale teraz było już na to za późno. – Chwileczkę! – zawołała, kiedy rzenie przybrało na sile. Mogła sobie wyobrazić, co powiedziałby Elliot Wilcza Straż, gdyby hałasowanie kuców zaczęło przeszkadzać pracownikom konsulatu.

Pobiegła na zaplecze po płaszcz i rozejrzała się za czymś, co mogłoby posłużyć jako poczęstunek. Nie chciała nawet myśleć o reakcji kucyków, jeśli nie będzie nic dla nich miała.

W kuchni oprócz słoika z kawą rozpuszczalną i torebek z ziołową herbatą znalazła tylko pudełko z kostkami cukru, paczkę krakersów oraz puszkę z otwartym opakowaniem czekoladowych ciasteczek.

Założyła płaszcz, chwyciła pudełko z kostkami cukru i pobiegła otworzyć drzwi, ponieważ rzeniu kucyków zaczęło już wtórować krakanie wron.

– Jestem, jestem – zawołała, zdyszana, otwierając drzwi. Postawiła pudełko na stole do sortowania, chwyciła pierwszy stos poczty i zaczęła pakować kosze. Kucyki kręciły się, trącały ją i ciągnęły za płaszcz jak dzieci usiłujące zwrócić na siebie uwagę dorosłego. Nie miała dość poczty, żeby wypełnić osiem koszy, ale postarała się, żeby każdy kucyk dostał coś do zawiezienia. Potem otworzyła pudełko z kostkami cukru. – Specjalny poniedziałkowy poczęstunek – powiedziała, podając dwie kostki Gromowi. Wziął je radośnie, tak jak pozostałe kucyki. Ucieszyły się tak bardzo, że od razu spróbowały ustawiać się w kolejce po dokładkę.

Kiedy zamknęła pudełko i pomachała im na pożegnanie, wszystkie popatrzyły przeciągle na nią – i na pudełko – a potem niechętnie ruszyły w drogę.

Meg westchnęła i zadrżała z zimna. Potem zamknęła drzwi, odniosła cukier do kuchni i wróciła do pracy.



W pokoju spotkań Stowarzyszenia Przedsiębiorców stał niski okrągły stół otoczony krzesłami. Znajdowały się tam również biurko i szafki na dokumenty oraz komputer na którym pisało się e-maile i wysyłało zamówienia do ludzkich firm.

Ponieważ pokój spotkań Stowarzyszenia Przedsiębiorców znajdował się na piętrze ZDL, Simon przybył jako pierwszy. Zajął swoje miejsce i przeczekał nieuniknione rozszady przybyłych – ptasie straże nie chciały siadać koło siebie, a nie było chętnych do sąsiedowania z Sanguinatimi.

Vlad i Nyx przyszli chwilę po nim. Pozostali starannie wieszali zimowe okrycia na wieszaku w małej poczekalni, żeby wejść do sali, gdy Sanguinati zajmą już miejsca. Vlad usiadł obok Simona, a Nyx po jego prawej ręce. Krzesła przy stole powoli zaczęły się zapełniać – Jester, Blair, Jenni Wronia Straż, Tess, Julia Sowa Straż i Henry. Allison Sowa Straż zajęła ostatnie krzesło.

Jenni należała do Stowarzyszenia Przedsiębiorców, ale Julia i Allison nie. Zapewne przywódcy ich straży wybrali je na swoich przedstawicieli, ponieważ pracowały w pobliżu albo w sklepach, które miały kontakt z ludźmi.

– Jesteśmy w komplecie, Simonie – oznajmił w końcu Henry cichym basem.

– Dziś rano odwiedził mnie porucznik Montgomery – zaczął Simon bez zbędnych wstępów.

– Trzymaliśmy się wczoraj własnego terenu – warknął Blair. – I chodników, które do niego przylegają, a to są miejsca publiczne. Ludzie nie mieli powodu się na nas skarżyć.

– Słyszałem, że młode zabawiały się grzebaniem w górze kompostu – powiedział Jester. – Ktoś to zgłosił?

Blair pokręcił głową.

– Technicznie rzecz ujmując, to nasza ziemia, ale pozwalamy ludziom korzystać z parków i mediów. I oni, i my robimy kompost i zużywamy go. Ludzcy robotnicy są zadowoleni, kiedy grzebiemy w przyzmacach, ponieważ oszczędza im to pracy przy przewracaniu kompostu. Poza tym młode wcale się tak dobrze nie bawiły. Wszystko przecież zamarzło.

– Montgomery nie przyszedł tu w sprawie Wilków ani kompostu – uciął Simon. Uniósł się nieco na krześle i wyjął z kieszeni list gończy i brzytwę. Rozłożył list i położył na środku stołu.

– Och – sapnęła Jenni, wyraźnie zadowolona. – Na tym zdjęciu Meg wygląda jak Wrona.

Jester odsunął się od stołu, jakby nie chciał mieć nic wspólnego z listem gończym. Vlad poruszył się niespokojnie, a Nyx siedziała niepokojąco nieruchoma. Włosy Tess przybrały zieloną barwę i zaczęły się gwałtownie skręcać.

W oczach Blaira pojawił się gorący gniew, choć jego głos był bardzo spokojny.

– Co ukradła? – spytał.

– To. – Simon położył brzytwę na liście gończym, oznaczeniem do góry.

– Błyszczące! – Jenni sięgnęła po brzytwę, po czym gwałtownie cofnęła rękę, kiedy Blair na nią zawarczał. Dramatycznie przycisnęła dłoń do piersi i pochyliła się w stronę Tess.

– Co to jest cs759? – spytał Henry.

– To jej oznaczenie. – Simon zawahał się. – Meg to *cassandra sanguie*.

– Wieszcza krwi? – spytał Jester. – Nasza łączniczka jest wieszczką krwi? Simon kiwnął głową.

– Uciekła z miejsca, gdzie ją trzymali. W ten sposób tu trafiła.

– Takie jak ona rzadko można spotkać – powiedział Henry w zamyśleniu. – I z tego powodu niewiele wiemy o jej rodzaju. Zastanawiam się, czy brak woni zwierzyny u Meg nie wynika z faktu, że jest innym rodzajem człowieka.

– Sowie Straż nic o nich nie wie. Krążą tylko plotki, że są wyjątkowe i że okazuje się im wszelkie względy – powiedziała Allison.

– Ona mówi, że trzyma się je w klatkach – stwierdził Simon, a po chwili milczenia dodał: – Powiedziała, że woli umrzeć niż tam wrócić.

Zapadła pełna zaskoczenia cisza. Dla *terra indigena* zamykanie gdziekolwiek było aktem przemocy. Dlatego trzymanie Sama w klatce tak bardzo dręczyło Simona, choć wiedział, że dla bezpieczeństwa malca musi to robić.

– Widziałeś blizny? – spytała Nyx.

Simon kiwnął głową.

– Na lewej ręce. Powyżej i poniżej łokcia. W równych odstępach.

Jester ze świstem wypuścił powietrze.

– Meg to pierwszy porządny łącznik, jakiego mamy na tym Dziedzińcu, przynajmniej odkąd ja tu mieszkam. Ale skoro policja pokazała ci ten plakat, wiedzą, że ona tu jest. Chcemy z nimi walczyć o człowieka? Nie wiemy o wieszczach krwi dość, żeby wiedzieć, czy warto.

Tess poruszyła się nagle na krześle – to był gwałtowny, pełen gniewu ruch. Jej włosy były teraz czerwone jak krew, z zielonymi zaciekami i cienkimi czarnymi nitkami.

Jenni spojrzała na nią, zakrakała i przesunęła się z krzesłem jak najbliżej Blaira.

– Nie zapytacie, skąd to wiem – zastrzegła Tess schrypniętym głosem. – Po prostu przyjmiecie, że to prawda.

– Mów – poprosił Simon, starając się panować nad głosem i wyrazem twarzy, żeby nie uznała jego słów za agresję.

– *Cassandra sangue* – zaczęła Tess. – Wieszcza krwi. Tysiąc ran. Ktoś zapewne obliczył, że właśnie tyle może przyjąć taka dziewczyna. Odległość między cięciami trzeba starannie odmierzać. Jeśli tnie się zbyt blisko blizny, przepowiednie... mieszają się. Jeśli za daleko, marnuje się dobrą skórę. Dobrze wyliczone cięcie bardzo ostrym narzędziem wywołuje euforię u wieszczki i sprawia, że wygłasza ona przepowiednię. Te dziewczyny uzależniają się od euforii, pragną jej ponad wszystko. I w końcu to ona je zabija. Jeśli nikt ich nie nadzoruje, mogą ciąć się za głęboko lub przeciąć tętnicę i wykrwawić się na śmierć. Albo też tną się za blisko starej blizny i zmieszane proroctwa doprowadzają je do szaleństwa. Bez względu na przyczynę większość umiera przed trzydziestym piątym rokiem życia.

– Więc trzymają je w klatkach dla ich własnego dobra? – spytał Henry z pewnym oporem w głosie.

– O to musiałbyś zapytać jedną z nich – odparła Tess. – Póki Meg ma niezużyta skórę, jest dla kogoś cenna – jest źródłem jego bogactwa. Jak wszystkie inne rodzaje istot żywych *cassandra sangue* mają różne zdolności. Cięcie na skórze

tępej prymitywnej dziewczyny jest pewnie warte kilkaset dolarów. Natomiast cięcie na skórze inteligentnej i wykszcolonej wieszczki? W zależności od miejsca na ciele, na którym się je robi, taka przepowiednia może być warta tysiące, a może nawet dziesiątki tysięcy.

Blair zagwizdał.

– To podnosi stawkę.

Simon popatrzył na zebranych przy stole. Tak, to podnosiło stawkę. Meg mogła być warta dziesiątki tysięcy dolarów dla człowieka, który ją kontrolował.

*A ile jest warta dla nas?*

– Jak rozumiem, wezwaliśmy nas tutaj ze względu na ryzyko konfliktu z ludźmi, które jest prawdopodobne, jeśli pozwolimy Meg zostać? – spytał Vlad. Simon przytaknął. – Więc Nyx i ja chcielibyśmy poinformować was o czymś, zanim podejmiecie decyzję. – Vlad spojrział na Nyx, która kiwnęła głową. – Meg spotkała się z dziadkiem Erebussem.

Wszyscy zebrani drgnęli, ale nikt nie śmiał się odezwać.

– Przywiozła paczki i jedna z nich nie chciała zmieścić się do skrzynki – weszła mu w słowo Nyx. – A ponieważ przeleżała już dłuższy czas w biurze, Meg nie chciała zabierać jej z powrotem ani zostawić na śniegu, jak zrobiliby inni ludzie. Więc dziadek dał jej pozwolenie na wejście na Pokoje, żeby mogła położyć paczkę na ganku. Okazało się, że to stare filmy, na które czekał od miesiący.

– Wówczas postanowił, że słodka krew może wchodzić na Pokoje, żeby dostarczać paczki, i że Sanguinatim nie wolno jej skrzywdzić ani przestraszyć, ani na Pokojach, ani w żadnym innym miejscu na Dziedzińcu – dodał Vlad.

– Słodka krew? – powtórzył Simon. – Czy on wie, że ona jest *cassandra sangue*?

Vlad wzruszył ramionami.

– A czy to ma jakieś znaczenie? Spodobała mu się jej słodycz i powiedział jasno, czego od nas oczekuje.

Simon nie skomentował tego oświadczenia. Meg miała w sobie coś irytująco atrakcyjnego, ale nie nazwałby jej słodką. Owszem, pod pewnymi względami przypominała szczeniaka, co mogło zainteresować Wilki, ale zdecydowanie nie była słodka.

Teraz Julia i Jenni poruszyły się na krzesłach.

– Spotkała się na jeziorze z dziewczynką – powiedziała Jenni.

Jester zaskomlał.

– Z którą? – spytał Blair.

– A która ślizgałaby się po lodzie ubrana w białą sukienkę z krótkim rękawem? – odpowiedziała mu pytaniem Julia.

– Z Zimą – jęknął Simon. – Meg rozmawiała z Zimą?

– Jastrzębie i Wrony zostały odpędzone. Żywioł nie chciała ich towarzystwa. Nie wiemy więc, o czym rozmawiały, ale trwało to dłuższą chwilę. Potem Meg odjechała.

Czyli przynajmniej jeden z Żywiołów zainteresował się Meg. A sprowokowana Zima potrafiła być straszna nawet dla innych *terra indigena*.

Zebrani popatrzyli po sobie. Potem wszyscy po kolei pokiwali głowami.

– Meg zostaje – oznajmił Simon. – A my dopilnujemy, żeby wszyscy – i ona, i policja – wiedzieli, że od teraz uważamy ją za jedną z nas.

– Jak to osiągniemy? – spytała Tess. Z jej włosów zniknęły już czarne nitki. Simon wziął brzytwę i list gończy.

– Za pomocą niewielkiej zmiany adresu.



Meg nie musiała widzieć naglej zmiany na twarzy kuriera, by zorientować się, że Simon stoi w drzwiach prowadzących na zaplecze. Kiedy dostawca wyszedł, odprowadziła go wzrokiem do samej furgonetki. Nie chciała spojrzeć na Wilka.

– Mam zamknąć biuro? – spytała, gdy już zostali sami.

– Biuro zamykamy od dwunastej do drugiej. Jest prawie południe, więc tak, zamknij je. Otworzysz później.

Odwróciła się do niego.

– Mogę zostać?

– Tak, ale nastąpią pewne zmiany.

– Jakie?

– Najpierw zamknij biuro, Meg. Potem porozmawiamy.

Zamknęła biuro, założyła płaszcz i buty i wyszła za nim tylnym wejściem.

Simon przekręcił klucz w zamku, zanim zdążyła sięgnąć po swój komplet.

Zaprowadził ją do PNK zaparkowanego opodal i gestem wskazał jej siedzenie pasażera. Kiedy wsiadła, sam usiadł za kierownicą i ruszył w głąb Dziedzińca.

Chciała jeszcze raz zapytać o te zmiany, ale zauważyła, że Simon chmurzy się coraz bardziej. Wreszcie zahamował – tak gwałtownie, że PNK wpadł w lekki poślizg.

Zwrócił na nią bursztynowe oczy i zmarszczył brwi.

– W jaki sposób uczono cię w tym miejscu, gdzie cię trzymali?

*Miejsce, gdzie cię trzymali. Nie miejsce, gdzie mieszkałaś...* A więc przynajmniej tę różnicę zrozumiał.

– Pokazywali nam obrazki. Czasami rysunki, czasami zdjęcia. Oglądałyśmy też filmy dokumentalne i szkoleniowe. Czasami sceny z filmów fabularnych. Nauczono nas czytać, a potem dawano różne rzeczy do przeczytania, albo instruktor czytał nam na głos. Albo same czytałyśmy na głos, żeby nauczyć się poprawnie wymawiać słowa. – Poza tym robiono im różne rzeczy, żeby „zdobywały doświadczenie”, albo kazano patrzeć na rzeczy robione dziewczynom zużytym lub zbyt ograniczonym, by zarobić na swoje utrzymanie przepowiedniami. Ale tego mu nie powie.

Simon jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

– Kilka dni temu wzięłaś PNK. Gdzie nauczyłaś się prowadzić?

– To nie jest takie trudne – mruknęła pod nosem. Ale szybko dodała obronnie:

– Przynajmniej nie ślizgałam się tak jak ty przed chwilą.

Simon wyjechał z zasy i ruszył dalej drogą.



– A więc nie uczono cię prowadzić. A uczono cię czegokolwiek oprócz wypowiedzania przepowiedni?

– Jeśli potrafisz sam coś zrobić, nie jesteś uzależniony od strażników – odparła cicho. Zaczął wydawać okropne dźwięki. Kiedy spojrział na nią, ucichł, ale zauważyła w jego oczach dziwny czerwony blask. – Dokąd jedziemy? – spytała. Wyglądało na to, że kierują się do Zielonego Kompleksu. Chwilę później Simon zatrzymał PNK na parkingu naprzeciwko budynków.

– To parking dla gości. Można się tu zatrzymać, jeśli przyjeżdża się tylko na trochę – powiedział i wysiadł. Kiedy poszła jego śladem, wskazał drogę biegnącą wzdłuż budynków zbudowanych na planie litery U. – Tędy jedzie się do garażu i na parking dla mieszkańców. Poranny autobus nie dowiezie cię na czas do pracy, więc będziesz musiała używać PNK łącznika – jak już nauczysz się prowadzić.

– Umieć prowadzić – zaprotestowała. – Przynajmniej do przodu.

Zmierzył ją wzrokiem.

– Nie umiesz cofać? – Nie odpowiedziała. – No dobrze. Przez kilka dni będziemy jeździć razem.

– Ale...

– Nie możesz zostać w mieszkaniu nad sklepem, Meg. Nie jesteś tam bezpieczna. Jeśli masz tu zostać i być naszym łącznikiem, musisz mieszkać tutaj.

– Tutaj? Ale to przecież w środku Dziedzińca. Ludziom nie wolno tu mieszkać.

– Tobie wolno. – W jego słowach wyczuła nutę nieodwołalności, wyczuła ją też w sposobie, w jaki wziął ją pod ramię i przeprowadził na drugą stronę drogi. Widziała już część Zielonego Kompleksu, kiedy Tess zabrała ją tutaj, żeby zrobiła sobie pranie. Niewidoczna. Poza zasięgiem. Bezpieczna. – Na piętrze – powiedział, prowadząc ją ku schodom. Weranda miała kratkę po bokach i na części frontu. Zapewne po to, by latem zapewniać cień, schronienie i prywatność. A teraz osłonę przed śniegiem. Simon wyjął klucze z kieszeni płaszcza, otworzył drzwi i wszedł do środka. Meg weszła na wycieraczkę, zdjęła buty i postawiła je na macie na obuwiu. Potem rozejrzała się. Duży salon. Naturalne drewno i kolory ziemi. Niektóre meble tu nie pasowały, było ich mniej więcej tyle, co w kawalerce. Obejrzała się na Simona. Stał w miejscu z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Z wahaniem obejrzała mieszkanie. Dwie sypialnie. Jedna pusta, w drugiej podwójne łóżko bez pościeli i komoda. Czysta łazienka, przestronna kuchnia połączona z jadalnią. Drzwi na korytarz i klatkę schodową prowadzącą do tylnego wyjścia – wspólną z mieszkaniem obok. – Podoba ci się? – spytał, kiedy wróciła do salonu.

– Tak. Dziękuję.

Odwrócił głowę w stronę drzwi, nasłuchiwał chwilę, a potem kiwnął głową.

– Samice pomogą ci wyczyścić norę na ludzki sposób. Po południu zawiozę cię do biura.

Kiedy otworzył drzwi, Meg usłyszała głosy Merri Lee i Jenni Wroniej Straży, które wchodziły właśnie po schodach.

– Panie Wilcza Straż? – zawołała za nim. – Kuchenne wyjście prowadzi na wspólny korytarz. Kto mieszka w tym drugim mieszkaniu?

Milczał chwilę, zanim powiedział:

– Ja.

Wyszedł, mijając w drzwiach Merri Lee, Jenni, Allison Sowią Strażą i młodą kobietę, która przedstawiła się jako Heather Houghton. Przyniosły ze sobą jedzenie i akcesoria do sprzątanania. Kiedy skończyły porządki i zaczęły się zbierać każda do swojej pracy, Meg pozostało tylko iść do kawalerki po swoje ubrania i te nieliczne rzeczy, które zdążyła kupić.

Simon czekał na nią na dole schodów. Kiedy kobiety go mijaly, odezwała się Jenni:

– Meg nie chciała cię pytać, ale w tym mieszkaniu nie ma telewizora ani odtwarzacza filmów. Może zabrać te z kawalerki?

Popatrzył na nią, a potem na Meg.

– Coś jeszcze?

– Meg lubi książki – rzuciła Merri Lee wesoło. – Jeśli w kawalerce jest biblioteczka, też by się przydała.

– Ja nic nie mówiłam... nie prosiłam... – wyjąkała Meg.

Wziął ją pod ramię i zaprowadził do PNK. Pozostałe kobiety wsiadły do drugiego, zaparkowanego obok pojazdu: Merri Lee za kierownicą, Heather obok niej, a Jenni i Allison z tyłu.

Gdy odjeżdżały, Simon patrzył za nimi przez chwilę. Potem, kręcąc głową, otworzył drzwi od strony pasażera i wsadził Meg do środka.

– Merri Lee wcale nie prowadzi lepiej od ciebie – mruknął, wsiadając za kierownicę.

– Prowadzę bardzo dobrze – warknęła Meg.

– Jak na kogoś, kto tego nie potrafi. – Wyjechał z parkingu i ruszył drogą z prędkością, jakiej w ogóle nie była sobie w stanie wyobrazić.

Założyła ręce na piersi, wyjrzała przez boczne okno i mruknęła pod nosem:

– Zły Wilk.

W odpowiedzi Simon roześmiał się głośno.



Monty wchodził na górę za człowiekiem o imieniu John do drzwi z napisem BIURO, wymalowanym czarnymi literami na mlecznej szybie. John zapukał, otworzył drzwi i wycofał się.

– Proszę wejść, poruczniku – powiedział Simon, wstając z fotela za biurkiem z ciemnego drewna. Monty rozejrzał się szybko. To było całkiem zwyczajne biuro – biurko z telefonem, komputer, tacki na dokumenty. Duży kalendarz na blacie służący jako notes i podkładka. Pod ścianą szafka na dokumenty. Nigdzie nic osobistego – żadnych zdjęć czy choćby obrazków – ale niektórzy ludzie też wolą prostotę w miejscu pracy, więc nie było w tym nic niezwykłego. Jedyna rzecz, która odbiegała od normy, to stos poduszek i koców w kącie pokoju. – Dziękuję, że przyszedł pan tak szybko – powiedział Simon.

– Szczerze mówiąc, panie Wilcza Straż, zdziwiłem się, że mnie pan wezwał – odparł Monty. Coś w tych bursztynowych oczach... Teraz były bardziej dzikie niż

rano, o ile w ogóle było to możliwe.

– Rozmawiałem z członkami Stowarzyszenia Przedsiębiorców i zgodnie ustaliliśmy, że choć kobieta na waszym liście gończym przypomina naszego łącznika, nie jest to ta sama osoba. – Monty otworzył usta, żeby zaprotestować, ale szybko uświadomił sobie, że to bez sensu. Wilcza Straż wiedział doskonale, że na liście gończym jest Meg Corbyn. – Co więcej – ciągnął Simon – najwyraźniej nie tylko policja się pomyliła. W sobotę późnym wieczorem ktoś próbował włamać się do mieszkań, które mamy nad pracownią krawiecką. Wyłamał zamek w drzwiach od ulicy i wszedł na schody, ale przestraszył się Henry’ego Niedźwiedziej Straży.

– Jest pan pewien, że był sam? – spytał Monty.

– Drugi mógł czekać na podjeździe, ale Henry wywęszył tylko jednego intruza. Choć forma Wilczej Straży się nie zmieniła, Simon bynajmniej nie usiłował w tej chwili naśladować człowieka.

– Nie zgłosiliście próby włamania – zauważył Monty, chowając ręce do kieszeni płaszcza, by ukryć ich drżenie.

– Zgłaszam ją teraz. Nie uznaliśmy wyłamanego zamka za wystarczający powód, by kłopotać naszych przyjaciół z policji, ale jeśli była to próba uprowadzenia łącznika, powinniście o tym wiedzieć. Oczywiście podjęliśmy pewne środki zapobiegawcze. Meg Corbyn mieszka obecnie w Zielonym Kompleksie, gdzie mogą wchodzić tylko osoby umówione. Ja też tam mieszkam, jak również Vlad Sanguinati i Henry Niedźwiedzia Straż.

Jasny przekaz. Ten, kto spróbuje dostać się do Meg Corbyn, gdy będzie spała, nie przeżyje tej próby.

– Jestem pewien, że panna Corbyn docenia waszą troskę – powiedział Monty. Simon zaśmiał się chrapliwie.

– Na pewno nie dość, by dało się to zauważyć. – Potem zrobił tę dziką minę, która sprawiała, że jego twarz stawała się nieludzka. – Wasze prawo nie działa na Dziedzińcu, poruczniku. Bez względu na to, co kto myśli, Meg jest teraz nasza – a my chronimy swoich. Niech pan dopilnuje, by ta wiadomość trafiła do tego, kto wydał list gończy.

– Czy wie pan, dlaczego ktoś wkłada tyle wysiłku w jej odnalezienie?

– To już bez znaczenia.

Monty spróbował inaczej.

– Jeśli skradzione przedmioty zostaną zwrócone, nie sądzę, żeby panna Corbyn...

Czerwone iskry w bursztynowych oczach Wilczej Straży. Monty miał wrażenie, że Simon nie zdaje sobie sprawy z tego, że warczy.

– Meg jest nasza.

Kolejne przesłanie. Monty nagle zaczął podejrzewać, że ma do czynienia z czymś o wiele delikatniejszym i bardziej niebezpiecznym, niż sądził.

– Dziękuję za pański czas, panie Wilcza Straż. – Wiele go to kosztowało, ale odwrócił się tyłem do Wilka i wyszedł z biura, zamykając za sobą drzwi.

Nie zdążył nawet zejść ze schodów, kiedy z góry dobiegło go wycie.

Kiwnął głową bladej młodej kobiecie za ladą i wyszedł z Zabójczo Dobrych Lektur – zauważył, że wielu klientów wybierających książki spojrzęło na niego

badawczo, a potem szybko ruszyło do kasy.

Kowalski czekał w radiowozie. Po drugiej stronie zaśnieżonego parkingu stała furgonetka z napisem Fallacaro Zamki i Klucze.

– I co? – spytał Monty, zapinając pas.

Kowalski wskazał głową trzech mężczyzn stojących przy przeszklonych drzwiach.

– Włamanie wczoraj w nocy. Wyłamany zamek. Chris Fallacaro obsługuje Dziedziniec, bo jego ojciec w zasadzie odszedł już na emeryturę. Tak naprawdę stary Fallacaro ma uprzedzenia wobec Innych i nie przyjmuje ich zgłoszeń.

– Zakłada też zamki w mieszkaniach na Dziedzińcu?

Kowalski pokręcił głową.

– Uczy tego dwóch Innych, w Kompleksie Usługowym mają własną maszynę do dorabiania kluczy. Miałem okazję porozmawiać z nim chwilę, zanim zjawili się *terra indigena*. Mówi, że nie narzekają na ceny, płacą gotówką i że ogólnie łatwo się z nimi pracuje. Tylko stoją mu zawsze nad głową i patrzą na ręce, a do tego jeszcze węższą – co go denerwuje, ponieważ potrafią odróżnić kiedy był u swojej dziewczyny, albo co jego matka podawała poprzedniego dnia na kolację.

– Gdyby jakiś klucz trafił w niewłaściwe ręce, ten chłopak nie pożyłby długo – stwierdził Monty.

– Och, on o tym doskonale wie, poruczniku. Dlatego bardzo uważa, jeśli chodzi o klucze.

– W porządku. Wracajmy na komisariat. Wygląda na to, że popsuje popołudnie kapitanowi Burke'owi.



Z każdym słowem Monty'ego twarz kapitana przybierała bardziej kamienny wyraz.

– Naprawdę uważa pan, że będą walczyć? – spytał Burke.

Monty kiwnął głową.

– Tak jest.

Burke odchylił się na krześle.

– Ma pan jakieś podejrzenia, dlaczego ta kobieta jest dla nich taka ważna? Albo co takiego ukradła?

– A dlaczego ludzie przygarniają bezpańskie koty? – odpowiedział Monty pytaniem na pytanie. – Może na początku ta sprawa była właśnie taka prosta, ale teraz, kiedy ktoś wtargnął na ich teren i próbował dostać się do panny Corbyn, postanowili jej bronić. – Urwał, nie bardzo wiedząc, ile ze swoich podejrzeń powinien ujawnić. – Simon Wilcza Straż powiedział coś, co nie daje mi spokoju. Jeśli ofiara kradzieży wiedziała, kto zabrał jej własność, i dała nam do listu gończego zdjęcie z dokumentów, dlaczego nie podała również nazwiska? Czy to była kradzież na zlecenie, a Meg Corbyn została po prostu wynajęta? Dlaczego nie podano nam nazwiska?

– O coś panu chodzi. O co?

– A jeśli ona nie ma nazwiska? Albo anonimowość służy jej ochronie?

– Każdy ma na... – Burke pochylił się powoli.

– Z tego, co zrozumiałem, te kompleksy są strzeżone równie dobrze jak Dziedzińce i nikt, łącznie z klientami, którzy korzystają z ich usług, tak naprawdę nie wie, co się dzieje w środku.

Burke westchnął.

– Stąpamy po cienkim lodzie, poruczniku. A jeśli coś z tego, co pan właśnie dał mi do zrozumienia, jest prawdą, grube ryby na moście zaczną zrzucać na ten łód ciężkie kamienie. Na bogów na górze i na dole, jeśli władze naszego miasta znajdują się po niewłaściwej stronie tego konfliktu, a nasz burmistrz razem z tym głupawym gubernatorem już nas w niego wpakowali, każąc rozpowszechnić ten list gończy... – Nie skończył swojej myśli. Nie musiał. Wstał zza biurka. – Lepiej porozmawiam z szefem i sprawdzę, czy będzie mógł wycofać jej podobiznę z ulic, zanim ktoś spróbuje dokonać aresztowania. A co pan zamierza?

– Porozmawiać z MacDonaldem i Debanym, jak tylko zgłoszą się na służbę. Muszą mieć świadomość niebezpieczeństwa. Postaram się też potwierdzić swoje podejrzenia co do powodów, dla których panną Corbyn interesuje się tyle osób.

Monty poszedł do swojego biurka, odwiesił płaszcz i zaparzył sobie filiżankę zielonej herbaty. Potem usiadł przy komputerze i następne dwie godziny poświęcił na zbieranie tych nielicznych informacji o rasie ludzi znanej jako *cassandra sanguine*, jakie znajdowały się w posiadaniu policji.

## Rozdział 8

Azja starannie zaplanowała porę swojego wielkiego wejścia. Wjechała na teren dostaw biura łącznika i zaparkowała w taki sposób, żeby jej samochód zajął jak najwięcej miejsca. Potem wyjęła z uchwytu jednorazowy kubek i poszła do biura. Kiedy zobaczyła, jak Meg waha się w drzwiach na zaplecze, uśmiechnęła się szeroko i podeszła do lady.

– Pracuję dziś na pierwszą zmianę i mam tylko chwilę – powiedziała nieco zdyszany głosem. – Źle zaczęłyśmy znajomość i to była wyłącznie moja wina. Czasami za bardzo rozpiera mnie entuzjazm. Naprawdę chciałabym cię poznać, ponieważ nie mam wielu przyjaciół, a jestem pewna, że z tobą da się porozmawiać. Masz tu mały podarunek na zgodę. – Postawiła kubek na ladzie przed Meg. – Nie byłam pewna, jaką kawę pijesz i czy w ogóle pijesz, więc przywiozłam ci gorącą czekoladę. Przy czekoladzie nie ma ryzyka pomyłki, tak uważam. – Zmieniła pozycję. Język jej ciała sygnalizował, że czuje się niezręcznie, ale mówi szczerze. – W każdym razie mam nadzieję, że nie wpakowałam cię niechcący w kłopoty.

– Nie wpakowałaś – odparła Meg. – Dziękuję za czekoladę. Ja też chciałabym czasami z kimś porozmawiać, ale...

– Ale teraz masz swoją pracę, a ja swoją. – Ktoś zatrąbił i Azja obejrzała się przez ramię. Wrony zebrane na kamiennym murku zakrakały gwałtownie. – Poza tym blokuję wjazd furgonetkom. Tworzę korek na autostradzie handlu.

Meg uśmiechnęła się.

– Raczej na ścieżce do kasy.

Azja pomachała jej na pożegnanie, w drodze do samochodu posłała promienny uśmiech kurierowi, któremu natychmiast znikła z twarzy kwaśna mina, i wyjechała z Dziedzińca. Kiedy włączała się do ruchu, spojrzała w tylne lusterko i zobaczyła, że dwie Wrony poderwały się do lotu.

*Punkt dla mnie*, pomyślała. Niech te czarnopióre plotkary powiedzą wszystkim, że wpadła do biura. Meg Corbyn nie ma żadnych zdolności towarzyskich i nie potrafi kłamać – ani ciałem, ani słowami. Tępaczka kupiła nową wersję Azji Crane, a jej chodziło dzisiaj tylko o to.

Tu kubek kawy, tam kawałek pizzy i za chwilę stanie się przyjaciółką, której Meg nie będzie potrafiła niczego odmówić. A wtedy wykona swoją misję i uszczęśliwi sponsorów.



Kiedy Monty wszedł do sali odpraw na komisariacie i zobaczył, jak kapitan Burke rozdaje listy gończe, poczuł na plecach zimny dreszcz.

– Poruczniku? Może powinniśmy usiąść? – spytał szeptem Kowalski.

*Burke rozumie zagrożenie. Więc dlaczego...?*

Monty rozejrzał się po twarzach kolegów, którzy oglądali list gończy, a potem zwracali wzrok na kapitana. Powoli zaczynali pojmywać powód, dla którego zwołane zostało to zebranie.

Kiedy wszyscy usiedli, Burke ze swoim charakterystycznym uśmiechem oświadczył:

– Poszukiwana. Wielka kradzież. Zauważyliście może, że nie ma informacji o tym, co konkretnie ukradziono, nie podano też nazwiska tej osoby, choć najwyraźniej jest znana temu, kto zgłosił kradzież. Zostałem poinformowany, że wszystkie miasta we wschodniej części Thaisii poproszono o poszukiwanie tej złodziejki, więc spełnimy nasz obowiązek wobec rządu i będziemy mieć oczy szeroko otwarte. Ale zanim zaczniecie się rozglądać, chcę wam powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, nic nie wskazuje na to, żeby ta osoba była uzbrojona albo niebezpieczna, czy w jakikolwiek inny sposób zagrażała nam albo obywatelom Lakeside. Więc jeśli ją zobaczycie, pamiętajcie, że pierwszy kontakt nie wymaga użycia siły. Chcę, żeby to było jasne. Po drugie, podobno każdy ma gdzieś swojego sobowtóra – kogoś, kto wygląda dokładnie tak samo jak my i kogo można z nami pomylić. Okazuje się, że taki sobowtór mieszka na tutejszym Dziedzińcu. – Szuranie krzesłami. Nerwowe ruchy. Kasznięcia. – Zostałem poinformowany, że ktoś, kto mieszka na Dziedzińcu w Lakeside, bardzo przypomina kobietę z plakatu. Ufam, że wszyscy w pełni pojmujecie konsekwencje, jakie poniesie nasze miasto, jeśli spróbujemy zatrzymać niewłaściwą osobę. Porucznik Montgomery i jego zespół zajmują się z przydziału incydentami z udziałem Innych, czy dochodzi do nich na Dziedzińcu, czy w mieście. Jeśli zauważycie w towarzystwie Innych kogoś, kto wygląda tak jak kobieta z listu gończego, dzwonicie do porucznika Montgomery’ego. Jeśli on lub ktoś z jego zespołu poprosi o wsparcie, zapewnicie mu je. Gubernator chce, byśmy zatrzymali tę złodziejkę, a skradzione dobra zostały zwrócone ich prawowitemu właścicielowi. Wydał takie polecenie burmistrzom wszystkich miast i miasteczek w Rejonie Północno-Wschodnim, a oni komisarzom policji w swoich miastach. Ci z kolei przekazali je kapitanom, którzy, jak ja, przekazują je swoim ludziom. – Burke urwał i rozejrzał się po twarzach zebranych. Nadał się uśmiechał, ale jego niebieskie oczy były jasne od gniewu. – Teraz wiecie, czego oczekuje od was jego ekscelencja. Mam też nadzieję, że wszyscy zrozumieliście, czego ja od was oczekuję.

Monty wyszedł z odprawy bez słowa. Zatrzymał się przy swoim biurku tylko na chwilę, żeby zabrać płaszcz, a potem wyszedł z komisariatu. Kowalski dogonił go przy radiowozie.

– Dokąd, poruczniku? – spytał, zapalając silnik.

Monty westchnął. Burke balansował na linie, żeby ostrzec swoich ludzi przed potencjalnym konfliktem z Innymi. Miał nadzieję, że jego własne wysiłki okażą się równie udane.

– Do Zabójczo Dobrych Lektur.

Kowalski ruszył.

– Mam wrażenie, że ZDL jest zamknięte o tej porze, ale Coś na Ząb powinno

już być czynne.

Monty spojrział na niego, a potem wyjrzał przez okno.

– Pamiętaj, Karl, co innego kawa na koszt firmy, a co innego dzień w dzień darmowe śniadanie i ciastka. MacDonald i Debany też nie powinni tam codziennie chodzić na darmową zupę.

Przez twarz Kowalskiego przemknął uśmiezek.

– Odniosłem wrażenie, że posterunkowy Debany nie wpada tam na zupę.

Monty pomyślał o kobiecie, która pracowała dla Tess, i zrozumiał zainteresowanie Debany'ego.

– Mimo to nasze postępowanie może zostać opacznie zrozumiane przez Innych. Dojdą do wniosku, że po prostu nie chcemy płacić.

– Kiedy zeszyłem razem próbowałem zapłacić, właścicielka się obraziła, a mówiąc szczerze, poruczniku, dużo bardziej boję się jej niż pana.

Tess. Na pewno nie była osobą, którą chciałby obrazić.

– W porządku. Ale... ograniczajcie się. – Monty znów westchnął. – Poza tym, jeśli będziecie się ciągle tak opychać, trzeba będzie otworzyć siłownię.

Kowalski nagle zaczął bardzo uważnie patrzeć na drogę.

– Ruthie wspomina ostatnio o zapisaniu się na siłownię albo do klubu fitness – a konkretnie do Siup i Łup, ponieważ znajduje się blisko mieszkania, do którego się przeprowadzamy. Wszyscy mieszkańcy i pracownicy Dziedzińca mogą tam chodzić, ale dla ludzi, którzy nie pracują dla Innych, przeznaczono tylko kilka miejsc.

– To chyba nie najlepsza pora na takie członkostwo – stwierdził Monty. – Jeśli coś się popieprzy...

– Wiem, ale Ruthie uważa, że jeśli Inni nawiążą pozytywne relacje z ludźmi, może nam to pomóc na dłuższą metę. Ona ciągle chodzi do ZDL i twierdzi, że nigdy nie czuje się tam zagrożona. Jeśli jest grzeczna, Inni są grzeczni dla niej.

– Komu pomóc? Policji?

– Wszystkim. Czy nie dla takich obopólnych kontaktów Simon Wilcza Straż otworzył dla nas kilka sklepów?

*Niewykluczone*, pomyślał Monty. Po kilku dniach kontaktów z Innymi wcale nie uważał, żeby Wilcza Straż chciał się zaprzyjaźnić z ludźmi bardziej niż wilk z jeleniem, ale lepsze zrozumienie zwierzyny zawsze się przydaje.

– Po prostu uważajcie oboje – powiedział.

– Może pan na to liczyć.

Kiedy dojechali do Dziedzińca, na drzwiach ZDL nadal tkwiła tabliczka ZAMKNIĘTE, ale Coś na Ząb było już otwarte. Kowalski zjechał na parking.

– Zaczekaj tutaj. – Monty sięgnął po klamkę, ale nagle zatrzymał się. Nie dawało mu spokoju to, jak Burke mówił o Dziedzińcu. To, jak nagle zaniepokoił się jego ludzie.

Opadł na fotel.

– Karl? Czy kiedyś wcześniej znaleźliście odznakę policyjną przy tych kamieniach w parku?

– Przed zamordowaniem Daphne Wilczej Straży nie było jednego określonego miejsca, gdzie mogliśmy odebrać dokumenty ZMN. – Kowalski patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem. – Odkąd kapitan Burke przejął komisariat przy ulicy



Orzechowej, nie mieliśmy takiego przypadku, ale kiedyś, w przeszłości, zdarzało się, że policjant zaginął i znajdowano tylko porzucony radiowóz i pochłapaną krwią odznakę. Podobno komendant policji i kapitan mają jakąś... umowę... ponieważ jeśli kapitan Burke chce kogoś przenieść z naszego komisariatu, następnego dnia tej osoby już nie ma, nikt o nic nie pyta, nikt się o nic nie wyklóca. Wśród policjantów jest takie powiedzenie: „Lepiej zostać przeniesionym niż ZMN”.

– Czy dodatek do pensji jest wart ryzyka pracy w tym zespole? – spytał Monty.

– Poruczniku, jeśli między nami a Innymi naprawdę się pokopie, żadna pensja nie będzie warta ryzyka. Poza tym w Lakeside nigdzie nie będzie bezpiecznie, więc może podejmowanie tego ryzyka okaże się coś warte dla wszystkich.

Ponieważ Kowalski najwyraźniej nie miał ochoty dodać nic więcej, Monty wysiadł z samochodu i poszedł do Czegoś na Ząb.

Tess stała za ladą. Pod wpływem uśmiechu, jaki mu posłała, poczuł się tak, jakby ktoś rozplątał mu plecy nożem.

– Poruczniku, mamy świeżą kawę, ale ciastka są wczorajsze. Dziś chyba wszyscy zaczynają z opóźnieniem.

– Chętnie napiję się kawy – powiedział Monty. – Ale tak naprawdę wpadłem, żeby zamienić słówko z panem Wilczą Strażą. Zauważyłem, że Zabójczo Dobre Lektury są jeszcze zamknięte, więc chciałem zapytać, czy ma pani z nim jakiś kontakt.

– W sprawie?

– Naszej wczorajszej rozmowy.

W brązowych włosach Tess, które nagle zaczęły się skręcać, pojawiły się czarne pasma.

– Tędy. – Już wcześniej jej głos nie brzmiał ciepło. Teraz był wręcz lodowaty. Monty poszedł za nią w stronę kraty oddzielającej sklepy. Otworzyła ją, weszła do ZDL i oznajmiła: – Vladimirze, porucznik Montgomery przyszedł na słówko. – Po czym, odwracając się do Monty’ego, dodała: – Członkowie Stowarzyszenia Przedsiębiorców wiedzą wszystko o waszej rozmowie. Simon jest w tej chwili zajęty, więc może pan porozmawiać z Vladem.

Wróciła do kawiarni, zamykając za sobą kratę. Monty został sam na sam z Sanguinatim.

Uśmiech Vladimira był równie lodowaty jak głos Tess. Monty musiał zebrać całą odwagę, żeby podejść do regału, na którym wampir ustawiał książki.

Nie chciał mówić Innym o Meg Corbyn nic, czego już by nie wiedzieli, ale jeśli nie powie im dość, poleje się krew. A może – ale tylko może – posiada informację, która sprawi, że *terra indigena* pozwolą ludziom zajmować się ludźmi?

– Chciałem ostrzec pana Wilczą Straż, że list gończy, który pokazałem mu wczoraj, został rozesłany do wszystkich komisariatów w Lakeside – a właściwie do wszystkich posterunków policji we wschodniej części Thaisii.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

Ton Vlada sugerował, że musiał się zdobyć na spory wysiłek, by okazać uprzejme zainteresowanie. Niemniej Monty zastanawiał się, ile czasu upłynie, nim ta wiadomość dotrze do najdalszej części Dziedzińca na Wschodnim Wybrzeżu – i co będzie to oznaczało dla policji w innych miastach.

– Chciałem również poinformować go o pewnych szczegółach, na które natrafiłem, sprawdzając informacje z listu gończego. – Urwał, żeby uważnie dobrać słowa. – Istnieje niewielka grupa ludzi, którzy wymagają nadzoru. Często zadają sobie rany, czasami śmiertelne, dlatego ludzkie prawo stanowi, że takie osoby podlegają życzliwemu posiadaniu przez inną osobę.

– Czy takie życzliwe posiadanie nie nazywało się kiedyś niewolnictwem? – Vlad wydawał się nieco zaskoczony. Nim Monty zdążył odpowiedzieć, wampir podjął: – A jaki jest wasz stosunek do ludzi, którzy wybierają samobójstwo przy pomocy Wilka? Jako obrońca swojego gatunku zapewne wie pan, że to się zdarza. Czy wasze prawo ustanawia życzliwe posiadanie takich ludzi, zanim sami sprowokują swoją śmierć?

Samobójstwo przy pomocy Wilka. To określenie zmroziło Monty'ego – a Vlad to zauważył.

– Nie. W naszym prawie nie ma przepisów dotyczących takich ludzi.

Monty uznał, że nie należy poruszać kwestii oddziałów zamkniętych w szpitalach psychiatrycznych, ponieważ wątpił, żeby Vlad pojął różnicę pomiędzy przetrzymywaniem na takim oddziale a życzliwym posiadaniem.

Sanguinatiego najwyraźniej zachwyciły jego słowa, choć nadal zachowywał lodowaty dystans.

– Zawsze są silniejsi i słabsi, przywódcy i poddani. Czy nie zmuszacie swoich słabszych, by zadowalali się ochłapami, które zostają, kiedy już silniejsi się posilą? Czy nie noszą łachmanów zamiast ciepłych ubrań? Silniejsi i słabsi istnieją w każdej grupie, ale wy najwyraźniej uznaliście, że niektóre rodzaje ludzi są ważniejsze niż inne. Niektóre rodzaje ludzi są ludźmi, a inne są... własnością? Czy nie tak to działa? Nie sądziłem, że wy, małpy, macie w sobie taką dzikość. Jeszcze chwila, a zaczniecie zjadać słabych, żeby silni mogli utrzymać się przy życiu.

– Nie.

Monty wiedział, że spojrzenie Vlada będzie go prześladować w snach.

– Czyżby? A jeśli nie będzie innego pożywienia? Jak długo zdołacie się powstrzymać? – spytał Vlad łagodnie. – Przez chwilę Monty nie mógł oddychać. Czy Vlad naprawdę groził, że odetną im dostęp do żywności, żeby zbadać ich skłonności kanibalistyczne, czy też był to tylko przykład szczególnego sposobu pracy umysłu *terra indigena*? – Mam przekazać Simonowi coś jeszcze?

Monty z trudem przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

– Tak. Należy się obawiać, że jeśli tylu policjantów będzie szukać osoby z listu gończego, mogą zająć pomyłki w identyfikacji.

– Chodzi panu o osobę, która jest podobna do naszego łącznika?

Monty kiwnął głową.

– Będę wdzięczny za wiadomość, jeśli panna Corbyn zechce wyjść poza Dziedziniec. Moi ludzie i ja nie będziemy jej w tym przeszkadzać, ale czułbym się lepiej, gdybym mógł być w pobliżu. Żeby uniknąć nieporozumień.

– Doskonały pomysł, poruczniku Montgomery. – Vlad uśmiechnął się. – W przeszłości takie nieporozumienia okazywały się bardzo kosztowne.

Monty pomyślał o Zatopionym Mieście i zadrżał.

– Istotnie, panie Sanguinati – powiedział, a ponieważ odpowiedziała mu tylko

cisza, cofnął się o krok. – Nie będę dłużej przeszkadzał panu w pracy. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

Vlad podszedł bliżej i wyciągnął rękę.

– Służę w każdej chwili, poruczniku. – Nie chcąc go obrazić, Monty ujął rękę wampira – i przez chwilę poczuł zaskakujące mrowienie. Równocześnie miał dziwne wrażenie, że silny uścisk dłoni Vlada staje się bezcielesny. – Może pan wyjść przez Coś na Ząb – powiedział Vlad, puszcżając rękę Monty’ego i odwracając się w stronę regałów z książkami.

Monty z ulgą ruszył ku kracie. Kiedy wyciągnął rękę, żeby ją otworzyć, zauważył kropelki krwi na swojej dłoni. Przez chwilę patrzył na nią zdumiony, a kiedy zrozumiał, co się stało, aż zachwiał się z wrażenia. Nie śmiał się odwrócić i spojrzeć na wampira.

Ile krwi zabrał mu Vlad w ciągu tych kilku sekund ich przelotnego kontaktu fizycznego? Czy pożywił się w ten sposób, czy może było to tylko ostrzeżenie? Albo groźba?

Pospiesznie przeszedł do kawiarni i skierował się ku drzwiom. Jedyne, czego teraz chciał, to uciec z tego miejsca.

– Proszę nie zapomnieć o kawie – zawołała za nim Tess.

Odwrócił się. Z jej włosów zniknęły czarne pasma, ale nadal miała nienaturalnie skręcone loki. Podała mu kilka papierowych serwetek i uśmiechnęła się.

Dużo wysiłku kosztowało go, żeby wyjść z kawiarni powoli i podejść do Kowalskiego, który stał oparty o radiowóz i obserwował dachy okolicznych budynków.

– Naprawdę dobrze pilnują. Z dziesięć Wron i dwa Jastrzębie – stwierdził Kowalski, kiedy Monty podał mu kubek z kawą. – Wszystko w porządku, poruczniku?

– Wsiądźmy do samochodu – odparł Monty.

Kiedy znaleźli się w środku, częściowo ukryci przed wzrokiem skrzydlatych obserwatorów, Monty zdjął z dłoni papierowe serwetki.

– Na bogów na górze i na dole! – zawołał Kowalski i zagwizdał cicho. – Co się stało?

– Podałem rękę Vladimirowi Sanguinatiemu.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie mogłem się od tego wymówić, a zważywszy treść naszej rozmowy, nie byłoby mądrze go obrażać.

Kowalski zbladł.

– Potrafią zabierać krew nawet przez dotyk?

– Najwyraźniej. Sam wspominałeś, że prawdopodobnie potrafią to robić, nie gryząc ofiary. Wygląda na to, że poznałem tę metodę na własnej skórze. – Monty podniósł kubek do ust, ale zaraz go opuścił, nawet nie kosztując kawy. – Jedźmy stąd, Karl. Muszę coś zjeść i pobyć chwilę z dala od Dziedzińca.

Kowalski wsunął kubek w uchwyt i wyjechał z parkingu.

Monty zamknął oczy, pozwalając Kowalskiemu wybrać miejsce, gdzie zatrzymają się na posiłek.

*Same znaki ostrzegawcze, pomyślał Monty. Burmistrz chce, byśmy złapali niebezpiecznego przestępcę i zwrócili własność prawowitemu właścicielowi. Tylko że tą własnością nie jest rzecz, ale osoba. Meg Corbyn ukradła własne ciało, wyrwała się spod czyjegoś życzliwego posiadania. Zważywszy zdolności cassandra sangue, ta życzliwość tak naprawdę sprowadza się do zysku.*

Po rozmowie z Vladem Sanguinatim zaczął podejrzewać, że w tym przypadku życzliwe posiadanie może być faktycznie synonimem niewolnictwa. Nie miał jednak pojęcia, czy pozostawienie wieszczki krwi samej sobie nie jest przypadkiem przyzwoleniem na morderstwo.

Jednego był pewien. Interwencja w kwestii zachowania Meg Corbyn i jej uzależnienia od samookaleczeń należy teraz do Simona Wilczej Krwi, a nie do niego.



Telefon zadzwonił, kiedy Meg zakładała płaszcz.

– Halo?

– Meg? Mówi Jester. Słuchaj, stary Huragan idzie do ciebie z innymi kucami. Jest już na emeryturze, ale byłoby dobrze, gdyby poczuł się użyteczny. Możesz mu dać pocztę dla Sowiej Straży albo Stajni Kucyków?

– Jasne. Ale jak go rozpoznam?

– Biała grzywa i ogon, szaroniebieska sierść. Na pewno nie pomylisz go z żadnym innym.

– Muszę już iść – powiedziała pospiesznie Meg, słysząc chóralne rzenie.

Otworzyła drzwi dostawcze i zamarała.

Czekało na nią dwanaście kucyków. Nie знаła czterech z nich, ale bez trudu domyśliła się, który z nich to Huragan. Zamiast jak zwykle stanąć w kolejce, kucyki przepychały się o pierwsze miejsce przy drzwiach, napierając na siebie ile sił. Wreszcie Grom tupnął kopytkiem. Huk wstrząsnął budynkiem, a Meg musiała złapać się drzwi, żeby zachować równowagę.

Popatrzyła na kucyka. *Och, to nie mógł być...*

– Na błogosławioną Thaisię! Co tu się dzieje? – krzyknął ktoś.

Chociaż nigdy wcześniej nie słyszała tego głosu, mogła się założyć, że to Elliot Wilcza Straż wychyla się z okna konsulatu.

W absolutnej ciszy, jaka zapadła, usłyszała trzaśnięcie zamykanego okna.

– Wpędzisz mnie w kłopoty – zwróciła się do Gromu głośnym szeptem. – Kucyk wyraźnie unikał jej wzroku. A zatem huk to naprawdę jego sprawa. – No już – powiedziała surowo. – Pamiętajcie, że pocztę na Dziedzińcu roznoszą tylko dobrze wychowane kucyki. Te, które nie potrafią się zachować, będą musiały wrócić do domu. – Oczywiście wiedziała, że nie może ich zmusić do powrotu do Stajni Kucyków, jeśli będą się źle zachowywały. Stała jednak nieruchomo w drzwiach sortowni i czekała ze srogą miną. Kucyki patrzyły na nią, jakby chciały się przekonać, czy nie blefuje, a potem ustawiły się w kolejce, jak zwykle z Gromem na czele. – Dziękuję. – Zaskoczona tym małym zwycięstwem, Meg poszła do stołu

i wzięła pocztę przeznaczoną do koszyka Gromu. Po kolei napełniła kosze Błyskawicy, Tornada, Trzęsienia Ziemi i Mgły. Idąc po trzy ostatnie partie poczty, zastanawiała się nad imionami kuców. Jeśli Grom potrafił wywołać taki huk jednym tupnięciem, co mogły zrobić Tornado i Trzęsienie Ziemi? Wołała o tym nie myśleć. Tak samo jak wołała nie myśleć o tym, że mieszka pod jednym dachem z Wilkami i wampirami – i o tym, że czuje się przy nich bezpieczniejsza niż przy ludziach, z którymi żyła w kompleksie. Nawet sama przed sobą nie chciała przyznać, że jest ciekawa widoku Wilka w formie Wilka. Nie pamiętała ze szkolenia wizerunku Wilka *terra indigena*, jedynie zdjęcia zwierząt. Nawet jej Kontroler – mimo fortuny, jaką otrzymywał za wykorzystywanie swej własności – nie mógł zdobyć fotografii Wilka, która mogłaby posłużyć dziewczętom za odniesienie w ich wizjach. Meg odsunęła od siebie te myśli, wzięła przygotowaną miskę z przysmakami i podała Gromowi dwa kawałki marchewki. Popatrzył na nią, potem na marchewki, i potrząsnął głową. – To marchewki – powiedziała zachęcająco. – W zeszłym tygodniu lubiłeś marchewki. – Kuc znów potrząsnął głową. Podniósł kopytko, spojrzął w stronę konsulatu i ostrożnie opuścił je na ziemię. Meg popatrzyła na kucyki i poczuła w żołądku coś nieprzyjemnego. *O nie...* Wróciła do środka – zbyt długo trzymała otwarte drzwi zewnętrzne i zrobiło się tu okropnie zimno – pobięła do recepcji, chwyciła kalendarz i pisak, po czym wróciła do kucyków. – Popatrzcie. – Narysowała duże C w rubryce z napisem „poniedziałek”, po czym pokazała im kalendarz. Wątpiła, żeby potrafiły czytać, ale najwyraźniej rozumiały, co się do nich mówi. – Cukier dostajecie w poniedziałki. To jest specjalna poniedziałkowa przekąska. Nie dostajecie kostek cukru w inne dni, aż do następnego poniedziałku, który jest tutaj. – Narysowała na kalendarzu kolejne C. – Dzisiaj dostajecie marchewki. – Odłożyła kalendarz i pisak, wzięła miskę z marchewką i wróciła do drzwi. – Dzisiaj marchewka. – Pokazała im dwa kawałki.

Okazując wielkie rozczarowanie i rezygnację, Grom zjadł marchewkę i ruszył dostarczyć pocztę.

Wszystkie kucyki przyjęły marchewki, także te, które zapewne przyszły tu dzisiaj tylko dlatego, że spodziewały się cukru.

Meg zamknęła drzwi do sortowni, zajrzała do recepcji, żeby sprawdzić, czy nie czeka na nią żadna furgonetka, a potem poszła na zaplecze zaparzyć sobie miętowej herbaty na rozgrzewkę. Jeśli codziennie ma dyskutować z kucykami na temat przysmaków, musi wkładać botki i zamykać drzwi, żeby zatrzymać w sortowni ciepło.



Simon odłożył słuchawkę i poprawił się w fotelu za biurkiem. To już trzeci tego dnia telefon od przywódców Dziedzińców na Zachodnim Wybrzeżu. Wszyscy pytali, czy na jego terytorium nie doszło przypadkiem do jakichś niezwykłych aktów agresji.

Coś złego działo się z ludźmi. Coś, co przenosiło się na *terra indigena*, jeśli

zjedli ich mięso. Ludzie stawali się bardzo agresywni, i to nie tylko wobec swoich. Atakowali Innych. Głównie Wrony, stada ludzi rozszarpały je, niezależnie od tego, w której formie akurat były. Agresja pozbawiała ich instynktu samozachowawczego. Oczywiście dominujący drapieżnicy Dziedzińców zabili mały odpowiedzialne za ataki, ale wkrótce po zjedzeniu ich mięsa zaczęli walczyć między sobą.

Pojawiły się też inne niepokojące symptomy. Niektóre Wilki, Niedźwiedzie i Koty nagle stawały się tak bierne, że nie potrafiły się obronić przed atakami ludzkich stad.

Chodzące ciała, uzdrowiciele *terra indigena*, nie znaleźli śladów trucizny ani narkotyków, ale coś sprawiało, że ludzie zachowywali się dziwnie, i to coś wpływało również na Innych.

W dużych miastach coraz więcej ludzi uzależniało się od narkotyków, które nie tylko niszczyły ich życie, ale również marnowały mięso. Ale do żadnego z tych incydentów nie doszło w dużych miastach. Nowe zagrożenie dotyczyło tylko małych osad i centrów przemysłowych liczących kilkuset mieszkańców – a więc miejsc, gdzie Inni prawie nie mieli kontaktu z ludźmi i nie mieli pojęcia, że nie należy jeść ich mięsa.

To były miejsca, w których Inni bez trudu mogliby wyeliminować wszystkich ludzi, gdyby poczuli się zagrożeni. Oczywiście w ludzkich gazetach i telewizji przedstawiono by to jako wielką tragedię, ale wkrótce przybyłaby inna grupa ludzi i podjęła pracę na farmach i w fabrykach. Wyczyściliby plamy krwi i zamieszkali w tych samych domach – o ile Inni nie zjawiliby się tam pierwsi i po prostu nie zajęli ziemi i nieruchomości.

Czy ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, jak łatwo ich zastąpić? *Terra indigena* byli starzy jak świat, tak starzy jak lądy i morza. Uczyli się od dominujących drapieżników i stawali się czymś więcej niż one. Wciąż się przystosowywali, wciąż zmieniali się tak jak Namid. Będą istnieć zawsze.

*Terra indigena* w Thaisii nie potrzebowali już ludzi, żeby zdobyć rzeczy, których pożąдали. Jeśli mały staną się prawdziwym zagrożeniem, nie będzie już żadnego powodu, by tolerować ich obecność. A gdy ten dzień nadejdzie, ludzie pójną tą samą ścieżką, co inne stworzenia przed nimi. Staną się tylko wymarłym mięsem.



Meg nie była zaskoczona, kiedy godzinę po odejściu kucyków zjawił się Jester. Odłożyła pocztę, którą sortowała, i wyciągnęła do niego miskę z marchewkami.

– Poczęstuj się.

Pochylił się nad miską i powęszył.

– Wolę mięso – powiedział, prostując się.

– Daj dobry przykład i zjedz marchewkę – warknęła Meg.

Jester cofnął się i popatrzył na nią nieufnie.

– Mówisz jak Wilk. Czyżbyś miała rano kłopoty z kucykami?

Meg odstawiła miskę.

– Nie będą codziennie dostawać cukru, bo to specjalna przekąska, więc dziś są marchewki. Kiedy Grom się o tym dowiedział... zagrzmiał... co zdenerwowało Elliota Wilczą Straż, który przysłał tu nadętą Sowę, żeby przypomniła mi, że zadaniem konsulatu jest utrzymywanie stosunków z ludzkim rządem i nie wolno kompromitować go niekompetencją wynajętej pomocy Dziedzińca – wyrzuciła z siebie na jednym tchu Meg. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zdenerwowała ją ta reprimenda. A przecież wcale na nią nie zasłużyła.

Nie. Nie była zła. Była wściekła.

Dobrze było czuć wściekłość. To takie ożywcze, czuć emocje, nie obawiając się kary.

– Dałaś kucykom cukier? – spytał Jester.

– I co z tego? Kostka cukru od czasu do czasu chyba im nie zaszkodzi.

– Nie, oczywiście, że nie. – Odsunął się od stołu o kolejny krok. – Patrząc na ciebie, mam ochotę podwinąć ogon pod siebie, ale ogon i spodnie wzajemnie się wykluczają, a chyba oboje wolimy, żebym pozostał ubrany.

Meg znów wzięła miskę i wyciągnęła w jego stronę.

– Zjedz marchewkę. Nie zaszkodzi ci.

Jester z westchnieniem wziął marchewkę i ugryzł niechętnie.

– Dostaną jeszcze cukier? – zapytał.

Podniosła kalendarz, który stał teraz obok odtwarzacza płyt, i postukała paznokciem w duże czarne C.

– Cukier w poniedziałki.

– No dobrze, wyjaśnię im to.

Jej gniew opadł.

– Nie jestem zła na ciebie, Jesterze. Po prostu chcę dobrze wykonywać swoją pracę. Ale jestem tu niecały tydzień i ciągle wpadam w jakieś kłopoty.

– Ciut kłopotów, które wynagradzasz z nawiązką rozrywką, jakiej nam dostarczasz – odparł z uśmiechem.

– Wielkie dzięki. – Zawahała się. Nie miała doświadczenia, ale podejrzewała, że wkrótce będzie miała zdecydowanie więcej wolnego czasu. – Jester? Co robili inni łącznicy między dostawami, jeśli nie mieli żadnych zaległości?

Rozejrzał się po sortowni.

– Pozbyłaś się całej starej poczty? – Spojrzał na nią, nieco skonsternowany. – Nie mam pojęcia, Meg. Nie pamiętam, żeby kiedyś było tu tak pusto. Może... czytali książki?

– Mogę przydać się do czegoś jeszcze?

– A co chciałabyś robić?

Dobre pytanie. Musiała się nad tym zastanowić.

– Czytanie to dobry pomysł. Od tego zacznę. – Mogła teraz czytać bez ograniczeń, mogła uczyć się, jak coś zrobić, zamiast nabijać sobie głowę przypadkowymi obrazami.

– To dobrze – stwierdził Jester. – Świetnie. Porozmawiam z kucykami. Od tej chwili zadowolą się każdym poczęstunkiem.

Zniknął tak nagle, jakby wcale go tu nie było.

Meg pokręciła głową. Nie była pewna, czy ludzie potrafią – i czy powinni –

rozumieć sposób myślenia Innych. Ale sugestia Jestera jej się spodobała, postanowiła więc, że podczas przerwy na lunch znajdzie sobie książki – jedną do nauki, a drugą do rozrywki – i pomyśli, co mogłaby robić dodatkowo, żeby zapracować na utrzymanie.

Potem przyszło jej do głowy, że skoro Inni nie mają pojęcia, co powinna robić ze swoim czasem, może tak zorganizować sobie pracę, żeby obejmowała również to, co sama chciałaby robić. W końcu zrobiła już nawet pierwszy krok, jeżdżąc z dostawami.

Zanim wróciła do sortowania, włożyła płytę do odtwarzacza i biuro wypełniła żywa muzyka.



Słyszając za sobą chrzęst opon, Simon zszedł na pobocze, ale błyszczący czarny sedan zwolnił, żeby się z nim zrównać. Szyba w tylnym oknie zjechała w dół.

– Podwieźć cię do domu? – spytał Elliot.

Simon pokręcił głową.

– Muszę się przejść.

– Zatrzymaj samochód – polecił Elliot kierowcy. Simon czekał, aż ojciec zmieni kosztowne skórzane buty na praktyczne botki i wysiadzie z samochodu. Sedan odjechał i dwa Wilki ruszyły w stronę Zielonego Kompleksu. – Co się dzieje? – spytał Elliot. – Twój łącznik spowodował kolejne problemy. Nie dość jak na jeden dzień?

– Mogło być gorzej – odparł Simon burkliwie. – Grom wyraził swoją opinię. Zresztą chciał się jej tylko postawić albo ją przestraszyć, inaczej tupnięcie miałoby poważniejsze konsekwencje.

– A gdyby to Trąba Powietrzna albo Trzęsienie Ziemi wyraziły swoją opinię?

– Ale nie wyraziły. – Gdyby tak się stało, musiałyby odbyć nieprzyjemną rozmowę z dziewczynką na jeziorze, ponieważ kucyki były rumakami Żywiołów. Zamiast tego odbył zaskakującą pogawędkę z Jesterem. Kojot był zachwycony, że Meg z taką łatwością potrafi ciągnąć Elliota za ogon, niemniej budziła w nim wielką nieufność. Nie zachowywała się jak inni ludzie, więc żaden z Innych nie był do końca pewien, jak powinien ją traktować – była najbardziej interesującą i najbardziej frustrującą rzeczą, na jaką natrafili od dłuższego czasu. – Na zachodnich Dziedzińcach mają kłopoty – stwierdził Simon i opowiedział Elliotowi o rozmowach telefonicznych, które odbył. – Wybrani przywódcy Dziedzińców zamierzają się spotkać w Rejonie Środkowo-Zachodnim, żeby przedyskutować to nowe zagrożenie.

Elliot zmarszczył brwi.

– Tę... chorobę. Czy jest zaraźliwa?

Simon pokręcił głową.

– To nie jest choroba. Po kilku godzinach znika jak skutek działania narkotyków. Dwa różne smrody przenikają do małych osad ludzkich, a nasze chodzące ciała nie potrafią znaleźć źródła żadnego z nich.



- Będziesz reprezentował Rejon Północno-Wschodni?
- Jeśli dojdzie do spotkania, pojadę w imieniu Dziedzińców z tej części

Thaisii.

Krótko, niezręczna cisza.

– A co z Samem? – zapytał wreszcie Elliot, po czym szybko dodał: – Zajmę się nim. Wiesz, że się zajmę. Ale nie będę trzymał go w klatce.

– Klatka ma go chronić. – To był stary spór. Po śmierci matki Sam był tak przerażony i zrozpaczony, że zaczął wykazywać autodestrukcyjne skłonności. Wataha nie potrafiła go powstrzymać. Kiedy po raz drugi omal się nie zabił, Simon sprowadził klatkę. Zamierzał się jej pozbyć, jak tylko Wilczek się uspokoi. Ale okazało się, że Sam uważa klatkę za jedyne bezpieczne miejsce na całym świecie i wyciągnięcie go z niej nawet na kilka minut wymagało codziennej walki.

Choć Elliot kochał siostrzeńca i nadal oplakiwał śmierć Daphne, nie zamierzał toczyć tej walki. A widok Sama w klatce denerwował wszystkich w Kompleksie Wilków, szczególnie inne Wilczki.

– Henry się nim zajmie – odparł Simon. – Albo Vlad.

– Jak długo cię nie będzie?

– Kilka dni. Może tydzień. – Nie chciał nawet myśleć, co się może tu zdarzyć w ciągu tygodnia. I kogo może nie być już na Dziedzińcu, kiedy wróci. – Spróbuj dogadać się z Meg, dobrze? To pierwszy łącznik od bardzo dawna, który naprawdę pracuje. Robi nawet dostawy na Pokoje.

Elliot drgnął niespokojnie na myśl o tym, że Erebus Sanguinati zaaprobował nowego łącznika.

– Cóż, muszę przyznać, że to pierwsza małpa, która raczyła przejść te kilka kroków między budynkami i dostarczyć osobiście pocztę konsulatu. Wreszcie dostaję korespondencję punktualnie. – Do Zielonego Kompleksu doszli w przyjacielskim milczeniu. Czarny sedan czekał na parkingu dla gości. Elliot otworzył drzwiczki, ale zawahał się i odwrócił do Simona. – A tak przy okazji, burmistrz zadzwonił do mnie z wiadomością, że szukają niebezpiecznego złodzieja. Podobno krążą plotki, że może się ukrywać na Dziedzińcu, a nawet... udawać naszego łącznika. Burmistrz podkreślał, że skradziona własność musi wrócić do prawowitego właściciela.

Simon skrzywił się. Czy powinien powiedzieć Elliotowi o Meg?

Obowiązywała go decyzja Stowarzyszenia Przedsiębiorców, by nie mówić nikomu, że Meg jest wieszczką krwi – trzeba było groźby ze strony Tess, żeby wymusić na Jenni obietnicę, że zachowa sekret nawet przed innymi Wronami. Ale niewykluczone, że pomoże w ten sposób Elliotowi w relacjach z małpami, które gadają mu do ucha.

– Co mu powiedziałaś? – Simon wiedział, że Elliot uznał jego wahanie za wskazówkę.

Elliot obnażył zęby w uśmiechu.

– Powiedziałem mu, że ta dziewczyna nie ma wystarczającego kręgosłupa, żeby mogła być niebezpieczna. Brakuje jej też inteligencji, żeby coś ukraść.

– To wystarczy. – Nie były to komplementy dla Meg, ale ludzki rząd mógł uznać taką odpowiedź za użyteczną. Potem nagle Simonowi przyszło coś do głowy. – Skąd burmistrz wiedział, że Meg wygląda jak kobieta na liście gończym? Widziało ją tylko kilku policjantów i kurierzy, ale oni nie wiedzą o liście.

- Burmistrz powiedział, że dostał anonimowe zgłoszenie – odparł Elliot.
- Od kobiety czy mężczyzny?
- Tego nie powiedział.

Azja Crane zapewne bez wahania zaszkodziłaby osobie zatrudnionej na posadzie, którą sama chciała dostać, ale skąd wiedziałaby o liście gończym? A może zrobił to ktoś inny? Ktoś, kto potrafił wyciągnąć informację od policjanta? Albo ktoś, kto pracował z Innymi i zdobył trochę ich zaufania?

O tym też będzie musiał porozmawiać z Henrym, Vladem i Tess, szczególnie jeśli przyjdzie mu wyjechać.

Simon odprowadził wzrokiem samochód Elliota, kierujący się do Kompleksu Wilczej Straży, po czym przeszedł na drugą stronę drogi i ruszył do domu.

Euforia Sama na jego widok prysnęła, kiedy tylko otworzył klatkę i sięgnął po szczeniaka. Ignorując zawrodozenie, zabrał Sama na dwór. Jak zwykle, gdy tylko łapki małego dotknęły ziemi, prysnął z powrotem do mieszkania. Warcząc, Simon ruszył w pogoń. Ta przeklęta klatka dręczyła go tak samo jak Elliota, ale co mieli zrobić – pozwolić szczeniakowi umrzeć?

*Co zrobisz, jeśli znów zacznie rosnać, jeśli wyrośnie na dorosłego Wilka i nadal będzie potrzebował klatki?*

Nagle Sam zatrzymał się z poślizgiem i zaczął węszyć po ziemi z zainteresowaniem, jakiego nie okazywał już od dawna. Zaintrygowany Simon podszedł bliżej i pochylił się, próbując złapać woń, która tak zainteresowała szczeniaka.

*Meg.*

Wyprostował się i zobaczył, jak wychodzi ze sklepionego przejścia prowadzącego do garażu i parkingu za kompleksem. W obu rękach niosła torby i chyba trochę dyszała.

Dopilnuje, żeby miała więcej ruchu – nawet jeśli będzie musiał ganiać ją jak królika.

– Meg. – Kiwnął do niej głową.

– Panie Wilcza Straż.

Kiedy zwracała się do niego w ten sposób, to tak jakby zatrząskiwiała mu drzwi przed nosem. Wcale mu się to nie podobało. Jeśli nie przestanie, wizja gonienia jej jak królika zyska na atrakcyjności.

Potem spojrzała w dół i uśmiechnęła się promiennie.

– Cześć. A kto ty jesteś?

Dopiero wtedy Simon przypomniał sobie o szczeniaku, który wycofał się między jego nogi.

Sam zawył na powitanie. Dźwięk przypominał skrzypienie drzwi.

Młode Wilki *terra indigena* prawie nie różniły się od zwykłych wilków. Dopiero kiedy dorastały, różnica stawała się oczywista.

– To jest Sam – powiedział Simon. Nie wyjaśnił, kim jest dla niego, ale Meg nie zwróciła na to uwagi.

– Cześć, Sam.

Szczeniak zaczął popiskiwać i wyć towarzysko. Bezpieczny między nogami Simona, wyciągnął głowę, żeby obwąchać Meg, po czym odskoczył. Przez cały czas

trząsał się, a jego ogon rytmicznie uderzał w łydki opiekuna.

*Nie jest jedną z nas, ale nie pachnie jak zwierzyzna*, pomyślał Simon. *Nie pachnie jak ludzie, którzy zniszczyli jego świat*. Meg była czymś nowym, a jej zapach tak zafascynował szczeniaka, że zdawał się zapomnieć nawet o strachu.

Czy to nie interesujące?

– Pomóc ci wnieść na górę te torby? – zaproponował.

– Nie, dziękuję – odparła. – Schody są odśnieżone, więc dam radę. Poza tym to już ostatnia tura. Dobranoc, panie Wilcza Straż. Pa, pa, Sam.

Simon patrzył za Meg, jak wchodzi na schody, a potem zabrał Sama tam, gdzie zwykle się załatwiał. Mieszkańcy Zielonego Kompleksu tolerowali takie zachowanie, ponieważ chodziło o Sama, ponieważ był mróz i ponieważ Jastrzębie i Sowy cieszyły się z myszy i szczurów, zwabianych przez zapach odchodów. Ale prędzej czy później będzie musiał zacząć po nim sprzątać.

Kiedy Sam załatwił swoje potrzeby, niespodziewanie puścił się biegiem ku schodom prowadzącym do mieszkania Meg. Simon dogonił go w połowie drogi i siłą zaciągnął do domu.

– Nie – powiedział stanowczo. – Nie sądzę, żeby chciała się teraz bawić.

Aż za dobrze mógł sobie wyobrazić, jak obaj hasają z Meg po śniegu...

– Chodź, wyczeseję cię. Dziewczyny lubią ładnie uczesane Wilki.

Meg czesze go, zanurza palce w jego futrze...

O tym również nie należało myśleć.

Sam pozwolił się uczesać i zachowywał się całkiem spokojnie poza klatką, kiedy Simon ją sprzątał – zapuścił się nawet samotnie na spacer do frontowych drzwi, żeby przy nich powęszyc.

Łatwo było się domyślić, czyjego zapachu szuka.

Czy to nie interesujące?

## Rozdział 9

Meg otwierała właśnie słoik konfitur, kiedy ktoś załomotał w kuchenne drzwi. Serce podskoczyło jej do gardła i omal nie upuściła słoika. Ktoś ją znalazł, a ona nie mogła się ruszyć, nie była w stanie się ruszyć, żeby uciec.

Kiedy walenie powtórzyło się, a burkliwy głos krzyknął: „Otwórz Meg!”, poczuła taką ulgę, że aż zrobiło jej się słabo. Nikt jej nie znalazł. To tylko rozzłoszczony Wilk z mieszkania obok.

– Chwileczkę!

Klucze. Potrzebowała...

W zamku zazgrzytał klucz, ale drzwi nadal były zamknięte od wewnątrz na zasuwkę. Jej opór sprowokował warczenie, od którego Meg aż się wzdrygnęła. Podbiegła do drzwi i odsunęła blokadę.

Simon wpadł do środka i chwycił ją za ramię, nim zdążyła odskoczyć. Wywłócił ją na korytarz, a potem wciągnął do swojego mieszkania. Opierała się – instynkt podpowiadał jej, że należy uciekać jak najdalej od wściekłych mężczyzn – póki nie kłapnął zębami tak blisko jej nosa, że omal nie zadrasnął jej skóry.

– Nie mam czasu na gierki – warknął, ciągnąc ją przez pusty pokój, dalej przez korytarz i schody aż do kuchni. – Muszę wyjechać na kilka dni i chcę, żebyś zajęła się Samem.

Poczuła mrowienie w dłoniach i ramionach, gdy tylko wypowiedział te słowa, ale nie śmiała potrzebować skóry – to zwróciłoby jego uwagę.

– Dlaczego wyjeżdżasz? Dokąd? – Nie tylko ciekawość i troska kazały jej zapytać. Simon nadal miał jej brzytwę. Wczoraj wieczorem przez godzinę musiała z całej siły zaciskać zęby, gdyż pragnienie krwi przeżerało się przez jej serce i trzewia. Nie miała pojęcia, z jakiej odległości można wyczuć krew, a nie chciała prowokować mieszkających w sąsiedztwie drapieźników – szczególnie wampira, Niedźwiedzia i Wilka – więc zdołała oprzeć się pokusie użycia kuchennego noża. Ale nie będzie w stanie opierać się dużo dłużej.

– To nie dotyczy ciebie – odparł Simon. – Po prostu wykonuj swoją pracę do mojego powrotu, a nic ci nie grozi. – Otworzył dolną część kredensu, wyciągnął worek suchej karmy dla psów i nasypał trochę do miski. – To jedzenie Sama. Daję mu miarkę rano, drugą na kolację. I świeżą wodę.

– Ale ja nic nie wiem o opiece nad szczeniakami! – zaprotestowała Meg, przerażona odpowiedzialnością, jaką właśnie ją obarczył.

– Po prostu dwa razy dziennie dawaj mu jeść i pić – powtórzył Simon i wcisnął jej do ręki pęk kluczy. – Jeśli będziesz miała jakieś pytania, zwróć się do Vlady albo Henry’ego.

Ruszył do drzwi frontowych i podniósł stojącą przy nich torbę podróżną. Meg szła krok za nim.

– Panie Wilcza Straż! – Odwrócił się i spojrzął na nią. Mrowienie pod skórą zmieniło się w dokuczliwe drganie. Stało się coś złego. Coś bardzo złego. – A co z wyprowadzaniem Sama na spacer? – spytała, zmuszając się do zachowania spokoju. Nauczyła się tego z konieczności. Bez względu na to, co chodzące imiona mówiły o chłodnym profesjonalizmie, kiedy dziewczęta opierały się cięciom, prowokowało to niektórych do robienia... pewnych rzeczy... już po przepowiedni, żeby rozładować własne napięcie. Jeśli nie niszczyli przy tym dobrej skóry, Kontroler przymykał na to oczy. W końcu takie doświadczenia sprawiały, że proroctwa stawały się bardziej szczegółowe – szczególnie te mroczne.

Ku jej zaskoczeniu – i uldze – Simon zareagował pozytywnie na jej spokój i też się uspokoił. Pokręcił głową.

– Jeśli Sam ci ucieknie, może sobie zrobić krzywdę, zanim zdołasz go złapać. Lepiej, żeby załatwiał się w klatce. Posprzątam, kiedy wrócę.

Meg pomyślała, że całe mieszkanie będzie śmierdzieć kupą, jeśli nikt nie posprząta klatki przez kilka dni. Nie powiedziała tego jednak, ponieważ za oknem rozległ się klakson. Simon poprawił torbę na ramieniu.

– Panie Wilcza Straż! – Kiedy znów na nią spojrzął, zadarła dumnie podbródek. – Ma pan coś, co należy do mnie.

Wyprostował się, nic więcej, ale i tak wyczuła czającą się w tym groźbę. Każdy, kto zobaczyłby go w tej chwili, byłby pewien, że nie jest człowiekiem. Dlatego uznała, że tym razem nie może się wycofać. Bo jeśli to robi, Simon zmusi ją do podporządkowania się w każdej innej kwestii.

– Nie potrzebujesz tego – powiedział.

– Nie pan o tym decyduje – odparła. – Ale ma pan rację, nie potrzebuję brzytwy. Wystarczy mi nóż kuchenny, ale łatwiej o wypadek, jeśli nie zna się narzędzia i jeśli nie jest ono odpowiednio ostre.

To nie był blef. Często zdarzało się, że dziewczęta, które używały przypadkowych narzędzi, zadawały sobie poważne obrażenia. Niektóre nawet przyplącały to życiem.

Simon zmierzył ją wzrokiem, a w jego oczach pojawiły się czerwone iskry. Kiedy obnażył zęby, Meg skonstatowała ze zdumieniem, że jego kły się wydłużyły, ale po chwili wróciły do normalnego rozmiaru. Dziś rano Wilk unosił się zdecydowanie zbyt blisko powierzchni jego osobowości.

Bez słowa sięgnął do kieszeni dzinsów, wyjął srebrną brzytwę i podał Meg. Znów rozległ się dźwięk klaksonu.

Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi. Meg wybiegła za nim. Wsiadł do niewielkiej pasażerskiej furgonetki. Nie dostrzegła, kto prowadzi, ale na tylnym siedzeniu zauważyła jeszcze dwie osoby.

Furgonetka odjechała, a Meg poczuła, że marznie. Wyszła na zewnątrz bez płaszcza. Gdy odwróciła się, żeby wejść do budynku, załapała ją nagle gwałtowna potrzeba przecięcia skóry. Wspomnienie związanej z tym euforii wywołało rozkoszne dreszcze w podbrzuszu, delikatne pulsowanie podniecenia. Jedno cięcie w słusznej sprawie. Stało się coś złego. Coś, co wywabiło Simona z Dziedzińca. Jedno cięcie mogło tyle wyjaśnić.

Weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi, a potem oparła się o nie

i otworzyła brzytwę.

Jedno cięcie, żeby pomóc Simonowi i pozbyć się tego straszego mrowienia pod skórą. Ale skoro nie wie, z jakiego powodu wyjechał, na czym ma się skupić? Jeśli *cassandra sangue* nie skupiała uwagi na czymś konkretnym, przepowiednie stawały się zbyt ogólne. Nie wystarczyło nawet zdjęcie, ponieważ mogło się zdarzyć, że przepowiednia będzie dotyczyć osoby, która je zrobiła, a nie tej, która jest na nim uwieczniona. Dlatego klienci Kontrolera zwykle przebywali w tym samym pomieszczeniu co wieszczka, żeby jej przepowiednia dotyczyła właściwej osoby.

Meg uniosła lewą rękę i przyjrzała się skórze na ramieniu. W tej samej chwili usłyszała skomlenie. Weszła do salonu i przyjrzała się siedzącemu w klatce Wilczkowi. Kulił się w kącie, wyraźnie przestraszony. Wieszczka musiała mieć słuchacza, który wysłucha przepowiedni, musiała wypowiedzieć ją na głos, żeby poczuć euforię. Meg zapamiętała swoje przepowiednie i poznała sposób ucieczki, ponieważ zdławiła w sobie słowa i zniosła związany z tym ból. Czy stać ją na to, by znowu tak cierpieć?

Simon wyjechał. Wprawdzie był tu ktoś, kto mógł wysłuchać przepowiedni, ale szczeniak nie zdoła powtórzyć jej słów, a ona sama nie zapamięta dość, by cięcie na cokolwiek się zdało. Wyjąwszy fizyczną ulgę.

*Kra, kra, kra...*

Podsłuchiwała, gdy dobiegło ją krakanie odlatujących Wron. Na bogów na górze i na dole, spóźni się do pracy!

Pospiesznie zamknęła brzytwę i schowała do kieszeni. Wzięła miskę z jedzeniem dla szczeniaka, którą Simon zostawił w kuchni, i wstawiła do klatki. Potem zamknęła frontowe drzwi i pomknęła schodami do własnej kuchni, po drodze zamykając jeszcze tylne drzwi z mieszkania Simona. Plastry wołowiny i konfitury schowała do lodówki. Wróci do domu podczas przerwy obiadowej, sprawdzi, jak się miewa Sam, i posprząta.

Rozejrzała się po raz ostatni, sprawdzając, czy wszystko wyłączyła. Potem chwyciła płaszcz i torbę z jabłkami dla kucyków, włożyła botki i zamknęła drzwi na klucz. Pobiegła prosto do garażu, gdzie zostawiła swój PNK.

Dopiero kiedy ruszyła do pracy, uświadomiła sobie, że Simon nie powiedział jej, co ma zrobić, jeśli Wilczek przybierze postać chłopca.



Simon zaczekał, aż dojadą do Kompleksu Usługowego, i dopiero wtedy obejrzał się na Nathana Wilczą Straż i Marie Jastrzębią Straż, siedzących z tyłu furgonetki.

– Wybieracie się gdzieś?

– Jadą z tobą – warknął Blair, zwalniając przy bramie do kompleksu.

Obsługujący ją Wilk uchylił ją tylko na tyle, by przepuścić furgonetkę. Kiwnął głową Simonowi, który odpowiedział tym samym gestem. Blair włączył się do ruchu. – Pociąg nie będzie na was czekał. Nie mamy czasu na przepychanie się na drodze

z tymi małpami. Czy naprawdę musiały wszystkie właśnie teraz wyjechać na ulice?

– Jadą do pracy – wyjaśnił Simon, po czym spojrzał na Nathana i Marie i dodał: – Nie potrzebuję towarzystwa.

– To nie jest towarzystwo, tylko straż – parsknął Blair. – Jesteś przywódcą Dziedzińca w Lakeside. Nie podróżujesz sam. Szczególnie teraz. Jak ludzie zobaczą w pociągu samotnego Wilka, mogą wpaść na głupi pomysł i na przykład cię zabić. Pamiętasz, co się stało ostatnim razem, kiedy w pociągu zaczepiono jednego z naszych?

Zupełnie jakby pomiędzy wschodem a zachodem Thaisii przeciągnięto linię graniczną. Przez trzy miesiące każdy pociąg kursujący w poprzek kontynentu trafiał na tornado na długości geograficznej miejsca, do którego jechał zabity przez ludzi Jastrząb. Trzy miesiące zmasakrowanych ciał i składów porwanych przez wichur. W końcu Żywioły uznały, że wyraziły dobitnie swoje zdanie, i powróciły do normalnych relacji ze światem.

– Pamiętam – odparł Simon.

Blair kiwnął głową.

– Dlatego jadą z tobą przedstawiciele Wilczej i Jastrzębiej Straży. I dlatego zadzwoniłem na stację i powiedziałem, że jedziesz dziś na zachód. I dlatego kazałem Henry'emu zadzwonić do tego policjanta, żeby jego ludzie byli obecni na stacji.

– To ma być nieoficjalne spotkanie przywódców, na którym przedyskutujemy to, co zaszło wczoraj w Georgette.

– Jak wysiądziesz na stacji w Midwest, znikniesz na ziemiach *terra indigena*. Do tamtej chwili... – Blair rzucił na niego okiem. – Simonie, to nie jest bardzo wyraźne, ale dziś nie możesz uchodzić za człowieka. Policja i pracownicy kolei muszą zapanować nad swoimi ludźmi, ponieważ nie mogą sobie pozwolić na kolejne problemy. – Ludzie w tej części Thaisii zapewne nie znali jeszcze nowiny, ale kiedy ją poznają, będą zszokowani, wściekli i przerażeni. Nie jest to dobry czas na samotne podróże *terra indigena*. Ale Inni również byli wściekli. Jeden fałszywy ruch ze strony ludzi i może zniknąć więcej ich domów, osiedli, a nawet całych miast. – A co z Samem? – Blair zmienił temat.

– Meg się nim zajmie – odparł Simon.

– Meg? – Blair oderwał wzrok od drogi i omal nie wjechał w tył jadącego przed nimi samochodu. – Dlaczego ona?

– Ponieważ pierwsza zainteresowała go na tyle, że zapomniał o strachu.

Rozległ się cichy skowyt Nathana.

– A co na to Elliot?

– Nie powiedziałem mu.

Blair pomyślał przez chwilę, a potem kiwnął głową.

– Zajmę się tym, kiedy już się dowie.

– Chcę, żeby Wrony pilnowały biura – oznajmił Simon. – Powiedz Vladowi i Henry'emu, żeby uważali na Meg. Nie miała wiele do czynienia z innymi *terra indigena*, a brak zapachu zwierzyny może prowadzić do nieporozumień. – *U kogoś prócz mnie*, dodał w myślach. Świadomość, że Meg jest *cassandra sangue*, wprawdzie złagodziła nieco jego dezorientację, niemniej ta kobieta nadal pozostawała dla niego zagadką. I właśnie to sprawiało, że była tak interesująca.

– Jester ma z nią najlepszy kontakt – stwierdził Blair. – Uważa, że jest zabawna, chociaż jej nie ufa.

Jeśli ktoś wyczuje od Meg choćby najlżejszą woń krwi, macie o tym powiadomić Vlada albo Henry’ego, powiedział Simon do Blaira, a ten kiwnął głową. Skoro nie może jej powstrzymać od cięcia się, chce przynajmniej mieć nad tym kontrolę.

Resztę drogi na stację odbyli w milczeniu. Simon wciąż myślał o Meg i Samie. Żałował, że nie może ich obserwować, ale chyba tak będzie lepiej. Będą musieli sami ustalić wzajemne relacje.

Kiedy zatrzymali się na parkingu przed dworcem, Simon zauważył radiowóz.

– Musimy iść albo spóźnimy się na pociąg – ostrzegł Nathan, biorąc jego bagaż.

Simon skinął głową Montgomery’emu, który właśnie wysiadł z samochodu, i ruszył na stację. Nathan i Marie podążali krok za nim.

Kiedy wsiadł do pociągu, okazało się, że on i jego straż mają do dyspozycji pół wagonu. Spocony konduktor zablokował przejście, kiedy zajęli miejsca, kierując pozostałych pasażerów na drugi koniec wagonu. Wyczuwał nerwowe spojrzenia ludzi, słyszał ich szept, kiedy pociąg ruszył. Miejsce konduktora zajął strażnik kolejowy. Nathan siedział dwa rzędy przed Simonem, Marie dwa rzędy za nim – po drugiej stronie przejścia. Wraz z ludzkim strażnikiem we trójkę trzymali wartę. Simon już nie musiał.

Chwilowo nic nie mógł zrobić. Nowy narkotyk czy choroba, która dotykała i ludzi, i Innych, to już nie było tylko niepokojące zjawisko. To, co zdarzyło się w Georgette, mogło zapoczątkować krwawą wojnę. Przywódcy *terra indigena* musieli się spotkać, musieli porozmawiać, musieli zdecydować, co należy z tym zrobić. Ludzie posiadali niebezpieczną broń, karabiny i bomby, którymi mogli zabijać zmiennokształtnych, a nawet Sanguinatic, kiedy ci przybierali ludzką formę – pod warunkiem że umarli, zanim zdążyli zmienić się w dym. Ale Żywiółów nic nie mogło powstrzymać, o czym ludzie zwykle zapominali. Między innymi dlatego *terra indigena* racjonowali metale, paliwa i inne materiały, których ludzie potrzebowali do konstruowania broni. Wynik wojny się nie zmienia, więc dlaczego zmiennokształtni mają ginąć, zanim mały zostaną wybite w pień?

Z drugiej strony zabicie wszystkich ludzi naraz byłoby zwykłym marnowaniem mięsa.

Simon zamknął oczy. Chwilowo nic nie mógł zrobić. Blair będzie czuwał nad Dziedzińcem – a także nad Samem i Meg. A jeśli chodzi o ludzi – musi wierzyć, że porucznik Montgomery zdoła utrzymać spokój aż do jego powrotu.



– Niedobrze... – mruknęła Meg, kiedy zauważyła czarnego sedana stojącego na jałowym biegu przed biurem łącznika. Samochód nie mógł wyjechać dalej, ponieważ podjazd blokowały dostawcze furgonetki.



Zaparkowała byle jak PNK w nadziei, że nikt nie będzie próbował w najbliższym czasie wyjechać z garażu, i wpadła do biura. Musi zająć się tymi dostawami, zanim Elliot Wilcza Straż udławi się kulką własnych kłaków.

Czy Wilki mają w żołądku kulki kłaków tak jak koty? Skąd dowiedzieć się takich rzeczy?

Kręcąc głową, zdjęła botki, pobiegła do sortowni i... zamarła. Drzwi do recepcji były otwarte na oścież, więc widziała kontuar. Jastrząb, którego poznała niedawno, stał za ladą, z rękami skrzyżowanymi na piersi; jego poza była wyraźnie agresywna. Patrzył na kogoś, kogo z tej pozycji nie widziała – zapewne dostawcę.

– Napisz, co chce Meg, i zostaw pudełka – polecił.

Wrona siedząca na ladzie zakrakała na kuriera, po czym podeszła do pojemnika z długopisami, wyjęła jeden i trzymając go w dziobie, wróciła. Postukała nim w kontuar i wyciągnęła do kuriera – który najwyraźniej go nie wziął, ponieważ Wrona po chwili znów postukała długopisem. Meg pospiesznie podeszła do drzwi i rzuciła okiem na nieszczęsnego dostawcę.

– Cześć, Dan. Przespałam budzik. Daj mi chwilę, rozbiorę się tylko i już się tobą zajmuję.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo mężczyzna denerwował się faktem, że jest sam na sam z Innymi, póki nie zobaczyła ulgi malującej się na jego twarzy. Nie sądziła, że Jastrzębie i Wrony są niebezpieczne, ale może on miał inne doświadczenia.

– Och, nie szkodzi, panno Meg – odparł. – Wszystkim nam się to zdarza.

Uśmiechnęła się promiennie do Jastrzębia w ludzkiej formie i do Wrony.

– Otworzyliście biuro? Świetnie, bardzo wam dziękuję. Zaraz wracam, Dan.

– Wiem, jakie informacje są pani potrzebne.

Pospiesznie wziął długopis od Wrony, a kiedy powiesiła płaszcz, zmieniła buty i wróciła do recepcji, Dan był już na zewnątrz i rozmawiał z dwoma innymi kurierami. Harry właśnie otwierał drzwi, balansując opartymi o ramię paczkami.

– Dzień dobry, Harry – zawołała Meg. Czy zdążyła się uczesać? Poranna akcja Simona zupełnie wybiła ją z rytmu. Dotknęła włosów.

– Dzień dobry, panienko Meg. – Harry powiódł wzrokiem za jej dłoń i uśmiechnął się. – Widzę, że ma pani dziś dwóch pomocników. Proszę się nie spieszyć, poradzimy sobie.

Wrona już wyciągała w jego stronę długopis.

Meg poszła do łazienki i spojrzała w lustro. Włosy wprawdzie nie sterczały jej we wszystkie strony, czego się obawiała, ale przyliżały się od czapki. Kilka razy przejechała po nich grzebieniem, a kiedy uznała, że lepiej nie będzie, wróciła do recepcji.

Ostatni kurier spisywał dane dostawy pod uważnym okiem Wrony. Spojrzał na Meg i uśmiechnął się.

– Tak się złożyło, że akurat dziś wszyscy mamy Dziedziniec zaplanowany jako pierwsze miejsce dostawy.

– Doskonale się spisaliście. Bardzo wam dziękuję – Meg zwróciła się do Innych, patrząc, jak czarny sedan wyjeżdża na Main Street.

– Niedźwiedzia Straż kazał dziś pomóc Meg – oświadczył Jastrząb.

Wrona zabawiała się wyciąganiem długopisów z pojemnika i układaniem ich na ladzie, ale Meg zachodziła w głowę, jak można zabawić Jastrzębia. Jak długo zamierzali jej dziś „pomagać”? Na szczęście Jastrząb był akurat w ludzkiej formie, więc przyszło jej coś do głowy.

– Nie zdążyłam rano zjeść śniadania – powiedziała. – Czy mógłbyś pójść do Czegoś na Ząb i poprosić Tess o kawę? Powiedz jej, że to dla mnie, ona wie, jaką piję. I spytaj, czy w Zabójczo Dobrych Lekturach są może „Wiadomości Lakeside”.

Jastrząb zmierzył ją wzrokiem.

– Lorne robi gazetę. Jest tam. – Wskazał w stronę Trzech P.

– Nie chodzi mi o wiadomości z Dziedzińca. Chciałabym dostać gazetę, którą czytają ludzie.

– Po co?

Wrona porzuciła swoje długopisy i też popatrzyła czujnie na Meg.

Najwyraźniej zainteresowanie działaniami ludzi budziło tu podejrzenia, nawet jeśli wykazywał je człowiek. Ale Meg wiedziała, że zdarzyło się coś złego, coś, co kazało Simonowi wyjechać w pośpiechu. Może piszą o tym w gazetach?

– Jako łącznik powinnam wiedzieć, co się dzieje w ludzkiej części miasta – wyjaśniła, starając się uważnie dobierać słowa. – Chcę też przejrzeć reklamy sklepów i zrobić listę rzeczy, które mogą zainteresować *terra indigena*.

Po chwili namysłu Jastrząb kiwnął głową i wyszedł. Meg uśmiechnęła się do Wrony i zaciągnęła wózek z paczkami do sortowni.

Niektóre paczki były tak małe, że mogły pojechać z listami. Inne zapakuje do PNK i rozwiezie później.

Zanim zdążyła się obejrzeć, Jastrząb wrócił z dużą kawą, gazetą i małą torebką. Postawił wszystko na stole do sortowania.

– ZDL dostaje gazety – oznajmił. – Tess powie Vladowi, że masz odtąd dostawać egzemplarz. Tu jest jedzenie. Nie ma w nim myszy, ale Merri Lee mówi, że wolisz takie mięso.

*Bogom niech będą dzięki za Merri Lee.*

– Dziękuję – odparła Meg, a kiedy Jastrząb zagapił się na nią wyczekująco, dodała: – Na razie nie potrzebuję więcej pomocy.

Odwrócił się i wyszedł na zaplecze. Meg sięgała właśnie po kawę, kiedy wrócił – całkiem nagi. Minał ją obojętnie, przeskoczył przez ladę, a potem wyciągnął rękę do Wrony, która po chwili wahania wskoczyła mu na ramię. Oboje wyszli z biura. Wrona przyłączyła się do przyjaciół siedzących na murze, który oddzielał teren dostaw od podwórza Henry’ego. Jastrząb zatrzymał się w miejscu, gdzie świetnie widzieli go wszyscy kierowcy przejeżdżający ulicą. Patrząc na niego, Meg zastanawiała się, jak wyjaśni przyczynę tych wszystkich kolizji drogowych, kiedy już przyjedzie policja. W końcu jednak przemienił się i odleciał.

Sprzątnęła długopisy z lady i wróciła do sortowni. Nie miała nic do roboty, póki nie przyjedzie poczta, więc zjadła śniadanie i przejrzała „Wiadomości Lakeside”, od pierwszej do ostatniej strony. Znalazła kilka rzeczy, które mogłyby zainteresować Innych, ale postanowiła, że zanim zrobi coś w tej sprawie, zapyta Tess albo Vlada.

Nie znalazła natomiast żadnych wiadomości, które wyjaśniałyby nagły wyjazd

Simona.



W progu biura kapitana Burke'a Monty zawahał się. Coś w sylwetce jego przełożonego wskazywało na to, że jeśli nie nastąpiła żadna katastrofa, nie należy mu przeszkadzać.

Zamknął jednak drzwi i podszedł do biurka.

– Coś pana dręczy? – spytał Burke. Wyraźnie starał się opanować zniecierpliwienie.

– Simon Wilcza Straż i dwoje innych *terra indigena* wsiadło dziś rano do pociągu jadącego na zachód – odparł Monty. – Henry Niedźwiedzia Straż zadzwonił do mnie z tą informacją i zasugerował, żeby na wszelki wypadek postawić radiowóz na dworcu. Posterunkowy Kowalski zwrócił mi uwagę, że to nie jest zwyczajne zachowanie. Inni przez cały czas podróżują pociągami i nie wymaga to asysty policji. – Przyjrzał się Burke'owi. – To coś oznacza, prawda?

– Tyle że Simon Wilcza Straż wie więcej niż my o tym, co się dzieje na zachodzie. – Burke westchnął i odchylił się na oparcie fotela. – Prasa i telewizja otrzymają zapewne przefiltrowaną wersję wydarzeń, żeby na zachodzie nie doszło do eskalacji przemocy. – Monty zadrżał. – W ludzkich osiedlach liczących mniej niż tysiąc mieszkańców Inni nie utrzymują Dziedzińców – kontynuował Burke. – Nie potrzebują ich, ponieważ do takich osiedli można się dostać jedynie drogami prowadzącymi przez ziemie *terra indigena*. Zwykle jednak mają dom na skraju osady, miejsce, gdzie dostarcza się pocztę i przesyłki, gdzie jest elektryczność i telefon i gdzie mogą się cieszyć opracowanymi przez nas rozwiązaniami technologicznymi. Straże na zmianę korzystają z tego domu i dbają o niego, a także przyjmują dostawy. Zeszłej nocy w Georgette, wiejskiej osadzie, która dostarcza mniej więcej czwartą część żywności do jednego z większych miast na Zachodnim Wybrzeżu... – Burke urwał i przez dłuższą chwilę patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem. – No cóż, nie wiemy tak do końca, co tam się stało. Podobno grupa młodocianych idiotów włamała się do domu Innych i zaatakowała Wrony, które zebrały się na nocny seans filmowy. Jedna z Wron zdołała telefonicznie wezwać pomoc, dwie uciekły i zaalarmowały resztę *terra indigena*. Policjanci, którzy zareagowali na wezwanie, dostali się pod ogień napastników, którzy zastrzelili też kilka Wron. Potem... Inni schwytali napastników i zabili ich na ulicy. Zachowywali się, jakby oszaleli. A mieszkańcy osady, zamiast siedzieć w domach, złapali, co mieli pod ręką, i włączyli się do walki. – Burke splótł palce i położył dłonie na stole. – Kiedy przybyły posiłki z sąsiednich osad, było już po wszystkim. Inni zaszyli się na swojej ziemi. Nie wiemy, ilu *terra indigena* zginęło w tej walce, ale jedna trzecia mieszkańców osady nie żyje. Wiemy, że to ludzie sprowokowali zamieszki, więc ci, którzy przeżyli, naprawdę mają szczęście, że Inni ich oszczędzili.

Burke mówił coraz głośniej, aż jego głos zmienił się w ryk wściekłości.

– Jak się pan tego dowiedział? – spytał Monty.

Mężczyzna zgarbił się, a jego twarz przybrała niezdrowy szary odcień.

– Jeden z policjantów, którzy odpowiedzieli na wezwanie, to syn mojego przyjaciela. Inni znaleźli Rogera i zabrali go do szpitala. Uratowali mu życie. Pozostałym trzem policjantom nie udało się przeżyć. Roger jako jedyny wie, co się tam naprawdę działo, przynajmniej do chwili postrzału. Przyjaciel zadzwonił do mnie rano, opowiedział mi o wszystkim i powtórzył, co słyszał jego syn, zanim stracił przytomność. – Burke odepchnął się od biurka i wstał. – Porozmawiam z komendantem, innymi kapitanami i ze wszystkimi dowódcami zespołów na naszym posterunku. Komendant zadecyduje, kto jeszcze musi o tym wiedzieć.

– O ataku?

Mężczyzna pokręcił głową.

– O tym, co wywołuje agresywne zachowanie u ludzi. Jeden z napastników przechwalał się, że „zwilczał” i że ludzie staną się wrogami, żeby pokonać wroga.

– Na bogów na górze i na dole... – szepnął Monty.

– Więc jeśli usłyszysz pan jakieś pogłoski o „wilczeniu” ludzi albo o jakimś specyfiku powodującym agresję, sprzedawanym na ulicach, chcę o tym od razu wiedzieć. Czy wyrażam się jasno?

– Tak jest. – Monty zawahał się przez chwilę, zanim zapytał: – A co z resztą mieszkańców osady? Co się z nimi stało?

– Inni przepuścili karetkę, która zabrała Rogera do szpitala w mieście. Zrobili to, ponieważ zareagował na wezwanie Wrony. Potem zabarykadowali drogi. Teraz drogi z Georgette nie prowadzą do ludzkich osiedli. Nie wiadomo, czy ci ludzie przeżyją, jeśli spróbują odejść. Pierwsze skutki dla miasta, które Georgette zaopatrywało w żywność, są już widoczne.

– Racjonowanie – odgadł Monty. Pamiętał z dzieciństwa zimą, kiedy matka gotowała dużo zup i bardzo się denerwowała, jeśli on albo któreś z rodzeństwa próbowało wziąć drugą kromkę chleba. Tamtego roku na wiosnę wraz z ojcem i braćmi zmienili część podwórza w ogród warzywny, matka nauczyła się robić przetwory, a do sklepu chodziła z kartkami na żywność.

– Racjonowanie – przytaknął Burke. – Mogę się założyć, że dowiedzą się o tym wszystkie miasta w Thaisii, nawet jeśli nie poznają powodu. – Westchnął ciężko. – To wszystko, poruczniku, chyba że chce pan coś dodać.

– Nie, panie kapitanie.

Kiedy Monty wrócił do swojego biurka, żeby sprawdzić pocztę, przypomniał sobie słowa Vladimira Sanguinatiego: „Jeszcze chwila, a zaczniecie zjadać słabych, żeby silni mogli utrzymać się przy życiu”. Opadł na krzesło, bo czuł, że nogi zaczynają mu drżeć. Czy ktoś próbował sprowokować wojnę pomiędzy ludźmi a Innymi? Czy ktoś sądził, że ludzie mogą ją wygrać?

Jeśli ludzie rozpoczną wojnę i ją przegrają, co się stanie z tymi, którzy przeżyją? Czy w ogóle ktoś przeżyje?

Monty wyjął portfel i otworzył go na zdjęciu Lizzy. Wpatrywał się w nie przez długi czas.

*Zrobię, co w mojej mocy, żebyś była bezpieczna, maleńka. Nawet jeśli miałbym cię już nigdy nie zobaczyć, zrobię co w mojej mocy, żebyś była bezpieczna.*



– Tak?

– Na bogów! Słyszał pan o Georgette? Tylu ludzi zginęło!

– Słyszałem wzmianki o osadzie o takiej nazwie, ale wiadomości są bardzo niejasne.

– Co zamierza pan z tym zrobić?

– To, co się tam stało, nie ma nic wspólnego ze mną. A jeśli chodzi o pana, to chyba nadszedł czas na podniesienie cen na pańskie plony. Przepowiednia mówiła, że zdarzy się wypadek, który przyniesie szansę wielkich zysków.

– Ale nie wspominała nic o masakrze!

– A powinna? Chciał pan wiedzieć, jak zwiększyć dochody z farm bez dalszych inwestycji. Ceny zawsze wzrastają, kiedy występują braki. Ma pan wielki wpływ na ich wysokość, zważywszy, że posiada pan większość ziemi uprawnej w drugiej osadzie zaopatrującej miasto.

– Ale nie było mowy o tym, że braki wystąpią, ponieważ ktoś zginie!

– Nie pytał pan o nic prócz zysków, kiedy cięliśmy tę dziewczynę.

Pełna skrzepowania cisza.

– Powinienem ostrożniej sformułować swoją prośbę. Nie chcę sugerować, że daliście mi dziewczynę pośledniejszej jakości.

Milcząca groźba.

– Zapłacił pan za jedną z moich najlepszych dziewcząt i właśnie taką pan dostał.

– Tak, oczywiście. Prowadzi pan świetny ośrodek, a wszystkie pańskie dziewczęta są doskonałej jakości. Ale czy na następne spotkanie mogę zarezerwować cs759?

– Cs759 jest obecnie niedostępna.

– Szkoda. Ma świetną skórę. Tak jakby zaczynała się dostrajać do przepowiedni jeszcze przed cięciem. Kiedy znów będzie dostępna?

– Wkrótce. Spodziewam się, że już niedługo.

## Rozdział 10

Meg przykucnęła przed wpatrzonym w nią Wilczkiem. Sam sprawiał wrażenie onieśmiałego – nie było w tym nic dziwnego, w końcu była obca – ale był też wyraźnie zainteresowany poznaniem jej. Przynajmniej wtedy, kiedy dawała mu jedzenie i uzupełniała wodę. Ale gdy sięgnęła do klatki z garścią papierowych ręczników, żeby zebrać kupę z kąta, kłapnął na nią zębami – i robił tak za każdym razem, kiedy próbowała sięgnąć głębiej niż do misek stojących na froncie klatki.

– Daj spokój, Sam, przecież nie chcesz śmierdzieć kupą – obruszyła się. Wilczek coś odpowiedział, ale ponieważ Meg nie знаła wilczego, nie zrozumiała go. Odniosła wrażenie, że jest zażenowany, a fakt, że zauważyła kupę, tylko pogorszył sprawę. Nie miała pojęcia, co robić. *Terra indigena* nie byli ludźmi, nie myśleli jak ludzie, nawet kiedy przybierali ludzką postać. Zrozumiała tyle przez ten tydzień, który dla nich przepracowała. Ale mieli uczucia. Tego też się nauczyła. Popatrzyła na ścienny zegar i westchnęła. Jeśli zaraz stąd nie wyjdzie, znów spóźni się do pracy. Zamknęła drzwi klatki. – No dobrze. Wygrałeś, ponieważ muszę już iść. Ale nie skończyliśmy tej dyskusji. – Sam odszczeknął coś i zwiesił głowę. Mogła się założyć o tygodniowe pobory, gdyby już je dostała, że Simon nie dopuszczał do takich sytuacji. Podniosła się i popatrzyła na Wilczka. Dlaczego był w klatce? Czy jeśli zapyta, ktoś jej to wyjaśni? Przecież nie zawsze siedział w klatce. Był na dworze, sama widziała. Simon rozszarpałby ją na strzępy, gdyby wypuściła szczeniaka i gdyby coś mu się stało. Ale na pewno mogła zrobić coś, żeby zabrać go bezpiecznie na dwór. – Przyjdę do ciebie po pracy.

Żadnej reakcji, ale kiedy zamykała drzwi wejściowe, usłyszała skrzypiące wycie Sama.

Powtarzając sobie w myślach, że nie powinna czuć się winna, że zostawia go samego – w końcu Simon ciągle to robił – Meg pobiegła do garażu, odpięła PNK od zasilania i ruszyła do pracy. Nadal miała tendencję do gwałtownego dodawania gazu, kiedy cofała. Obrazy szkoleniowe – samochody wjeżdżające tyłem na rampę i przelatujące nad innymi samochodami – kolidowały z rzeczywistością wyjeżdżania tyłem po płaskim terenie. Czuła się pewniej, jadąc do przodu, szczególnie teraz, kiedy wszystkie główne drogi na Dziedzińcu zostały wreszcie odśnieżone.

Minutę po dziewiątej odwróciła tabliczkę na drzwiach biura. Kiedy wystawiła głowę za próg, żeby przywitać się z czterema Wronami siedzącymi na murku i Jastrzębiem, który przysiadł na drewnianej rzeźbie – skąd był najlepszy widok na wnętrze biura – zauważyła wychodzącego z konsulatu Elliota Wilczą Straż.

Był dobrze ubrany i roztaczał wokół siebie aurę władzy. Tak samo wyglądali i zachowywali się mężczyźni, którzy patrzyli na jej skórę z niemal seksualną żądzą.

Kiwnęła pospiesznie głową w jego stronę i wycofała się do sortowni, przymykając za sobą drzwi. Potem oparła dłonie o blat stołu i zamknęła oczy. Minął

tydzień od ostatniego cięcia. Lęk przed niewprawnym użyciem nieznanego ostrza nieco uspokoił pragnienie euforii. Lęk oraz to, co powiedziała jej Jean. *Tną nas tak często dla pieniędzy. Pamiętam, jak mama mówiła, że im więcej się tniesz, tym bardziej tego pragniesz. Namid dał nam dobre uczucia w nagrodę za rany, kiedy ludzie potrzebują pomocy. Oczywiście jeśli tylko po cięciu czujemy się dobrze, przestajemy walczyć, kiedy sadzają nas na krześle.*

Czy tak czuje się człowiek na odwyku? Chodzące imiona zawsze utrzymywały, że dziewczęta potrzebują cięć. Ale czy naprawdę musi się ciąć, czy po prostu pragnie euforii? I czy teraz, kiedy może sama decydować o swoim ciele, ma to jeszcze jakieś znaczenie? Zewnętrzna część przedramienia to najbezpieczniejsze miejsce, żeby ciąć się bez nadzoru. Albo nogi, wyjąwszy wewnętrzną stronę ud.

Meg wsunęła rękę do kieszeni spodni i pogładziła brzytwę, przesuwając kciukiem po napisie cs759. Oznaczenie, nie imię. To istotna różnica.

Usłyszała trzask stawianych na blacie pudeł. Wyjęła z kieszeni drżącą dłoń i poszła przyjąć pierwszą dostawę.



Azja kupiła dwie gorące czekolady na wynos w Czymś na Ząb, po czym udała się do biura łącznika.

Spędziła cały wieczór na Uniwersytecie w Lakeside z dwoma dziewczynami, które lubiły „chodzić na dziko”. Miała nadzieję, że dowie się od nich, jak zainteresować sobą Innych, ale po godzinie zorientowała się, że tak naprawdę chodziło o zwykłych chłopaków, którzy tylko podawali się za Innych. Dziewczyny, które myślały, że przespały się z Wilkiem albo wampirem, w rzeczywistości nigdy nie widziały żadnego z nich. To podsunęło jej jednak pomysł, jak dopiąć swego okreśłą drogą, ale w tym celu musiała zaprzyjaźnić się z Meg. Musiała zdobyć jakieś interesujące informacje, kręcąc się w biurze łącznika, a przy okazji pilnować, czy w konsulacie nie wakuje jakaś posada. Otrzymała też ciekawy telefon od swoich sponsorów. Najwyraźniej Meg nie była grzeczną dziewczynką, a biała furgonetka szukała złodziejki, a nie obrażonej żony. Istniała więc szansa, że stosunki z Meg przyniosą jej więcej korzyści, niż zakładała.

Kurier przytrzymał jej drzwi. Azja obdarzyła go uśmiechem, ale nie próbowała flirtować, widząc wyraźnie skonsternowaną minę Meg.

– Jakiś problem? – spytała, stawiając na ladzie kubki z gorącą czekoladą.

– Ten sklep przysłał mi osiem katalogów – odparła Meg. – Dlaczego wysłał aż osiem egzemplarzy?

– Żebyś mogła je rozdać?

– Po co?

*Gdzieś ty się chowała, dziewczyno?*

– Nie zauważyłaś reklam w „Wiadomościach Lakeside”? Ludziom wolno drukować codziennie określoną liczbę gazet, a te gazety mogą mieć określoną liczbę stron. Kiedy w sklepie jest oferta specjalna albo wyprzedaż, w reklamie podaje się

numer strony w katalogu, gdzie można znaleźć dokładny opis. Nawet jeśli nie ma akurat wyprzedaży, mnóstwo ludzi przegląda katalogi, zanim pójdzie na zakupy, żeby nie zużywać benzyny na próżno.

Teraz Meg wyglądała na wyraźnie podekscytowaną.

– Świetnie! Muszę nauczyć Innych korzystać z katalogów. Poślę po jednym do każdego kompleksu, a jeden zatrzymam tutaj na wszelki wypadek.

– Proszę. – Azja popchnęła w jej stronę kubek z czekoladą.

– A co się dzieje ze starymi katalogami?

– Zwraca się je do sklepów. Sklep dostaje tylko tyle papieru do druku, ile odda jako surowiec wtórny. Im mniej katalogów zwróci, tym mniej będzie mu wolno wydrukować. Kiedy wydają następny katalog, rozdają go sztuka za sztukę – dostajesz nowy, jeśli oddasz stary.

– W takim razie do tych katalogów dołączę wiadomość, żeby Inni oddali mi te stare. Dziękuję ci.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. – Azja zawahała się, ale w końcu uznała, że pora jest odpowiednia. – Powiedz mi, Meg, widziałaś ostatnio Simona? Zajęcia na uniwersytecie są kosztowne i ciągle szukam dodatkowej pracy, żeby móc się utrzymać. Chciałabym wiedzieć, czy nie potrzebuje w ZDL kogoś na jeden lub dwa wieczory tygodniowo. Najlepiej wtedy, kiedy sam nie pracuje. Przy nim jestem zdenerwowana i zachowuję się jak idiotka. Ale potrafię pracować, naprawdę.

Meg zawahała się.

– Nie sądzę, żeby Simon pojawił się w księgarni w najbliższym czasie, ale możesz porozmawiać z Vladem. On jest grzeczny.

Azja nie musiała udawać, że się wzdryga.

– Nie, dziękuję, moja szyja podoba mi się w aktualnym stanie. – Widząc zdezorientowane spojrzenie Meg, dodała: – Wiesz, kim on jest, prawda?

– Och, tak! Nie miałam z nim wiele do czynienia, ale był dla mnie bardzo uprzejmy. Na pewno nie taki opryskliwy jak Wilki, które poznałam.

*Dobrze wiedzieć*, pomyślała Azja. Niewykluczone, że wampiry mają zakaz pożywania się na łączniku. Nie miała nic przeciwko uprawianiu seksu z *terra indigena*, ale chciałyby mieć pewność, że przeżyje to doświadczenie. Może błędem było skupianie się na Simonie? Może Vlad był lepszym kandydatem na kochanka? Trochę krwi w zamian za łóżkowe rozmowy to sprawiedliwa wymiana. Rzuciła Meg spojrzenie typu „Może nie mam szczęścia, ale nadal mam swoją dumę”, które ćwiczyła wczoraj przed lustrem. Starannie ominęła przy tym wzrokiem gorącą czekoladę, której nie powinna była kupować, skoro jest bez grosza – szczególnie że w wersji na wynos była droższa.

Meg dłuższą chwilę bawiła się długopisami leżącymi na ladzie.

– Mogę spytać Vlada, czy czasami zatrudniają kogoś dodatkowego – powiedziała wreszcie.

– Będę ci wdzięczna. – Azja odetchnęła i napełniła swój głos odpowiednią dozą fałszywej wesołości. – Czas się zbierać.

– Dziękuję za czekoladę – rzuciła za nią Meg, ale Azja machnęła tylko niedbale ręką i ruszyła do samochodu.

Wyjazd Simona z Dziedzińca zaraz po incydencie na zachodzie to istotna



informacja – szczególnie że nadal nie było wiadomo, co tak naprawdę zdarzyło się w Georgette. Nieobecność Simona wskazywała, że byli w to zamieszani Inni. Jeśli poinformuje o tym sponsorów, cała zasługa pójdzie na jej konto. Poza tym nieobecność Simona dawała jej czas na zdobycie informacji na temat Meg i człowieka z białej furgonetki.



Dni, miesiące i lata obrazów i dźwięków szkoleniowych. Zdjęcia, rysunki i filmy przedstawiające rzeczy piękne i straszne. Filmy fabularne i dokumentalne, starannie cenzurowane informacje. Podczas lekcji chodzące imiona nigdy nie informowały dziewcząt, które z nich były sfabrykowane, a które prawdziwe. W kompleksie słowo „prawdziwe” miało inne znaczenie. To były rzeczy, które robiono zużytem dziewczętom – żeby reszta miała „pełne doświadczenie” na potrzeby przepowiedni, jakich domagali się niektórzy klienci.

Były też inne obrazy, takie które unosiły się tuż pod powierzchnią pamięci i pojawiały się bez ostrzeżenia czy kontekstu. Pochodziły z przepowiedni. Wyglądały inaczej, inaczej je czuła. Czasami były zbyt żywe, zbyt natarczywe, kojarzyły się z euforią. Chodzące imiona nie miały pojęcia, że dziewczęta nigdy nie zapominają tego, co zobaczyły albo usłyszały w swoich wizjach. Nie, tak naprawdę niczego nie zapomniały, ale pomnień, jak nazywała je Jean, nie można było przywołać na życzenie, jak przywoływało się obrazy szkoleniowe.

Meg potrząsnęła głową, odsuwając od siebie złe myśli, i wróciła do sortowania poczty. Myślenie o kompleksie w niczym jej nie pomoże, a tylko ściągnie na nią nocne koszmary. Musiała przypomnieć sobie coś, co pomogłoby jej w stosunkach z Samem. Czy w natłoku szkoleniowych obrazów w ogóle było coś takiego?

– Meg? – Merri Lee zajrzała do sortowni z zaplecza. – Zjesz pizzę na spółkę ze mną i Heather? W centrum handlowym jest pizzeria Chrupiące Prysmaki, a dziś autobus wozi *terra indigena* na zakupy. Henry powiedział, że odbierze naszą pizzę, pod warunkiem że zamówię też dwie megaduże dla Zielonego Kompleksu.

Meg zmarszczyła brwi.

– A Chrupiące Prysmaki nie dostarczają zamówień na wynos?

– Kiedyś dostarczały, ale zdarzył się... wypadek... i nie robią już dostaw na Dziedziniec. Ale skoro mamy łącznika, może znów zaczną – dodała Merrie Lee z nadzieją w głosie.

Meg szybko poszukała w pamięci obrazów różnych rodzajów pizzy. Obrazów ludzi jedzących pizzę. Kiedyś dostała kawałek, żeby poznała smak, fakturę i zapach.

– Nie lubię tych małych słonych rybek – powiedziała. Nie była pewna, czy to prawda, ale na pewno nie podobał jej się ich wygląd.

– Ja też nie. Zwykle zamawiamy połowę z pepperoni i grzybami, a drugą połowę ze słodką papryką. Odpowiada ci taki zestaw?

– Tak. – Meg zawahała się chwilę, po czym dodała nieśmiało: – Ale nie mam pieniędzy...

– My stawiamy – odparła Merri Lee. – Niech to będzie powitanie na Dziedzińcu. Przy ostatnim łączniku nie czułyśmy się z Heather swobodnie, więc naprawdę cieszymy się, że tu jesteś. A skoro mowa o pieniądzach, tu jest twoja pierwsza wypłata. – Podała Meg kopertę. – Za trzy dni przepracowane w zeszłym tygodniu. – Meg otworzyła kopertę i popatrzyła na banknoty o różnych nominałach. – Wiem – Merri Lee pokiwała głową – większość firm płaci czekami, ale na Dziedzińcu dostajesz gotówkę i sama musisz odłożyć część na podatek dochodowy, ponieważ tym też nie zwracają sobie głowy. Możesz sobie otworzyć rachunek w banku na rynku i płacić czekami za zakupy poza Dziedzińcem. W centrum handlowym jest też bank, z którego korzysta Stowarzyszenie Przedsiębiorców, kiedy wypisują чеки dla zewnętrznych dostawców.

– Mam wrażenie, że to nie jest właściwa suma – powiedziała Meg, przeliczając banknoty. – To za dużo jak na trzy dni pracy.

– To jest kolejny aspekt pracy z Innymi. Nigdy nie dostajemy mniej pieniędzy, niż zgodzili się nam płacić, ale czasami dają nam więcej, nie wyjaśniając dlaczego. Doszliśmy do wniosku, że w ten sposób chcą nam powiedzieć: „Dobra robota, nie rzucaj jej”, nie mówiąc tego wprost. Nie dzieje się tak co tydzień, ale Lorne twierdzi, że jeśli nie dostajesz wyższego wynagrodzenia przynajmniej raz w miesiącu, należy to traktować jako ostrzeżenie, że Stowarzyszenie Przedsiębiorców ma do ciebie zastrzeżenia. – Merri Lee ruszyła do tylnego wyjścia. – Dziś w nocy znów ma padać śnieg – rzuciła na odchodnym. – Mam nadzieję, że nie u nas. Jeśli napada jeszcze więcej, będziemy musieli wspinać się po zaspach i wchodzić do domów przez okno na piętrze.

Obraz szkoleniowy. Śnieg i samotna pionowa skała. Ludzie trzymający się skały, powiązani linami. Liny. Liny bezpieczeństwa. Przyjaciele.

Meg pobiegła na zaplecze i złapała Merri Lee na schodach.

– Kiedy odjeżdża ten autobus? – zapytała, czując pod skórą wibrowanie podniecenia.

– O jedenastej trzydzieści. Wraca o wpół do drugiej.

– Dzięki.

Gdy tylko Merri Lee wyszła, Meg wróciła do sortowni i wyciągnęła książkę telefoniczną Lakeside. Lina się nie nadaje, ale... Tak! W centrum handlowym był sklep zoologiczny. Powinna znaleźć tam coś wygodnego dla Sama, coś, co nie pozwoli mu się od niej oddalić.

Jej dłoń zawisła nad telefonem. W myślach przeglądała listę znanych jej Innych. Vlad i Tess pracują. Jenni również. A Henry będzie w autobusie. Julia albo Allison? Może. Blair? Zważywszy, co powiedział o kurierach i Wilkach, odpada. Więc zostawał tylko...

Odebrał po drugim sygnale.

– Stajnia Kucyków, Jester przy telefonie.

– Tutaj Meg.

Chwila ciszy.

– Jakiś problem, Meg?

Czy jej imię było synonimem problemów?

– Nie, ale chciałam prosić cię o przysługę.

– Proś.

– Potrzebuję czegoś z centrum handlowego, a autobus odjeżdża o jedenastej trzydzieści. Chciałabym, żebyś popilnował biura i w razie czego przyjął dostawę przed popołudniową przerwą.

– Przyjdę z kucykami i zostanę do twojego powrotu.

– Dziękuję, Jesterze.

Odłożyła słuchawkę, popatrzyła na telefon i raz jeszcze zastanowiła się nad tym, co zamierza zrobić. Na Dziedzińcu była bezpieczna. Nikt nie mógł jej tu tknąć. Ale w centrum handlowym, gdzie obowiązuje ludzkie prawo? To wielkie ryzyko.

Obróciła prawą dłoń wnętrzem do góry i popatrzyła na blizny na palcach. Zwykle tak mała ranka dawała niewiele. W najlepszym razie kilka niepowiązanych ze sobą obrazów. Ale wsiąść do autobusu pełnego *terra indigena* ze świeżą raną? Czy naprawdę chce sprowokować atak? Poza tym podejrzewała, że Henry wie, iż jest *cassandra sanguie*, więc jak wyjaśni mu cięcie, jeśli je zauważy?

*Nie musisz się ciąć, żeby iść do sklepu, przekonywała się w myślach. Tylko Jester wie, że chcesz wyjść z Dziedzińca. Nic ci się nie stanie. Kupisz, co trzeba dla Sama, wrócisz do autobusu i zaczekasz na resztę pasażerów.*

Potarła energicznie ramiona i żeby nie myśleć o mrowieniu pod skórą, skupiła się na szykowaniu poczty dla kucyków.



Wchodząc do biura kapitana. Monty myślał o tym, jak to dobrze, że Burke wymaga, by każdy porucznik składał mu raport przynajmniej raz podczas swojej zmiany. Inaczej koledzy zaczęliby się zastanawiać, czy czegoś nie knuje.

– Ma pan coś do zaraportowania, poruczniku? – spytał Burke.

– Niejaki Jester zadzwonił do mnie z Dziedzińca, że Meg Corbyn wsiadła do autobusu jadącego do centrum handlowego razem z piętnastoma Innymi, w tym z Henrym Niedźwiedzią Strażą i Vladimirem Sanguinatim.

Burke zmierzył go wzrokiem. Monty nie potrafił nic wyczytać z jego błękitnych oczu.

– Niech mi pan da minutkę, postawię panu lunch – powiedział wreszcie kapitan. – Pojedziemy moim samochodem. Proszę powiedzieć posterunkowemu Kowalskiemu, żeby czekał na pana przy centrum handlowym. Może chce sobie kupić coś do jedzenia albo rozprostować kości.

Monty wyszedł z biura kapitana i czekał na Kowalskiego przy swoim biurku. Żadnych nowych wiadomości. Żadnych raportów. I dzięki niech będą bogom, żadnych ZMN do wypełnienia. Miał nadzieję, że po powrocie *terra indigena* z wyprawy na zakupy sytuacja nie ulegnie zmianie.

Kiedy Kowalski przyszedł, Monty poinformował go o telefonie Innego i planach Burke'a.

– Kapitan chce, żeby w pobliżu stał zaparkowany radiowóz.

Kowalski pokiwał głową.

– Zapewne nie będę jedyny. Autobus z Dziedzińca przywozi Innych do centrum handlowego w każdą niedzielę i piątek. Policjanci zwykle wybierają tę porę na przerwę na lunch i parkują w pobliżu. Dzięki temu wszyscy wolą zachować spokój.

– Zobaczymy się na miejscu – powiedział Monty na widok Burke’a, który wychodził właśnie ze swojego biura, poprawiając kołnierz zimowego płaszcza.

Nie był pewien, czy kapitan podczas jazdy woli rozmawiać, czy milczeć. Kiedy jednak zobaczył dwa samochody wpadające w poślizg na cienkiej warstwie śniegu, która pokryła ulice, postanowił nie odwracać jego uwagi.



Azja pojechała za autobusem kursującym z Dziedzińca do centrum handlowego i zaparkowała samochód, tak żeby widzieć pojazd, ale nie zwracać na siebie uwagi Innych. Rozejrzała się po parkingu i zobaczyła białą furgonetkę, która nadjechała z przeciwnej strony.

Niezbyt dobre miejsce na przejęcie złodziejki, chyba że Meg podejdzie tak blisko furgonetki, że kierowca zdoła wciągnąć ją do środka i odjechać, zanim *terra indigena* zorientują się w sytuacji. Chwilę potem na parking wjechał radiowóz i ustawił się opodal autobusu. Wkrótce pojawił się drugi i stanął w podobnej odległości.

– Cholera – szepnęła Azja. Zwykle przy centrum handlowym zjawiały się radiowozy, kiedy Inni robili zakupy, ale tym razem policjanci nie próbowali być nawet subtelni. A to oznaczało, że o czymś wiedzą i zamierzają zapobiec ewentualnym kłopotom.

Czy są tacy nerwowi ze względu na to, co zdarzyło się w Georgette?

Odpowiedź na pytania Azji wysiadła z autobusu w osobie Meg Corbyn.



Burke zaparkował dwa miejsca od niewielkiego ciemnozielonego autobusu z napisem „Dziedziniec w Lakeside” na boku.

– Nie sądziłem, że podają do publicznej wiadomości, który pojazd należy do nich – stwierdził Monty, rozglądając się po szybko zapełniającym się parkingu. – Szczególnie że zaparkowali w taki sposób, że autobus zajmuje cztery miejsca.

– Jest oznaczony, żeby krewni osób, które zaczepią Innych, nie mogli twierdzić, że mięso było nieświadome. Centrum handlowe zawsze rezerwuje dla nich cztery miejsca. Dla wszystkich tak jest bezpieczniej.

Kiedy do Monty’ego dotarło znaczenie słowa „mięso”, poczuł, jak żołądek zawiązuje mu się w węzeł. Nagle przeszła mu ochota na lunch. Burke wysiadł z samochodu i ruszył w stronę autobusu. Już po chwili Monty wiedział dlaczego.

Z autobusu wysiadła Meg Corbyn. Na ich widok gwałtownie zbladła. Odsunęła

się nieco, żeby przepuścić resztę *terra indigena*, ale nie odeszła od pojazdu. Po chwili z autobusu wysiadł wielki mężczyzna, w którym Monty rozpoznał rzeźbiarza. Domyślił się, że to Henry Niedźwiedzia Straż. Inny spojrzął na nich i warknął tak głośno, że pozostali *terra indigena*, idący już w stronę sklepów, zatrzymali się, oglądając na niego. Niedźwiedzia Straż stanął koło Meg, a zaraz za nim z autobusu wysiadł Vladimir Sanguinati i zajął miejsce po jej lewej stronie.

Wyczuwając napięcie, Monty nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Przecież sami go wezwali, więc skąd ta wrogość?

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że powodem jest strach Meg. Bała się, a Inni czekali, co zrobi policja w miejscu, gdzie działa ludzkie prawo.

– Panno Corbyn – powiedział Monty, uśmiechając się z trudem – czy mogę przedstawić pani mojego kapitana Douglasa Burke’a?

– Miło mi panią poznać, panno Corbyn. – Nie czekając na jej odpowiedź, Burke wyciągnął rękę do Meg.

Zawahała się. Dopóki wreszcie nie przyjęła dłoni Burke’a, Monty nie śmiał odetchnąć.

– Mnie również, kapitanie – powiedziała. – A teraz panowie wybaczą... – Reszta *terra indigena*, prócz Vlada i Henry’ego, rozeszła się i zajęła własnymi sprawami, zaś Meg skierowała się do sklepów po drugiej stronie parkingu.

– Kiedy zadzwoniliśmy do porucznika Montgomery’ego, nie spodziewaliśmy się zobaczyć oficera tak wysokiej rangi – stwierdził Vlad, patrząc na Burke’a.

– Zabieram porucznika do Pikantnych Dań na lunch, żeby spróbował najlepszego czerwonego sosu w mieście. – Monty mógłby wziąć uśmiech kapitana za szczerzy, gdyby nie zdążył już go poznać.

– Doskonały wybór. Ja również przepadam za czerwonymi sosami – odparł Vlad, a uśmiech na ustach Burke’a zamarł.

– Kapitanie, chyba powinniśmy zająć stolik, zanim zwałą się prawdziwe tłumy – wtrącił szybko Monty.

– Żegnam panów. – Burke skinął głową w stronę Vlada i Henry’ego i ruszył ku Pikantnym Daniom.

Monty odezwał się, dopiero gdy usiedli, a kelnerka podała im karty dań i przyjęła zamówienie na kawę.

– Kapitanie, nie sądzę, żeby to miała być z jego strony... – urwał, nie chcąc okłamywać przełożonego.

– ...groźba? – spytał Burke. – Och, to na pewno była groźba. Zadzwonili, żeby zobaczyć, co zrobimy, ale nam nie ufają – nam jako ludziom, a już na pewno nie w kwestii Meg Corbyn. – Uśmiechnął się do kelnerki, kiedy przyniosła kawę i odebrała zamówienie. – Poznał pan wcześniej Vladimira Sanguinatiego. Dlaczego mnie pan nie przedstawił?

Monty wzdrygnął się i odruchowo potarł wnętrze prawej dłoni.

– Nie chciałem stawiać pana w sytuacji, w której musiałby pan podać mu rękę.

Burke popatrzył na jego dłoń, a potem skierował rozmowę na inne, bezpieczniejsze tory.



Kiedy Meg dotarła do Pałacu Milusińskich – sklepu zoologicznego po drugiej stronie centrum handlowego – rozejrzała się czujnie. Nigdzie nie było widać Innych, z którymi jechała autobusem, ale na większości parkingowych latarni siedziały ptaki. Nie potrafiła rozróżnić, czy były to wrony, czy Wrony, zresztą i tak nie miało to większego znaczenia. Jeśli jej plan się powiedzie, wszyscy w Zielonym Kompleksie będą wiedzieli, co kupiła.

Miała przy tym nadzieję, że Inni zrozumieją, że próbuje tylko pomóc Samowi, i nie zjedzą jej za to.

– Czym mogę służyć? – spytał sprzedawca, kiedy weszła do sklepu.

Meg uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Szukam szelek dla psa i długiej smyczy.

Zaprowadził ją do alejki, gdzie wystawiono zdumiewającą różnorodność smyczy, szelek i obroży.

– Jak duży jest piesek? – spytał.

Przygryzła dolną wargę.

– To jeszcze szczeniak, ale... duży. To znaczy mam wrażenie, że to duży szczeniak.

– Pani pierwszy pies? – Sprzedawca wydawał się zachwycony początkującą klientką. – A jaka rasa?

– To Wilk.

Do tej pory Meg była przekonana, że filmiki szkoleniowe, na których ktoś zielenieje na twarzy, były sztucznie preparowane. Najwyraźniej jednak nie.

– Chce pani kupić szelki dla Wilka?

Coś w głosie sprzedawcy – szok? strach? – kazało jej się zastanowić, czy nie pakuje się w zbyt wielkie kłopoty, usiłując wyciągnąć Sama na dwór.

– Jest młody i nie chcę, żeby coś mu się stało, kiedy wezmę go na spacer.

Nie zauważyła w sklepie innych klientów, ale sprzedawca przysunął się do niej bliżej.

– Jak się pani udało zdobyć małego Wilka? – spytał przyciszonym głosem.

– Jestem łącznikiem z Dziedzińcem. To mój sąsiad – wyjaśniła Meg. – Pomoże mi pan czy nie?

Mężczyzna wreszcie sięgnął po szelki. Ręce mu drżały, a głos się łamał, ale na podstawie informacji, jakie mogła mu podać, wybrał czerwone szelki i długą smycz do kompletu.

– Coś jeszcze? – spytał.

Meg zastanowiła się.

– Jakie zabawki lubią szczeniaki? – Kupiła piłeczkę i kawałek sznurka powiązanego w supły, a także pudełko ciasteczek dla psów o smaku wołowiny i drugie o smaku kurczaka. Kiedy skończyła zakupy, sprzedawcy wyraźnie ulżyło. – Czy macie katalog? – spytała na odchodnym.

Dołożył jej dwa egzemplarze do spakowanych zakupów i wyjaśnił, że zamówienia realizowane są zwykle następnego dnia roboczego.

Meg odetchnęła głęboko, kiedy wreszcie wyszła na zewnątrz. Nie zrobiła nic złego, ale nie była pewna, jak Inni traktują sklepy dla zwierząt. W drodze powrotnej do autobusu, gdy już miała przejść między dwoma samochodami, nagle zatrzymała się, nie mogąc zrobić następnego kroku. Pomnienie. Drzwi samochodu otwierają się nagle, obok przechodzi młoda kobieta. Silne ręce chwytają ją. Czarny kaptur. Trudno oddychać, nic nie widać. Ręce, które dotykają i...

– Wszystko w porządku? – Meg podskoczyła i poślizgnęła się, usiłując umknąć przed wyciągniętą w jej stronę ręką. Wrony zakrakały ostrzegawczo. Przyjrzała się mężczyźnie, który stał teraz zupełnie nieruchomo. Policjant. Nie jeden z tych, którzy przedstawili się jej wcześniej, ale również znajomy. – Posterunkowy Kowalski. Pracuję z porucznikiem Montgomerym.

Odetchnęła głęboko. Widziała go w radiowozie tego dnia, kiedy porucznik przyszedł do biura łącznika.

– Zamyśliłam się i nie patrzyłam, dokąd idę. – Wiedziała, że to usprawiedliwienie nie wyjaśniało wyrazu jej twarzy, kiedy wyciągnął rękę, by ją podtrzymać. Policjant najwyraźniej też w nie nie uwierzył.

– Odprowadzę panią do autobusu – zaproponował. – Na parkingu jest ślisko.

Meg nie czuła się pewnie, ale wiedziała, że jeśli odmówi, ściągnie na siebie kłopoty. Przyjęła więc jego ramię – zauważyła przy tym, że Vlad, obserwujący ich z przeciwnej strony parkingu, wyraźnie zeszytywniał. Dwaj inni policjanci wysiedli z radiowozu i zaczęli rozglądać się czujnie.

– Czy ktoś ostatnio został tu porwany? – spytała. Poczowała nowe mrowienie w nogach, ledwo poprzednie przeszło.

– Słucham? – Kowalski rzucił jej ostre spojrzenie.

Pomnienia i obrazy zwykle nie zalewały w ten sposób jej umysłu, chyba że szykowano ją do wygłoszenia przepowiedni. Czy kiedy ludzie coś sobie przypominali, doświadczali właśnie takiego uczucia, jakby rzeczy łączyły się ze sobą? Czy to oznaczało, że zaczyna przetwarzać informacje w sposób właściwy normalnym ludziom, czy może była to pierwsza faza szaleństwa *cassandra sangue*? Chodzące imiona powtarzały dziewczętom, że oszaleją, jeśli spróbują żyć poza kompleksem. Tylko Jean twierdziła, że to nieprawda, ale zdaniem Meg ona była już w połowie szalona.

– Nie... To tylko moja wyobraźnia – skłamała. – Muszę przestać czytać przed snem te straszne powieści.

Kowalski pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Moja narzeczona mówi to samo. Ale i tak nie potrafi się powstrzymać.

Kiedy podeszli do autobusu – i stojącego przy nim Vlada – Meg puściła ramię policjanta i uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję za odprowadzenie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani.

Kowalski skinął Vladowi i wrócił do radiowozu.

– Jakiś problem? – spytał Sanguinati. Meg pokręciła głową. – Chcesz kupić coś jeszcze?

Znów pokręciła głową. Chciała stąd zniknąć, chciała się ukryć. Ta potrzeba była niemal bolesna, choć Meg nie miała pojęcia, skąd się bierze. Przypomniała sobie jednak reakcję Simona, kiedy udawała spokój, i uznała, że drapieżniki nie reagują dobrze na czyjś strach.

– Chciałabym zanieść to do autobusu, a później zobaczyć pozostałe sklepy – powiedziała.

– Ja to wezmę. – Vlad sięgnął po jej torbę.

Gdyby odmówiła, z pewnością zainteresowałby się jej zakupami, więc oddała mu torbę, a potem wyjęła notes z torebki. Kiedy Inni wracali do autobusu z torbami pełnymi zakupów, Meg spisywała sklepy, w których byli – i próbowała zignorować uczucie, że obserwuje ją nie tylko policja i *terra indigena*, ale ktoś jeszcze.



Azja zgarbiła się na siedzeniu i znad tablicy rozdzielczej obserwowała wyjeżdżający z Dziedzińca autobus.

– Na bogów – mruknęła, kiedy biała furgonetka ruszyła chwilę później. – Trudno bardziej się afiszować. – Ten głupiec chciał podejść do Meg i był ledwie dwa samochody od niej, kiedy zjawił się policjant. Gliny, Wrony i wampir obserwowali parking, obserwowali Meg. Czy ten idiota naprawdę sądził, że zdoła uciec, jeśli choć wyciągnie rękę w jej stronę? W najlepszym razie czekałaby go długa rozmowa z glinami. W najgorszym jego pozostałości trzeba byłoby zeskrobywać z całego parkingu.

Zadowolona, że nikt jej nie zauważył, zapaliła silnik. Czas zadzwonić do Grubej Ryby i sprawdzić, czy ma jakieś nowe informacje o Meg Corbyn. Kogoś, kto podobno jest złodziejką, nie powinna chronić policja. To mogła być zmyłka, ktoś usiłował wypłoszyć Meg z kryjówki za pomocą fałszywych oskarżeń o kradzież. Powiedzmy, że zostanie zatrzymana, ale gliniarz, który będzie ją przesłuchiwał, uwierzy w jej historię i pomoże jej w ucieczce. Uciekną razem i będą ścigać się z czasem, by odkryć zabójczy spisek. Taki film na pewno stałby się hitem. Musi zapisać wstępny scenariusz i porozmawiać o nim z Grubą Rybą. Zamiast filmu można by z tego zrobić dwuczęściowy raport w programie telewizyjnym „Azja Crane – agentka do zadań specjalnych”. Ten policjant mógłby w nim wystąpić w roli informatora lub kochanka.

Kiedy będzie rozmawiać z Grubą Rybą, poprosi go też, żeby ustalił, dlaczego tyle osób interesuje się łącznikiem z ludźmi zatrudnionym przez Dziedziniec w Lakeside.



Meg klęczała przed klatką Sama. Miała nadzieję, że wszyscy będą jeszcze w pracy, ale najwyraźniej nawet sklepy dostępne dla ludzi czasami zamykały się ot



tak, o różnych porach. A może to pizze, które Henry zaniósł do świetlicy, spowodowały, że mieszkańcy Zielonego Kompleksu wrócili wcześniej do domów?

Jeśli zaczeka do zmroku, zmniejszy się szansa, że ktoś ich zobaczy, ale Sam może się bać ciemności. Postanowiła więc, że zrobią to teraz.

– Sam – zaczęła – pomyślałam sobie, że jeśli mamy wyjść na dwór, przyda nam się lina asekuracyjna. – Sam zaskomlał i wzdrygnął się. – Kiedy ludzie wspinają się po górach, obwiązują się liną. No wiesz, są ze sobą połączeni. Więc jeśli jeden z nich utknie w zaspie albo zostanie zasypany śniegiem, drugi może go wyciągnąć. – Meg łączyła obrazy w mało realistyczny sposób, ale uznała, że Sam tego nie zauważy. Poza tym na Dziedzińcu nie było gór, za to zasy py urosły tak wielkie, że mogły zasypać nie tylko Sama, ale i ją. – Dlatego kupiłam coś takiego. – Pokazała mu smycz. – Widzisz? To jest lina asekuracyjna. Zawiążę ją sobie w pasie, o tak. – Przewinęła koniec smyczy przez pętlę na rękę, a potem założyła na siebie, tak że smycz opasywała ją teraz w talii. – Tę część przypina się do szelek, które włożysz ty, bo tak ci będzie wygodniej, niż gdybym to ciebie obwiązała liną. – Meg przypięła smycz do szelek i pokazała Samowi. – Chcesz wypróbować ten sposób? Nie pójdziemy daleko, pochodzimy tylko po terenie kompleksu. Jak myślisz? – Otworzyła drzwiczki klatki. Była prawie pewna, że Sam nie zdoła samodzielnie wyjść z mieszkania. Pamiętała też filmy szkoleniowe, na których pokazywano dom po pościgu za psem. Jeśli do tego dojdzie, Simon po powrocie tylko rzuci okiem na swój salon. A potem ją zje.

Sam podczołgał się do drzwi klatki i wyciągnął szyję, by obwąchać szelki. Popatrzył na nie, potem na Meg i... wyszedł z klatki, popiskując niespokojnie.

– W porządku – powiedziała wesoło. – To idziemy na spacer po śniegu.

Zdjęła z siebie smycz i założyła szelki Wilczkowi, sprawdzając dwa razy, czy nie są za ciasne. Potem zarzuciła płaszcz i ponownie założyła na siebie pętlę ze smyczy. Sam wahał się, widać było wyraźnie, że jest gotów w każdej chwili uciec do klatki, jednak zdecydował się pójść za nią do wyjścia. Cały czas napierał na jej nogi, co znacznie utrudniło Meg założenie butów.

W końcu włożyła do kieszeni klucze Simona i wyszli na zewnątrz. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, odetchnęła głęboko i zrobiła kilka kroków przed siebie. Po chwili wahania Sam ruszył za nią.

– Tam jest Henry i Vlad – powiedziała, zauważywszy ich po drugiej stronie kompleksu. – Chodź, pójdziemy się przywitać. – Ruszyła w tamtą stronę, ale zaraz zatrzymało ją szarpnięcie w pasie. Obejrzała się na Sama. Stał w miejscu, przyglądając się napiętej czerwonej smyczy. – Widzisz? – Uśmiechnęła się Meg. – Lina asekuracyjna, tak jak mówiłam.

Szczeniak zaczął niepewnie machać ogonem. Podszedł do niej powoli i razem ruszyli chodnikiem w kierunku Vlada i Henry'ego.

Meg nie potrafiła zinterpretować wyrazu ich twarzy, kiedy ona i Sam podeszli bliżej. Ponieważ jednak nie wrzasnęli na nią – ani nie zagrozili, że ją zjedzą – uśmiechnęła się do nich promiennie.

– Jesteśmy z Samem odważnymi poszukiwaczami przygód, jak w filmach – oznajmiła radośnie.

Chwila milczenia.

– Widzę – powiedział w końcu Henry i spojrzął na Sama. – Potrafisz tropić lepiej niż ona, więc przy tobie nasz łącznik na pewno się nie zgubi.

Sam odpowiedział mu po wilczemu. A potem ruszył z Meg na spacer wokół kompleksu.



Patrząc za odchodzącą parą, połączoną czerwoną linką, Vlad poczuł ulgę, że Simon nie jest pod telefonem. Kiedy obiecał, że będzie na nich uważał, nie spodziewał się, że Meg zrobi coś takiego.

– To jest Sam – powiedział, usiłując mówić obojętnym tonem, żeby nie sprowokować Niedźwiedzia.

– Owszem – zgodził się Henry.

– To jest Sam na smyczy. – Ze względu na rodzaj swojej drugiej formy Sanguinati nie mieli tak dużej awersji do łańcuchów i klatek jak inni zmiennokształtni, ale nawet Vlad poczuł gniew na widok *terra indigena*, którego traktuje się jak... psa. Mógł sobie wyobrazić, co powiedziałby Blair, albo jeszcze gorzej – Elliot, gdyby się o tym dowiedzieli. A głośne krakanie Wron uświadomiło mu, że to tylko kwestia czasu.

– A to jest Meg obwiązana smyczą w pasie – stwierdził Henry, kiedy Sam zaczął biegać wokół swojej opiekunki tak radośnie, że aż podciął jej smyczą nogi i oboje wylądowali w zaspie. – Trudno się uwolnić od tego, co jest na drugim końcu. – I jest to dobry sposób, żeby złapać dwoje zamiast jednego. Ale tego Vlad nie powiedział na głos. Po prostu patrzył, jak dziewczyna i Wilczek wyplątują się ze smyczy i podnoszą się ze śniegu. – Coś ją przestraszyło w centrum handlowym – zauważył Henry. – Przez chwilę czułem zapach człowieka, który próbował się włamać do naszych mieszkań, ale wokół było tyle policji, że nie był to dobry moment na polowanie.

Vlad przyglądał się, jak Meg i Sam rozpoczynają drugie kółko wokół kompleksu. Sam szedł teraz przodem, węsząc gorliwie. Nagle doskoczył do Meg, a potem błyskawicznie wysforował się naprzód. To był Sam, jakiego pamiętał z czasów sprzed śmierci Daphne – tryskający energią szczeniak. Jakim cudem pasek skóry, który powinien być dla niego ujmą, mógł spowodować tak wielką zmianę?

Sam kopał w śniegu, a Meg go pilnowała, więc żadne z nich nie zauważyło Blaira, który stanął w drzwiach kompleksu z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Henry – rzucił Vlad ostrzegawczo.

– Widzę.

Nim Meg i Sam zdążyli go zauważyć, Blair zniknął. Nie odszedł, bynajmniej, obserwował tylko z ukrycia, jak Sam skacze w środek zasy i wydaje to swoje skrzypiące wycie, którego nie sposób było pomylić z głosem żadnego innego Wilka.

Meg roześmiała się i cofnęła o kilka kroków.

– Wspinaj się, Sam! – zawołała. – Jesteśmy wspinaczami, wydobędziemy się z każdej opresji! – Pociągnęła za smycz, a szczeniak wygrzebał się z zasy. Otrzeptał

się i spojrzął na Meg, machając ogonem i wywalając różowy język w szerokim uśmiechu. – To teraz czas na kolację? – zapytała, a Sam w odpowiedzi ruszył różnym krokiem, ciągnąc ją za sobą.

Kiedy oboje zniknęli w mieszkaniu Simona, Vlad znów zobaczył Blaira w wejściu do kompleksu. Te szelki i smycz rozwścieczą wszystkie Wilki na Dziedzińcu. Pod nieobecność Simona Blair będzie musiał bronić Meg, żeby nie rozszarpały jej na kawałki. Bo jeśli to zrobią, wybuchnie konflikt między nimi a Sanguinatimi, biorąc pod uwagę fakt, że Meg była pod ochroną dziadka Erebusa.

Blair spojrzął na nich, kiwnął głową i odszedł.

– Co myślisz? – spytał Vlad.

– Poszukajmy w książkach i w komputerze informacji o linach i wspinaczach. Może dowiemy się, dlaczego Meg to zrobiła.

– Mogę poszukać. Albo mogę po prostu ją spytać.

– Albo możesz po prostu ją spytać – powtórzył Vlad i zapadła chwila ciszy. – Ona nie myśli jak inni ludzie ani tak jak my. Jest czymś nowym, nieznanym i niezrozumiałym. Ale znalazła sposób na strach Sama i nie wolno nam o tym zapominać.

Nie, nie wolno o tym zapominać. I nie omieszka powiedzieć tego Blairowi.

Henry odetchnął głęboko.

– Chodź. Mamy pizzę i film. Co dziś leci?

Vlad uśmiechnął się, odsłaniając kły Sanguinatich.

– *Noc wilka.*

## Rozdział 11

Z płaszczem przewieszonym przez rękę Meg wbiegła z powrotem do bawialni Simona.

– Sam! Co ty robisz? Przestań! Przestań! – krzyknęła.

Ale szczeniak z zapalem gryzł pręty klatki i przyciskał do nich łapki tak mocno, że jego palce zdawały się wydłużać. Zupełnie jakby chciał otworzyć zamek.

Dopiero gdy uderzyła w wierzch klatki płaską dłonią, cofnął się, zaskoczony.

– Przestań – upomniwała go. – Złamiesz sobie ząb albo skaleczysz łapę. O co ci chodzi? – Sam powiedział do niej coś po wilczemu, ale rozłożyła bezradnie ręce. – Masz jedzenie. Masz wodę. Zjadłeś już ciastka i byliśmy na krótkim spacerze. Teraz muszę iść do pracy. Jeśli znowu się spóźnię, Elliot Wilcza Straż mnie ugryzie, a założę się, że gryzie bardzo mocno.

Sam zadarł głowę i zawył.

Meg popatrzyła na niego. Nie miała pojęcia, co wstąpiło w tego słodkiego szczeniaczka, którego wczoraj wycesała i który leżał przytulony do niej na kanapie, kiedy wieczorem oglądała telewizję. Bez protestów wrócił do klatki, kiedy nadeszła pora spoczynku. Nie miał nic przeciwko temu, żeby wróciła do swojego mieszkania. I nic mu nie było, kiedy przyszła tu dziś rano – póki nie spróbowała wyjść.

– Nie możesz iść ze mną do pracy – przekonywała. – Znudzisz się, a ja nie będę mogła się z tobą bawić. Przecież zawsze zostawałeś w domu, kiedy Simon szedł do pracy. – Sam znowu zawył. – Przyjdę w przerwie na lunch i pójdziemy na dłuższy spacer.

Sam zawył jeszcze głośniejsze.

Czy uciszy się, jak ona wyjdzie? A jeśli wciąż będzie wył, kiedy wróci? Za chwilę Vlad, Henry albo Tess zaczną się niepokoić i dobijać do drzwi. A może Sam zachowywał się tak co rano i mieszkańcy kompleksu już do tego przywykli?

Oni może tak, ale ona na pewno nie.

– No dobrze! – krzyknęła i otworzyła drzwi klatki. – Wychodź, już! Czekaj na mnie przy drzwiach.

Sam wypadł z klatki, rzucił się do drzwi i zaczął zębami ściągać z wieszaka szelki i smycz.

Meg wzięła jego miski i pobiegła do kuchni. W jednej z szafek znalazła pustą puszkę na kawę, wsypała do niej jedzenie, dorzuciła na wierzch kilka ciastek, wylała wodę do zlewu i wytarła miskę, a potem zdjęła z kołka jedną z dużych toreb na zakupy i zapakowała do niej rzeczy Sama. Myśl o śniegu i szczeniakach kazała jej skoczyć na górę po ręcznik.

– Spóźnię się, spóźnię się, spóźnię się... – mamrotała, zbiegając po schodach. Przed drzwiami założyła Samowi szelki, ignorując jego narzekania spowodowane tym, że wcześniej nie wygładziła mu sierści. – Poprawię, jak już będziemy w biurze.

Szczeniak, torebka, jej torba, torba szczeniaka. Ręcznik przerzucony przez ramię, smycz zawiązana w pasie. Objuczona całym tym majdanem, z trudem otworzyła drzwi, szukając w kieszeni kluczy. Akurat kiedy je wyciągała, Sam szarpnął smyczą i Meg straciła na chwilę równowagę. Upuściła klucze – ale zanim upadły na ziemię, uchwyciła je w locie czyjaś oliwkowa dłoń.

– Pomóc ci? – spytał Vlad z uśmiechem.

– Nie trzeba. – Z rozbawieniem zamknął drzwi mieszkania Simona i oddał jej klucze. – Dziękuję – powiedziała. Schowała je do torebki i zaczęła szukać kluczyków do PNK. – Mam dziś trudny poranek. Sam, przestań mnie ciągnąć!

– Czy to ta pora miesiąca? – spytał Vlad.

Meg poczuła przelotne skrępowanie, które jednak bardziej przypominało złość.

– Co?

Przyjrzał się jej z uwagą.

– Czy to niestosowne pytanie?

– Właśnie!

– Dziwne. W wielu powieściach, które czytałem, mężczyźni zadają je często, kiedy kobiety zachowują się... – Zamyślił się na chwilę. – Ale chyba istotnie nigdy nie zwracają się z nim bezpośrednio do kobiet.

– Muszę iść do pracy – ucięła Meg stanowczo.

– Ach! – Vlad spojrział na Sama, a potem na torby i ręcznik. – A dokąd idzie Sam?

– Sam idzie ze mną.

Coś w jego oczach. Zaskoczenie? Panika? Meg nie miała nic przeciwko panice, bo to znaczyłoby, że nie tylko ona nad niczym dzisiaj nie panuje. Choć wampir, który nad niczym nie panuje, może nie być najlepszym kompanem.

– Pomogę ci – stwierdził Vlad.

Nie zaprotestowała, szczególnie że nadal nie mogła znaleźć kluczyków do PNK. Vlad przerzucił sobie ręcznik przez ramię i wziął od niej torby. Trzymając je w jednej ręce, jakby nic nie ważyły, ruszył do garażu, pozostawiając jej wyłącznie Sama. Meg skróciła smycz, żeby uniemożliwić szczeniakowi bieganie wokół niej. Tak jej dziś idzie, że pewnie zaraz wyląduje twarzą w zaspie. Znowu. Tak jej dziś idzie, że jeśli nie tupnie nogą, będzie musiała opiekować się małym tyranem bez końca.

Zaczynała się już zastanawiać, czy nie zostawiła kluczyków w swoim mieszkaniu, na kuchennym stole, kiedy Vlad włożył rękę do kieszeni, wyjął kluczyki i otworzył bagażnik jej PNK.

– Ale jak...? – wyjąkała.

– Kluczyki pasują do wszystkich PNK na Dziedzińcu – wyjaśnił. – Tak jest wygodniej, gdyż tylko kilka jest przypisanych do konkretnych osób. – Meg zagapiła się na niego, a on podniósł Sama, wytarł mu łapy, a potem postawił go na ręczniku z tyłu, tak żeby szczeniak mógł zaglądać między siedzeniami. Gdy wkładał torby do bagażnika, zwrócił się do Meg: – Ty też będziesz jechała z tyłu? – Wskazał palcem smycz, którą wciąż była obwiązana. Bez słowa zdjęła ją i rzuciła obok Wilczka.

Vlad zamknął bagażnik i podszedł do drzwi od strony kierowcy. Był bardzo grzeczny, wyjąwszy tę aluzję na temat napięcia przedmiesiączkowego, ale Meg miała

dziwne wrażenie, że się z niej naśmiewa.

– To mój PNK, więc ja prowadzę – oświadczyła.

– A znalazłaś kluczyki? – Nie czekał na odpowiedź. – Skoro ja mam kluczyki, ja prowadzę. W ten sposób żadne z nas nie spóźni się do pracy.

Gdy Meg zawarczała, uniósł brwi, wyraźnie zaskoczony, ale chwilowo miała dość atrakcji, więc usiadła posłusznie na miejscu pasażera.

PNK był przystosowany do poruszania się ze stateczną prędkością po zamkniętym terenie, takim jak Dziedziniec, ale Vlad, pomny narzekania Elliota na punktualność łącznika, ruszył pełnym gazem. Zdawał sobie sprawę, że Meg go obserwuje, choć udawała, że wcale tego nie robi. Członkowie Stowarzyszenia Przedsiębiorców na podstawie obserwacji stwierdzili, że Meg świetnie zapamiętuje to, co widzi i słyszy, a potem wykorzystuje zakodowane obrazy jako punkty odniesienia. Potrafiła naśladować to, co zobaczyła – oczywiście do pewnego stopnia. W jej wiedzy istniały luki, braki informacji, jak podejrzewali wywoływane celowo, żeby wieszczki krwi nie potrafiły robić pewnych rzeczy samodzielnie. Tess przepytала Merri Lee i ustaliła, że Meg potrafi zidentyfikować wiele przedmiotów, ale w większości nie ma pojęcia, do czego służą. Tym bardziej niezwykła była jej ucieczka z kompleksu, w którym mieszkała przed przybyciem na Dziedziniec. W jakiś sposób zdołała zebrać dość wiedzy, by uciec – i przeżyć.

Na myśl o tym, co powiedzą Henry, Tess i Simon, jeśli Meg wpadnie do rowu, naśladowując jego sposób jazdy, Vlad zwolnił i starał się nie robić nic, co uważano za złe nawyki przy prowadzeniu PNK. Tak ustalili między sobą – że kiedy będą pokazywać łącznikowi, jak coś się robi, zadbają o precyzję przekazu, żeby mogła się nauczyć tego, co jest jej potrzebne.

Oczywiście Simon całkowicie zignorował te uzgodnienia, kiedy wyjechał, zrzucając jej na głowę opiekę nad Samem.

Henry powiedział o niej, że jest czymś nowym. Czymś mało znanym i niezrozumiałym. I taka właśnie była. Stanowiła dla nich potencjalne zagrożenie, ponieważ ktoś z jej zdolnością do zapamiętywania obrazów i dokładnego ich opisywania mógł powiedzieć wrogowi zbyt wiele o Dziedzińcu i o *terra indigena*.

Vlad odsunął od siebie te myśli, kiedy zobaczył, że od strony biura łącznika lecą w ich kierunku Jastrząb, Sowa i cztery Wrony.

Małpy czekają na Meg, oznajmił Jastrząb.

Jesteśmy prawie na miejscu, odparł Vlad. Ludzie na nią zaczekają.

Powiemy Nyx, powiedziały Wrony i zawróciły.

Chwilę później Sanguinati zatrzymał PNK przed biurem łącznika.

– Wejdz i przygotuj się do otwarcia – polecił. – Ja przyniosę Sama i bagaże.

– Dzięki – odparła Meg, wyskakując z PNK.

Wilczek próbował precyzyjnie się na przednie siedzenie i ruszyć za nią, ale Vlad przytrzymał go, kiedy zamykała drzwi. Szczeniak walczył przez chwilę, a potem wlepił wzrok w szybę, popiskując niespokojnie.

Posłuchaj mnie, Sam, – powiedział Vlad. – Ten budynek to miejsce, gdzie spotykamy się z ludźmi. Boisz się ludzi, ale jeśli chcesz tu zostać z Meg, musisz być odważny. Rozumiesz?

Żadnej odpowiedzi prócz skomlenia. Vlad westchnął. Jak Simon znosi to

milczenie ze strony szczeniaka, którego kocha?

Wysiadł z PNK, niosąc Sama na rękach, żeby oszczędzić sobie wycieranie go po raz kolejny. Gdy postawił go na podłodze na zapleczu, Sam natychmiast pomknął do sortowni, szukać Meg, a Vlad poszedł po ręcznik i torby.

Wrócił do sortowni niemal bezszelestnie. Sam węszył w kącie, obojętny na wszystko prócz zapachu, który znalazł. Vlad otworzył na całą szerokość drzwi do recepcji i sapnął. *Wrona, wieszczka i wampir weszli do biura...* pomyślał. To jak początek tych głupich ludzkich dowcipów, których *terra indigena* nigdy nie potrafili zrozumieć.

W pewnej odległości od lady stało trzech kurierów, wszyscy z paczkami. Wrona, kracząc na nich, upuściła długopis, który trzymała w dziobie, poszła więc na drugi koniec lady, wzięła kolejny długopis, wróciła i postukała nim w papier przypięty do podkładki do pisania.

Kurierzy zbliżyli się z wahaniem, jakby ta niewielka odległość miała jakieś znaczenie. Jeśli Nyx chciałaby się pożywić, ten dystans na nic by się zdał. Gdyby miała na sobie dzinsy i sweter, nie zorientowałyby się pewnie, że należy do Sanguinatic, ale Nyx wolą nosić długą czarną suknię z aksamitu, z trenem i szerokimi rękawami – takie suknie często nosiły wampirzyce w starych filmach, które uwielbiał dziadek Erebus. Lubiła się tak ubierać, ponieważ, jak mówiła, w ten sposób zwierzyzna wiedziała, kim jest, jeszcze zanim zaczynała się pożywiać. Meg, nadal w płaszczu, odebrała Wronie długopis. Z uśmiechem rozmawiała z kurierami, sprawnie spisując niezbędne informacje, a oni stawiali paczki na wózku, nie spuszczając oczu z Nyx.

Ponieważ żaden z kurierów nie wychodził, Vlad posłał Nyx wymowne spojrzenie.

Nic nie zrobiłam. Przytrzymuje ich tutaj ich własny strach, odparła, wodząc za kurierami ciemnymi oczami. Meg wykona swoją pracę, a ja zostanę tu, gdzie jestem.

Po co? spytał, choć sam też nie zamierzał stąd odejść.

Żeby nauczyć ludzi, że w tym biurze nie są zwierzyną. Chcę, żeby wiedzieli, że nie krzywdzimy tych, którzy mają do czynienia z Meg, nawet jeśli ona się spóźnia. Będą ją cenić z tego powodu i staną się innego rodzaju strażą.

Czy słyszałaś o czymś, co wskazywałoby na potrzebę istnienia takiej straży?

Dziadek ją lubi. To wystarczający powód, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

Meg uśmiechała się do kurierów, którzy w końcu wyszli z biura i wsiedli do swoich furgonetek. Nadal się uśmiechała, kiedy odjeżdżali. Potem odetchnęła i odwróciła się do Nyx i Wrony – też z uśmiechem.

– Dziękuję, że otworzyliście za mnie biuro. Nie chciałam się dziś spóźnić, po prostu... Przez ostatnie dwa dni sprawy trochę mi się skomplikowały.

– Nic się nie stało – powiedział Vlad, oglądając się przez ramię na Sama, który nadal gorliwie węszył w sortowni.

– To było nawet zabawne – dodała Nyx. – A Jake wiedział, co należy robić.

Wrona, która wyjmowała długopisy z pojemnika i układała na blacie, spojrzała na nich i zakrakała.

– Wydaje mi się, że przyszła paczka z filmami dla pana Erebusa – powiedziała Meg. – Może zabierzesz ją ze sobą?

Nyx roześmiała się.

– Żeby pozbawić go rozrywki w postaci twojej wizyty? Nigdy. Ale powiem mu, że paczka przysłała. – Zmieniła się w dym od stóp do piersi i przepłynęła nad kontuarzem. Potem wróciła do formy stałej, wyciągnęła rękę do Wrony, która wskoczyła na jej ramię, i obie wyszły na zewnątrz. Wrona odleciała, a Nyx zmieniła w dym resztę swej postaci i popłynęła w stronę przejścia na rynek.

– Czy tylko ja jedna muszę korzystać z przejścia w kontuarze? – zapytała Meg, patrząc na ladę, a potem na Vlada.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– Nie, nie ty jedna. Odprowadzę twój PNK do garażu. Jeśli nie znajdziesz kluczyków, daj znać, po pracy odwiozę cię do domu.

Nie czekał na jej odpowiedź. Musiał otworzyć ZDL i przekazać Henry'emu, że Sam jest z Meg – zakładając, że Jake nie poinformował już o tym duchowego przywódcy Dziedzińca.

Poza tym musiał w jakiś subtelny sposób ostrzec wszystkich mieszkańców Dziedzińca, że do powrotu Simona on i Henry Niedźwiedzia Straż będą mieli pieczę nad Samem i Meg.



Meg przyszykowała Samowi jedzenie i wodę, wygładziła mu sierść pod szelkami i pozwoliła mu chodzić po sortowni bez smyczy. Kilka razy omal nie nastąpiła mu na ogon czy łapę, ale wreszcie przestał jej wchodzić pod nogi, położył się w kącie i obserwował, jak sortuje pocztę i przesyłki. Paczka z filmami dla pana Erebusa była na tyle mała, że można ją było wysłać kucykami razem z pozostałą pocztą, ale Meg pomna słów Nyx odłożyła ją na stos przesyłek przeznaczonych na popołudniowe dostawy. Była tam też paczka dla Zimy, której nie miała jeszcze okazji dostarczyć.

Ranek minął jej szybko. Kiedy usłyszała kucyki, przypięła smycz do szelek Sama, a drugi koniec owinęła sobie na nadgarstku, na wypadek gdyby szczeniak przestraszył się i próbował uciec. Ale Sam, choć zaintrygowany kucykami, wolał chodzić krok w krok za nią, kiedy pakowała pocztę. Kuce również były zaintrygowane szczeniakiem, ale bynajmniej nie niepokoiła ich jego obecność.

Gratulując sobie w duchu, że przebrnęła przez kolejny tydzień i nie została ani zjedzona, ani wylana z pracy, Meg wyrównała stos kartek z notatkami na temat dostaw. W pewnym momencie ostry brzeg jednego arkusza przejechał po jej małym palcu. Najpierw poczuła ból, a potem zobaczyła krew. Patrzyła na swoją lewą rękę, próbując przypomnieć sobie coś ze szkolenia – co wyjaśniałoby powstanie ranki. Nie mogła uwierzyć, że papier potrafi przeciąć skórę. Potem pojawił się prawdziwy ból, zaciskając szpony na jej piersi i brzuchu.

Sam zawył, wyraźnie przestraszony.

Spojrzała na niego. Chciała go uspokoić, miała nadzieję, że uda jej się coś powiedzieć, zanim zacznie przez nią płynąć przepowiednia.



Tylko że Sam wcale nie wył. Stał obok niej i obserwował ją niespokojnie, ponieważ wyczuwał, że coś się dzieje.

Nie wył, ale ona go słyszała. Nawet teraz, chociaż widziała, że nie wydaje żadnych dźwięków, słyszała jego skowyt.

Zacząła się wizja. Nie miała pojęcia, co to będzie, jakie obrazy zobaczy, ale jeśli ich częścią będzie Sam... Gdy zacznie mówić, żeby poczuć euforię, nie zapamięta przepowiedni i nikt się nie dowie, co przestraszyło Wilczka. Ale jeśli nie będzie mówić, jeśli przełknie słowa, by poznać własną przepowiednię... Czy dla dobra Sama zniesie ten ból?

– Zostań tutaj – poleciała przez zaciśnięte zęby. Pobieгла do łazienki i zamknęła drzwi.

Miała wrażenie, że w gardle utknęło jej coś strasznego. Pochyliła się nad umywalką, walcząc o każdy oddech. Ból nasilał się, w miarę jak jej umysł wypełniała wizja. Zupełnie jakby oglądała pocięty przy montażu film.

Mężczyźni. Od stóp do głów ubrani na czarno. Nawet ich twarze i głowy są czarne. Niektórzy z pistoletami; inni ze strzelbami... *cięcie*... Męczyzna próbuje coś chwycić, ale nie widzi co... *cięcie*... Dźwięk, jakby warkot silnika samochodu skrzyżowany z brzęczeniem szerszeni... *cięcie*... Śnieg pada tak szybko i gęsto, że Meg nie rozpoznaje otoczenia, nie potrafi określić, czy to Dziedziniec, czy miasto, czy jeszcze jakieś inne miejsce... *cięcie*... Sam tam jest. I wyje z przerażenia.

Wróciła do świadomości, kiedy zdrętwiały jej palce od zaciskania ich na brzegu umywalki. *Skup się na oddechu*, nakazała sobie. *Ból minie. Wiesz, że minie.* Umyła ręce, szczególnie starannie mały palec. Małeńkie rozcięcie wzdłuż stawu. Gdyby je trochę wydłużyła, może zobaczyłaby więcej. Albo zobaczyłaby inną przepowiednię, zmieszaną z obrazami z wizji, której właśnie doświadczyła. Chodzące imiona nazywały ten efekt nakładania się przepowiedni podwójną wizją. Był to koszmaryny stan, obrazy z różnych wizji zderzały się ze sobą, wwiercając się w umysł wieszczki. Jednak nie zawsze były straszne. Czasami, jeśli wieszczka potrafiła zaakceptować to, co widzi, mogły zmienić życie. Zmieniły jej życie, kiedy Kontroler ciął ją za karę w poprzek starych blizn. Nakładające się przepowiednie pokazały jej drogę ucieczki.

Ale fakt, że raz zdołała przetrwać podwójną wizję, nie oznacza, że jej umysł wytrzyma to doświadczenie ponownie.

Wytarła ręce, wyjęła z apteczki płyn dezynfekujący i bandaż i opatrzyła ranę. Potem wróciła do sortowni i do Sama. Otworzyła swój dziennik na pustej stronie i zapisała wizję, dopóki szczegóły w jej pamięci nie zatarły się.

Musiała o tym komuś powiedzieć, ale komu?

Żałując, że nie może porozmawiać z Simonem, wzięła telefon i wybrała numer. Po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka.

– Henry? Mówi Meg. Muszę z tobą porozmawiać – nagrała wiadomość.

Henry zjawił się akurat w chwili, kiedy ubierała się na zapleczu. Zdążyła już zamknąć biuro na czas przerwy na lunch. Sam został w sortowni z dwoma ciastkami na zachętę.

– Coś ci się stało – stwierdził Henry. Nagle Meg poczuła, że nie jest w stanie na niego spojrzeć, a co dopiero powiedzieć mu o wszystkim. Pokręciła głową. –

Pachniesz bólem, słabością. – Nie słabością. Nie czuła się słaba. Ale ból, choć zniknął, nadal był przerażający. – Co ci się stało w rękę, Meg? – Jego głos zniżył się do cichego basu.

– Nie wiedziałam, że papier może przeciąć skórę. – Nawet w jej uszach zabrzmiało to żałośnie. – Myślałam, że to sztuczny obraz.

– Sztuczny?

– Nieprawdziwy.

Spojrzał na nią, zdumiony.

– Pokaż mi rękę.

– Nic mi nie jest. To nie dlatego... – Wziął jej lewą dłoń i odwinął bandaż z palca. Miał wielkie i szorstkie ręce, ale dotykał jej z zaskakującą delikatnością. – Też masz blizny – stwierdziła Meg, patrząc na jego palce.

– Pracuję w drewnie. Czasami bywam niezgrabny. – Przyjrzał się przecięciu, a potem nachylił się i powąchał je. Kręcąc głową, ponownie owinął palec bandażem. – Taka mała ranka nie mogła spowodować takiego bólu.

Chciał, żeby mu to wyjaśniła, ale ból nie wiązał się z tym, co widziała, więc w tej chwili nie był istotny.

– Henry, ja coś widziałam.

Puścił jej rękę i wyprostował się, patrząc na nią z góry.

– Widziałaś...?

Sięgnęła za jego plecy i wzięła ze stołu swój dziennik. Podała mu go.

W milczeniu przyglądała się, jak czyta jej słowa, a zmarszczka między jego oczami staje się coraz głębsza. Gdy przeczytał tekst dwa razy, wyjaśniła:

– Niektóre przepowiednie wyglądają jak seria obrazów, albo dźwięków. Niektóre, tak jak ta, przypominają film albo kilka filmów, z dźwiękiem i akcją. Ten sam obraz może pojawiać się w setkach przepowiedni, więc to od osoby, która ją zamówiła, zależy odczytanie znaczenia.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Słyszałaś wycie Wilka. Jesteś pewna, że to był Sam?

– A czy jakiś inny Wilk wyje tak jak Sam?

– Nie. – Henry pomyślał przez chwilę. – Dlaczego miałaś wizję Sama? Nie mógł cię o nic poprosić.

– Nie, ale tylko on był ze mną, kiedy przecięłam sobie palec. – Meg zadrżała.

– Kim byli ci mężczyźni? Dlaczego chcieli go złapać?

Meg poczuła narastającą frustrację.

– Nie wiem! Jestem bezużyteczna! – krzyknęła. – Widzę, co się stanie, ale nie potrafię powiedzieć, gdzie to się stanie ani kiedy, ani dlaczego!

Henry zamknął dziennik.

– Muszę porozmawiać z pozostałymi. Mogę to pożyczyć? Oddam.

– Dobrze. – Meg próbowała się opanować. – Oczywiście. A co z Samem?

– Vlad zabierze go do domu. Był tu już dość długo jak na jeden dzień.

– Ale...

Drzwi na zaplecze otworzyły się i jak na zawołanie w progu stanął Vlad. Rzucił Henry'emu pytające spojrzenie. Kiedy zerknął na rękę Meg, zamarł.

Coś zaszło między nim a Niedźwiedziem, ale nie miała pojęcia co. Vlad

poszedł do sortowni, a Henry zdjął z kołka na ścianie jej płaszcz.

– Chodź ze mną – polecił.

– W sortowni została moja torebka z kluczami. – Nim Meg zdążyła założyć drugi but, Vlad podał Henry’emu przez szparę w drzwiach jej torebkę, nogą przytrzymując Sama, żeby do niej nie podbiegł. – Dokąd idziemy? – spytała, gdy wyszli na zewnątrz.

– Niedaleko.

Zaprowadził ją na swoje podwórze. Jego środkiem, do otwartych drzwi pracowni, biegła w śniegu wąska ścieżka. Po obu stronach drzwi znajdowały się wielkie okna, zapewniając dobre światło. Boczne ściany były z cegły. Podłogę pokrywały wióry – być może specjalnie ją nimi wysypano. W pracowni było cieplej niż na zewnątrz, ale nie na tyle, żeby zdjąć płaszcz. Henry nie kazał Meg zdejmować butów.

Usiadła na ławce, zastanawiając się, po co ją tu przyprowadził. Poza kilkoma kawałkami drewna i wózkiem pełnym narzędzi stała tu tylko szafka z granitowym blatem i okrągły rzeźbiony stolik, a na nim odtwarzacz płyt.

Henry zdjął płaszcz i powiesił na wieszaku, a potem włączył elektryczny czajnik stojący na blacie szafki. Kiedy woda się zagotowała, położył jej dziennik na półce, wybrał płytę i włożył do odtwarzacza. Podał jej parujący kubek, włączył muzykę i zaczął pracować nad kawałkiem drewna stojącym na środku pokoju.

Z kubka unosił się zapach mięty. Meg ujęła naczynie w obie dłonie, żeby je zagrać, i przyglądała się, jak Henry wydobywa z drewna konkretny kształt. Muzyka – bębny, grzechotki i coś, co przypominało flet – napełniła powietrze. Odgłosy pracy Henry’ego łączyły się z nią harmonijnie.

– Podobają mi się te dźwięki – stwierdziła Meg. – Co to jest?

Uśmiechnął się do niej.

– Tubylcza muzyka. Kiedy ludzie wymyślili odtwarzacze i płyty, które przechowują dźwięki, dostrzegliśmy wagę tych rzeczy i zaczęliśmy nagrywać muzykę dla swoich.

– Lubisz ludzką muzykę?

– Czasami. – Henry pogłaskał drewno. – Ale nie tutaj. Nie kiedy dotykam drewna i słucham, czym chce się stać.

Meg przyjrzała się kształtowi, który zdawał się wręcz wyskakiwać z drewnianego bloku.

– To ryba.

Henry kiwnął głową.

– Łosoś.

Kiedy nie powiedziała nic więcej, wrócił do pracy. Przyglądała się, jak łosoś wyłania się z drewna, wdzięcznie wygięty w łuk. Jeszcze nieukończony, ale już dostatecznie uformowany.

Miała nadzieję, że nadal tu będzie, gdy Henry go skończy.

Płyta wybrzmiała do końca. Kubek Meg był pusty.

– Dziękuję – powiedziała, gdy Henry wziął go od niej.

– Ból trochę się uspokoił. Zjedz coś. Odpocznij trochę, zanim wrócisz do pracy – poradził.

– Dziękuję, że pozwoliłeś mi tu posiedzieć. I przepraszam, że nie okazałam się bardziej użyteczna.

– Ostrzegłaś nas. W tym sensie bardzo nam pomogłaś. Możesz tu przychodzić, kiedy chcesz, by twój duch dotknął drewna.

Teraz, kiedy ból się uspokoił, Meg rzeczywiście poczuła wielki głód. Miała ochotę na coś więcej niż kanapki i zupa, które czekały na nią w Czymś na Ząb, poszła więc do Mięsa i Zieleniny, restauracji na rynku. Z obrazów szkoleniowych wiedziała, że nie jest to wytworna restauracja – obrusy były z ceraty, żeby można je było wycierać, zamiast prać – ale w menu było wszystko, od przystawek po pełne zestawy obiadowe. Zamówiła nieduży stek z piure ziemniaczanym i groszkiem, napawając się możliwością podejmowania samodzielnych decyzji.

Kiedy wróciła do biura, w lodówce znalazła pojemnik z zupą i kanapki zawinięte w celofan. Jej kubek z wieczkiem był wypełniony świeżą kawą.

– Nie muszę się zastanawiać nad kolacją – stwierdziła, po czym wzięła egzemplarz „Wiadomości Lakeside” i biuletyn Dziedzińca, które ktoś zostawił na stole na zapleczu, i wraz z kawą zaniósła do sortowni. Potem otworzyła biuro na popołudniowe dostawy.



Henry, Vlad, Blair i Tess zebrali się w pokoju spotkań Stowarzyszenia Przedsiębiorców. Henry położył na stole notes.

– Należy do Meg. Inne zapiski są prywatne, ale te słowa ofiarowała nam wszystkim.

Każdy po kolei w milczeniu czytał opis wizji Meg. Dopiero Blair zaczął powarkiwać.

– Gdyby to była fabuła książki lub filmu, w wizji pojawiłaby się też gazeta z datą, kiedy to się stanie – mruknął Vlad.

– Ale to nie jest książka – odparł Henry. – Meg wiele zdołała nam przekazać, zważywszy, że ranka była niewielka. To był wypadek – dodał, spotykając pytające spojrzenie Blaira.

Henry zerknął na Tess.

– Mówiłaś, że z cięciem wiąże się rozkosz. Ale ja wyczuwałem w niej tylko ból. Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – odparła Tess. – Może istnieje różnica pomiędzy przypadkową raną a taką, którą zadaje się specjalnie? Może to dlatego, że czegoś nie jest w stanie zrobić, kiedy jest sama, więc doświadcza bólu zamiast rozkoszy? Powiedziałam wam wszystko, co wiem o wieszczkach krwi.

– Poszukałem na komputerze książek i artykułów na ich temat – wtrącił Vlad.

– Napisano mnóstwo powieści, w których występują *cassandra sangue*, ale ponieważ zwykle klasyfikowane są jako horrory albo thrillery, zapewne nie dostarczą nam użytecznych informacji. Dodałem dwie do następnego zamówienia dla ZDL. Będę szukał dalej.

– Ktoś musi o nich coś wiedzieć – stwierdziła Tess.

– Na pewno Meg – odparł Henry cicho. – Z czasem nam powie. – Spojrzał na Wilka. – Blair?

Blair odetchnął głęboko.

– To może się zdarzyć w tym roku albo za pięć lat. Jeszcze długo zimna panna nie ustąpi miejsca swojej siostrze, więc może nadejść taka śnieżycza. Intryguje mnie ten dźwięk. Coś mniejszego niż samochód, ale nie PNK. Musi się sprawnie poruszać na śniegu.

– Ja i Vlad możemy poszukać w komputerze takiego pojazdu – powiedziała Tess, ale nagle zawahała się. – Czy powinniśmy uprzedzić tego policjanta, który rozmawia z Simonem?

– A czy takie wizje zawsze się sprawdzają? – spytał Blair. – Poza tym nie mamy pewności, że ludzie, którzy przyjdą z bronią i zamaskowanymi twarzami, to nie będzie policja.

– Dlaczego policja miałaby porywać Sama? – spytał Vlad.

– A dlaczego ktokolwiek miałby to zrobić? – odparował Henry.

W oczach Blaira zatańczyły czerwone ogniki.

– Daphne nie żyje, więc Sam jest dzieckiem Wilczej Straży. Czy ktoś będzie na tyle głupi, by go tknąć i rozpętać wojnę?

– Ktoś będzie na tyle głupi – stwierdził z przekonaniem Henry. – Meg to widziała.

Cisza.

– Dziś niebo jest czyste – powiedział wreszcie Blair. – Jeśli nikt nie rozzłości dziewczynki na jeziorze, przez kilka dni nie będzie burzy.

Tess pochyliła się nad stołem i przesunęła palcem po zapisanej stronicie notesu.

– Nawet jeśli wieszczka krwi nigdy się nie myli, to, co widzi, trzeba interpretować. Meg pokazała nam początek walki, ale nic na temat jej wyniku. – Spojrzała na pozostałą trójkę. Mimo siły Niedźwiedzia Henry poczuł na plecach dreszcz, kiedy jej włosy zaczęły się skręcać.

Po chwili podniosła się i wyszła z pokoju, najwyraźniej uznawszy, że nie zostało już nic do powiedzenia.

– Nie zdołamy utrzymać Sama przez cały czas w domu, a towarzystwo Meg dobrze mu robi – stwierdził Vlad, spoglądając wymownie na Blaira. – Nie podobają ci się te szelki i smycz i ja to rozumiem, ale wystarczyły dwa dni, a Meg wyciągnęła Sama z tego złego miejsca, gdzie przebywał od śmierci Daphne. I to się liczy.

– Nie mogę mówić w imieniu innych Wilków, ale dla mnie też to się liczy – odparł Blair. – Zadbamy o bezpieczeństwo Sama. I Meg.

Vlad poprawił się na krześle.

– Ona jeszcze nie widziała żadnego Wilka w wilczej formie. Oprócz Sama rzecz jasna.

– Jakiś Wilk zawsze ma dyżur w ZDL – zauważył Blair.

– Tak, ale odkąd została łącznikiem, nie zaglądała tam, więc nie widziała żadnego z was.

– Przydzielę dwa Wilki do pilnowania biura. W ludzkiej formie.

– Pamiętaj tylko, że zobaczą Meg, Sama i smycz – ostrzegł Henry.

Blair zawarczał.

– Tym zajmie się Simon, kiedy wróci.

– Zgoda.

Henry, zadowolony, że przynajmniej na razie zrobili wszystko, co mogli, wstał.

– W ciągu dnia zawsze jestem w pobliżu. Poza tym Jastrzębie i Wrony pełnią wartość, kiedy Meg pracuje. Ostrzegą Wilki, jeśli pojawi się zagrożenie.

Na tym skończyli spotkanie i rozeszli się, każdy do swoich spraw.

Kiedy Henry szedł wąską ścieżką do swojej pracowni, spojrzał na Wrony zebrane na murze.

Macie mi coś do powiedzenia?

Ludzie i pudełka, odparł Jake. Meg nie potrzebuje pomocy z pisaniem. Zabrzmiało to tak, jakby był rozczarowany.

Henry wszedł do pracowni, odwiesił płaszcz i obszedł kawałek drzewa, który czekał, by otrzymać nowe życie – i pomyślał o kobiecie, którą, choć była człowiekiem, zaczął uważać za swoją przyjaciółkę.



Pomiędzy przyjmowaniem kolejnych dostaw Meg przejrzała „Wiadomości Lakeside”, ale nie zauważyła nic, o czym jej zdaniem należałoby poinformować Henry’ego albo Tess. Zastanawiała się, czy w ogóle powinna szukać. W końcu z pewnością Tess i Vlad też czytali tę gazetę. Ale nie nosili w sobie tylu obrazów i mogli nie rozpoznać czegoś, co mogło mieć wpływ na Innych.

Zauważyła ogłoszenia o wyprzedazach, o których mówiła Azja, ale nie miała pojęcia, czy ktoś z mieszkańców Dziedzińca byłby zainteresowany takimi przedmiotami. Przeczytała komiksy, ale większości z nich w ogóle nie zrozumiała, ponieważ były to tylko części jakichś dłuższych historii. Słowa niosły niewiele znaczeń, ale widok stojącego na tylnych łapach Wilka, któremu z pyska ciekła ślina, sprawił, że Meg poczuła się niezręcznie. Wilk wyglądał jak karykatura – niczym owłosiony człowiek z głową psa – zapewne w ten sposób starano się ośmieszyć coś, czego się obawiano, ale jej wydało się to dość ryzykowne. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego, ale na wszelki wypadek utrwaliła w sobie ten obraz, a potem spojrzała na datę na górze strony. Kolejny obraz.

Złożyła gazetę i sięgnęła po wiadomości z Dziedzińca, ale powstrzymała się. Za dużo informacji jak na jeden dzień. Rozwiezienie nowych katalogów po wszystkich kompleksach mieszkalnych spowodowało deszcz zamówień, które dostarczono dziś po południu, więc miała cały wózek przesyłek. Musiała skontaktować się z kompleksami, żeby je odebrali.

Zamknęła punktualnie o czwartej, zapakowała bagażnik PNK małymi paczkami dla Pokoi i Zielonego Kompleksu, sprawdziła, czy na pewno wzięła przesyłkę dla Zimy, i ruszyła w drogę.

Nadal nie czuła się swobodnie na terenie Pokoi, ale zaczęła przyzwyczajać się do dymu, który wydobywał się z grobowców, kiedy przy nich stawała. Sanguinati nie

wylatywali poza swoje płoty, kiedy przebywała w okolicy, a ci, którzy zachowali ludzką formę, nie rozmawiali z nią ani nie podchodzili bliżej. Życzyła im dobrej nocy, wkładając paczki do skrzynek – i zawsze oddychała z ulgą, że nikt nie zapragnął się na niej pożywić.

Tylko pan Erebus wyszedł na chodnik, żeby się z nią spotkać.

– Przyszły pańskie filmy – powiedziała, wyciągając do niego paczkę.

Zauważyła, że jego paznokcie nie są już takie żółte i zrogowaciałe jak w dniu, kiedy go poznała. A może tylko jej się wtedy wydawało? Była taka zdenerwowana, a na ganku było ciemno.

– Lubię te filmy – odparł Erebus. – Słodziotka jesteś, że mi je przywiozłaś. – Wskazał czarne skrzynki na listy, prosząc gestem, żeby włożyła do nich paczkę.

Nawet kiedy wychodził jej na spotkanie, nie brał przesyłek bezpośrednio z jej ręki.

– Lubię to robić – odparła Meg.

Przyglądał się jej, kiedy wkładała do skrzynek resztę paczek.

– Czy Vladimir jest dla ciebie miły?

To pytanie ją zaskoczyło. A jeszcze bardziej wrażenie, że los Vlada zależy od jej odpowiedzi.

– Tak. On i Nyx bardzo mi pomogli dziś rano.

– To dobrze. – Erebus cofnął się. – Idź skończyć swoją pracę, a wieczorem baw się dobrze.

Kiedy Meg jechała w stronę jeziora, zastanawiała się, czy przypadkiem nie było to ostrzeżenie, że powinna po zmroku pozostać w Zielonym Kompleksie.

Zima ślizgała się po jeziorze w tej samej białej sukience, w której Meg widziała ją ostatnio. Zaparkowała tam, gdzie za pierwszym razem, wyciągnęła z torby szalik, a potem poszła na skraj jeziora.

Dziewczynka zbliżyła się do niej.

– To łącznik – powiedziała jakby w przestrzeń. – Umiesz się ślizgać, Meg?

– Nigdy nie próbowałam.

– Ludzie przyczepiają do stóp kawałki metalu, żeby się ślizgać po lodzie. Ja nie potrzebuję czegoś takiego. – Przechyliła na bok głowę. – Przyszłaś po książki z biblioteki? Jeszcze ich nie przeczytałyśmy.

– Nie, nie przyszedłam po książki. Przyniosłam ci to. – Meg wyciągnęła w jej stronę szalik.

Dziewczynka zeszywniała, wbiła w Meg oczy pełne nieludzkiej wściekłości.

– Przyniosłaś mi kolor Lata?

Przeżona głębią jej gniewu, Meg spojrzała na zielony szalik.

– Lata? Nie. Nie skojarzył mi się z letnią zielenią. – Zima wydawała się jeszcze wyższa niż chwilę temu – i coraz mniej ludzka. A powietrze, które dziś miało całkiem znośną temperaturę, nagle zrobiło się lodowate. Obraziła dziewczynkę. Tyle zrozumiała. Najwyraźniej Zima i Lato nie dogadywały się ze sobą, choć były siostrami. O ile były siostrami. – Kiedy go zobaczyłam, pomyślałam o tobie – powiedziała Meg, chcąc jak najszybciej wszystko wyjaśnić.

– O mnie? – Słowa wypowiedziane zostały pełnym furii szeptem. Śnieg nagle zawirował po drugiej stronie jeziora niczym przesuwaną się w ich stronę kurtyna.

– To dlatego. – Meg rozłożyła szalik, pokazując płatki śniegu, które ozdabiały

brzeg, przy końcach przechodząc w białe frędzle. Rozpaczliwie starała się dobrać odpowiednie słowa. – Zima to nie brak koloru. Są przecież zimozielone rośliny o ośnieżonych gałęziach, a ich kolor podkreśla tylko piękno bieli. Kiedy zobaczyłam ten szalik w sklepie na rynku, pomyślałam o tobie, ponieważ masz sukienkę w różnych odcieniach bieli, a zieleń ładnie by je podkreśliła, tak jak zielone rośliny podkreślają kolor śniegu.

Zamieć po drugiej stronie jeziora ucichła. Zima popatrzyła na drzewa, a potem na szalik.

– To kolor gałęzi – stwierdziła. Wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po tkaninie. – Miękki. – Meg ledwie śmiała oddychać. – Uprzejmość – mruknęła Zima, biorąc szalik i owijając nim szyję. – Tak niespodziewana. – Popatrzyła na Meg oczami, których z pewnością nikt nie wziąłby za ludzkie. – Dziękuję.

– Proszę bardzo, Zimo.

Meg pomachała dziewczynce, zanim wsiadła do PNK, ale Zima nie odmachala jej. Kiedy odjechała nieco, na lód wyszła druga dziewczynka i wzięła ją za rękę.

W drodze do Zielonego Kompleksu Meg zauważyła, że śnieg na poboczach unosi się w powietrzu jak łyżwiarki kręcące piruety na zmrożonej tafli jeziora.



## Rozdział 12

Meg zaczęła niedzielę długim prysznicem i późnym śniadaniem. Resztę dnia wypełniła zwykłymi obowiązkami, opieką nad Samem i swoją pierwszą imprezą towarzyską. Nastawiła pranie i obeszła z Samem cały kompleks. Kiedy ubrania wirowały w suszarce, po raz drugi obeszła z Samem kompleks. Gdy wróciła do siebie i składała czyste ubrania, Sam rozłożył się na podłodze w sypialni i nie chciał się ruszyć. Musiała przenieść go na rękach do klatki w salonie Simona, żeby zdążyć na film o kociakach, wyświetlany w świetlicy kompleksu. Na seans przyszły Jenni Wronia Straż i jej siostry, Julia Jastrzębia Straż, Allison Sowia Straż oraz Tess.

Ustawiły krzesła i kanapę, tak żeby móc wygodnie sięgać po popcorn, orzeszki i ciasteczka z kawałkami czekolady, które przyniosła Tess, i Jenni włączyła film. Opowiadał o matkach płaczących nad córkami i córkach krzyczących na matki, o ojcach kłócących się z synami oraz o przyjaciółach udzielających wszystkim rad, o które nikt nie prosił. Na szczęście ostatecznie wszyscy śmiali się i ściskali. Meg nie wiedziała, czy była to prawdziwa historia o prawdziwej rodzinie, czy też fikcyjna, z rodzaju tych, które nie zdarzają się w ludzkim społeczeństwie. Inni również nie zrozumieli, o co chodziło – ale byli zgodni co do jednego: w filmie nie było ani jednego kociaka.

Kiedy wróciła do domu, Sam nie spał i był gotowy do zabawy. Zjedli więc kolację, pobawili się, a później obejrzeni jeszcze jeden film, w którym naprawdę występowały kociaki i inne zwierzęta.

– Jeśli pozwolisz mi się dzisiaj wyspać, jutro rano będziesz mógł iść ze mną do pracy – powiedziała Meg, zamykając na noc klatkę. – Ale jeśli będziesz wył i budził wszystkich, zostaniesz sam w domu.

Sam zaskomlał smutno i przez chwilę Meg poczuła się jak potwór. Ale potem ułożył się do snu, więc wróciła do siebie, umyła się, przebrała i natychmiast zasnęła.

Następnego ranka z mieszkania Simona nie dobiegał żaden dźwięk – żadne ujadanie czy wycie. Meg, która przespała budzik, doszła do wniosku, że nie usłyszałyby nawet awanturującego się Sama, jednak kiedy wyszła spod prysznica, cisza wydała jej się złowieszcza. A jeśli nie zamknęła wczoraj porządnie klatki? A jeśli Sam się z niej wydostał i zły, że go zostawiła, zrobił coś, czego Simon obawiał się tak bardzo, że kupił tę klatkę?

Pospiesznie wytarła włosy, odwiesiła ręcznik, założyła szlafrok i kapturę i pobiegła do mieszkania Simona. Zadrżała z zimna, kiedy otworzyła kuchenne wejście – najwyraźniej o tej porze roku nie należy wychodzić z mokrymi włosami i w nieodpowiednim stroju nawet na klatkę schodową. Ale musiała sprawdzić, co z Samem – ubierze się później. Może Wilczek siedzi tak cicho, bo się zranił i nie jest w stanie wezwać pomocy? A jeśli zachorował? A jeśli...

Zbiegła po schodach do salonu.

...wylizał do czysta miskę i czekał cichutko, żeby zabrała go ze sobą do pracy? Sam zamerdał ogonem i przeciągle mruknął na powitanie.

– Dzień dobry, Sam – odparła Meg. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że przyjdę po ciebie za kilka minut, dobrze?

Uznała za zgodę dźwięk, który wydał, więc pomknęła z powrotem do siebie, żeby wysuszyć włosy i ubrać się. Wykonała resztę porannych czynności w takim pośpiechu, że niemal udławiła się kromką chleba z masłem orzechowym. Kiedy wróciła do mieszkania Simona, Sam niecierpliwie dreptał w miejscu, a gdy tylko otworzyła klatkę, wypadł z niej i zaczął dreptać przy drzwiach. Założyła mu szelki i zapakowała jego miski oraz ręcznik.

Kiedy wyszli, Vlad już na nich czekał. Odebrał od Meg torby i spojrzał na nie w zamyśleniu.

– Co w nich codziennie nosisz?

– Miski Sama – odparła, upewniając się, że zamknęła mieszkanie Simona. Wciąż miała w pamięci obrazy i filmy szkoleniowe przedstawiające złodziei włamujących się do domów. No i ta ostatnia wizja – ubrani na czarno mężczyźni i wycie przerażonego Sama. Wątpiła wprawdzie, żeby ktoś śmiał zakraść się na Dziedziniec i okraść Innych, jednak z drugiej strony ludzie często robią straszne głupoty.

– Skoro Sam codziennie chodzi z tobą do biura, może spraw sobie drugi komplet misek, żeby nie taszczyć tych w tę i z powrotem? – zaproponował Vlad.

– Zamierzałam przejrzeć dziś rano katalog Pałacu Milusińskich i sprawdzić ceny – stwierdziła Meg, kiedy w trójkę ruszyli do garażu, zatrzymując się co kilka kroków, żeby Sam mógł się wysiusiać.

Podczas ostatniej wyprawy na zakupy odkryła, jak szybko rozchodzą się pieniądze, a nie chciała, żeby się skończyły, zanim dostanie kolejną wypłatę. Przypomniała też sobie, że powinna wstąpić do banku na rynku i dowiedzieć się, jaki miesięczny kredyt będzie miała na karcie. Dopiero teraz zaczynała rozumieć, dlaczego tylu klientów Kontrolera pytało wieszczkę o pieniądze.

– Kup wszystko, czego potrzebujesz dla Sama na rachunek Stowarzyszenia Przedsiębiorców – zdecydował Vlad. – Zatwierdzą te wydatki.

– Dziękuję – odparła, mile zaskoczona.

Zapakowali torby i Sama do PNK, a potem, choć dziś Meg znalazła kluczyki, Vlad zawiózł ich do biura łącznika.

Kiedy otworzyła frontowe drzwi, na parking dla dostawców zajechał właśnie Harry z Dostarczamy Wszędzie.

*Nie spóźniłam się dziś rano, ale ledwie zdążyłam na czas*, pomyślała, machając do kuriera. Kątem oka zarejestrowała, że z okna na piętrze konsulatu ktoś się jej przygląda. Ponieważ Harry zawsze rozmawiał z nią kilka minut, nie musiała się spieszyć z szykowaniem nowej kartki do notatek. W przeciwieństwie do Azji Crane kurier nie okazywał zainteresowania Dziedzińcem. Opowiadał o własnym życiu – wersji ludzkiego świata, która była Meg równie obca jak sposób życia *terra indigena*. Chłoneła jego słowa, a kiedy miała chwilę czasu, próbowała dopasować rzeczy, o których mówił, do obrazów, które pamiętała ze szkolenia.



– Zatrzymaj się tak, żeby nie blokować podjazdu dostawcom – polecił Monty, kiedy Kowalski skręcił na Działoszynie. – To potrwa dwie minuty.

Nie otrzymali żadnych nowych wieści z Zachodniego Wybrzeża. Nie mieli pojęcia, ile osób zginęło w Georgette w zeszłym tygodniu ani dlaczego grupa młodych mężczyzn zaatakowała Innych i rozpętała rzeź. A choć pod stacją podstawiano radiowóz za każdym razem, gdy miał przyjechać pociąg z zachodu, Simon Wilcza Straż wciąż nie wracał.

Chcąc uniknąć ponownego spotkania z Vladimirem Sanguinatim, Monty postanowił zwrócić się do łącznika. Nie sądził, żeby Meg Corbyn знаła najnowsze wieści, ale chciał jej przypomnieć, że może liczyć na jego pomoc.

Kiedy otwierał drzwi biura, jedna z Wron siedzących na kamiennym murku zatrzepotała skrzydłami, a druga wbiła się w powietrze, bez wątplenia ostrzegając wszystkich o jego przybyciu. Gdy Meg Corbyn go zobaczyła, w jej szarych oczach zalśnił strach, choć próbowała go ukryć. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek spojrzy na niego bez obawy o to, że zaprowadzi ją z powrotem tam, skąd uciekła. Dlaczego wciąż się bała? Czyżby nie wiedziała, że Inni nie dopuszczą do jej zatrzymania?

– Dzień dobry, poruczniku Montgomery – odezwała się pierwsza. – Czy mogę coś dla pana zrobić?

Monty podszedł do kontuaru, uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie, proszę pani. Wpadłem tylko sprawdzić, czy ja nie mogę zrobić czegoś dla pani.

Spojrzała na rozłożony na ladzie katalog, jakby szukała w nim odpowiedzi. Ponieważ nie patrzyła na niego, Monty zajrzał w głąb pomieszczenia widocznego za otwartymi drzwiami z napisem NIE WCHODZIĆ. Ściana z przegródkami na pocztę. Pudełko kostek cukru na wielkim stole na środku pokoju. I szary szczeniak stojący w progu i szczerzący groźnie zęby.

*To nie jest pies, pomyślał Monty. To jest Wilczek.*

Meg drgnęła, słysząc warczenie, i obejrzała się na szczeniaka.

– To jest Sam – przedstawiła go. – Przez kilka dni będzie mi pomagał w pracy. Sam, to jest porucznik Montgomery. Jest policjantem. – Znów zwróciła się do Monty'ego: – Sam jest jeszcze mały. Nie wiem, czy rozumie, kto to jest policjant.

Kiedy Inni zaczynają zmieniać się w ludzi? Czy szczeniak to jednocześnie chłopiec? A jeśli tak, to czyj? Monty nie musiał zgadywać, to było oczywiste, ale zaciękało go, jakie jeszcze obowiązki Simon Wilcza Straż zrzuca na swojego łącznika.

– Może w księgarni mają książeczki dla dzieci z serii *To jest...* – powiedział. – Nie pamiętam dokładnie tytułu, ale generalnie chodzi o to, żeby nauczyć dzieci identyfikować różne rzeczy. Wie pani, „To jest kot. To jest samochód. To jest mysz. To jest łoś”.

W oczach Meg pojawił się dziwny wyraz. Wyraźnie zbladła.

– Pamiętam te książki... – powiedziała szeptem. – Nie miałam pojęcia, że inne dzieci też się z nich uczą. – Monty pomyślał o wieczorach, kiedy siadał razem z Lizzy, żeby jej poczytać. Pamiętał, jaka była podekscytowana, kiedy poszli do zoo i w zagrodzie zwierząt domowych potrafiła samodzielnie rozpoznać kozę, kurczaka i króliczka. Jednak patrząc na Meg, wątpił, żeby jej wspomnienia dotyczące tych książek były równie ciepłe. – Dziękuję za sugestię – dodała. – Jeśli w ZDL nie ma książek dla dzieci, może znajdę je w bibliotece na Dziedzińcu.

Czas się zbierać. Monty spojrział na katalog otwarty na stronie z posłaniami dla psów, i zauważył, że Meg zaznaczyła jedną pozycję. Rzucił okiem na szczeniaka, a potem spojrział jeszcze raz na to, co wybrała.

– Na pani miejscu zamówiłbym średni rozmiar, ten będzie za mały – zasugerował.

– Ale przecież Sam jest mały – zaprotestowała. – Przynajmniej tak mi się wydaje – dodała po chwili namysłu. – Nie widziałam jeszcze dorosłego Wilka.

Uśmiechnął się, choć poczuł zdumienie. Dlaczego nie widziała jeszcze Wilka?

– Proszę mi wierzyć na słowo. Sam już jest większy od tego, co ludzie uważają za małego psa.

– Och... Dobrze wiedzieć.

– Życzę dobrego dnia, panno Corbyn.

– I panu również.

Kiedy Monty wyszedł z biura, przede wszystkim uderzył go wyraz twarzy Kowalskiego. Obejrzał się w prawo i zobaczył Niedźwiedzia, który stał po drugiej stronie murku i patrzył na niego. Przez chwilę nie mógł odдыchać, a żołądek ścisnął mu się boleśnie.

– Witam, panie Niedźwiedzia Straż – powiedział cicho. Potem wsiadł do radiowozu.

– Ruszamy? – spytał Kowalski, nie spuszczając wzroku z Niedźwiedzia.

– Tak, ruszamy – odparł Monty.

Henry Niedźwiedzia Straż patrzył za nimi, póki nie wyjechali na ulicę.

– Facet z konsulatu zjawił się, jak tylko wszedł pan do biura łącznika – zaraportował Kowalski. – Chciał wiedzieć przede wszystkim, co tu robimy. Powiedziałem mu, że to wizyta towarzyska.

– Bo tak było.

– Facet zasłaniał mi widok, więc kiedy zauważyłem Niedźwiedzia, najpierw myślałem, że to jedna z tych rzeźb, póki nie obrócił głowy, żeby popatrzeć, jak rozmawia pan z łącznikiem. – Kowalski zahamował łagodnie przed czerwonym światłem. – Nigdy wcześniej nie widziałem Niedźwiedzia. I chyba nigdy już nie chcę zobaczyć. – Urwał, kiedy światła się zmieniły, i ruszył dalej. – Myśli pan, że mógłby przeskoczyć przez ten murek?

*Przeskoczyć albo go staranować*, pomyślał Monty, ale nie odpowiedział.



Meg zadzwoniła do Pałacu Milusińskich i złożyła zamówienie u kierownika sklepu, ponieważ sprzedawca, który odebrał telefon, nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za sprzedaż na Dziedziniec. Uzyskawszy obietnicę, że miski i posłanie zostaną dostarczone jutro rano, zaczęła się zastanawiać nad wykonaniem kolejnego telefonu. Coś było nie tak z Samem – i to bardzo. Tyle mogła się domyślić na podstawie klatki w salonie Simona i jedzenia dla psów, które zapewne nie było normalnym pożywieniem Wilków.

Ale to zaczęło się zmieniać w ciągu kilku ostatnich dni. Sam jakby silniej reagował, coraz bardziej przypominał ciekawskiego szczeniaka. Może zaczął zachowywać się jak typowy Wilczek? Czy to wyjaśniało jego malejące zainteresowanie karmą dla psów? Bo na pewno nie było wytłumaczeniem dla rosnącego zainteresowania ciastkami, które dla niego kupiła. Ponieważ nie mogła poprosić o radę Simona – a nie chciała prosić o nią Blaira – zadzwoniła do rzeźnika na rynku.

Kiedy czekała, aż ktoś odbierze, wciąż myślała o jednym – przebywała na Dziedzińcu już od dwóch tygodni i co noc słyszała wycie Wilków, więc dlaczego nigdy nie widziała żadnego w jego wilczej formie? Czy mieli rozkaz, by jej unikać? Czy naprawdę byli tacy straszni?

– Dziś mamy ryby i mięso – odezwał się męski głos w słuchawce. – Czego ci trzeba?

– Mówi Meg, łącznik z ludźmi. Czy macie może specjalne mięso?

Na chwilę zapadła cisza.

– Specjalne mięso? – wydusił wreszcie ktoś po drugiej stronie. – Chcesz dostać specjalne mięso?

Najwyraźniej mieli coś takiego. Choć równie jasne było to, że nie każdy może je kupić.

– To dla Sama – wyjaśniła Meg. – Przestała mu smakować karma dla psów, więc pomyślałam, że może macie jakieś specjalne mięso dla szczeniaków. Wie pan... z królika albo z jelenia. Ale to pewnie nie jest nic specjalnego, bo Wilki jedzą to codziennie, prawda? – Nie odpowiedział, więc brnęła dalej: – Bo małe Wilczki w wieku Sama jedzą mięso, prawda?

Ten ktoś po drugiej stronie odetchnął głęboko, a kiedy się odezwał, w jego głosie słuchać było ulgę.

– Jasne, że jedzą mięso. Jasne. Mamy dziś ładny gulasz wołowy. Będzie smaczniejszy niż jeleń czy królik, chyba że chcesz udziec królika. Został mi jeden z tego, którego upolowałem dziś rano.

Meg poczuła nagle, że robi jej się niedobrze.

– Wystarczy kawałek wołowiny. Nie chcę mu dawać za dużo naraz, skoro nie jadł mięsa od jakiegoś czasu.

– Przyniosę – powiedział sprzedawca i odłożył słuchawkę.

Meg zagapiła się na telefon.

*Dlaczego tak się zdenerwował, kiedy zapytałam o specjalne mięso?*

Nie wszyscy mogą je kupić. A może to ludzie nie mogą go kupić, ponieważ...

Zanim całkiem opuściła ją odwaga, zadzwoniła do Czegoś na Ząb i w duchu podziękowała wszystkim bogom, kiedy to Merri Lee odebrała telefon.

– Czy ludzi uważa się za specjalne mięso? – spytała bez zbędnych wstępów.

– To nie jest rozmowa na telefon – odparła Merri Lee po długiej chwili milczenia.

Przez moment Meg nie mogła myśleć, ledwie była w stanie oddychać. Miała przed oczami rysunek krowy ze strzałkami wskazującymi różne porcje mięsa.

A później wyobraziła sobie rysunek człowieka z takimi samymi strzałkami. Czy u rzeźnika jest wywieszona taka plansza?

– Merri? Czy sklep mięsny na Dziedzińcu sprzedaje mięso z ludzi? –

Milczenie. – O bogowie...

– Mam wrażenie, że nie sprzedaje się go u rzeźnika – powiedziała Merri Lee prawie szeptem po kolejnej chwili milczenia. – Sądzę, że kiedy Inni zabijają człowieka, zjadają go na miejscu i nie zostają żadne resztki. – Przełknęła tak głośno, że Meg usłyszała to przez telefon. – Ale kiedy specjalne mięso jest dostępne, wywieszają na drzwiach sklepu odpowiedni znak. To nic oczywistego, jednak wszyscy domyśliliśmy się, o co chodzi. Jak już mówiłam, jestem prawie pewna, że nie sprzedają tam tego mięsa, ale znak informuje Innych, że można je kupić.

– Ale przecież my robimy tam zakupy!

– Byłaś już w środku?

– Nie. Nie umiem gotować, więc nie kupowałam jeszcze mięsa. – *A teraz już nigdy nie kupię...*

– Kiedy tam pójdziesz, pamiętaj, żeby zapytać, z czego jest to mięso. Albo powiedz wyraźnie, co chcesz kupić. Jeśli poprosisz o stek i nie sprecyzujesz, z jakiego zwierzęcia ma on być, dostaniesz wołowinę albo koninę, albo jelenia, albo łosia, albo nawet bizona. To całkiem interesujące, ale niekoniecznie smaczne.

Meg zakręciło się w głowie, więc oparła się o ladę. Żałowała, że wymyśliła taki przysmak dla Sama.

– No dobrze... – Odetchnęła. – No dobrze. Dzięki, Merri.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do sortowni, w samą porę, by usłyszeć głośne pukanie do drzwi na zapleczu. Sam podreptał za nią, nadal w szelkach i na smyczy, ponieważ nie pozwolił jej odpiąć liny asekuracyjnej.

Otworzyła drzwi. Mężczyzna miał brązowe włosy i oczy jak u Jastrzębia, którego poznała wcześniej, oraz poplamiony krwią fartuch, zawiązany w pasie. W ręku trzymał dwie paczki zawinięte w brązowy papier.

– Pokroiłem trochę gulaszu – oznajmił. – Poczekaj, aż się ogrzeje do temperatury pokojowej, zanim poczęstujesz nim Sama. W drugiej paczce są suszone jelenie pałki. Szczeniaki lubią je gryźć.

– Co to są jelenie pałki? – spytała Meg, odbierając paczki.

Patrzył na nią przez chwilę. Potem zacisnął pięść, przyłożył poniżej paska i wymownie wystawił kciuk.

– Och... – sapnęła Meg. – No tak...

Gdy mężczyzna odwrócił się i puścił biegiem z powrotem na rynek, zamknęła za nim drzwi i popatrzyła na pakunki. Sam tańczył wokół niej na tylnych łapach, usiłując obwąchać paczki. W pierwszej, którą otworzyła, była wołowina. Meg doszła do wniosku, że może ją w każdej chwili podgrzać w kuchence mikrofalowej, więc schowała ją do lodówki. W drugiej znalazła trzy kawałki... jelenia. Jeden dała

Samowi, a resztę zawinęła w papier i natychmiast pobiegła do łazienki umyć ręce. Na szelki wypadek dwa razy.

Oczywiście Sam nie chciał zostać ze swoją przekąską na zapleczu, więc musiała sortować pocztę, ignorując to, co trzymał w łapach i ogryzał z nieskrywaną rozkoszą.



Vlad oderwał wzrok od faktur, które właśnie układał, i przyjrzał się stojącemu w drzwiach Wilkowi.

– Coś nie tak?

Blair wszedł do środka i usiadł po drugiej stronie biurka.

– Boone powiedział, że nie będzie więcej przechowywał w sklepie specjalnego mięsa, ponieważ nie chce mieć kłopotów z Henrym i Simonem.

– A dlaczego spodziewa się kłopotów?

– Ponieważ Meg spytała go, czy ma specjalne mięso.

Vlad ze zdumienia aż otworzył usta.

– Meg spytała...?

– Boone mówi, że będzie miał kłopoty, jeśli jej go nie sprzeda, a jeszcze większe, jeśli sprzeda, a ona dopiero potem zorientuje się, co to jest. Ale czegoś, czego nie ma, nie może sprzedać, więc nie zamierza go mieć.

– Ale Meg...? – powtórzył Vlad. Nie potrafił określić, czy ta informacja bardziej go zaintrygowała, czy zaniepokoiła.

– Okazało się, że szukała mięsa dla Sama. – Usta Blaira zadrżały w powstrzymanym uśmiechu. – Z głosu Boone’a, kiedy do mnie zadzwonił, domyśliłem się, że Jastrzębia Straż straci masę piór, zanim ten dzień dobiegnie końca. – Vlad mimowolnie zaczął się śmiać, a Blair wstał z krzesła. – Oczywiście zaniósł dla Sama również jelenie pałki.

– Proszę cię... – Vlad ze śmiechu ledwo łapał oddech. – Nie, zaczekaj. Czy Meg wie, co to jest?

– Teraz już tak – odparł Blair. – Powiedziałem Boone’owi, że ma codziennie przynosić mięso dla Sama. – Chwila milczenia. – Simon dzwonił. Wróci w środę. – Vlad, który ciągle próbował odzyskać oddech, gestem dał znać, że usłyszał. – Mam wrażenie, że niewiele się dowiedział – dodał Blair.

Sanguinati, już poważniejszy, pokiwał głową.

– Porozmawiamy po jego powrocie – odparł. A kiedy Blair wyszedł i zyskał pewność, że go nie usłyszy, mruknął: – Porozmawiamy o wielu sprawach.



Meg stała niezdecydowana przed tylnym wejściem do Zabójczo Dobrych Lektur. Wejście do księgarni z Wilkiem nie powinno stanowić problemu; słyszała, że

jeden lub dwóch Innych zwykle przebywa tam w zwierzęcej formie, żeby zapewnić ochronę. Problemem było to, jak Inni zareagują na szelki i smycz Sama – i czy nie złamie jakiejś niepisanej zasady, wprowadzając młodego *terra indigena* w miejsce, gdzie przychodzą ludzie.

Uznała jednak, że nie może zostawić Sama w biurze, zważywszy, ile pokus będzie tam na niego czekać, więc stała teraz, wahając się, przed drzwiami księgarni, aż skrzypnęła drewniana furtka na tyłach podwórza. Henry przyglądał się im obojgu przez dłuższą chwilę, a potem podszedł do Meg i wziął smycz.

– Chodź, Sam – powiedział. – Pobawimy się trochę. Im szybciej Meg skończy swoje obowiązki, tym szybciej będziecie mogli coś zjeść. – Wiedziała, że Sam będzie z Henrym bezpieczny, ale poczuła się dziwnie, kiedy oddawała mu smycz. Nie spodobało jej się zwłaszcza to, że szczeniak bez protestów zaakceptował zmianę towarzystwa na drugim końcu liny asekuracyjnej. Jej myśli musiały znaleźć odbicie w wyrazie jej twarzy, ponieważ Henry dodał: – Poradzimy sobie, Meg. Możesz się zająć swoimi obowiązkami.

Spojrzała na Sama.

– Będzie lepiej, jeśli zostaniesz z Henrym. Dobrze?

Nie czekając na odpowiedź, weszła do ZDL i szybko przeszła przez magazyn. Ale zanim dotarła do księgarni, usłyszała skrzypiące wycie – głośny protest Wilczka.

Czując wyrzuty sumienia, że go zostawiła, aż pisnęła, kiedy na wycie Sama odpowiedziało inne, głębsze, dobiegające z wnętrza sklepu. Zawahała się, ale ciekawość kazała jej wejść do księgarni.

Może po raz pierwszy w życiu zobaczy dorosłego Wilka?

Najwyraźniej nie tylko ona miała takie marzenie. Wszyscy klienci księgarni wyraźnie czegoś wypatrywali, ale nigdzie nie było widać *terra indigena* w wilczej formie. Meg natknęła się natomiast na Johna Wilczą Straż, który zaprowadził ją do sekcji z książkami dla dzieci. Jej zdaniem był nieco zbyt radosny jak na Wilka. Ciekawiło ją, czy obsługiwani przez niego klienci czują z tego powodu ulgę, czy raczej rozczarowanie.

John zostawił ją przy regale z książeczkami z serii *To jest...*, bo zawołał go jakiś klient. Meg wybrała dwie książeczki oraz tomik z opowiadaniem dla dzieci. Nie zarejestrowała, ile czasu jej to zajęło, ale ponieważ chciała wybrać też coś dla siebie, ruszyła na front sklepu, gdzie wystawione były nowości. I omal nie wpadła na mężczyznę, który zastąpił jej drogę.

Był mniej więcej w wieku Simona. Miał pociągłą twarz i smukłe ciało. Jego czarne włosy poprzetykane były szarymi pasmami, a szare oczy miały najmniej ludzki wygląd ze wszystkich oczu zmiennokształtnych, jakich poznała na Dziedzińcu. Ubrany był w dżinsy, biały sweter i zniszczoną czarną skórzaną kurtkę. Nie miała wątpliwości, że właśnie ten Wilk był odpowiedzialny za wycie Sama.

Nie zszedł jej z drogi, tylko odsunął się, tak żeby mogła precyzyjnie się koło niego. Kiedy to zrobiła, pochylił się i obwąchał ją, zupełnie się z tym nie kryjąc. Potem kichnął.

Miała już dość Wilków, które narzekały na jej śmierdzące włosy – chociaż jej włosy wcale już nie śmierdziały. Uśmiech Johna zbladł, kiedy zauważył, że drugi Wilk idzie za Meg, ale podliczył jej zakupy – łącznie z powieścią, którą wzięła po



drodze z półki, żeby udowodnić sobie, że może samodzielnie wybierać lektury – i zapakował do torby, którą ze sobą przyniosła.

Meg podziękowała mu i ruszyła na tyły księgarni, coraz bardziej zdenerwowana faktem, że chodzi za nią obcy Wilk. Odetchnęła z ulgą, kiedy zawahał się, a potem skręcił w korytarzyk prowadzący do Czegoś na Ząb. Chcąc wrócić jak najszybciej do biura, zanim znów się pojawi, wyszła pospiesznie z ZDL i przez otwartą furtkę weszła na podwórze Henry'ego.

Kula śnieżna uderzyła ją w ramię tak niespodziewanie, że aż pisnęła ze strachu. Ale kiedy zaszarżował na nią Wilk, wrzasnęła tak głośno, że Wrony i Jastrzębie, które obsiadły biuro łącznika i podwórze Henry'ego, z łopotem skrzydeł poderwały się do lotu. Meg padła na czworaka, a potem zwinęła się w kłębek, osłaniając rękami głowę i kark. Wilk wylądował na jej plecach, warcząc dziko, a potem ześlizgnął się z niej, usiłując po drodze złapać ją za rękę.

Nagle mała mordka wepchnęła się pod jej ramię i ciepły język polizał ją po twarzy. Sam. Powiedział do niej coś po wilczemu, a potem cofnął głowę i znów na nią wskoczył.

Usłyszała tubalny śmiech Henry'ego.

– Nieźle ją nastraszyłeś, Sam, ale teraz pozwól jej wstać. – Meg policzyła do dziesięciu. Kiedy nikt więcej na nią nie wskoczył, powoli zaczęła się prostować. Chwilę później wielka dłoń chwyciła ją za kołnierz płaszcza, postawiła na nogi i zaczęła strzepywać z niej śnieg. – Spisujesz się jako piszcząca zabawka, Meg – stwierdził Henry ze śmiechem.

– Wystarczy – sapnęła.

Henry podniósł jej torebkę i siatkę, otrząsając je ze śniegu.

– Miło, że zagrałaś rolę zwierzyny.

Niczego nie zagrała. Jej mózg nie zarejestrował ani czerwonych szelek, ani rozmiarów zwierzęcia. Widziała tylko szarżującego na nią Wilka. Sam wydał jej się o wiele większy, więc instynktownie padła na ziemię.

– Pewnie powinnam uciekać – mruknęła, odbierając swoje rzeczy od Henry'ego. Sam wrócił, niosąc w zębach koniec smyczy, którą ciągnął za sobą.

– Nie – odparł Henry cicho, patrząc na coś za plecami Meg. – Ucieczka nie jest właściwym postępowaniem.

Meg wzięła smycz od Sama, przypięła ją do jego szelek, a drugi koniec owinęła sobie wokół nadgarstka. Potem obejrzała się, żeby sprawdzić, na co patrzy Henry. Wilk, który chodził za nią po księgarni, stał opodal z jednym z pudełek, w które Tess pakowała jedzenie ludziom pracującym na rynku, żeby nie wystygło. W jego oczach dostrzegła wściekłość i nienawiść graniczące z szaleństwem.

– Czego chcesz, Fergusie? – spytał Henry. Ale to Sam, który schował się za nogi Meg i warczał na Wilka, w końcu odwrócił jego uwagę od niej. Choć nie na długo. Widać było, że Fergus nie może oderwać wzroku od szelek i smyczy, które łączyły Sama z człowiekiem. – Fergusie! – zagrzemiał ostrzegawczo Henry.

– Tess poprosiła mnie, żebym zaniósł to łącznikowi – odparł Fergus niewyraźnie, jego głos coraz bardziej przypominał warkot.

– Powinniście już iść – zwrócił się do Meg Henry, kładąc rękę na jej ramieniu.

– Niedługo musisz zacząć przyjmować popołudniowe dostawy. – Pchnął ją lekko

w stronę biura.

– Chodź, Sam – powiedziała niemal szeptem, zbyt przestraszona, by stać ją było na coś więcej.

Sam wyrwał się do przodu, na całą długość smyczy, a potem czekał, aż Meg go dogoni. Ferus szedł za nimi – niczym milcząca groźba.

*Wspomnienie. Urywek filmu pokazujący watahę zwyczajnych wilków, które upolowały jelenia. Wilki zaczęły się pożywiać, zanim zwierzę umarło. Rozrywały mięso, połykały je łapczywie. Dziewczęta oglądały ten film przez całe popołudnie, ponieważ jedna z nich opierała się cięciu i w rezultacie jej przepowiednia okazała się gorszej jakości. A chodzące imiona powtarzały co chwilę: „Jeśli przestaniemy się wami opiekować, oto co zrobią z wami wilki”.*

Tylko że oni opiekowali się własnością, a nie ludźmi. Meg zaryzykowała życie, uciekła i trafiła na Dziedziniec, miejsce zamieszkiwane przez istoty jeszcze bardziej niebezpieczne niż człowiek, który uważał ją jedynie za żywe narzędzie. Niemniej aż do teraz, mimo ciągłych gróźb Simona, że ją zje, mimo strachu przed Innymi, który próbowały zaszcześcić w niej chodzące imiona, nie myślała o sobie jak o zwierzynie. Dziś jednak nie musiała przecinać sobie skóry, żeby wiedzieć, iż dokładnie tym jest w oczach Ferusa – zwierzyną, zwykłym mięsem. W jego przypadku nie była to kwestia „czy”, tylko „kiedy”.

Tak pochłonęło ją budowanie samodzielnego życia, że zupełnie zapomniała o drugiej części swojej wizji. Miała przecież umrzeć na Dziedzińcu.

Skoro jednak widziała siebie na tym wąskim łóżku i Simona krążącego po białym pokoju, jak mogłyby rozszarpać ją Wilki?

Ujadanie Sama wyrwało ją z zamyślenia. Nie zorientowała się, kiedy dotarli do drzwi biura. Ręce jej drżały, kiedy próbowała trafić kluczem do zamka. Gdy wreszcie otworzyła drzwi i Sam wpadł do środka, ośmieliła się obejrzeć na Wilka.

– Dziękuję, że przyniósł mi pan lunch – powiedziała.

Zmierzył ją wzrokiem, a potem bez słowa podał jej pudełko z jedzeniem.

Wzięła je, wycofała się do biura i zamknęła za sobą drzwi – i omal nie zsiadła się ze strachu, kiedy usłyszała za nimi pełne furii wycie. Dysząc ze strachu, położyła torby na małym stoliku, nie zwracając uwagi na śnieg, który naniosła na butach. Odwinęła smycz z nadgarstka i zdjęła płaszcz, a potem poszła do łazienki, zamykając Samowi drzwi przed nosem. Kiedy wyszła, okazało się, że Wilczek, stojąc na krześle, dobierał się już do pudełka z lunchem.

Meg chwyciła go za kark i wytarła mu łapy. Potem sama zdjęła buty i przetarła podłogę. Wreszcie otworzyła pudełko, oganiając się od Sama. Pojemnik z zupą z warzyw i wołowiny dla niej i mniejszy z zupą dla Sama. Wyrzuciła nietknięte jedzenie dla psów i przelała zupę do miski, sprawdzając palcem, czy nie jest za gorąca. Sam zaczął chleptać, gdy tylko postawiła miskę na ziemi, więc otworzyła drugi pojemnik. Ta zupa była gorąca – najwyraźniej Tess celowo wystudziła porcję Sama. W pudełku była też kanapka z serem. Meg oderwała kawałek i dała szczeniakowi, a potem zmusiła się do przełknięcia kęsa kanapki i dwóch łyżek zupy. Żołądek nadal miała ściśnięty ze strachu, więc zemdlilo ją nawet od tej odrobiny jedzenia.

Poddała się. Włączyła czajnik elektryczny i schowała swoje jedzenie.

Zastanawiała się, czy będzie musiała w najbliższym czasie zabezpieczyć lodówkę i dolne szafki przed szczeniakiem. Zaparzyła sobie miętę, wzięła torbę z książkami i ruszyła do recepcji. Zamierzała otworzyć wcześniej i przejrzeć książki między dostawami.

I wtedy... Ktoś zrzucił pudełko z kostkami cukru, które zostawiła na stole do sortowania, i oddał z niego wierzch. I otworzył szuflady, w których trzymała przybory biurowe.

A teraz robił coś w recepcji...

Meg cichutko przekręciła gałkę i otworzyła gwałtownie drzwi z napisem NIE WCHODZIĆ. Wrona, która siedziała na ladzie, omal nie spadła z niej ze strachu.

*Jake?!*

Jenni zwierzyła się jej, że Jake lubi się bawić długopisami z ludźmi, którzy przynoszą paczki, i że zamierza pomagać łącznikowi za każdym razem, kiedy będzie przydzielony do pilnowania tej części Dziedzińca.

Jednak „pomoc” to było ostatnie słowo, jakie przyszło Meg do głowy, gdy otworzyła biuro. Jak w ogóle Jack się tu dostał? O ile jej wiadomo, tylko kilku członków Stowarzyszenia Przedsiębiorców miało klucze do biura łącznika. No cóż, zapewne wślizgnął się do środka razem z jednym z kurierów i schował się, żeby móc bezkarnie grzebać w szufladach podczas południowej przerwy.

Podniosła z podłogi dwa puste pojemniki, a potem popatrzyła na ołówki i długopisy rozrzucone po ladzie. Nie potrafiła stwierdzić, co takiego buduje Jake, ale z pewnością w poszukiwaniu budulca przetrząsnął każdą szufladę.

– Jake, nie możesz mi zabierać wszystkich przyborów do pisania – powiedziała surowo, ale kiedy sięgnęła po długopis spróbował ją dziobnąć. – Hej! – Miała dość dzikich zwierząt jak na jeden dzień. Nie potrzebna jej była jeszcze dziobiąca Wrona, która nałogowo kradnie artykuły biurowe.

*Kra!*

– Te długopisy są mi potrzebne!

*Kra!*

– Jake! – Do oczu Meg napłynęły łzy. To było głupie, ale w odstępie zaledwie kilku minut dwa razy okropnie ją nastraszone i po prostu nie miała już siły. Jake przekrzywił głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Następnie obszedł swoje dzieło, wyciągnął z niego niebieski długopis i podał jej. Kiedy go przyjęła, podał jej czerwony ołówek, a na koniec jeszcze czarny długopis. Później zajął się przebudową wzniesionej na ladzie konstrukcji. – To moje – oznajmiła Meg, pociągając nosem, i schowała trzy odzyskane przybory do pisania pod ladę, razem z podkładką.

Właśnie miała zapytać o cukier, kiedy do biura wpadła Azja Crane.

– Na bogów na górze i na dole, Meg, co tu się stało? Czy ktoś został ranny?

– Ranny?

– Ten krzyk. Nie słyszałaś go? Oglądałam właśnie wystawę Tubylców Ziemi, kiedy go usłyszałam. Wszystkie ptaki zerwały się, zaczęły krążyć w powietrzu i przeraźliwie hałasować. – Azja uniosła ręce, a Jake zatrzepotał skrzydłami i zakrakał w proteście.

Meg zapragnęła schronić się w sortowni, zamknąć za sobą drzwi i zostać tam już na zawsze, aż jej ciało będzie suche jak mumia. Choć pewnie Wilkom

smakowałaby taka mumia...

– Słyszałaś to?

– Oczywiście, że słyszałam! – Azja odsunęła się od Wrony i zniżyła głos. –

Wiesz, kto tak krzyczał?

– Ja – mruknęła Meg i zaczerwieniła się ze wstydu. – To ja krzyczałam.

– Ty?

– Zaskoczył mnie. Nawet małe Wilki wydają się wielkie, kiedy szarżują prosto na ciebie.

Oczywiście właśnie tę chwilę wybrał sobie Sam, by stanąć w progu recepcji, machając ogonem i oblizując się.

– Och! – wykrzyknęła Azja, wychylając się przez ladę, ale na tyle ostrożnie, by nie przekroczyć granicy. – Czyż on nie jest słodki? – Jej wzrok powędrował do szpary w drzwiach. – A skoro już mowa o słodyczach, to musisz być wielkim łasuchem, Meg.

Meg obejrzała się przez ramię.

– Och nie, cukier jest dla kucyków. W poniedziałki dostają specjalny przysmak. – Spojrzała na Jake'a. – Czy wiesz, jak to się stało, że pudełko spadło i ma oddarty wierzch? – Wrona uniosła skrzydła, naśladując ludzki gest wzruszenia ramion. Meg przysunęła się bliżej i dodała: – Jeśli ktoś pochował kostki cukru, żeby zwabić owady na przekąskę, to nie będzie mógł więcej bawić się długopisami. – Jake zmierzył ją wzrokiem. Zeskoczył na podłogę, przez chwilę grzebał dziobem pod kontuarem, po czym podleciał na górę i upuścił na blat kostkę cukru. Meg sięgnęła po nią z głośnym westchnieniem, ale w tej samej chwili usłyszała, jak coś przewraca się na zapleczu. – Przepraszam cię, ale to nie jest dobry dzień na odwiedziny.

– Właśnie widzę – odparła Azja. – No nic, trzymaj się. Może uda nam się jutro wyrwać na lunch do którejś z tych knajpek po drugiej stronie ulicy?

– Wątpię. Opiekuję się Samem i mam pełne ręce roboty... – Rozległ się łoskot, a chwilę później pełne oburzenia ujadanie Sama. – Muszę iść – rzuciła Meg, biegnąc na zaplecze.

Przez chwilę tylko stała i patrzyła. Sam jakimś cudem zdołał przeciągnąć krzesło przez całe pomieszczenie i wspiał się na nie, żeby sięgnąć po pudełko z ciastkami dla szczeniaków, które zostawiła na blacie szafki. Drzwi lodówki były otwarte, podłogę pokrywały pogryzione kawałki opakowania i okruchy jej kanapki z serem. Na szczęście Sam albo nie był zainteresowany zupą, albo nie zdołał dosięgnąć pojemnika. Nie chciała nawet myśleć, jakiego bałaganu narobiłby, gdyby mu się to udało.

Postanowiła, że najpierw wypije zimną już herbatę miętową, a dopiero potem zajmie się sprzątaniami. Złapała Sama za kark i wyprowadziła go do sortowni, starannie zamykając drzwi na zaplecze. Gdy jej wzrok padł na pudełko cukru stojące na stole, uświadomiła sobie, że nie trzyma już w ręku kostki cukru, którą oddał jej Jake – co więcej, nie ma zielonego pojęcia, co z nią zrobiła. Wślizgnęła się do recepcji po herbatę i zobaczyła przez okno, że Ferus stoi przed konsulem i rozmawia z Elliotem Wilczą Strażą, co chwilę wskazując na biuro. Łatwo było się domyślić, o czym rozmawiali: o Samie na smyczy. Vlad i Henry przyjęli spokojnie fakt, że Meg spaceruje z nim w ten sposób po kompleksie, ale Wilki chyba nie

wykażą podobnego zrozumienia dla kwestii poszukiwaczy przygód, wspinaczy i lin asekuracyjnych.

– Wrona w recepcji, szczeniak w sortowni, a na zewnątrz szalony Wilk – mruknęła do siebie. – Czy ten dzień może być gorszy?

Najwyraźniej mógł – ale na szczęście Meg zauważyła robaka, którego Jake wrzucił jej na przeprosiny do herbaty, zanim go połknęła.



Azja weszła do restauracji Pod Jeleniem i Zającem, znajdującej się dokładnie naprzeciwko wjazdu na parking dla dostawców Dziedzińca, i usiadła przy stoliku pod oknem. Mróz przenikał przez szyby, więc większość klientów tłoczyła się przy stolikach stojących w pobliżu kominka na środku sali.

Nie zdejmując płaszcza, złożyła zamówienie i zapatrzyła się w okno, myśląc o tym, jak wykorzystać na swoją korzyść to, czego się ostatnio dowiedziała. Meg krzyknęła i wszyscy *terra indigena* w tej części Dziedzińca zareagowali natychmiast, nawet ci, którzy pracowali w konsulacie. Według Darrella Adamsa, człowieka, który pracował u Elliota Wilczej Straży, Inni traktowali łącznika jak kogoś w rodzaju ubogiej krewnej – kogoś, kogo trzeba tolerować, ale przez większość czasu można ignorować.

Najwyraźniej jednak krzyk to co innego. A zatem istniał sposób na odwrócenie uwagi Innych, choć zaledwie na minutę czy dwie. Jednak w minutę czy dwie można zrobić wiele rzeczy.

No i był jeszcze ten mały Wilczek w szelkach. Ciekawe, czy potrafił zmienić się w chłopca. A może szelki uniemożliwiały mu zmianę formy? Gdyby udało jej się schwytać jednego z Innych, jej sponsorzy z pewnością znaleźliby klienta, który chętnie zaryzykuje gniew *terra indigena*, by móc pochwalić się oswojonym Wilkiem. Może nawet wykorzystaliby go przy kręceniu horrorów – przynajmniej dopóki będzie zbyt mały, by stanowić realne zagrożenie.

Azja uśmiechnęła się do kelnera, kiedy przyniósł jej zupę. Jedząc, patrzyła na Dziedzińca, a uśmiech nie schodził z jej twarzy.

Meg opiekuje się szczeniakiem pod nieobecność Simona. Nie trzeba być geniuszem, by dodać dwa do dwóch i zbić na tym majątek.

Wzięcie zakładnika jest wprawdzie ryzykowne, ale bardzo intratne.

## Rozdział 13

We wtorek rano do biura łącznika dostarczono miski i legowisko z Pałacu Milusińskich. Sam był zachwycony, że ma własny wygodny kąt, z którego może obserwować Meg przy sortowaniu poczty i paczek. Boone przyniósł mały pojemnik z siekanym mięsem i zapowiedział, że odtąd będzie to robił regularnie. Meg nie spytała, z czego jest to mięso ani kto je zamówił. Po prostu podgrzała je i dodała do karmy dla psów.

Tego ranka Jake Wronia Straż nie zjawił się w biurze, ale zniknęły wszystkie długopisy i ołówki, którymi lubił się bawić – łącznie z trzema, które oddał Meg poprzedniego dnia. Dlatego w przerwie między dostawami zadzwoniła do sklepu z zabawkami i wymusiła na pracowniku obietnicę, że jej zamówienie zostanie zrealizowane jeszcze tego samego dnia po południu.

Sam czasami ukrywał się przed kurierami, a czasami obserwował ich z progu recepcji – zdaniem Meg dwóch z nich przyglądało się jego szelkom zdecydowanie za długo.

Przez cały dzień wracała do niej wizja mężczyzn w czerni i przerażonego wycia Sama. Mrowienie pod skórą stawało się wówczas tak silne, że musiała walczyć z pragnieniem użycia brzytwy.



Do środy Meg udało się wypracować konsekwentny rytm porannych przygotowań i po raz pierwszy, odkąd zaczęła opiekować się Samem, ona i Wilczek dotarli do pracy bez pośpiechu.

Otworzyła drzwi biura, wystawiła głowę na zewnątrz i uśmiechnęła się do Wron, które zajęły swoje stanowisko na murku.

– Powiedzcie Jake’owi, że mam dla niego niespodziankę – powiedziała.

Przygotowała biuro do pracy, odpięła smycz i zdjęła Samowi szelki. Zrobiła to z powodu snów, które dwa razy obudziły ją w ciągu tej nocy, choć zupełnie ich nie pamiętała. Postanowiła, że będzie trzymać szelki i smycz pod ręką i zakładać je Samowi tylko wtedy, gdy okaże się to bezwzględnie konieczne.

Od Merri Lee dowiedziała się, że Ferus dostał przeniesienie do Kompleksu Usługowego i teraz pracował razem z Blairem. A wczoraj Henry kilkakrotnie wpadł do biura pod pretekstem oczekiwania na dostawę albo żeby sprawdzić coś w katalogu, którego jak twierdził, nie dostał. Nie umknęło jej uwadze, że Niedźwiedź zjawiał się za każdym razem, gdy Elliot Wilcza Straż wychodził z konsulatu. Najwyraźniej Blair i Henry wiedzieli, że Wilki są wściekłe z powodu szelek – a to kolejny powód, by Sam przestał je nosić.

– Nie potrzebujemy liny asekuracyjnej, kiedy jesteśmy w biurze – wyjaśniła szczeniakowi, który próbował ściągnąć szelki z lady. – Pamiętaj tylko, żeby nie wybiegać na zewnątrz, kiedy będę rozdelała pocztę kucykom.

Sam odpowiedział jej coś po wilczemu, a Meg, żeby go udobruchać, dała mu ciasteczka i kolejną jelenią pałkę. Zabrał je na swoje legowisko i zaczął gryźć z zapalem, co najwyraźniej zakończyło dyskusję.

Niestety uwagi Jake'a Wroniej Straży nie dało się tak łatwo odwrócić. Meg nie miała pojęcia, w jaki sposób Jake dostaje się do biura, ale kiedy zajrzała do recepcji, siedział na ladzie i zaglądał do pustego pojemnika po długopisach. Odstawiła swoją miętową herbatę na stół w sortowni, żeby znów nie wrzucił do niej jakiegoś prezentu, wyjęła pudełko spod lady, otworzyła i pokazała mu zawartość. W środku było mnóstwo drewnianych kółek, kolorowych patyczków i różnych złączek.

– Oddaj mi wszystkie ołówki i długopisy i obiecaj, że zostawisz je w spokoju, a ja w zamian dam ci to – powiedziała.

Negocjacje byłyby zdecydowanie łatwiejsze, gdyby Jake przybrał ludzką formę, ale z jakichś powodów tego nie zrobił. Próbował natomiast udawać, że nie rozumie, czego Meg od niego chce, więc z uśmiechem zamknęła i schowała pudełko, po czym wróciła do sortowni.

Ignorując krakanie Jake'a, zajęła się sortowaniem poczty. Zignorowała też wycie Sama, gdy otworzyła zamek w zewnętrznych drzwiach i poszła na zaplecze po płaszcz i miskę z marchewkami dla kucyków. Sam stał przed drzwiami dostawczymi ze smyczą w zębach i merdał ogonem. Wyraźnie był zdania, że otworenie zewnętrznych drzwi wymaga liny asekuracyjnej. Zastanawiając się, czy nie nazbyt dosłownie przyjął jej wyjaśnienia co do przeznaczenia smyczy, Meg założyła ją sobie na nadgarstek i wzięła dwie garście poczty dla kucyków. Sam, zadowolony z siebie, chodził za nią cierpliwie, kiedy krążyła między stołem a kucykami, napełniając ich kosze pocztą, katalogami z pobliskich sklepów i różnymi paczkami.

Kiedy kucyki ruszyły w drogę, a Sam wystawił głowę na zewnątrz i zjadł trochę śniegu, Meg zamknęła drzwi dostawcze. Potem zajrzała do recepcji. Jake'a nigdzie nie było widać, ale na ladzie leżały dwa ołówki. Zabrała je i zastąpiła dwoma kolorowymi patyczkami i jednym kółkiem. Kiedy nadszedł czas przerwy na lunch, zabrała pudełko z klockami z biura i zamknęła w swoim PNK. Potem podrzuciła Wilczka na podwórze Henry'ego, żeby pobawił się z Niedźwiedziem, a sama poszła do Czegoś na Ząb odpocząć i coś przekąsić.

Gdy wróciła do biura, znalazła na ladzie kolejne trzy ołówki i cztery długopisy – a w sortowni czarne pióro. Najwyraźniej Jake próbował znaleźć klocki. Meg poczuła satysfakcję, że udało jej się przechytryć Wronę.

Podczas popołudniowych godzin pracy nie widziała Jake'a, ale za każdym razem, kiedy zaglądała do recepcji, znajdowała na ladzie kolejne ołówki i długopisy. Kiedy kubek na długopisy i pojemnik na ołówki znów były pełne, zostawiła na blacie resztę klocków i zamknęła biuro na noc. Musiała zrealizować dostawy, a wcześniej podrzucić Sama do domu.

Kiedy wychodzili tylnym wyjściem, podbiegła do nich Starr Wronia Straż.

– Jake chce wiedzieć, czy znalazłaś resztę ołówków – powiedziała.

– Znalazłam. – Meg zamarła z kluczem w zamku.

– No to pyta, czy może dostać resztę patyków.

*Doprawdy?* pomyślała z rozbawieniem Meg, otwierając drzwi, a na głos powiedziała:

– Jasne.

Razem poszły do recepcji. Meg włożyła pozostałe klocki łamigłówek do pudełka i podała Starr, która niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę.

Innych nie należało traktować, tak jakby byli odpowiednikami ptaków i zwierząt, których formy potrafili przybrać, jednak po tylu pokoleniach zdążyli nabyć pewnych nawyków zwierząt, które naśladowali. Porównując w myślach swoją wiedzę o zwyczajnych wronach z tym, jak patrzyła na nią Starr, Meg z trudem powstrzymała westchnienie.

– Ile pudełek mam zamówić dla waszej świetlicy w Kruczości? – Starr pokazała jej pięć palców. – Dobrze. Jutro to załatwię.

Z uśmiechem na ustach Wrona wyszła za Meg z biura i pobiegła na rynek, gdzie w Błyskotkach i Starociach czekały na nią jej siostry – i bez wątpienia także Jake.

Kiedy oboje z Samem wsiedli do PNK, Meg wreszcie głęboko westchnęła. Codzienne kontakty z Innymi nie należały do łatwych, ale przynajmniej pokazała Wronom, że nie da sobą pomiatać.

Wrony może i to pojęły, ale Wilczek ewidentnie nie. Kiedy zaparkowała pod Zielonym Kompleksem, zaparł się wszystkimi łapami, pokazując, że nie zamierza wysiadać.

– Sam, to nie czas na zabawę. Muszę teraz rozwiązać dostawy – powiedziała surowo. – A ty musisz poczekać na mnie w domu.

Zaczął ujadać w odpowiedzi. Nie musiała znać wilczego – i bez tego rozumiała, że nie zgodzi się zostać sam w domu. Jeszcze kilka dni temu prawie nie opuszczał klatki w salonie Simona i spędzał czas głównie w samotności. Najwyraźniej jednak przestało mu to odpowiadać.

Meg patrzyła na upartego szczeniaka, zastanawiając się, co powinna zrobić. Mogła zanieść go do domu na rękach, ale gdyby zaczął jej uciekać po PNK, zniszczyłby paczki. Mogła przytrzymać go za szelki albo siłą wywlec na zewnątrz, ciągnąc za smycz, ale to zapewne położyłoby kres ich przyjaźni. Poza tym ją samą przez całe dotychczasowe życie kontrolowano i trzymano na takiej czy innej smyczy – nie chciała, żeby Sam uznał, że musi poddawać się czyjejś kontroli. A konkretnie kontroli ze strony człowieka, ponieważ Simon Wilcza Straż kontrolował wszystkich mieszkańców Dziedzińca bez wyjątku.

Meg nachyliła się i pogroziła Samowi palcem, szturchając go kilka razy w nos.

– No dobrze – powiedziała. – Możesz ze mną pojechać. Ale pamiętaj, że musisz mnie słuchać, bo inaczej oboje będziemy mieli kłopoty. Rozumiesz?

Wilczek polizał jej palec i radośnie pomerdał ogonem. Sprawdziła, czy wszystkie łapy, ogon i smycz są w środku PNK, zamknęła drzwiczki i obesła pojazd, by wsiąść za kierownicę. Włączyła silnik i zastanowiła się nad trasą. Nie zamierzała zbliżyć się do Kompleksu Wilczej Straży, skoro jest z nią Sam. To byłoby proszenie się o kłopoty. Miała paczkę dla Jester, a Stajnia Kucyków wydała jej się dość neutralnym miejscem. Kompleks Usługowy? Niechętnie, skoro są tam Blair



i Ferus, ale zdążyła już zawiadomić Blaira, że po południu dostarczy mu przesyłki, uznała więc, że złamanie obietnicy danej stróżowi porządku Dziedzińca nie będzie rozsądnym posunięciem.

– I tak mnie w końcu pogryzą – mruknęła pod nosem, ruszając w stronę Stajni Kucyków.

Kiedy zatrzymała się przed frontem, na ozdobnym drewnianym płocie naliczyła cztery Sowy. Trzy Jastrzębie przysiadły na parkanie po drugiej stronie stajni. A na drzewach wokół siedziało z tuzin Wron. Najwyraźniej Inni nadal uważali, że nowy łącznik jest bardzo zabawny, i nie chcieli tracić go z oczu.

Jester podszedł do PNK, zajrzał przez okno od strony pasażera i uśmiechnął się szeroko. Potem przeszedł na stronę Meg i zaczął czekać, aż opuści szybę. Sam oczywiście próbował w tym czasie wgramolić się na jej kolana i wystawić głowę przez okno.

– Masz dziś pomocnika? – spytał Jester.

– Mam coś dla... Sam! Przestań! Obiecałeś, że będziesz grzeczny!

– Gdybyś miała lepszy węch, też lubiłabyś węszyć – stwierdził Jester i zaśmiał się głośno. – Wyjmę paczkę, nie wysiadaj.

– Dzięki. – Meg złapała Sama, zanim przelazł na tył, gdzie leżały przesyłki, ale nie mogła powstrzymać go od wycia, więc cały Dziedziniec dowiedział się o jego obecności. Oczywiście cały Dziedziniec i tak by się o tym dowiedział, zważywszy obecność Wron, Jastrzębi i Sów, które wraz z kucykami – każde na swój sposób – wtórowały Samowi. Nawet przekłety Kojot krzyczał, chociaż przecież był w ludzkiej formie.

– Jedź ostrożnie, będzie padał śnieg! – zawołał Jester, po czym zamknął drzwi PNK i wrócił do stajni.

Kiedy Meg odjeżdżała, kilka kucyków, w tym Grom, Błyskawica i stary Huragan, wyszło ze stajni i pobiegło za nią. Skręciły w jedną z nieoznakowanych drózek, a ona pojechała dalej główną drogą do Kompleksu Usługowego.

Blair czekał na swoją dostawę. Niestety był z nim Ferus. Kiedy Meg zaparkowała, obaj wbili wzrok w jej pasażera.

– Musisz zostać w PNK, Sam – szepnęła. – Duże Wilki nie lubią lin asekuracyjnych. – Wysiadła i otworzyła tylne drzwi pojazdu. Dopiero wówczas Blair i Ferus zbliżyli się do niej.

W oczach Ferusa migotały czerwone iskry. Wyszczrzył na nią zęby. Blair zareagował natychmiast – odwrócił się i warczał tak długo, póki Ferus nie spuścił wzroku i nie cofnął się o krok. Sam wystawił głowę między siedzeniami, obserwował Wilki i mówił coś po swojemu, wyraźnie podekscytowany. Blair przyjrzał mu się, a potem przeniósł wzrok na Meg.

– Masz paczki dla Kompleksu Wilczej Straży? – spytał.

– Tak.

– Zostaw je tutaj. Zabiorę je w drodze do domu. – Gdy przekazała mu paczki, z wyraźną ulgą, Blair kazał Ferusowi zanieść je do środka. – Dziś w nocy wraca Simon – oznajmił, odbierając od niej ostatni pakunek.

– Och, to dobrze. – Meg naprawdę się ucieszyła. Ale pomyślała też, że musi odstawić Wilczka do domu przed powrotem Simona.

Sam uznał chyba, że wywarczał już wszystko, co miał do wywarczenia, bo

w drodze na Pokoje zwinął się w kłębek na siedzeniu pasażera i przysnął.

Meg czuła, że drżą jej ręce, gdyż zaczął padać śnieg, coraz szybciej zasypując drogę. Chciała skończyć dostawy i wrócić do domu, zanim śnieżycy rozpęta się na dobre, zważywszy swoje ograniczone umiejętności prowadzenia w tych warunkach.

Sam nawet nie drgnął, kiedy zatrzymała się przy pierwszych skrzynkach na paczki dla Pokoi, ale obudził się, gdy grzebała w przestrzeni bagażowej w poszukiwaniu szczotki. Chciała odgarnąć śnieg z szyb, zanim podjedzie do kolejnej grupy grobowców.

Gdy zatrzymała się przed domem Erebusa, Sam zaczął podskakiwać z podniecenia, uderzać łapami w szybę, a potem drapać w klamkę. Gdy Meg przytrzymała mu drzwi od strony kierowcy, wyskoczył z PNK i natychmiast ruszył na drugą stronę drogi, napinając smycz.

– Tutaj, Sam – zawołała i odetchnęła z ulgą, kiedy usłuchał. Przykucnęła, położyła mu rękę na głowie i wytłumaczyła cierpliwie: – Nigdy nie wolno przebiegać przez drogę, nie rozglądając się uprzednio w obie strony. Drogą może coś jechać, a kierujący może nie zauważyć nas na czas, żeby się zatrzymać. Bardzo źle by się stało, gdyby ktoś został ranny. Dlatego nie wolno przebiegać w ten sposób, rozumiesz?

Sam polizał ją po brodzie, co odczytała jako potwierdzenie.

Kiedy przeszli na tył PNK i Meg zaczęła wyjmować paczki, zauważyła, że szczeniak wpatruje się w metalowe płyty. Wtedy przypomniała sobie, co Jester powiedział jej o Pokojach.

– Pamiętaj, nikomu nie wolno wchodzić za płot – powiedziała. – Chyba że pan Erebus wyrazi na to zgodę. Nawet Simon nie wchodzi na Pokoje bez pozwolenia. To bardzo ważna zasada i wszyscy musimy jej przestrzegać. Więc zostajemy po tej stronie płotu i nie wsadzamy nosa między pręty. – Sam westchnął ciężko. – No wiem. – Meg zaczęła otwierać skrzynki na paczki. – Trzeba zapamiętać masę reguł, kiedy wychodzi się poza teren Zielonego Kompleksu, a jeszcze więcej, jeśli chce się wyjść poza Dziedziniec. Widzisz, gdybyś pozwolił odstawić się do domu, siedziałbyś teraz w ciepłym i oglądał film, zamiast marznąć na śniegu.

– Lubisz filmy, młody panie Wilku? – rozległo się nagle za jej plecami.

Meg podskoczyła i aż pisnęła ze strachu. Sam zareagował szczenięcym powarkiwaniem i szczerzeniem zębów – co z pewnością byłoby dużo bardziej imponujące, gdyby nie fakt, że ukrył się za nogami swojej opiekunki i wyrażał swoje opinie spomiędzy jej kolan.

Meg obejrzała się. Przy bramie stał starzec i uśmiechał się do niej łagodnie.

– Dzień dobry, panie Erebusie – powiedziała.

– Nie chciałem cię przestraszyć.

– Wiem. Po prostu pana nie zauważyłam. – Popatrzyła na grobowiec. Drzwi były otwarte, ale na świeżym śniegu pokrywającym ścieżkę nie było żadnych śladów. Tak przywykła do widoku dymu unoszącego się nad ziemią, że zupełnie go nie zauważyła. Erebus nie odpowiedział. Po prostu stał, wciąż się uśmiechając. – Sam lubi filmy – powiedziała Meg, by wypełnić czymś ciszę. Zamknęła skrzynki, które zapełniła już paczkami, i ruszyła do PNK po następne przesyłki. – Ale nie sądzę, żeby oglądał te same filmy co pan – dodała.

– Lubię wiele rodzajów filmów – odparł Erebus, patrząc na Sama. – Widziałaś te, które ludzie nazywają kreskówkami? Szczególnie podobają mi się takie, w których zwierzęta albo ludzie robią różne głupie rzeczy, a mimo to zawsze udaje im się przeżyć. – Sam trzymał się blisko Meg, kiedy napełniała kolejne skrzynki, ale gdy ruszyła do PNK po ostatnią partię – paczki adresowane do Erebusa – podszedł do bramy i zaczął się przyglądać wampirzemu patriarsze. Erebus otworzył bramę, przykucnął i wyciągnął rękę poza granicę Pokoi. Gdy Sam powąchał ją, polizał i niepewnie pomachał ogonem, starzec zaśmiał się cicho i poklepał szczeniaka. – Uroczy chłopiec. Cieszę się, że opiekujesz się naszym łącznikiem.

– Chyba dostał pan kolejny film – zauważyła Meg. Spodziewała się, że każe jej włożyć przesyłkę do skrzynki – nawet kiedy wchodziła na teren grobowca i przynosiła paczki pod same drzwi, musiała je stawiać na schodach zgodnie z jego instrukcjami. Ale dziś Erebus poklepał Sama i miała wrażenie, że ten fakt coś zmienia. – Proszę. – Wyciągnęła do niego paczkę.

Zawahał się. Naprawdę się zawahał, zanim wziął przesyłkę z jej ręki.

– Namid jest pełna stworzeń. Niektóre z nich są cudowne, inne straszne – powiedział cicho. – A niektóre są jednocześnie takie i takie. Dziękuję za przywiezienie filmów, Meg. Lubię stare filmy.

Meg otworzyła drzwi PNK od strony pasażera, poprawiła ręcznik leżący na siedzeniu i pozwoliła Samowi wskoczyć do środka. Kiedy już usadowił się wygodnie, sama też wsiadła, pomachała Erebusowi i odjechała.

Dlaczego do tej pory nie chciał brać od niej paczek? Czy istniało jakieś tabu, zabraniające Sanguinatim kontaktu fizycznego z *cassandra sangue*? Czy Erebus w ogóle wiedział, że Meg jest jedną z nich? I dlaczego powiedział jej, że niektóre stworzenia świata są równocześnie straszne i cudowne? Tak, przepowiednie bywały właśnie takie, ale odniosła wrażenie, że Erebusowi nie chodziło o nie. A może wiedział o jej rodzaju coś, o czym ona sama nie miała pojęcia?

Śnieg padał coraz mocniej. Meg zatrzymała PNK i wyciągnęła z torebki mapę Dziedzińca, którą zabierała za każdym razem, kiedy jechała z dostawami. Pamiętała o tym, jak niebezpiecznie jest wynosić mapę z biura łącznika, ale uważała, żeby nikomu jej nie pokazywać. Zaznaczono na niej jednak tylko te drogi, które nadawały się dla pojazdów. W żadnym razie nie była tak szczegółowa jak mapa Lakeside, którą znalazła w bibliotece Dziedzińca.

*Kontroler zapłaciłby fortunę nawet za tak zdawkowe informacje o wnętrzu Dziedzińca...*

Studiowała mapę przez jakąś minutę, a potem schowała ją do torebki i skręciła w boczną drogę. Resztę dostaw zrealizuje jutro, jeśli drogi na Dziedzińcu będą przejezdne. Teraz chciała jak najszybciej wrócić do Zielonego Kompleksu, póki jeszcze jest to możliwe.

Kiedy PNK, ślizgając się, przejeżdżał przez Szemrzący Most, Meg ścisnęła z całych sił kierownicę. Ledwie śmiała oddychać. Pomimo włączonych wycieraczek i ciepłego nawiewu na przednią szybę widziała coraz mniej.

Białego konia na poboczu dostrzegła tylko dlatego, że obok niego stał drugi – czarny. Jeźdźcy wyraźnie na nią czekali.

Zatrzymała PNK i wrzuciła bieg jałowy, bojąc się, że jeśli wyłączy silnik

i wycieraczki, śnieg zupełnie ją zasypie. Opuściła boczną szybę i wyjrzała na jeźdźców. Konie powoli szły w jej stronę. Siedziały na nich kobiety, bardzo młode o niemal dziecięcej urodzie. Ich twarze – niesamowite, uwodzicielskie, hipnotyzujące – sprawiały nieludzkie wrażenie.

Zielony szalik pozwolił Meg zidentyfikować tę siedzącą na czarnym koniu.

– Zima?

Zima zaśmiała się, a wokół niej zatańczył śnieg.

– Tak, to ja. Grom i Błyskawica chciały rozprostować nogi, więc udałyśmy się z Powietrzem na przejażdżkę. – Jej uśmiech był lodowaty. Meg popatrzyła na konie – piękne, nieziemskie stworzenia o powiewających grzywach i ogonach. Wyjąwszy maść, w niczym nie przypominały korpulentnych kucyków, które dostarczały pocztę z jej biura. Nagle Grom tupnął kopytem i po Dziedzińcu przeszedł grzmot, stłumiony padającym śniegiem. – Cierpliwości – napomniała go łagodnie Zima. – To jest nasza Meg. – Grom podrzucił głowę, jakby chciał przytaknąć, i wsadził chrapy w okno PNK. Równocześnie Sam wspiął się na kolana Meg. Przez chwilę obwąchivali się z zaciekawieniem. – Nadciąga śnieżyca – oznajmiła Zima, kiedy Grom cofnął głowę. – Powinnaś jechać do domu.

– Mam książki, które chciałaś wypożyczyć z biblioteki. – Meg zepchnęła Sama na siedzenie pasażera i odwróciła się po torbę.

– Zostaw je u Jesteru – zdecydowała Zima. – Zabierzemy je w drodze powrotnej. – Przyjrzała się krytycznie PNK, a potem wymieniła spojrzenia z Powietrzem. – Pomożemy ci w drodze do domu.

– Nie musicie. – Meg nie była pewna, na czym miałyby polegać ta pomoc, ale nie uśmiechało jej się zaprzęgnięcie Gromu i Błyskawicy do jej PNK, żeby zaholowały ją i Sama do Zielonego Kompleksu.

– Istotnie, nie musimy – przyznała Zima. – Ale to będzie zabawne.

– Myślicie, że burza zaczeka, aż Simon dotrze do domu? – spytała Meg, zmieniając temat.

Zima i Powietrze znów wymieniły spojrzenia.

– Wilcza Straż zdoła dziś wrócić do domu. A ty jedź za nami.

Meg zamknęła okno, a kiedy ruszyły drogą, pojechała za nimi. Śnieg cofał się przed kołami PNK, a potem zawracał, zamykając Meg w białym tunelu, oświetlonym błyskawicami i wstrząsanym grzmotami. I choć powinna być przerażona, czuła się dziwnie bezpieczna w kokonie stworzonym wokół niej przez Żywioły. Kilka płatków śniegu spadło na szybę, ale wycieraczki poradziły sobie z nimi bez problemu. Meg widziała drogę i jadące przodem konie i to w zupełności jej wystarczyło.

Kiedy dojeżdżali do Stajni Kucyków, zauważyła jeszcze jednego jeźdźcę, tym razem na brązowym koniu – oraz wir śniegu ciągnący się za Tornadem.

Zatrzymali się przy Stajni Kucyków, żeby przekazać Jesterowi książki z biblioteki. Potem Zima i Powietrze odprowadziły Meg i Sama aż do garażu w Zielonym Kompleksie.

– Dziękuję – powiedziała Meg, biorąc torbę, torebkę i ręcznik. Sam zdążył w tym czasie wyskoczyć z PNK.

Zima i Powietrze bez słowa skinęły głowami, po czym zawróciły konie i odjechały.

Meg sprawdziła jeszcze, czy wyłączyła światła. Nie pamiętała, jaki jest poziom naładowania akumulatorów, więc wzruszyła tylko ramionami i zamknęła drzwi garażu. Nazajutrz jakoś dojedzie do biura i tam naładuje PNK.

Śnieżyca była coraz gęstsza, a powietrze przenikało przeraźliwie zimno. Sam nie miał kłopotów z bieganiem po śniegu, ale kiedy Meg dwa razy omal nie wylądowała na pupie, zwolnił na tyle, żeby dostosować swoje tempo do jej ludzkich możliwości. Kiedy zatrzymała się przy schodach do mieszkania, by złapać oddech, zauważyła czarnego sedana, stojącego na poboczu.

– Czego on tu chce? – mruknęła pod nosem i rozejrzała się nerwowo.

W oknach mieszkania Henry'ego było ciemno – najprawdopodobniej był jeszcze w swojej pracowni. Postąpiła jeszcze chwilę, a potem weszła na górę. – Chodź, Sam. Możesz zostać ze mną, póki Simon nie wróci. – Przez ostatnie dni tyle czasu spędzała w mieszkaniu Simona, że właściwie nie miała kiedy pomieszkać u siebie.

Otworzyła drzwi mieszkania, cisnęła ręcznik na podłogę obok maty na buty i kazała Samowi na nim stanąć.

– Meg! – za jej plecami rozległ się głos Tess, która wchodziła właśnie po schodach. – Proszę – powiedziała kobieta, wyciągając w stronę Meg jakąś puszkę. – Ciasteczka z kawałkami czekolady, jeszcze ciepłe, prosto z pieca. Wygoniłam wszystkich i zamknęłam wcześniej Coś na Zęb, ale kiedy wróciłam do domu, czułam się strasznie rozdrażniona, więc postanowiłam coś upiec.

– Dziękuję. – Meg wzięła puszkę i uśmiechnęła się. – Wejdiesz na chwilę?

– Nie mogę, w piecu dochodzi jeszcze zapiekanka. Ale ty wejdź do mieszkania, cała się trzęsiesz. – Tess się nie trzęsała, choć nie była ubrana odpowiednio do temperatury. Gdy Meg posłusznie przekroczyła próg, zauważyła, że w jej włosach pojawiły się zielone pasma. Tess potrząsnęła głową, ale włosy dalej zieleniały, a do tego zaczęły się kręcić. – To wina tej burzy – wyjaśniła. – Wszyscy będą zdenerwowani, jeśli Wilcza Straż gdzieś utknie.

– Zima powiedziała, że burza zaczeka i Simon wróci dziś do domu – odparła Meg.

Tess rzuciła jej dziwne spojrzenie.

– Tak? No cóż, dobrze wiedzieć – powiedziała, po czym zbiegła ze schodów i pomknęła do swojego mieszkania.

Meg postawiła opakowanie z ciastkami obok reszty swoich rzeczy. Zdjęła buty i płaszcz, podczas gdy Sam zaczął obwąchiwać puszkę. Kiedy nie udało mu się podważyć pokrywki nosem, usiadł i wziął puszkę między przednie łapy, próbując zacześcić pazury o wieczko.

Ze stanowczym „Nie!” Meg odebrała mu puszkę i w asyście podskakującego Sama poszła do kuchni. Postawiła pojemnik na środku stołu, otworzyła go i przypomniała sobie wszystko, co wiedziała o ciastkach i zwierzętach. Ciasteczka pachniały bosko i miała ogromną ochotę zjeść chociaż jedno, ale gdy spojrzała na Sama, który stał na tylnych łapach, opierając przednie o stół, zamknęła puszkę.

– Przykro mi, Sam, ale nie wiem, czy Wilki mogą jeść takie ciasteczka.

Pamiętam, że czekolada szkodzi psom. – Uniosła rękę, żeby go uciszyć, kiedy zaczął głośno protestować. – Tak, wiem, że ty nie jesteś psem, że potrafiś zmieniać kształt i być może ci nie zaszkodzą, ale nie mogę ryzykować, że się rozchorujesz.

Szczególnie że teraz trudno byłoby sprowadzić jakąś pomoc. Więc umawiamy się, że dzisiaj żadnych ludzkich ciastek. I ja też nie zjem ani jednego – obiecała honorowo. *Przynajmniej do póki nie pójdziesz do domu*, dodała w myślach.

Sam, wyraźnie rozczarowany, zaczął wyć, ale jego marudzenie szybko przerwał łomot dobiegający zza frontowych drzwi.

Meg zastygła w bezruchu. Przez jej umysł przemknęły pomnienia wszystkich złych rzeczy, jakie mogą się zdarzyć, kiedy otwiera się komuś drzwi. Potem, napomniawszy się w myślach, że w Zielonym Kompleksie nic jej przecież nie grozi, poszła otworzyć. To zapewne Vlad chce sprawdzić, czy ona i Sam dotarli bezpiecznie do domu. Albo Henry wrócił z pracowni i przyszedł dać znać, że jest w pobliżu.

Jednak kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła Elliota Wilczą Straż. Wszedł do środka tak szybko, że nie zdołała ich zamknąć przed jego nosem. Nienawisć w jego oczach stała się jeszcze większa, gdy Sam przybiegł z kuchni, ciągnąc za sobą smycz. Pech chciał, że Meg nie zdążyła zdjąć mu szelek.

Zamarła ze strachu.

– Pójdziesz ze mną, Sam – powiedział Elliot, nie spuszczać wzroku z Meg. Wilczek zaskomlał i spojrzał pytająco na swoją opiekunkę. – Sam! – warknął Elliot.

– Wszystko w porządku, Sam – wydusiła z wysiłkiem Meg. – Simon wkrótce wróci do domu.

Elliot wziął Sama na rękę. Zanim wyszedł, rzucił jeszcze przez ramię:

– Zaraz wrócę. Mam ci do powiedzenia kilka rzeczy.

Meg zamknęła drzwi i natychmiast pobiegła do telefonu.

– Tess... – powiedziała drżącym głosem, gdy tylko ktoś podniósł słuchawkę.

– Meg? Czy coś się stało?

– Przed chwilą był tu Elliot Wilcza Straż. Zabrał Sama do mieszkania Simona.

Czy powinnam była mu na to pozwolić?

Chwila milczenia.

– Według zasad panujących wśród ludzi Elliot Wilcza Straż to dziadek Sama, więc szczeniak może z nim przebywać.

*Dlaczego w takim razie to nie jego Simon poprosił o opiekę nad Samem?*

– W porządku. Dzięki. Muszę iść, bo ktoś puka.

– Zadzwoń do mnie, jak gość sobie pójdzie – poprosiła Tess, ale Meg odłożyła słuchawkę, niczego nie obiecując.

– Blair postanowił cię chronić, ale reszta Wilków nigdy nie wybaczy ci tego, co zrobiłaś – warknął Elliot, gdy tylko otworzyła drzwi. – Jeśli o mnie chodzi, jesteś tylko bezużytecznym mięsem. Za to, co zrobiłaś Samowi, zwołam watahę i zapolujemy na ciebie.

– Przecież nic mu nie zrobiłam... – szepnęła obronnie Meg, ale Elliot wymierzył jej policzek.

– Ciesz się tym wieczorem, mięso. Bo to twój ostatni wieczór.

Gdy zszedł ze schodów, Meg ciągle stała w drzwiach, wstrząśnięta do głębi. Kilka chwil później usłyszała trzaśnięcie drzwi do mieszkania Simona.

Umrze na Dziedzińcu. Wiedziała o tym, odkąd zobaczyła Simona Wilczą Straż.

Przełknęła ślinę, ale ta wciąż napływała jej do ust. Ledwie zdążyła dobiec do toalety, zanim wstrząsnęły nią torsje.



Vlad leciał nad śniegiem w stronę Zielonego Kompleksu. W myślach planował już spokojny wieczór w domu. Blair pojechał odebrać z dworca Simona i jego ochronę – Nathana Wilczą Straż i Marie Jastrzębią Straż. Jeśli sprawdzi się prognoza pogody i w Lakeside spadnie kolejne trzydzieści centymetrów śniegu, powrót zapewne zabierze im sporo czasu. Vlad odesłał Heather do domu i zamknął Zabójczo Dobre Lektury oraz świetlicę. Tess już wcześniej zamknęła Coś na Zęb, a także Łup i Siup. Inne sklepy na Dziedzińcu zakończyły pracę godzinę później, ale restauracja naprzeciwko Dziedzińca nadal obsługiwała klientów.

Vlad pożywił się na dwóch rozkosznych dziewczynach, które podobno spóźniły się na autobus i weszły do baru, by w cieple poczekać na następny. Podejrzewał jednak, że tylko szukały pretekstu, żeby się napić – od alkoholu w ich krwi sam poczuł się lekko zawiany.

Gdyby nie kiepska pogoda, nie zawracałby sobie głowy odprowadzaniem dziewczyn na przystanek – był tak blisko, że widać go było z baru. Poza tym ilość krwi, jaką zabrał każdej z nich, była na tyle symboliczna, że mogły poczuć tylko lekkie zmęczenie. Ale ten policjant, porucznik Montgomery, poświęcał Dziedzińcowi masę uwagi, a Vlad podejrzewał, że Simon wolałby uniknąć pytań o dwie dziewczyny, które zapadły w pijacki sen w zaspie i umarły tuż obok miejsca, gdzie mieszkał Sanguinati – szczególnie skoro przyczyna śmierci byłaby nieznana. Wezwał więc taksówkę i zapłacił kierowcy, żeby odwiózł je do kampusu, gdzie mieszkały.

Zwykle nie traktował ludzi jak coś więcej niż tylko użyteczną zwierzynę, nie zawracał sobie nimi głowy, kiedy już się pożywił, ale ponieważ ostatnio wszyscy byli poruszeni wydarzeniami w zachodniej Thaisii, dbanie o zwierzynę leżało w jego własnym, dobrze pojętym interesie.

Kiedy wleciał na teren Zielonego Kompleksu i ruszył do siebie, usłyszał zrozpaczone wycie dobiegające z mieszkania Simona.

Sam.

Najprawdopodobniej Meg chciała mieć trochę czasu dla siebie albo odmówiła spaceru w taką pogodę. Vlad minął swoje drzwi, podpłynął do schodów i przybrał ludzką formę. Ponieważ jemu śnieg i mróz nie przeszkadzają, proponuje, że zabierze szczeniaka na spacer. Dzięki temu wszyscy zyskają odrobinę spokoju.

Frontowe drzwi były otwarte.

Vlad zmienił się z powrotem w dym i wleciał na górę do mieszkania Meg. Ani śladu intruza, ani śladu walki. Poleciał do kuchni, ale tam też nic nie znalazł. Podobnie jak w sypialni.

Zmienił się w człowieka i stanął przed drzwiami do łazienki.

– Meg? – zawołał cicho. – Meg? Jesteś tam?

– T-tak, jestem – usłyszał jej zdławiony głos.

Nie zastanawiając się nad tym, jak ludzie reagują na intruzów w łazience, Vlad stanowczym gestem otworzył drzwi. Meg siedziała na podłodze przy toalecie.

W łazience czuć było wymiociny, ale nie krew. Żadnych ran, jedynie torsje.

– Jesteś chora? – Czy powinien zadzwonić do Heather i zapytać, jakie lekarstwo zażywają ludzie na choroby żołądka? A może lepiej do Elizabeth Bennefeld? Skoro robi masaże, zapewne zna się na ludzkim ciele.

– Nie – odparła słabo Meg. – Ja tylko... – Po jej twarzy popłynęły łzy. Pokręciła głową, niezdolna mówić.

– Sam?

– W domu.

Tyle wiedział już wcześniej.

– Skończyłaś tutaj? – spytał. Kiwnęła głową. Spuściła wodę i zamknęła deskę. Kiedy pomógł jej wstać, zobaczył jej drugi policzek. – Co się stało?

Meg pokręciła głową. Kiedy nie zszedł jej z drogi, szepnęła:

– Nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej, proszę... – Czego? – Naprawdę chcę teraz zostać sama.

Nie wiedząc, co może zrobić, Vlad wyszedł z mieszkania, zamykając za sobą drzwi. Zawahał się na szczycie schodów. Zszedł na dół i zapukał do mieszkania Simona. Rozległ się łomot, jakby coś upadło, a potem gniewny okrzyk Elliota. Vlad zapukał ponownie, tym razem mocniej.

W końcu Elliot otworzył drzwi, ale tylko na tyle, by wystawić przez nie głowę. Ciałem blokował wejście.

W powietrzu czuć było zapach krwi.

– Jakież problemy? – spytał Vlad.

– Sprawy rodzinne – warknął Elliot.

Vlad przysunął się do niego bliżej i wycodził przez zęby:

– Jeśli u Meg pojawi się kolejny siniak albo jeśli jeszcze raz przestraszysz ją, tak że się pochoruje, to też będzie sprawa rodzinna. Tylko pamiętaj, że wtedy będzie dotyczyła rodziny Sanguinatic.

Wygłosiwszy tę groźbę, poszedł do siebie. Jutro poinformuje o wszystkim dziadka Erebusa. To powinno dać Simonowi dość czasu na załatwienie problemu po swoim.



Simon – z Nathanem i Marie u boku – wysiadł z pociągu i udał się prosto na parking. Całą drogę brnęli przez śniegi, ale kiedy pociąg dotarł do jeziora Etu, rozszalała się prawdziwa zamieć. Simon obawiał się, że wszystkie drogi oprócz głównych są już nieprzejezdne. Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył Blaira odśnieżającego szyby furgonetki – ale zaraz spał się na widok radiowozu stojącego na parkingu na włączonym silniku.

Podał swoją torbę Nathanowi, który usiadł z tyłu wraz z Marie, a sam zajął miejsce z przodu, na fotelu pasażera. Chwilę później Blair wsiadł za kierownicę, włączył wycieraczki i wrzucił bieg.

– Stało się coś? – zapytał Simon, wskazując radiowóz.



Blair pokręcił głową.

– Podejrzewam, że porucznik, który węszy wokół Dziedzińca, chciał wiedzieć, kiedy wrócisz.

Wyjeżdżone przez samochody koleiny zaczął wypełniać świeży śnieg. Blair ruszył powoli w stronę wyjazdu z parkingu.

– Myślisz, że zdołamy dziś wrócić do domu? – spytał Nathan, pochylając się do przodu.

Przez chwilę Blair milczał. Simon spojrzał mu w twarz i odniósł wrażenie, że stróż Dziedzińca coś przed nim ukrywa. Coś ważnego.

– Tess zadzwoniła, kiedy na was czekałem – powiedział wreszcie Blair. – Najwyraźniej nasz łącznik też miał obawy co do waszego powrotu, ale dziewczynka znad jeziora zapewniła ją, że wrócimy. – Urwał na chwilę, a potem dodał: – Dzwonił też Vlad. Ale nie w sprawie pogody. – Ulicą niedawno musiał przejeżdżać pług śnieżny, bo wyjazd z parkingu był zupełnie zasypany. Blair zredukował bieg i pełnym gazem wjechał w śnieg. Furgonetka na chwilę straciła przyczepność, ale przebiła się przez białą przeszkodę i gładko wyjechała na drogę. – Dziewczynka znad jeziora zapewniła, że wrócimy, ale oczywiście nie powiedziała, że będzie to łatwy powrót – stwierdził Blair sucho.

Na szczęście większość ulic okazała się do pewnego stopnia przejezdna, a na tych, które nie zostały odśnieżone, zasyły ułożyły się w tak zaskakujące wzory, że można było przejechać między nimi slalomem.

Dopóki nie dojechali na Dziedziniec, Simon milczał, pozwalając Blairowi skupić się na drodze. Brama prowadząca na teren Kompleksu Usługowego była uchylona na tyle szeroko, że bez trudu mogli przejechać.

– To niebezpieczne zostawiać bramę otwartą – warknął Nathan z dezaprobatą.

– Nie damy rady jej zamknąć, zanim nie usuniemy śniegu – odparł Blair.

Widać było, że on też nie jest z tego powodu szczęśliwy.

– Nie sędzę, żeby jakiś intruz zdołał zająć daleko – stwierdził Simon. Ktoś najwyraźniej odśnieżył główną drogę Dziedzińca w stronę prowadzącą do Zielonego Kompleksu. W drugą była całkowicie zasypana. Wykręcił się na siedzeniu i spojrzał na Nathana i Marie. – Chyba nie dotrzecie dziś do domu.

– Julia ma mieszkanie w Zielonym Kompleksie, mogę dziś przenocować u niej – odparła Marie.

– A ty, Nathanie?

Nathan rzucił okiem na Blaira, zanim odpowiedział:

– Chyba prześpię się w jednym z pokoi nad biurem łącznika.

Blair kiwnął głową.

– A ja wrócę do Kompleksu Usługowego i będę nocował tutaj, żeby mieć wszystko na oku. Wrony przypilnują bramy Kruczości.

Czy coś się stało?, spytał Simon.

O niektórych sprawach nie możemy jeszcze mówić, odparł Blair.

Simona przeszedł dreszcz. Blair powoli ruszył drogą ku Zielonemu Kompleksowi.

Czy z Samem wszystko w porządku?

Blairowi zadrgały usta.

Sam czuje się dobrze.

Simon zawahał się.

A Meg?

Nie najlepiej. Mroczna nuta w jego głosie. Ale nie stało się nic, czego nie można naprawić.

Co to miało znaczyć? Simon był zmęczony i sfrustrowany. Gnębiła go, podobnie jak resztę przywódców *terra indigena*, niewyjaśniona agresja, która spowodowała rzeź w Georgette. Nie znaleźli żadnej odpowiedzi, nie mieli pojęcia, jak znaleźć wroga, który zapewne ukrywał się gdzieś w ludzkich osiedlach rozsianych po całej Thaisii.

Wiedział, że dla wielu Innych rozwiązanie problemu ludzi jest aż nazbyt oczywiste. Dokonał tego samego wyboru. Ale chciał, by eksterminacja była ostatecznością.

Miał dość kłopotów. Nie chciał ich w domu. Miał nadzieję, że Meg i Sam...

*Blair powiedział, że z Samem wszystko w porządku. Więc co się stało Meg?*

Kiedy furgonetka zatrzymała się przy wejściu do Zielonego Kompleksu, Blair sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej klucze na skórzanej pętli, którą można było założyć na głowę człowieka – albo Wilka.

– Pojedź PNK jak najdalej zdołasz – powiedział, podając klucze Nathanowi i wskazując pojazd zaparkowany na parkingu dla gości. – Może uda ci się dojechać. Zadzwoń do Henry’ego, kiedy będziesz na miejscu.

– Powiniennem uważać na coś konkretnego? – spytał Nathan, otwierając drzwi furgonetki.

– Jak zawsze – odparł Blair. – Na intruzów.

– Rano skontroluję teren od biura łącznika do bramy Kruczości – obiecała Marie, zabierając swój bagaż. Wysiadła za Nathanem z furgonetki.

Simon przyglądał się, jak brną powoli przez śnieg. Chciał się przemienić, chciał zaatakować Blaira, chciał pozbyć się niepewności i niepokoju, które w nim narastały.

– Jesteśmy sami. Teraz mi powiedz – zażądał.

– Samowi nic nie jest. – Blair patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem.

Przez chwilę słychać było tylko regularny szum wycieraczek. – Ja też mam mieszane uczucia w tej sprawie, ale jestem pewien, że Meg nie chciała zrobić nic złego, a efekt bardzo mnie cieszy. – Odwrócił głowę i spojrzał na Simona. – Ona zdołała wywabić go z klatki. I to nie kilka kroków od drzwi mieszkania, nie tylko na siku. Spacerowali po całym kompleksie. Chodził z nią do biura. Był z nią dziś po południu, kiedy realizowała dostawy, zanim pogoda zaczęła się zmieniać. Być może po prostu nadszedł już właściwy czas, żeby się obudził, a ona zrobiła coś, czym przebiła się przez jego strach.

Simon odwrócił wzrok, zdumiony własnymi uczuciami. Czuł... zazdrość? Urazę? Przez dwa lata robił wszystko, by Sam do nich wrócił, a Meg zdołała tego dokonać w kilka dni? Miał wrażenie, że na szyi zacisnęły mu się czyjeś zęby, uniemożliwiając złapanie tchu.

– Jak? – spytał wreszcie.

– W ogóle nie braliśmy pod uwagę takiego rozwiązania – odparł Blair. – Szelki

i smycz.

Szok. Strach. Furia. Jakim prawem człowiek śmiał okiełznać Wilka?

– Pozwoliłeś jej na coś takiego? – Simon spojrzał na Blaira płonąącym wzrokiem.

– Nie spytała mnie o zgodę. Spotkałem ich, kiedy spacerowali po kompleksie. Nie chciałem drażnić Henry’ego i Vlada. A kiedy zobaczyłem, jak szczeniak się bawi, uznałem, że najlepiej będzie nie ingerować. – Blair urwał. – On znowu się bawi, Simonie. Znowu je mięso. Znowu zachowuje się jak młody Wilk. Wprawdzie nadal nie przemówił do żadnego z nas, ale myślę, że wkrótce to się stanie. O ile nie wystraszy się i nie wróci do klatki.

– Dlaczego miałby się wystraszyć? – Sam znowu się bawił? Znowu był radosny? Simon nie dopuści do tego, żeby cokolwiek mu w tym przeszkodziło.

Blair ponownie zapatrzył się w okno.

– Tak jak powiedziałem, niełatwo przyszło mi zaakceptować sposób, w jaki Meg wyciągnęła Sama z klatki. Ale Henry i Vlad mieli ich na oku i nie zgłaszali żadnych obiekcji. Niestety z Elliotem jest problem.

– Zrobił krzywdę Meg? – spytał Simon głosem pozbawionym emocji. Elliot nie wiedział o Meg. Jeśli ją ugryzł, zranił...

– Porzygała się ze strachu. Mam wrażenie, że stało się coś więcej, ale Vlad nie miał ochoty mi o tym powiedzieć. Chciał natomiast, żebym ci przypomniał, że choć Sanguinati zwykle nie polują na innych *terra indigena*, z ich punktu widzenia jesteśmy zwierzyną jak każda inna.

Simon nie wierzył własnym uszom.

– Sanguinati chcą zapolować na Elliota?

Długa chwila ciszy.

– Myślę, że to zależy od tego, czy zdołasz skłonić Meg, by z nami została – odparł wreszcie Blair.

– No cóż, dziś i tak nigdzie nie pójdzie. – Oczywiście ktoś, kto porzygał się ze strachu, mógł nie zwracać uwagi na pogodę. Szczególnie jeśli raz już uciekał podczas śnieżnej zamieci.

Simon odpiął pas bezpieczeństwa.

– Masz jeszcze coś, co nie może poczekać do rana?

Kolejna chwila milczenia.

– Jeśli ubrane na czarno mały spróbują dziś w nocy wejść na teren kompleksu, po prostu je zabij. – Dłuższa chwila milczenia. – Meg to widziała. Henry wszystko ci opowie.

Simon zadrżał, ale nie z zimna. Meg się cięła, kiedy go nie było? Ile razy? Czego jeszcze się dowie?

– Spotkamy się jutro rano – warknął. – Ty, ja, Tess, Henry, Vlad, Jester i wszyscy, którzy mają coś do przekazania.

– Zadzwoń i potwierdź, czy spotkamy się w sali spotkań Stowarzyszenia Przedsiębiorców, czy w świetlicy w kompleksie – odparł Blair.

Simon kiwnął głową. Prócz Blaira wszyscy pozostali mieszkali w Zielonym Kompleksie. Mogli się spotkać wcześniej rano, a potem zająć się oczyszczeniem dróg i otwieraniem sklepów. Złapał swoją torbę, wysiadł z furgonetki i ruszył w stronę

swojego mieszkania. Sięgnął do klamki, ale zaraz cofnął rękę i rozejrzał się. Światła paliły się we wszystkich oknach z wyjątkiem mieszkania Meg. Było jeszcze dość wcześnie, więc nie powinno go dziwić, że wszędzie jest jasno. Ale miał wrażenie, że światel jest zbyt wiele, że jest zbyt jasno, przez co niebo wydawało się zbyt ciemne, niemal złowieszcze.

Dlaczego Meg siedzi po ciemku?

Poczuł mrowienie pod ludzką skórą. Zaprzagnął zmienić kształt na bardziej naturalny. Jako Wilk miał kły i siłę, by poradzić sobie z problemami.

Nagle usłyszał wycie Sama – i warczenie Elliota. Gdy otworzył drzwi, wyczuł w powietrzu takie napięcie, że musiał walczyć ze sobą, by nie zmienić formy i siłą nie zmusić obu Wilków do uległości.

Rzucił torbę przy schodach i wszedł do salonu, zostawiając na drewnianej podłodze mokre ślady. Elliot odwrócił się do niego. Jego wyszczerzone kły były stanowczo za długie, by mógł uchodzić za człowieka. Sam rzucił Simonowi tylko jedno oskarżycielskie spojrzenie, a potem usiadł w kącie klatki, tyłem do obu dorosłych.

Sam?

Żadnej odpowiedzi. Choćby najcichszego mruknięcia.

Elliot, dziwnie skrępowany, odwrócił głowę i kłapnął zębami na szczeniaka.

– Przestań się wygłupiać i wychodź z tej cholерnej klatki! Nie musisz tam siedzieć!

Do kuchni, warknął Simon. Krew i złość. Wyczuwał i jedno, i drugie.

– Zdejmij chociaż buty – odwarknął Elliot. – Wszędzie zostawiasz mokre ślady i...

Nie dokończył, bo Simon złapał go za koszulę na piersi i pchnął na ścianę korytarza.

– Nie jestem byle małą, którą możesz straszyć. I nie jestem już szczeniakiem. Nie mów mi, co mam robić. Nikt nie mówi mi, co mam robić!

Wyszczerzył także wydłużone już kły i czekał.

Elliot przez chwilę mierzył go wzrokiem. Potem zamknął oczy i uniósł głowę, pokazując szyję przywódcy.

Simon cofnął się. Nie wiedział, jak zareagować, ponieważ w tej chwili nie czuł się ani człowiekiem, ani Wilkiem. Puścił Elliota, poszedł do kuchni, rozwiązał buty i postawił je na macie przy tylnym wyjściu.

Elliot tymczasem wziął z szafki dwa stare ręczniki i wytarł podłogę. Kiedy wrócił do kuchni, Simon spojrzał na niego pytająco.

– Wywołałeś poruszenie. Dlaczego?

– To nie ja...

– Rozgniewałeś Sanguinatic, a to w tej chwili nie jest nam potrzebne.

– Nie wiesz, co tu się działo – warknął Elliot. – Nie wiesz, co zrobiła ta pieprzona mała, którą zatrudniłeś w charakterze łącznika.

– Nie jest pieprzoną małą. I nie jest zwierzyną – odparł Simon cicho, choć w jego głosie wzbierał warkot. – To jest Meg.

– Nie masz pojęcia, co zrobiła!

– Rozwozi pocztę po Dziedzińcu. Odbiera przesyłki od kurierów, żebyśmy

dostawali nasze zamówienia. I wywabiła Sama z tej cholernej klatki!

– Ona go wzięła na smycz, Simonie. Rozumiesz? Na smycz!

– To nie jest smycz! – krzyknął ktoś nagle skrzeczącym głosem. – To lina asekuracyjna! Wspinacze się nią wiążą, żeby mogli sobie pomagać!

Elliot zamarł w bezruchu. Simon odwrócił się. Ledwo śmiał oddychać.

Mały nagi chłopiec na cienkich nóżkach stał niepewnie w progu kuchni. Jego złociste włosy przetykały szare pasma, rzadziej spotykane u Wilków niż całkiem czarne czy zupełnie białe. W jego szarych oczach lśniły łzy, a jednak wykazywał cechy dominanta, nie tak silne jak Simon, jednak bardziej wyraźne niż Elliot. Kiedy dorośnie, zajmie w watasze z Lakeside wyższą pozycję niż jego dziadek.

– Sam... – szepnął Simon, ale siostrzeniec go zignorował. Wpatrywał się w Elliota wzrokiem pełnym żalu i pretensji.

– Przez ciebie Meg płacze, więc wcale nie jest mi przykro, że cię ugryzłem! Simon podszedł szybko do chłopca i przykląkł na jednym kolanie.

– Sam... – Ostrożnie dotknął chudych, pozbawionych mięśni ramion.

Zmarszczył nos, czując woń niemytego ciała. – Cześć, Sam.

Chłopiec wreszcie zwrócił na niego uwagę. Simon był przywódcą, więc wszystko naprawi.

*Po prostu mnie ugryź*, pomyślał. Rozumiał szczeniaka, ale nie był pewien, co zrobić z chłopcem.

Elliot... Rzucił okiem przez ramię. Ojciec stał nieruchomo. Był blady i wyraźnie wstrząśnięty.

Mów cokolwiek. Byle tylko z nami został, powiedział Elliot.

– Ta lina asekuracyjna dla wspinaczy. Meg ci o niej powiedziała? – Sam kiwnął głową. – Inne Wilki nigdy nie słyszały o czymś takim. Dlatego Elliot sądził, że ta lina to coś innego, coś, co robi ci krzywdę – wyjaśnił Simon.

– Meg nie zrobiłaby mi krzywdy – zaprotestował Sam. – To moja przyjaciółka.

– Wiem, Sam. Wiem. – Znów z wahaniem dotknął ramion chłopca.

W porównaniu z ludzką formą innych Wilczków w jego wieku Sam był za mały i za chudy. Ale to się zmieni. Jeśli tylko chłopiec nie zniknie znowu w wilczym ciele.

– Czy teraz Meg sobie pójdzie? – spytał Sam.

Simon pokręcił głową.

– Nie, Meg nigdzie nie pójdzie.

Elliot odchrząknął.

– Jutro ją przeproszę.

Sam zachwiał się. Nogi drżały mu z wysiłku, gdy próbował utrzymać ciało w pozycji pionowej, ale spojrzenie, jakie rzucił Simonowi, choć nieśmiałe, było rozumne.

– Simon?

– Tak, Sam?

– Mogę dostać ciasteczko?

Simon podejrzewał, że w domu nie ma do jedzenia nic prócz karmy dla psów. A już na pewno nie ma łakoci.

– Przykro mi, ale nie mam ciastek.

– Są u Meg. – Sam oblizał się odruchowo. – Pachniały tak wspaniale, tylko że

Meg nie wiedziała, czy czekolada nie szkodzi Wilkom, więc ich nie zjedliśmy. Ale teraz mógłbym je zjeść.

Simon zdębiał. Chyba przeżuje własny ogon i wypluje futro! Jasne, że chłopiec może dostać ciastko. Oczywiście o ile któryś z nich ośmieli się zapukać do Meg i wyłagać choć jedno.

Bo w tej chwili mogli już tylko błagać.

Zmarszczył nos.

– Powinieneś się wykapać.

– Ja mu pomogę – powiedział Elliot cicho.

– W takim razie ja pójdę do Meg i poproszę ją o ciastko. – *A przy okazji sprawdzę, czy nie planuje ucieczki.*

Pomyślał o jej ciemnych oknach. Zapewne nie ucieszy się dziś na widok jakiegokolwiek *terra indigena*. Poszukał zapasowych kluczy do jej mieszkania, a potem poszedł na górę, do tylnego wyjścia.

Zapukał krótko.

Cisza.

– Meg? – Zapukał jeszcze raz, nieco głośniej. – Meg? To ja, Simon. Otwórz.

Ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, użył klucza. Na szczęście nie zamknęła wewnętrznej zasuwki.

Siedziała po ciemku przy kuchennym stole, obejmując się mocno ramionami.

– Chcę być sama – oznajmiła, nie patrząc na niego.

– Trudno. – Chciał zapalić górną lampę, ale zmienił zdanie i zapalił tylko światło nad zlewem. Podeszedł bliżej i zajrzał jej w twarz. Nie zdołał powstrzymać warczenia na widok siniaka na jej policzku. Teraz rozumiał, dlaczego Vlad groził, że Sanguinati dobiorą się do Elliota.

Pochylił się, kciukiem i palcem wskazującym ujął jej podbródek i delikatnie obrócił jej głowę. Przysunął się bliżej i wciągnął w nozdrza jej zapach. Jej ubranie nasiąkło wonią wymiocin. Nie wiedząc, co robić, Simon polizał lekko jej policzek.

– Śnieg – stwierdził, cofając się o krok. – Śnieg ci pomoże.

– Co?

Jej oczy, gdy na niego spojrzała, też sprawiały wrażenie posiniaczonych. Nie fizycznie, ale w jakiś jeszcze gorszy sposób.

– Zostań tutaj. – Simon poszukał ścierki, zszedł na dół, na zewnątrz, i nabrał do niej śniegu. Potem wrócił na górę. – Przyłóż to do twarzy.

Kiedy usłuchała, przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

– Nie chciałam spowodować kłopotów – szepnęła. W jej oczach zakręciły się łzy, by zaraz spłynąć po policzkach. – Nie chciałam skrzywdzić Sama.

– Wiem. – Simon wziął ją za rękę i pogładził miękką skórę, tę delikatną, obcą skórę, która była bramą do przepowiedni. – Elliot nie zrozumiał, co chcesz osiągnąć. Jest mu przykro, że cię uderzył. Mnie też jest przykro.

– Powiedział... – Urwała, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Simon pokręcił głową.

– To bez znaczenia, co powiedział. Jesteś tu bezpieczna, Meg. Jesteś z nami bezpieczna. Dopilnuję tego.

Oderwała okład od twarzy.

– Śnieg się topi – zauważyła.

Simon wziął od niej ścierkę i wrzucił ją do zlewu. Co powinien zrobić? Co będzie właściwe? Wiedział, jak sobie radzić z ludzkimi kobietami, kiedy chodziło o klientki księgarni. Wiedział, jak się zachować, kiedy chciały seksu, a on akurat miał ochotę. Wiedział też, jak traktować zwierzynę. Ale nie miał pojęcia, co zrobić z Meg.

– Chcesz coś zjeść? – spytał.

Pokręciła głową.

– Herbaty?

– Nie, dziękuję.

Przyszedł tu po ciastko dla Sama, ale w tej chwili jego prośba nie wydawała się właściwa. Równocześnie jednak nie chciał rozczarować chłopca.

Wrócił do stołu i usiadł. Puszka z ciastkami stała przed jego nosem. Westchnął cicho. O ile łatwiej było radzić sobie z ludźmi, dopóki nie pokazała się tutaj ta na wpół zamrożona Meg i nie zmieniła reguł gry.

– Meg? – spytał cicho. – Czy mogę wziąć ciastko dla Sama?

Zamrugnęła zaskoczona. Otarła oczy, spojrzała na puszkę i zmarszczyła brwi.

– To ciastka z kawałkami czekolady. Czy Wilki mogą jeść czekoladę?

– Sam się przemienił, Meg. Jest teraz chłopcem. – Nie był w stanie spojrzeć jej w oczy. Słyszał zdumienie we własnym głosie. – Od śmierci swojej matki ani razu nie przemienił się w człowieka. Nie rozmawiał z nami od tej nocy, kiedy Daphne została zabita. Bał się wychodzić z domu i kilka razy zrobił sobie krzywdę. Dlatego sprowadziłem klatkę. Ale ty to zmieniłaś. Nie mógł dostać ciastka jako Wilk, więc przemienił się w chłopca. Nie potrafiłem do niego dotrzeć, a tobie się to udało – za pomocą smyczy, która nie jest smyczą, i ciastka.

– Opiekowałeś się nim, kochałeś go i zapewniałeś mu bezpieczeństwo – odparła. – Nawet jeśli tego nie okazywał, uczył się od ciebie. – Meg pociągnęła nosem, a potem wstała i poszukała w szafce plastikowego pojemnika. Włożyła do niego kilka ciastek, a resztę, wraz z puszką, podała Simonowi. – Masz mleko? – zapytała.

– Nie wiem.

Otworzyła lodówkę i wręczyła mu zamknięty, nowy karton.

Szybki rzut oka na wnętrze jej lodówki uświadomił Simonowi, że Meg nie ma co jeść – szczególnie jeśli jutro będzie padał śnieg.

Dziwne, że tak węszył wokół prywatnego życia tej kobiety. Dziwne, że nie wie, na ile może sobie pozwolić, choć jeszcze przed wyjazdem nie miał takich wątpliwości. W jakimś sensie zaczęła się dla niego liczyć tak samo jak inni mieszkańcy Dziedzińca, których miał pod opieką.

Podziękował i postanowił się wycofać.

– Nie pozwól mu zjeść wszystkich ciastek – powiedziała. – Pochoruje się od tego, nawet jako chłopiec.

Simon kiwnął głową i poszedł do swojego mieszkania.

Sam siedział przy kuchennym stole i wyjaśniał problem funkcji lin asekuracyjnych Elliotowi, który słuchał, tak jakby każde słowo chłopca miało jakąś niesamowitą wagę. Zamilkł, gdy na blacie wylądowała znajoma puszka.

– Po jednym – powiedział Simon stanowczo. Nalał mleka do trzech szklanek

i zdjął wieczko.

Sam jadł małymi kęsami, delektując się smakiem. Wpatrywał się łakomie w puszkę, dopóki Simon jej nie zamknął, dając do zrozumienia, że jedno to znaczy jedno.

– Wilcze ciastka są smaczne, ale te są lepsze – stwierdził Sam.

– Wilcze ciastka? – zdziwił się Elliot.

Chłopiec kiwnął głową.

– Meg kupiła je specjalnie dla mnie.

Co to są wilcze ciastka? spytał Elliot.

Simon wzruszył ramionami. Kolejna rzecz, którą będzie musiał wyjaśnić.

– To był długi dzień dla nas wszystkich – zauważył Simon, gdy Sam, przełknąwszy ostatni kęs, ziewnął przeciągle.

Chłopiec natychmiast wyprostował się na krześle.

– Nie jestem zmęczony. Meg pozwoliłaby mi jeszcze obejrzeć film.

Czy od tej chwili Meg zawsze będzie argumentem przeciwko nam? spytał Elliot.

Tylko do czasu, kiedy dowiem się, na co tak naprawdę mu pozwalała, odparł Simon, a na głos powiedział:

– W porządku. – Wybierz, co będziemy oglądać. – Sam chwiał się na nogach i opierał o ściany, ale nadal utrzymywał ludzki kształt. Simon wypił mleko, a potem dopił to, które zostawił chłopiec. – Drogi do Wilczego Kompleksu są nieprzejezdne. Powinieneś zostać tutaj – zwrócił się do Elliota.

– Dobrze. – Elliot zawahał się. – Wolałbym tylko zmienić formę.

Simon też miał ochotę zrzucić w końcu ludzką skórę.

– Zaczekajmy, aż Sam uśnie.

Nie musieli długo czekać. Pięć minut po włączeniu filmu Sam spał już na kanapie, okryty kocem. Simon upewnił się, że drzwi są zamknięte na klucz, i powyłaczał światła. Kiedy wrócił do salonu, Elliot zdążył już się przemienić.

Nie wyłączając telewizora, Simon rozebrał się. Potem zmienił formę i usiadł na podłodze obok Elliota. Nie była tak ciepła i wygodna jak łóżko na górze, ale śpiący na kanapie chłopiec zapewniał mu teraz innego rodzaju komfort.



## Rozdział 14

– Ale ja chcę iść z Meg!

Wycierając się do sucha, Simon rzucił siostrzeńcowi miazdzące spojrzenie. Przez chwilę pożałował, że nie może zamknąć szczeniaka w klatce, tylko musi się targować ze słabowitym chłopcem, który w tej formie był dla niego bardziej obcym niż rodziną – w dodatku zachowywał się w irytująco ludzki sposób.

– Nie możesz dzisiaj iść z Meg – powiedział stanowczo. Miał wrażenie, że odkąd Sam się obudził, obaj powtarzają w kółko te same kwestie. – Zostaniesz tutaj z Elliotem, bo ja muszę iść na spotkanie.

– Ale kto będzie partnerem Meg, skoro ja zostanę tutaj?

– Nie wiem. Ktoś inny. – Zajęty skomplikowaną higieną osobistą, której musiał przestrzegać, kiedy miał do czynienia z ludźmi, Simon nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jego słowa dotknęły chłopca, póki Sam nie obrzucił go łzawym, przerażonym spojrzeniem.

– Ale to ja jestem partnerem Meg! Powiedziała, że ja! – zaczął zawodzić.

Zanim Simon zdążył go złapać, chłopiec wycofał się z łazienki i uciekł z sypialni.

Słabe nogi... Schody!

Simon chwycił po drodze dzinsy, które naszykował sobie na łóżku, i wypadł z sypialni na korytarz. Stwierdziwszy, że schody są puste, wciągnął pospiesznie spodnie i zaczął szukać Sama, zapinając je po drodze. Spodziewał się znaleźć go w salonie albo w kuchni, z Elliotem. Ale kiedy zszedł na dół, okazało się, że drzwi wyjściowe stoją otworem, a po całej podłodze porozrzucone jest ubranie Sama. Zniknęła też ta cholerna smycz. Za to na śniegu widać było ślady szczeniaka.

Simon wypadł na dwór i warknął, kiedy bosa stopy zapadły mu się w śnieg. Zrobił kilka kroków i zobaczył ganek Meg – oraz Sama stojącego na tylnych łapach. Przednie zmieniły mu się w owłosione ręce, żeby mógł dosięgnąć dzwonka. Naciskał go raz za razem.

– Cholera, cholera, cholera, niech to szlag!

Myśląc o tym, że przekleństwa to najlepsza rzecz, jaką wymyślili ludzie, Simon kilkoma susami wbiegł na schody. Prawie udało mu się złapać Sama, kiedy drzwi się otworzyły i Wilczek wpadł do środka, wlokąc za sobą czerwoną smycz.

Meg stała w progu, próbując okryć się szlafrokiem, który sięgał jej tylko do kolan. W innej sytuacji przyjrzałby się lepiej jej nogom, żeby sprawdzić, czy ma na nich blizny – ale ponieważ Sam ujadł na niego w głos, a Meg wyglądała jak królik, który wymknął się właśnie Jastrzębiowi tylko po to, by wpaść na Wilka, Simon wolał zachować pozory ludzkiej grzeczności i skupił wzrok na jej twarzy. Równocześnie przytrzymał ją za rękę, żeby nie mogła zatrzasać mu drzwi przed nosem.

– Meg.

– Panie Wilcza Straż, co...?

– Czy możesz popilnować Sama przez parę godzin? Mam zaraz spotkanie. Odbiorę go w porze lunchu. Dziś rano możecie być partnerami na tej cholernej linii.

– Ale... właśnie brałam prysznic – zaprotestowała Meg słabo. Zadrżała. – Muszę iść do pracy...

– Więc będziecie partnerami w biurze łącznika. Tylko nie zakopcie się po drodze w śniegu. – Marny żart, skoro naprawdę istniała taka ewentualność.

Po to mamy linię asekuracyjną!

Zaskoczony, że Sam skomunikował się z nim na sposób *terra indigena*, Simon ścisnął rękę Meg tak mocno, że ta aż jęknęła.

– Panie Wilcza Straż! – wyjąkała, wrywając mu się. – Nie jest pan ubrany. Ona też nie była.

– Proszę, Meg. Tylko dziś rano. – Powiedział to dość ostro i spojrzał nad jej ramieniem na Sama. Szczeniak pomachał ogonem, ani skruszony, ani zmartwiony sposobem, w jaki dopiął swego. Meg nie odpowiedziała, więc Simon napał na nią, żeby weszła do mieszkania. – Wracaj pod prysznic, rozgrzej się. – To powiedziawszy, zbiegł po schodach i wrócił do swojego mieszkania.

Elliot stał w progu, patrząc na rozrzucone ubranie i otwarte drzwi.

– Na błogosławioną Thaisię, co tu się dzieje?

Do diabła, miał zupełnie zlodowaciałe stopy i mokre dżinsy.

– Meg zabiera dziś ze sobą Sama – oznajmił Simon. – Zapakuj jego rzeczy do plecaka. Podrzucę je Meg po spotkaniu. I zadzwoń do Nathana. Spytaj, czy ulice wokół biura i naszych sklepów są przejezdne. Nie ma sensu, żeby jechała do pracy w taką pogodę, jeśli nie będzie dostaw.

Ruszył na górę. Zamierzał wziąć kolejny gorący prysznic i ubrać się do końca.

– Simon? – zawołał za nim Elliot. – Skoro nie muszę pilnować Sama, to chciałbym wziąć udział w tym spotkaniu. Oczywiście jeśli się zgodzisz.

Każdy przywódca straży albo innej grupy *terra indigena* miał prawo brać udział w spotkaniach Stowarzyszenia Przedsiębiorców. Dziś Simon zamierzał rozmawiać o tym, co się tu zdarzyło pod jego nieobecność, a także o zajściu w Georgette. Elliot powinien się o tym dowiedzieć.

Może powinien również dowiedzieć się czegoś o Meg...

– Dobrze. Zadzwoń najpierw do Nathana, a potem do Blaira i powiedz, że spotkamy się w świetlicy w Zielonym Kompleksie.

Nie czekając na odpowiedź, Simon poszedł do łazienki, zdjął mokre dżinsy, wszedł pod prysznic i stał pod nim tak długo, aż jego ciało się rozgrzało. Ubierając się ponownie, myślał o wyzwaniu, jakim będzie odzwyczajenie Sama od liny asekuracyjnej. Przyda mu się zestaw mocnych argumentów, to pewne.



Nie wyglądało na to, że pojedą gdziekolwiek.

Plac przed garażami Zielonego Kompleksu tonął w zaspach. Choć odśnieżono

wewnętrzne ścieżki kompleksu, żeby mieszkańcy mogli dotrzeć do pralni, pokoju pocztowego, świetlicy i swoich mieszkań, nikt nie pomyślał o garażach.

– Chodź, Sam. Pójdziemy na krótki spacer i wrócimy do domu. – Meg poprawiła torbę na ramieniu i zawróciła w stronę mieszkania, zastanawiając się, jak ma dotrzeć do pracy. Sklepy się otwierają, przyjadą nowe dostawy. Listonosz przywiezie worek z pocztą i odbierze listy wrzucone do niebieskiej skrzynki zawieszanej na ścianie konsulatu. Przecież ludzie żyją normalnie – również w zimie, nawet jeśli poszczególne czynności zabierają im nieco więcej czasu. Nagle w oddali usłyszała dzwonki. Sam też je usłyszał – zadarł głowę i zaczął wyć. – Chodź – powiedziała stanowczo Meg, przyspieszając kroku.

Dotarli na skraj drogi w samą porę, by zobaczyć dwa brązowe konie ciągnące sanie. Jeden miał grzywę i ogon w kolorze czarnym, drugi w bładozłotym.

Tornado i Trąba Powietrzna w swojej końskiej formie.

Na koźle siedziały Zima i Powietrze, nadal w formie kobiet, nie dziewczynek. Nie miały płaszczy, czapek i rękawiczek, a ich suknie – uszyte z lekkiego, zwiewnego materiału, wyglądały jak utkane z chmur w kolorach od śnieżnej bieli po ciemną, burzową szarość.

– Bawisz się dzisiaj? – spytała Zima, gdy sanie zatrzymały się obok Meg.

– Raczej nie mogę się dostać do pracy – odparła Meg. – Nie uda mi się wyjechać PNK z garażu i nie mam pojęcia, jak dotrzeć do biura.

– A czy to ważne, żebyś tam dotarła? – spytała Powietrze.

– Tak, jeśli chcemy dziś dostać pocztę czy paczki.

Zima spojrzała w okna świetlicy na piętrze. Potem uśmiechnęła się.

– Możemy cię podwieźć do biura. To nie potrwa długo.

Meg obejrzała się przez ramię, a potem znów spojrzała na Żywioły.

– Na pewno nie spóźnicie się na spotkanie? Mam wrażenie, że pan Wilcza Straż i część uczestników są już na miejscu.

Zima obdarzyła ją lodowatym uśmiechem, ale Meg była przekonana, że nie było w nim groźby.

– Na tę część spotkania, która jest interesująca dla mnie i moich sióstr, na pewno zdążę – stwierdziła Zima.

– W takim razie będę wdzięczna – odparła Meg i dodała z uśmiechem: – Nigdy jeszcze nie jechałam saniami.

Sanie były dłuższe niż PNK i miały dwa rzędy ławek. Podniosła Sama i aż stęknęła pod jego ciężarem. Jakim cudem tak urósł przez tydzień? Postawiła go na podłodze z tyłu sań, a sama usiadła obok. Zauważyła, że Jester przygląda im się z progu swojego mieszkania.

Zima uniosła ręce.

– Wzbijcie śnieg, moje śliczne. Nasza Meg chce dojechać do pracy.

Tornado i Trąba Powietrzna ruszyły z kopyta. Śnieg przed nimi rozstępował się na boki, a Meg czuła, że od wiatru i mrozu łzawią jej oczy. Musiała przyznać, że konie poruszają się po śniegu dużo sprawniej niż PNK.

Zima dostarczyła ją na miejsce szybciej, niż Meg się spodziewała. Teren wokół tylnego wejścia do biura łącznika został odśnieżony, podobnie jak ścieżka prowadząca do Zabójczo Dobrych Lektur, Czegoś na Ząb i na podwórze Henry'ego.

Meg podziękowała Żywiołom i obeszła budynek, żeby zobaczyć, co się dzieje od frontu.

Nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny, który zajęty był odśnieżaniem, ale ponieważ miał na sobie tylko flanelową koszulę, uznała, że nie jest człowiekiem. Kiedy uniósł wzrok i zeszywniał na widok Sama, czerwonych szelek i smyczy, utwierdził ją w tym przekonaniu. Sam wydał z siebie powitalne „aruuu” i skoczył w świeży śnieg. Wilk przyglądał się przez chwilę szczeniakowi, a potem podszedł do Meg.

– Jestem Nathan Wilcza Straż – powiedział, przekrzywiając głowę. Nie spuszczał przy tym wzroku z Sama. – Nocowałem dziś na górze.

Meg spojrzała na piętro budynku.

– Na górze są mieszkania? – Już dawno zauważyła schody na tyłach i wejście na piętro, ale nie interesowało ją to, co znajdowało się nad biurem. – Mieszkasz tam?

Nathan pokręcił głową.

– Zostałem tutaj, bo Blair chciał, żeby ktoś miał oko na tę część Dziedzińca. – Dlaczego? Meg nie mogła go o to zapytać wprost, ale nagle poczuła takie mrowienie pod skórą, że miała ochotę wbić w nią paznokcie. – Odśnieżyłem przejście od ulicy do drzwi – ciągnął Nathan. – Furgonetki nie zdołają tu wjechać, póki z Kompleksu Usługowego nie przyjedzie nasz pług, ale mały dotrą do biura, jeśli wykażą się odrobiną rozumu. – Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– Dziękuję – powiedziała Meg. – Chodź, Sam. Otrząśnij się ze śniegu. Muszę otworzyć biuro.

Sapiąc radośnie, Sam otrzepał się energicznie i ruszył za Meg. Wytarła go dokładnie, zanim otworzyła frontowe wejście i wywiesiła tabliczkę OTWARTE.

Śnieg wzdłuż muru okalającego podwórze Henry’ego przypominał rampę. Meg zastanawiała się, czy tak samo jest po drugiej stronie. Na murze siedziało pięć Wron. Nie krakały na Nathana. Przyglądała im się przez chwilę i uznała, że wołą nie drwić z Wilka uzbrojonego w szuflę do śniegu.

Napełniła miskę Sama świeżą wodą, a do drugiej nasypała trochę karmy dla psów. Sobie zaparzyła miętową herbatę. Potem dała szczeniakowi ostatnią jelenią pałkę, zabrała swój kubek i dwa numery biuletynu Dziedzińca i poszła do recepcji. Było tam zimniej niż w sortowni, ale nie miała jeszcze nic do sortowania, poza tym chciała mieć oko na ulicę.

Nathan przeszedł pod oknami z szuflą na ramieniu. Chwilę później Meg usłyszała nad głową skrzypienie podłogi, a potem cichy, jednostajny szum głosów. To nie była rozmowa. Po chwili doszła do wniosku, że Nathan włączył telewizor albo radio. Zapewne też wygląda przez okno.

Czy Blair – albo Simon – mieli powód, żeby obserwować tę część Dziedzińca? A może po prostu chcieli mieć kogoś w pobliżu, jeśli sklepy pozostałyby dziś zamknięte?

Zapewne nie zdoła się tego dowiedzieć od żadnego Wilka. Westchnęła i otworzyła biuletyn – chociaż w ten sposób sprawdzi, co się dzieje na Dziedzińcu.



– Udało nam się usunąć śnieg i zamknąć bramę Kompleksu Usługowego – oznajmił Blair, zajmując miejsce w świetlicy Zielonego Kompleksu. – Wyprowadziliśmy pług i odśnieżamy teren handlowy. Będziemy musieli wywieźć śnieg, żeby oczyścić kilka miejsc parkingowych dla konsulatu i biura łącznika. Nathan odśnieżył przejście z ulicy do biura. Zostanie na razie w pokoju na górze, chyba że chcesz wysłać go gdzie indziej.

– Niech siedzi, tam gdzie jest – zdecydował Simon. Jego myśli nadal absorbowwała wczorajsza przemiana Sama i poranne zamieszanie. Zastanawiał się, czy Blair był taki ostrożny, ponieważ spodziewał się agresji ze strony ludzi, czy ponieważ zamierzał pokazać innym mieszkańcom Dziedzińca, że Wilki potrafią zadbać o łącznika. A może chciał uniknąć incydentu, który mógłby wywołać wojnę między Wilkami a Sanguinatimi? – Nie musiał się długo zastanawiać. Wystarczył mu wyraz twarzy stróża porządku Dziedzińca, kiedy Vlad wszedł do świetlicy i zauważył Elliota. No tak. Czyli polowanie wampirów na Wilka to nie był żart. Jester i Henry przyszli razem. Kojot wydawał się nieco zbyt radosny. Niedźwiedź sprawiał wrażenie zaspanego. Włosy Tess były skręcone w ciasne loki i zupełnie zielone. Kiedy zauważyła Elliota, pojawiły się w nich czerwone pasma i czarne nitki. – Okazuje się, że mamy do czynienia z nowym zagrożeniem, które dotyczy zarówno *terra indigena*, jak i ludzi – oznajmił Simon. Zaczekał, aż Tess usiądzie, i ciągnął dalej: – Jak dotąd nic nam nie wiadomo o dziwnych zabójstwach we wschodniej części Thaisii. Na zachodzie było kilka takich przypadków. Stado psów zaatakowało watahę Wilków. Oczywiście psy zostały zabite, ale Wilki powaliły potem kilka jeleni, rozszarpały je i porzuciły. Mięsa nawet nie tknęły. W pewnej wsi grupa ludzkich samców zaatakowała trzy samice i dwa samce swojego rodzaju. Po formie, jaką przybrał atak, początkowo policja sądziła, że winne jest jakieś zwierzę. Trzy ofiary zginęły na miejscu, dwie pozostałe zmarły w szpitalu. Takich przypadków było więcej – ze dwie garści w ciągu kilku miesięcy. Ponieważ w większości przypadków ludzie napadali na ludzi, nie mieliśmy powodu podejrzewać, że to choroba, która może przejść na nas.

– Aż do zajścia w Georgette – stwierdził Henry cicho.

Simon kiwnął głową.

– Większość ataków w zasadzie nas nie dotyczyła, choć policja wyraźnie próbowała zrzucić na nas winę. W kilku przypadkach choroba zaczęła się w izolowanych ludzkich osadach. Nikt nie wie, jak tam dotarła, skoro nie dotknęła innych osiedli położonych przy tej samej drodze. Powinna rozprzestrzeniać się od wioski do wioski, zostawiać za sobą jakiś ślad. Ale nie tym razem.

Vlad założył nogę na nogę.

– Czy przywódcy Dziedzińców dotkniętych chorobą są pewni, że pochodzi ona od ludzi?

– Tak. Ale przywódcy ludzi równie mocno wierzą, że to my jesteśmy za nią

odpowiedzialni.

– Wszystko jedno, co oni myślą – warknął Jester.

– Jeśli ludzie przekazują nam nową chorobę, można szybko rozwiązać ten problem – mruknął Blair, patrząc na Simona.

– To nie jest żadne wyjście – zaprotestował Henry, poprawiając się na krześle.

– Jeszcze nie. Najpierw trzeba zlokalizować źródło. Wtedy zdecydujemy, kogo należy zabić.

– Masz rację – zgodził się Simon. – Poza tym nie mieliśmy przypadków tej choroby na wschodzie. – Westchnął. – Jest jedna okoliczność, która pozwala powiązać z nami te ataki: na dzień czy dwa przed nimi w okolicy giną Wrony. Chcę porozmawiać z Jenni Wronią Strażą. Jeśli Wrony zaczną umierać bez powodu, to będzie ostrzeżenie, że choroba dotarła do Lakeside. – Odczekał chwilę i dodał: – A teraz mówcie, co się działo tutaj.

Nie wiedział, czy to przypadek, czy może Vlad dał jakiś sygnał, ale kiedy wypowiedział te słowa, drzwi się otworzyły i do świetlicy weszła Zima, a w krok za nią Erebus Sanguinati. Na chwilę wszyscy zaniemówili ze zdumienia, a potem pospiesznie dostawiono dwa krzesła dla nowo przybyłych.

Elliot siedział na tyle blisko Simona, że ten czuł zapach jego strachu.

Niedobrze, że na spotkanie pofatygował się sam Erebus, ale żeby przyszła też jedna z Żywiołów? Rzadko interesowały się czymkolwiek poza Namid. Ale jeśli już coś je zainteresowało, rezultatów nie dało się przewidzieć – choć zwykle pociągały za sobą zniszczenia.

– Meg miała wizję, kiedy cię nie było – oznajmił nagle Henry, zmieniając temat dyskusji, zanim jeszcze zdążyła się rozpocząć.

Elliot rzucił Simonowi zdumione spojrzenie.

– Wizję?

– Meg to *cassandra sangue* – wyjaśnił Simon. Zima nie zareagowała na tę informację. Erebus po prostu kiwnął głową. – Co wiesz o wieszczkach krwi? – spytał go Simon.

– Niewiele. Meg jest pierwszą, jaką spotkałem. Nie przypuszczałem, że *cassandra sangue* i słodka krew to jedno i to samo – odparł Erebus.

– A co to jest słodka krew? – spytał Henry, marszcząc brwi.

– Osoby, które mają dorosłe ciała, ale ich serca zachowują słodycz dzieci.

Simon pomyślał o staruszce, która skaleczyła się w twarz, żeby ujrzeć jego przyszłość. Przypomniawszy sobie słodycz w jej oczach, w jej uśmiechu. Nie była słaba na umyśle, jak sądziły dokuczające jej nastolatki. Nie, z jej umysłem było wszystko w porządku. Ale być może ta dziecięca niewinność chroniła ją przed okropnymi rzeczami, jakie wieszczki czasami widziały w swoich wizjach.

– Nie jest zwierzyną – mruknął Henry, patrząc na Simona. – Zauważaliśmy coś nietypowego w niektórych ludziach, nie zdając sobie sprawy, co to takiego.

Simon kiwnął głową.

– Jak u Meg.

– Sanguinati nie pożywiają się na młodych – stwierdził Erebus stanowczo. – Nie pożywiają się na słodkiej krwi, ponieważ jest równocześnie cudowna i straszna. Ten zakaz ustanowiono dawno temu. Przekazujemy go sobie z pokolenia na

pokolenie, choć nikt już nie zna powodu, dla którego powstał.

– Dlaczego straszna? – spytała Tess, pochylając się. Włosy nadal miała kolorowe, ale loki zaczęły się prostować.

Erebus wzruszył ramionami.

– W słodkiej krwi płyną proroctwa. Nie chciałbym zobaczyć wszystkich tych rzeczy, a gdybym pożywił się na *cassandra sangue*, mogłoby się tak stać.

– Nasza Meg zostaje, prawda? – spytała Zima, rzucając Elliotowi spojrzenie, które zmroziło powietrze. – Ja i moje siostry nie będziemy zadowolone, jeśli ktoś zmusi ją do odejścia.

Skąd wiedziała o kłótni pomiędzy Meg a Elliotem? Jak na nią zareaguje?

Simon nie chciał o tym myśleć, więc zwrócił się do Henry'ego:

– Czego dotyczyła wizja Meg?

Henry w kilku słowach wyjaśnił mu, że istnieje jakieś powiązanie między Samem a ludźmi, którzy wejdą na Dziedziniec z bronią. To tłumaczyło, dlaczego Blair przydzielił Nathana do pilnowania biura łącznika i dlaczego przez całą noc sam pilnował bramy do Kompleksu Usługowego. Ci mężczyźni, według Meg, mieli nadejść podczas śnieżycy.

– Byliśmy czujni – zakończył Henry. – Ani Meg, ani szczeniak nigdy nie byli sami. Oboje stali się silniejsi w ciągu tych kilku dni.

Mimo potencjalnej groźby, którą ujawniło proroctwo, Simon odprężył się stopniowo, słuchając poszczególnych raportów. Roześmiał się nawet, kiedy Blair opowiedział mu o tym, jak Meg zadzwoniła do Boone'a i zażądała specjalnego mięsa. Pod jego nieobecność nie było żadnych starć z ludźmi ani z policją, nie było też żadnych konfliktów wśród *terra indigena*, nie licząc wpadki Elliota, która rozwścieczyła Sanguinatic. Ale to się więcej nie powtórzy. Prędzej wypędzi Elliota z Dziedzińca w Lakeside, niż dopuści, by on – czy ktokolwiek inny – skrzywdził Meg.

Ach, ta Meg. Robiła dostawy, nawiązywała przyjaźnie, budowała sobie życie wśród nich, a to wszystko w tak krótkim czasie.

Meg. Jedno ze stworzeń Namid, równocześnie straszne i cudowne.

Będzie musiał o tym pomyśleć.



*Droga Pani Wiem Wszystko,*

*wczoraj wieczorem podejmowałam kolację przyjaciela, a potem poszliśmy na dziko (jeśli wie Pani, o czym mówię). Wszystko szło dobrze, ale podnieciłam się trochę, kiedy udawał, że mnie odpycha, i tak się jakoś porobiło, że ugryzłam go w udo. Niezbyt mocno – nie trzeba było nawet szwów – ale on twierdził, że to za blisko jego zabawki, i teraz nie odbiera moich telefonów. Co powinnam zrobić?*

*Zdumiona*

*Droga Zdumiona,*

*po pierwsze, pamiętaj, że jedzenie może wywołać więcej niż jeden rodzaj*

*podniety. Tymczasem kiedy zapraszasz człowieka na kolację, spodziewa się on, że ją dostanie, a nie że sam nią będzie. Po drugie, choć ludzie twierdzą, że gryzienie podczas gry wstępnej ich podnieca, tyczy się to tylko partnerów o niedorozwiniętych, ludzkich zębach. Po trzecie, żaden samiec – ani człowiek, ani Inny – nie czuje się swobodnie, gdy nasze zęby znajdują się w pobliżu jego zabawki. Potraktuj więc ten przypadek jako cenne doświadczenie i kiedy następnym razem będziesz chciała pójść z człowiekiem na dziko, ogranicz się do gonitwy po parku.*

*Pani Wiem Wszystko*

Meg parsknęła na ladę miętową herbatą.

O bogowie na dole i na górze!

Ciekawe, czy Lorne'a bawi ta rubryka. A może to właśnie z powodu tych porad woli odgradzać się kontuarzem od swoich klientów w Trzech P?

Wycierała herbatę z lady, kiedy zauważyła Harry'ego. Szedł wąską ścieżką od ulicy. Uchyliła mu drzwi na tyle, by mógł je przytrzymać ramieniem, a potem wzięła paczkę z samej góry i już miała położyć ją na kontuarze...

...ale po namyśle...

Odłożyła kartonik na wózek i zaczęła na kuriera.

– Coś się pani wylało, panno Meg? – spytał Harry, odstawiając paczki na wózek. W jego głosie pobrzmiwał dziwny ton.

– Tak, jeszcze nie zdążyłam wytrzeć – odparła, oglądając się przez ramię na ulicę. – Niech pan jedzie dalej, potem uzupełnię notatki. Jest taka ślizgawica, że tylko patrzeć, jak ktoś wjedzie w pana furgonetkę.

– Jasne. Niech pani na siebie uważa, dobrze? Żeby się znów nie poślizgnąć.

– Poślizgnąć? Ach, oczywiście. Bezpiecznej drogi. I do zobaczenia w poniedziałek.

Harry pomachał Wronom, po czym wrócił do swojego samochodu.

Meg skończyła wycierać blat, zabrała biuletyny i wrzuciła je do kosza na papiery na zapleczu. Kiedy weszła do łazienki, żeby umyć ręce, spojrzała w małe lustro nad umywalką. I zamarła.

Harry nie miał na myśli mokrej lady. Miał na myśli jej twarz.

Zupełnie zapomniała o siniaku. Przez to poranne zamieszanie z Simonem i Samem tak się spieszyła do pracy, że nie spojrzała w lustro, nawet kiedy się czesała. Jeśli Harry albo inny kurier zadzwoni na policję i doniesie o siniaku...

Musiała komuś o tym powiedzieć. Musiała powiedzieć Simonowi. Tak na wszelki wypadek.

Kiedy przechodziła przez sortownię, rzuciła okiem na Sama, który ze smakiem ogryzał jelenią pałkę, i jej żołądek wykonał niewielką woltę. Wybrała numer do ZDL i czekając, aż ktoś odbierze, obiecała sobie w duchu, że dopilnuje, by jelenie pałki, które Boone przynosił dla Sama, były naprawdę zrobione z jelenia.



Monty stał przed komisariatem na ulicy Orzechowej, czekając, aż Kowalski



przyprowdzi radiowóz. Nocna śnieżycy to dobra wymówka, by złożyć kurtuazyjną wizytę na Dziedzińcu. Przynajmniej nikt nie pomyśli, że pojawił się tutaj, by wyżebrać informacje na temat wydarzeń w Georgette.

– Z chęcią napiję się dziś kawy – stwierdził, wsiadając do samochodu. – Sądziś, że sklepy na Dziedzińcu są już otwarte?

– Trudno powiedzieć – odparł Kowalski, włączając się do ruchu. – Inni nie prowadzą swoich interesów dla zysku. Dla nich to raczej hobby i sposób zaopatrywania się w towary bez konieczności odwiedzania ludzkich sklepów.

Nie, nie musieli martwić się o zyski. Jeśli jest się panem i dzierżawi się ziemię całemu miastu, prowadzenie sklepu to zwykły kaprys.

Kiedy dotarli na Dziedziniec, okazało się, że Inni usuwają śnieg z parkingu za pomocą małej koparki i ładują go na pakę ciężarówki. W Czymś na Ząb i w Zabójczo Dobrych Lekturach paliły się pojedyncze światła – za mało, żeby uznać sklepy za otwarte.

– Sprawdźmy najpierw, co słyhać w biurze łącznika – zdecydował Monty.

Meg Corbyn otworzyła już biuro, a sądząc po oświetlonym wnętrzu, pracował też konsulat. Od tej strony dostęp do Dziedzińca był już przejezdny.

– Zaczekam w aucie – powiedział Kowalski.

Monty wszedł do biura. Gdy zbliżył się do lady, w drzwiach z napisem WSTĘP WZBRONIONY zauważył młodego Wilczka. Szczeniak przyglądał mu się z zaciekawieniem.

– Dzień dobry. Czy jest może panna Corbyn?

Ponieważ nie spodziewał się odpowiedzi, zamarł, kiedy nagle szczeniak zmienił się w nagiego chłopca i krzyknął:

– Meg! Przyszedł ludzki policjant!

– Kto? – Meg przyszła z zaplecza i zlustrowała chłopca. – Och... Sam, jest zimno. Powinieneś coś na siebie założyć.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

– Nie potrzebuję ubrań, mam futro!

I rzeczywiście – już za chwilę miał futro. Oraz cztery łapy i ogon. Śmignął obok niej na zaplecze.

Meg podeszła do lady nieco chwiejnym krokiem.

– Świeży nabytek? – spytał Monty, patrząc na drzwi. Już kiedyś widział, jak Inny zmienia się z Wilka w dziecko. Ale tempo tej przemiany nadal przyprawiało go o palpacje serca.

– Bardzo świeży – odparła Meg. – Jeszcze nie poznałam wszystkich zasad. Tak naprawdę to nie wiem nawet, czy są jakieś zasady.

Kiedy dostrzegł siniak na jej twarzy, poczuł przyływ gniewu, ale starał się zachować spokój.

– A to? To również świeży nabytek?

Westchnęła.

– Raczej nieporozumienie. To się więcej nie powtórzy.

– Jest pani pewna?

W tym momencie z zaplecza wyszedł Simon Wilcza Straż.

– Ja jestem pewien.

Nie dotknął Meg, ale tak przytłoczył ją swoją obecnością, że cofnęła się i pozwoliła, by stanął między ladą a nią.

– Panie Wilcza Straż, chciałbym zamienić z panem słówko, jeśli ma pan chwilę – powiedział Monty.

Przeciągłe spojrzenie. Kogo widział w nim Simon? Wroga? Rywala? A może sprzymierzeńca?

Nagle z przyległego pomieszczenia dobiegły ich odgłosy podskoków i sapania. Meg już chciała iść sprawdzić, co się dzieje, ale Simon pokręcił głową.

– ZDL nie są jeszcze otwarte, ale Tess właśnie zaparzyła kawę – powiedział, po czym zwrócił się do Meg: – Postawiłem twoją na stole w sortowni, razem z kubkiem gorącej czekolady i muffinami. – A podnosząc głos, dodał: – Muffiny i gorąca czekolada są tylko dla ubranych chłopców.

Dało się słyszeć ujadanie, a potem zgrzyt pazurów na podłodze.

– Czy są jakieś reguły wyznaczające czas, kiedy Sam powinien być chłopcem, a kiedy Wilkiem? – spytała Meg.

– Wilk podnosi łapę i zabarwia śnieg na żółto. Chłopiec musi korzystać z toalety – odparł Simon.

– I to działa?

– Tylko jeśli chce mu się siusiu.

Monty zakaszłał, by stłumić chichot.

– Niech pański człowiek zaparkuje na tyłach – polecił Simon. – Wywieźliśmy masę śniegu, ale jeśli przed biurem zostanie miejsce do zaparkowania, kurierom będzie łatwiej robić dostawy. Zaczekam na pana przy tylnym wejściu do Czegoś na Zęb.

– Do widzenia, panno Corbyn. – Monty uklonił się i wyszedł.

Kiedy obejrzał się przez ramię, stwierdził, że Simon Wilcza Straż patrzy za nim, a w jego bursztynowych oczach nie ma nic, co można by uznać za przyjazne.

Zaczął się obawiać, czy nie okaże się powodem następnego „nieporozumienia”, które skończy się jeszcze jednym siniakiem na twarzy Meg Corbyn.



Gdy tylko Montgomery zniknął im z oczu, Simon spojrzał na Meg.

– Czy ta mała ci się narzucała?

Spojrzenie zaskoczonych królika.

– Nie – wyjąkała.

– Zdenerwowałaś się. – Wyczuł to w jej zapachu.

– Ja... – zawahała się. – Kiedy widzę policję, ciągle zapominam, że nie mogą mnie zabrać, że nie mogą mnie odstawić tam, skąd...

Warknął. Nie mógł się powstrzymać.

– Nie zabiorą cię stąd. Co jeszcze? Był zły. Nie miał prawa być na ciebie zły. Znowu wyczuł jej wahanie. Podniosła dłoń do lewego policzka i zapytała:

– Czy to cię złości?

– Tak!

– Jego też. – Simon cofnął się o krok. Montgomery był zły z powodu siniaka? Reakcja podobna do jego własnej. To dobrze. To było coś, co rozumiał. – Porucznik na ciebie czeka – przypomniała mu Meg.

– Dzwoniłaś do księgarni.

– Chciałam cię uprzedzić, że ten siniak zwrócił uwagę kurierów. Któryś z nich może zawiadomić policję.

– Ludzie tak robią?

– Czasami. – A czasami nie. Zobaczył to w jej szarych oczach. Przyjrzał się jej twarzy i tym dziwnym włosom. Przy samej skórze pojawił się już pasek czarnych odrostów. – Panie Wilcza Straż?

Skrzypnięcie podłogi nad głową.

Nathan?

Jestem.

Pilnuj tu.

– Wrócę po Sama w porze lunchu – powiedział.

Wychodząc, Simon minął chłopca w krzywo zapiętej koszuli. Postanowił zostawić tę kwestię Meg. Z pewnością będzie miał inne problemy, kiedy zabierze szczeniaka do domu.

Zauważył, że posterunkowy Kowalski zaparkował radiowóz w taki sposób, żeby nie tracić czasu na zawracanie, kiedy będą chcieli stąd odjechać.

Kiedy Montgomery spojrział na niego, dostrzegł w jego ciemnych oczach wiele niewypowiedzianych rzeczy. Najwyraźniej był to dzień niedopowiedzeń.

Gestem zaprosił policjantów do kawiarni. Włosy Tess nadal były zielone, ale pojawiły się w nich już brązowe pasma, co oznaczało, że się uspokaja. Podała im kawę i talerz ciastek, które nawet na ciepło nie smakowały dobrze. Jednak nikt tego nie skomentował. To, co podała Tess, albo się jadło, albo nie.

Simon i Montgomery krążyli wokół siebie, kryjąc się za grzecznymi słówkami, aż stało się jasne, że nie mają sobie wiele do powiedzenia. Ale wsłuchując się w to, co nie zostało powiedziane, Simon doszedł do wniosku, że Montgomery'emu bardziej zależy na zachowaniu pokoju niż jemu. Jego interesowało tylko zapewnienie bezpieczeństwa swoim – wszelkimi dostępnymi środkami. Co ciekawe, zrozumiał nagle, że Meg też zalicza się do swoich.



Azja zatrzymała samochód na parkingu dla dostawców przed biurem łącznika.

Darrell Adams podziękował za podwiezienie i po omacku poszukał klamki.

Nie otworzył jednak drzwi, tylko popatrzył na mur, na którym siedziały rzędem Wrony.

*Cholerni szpiedzy.* Azja wiedziała, że Darrell chce ją pocałować – wiedziała, że chce zrobić o wiele więcej. Dwa razy umówiła się z nim na kolację. Bez wysiłku

skłoniła go do mówienia, ale okazało się, że choć pracował w konsulacie, jego wiedza o Dziedzińcu nie jest zbyt szeroka. No dobrze, był człowiekiem i tylko pracował dla *terra indigena*, więc to jasne, że nie mówili mu nic ważnego, ale i tak stanowił alternatywne dojście do Dziedzińca. Problem polegał na tym, że jeśli zamierzała utrzymać jego zainteresowanie i skłonić go do drobnej uprzejmości, będzie musiała się z nim przespać. Nie żeby miała jakieś opory przed wykorzystywaniem seksu w pracy – rzecz w tym, że mężczyźni, z którymi sypiała do tej pory, byli wpływowi. W przeciwieństwie do Darrella. Z drugiej strony, musiała dostarczyć sponsorom jakichś nowych informacji, i to już wkrótce.

Ale teraz gapiły się na nich te czarne dziwolągi. Azja uznała, że zwyczajne podwiezienie kogoś do pracy po śnieżycy nie będzie aż tak interesujące, jak namiętny pocałunek z jęczyzkiem.

– Chyba już pójde – powiedział Darrell.

– No tak... Uważaj na siebie. – Nie zaproponowała, że poczeka i odwiezie go potem do domu. Nie zamierzała mu pokazać, gdzie mieszka, i nie chciała mu odmawiać, jeśli zaprosiłby ją do siebie. Poza tym zamierzała wpaść do Meg – i może zobaczyć jeszcze raz to wilcze szczenię.

Jednak zanim Darrell dotarł do drzwi konsulatu, z zaułka między budynkami wyjechał radiowóz, a samochód Azji znalazł się dokładnie na jego drodze. Zamarła z ręką na klamce. Jej pojazd nie zwracał na siebie uwagi, ale parkowała tu dostatecznie często, żeby w końcu ktoś go zapamiętał. Dlatego zamiast wysiąść, obdarzyła policjantów szerokim uśmiechem i pomachała im, po czym wyjechała z parkingu. Odetchnęła z ulgą, gdy radiowóz skręcił w drugą stronę.



Kiedy Simon przyszedł po Sama, ten znów był w wilczej formie. Blair przyprowadził pod biuro łącznika PNK Meg. Simon pożyczył go, ponieważ wiedział, że w przerwie na lunch planowała zrobić zakupy na rynku, i pojechał do Zielonego Kompleksu. Zaparkował na parkingu dla gości, przeniósł Sama na drugą stronę drogi i pozwolił mu się wysikać, zanim weszli do domu.

Zamknął starannie mieszkanie. Na klucz.

Dwa lata uwięzienia we własnym strachu to długo, ale ze względu na siebie i na Sama nie mógł dopuścić, by ich relacjami zachwiało współczucie. Elliot zadzwonił do niego z informacją, że burmistrz Lakeside nalega na zatrzymanie groźnej złodziejki, która wygląda zupełnie jak Meg Corbyn. Ktoś sprowadził nieznaną chorobę na zachodnią część Thaisii. W tej sytuacji nie mógł dopuścić, by podważano jego pozycję jako przywódcy Dziedzińca. Pod jakimkolwiek względem.

Zadziorny sposób, w jaki Sam nosił głowę, pewny, że dostanie wszystko, czego zapagnie, sprowokował Simona. W jednej chwili znalazł się przy szczeniaku, przewrócił go na ziemię i przekręcił na grzbiet. Przydusił go ręką i pochylił się nad nim, szczerząc wilcze kły.

Ja tu jestem przywódcą, nie ty, warknął. Ja wydaję rozkazy, nie ty. Dzisiejsze

nieposłuszeństwo ujdzie ci płazem, ale po raz ostatni. Rozumiesz? Jeśli nie będziesz mnie słuchał, zostaniesz wysłany do watahy poza Dziedzińcem.

Sam w jednej chwili zmienił się w chłopca. Wtedy Simon przydusił go mocniej i jeszcze bardziej zbliżył kły do jego gardła.

– Dlaczego nie mogę zostać z Meg? – wyjęczał Sam. – Chcę zostać z Meg!

– Jesteś Wilkiem, a ona jest człowiekiem. Musisz nauczyć się wielu rzeczy, których ona nie może cię nauczyć. Decyzja nie należy do ciebie. – Odczekał chwilę, ale chłopiec nie zaprotestował. – Musisz znowu być z Wilkami. Musisz znowu się uczyć.

W oczach Sama zalśniły łzy.

– A Meg?

– Meg będzie nagrodą za dobre zachowanie. – Simon był pewien, że jej także się to nie spodoba, ale nie zamierzał się tym martwić. Musi się jeszcze wiele nauczyć. Nie widziała nawet dorosłego Wilka. Będzie musiał się tym zająć.

Gdy tylko puścił Sama, ten zmienił się w Wilczka i uciekł do klatki. Tym też będzie musiał się zająć.

Ale kiedy szykował dla nich obiad, zastanawiał się, czy próbuje rozdzielić Sama i Meg, dlatego że tak będzie najlepiej, czy dlatego, że czuje się wykluczony.

## Rozdział 15

Nadeszła sobota.

Simon włożył kasetę z pieniędzmi do kasy i otworzył księgarnię. Nie był w najlepszym nastroju, ale wiedział, że robota papierkowa nie oderwie jego myśli od tego, co zamierzał zrobić, kiedy Meg zamknie biuro łącznika na przerwę.

Wczoraj było słonecznie i pługi śnieżne oczyściły nie tylko główne drogi Lakeside, ale i boczne uliczki, więc dziś wszyscy ludzie wyszli z domów, jakby z powodu środowej śnieżycy byli w nich uwięzieni przez tydzień. Parking dla klientów przy Dziedzińcu był zastawiony samochodami. Ludzie okupowali maszyny treningowe w Łup i Siup. Była wśród nich Ruthie, samica posterunkowego Kowalskiego. Obsiedli też większość stolików w Czymś na Ząb, a skoro Simon otworzył księgarnię, zapewne wielu przejdzie przez drzwi łączące oba sklepy, żeby przejrzeć nowości albo po prostu spędzić trochę czasu poza domem.

Taka gorączkowa aktywność zdaniem *terra indigena* nie miała sensu. Śnieżycę należało przespać albo przeczekać ją w jakimś suchym i ciepłym miejscu. Potem można było wyjść na polowanie albo po prostu pohasać. Nie było z czego robić sprawy. Takie proste pragnienia Namid zaszczepiła wszystkim swoim stworzeniom.

A przynajmniej większości z nich.

Tak naprawdę nie obchodziło go zachowanie ludzi. Kupią jakąś książkę albo któryś z nielicznych magazynów sprzedawanych w księgarni, a potem pójdą w jakieś inne miejsce, gdzie będą się tłoczyć przez chwilę, zanim wrócą do swoich nor.

Do kasy podszedł John. Na jego zwykle pogodnej twarzy malowała się troska.

– Dzień dobry, Simonie – powiedział. – Widziałem Sama w Wilczym Kompleksie. Czy wszystko w porządku?

– Bawi się dziś z innymi szczeniakami.

– Jako szczeniak?

Więc to był powód jego niepokoju. Wilki wiedziały, że Sam wreszcie zmienił formę, ale nie widziały go jeszcze w postaci chłopca, nie miały okazji poznać jego wyglądu ani zapachu.

– Zapewne – odparł Simon cierpliwe. – Miał pozostać chłopcem przez całe przedpołudnie, ale widać wyczerpał cierpliwość Elliota, zanim skończyli jeść śniadanie, i ten pozwolił mu się zmienić. – Nie mógł za to winić ojca. Łatwiej było pozwolić Samowi zmienić się w Wilka, niż wysłuchiwać bez przerwy, że „Meg robi to inaczej” albo „Meg tak tego nie robi”.

Meg była dla Sama jedynym odniesieniem dla wszystkich ludzkich spraw. Chciał, żeby chodziła z nim do wilczej szkoły, ponieważ nie wszystko jeszcze wiedziała o Wilkach.

Simon nie sądził, żeby Meg naprawdę miała ochotę nauczyć się patroszyć królika. Oczywiście mógł się mylić, ale po prostu nie potrafił sobie wyobrazić, jak

rzuca się na królika i zębami rozpruwa mu brzuch.

Może powinien się bardziej postarać?

– W kawiarni siedzi grupa dziewczyn z college’u – powiedział John. – Chcesz, żebym rozkładał książki na półkach czy żebym się przemienił i pilnował drzwi?

Simon wyczuł zapach dwóch innych Wilków, zanim je zobaczył. Nathan był w ludzkiej formie, Ferus w wilczej. Ten ostatni zajął pozycję w kącie, skąd miał dobry widok na drzwi i całą księgarnię. Do ochrony zwykle wystarczył jeden Wilk, kiedy był tu Simon lub Vlad, czyli prawie zawsze. Dziś wypadła kolej Ferusa, po co więc przyszedł też Nathan?

– Blair spodziewa się kłopotów?

Nathan pokręcił głową.

– Henry powiedział, że powinna tu przyjść skrzynka z książkami do biblioteki. Chce dziś pracować z drewnem, a ja nie mam nic do roboty, więc obiecałem mu, że ją odbiorę i zaniosę na rynek. – Uśmiechnął się do Simona. – Poza tym jutro jest niedziela i chcę spędzić ten dzień w spokoju. Jeśli pomogę rejestrować nowe książki, będę wybierał jako pierwszy.

– Zawsze możesz coś sobie kupić – zauważył John, ale Nathan tylko się roześmiał.

Ponieważ obecność Nathana wzmacniała ochronę w tej części Dziedzińca, Simon postanowił ją wykorzystać.

– Zanim zabierzesz książki, wpadnij do Siup i Łup i do świetlicy. Sprawdź pokoje na górze. Zobacz, kto się tam dziś kręci. Była tam ta cała Ruthie, widziałem przez okno. To samica jednego z policjantów. Zna zasady, ale ktoś może spróbować wślizgnąć się za nią, jeśli postanowi zrobić zakupy przed powrotem do domu.

– Rozejrzę się. Niech wszyscy wiedzą, że Wilki pilnują. Marie czuwa z góry, ale ludzie zwykle nie zwracają uwagi na Jastrzębie, kiedy planują coś głupiego.

Ludzie nie zwracają też uwagi na Wrony i zapominają, że potrafią postawić na nogi cały Dziedziniec, jeśli coś zacznie się dziać.

Nathan wyszedł frontowymi drzwiami, John udał się na zaplecze po nowe książki, a Simon obserwował pierwszych klientów, którzy wchodzili do ZDL przez Coś na Ząb. Kiedy zauważył Azję Crane, musiał stłumić warkot. Nie był dziś w odpowiednim nastroju, żeby znosić jej obecność. Miał nadzieję, że po prostu coś kupi i sobie pójdzie.

– Cześć, przystojniaku – powiedziała, podchodząc do lady. – Dawno cię nie widziałam. Ukrywasz się przede mną?

Simon wyczuł na niej jakiś zapach. Znajomy, ale zbyt słaby, żeby potrafił go zidentyfikować. Miał ochotę wychylić się przez ladę i powęszyć, ale mogłaby to odebrać jako zainteresowanie jej piersiami, po którym zapewne pojawia się zwykle propozycja seksu. A ponieważ nie był zainteresowany ani jej piersiami, ani tym bardziej seksem z nią, postanowił w inny sposób ustalić źródło zapachu.

Ferusie, podejdź tutaj i sprawdź, z kim ona się pociera.

– Szukasz czegoś konkretnego? – zwrócił się tymczasem do Azji.

Oparła się o ladę, niewątpliwie po to, żeby mu zaprezentować swój głęboki dekolt.

– A ty masz na myśli coś konkretnego?

Nagle pisnęła i niemal wskoczyła na ladę, gdy Ferus wetknął jej pysk między nogi.

Na płaszczu ma zapach Darrella, ale w kroczu nie, poinformował Simona. Potem kichnął i wrócił na swoje miejsce w kącie.

– Cholerny głupek! – krzyknęła Azja. – Co to miało być?

Simon wyjął okulary z futerału i zatknął na nos.

– Ciekawość. Ciesz się, że cię nie ugryzł. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu i podniósł głos. – Tłoczno tu dzisiaj. Dużo ludzi chce się zaopatrzyć w książki na wypadek kolejnej śnieżycy. Może mój asystent pomoże ci coś wybrać?

Spojrzała na niego, tak jakby zamierzała rzucić mu się do gardła. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak Azja Crane rozrywa zębami królika.

– Niczego od ciebie nie chcę – oznajmiła i z dumnie uniesioną głową wyszła ze sklepu.

Simon miał nadzieję, że to prawda. Miał nadzieję, że będzie uprawiała seks z Darrellem i wreszcie przestanie węszyć koło niego.

Popatrzył na dziewczyny z college'u, które stały opodal, z otwartymi ustami przyglądając się temu małemu dramatowi.

– A wy? Chcecie coś kupić?

Natychmiast przytaknęły i rozbiegły się wśród półek, żeby tylko zniknąć mu z oczu. Simon przekręcił głowę, chcąc posłuchać, o czym rozmawia z nimi John, który wrócił już z zaplecza, ale słyszał tylko ton rozmowy, nie słowa.

Dziewczyny dostały to, po co przyszły. Kupią kilka książek, a potem pójdą opowiedzieć przyjaciółkom, że widziały na własne oczy, jak Wilk publicznie obwąchał krocze jakiejś kobiety.

Westchnął i wyjął spod lady stos zamówień. Przedtem nie miał czym zająć myśli. Teraz miał aż nadto.

Azja nie tylko usiłowała z nim flirtować, pocierała się też z Darrellem, który pracował w konsulacie. Elliot nie skarżył się na niego, więc zapewne Darrell jest dobrym pracownikiem, ale zdaniem Simona nie należał do mężczyzn, którzy mogliby zwrócić na siebie uwagę Azji. Był zbyt zwyczajny dla kobiety, która chciała iść na dziko.

Zawarczał, sfrustrowany. Coś mu umykało. Nie myślał jak człowiek, więc coś mu umykało.

Niestety nie ufał ludziom na tyle, żeby spytać kogoś z nich, dlaczego zainteresowanie Azji Darrellem wydaje mu się niewłaściwe.



Pieprzony Wilk! Jeszcze niedawno pozwalał jej na flirty, a teraz traktował ją jak grzechotnika. A na domiar złego Simon Wilcza Straż zaczął być dla niej podły mniej więcej wtedy, kiedy zjawiała się tu Meg.

Chyba nie leci na tę szpetną kretynkę? Darrell powiedział jej – oczywiście w zaufaniu – że Simon nie przyjmuje kobiecych wizyt od czasu śmierci siostry. To by



wyjaśniało, dlaczego wciąż jej odmawiał, ale jego obecna wrogość mogła utrudnić całą misję. Poza tym Azja nie miała ochoty wiązać się z Darrellem tylko dlatego, że Meg w jakiś sposób chrzani jej szanse u Simona.

Kiedy dotarła do samochodu, rozejrzała się i zauważyła białą furgonetkę. I uśmiechnęła się szeroko.



Meg rzuciła okiem na puste psie posłanie, a potem z całą stanowczością nakazała sobie skupienie na sortowaniu poczty. I tak musiała przejrzeć ponownie dwa stosy, ponieważ w pewnej chwili zorientowała się, że odkłada listy dla Pokoi na kupkę z pocztą dla Kruczości. Jeśli ta poczta trafi do Wron, szanse, że Sanguinati odzyskają ją zamkniętą... No cóż, takich szans właściwie nie było.

Sam musiał się zintegrować z własnym ludem, musiał spędzać czas z innymi szczeniakami. Stracił już przecież dwa lata, a na Dziedzińcu nie było chyba wielu młodych w jego wieku – bez względu na rodzaj. Musiał przebywać wśród Wilków, a ona powinna być zadowolona z tego, że nikt nie przeszkadza jej w pracy.

Jasne, że była z tego zadowolona.

Dwa tygodnie temu jeszcze go nie знаła. Jak mogła za nimi – za nim! – tęsknić, skoro znała go tak krótko?

*Skup się*, nakazała sobie w myślach. *Kucyki zaraz tu będą, musisz przygotować pocztę do rozwiezienia.*

Skoncentrowała się na pracy, starając się ignorować ciszę, której nie mogło wypełnić nawet głośno grające radio.



Simon spojrział na ścienny zegar za kasą i powstrzymał ochotę warknięcia na Vladę za spóźnienie.

Sanguinati przyjrzał mu się uważnie.

– Coś nie tak?

Simon pokręcił głową.

– Po prostu muszę coś zrobić.

Vlad rozejrzał się.

– Prowadzimy schronisko czy ci ludzie naprawdę przyszli tu kupić książki?

– Jedno i drugie. Mamy dziś niezłą sprzedaż. Heather wymusiła na mnie wystawienie książek, których normalnie nie sprzedajemy, ponieważ nie chcę poddawać ludziom głupich pomysłów.

– Chodzi ci o historie, w których Wilk nie zjada kobiety po seksie? – zapytał Vlad, wyraźnie rozbawiony.

– Dziś rano nawarczeliśmy na siebie z Azją, a Ferus wsadził jej nos w krocze. Efekt jest taki, że wyprzedaliśmy wszystkie książki o Wilkach kochankach. Jeśli

wyssiesz na blado któregoś klienta, pójdą też wszystkie książki o wampirach kochankach.

– Heather miewa czasami głupie pomysły – mruknął Vlad. Simon bez słowa ruszył do wyjścia. Zapewne w najbliższym czasie wzrośnie liczba dziewczyn, które poszły na spacer do lasu i ślad po nich zaginął. Wśród ludzi wciąż krążą historie przedstawiające *terra indigena* jako włochatych ludzi, którzy pragną tylko trochę miłości. Natomiast prawda była taka, że Inni nie potrzebowali miłości ludzi – potrzebowali ich mięsa. Dlaczego ludziom z takim trudem przychodziło zrozumienie tego faktu? – Wrócisz jeszcze?

Simon zawahał się.

– Nie jestem pewien.

Dużo będzie zależało od tego, jak Meg zareaguje na widok dorosłego Wilka.



Zbliżała się pora przerwy na lunch. Według poczty pantoflowej – na Dziedzińcu funkcję tę pełniły Jenni Wronia Straż i jej siostry – biblioteka dostanie dziś nowe książki. Meg chciała sobie wybrać ze dwie pozycje, żeby zapełnić czymś wolny czas w niedzielę. Może nawet wpadnie do Muzyki i Filmów? Musi też zrobić zakupy w spożywczym po drodze do domu. Chyba że zadzwoni do pizzerii i zamówi pizzę do biura łącznika pod koniec dnia pracy?

Jutro – w niedzielę – mogła robić tyle rzeczy. Całą masę.

Kiedy wyłączyła radio, usłyszała cichy dźwięk dobiegający z zaplecza.

– Merri Lee, to ty? – Przez ostatnie kilka dni chodziła do Czegoś na Ząb, ale Tess mogła przysłać kogoś z jej obiadem. – Julia?

Stworzenie, które otworzyło drzwi i weszło do sortowni, nie było ani człowiekiem, ani Jastrzębiem.

Wilk był piękny, choć jego uroda była przerażająca, i zdecydowanie różnił się od zwierząt, które pokazywano Meg na zdjęciach szkoleniowych. Był wielki i muskularny, miał ciemne futro podbite jaśniejszym, szarym puchem. Nie była pewna, czy to z powodu tego futra tak trudno było jej nadażyć za nim wzrokiem, kiedy był w ruchu. Ciekawe, ile osób sądziło, że mają halucynacje tuż przed atakiem Wilka?

W bursztynowych oczach połyskiwała dzika inteligencja. A także rozdrażnienie, które bez trudu rozpoznała.

– Pan Wilcza Straż? – Wilk przekrzywił głowę. – Simon?

Otworzył mordę w wilczym uśmiechu.

Rozpoznała go. Punkt dla niej.

Patrzyła na niego, zastanawiając się, czy Sam też tak urośnie?

– Łaaa! – sapnęła z wrażenia.

Pomachał ogonem, wyraźnie zadowolony. Potem zaczął węszyć po sortowni. Zawarczał z aprobatą, kiedy trafił na ką, gdzie przedtem mieszkały myszy. Meg zesła mu z drogi, kiedy się do niej zbliżył, choć odniosła wrażenie, że miał ochotę ją

obwężać. Cofnęła się jeszcze dalej, kiedy przysunął nos do posłania Sama.

Potem ruszył na zaplecze, po drodze ocierając się barkiem o jej biodro. Meg jednak wciąż stała jak zamurowana.

A więc to kryło się pod ludzką skórą? Ta siła, te zęby? Nic dziwnego, że Wilki nie pokazywały się jej, dopóki nie przywykła do życia na Dziedzińcu. Wystarczająco najadła się strachu, kiedy Sam zaatakował ją w zabawie. A gdyby goniła ją wataha Wilków...

Ludzie, którzy wchodzili na Dziedziniec bez zaproszenia, musieli być szaleni. Wilki były wielkie i przerażające. I takie puchate... Jak można się oprzeć chęci przytulenia się do nich, choćby tylko po to, by dotknąć tego pięknego futra?

*Zapomnij o futrze, zdyscyplinowała się w myślach Meg. Pamiętaj, że są duże i straszne.*

Nagle dobiegł ją dźwięk, który kazał jej pobiec na zaplecze.

– Co ty robisz? – sapnęła ze zdumieniem, stając w progu.

Simon otworzył wszystkie szafki i znalazł ciastka dla szczeniaków. Oddarty wierzch pudełka leżał na podłodze. Chwycił kartonik w zęby i potrząsał głową, aż na podłogę wypadło kilka łakoci.

– Przestań – zganiała go Meg. – W tej chwili przestań. Dajesz Samowi zły przykład.

Niewiele myśląc, złapała drugi koniec pudełka i spróbowała odebrać je Simonowi...

*Nigdy nie baw się w przeciąganie z Wilkiem, który waży dwa razy więcej od ciebie*, pomyślała, gdy stało się jasne, że wprawdzie jej buty mniej się ślizgają, ale on ma więcej nóg i większe doświadczenie w tej zabawie.

Zanim wymyśliła, jak się z wdziękiem wycofać, pudełko rozdarło się i wszystkie ciasteczka wylądowały na podłodze.

Simon puścił pudełko i rzucił się na ciastka. Zachłannie zlizął jedno z podłogi, przełknął i ruszył po następne.

– Nie jedz z podłogi! – Meg z krzykiem odepchnęła go od ciastek.

Warknął, zaskoczony. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, on z uniesionymi wargami, prezentując wielkie zęby. Uświadomiła sobie, że zapewne minęło wiele lat od czasu, gdy ktoś ośmielił się odebrać mu jedzenie.

Odeszła o krok i postanowiła udawać, że ma do czynienia z powiększoną wersją Sama, tak było bezpieczniej.

– Świetnie. No dalej, napychaj się ciastkami. Ale to ty będziesz musiał wyjaśniać, gdzie się podziały, kiedy Sam przyjdzie tu z wizytą.

Odwróciła się od niego, przeszła stanowczym krokiem przez sortownię i zatrzymała się dopiero przy ladzie w recepcji. Z każdym krokiem coraz mniej potafiła opanować drzenie nóg.

– Niech sobie zeżre te ciastka – mruknęła pod nosem, przyglądając się, jak biała furgonetka parkuje na terenie dostaw. – Może tak się nimi napcha, że zapomni o tym, że chciał zjeść mnie.

Potem wzięła podkładkę z półki pod ladą, szykując się na przyjęcie ostatniej dostawy tego ranka.



Henry wyszedł na swoje podwórze. Kilka minut temu drewno przestało do niego przemawiać, więc odłożył narzędzia i posprzątał. Postanowił, że zje coś w Mięsie i Zieleninie, a potem poszuka sobie książki w nowościach w bibliotece – jeśli jeszcze coś zostało.

Wrony na murku były milczące – i wyraźnie niespokojne.

Co jest? spytał Henry.

Obcy wszedł do biura z paczką. Rozmawia z Meg.

Nie było w tym nic dziwnego. Odkąd mieli porządnego łącznika, dostawali coraz więcej przesyłek.

Henry odetchnął zimnym, czystym powietrzem – i wypuścił z płuc gorący gniew, gdy dotarł do niego zapach zza muru. To była woń intruza, który włamał się do budynku, w którym początkowo mieszkała Meg.

Był teraz w biurze. Rozmawiał z nią.

Simon?

W środku, z Meg, odparł Jake.

Bądźcie cicho.

Otworzył drzwi pracowni, ściągnął buty i skarpetki.

Na Dziedzińcu nie zachęcano do przybierania pośredniej formy. Za bardzo niepokoiła ona ludzi, wzbudzała zbyt wielki strach. Ale w tej chwili Henry miał to w nosie. Zmienił tylko to, czego potrzebował. Jego stopy przekształciły się we włochate łapy. U palców dłoni pojawiły się zagięte pazury.

Śnieg przy murze jego podwórze tworzył rampę. Henry wspiał się po niej na drugą stronę, przykucnął i przyjrzał się furgonetce. Potem, wciąż pochylony, przeszedł przez otwarty teren i stanął przy drzwiczkach od strony pasażera.

Rzut oka w okno biura. Meg rozmawia z tą małpą.

Widać wyraźnie, że nie ma ochoty na konwersację z intruzem. Ale on miał. O tak. On miał.



Simon gonił ciastko po podłodze, całkowicie pochłonięty tą głupią zabawą.

Meg nie przestraszyła się na jego widok w wilczej formie. Wręcz przeciwnie, wykazała się głupią odwagą i spróbowała odebrać przywódcy jedzenie. I bawili się. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek bawił się z człowiekiem.

Bo gonienie tego, kogo zamierzało się zjeść, nie było chyba zabawą z człowiekiem?

Czy bawiła się w przeciąganie z Samem? A w rzucanie? Wątpił, żeby miała dość siły, żeby rzucać daleko, ale mimo to mogliby się dobrze bawić. W trójkę. Mogliby...

Unióśł głowę i zawarczał cicho, choć nie bardzo wiedział, co sprawiło, że nagle poczuł gotowość do ataku.

Wszedł do sortowni, powęszył... i już wiedział.

Meg nie była zdenerwowana. Meg się bała.



Czuła na skórze tak mocne mrowienie, że chciała rzucić wszystko i za pomocą brzytwy pozbyć się go. Gdy tylko ten człowiek stąd wyjdzie. Zaczęło się, jak tylko wszedł do biura. Wszystko było nie tak, choć przecież nic nie zrobił.

– Musi się tu pani czuć samotna, przez cały dzień całkiem sama – zagadnął.

– Och nie, wciąż kręcą się tu ludzie. – Nie wspominając o Wronach, które śledziły wszystkich gości. Starając się zignorować mrowienie, Meg spojrzała na furgonetkę. Za mało informacji, za dużo luk. Co to za firma dostawcza? Przeniosła wzrok na paczkę, po drodze przyglądając się kurierowi. Potężny, mocno zbudowany. Sprawiał wrażenie brutala. Nie miał imienia na kieszonce bluzy. Ani nazwy firmy kurierskiej na kurtce. – Na przesyłce nie ma logo firmy – stwierdziła. Trzymał paczkę w taki sposób, że widziała naklejkę z adresem, ale nie mogła jej przeczytać. Kolejny punkt karny dla firmy przewozowej za zatrudnianie takich ludzi. – Kto ją wysłał?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Powinien pan mieć to w papierach – powiedziała ostro. Coś w jego spojrzeniu przywiodło jej na myśl chodzące imiona, ich reakcje, gdy któraś z dziewcząt ośmieliła się spytać o coś niezwiązanego z lekcją. – Dla kogo to?

– Dla któregoś z nich. Co za różnica? – Nie spodobał jej się jego ton. Ale jeszcze bardziej przeraziła się, gdy znów stał się przyjacielski. Jakby sądził, że nie usłyszała tego czegoś w jego głosie. – Przepraszam – powiedział. – Miałem wcześniej kilka trudnych dostaw. Same skargi, i to w dodatku nie na moją pracę. Wie pani, jak to jest? – To mogła być prawda, choć Meg podejrzewała, że zasłużył na te skargi. Położyła podkładkę i długopis na ladzie i sięgnęła po paczkę. Chciała ją odwrócić i sprawdzić, do którego kompleksu powinna trafić. Jeśli nie zdoła doczytać nawet tego, odmówi przyjęcia dostawy i napisze notatkę dla Simona i Vlady, na wypadek gdyby ktoś czekał na tę przesyłkę. Nagle mężczyzna złapał ją za nadgarstek. – Może pójdzie pani ze mną? – Szarpnęła się, ale nie zdołała mu się wyrwać. – Zjemy coś, poznamy się lepiej.

– Nie. – Szarpnęła się jeszcze raz. – Proszę mnie puścić!

– Bo co? Odgryziesz mi rękę?

– Bo...

W tym momencie do recepcji wpadł Simon. Z pewnością nie zamierzał zawracać sobie głowy odgryzaniem rąk. Z rozpędu przeskoczył ladę, a jego zęby minęły twarz mężczyzny o włos. Intruz puścił Meg i wycofał się w stronę drzwi z krzykiem:

– Ty pieprzona dziwko! Chciałem cię tylko zaprosić na obiad, a ty mnie

szczujesz tym cholernym psem?!

„Pies” warczał dziko, więc mężczyzna wypadł z biura i wskoczył do furgonetki z takim impetem, że koła po stronie kierowcy na chwilę uniosły się w powietrze. Ale Meg nie miała czasu się zdziwić, ponieważ Simon wepchnął ją siłą do sortowni.

Stanął na tylnych łapach i częściowo się przemienił. Złapał ją za ramię, a jego furia do spółki z dziwnym, ni to ludzkim, ni to wilczym, wyglądem, sprawiła, że przeszły ją ciarki.

– Gdzie ona jest? – przyciągnął ją do siebie i zaczął obwąchiwać. – Gdzie ona jest?

Meg próbowała mu się wyrwać, zaniepokojona dotykiem sierści pokrywającej ludzką pierś.

– Co gdzie jest?

Kiedy się pochylił, by obwąchać jej biodra, pisnęła i zaczęła się miotać energiczniej.

– Gdzie jest rana, Meg? – zawarczał.

– Nie cięłam się! – Teraz zaczęła z nim walczyć. Przypominał jej potwora z koszmarów sennych. Przerazał ją. – Przestań, Simonie! Puść mnie! – Wyrwała mu się i z impetem wpadła na ladę pod ścianą. Ręka, która nie była do końca ręką, chwyciła ją za sweter. Rozległ się odgłos pękających szwów. Słyszała jego chrapliwy oddech, kiedy ujrzał jej lewe ramię. – Nie cięłam się – powtórzyła, ze wszystkich sił tłumiąc płacz. – Byłam z tobą na zapleczu, a potem próbowałam przyjąć tę dostawę.

– Ale wiedziałaś, że on jest zły – wytknął jej Simon. – Wiedziałaś.

– Nie dlatego że się cięłam! Nie z powodu przepowiedni! Słyszałeś, żebym ją wygłaszała?

– Nie musisz mówić na głos.

Nie rozumiała, dlaczego taką wściekłością napelnia go myśl o tym, że się cięła. W końcu teraz to był jej wybór, prawda? Z pewnością nie wiedział wiele o *cassandra sangue*, ale sądząc z tego, jak patrzył na jej blizny, zdawał sobie sprawę, że to nic przyjemnego. Przynajmniej tyle.

– Zwykle ludzie wiedzą tylko o euforii, o ekstazie, jaką czuje wieszczka krwi, kiedy zada się jej ranę – zaczęła. Simon przechylił głowę, żeby pokazać, że słucha. – I rzeczywiście, czujemy euforię, ekstazę podobną do doznań seksualnych, tylko dłuższą. Ale najpierw, panie Wilcza Straż, jest ból. W momencie przecięcia skóry, zanim wieszczka zacznie mówić, czuje wielki ból. – Nie podobało mu się to. Odgadła to po czerwonych iskrach, jakie błysnęły w jego bursztynowych oczach. – Czy wie pan, w jaki sposób karze się takie jak ja? – Uniosła rękę i przesunęła palcem po bliznach przecinających pozostałe. – Przywiązuje się je do krzesła, jak zwykle. Potem się je knebluje. Kontroler siada naprzeciwko, a jedno z chodzących imion bierze brzytwę i tnie w poprzek starych wizji, starych przepowiedni. Wtedy powstaje coś nowego i okropnego. Obrazy mieszają się ze sobą bez punktów odniesienia, bez żadnej kotwicy. A ponieważ wieszczka jest zakneblowana, nie może mówić. Ktoś musi wysłuchać jej słów. Jeśli przepowiednia nie zostanie wypowiedziana, nie ma euforii. Jest tylko ból.

Simon podszedł bliżej, nadal wpatrując się w jej ramię. Uniósł rękę o palcach

zakończonych wilczymi pazurami, ale nie dotknął jej delikatnej skóry.

– Dlaczego cię ukarano? – zapytał.

I to nie raz. Mógł policzyć, ile razy próbowała oszukać Kontrolera i chodzące imiona. Jej ramię pokrywała siateczka blizn. Taka kara mogła ją doprowadzić do szaleństwa. Tymczasem obrazy połączyły się w pewien wzorzec, który pokazał jej, jak uciec.

– Skłamałam – odparła. – Był taki człowiek. Bardzo zły człowiek. Ulubiony klient Kontrolera. Prowadził kompleks, w którym mnie trzymano. Ten człowiek robił złe rzeczy małym dziewczynkom. Podróżował wiele w interesach i znalazł dwie dziewczynki, które mu się spodobały. Mieszkały w różnych miastach. Dowiedział się z przepowiedni, że może porwać jedną i nikt się nie dowie. Ale jeśli porwie drugą, znajdą go i umrze. Zapłacił za drugą przepowiednię, żeby się dowiedzieć, którą dziewczynkę może porwać bez ryzyka.

– Przekazałaś mu niewłaściwe obrazy, niewłaściwe miejsce, doprowadziłaś go do podjęcia złej decyzji.

Meg kiwnęła głową.

– Zanim zdążył ją skrzywdzić, policja złapała go i zabiła. – Spróbowała zakryć blizny drugą ręką, ale było ich zbyt wiele. – Kontroler zarabiał na tym kliencie masę pieniędzy, więc był wściekły, kiedy tamten zginął. Kazał przywiązać mnie do krzesła i ukarać kilka razy. – Spróbowała opanować mdłości. – Ból był okropny. Nie znam obrazów, za pomocą których mogłabym panu wyjaśnić, jak straszny. – Odchrząknęła. – Może mi pan wierzyć, panie Wilcza Straż, że nie cięłabym się w milczeniu. Nie bez powodu.

Nie był już taki wściekły, ale chyba jeszcze go nie przekonała.

– Skoro się nie cięłaś, skąd wiedziałaś, że ten kurier jest zły?

Teraz Meg pozwoliła sobie na gniew.

– Nie zachowywał się jak inni kurierzy. – A ponieważ mrowienie niepokoiło ją na tyle, że chciała o nim komuś powiedzieć, dodała: – I jak tylko wszedł do biura, poczułam pod skórą mrowienie.

Simon znów przekrzywił głowę i przyjrzał się Meg.

– Mrowienie?

– Nie potrafię inaczej opisać tego uczucia. Doprowadza mnie do szaleństwa. Kiedyś czułam je tylko tuż przed cięciem, ale teraz przychodzi codziennie i mam ochotę się ciąć i ciąć, i ciąć, byle się go pozbyć!

– Może to naturalna reakcja u twojego gatunku, jeśli nie trzyma się was w klatkach? Może ciało ostrzega cię w ten sposób, że coś jest nie tak? Jeśli usłyszę grzechot, wąż nie musi mnie ugryźć, żebym się zorientował w niebezpieczeństwie. Może teraz, kiedy nie mieszkasz już w kompleksie, budzi się twój instynkt? Dla Wilka to coś dobrego. – Nie brała pod uwagę takiej możliwości. – Więc co ci podpowiadał instynkt, jeśli chodzi o tego człowieka? – spytał Simon.

Jego twarz była teraz zupełnie ludzka, wyjąwszy uszy. Zmniejszyły się przez ostatnią minutę, ale nadal były to włochate uszy Wilka. Meg z trudem koncentrowała się na słowach, kiedy nimi poruszał, wyłapując dźwięki z zewnątrz, a potem zwracał ku niej.

– Wszystkie furgonetki dostawcze mają logo, z tyłu albo na boku, a parkują

w taki sposób, że mogę je zobaczyć, zanim kurier wejdzie do biura – wyjaśniła. – Kurierzy zazwyczaj mają imię wyszyte na koszuli albo identyfikator ze zdjęciem, a na ich kurtkach jest zwykle nazwa firmy. Chciała, żeby od razu wiedziała, kim są i gdzie pracują. Ten człowiek nie miał plakietki ani nawet logo na kurtce. Na samochodzie nie było nazwy firmy. Tablice rejestracyjne pokrywał śnieg i nie dawało się ich odczytać. A ta paczka! – Kiedy uświadomiła sobie, ile rzeczy jej nie pasowało, zaczęła mówić pewniej: – Nie potrafił mi powiedzieć, kto ją wysłał ani dla kogo jest przeznaczona. Na naklejce nie było nazwy firmy, a zaadresowano ją tak niewyraźnie, że nie mogłam odczytać, dla kogo jest przeznaczona. Żadna firma handlująca z Dziedzińcem nie wysłałaby takiej paczki! – Pomyślała przez chwilę i powtórzyła szeptem: – Żadna firma handlująca z Dziedzińcem nie wysłałaby takiej paczki...

Simon od razu domyślił się, co jej przyszło do głowy.

Bomba.

Wpadł do recepcji, przeskoczył przez ladę, chwycił paczkę, podbiegł do drzwi i otworzył je ramieniem. Oddalił się szybko kilka kroków od biura, żeby mieć więcej miejsca, po czym cisnął karton przed siebie.

Paczka przeleciała przez parking dla dostawców i wylądowała zaraz koło wyjazdu z ulicy. Sunęła przez chwilę po śniegu, aż wreszcie zatrzymała się na skraju chodnika, prawie na jezdni. Przechodnie rozbiegli się we wszystkie strony, kierowcy zaczęli trąbić, wpadali w poślizg, usiłując ominąć paczkę. A potem ludzie zauważyli Simona i zaczęli krzyczeć. Jedni odwrócili się na pięcie i uciekli. Inni wypadli na jezdnię, ledwie unikając potrącenia.

Wtem drzwi konsulatu otworzyły się gwałtownie.

– Simon! Jesteś pomiędzy formami! – wykrzyknął pobladły Elliot.

W odpowiedzi Simon zadarł głowę i zawył Wezwanie do Boju. Wrony zerwały się z murka, kracząc na alarm. Zawył ponownie. Odpowiedziały mu Wilki z rynku, z Kompleksu Usługowego, a kilka sekund później z Kompleksu Wilczej Straży. W powietrze wzbiły się Wrony i Jastrzębie – nawet kilka Sów – przekazując ostrzeżenie, wzywając do boju.

A Wilki wyły dalej.

Simonie. Głos Elliota był już bardziej opanowany, choć wciąż lekko drżał.

Zadzwoń na policję. Zadzwoń do Montgomery'ego. Powiedz mu, żeby tu przyszedł, wydał polecenia Simon.

Elliot wycofał się do konsulatu.

Musi się opanować. Musi zejść ludziom z oczu i przybrać konsekwentną formę. Chciał być Wilkiem, ale w tej chwili Dziedziniec – i Meg – potrzebowali go w ludzkiej skórze. Musi dowiedzieć się, co się stało z tym człowiekiem i furgonetką.

Henry? zapytał, zmierzając do drzwi biura.

Mam intruza. Zajmę się nim. Ty zaopiekuj się Meg.

Tylko głupi przywódca przeciwstawia się rozwścieczonemu Niedźwiedziowi, jeśli nie ma ku temu naprawdę dobrych powodów.

Zauważył Vlada, stojącego w przejściu prowadzącym na rynek i resztę Dziedzińca, więc zmienił kierunek i wraz z Sanguinatim przeszli na tył budynku.

– Co się stało? – spytał Vlad. – Zamknąłem ZDL i postawiłem Ferusa na straży. Nikt stamtąd nie wyjdzie, dopóki nie uzyskamy odpowiedzi. Tess też



zamknęła wszystkich w kawiarni.

– Małpa dotknęła Meg – zawarczał Simon. – Chciała ją zabrać.

– Jest ranna?

Był w zasadzie pewien, że nie, ale zanim ktokolwiek ją zobaczy, musi się doprowadzić do porządku.

– Powiedz Tess, żeby tu przyszła. Policja już jedzie.

– Ludzkie prawo nie działa na Dziedzińcu – stwierdził Vlad zimno.

– Wiem. Policja zajmie się paczką, którą przyniósł intruz.

Simon wszedł do biura od tyłu i zatrzymał się. Meg nadal była w sortowni. Za kilka minut pełno tu będzie Wron i policji. Oraz Sanguinatic i Wilków. Miał nadzieję, że dziewczynki znad jeziora zadowolą się doniesieniami Jester.

Z trudem przyszła mu pełna przemiana w człowieka. Ta forma z pewnością nie była tak użyteczna jak wilcze ciało. Jednak udało mu się, przynajmniej do pewnego stopnia. Na ramionach zostało mu futro, podobnie jak na plecach i piersi, nie mógł też zmniejszyć kłów do ludzkich rozmiarów. Chwilowo tyle wystarczy. Wciągnął dzinsy i sweter, które miał na sobie, kiedy tu przyszedł. Otworzył jedną ze skrzyń stojących na zapleczu, wyciągnął szarą bluzę i poszedł do sortowni.

Meg, oparta o stół, obejmowała się ramionami.

– Czy to była bomba? – spytała.

– Nie wiem. Policja to sprawdzi. Masz. – Simon podał jej bluzę. – Zaraz przyjdzie tu masa ludzi, a policja na pewno będzie chciała z tobą porozmawiać. – Meg była bardzo blada i to go niepokoiło. – Jeśli włożysz bluzę, nikt nie zobaczy blizn. Ściągnęła przez głowę sweter i założyła bluzę na koszulkę, która miała tylko jeden rękaw. Bluzka była na nią za duża i wyglądała w niej śmiesznie, ale jemu się to podobało. Podobało mu się też to, że miała na sobie coś z jego zapachem. – Zostań tutaj – polecił. – Wrócę za kilka minut.

Spojrzała w stronę zaplecza.

– Zmarzłam. Chciałabym sobie zaparzyć miętową herbatę.

Simon kiwnął głową. I tak zamierzał stąd wyjść.

– Świetnie. Tylko nie wychodź z budynku. – Zabrał sweter i oderwany rękaw koszulki i wrócił na zaplecze. Tam wepchnął stopy w buty, po czym wyszedł na zewnątrz.

Vlad i Nyx już na niego czekali. Oraz Tess, w której czerwonych kręconych włosach zauważył czarne pasma.

– I co? – zapytał Vlad.

– Meg nic nie jest – odparł Simon.

Tess spojrzała na sweter i rękaw, które trzymał w ręku.

– To mówi mi coś innego.

– Nic jej nie jest – powtórzył z warkotem.

– Dlaczego ten człowiek chciał zabrać Meg? – spytała Nyx.

Wrony podniosły chóralny alarm, a równocześnie Simon usłyszał syreny policyjne zbliżające się do Dziedzińca z kilku stron.

Masa małp, poinformował go chwilę później Jake. Znamy niektóre twarze, ale nie wszystkie.

– Policja już jest – powiedział.

– Równie dobrze mogę otworzyć drzwi ZDL – stwierdził Vlad. – Tyle się tu dzieje, że klienci na pewno daleko nie odejdą.

Tess westchnęła i wyciągnęła rękę do Simona.

– Daj mi to. Poślę Merri Lee na rynek po nowe ubranie.

Simon odruchowo zacisnął palce na rzeczach, które wciąż pachniały Meg.

– Merri Lee nie potrzebuje ich, żeby przynieść drugi sweter – odparł stanowczo.

Tess zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem. A potem odwróciła się i poszła do Czegoś na Ząb.

Nyx od pasa w dół przybrała formę dymu i popłynęła przejściem. Sanguinati nie mieli takich oporów przed pokazywaniem się pomiędzy formami jak Wilki. Być może dlatego, że w ich przypadku ludzie nie rozumieli niebezpieczeństwa i nie okazywali strachu.

– Zajmę się księgarnią – oznajmił Vlad po chwili milczenia.

– A ja policją – rzucił Simon.

– Montgomery nie jest głupi. Wezwałeś go, więc poczuł się dopuszczony do konfidencji. Będzie zadawał masę pytań.

Simon kiwnął głową.

– Masz rację, nie jest głupi. Miejmy nadzieję, że będzie też wiedział, kiedy przestać je zadawać.



Serce Monty'ego waliło głośno. Nie mógł przestać myśleć o historii Zatopionego Miasta.

Ktoś podrzucił do biura łącznika paczkę, w której może być bomba. To atak na Innych czy na Meg Corbyn? Bez względu na cel, ten fakt mógł mieć poważne konsekwencje dla całego miasta, jeśli mieszkańcy Dziedzińca postanowią ukarać za to wszystkich ludzi.

Radiowozy zablokowały skrzyżowanie Wroniej Alei z ulicą Główną, kierując ruch objazdami, z dala od Dziedzińca. Saperzy przybyli już na miejsce, podobnie jak straż pożarna i pogotowie. Pół tuzina radiowozów zaparkowano w przypadkowy sposób na ulicy Głównej. Kiedy Kowalski zatrzymał samochód, Monty zauważył resztę swoich ludzi, posterunkowych Debany'ego i MacDonalda.

Wszędzie pełno było policji, ale nikt nie postawił stopy na terenie Dziedzińca.

– Na bogów na górze i na dole – sapnął Kowalski. – Co tu się stało?

– Właśnie tego zamierzam się dowiedzieć. – Monty otworzył drzwi radiowozu i skinął na Debany'ego i MacDonalda. – Wy dwaj, idźcie porozmawiać z personelem Czegoś na Ząb i Zabójczo Dobrych Lektur. Sprawdźcie, czy coś wiedzą, i spróbujcie się wypytać o los klientów. – *Czy nic się im nie stało*, dodał w myślach. Nie musiał mówić tego głośno. Kiedy policjanci ruszyli, by wypełnić rozkaz, Monty podszedł do barykady zbudowanej przez saperów. – Louis?

Louis Gresh, dowódca oddziału, powiedział coś cicho do swoich ludzi,

a potem podszedł do barykady.

– Cześć, Monty. – Kiwnął na powitanie głową Kowalskiemu. – To nie jest bomba. Szmaty i książka telefoniczna, żeby zwiększyć wagę paczki. Zabieram ją do laboratorium i przekażę ci później. Nasi ludzie mogą znaleźć coś interesującego. – Nadleciały Wrony. Część przysiadła na dachach, inne pofrunęły na drugą stronę ulicy i usiadły na latarniach. Krakąły do siebie, stroszyły pióra – i widziały wszystko. Louis popatrzył na nie. – Zapewne mnóstwo świadków mogłoby ci opowiedzieć, co tu zaszło, ale wątpię, żebyś znalazł choć jednego, który zechce z tobą rozmawiać.

*To zależy, jak będę stawiać pytania*, pomyślał Monty.

– Dzięki za szybką reakcję.

– Do usług. – Louis jeszcze raz spojrzął na Wrony, a potem w niebo. Monty poszedł za jego spojrzeniem i ujrzał krążące nad Dziedzińcem Jastrzębie. Z oddali dobiegło go wycie Wilków. – Powodzenia – dodał Louis na odchodnym.

Monty odetchnął głęboko i wezwał policjantów, którzy zareagowali na zgłoszenie z Dziedzińca. Poleciał im sprawdzić sklepy po przeciwnej stronie ulicy. Możliwe, że ktoś coś widział i będzie na tyle odważny, by o tym opowiedzieć. Potem wraz z Kowalskim przeszedł przez barierkę.

– Karl, idź sprawdzić, czy ktoś pracuje w konsulacie – powiedział, gdy znaleźli się na terenie Dziedzińca.

– Tak jest.

Monty nie spojrzął na Wrony zebrane na murze ani na kobietę w czarnej sukni stojącą koło drzwi. Po prostu wszedł do środka i ruszył prosto do lady.

Meg Corbyn wyszła z zaplecza – była blada i miała na sobie szarą, dużo za dużą bluzę.

– Czy nic się pani nie stało, panno Corbyn? – spytał cicho. Nie zdołał powiedzieć nic więcej, gdyż obok Meg pojawił się Simon Wilcza Straż. Wolałby porozmawiać z nią w cztery oczy. Chciał jeszcze raz zapytać o siniaka na policzku, ale wiedział, że kobieta zwykle nie mówi prawdy, gdy obok stoi jej oprawca.

*Nie, ten siniak nie jest dziełem Wilczej Straży*, napomniał się w myślach.

– Jestem trochę roztrzęsiona, ale nic mi nie jest – odparła Meg.

Przyglądał jej się przez chwilę. Potem wyciągnął notes i długopis. Wszystkich innych poprosił o przybycie na posterunek i złożenie zeznań – ale zdawał sobie sprawę, że ona nie przyjdzie, a jeśli nawet, to lepiej nie domyślać się, kto będzie jej towarzyszył.

Gdy spytał, co tu zaszło, opowiedziała mu o białej furgonetce, która wzbudziła jej podejrzenia. Podciągnęła rękaw i pokazała mu siniaka na nadgarstku, za który chwycił ją napastnik. Wyjaśniła, że uciekł do furgonetki, kiedy zjawił się Simon. Nie potrafiła natomiast powiedzieć, w którą stronę odjechała ta furgonetka. Była wówczas w sortowni.

Mógł się założyć, że została tam wepchnięta. Inni nie chcieli, by zobaczyła, dokąd odjeżdża napastnik.

Jeden rzut oka na Simona Wilczą Straż powiedział mu, że nie powinien pytać o nic więcej.

Postanowił jednak zadać jeszcze jedno pytanie:

– Czy potrzebuje pani pomocy medycznej, panno Corbyn? Czy ma pani inne

siniaki, oprócz tego na nadgarstku? – Zajrzał jej w twarz. – Na zewnątrz jest karetka i sanitariusze. Zapewne nie musi pani jechać do szpitala, ale... – zawahał się, kiedy Wilcza Straż zaczął warczeć.

Meg pokręciła głową.

– Jestem trochę zeszywniała, ale poza tym naprawdę czuję się dobrze. – Przyjął jej słowa na wiarę. – Czy to wszystko, poruczniku? – spytała. – Chciałabym usiąść.

– To wszystko. Dziękuję. Pani informacje na pewno nam pomogą. – Wydawało mu się, że dostrzegł coś w jej twarzy. – Czy jest coś jeszcze?

Zadał to pytanie bez nacisku, ale Simon i tak natychmiast zablokował przejście, a jego bursztynowe oczy spoczęły na Meg.

– Meg? – zapytał. – Czy jest coś jeszcze?

Westchnęła.

– Nic takiego... To idiotyczne, zważywszy okoliczności.

Człowiek i Wilk czekali w napięciu.

Meg znowu westchnęła.

– Mam okropną ochotę na pizzę. Zanim zjawił się ten kurier, zamierzałam zadzwonić do Chrupiących Przymaków, żeby mi ją dostarczyli, a teraz nie mogę myśleć o niczym innym. – Nie była to normalna reakcja kogoś, kto właśnie ledwie uniknął porwania. Ale umysł broni się na wiele sposobów – między innymi koncentrując się na jedzeniu. Może *cassandra sangue* właśnie tak reagowały na strach?

– Jesteś głodna? – upewnił się Simon, a napięcie w jego sylwetce wyraźnie opadło.

Meg kiwnęła głową, po czym dodała z nadzieją:

– Może zgodzą się zrealizować tu dostawę.

*Nie dziś*, pomyślał Monty.

– W tych szczególnych okolicznościach pošlę radiowóz po pani zamówienie – powiedział, a kiedy zaczęła protestować, uniósł rękę i dodał: – Zamówię jeszcze dwie, dla swojego zespołu. Nawet policjanci muszą czasem jadać. – Zobaczył jakiś błysk w oczach Simona. Rozbawienie? Czy może Wilk docenił uprzejmość, którą okazał łącznikowi? – Z pepperoni i grzybami? – spytał. – A może woli pani z czymś innym?

– Może być z pepperoni – odparła Meg, uśmiechając się. – Dziękuję.

Gdy zniknęła na zapleczu, Simon zwrócił się do Monty'ego:

– To miły gest z pana strony.

– Przyjechałem pomóc. – Kiedy Wilk nie odpowiedział, po chwili wahania Monty dodał: – Napastnik mógł podczas ucieczki zgubić portfel albo prawo jazdy. Być może zguba wpadła w śnieg i dlatego jej nie zauważyliśmy. Ale jeśli dowiemy się, gdzie mieszka, przeszukamy jego mieszkanie i może zdołamy ustalić, dla kogo – albo z kim – pracował.

Nie chciał, żeby Inni uważali wszystkich ludzi za potencjalne zagrożenie. Ale jeśli ten człowiek miał współnika, Meg nadal nie była bezpieczna.

Niemal poczuł na ramionach ciężar ciszy, która zapadła.

– Jeśli coś zgubił, wywęszymy to, nawet jeśli wpadło w śnieg – powiedział

wreszcie Simon. – Wtedy dam panu znać.

Monty kiwnął głową.

– Każę jednemu z moich ludzi przynieść pizzę.

Wyszedł z biura, a po chwili dołączył do niego Kowalski.

– Zorientowali się, że coś się dzieje, dopiero jak Simon Wilcza Straż wszczął alarm – oznajmił. – Potem wszyscy poszaleli.

– Poszaleli, czyli „szykowali się do bitwy”?

– Tak to odebrałem.

Gdy tylko Monty przekroczył linię oddzielającą ziemię ludzi od Dziedzińca, zatrzymał się i rozejrzał po ulicy. Saperzy odjechali, podobnie jak straż pożarna, karetka pogotowia i połowa radiowozów. Skrzyżowanie nadal było zablokowane, a ruch skierowano z dala od Dziedzińca. Pojawił się natomiast błyszczący czarny samochód. Opierał się o niego kapitan Burke.

Monty ruszył w jego stronę, ale zauważył policjantów, których wysłał do sklepów naprzeciwko Dziedzińca. Zatrzymał się i zaczekał na nich.

– Macie coś?

– Nikt nie pamięta pojazdów, które tu dziś parkowały – zaraportował posterunkowy Hilborn. – Ale wszyscy klienci Pod Jeleniem i Zajęcem widzieli wilkołaka.

Monty zmarszczył brwi.

– Wilkołaka?

– Pół człowieka, pół wilka. Albo porośniętego futrem człowieka z głową wilka, jak pan woli. Póki się tu nie zjawiliśmy, większość sądziła, że to jakiś wariat, przebieraniec, który prowokuje Innych. Kiedy się zorientowali, że jest prawdziwy, przestraszyli się nie na żarty.

*No tak, pomyślał Monty. Te potwory z horrorów muszą się skądś brać.*

– Czyli nikt nie widział białej furgonetki wyjeżdżającej z Dziedzińca?

Hilborn pokręcił głową.

– Pamiętają tylko, że pojawiło się coś przerażającego. Nie sądzili, że coś takiego żyje na Dziedzińcu.

*Strach ogłupia ludzi...*

Monty spojrział na kapitana. Burke przyglądał się Wronom, a one obserwowały jego. Wiedział, że kapitan nie będzie długo tak cierpliwy, ale uznał, że zdąży jeszcze pogadać z Debanym i MacDonaldem.

– Napisz raport – polecił Hilbornowi.

Ten wskazał głową swojego partnera i jeszcze dwóch policjantów, którzy sprawdzali sklepy.

– Nie wiem, czy to coś da. Wszyscy świadkowie zgadzają się co do tego, że widzieli jakąś krzyżówkę Wilka z człowiekiem. Potem... No cóż, może pan sobie wybrać swój ulubiony horror.

– Rozumiem. – Monty skinął głową i odwrócił się do Debany'ego i MacDonalda.

– Klienci Czegoś na Ząb nie mieli pojęcia, że coś się dzieje, póki Tess nie zamknęła frontowego wyjścia i nie zostawiła ich pod strażą Jastrzębia – oznajmił Debany.

– Mniej więcej tak samo wyglądało to w Zabójczo Dobrych Lekturach – dodał MacDonald. – Zamknięte wejście, Wilk na straży, zero wyjaśnień. – Spojrzał na Kowalskiego. – Ruth tam była. Widać Inni traktują ludzi, którzy mają przepustkę na rynek, jak swoich pracowników. Albo może sama zgłosiła się na ochotnika – nie mamy tu jasności – ale usiadła w kasie i wdała się w długą dyskusję z Wroną na temat konieczności właściwego wydawania ludziom reszty, nawet jeśli oznacza to pozbywanie się błyszczących monet.

Kiedy Debany i MacDonald ruszyli zamówić pizzę, Monty zwrócił się do Kowalskiego:

– Masz pięć minut, żeby rozejrzeć się po ZDL.

– Dziękuję, panie poruczniku.

Karl odszedł, a Monty zbliżył się do swojego zwierzchnika.

– Jest jakiś powód, żeby blokować skrzyżowanie? – spytał Burke.

– Nie, panie kapitanie. Nie sądzę, żebyśmy mieli dziś jeszcze jakieś kłopoty.

– Dziś – powtórzył Burke. – Widać ktoś wciąż szepce gubernatorowi do ucha, a on naciska na burmistrza, żeby odzyskał skradzione mienie. Myśli pan, że to się łączy?

– Tak jest.

– Ja również. Co mamy?

Monty opowiedział mu o nieoznaczonej furgonetce i podejrzanym zachowaniu mężczyzny podającego się za kuriera oraz o doniesieniach o wilkołaku. Burke wyraźnie zbladł.

– Widział pan kiedyś Innego w takiej formie? – spytał Monty.

Burke kiwnął głową.

– Kiedyś, na początku kariery pracowałem w osadzie w samym środku dziczy. Oczywiście większość Thaisii to dzicz, ale w tamtych okolicach nie było żadnego miasta. Inni, którzy mieszkają w takich miejscach... Nie wiadomo, czy nie potrafią przybierać prawidłowej ludzkiej formy, czy po prostu nie chcą. Widuje się wśród nich takie krzyżówki. To naprawdę coś rodem z koszmarów. – Odetchnął głęboko. – Myślisz, że ta furgonetka opuściła Dziedziniec?

– Nie, panie kapitanie. Ale mam nadzieję, że Simon Wilcza Straż uzna za stosowne „znaleźć” portfel tego człowieka i przekazać go nam.

Burke odepchnął się od maski samochodu i otworzył drzwiczki.

– Udało się panu opanować sytuację, poruczniku. Dobra robota – powiedział, po czym wsiadł do samochodu i odjechał.

Kilka Wron natychmiast zerwało się z miejsca i poleciało z raportem na Dziedziniec.

Monty zajął miejsce w radiowozie, żeby tam poczekać na Kowalskiego. Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza kopertę zaadresowaną ręką Elayne. Musiała być przejęta, kiedy ją adresowała, bo naciskała długopis z całej siły. W środku była ręcznie wykonana kartka od Lizzy, jego kochanej córeczki. Uściski i całusy dla tatusia.

Schował kartkę i zamknął oczy. Dziś zdołał to opanować. To dobrze, bo abstrahując od mieszkańców Lakeside, miał ku temu naprawdę ważny powód.



Z pewnym wysiłkiem Azja sforsowała zamek i wślizgnęła się do mieszkania. Kiedy skończy tę misję, będzie posiadała dodatkowe umiejętności, które na pewno przydadzą jej się w programie telewizyjnym. Azja Crane, agentka do zadań specjalnych, będzie pochodziła z Toland. Nie, teraz większość prowadzących programy w telewizji pochodzi z tego wielkiego miasta na Wschodnim Wybrzeżu. Będzie zatem specjalistką sprowadzoną z Celtycko-Romańskiej Wspólnoty Narodów po to, by wykryła korporacyjną intrygę w Thaisii, albo może zdemaskowała zagrożenie dla całego ludzkiego rządu. Nie, lepiej – będzie zajmowała się problemami pomiędzy ludźmi a *terra indigena*. Powiedzmy, że w drodze przez Atlantyk nawiązała romans z oficerem na statku. I będzie miała asystenta w postaci oswojonego Wilka, który potrafi wywęszyć informacje niedostępne dla innych śledczych. Czyż nie byłby to wspaniały kopniak wymierzony w dupę Simona Wilczej Straży?

Tak czy inaczej, po tej misji będzie mogła sama dyktować warunki – i wyznaczać cenę.

Dzięki niech będą bogom, że zaparkowała w bocznej uliczce, kiedy wróciła na Dziedziniec. Chciała być w pobliżu, kiedy Simon Wilcza Straż odkryje, że ta gamoniowata Meg zniknęła. Tymczasem policja zablokowała skrzyżowanie, a wśród tłumu krążyły plotki, że coś podejrzanego stało się w biurze łącznika. Podobno miało to związek z paczką, z furgonetką albo z czymś tam.

Ludzie dzwoniли z komórek i wygadywali różne głupoty, ale Azja zdołała się zorientować, że Pan Biała Furgonetka położył sprawę – i to na całego.

Nie tylko sfuszerował porwanie, ten idiota dał się złapać! Dlatego nie martwiła się, że tu wróci i przyłapie ją na przetrząsaniu jego mieszkania. Jeśli nawet udało mu się wydostać z Dziedzińca, na pewno zniknął. I to na dobre. Problem w tym, że za wycieraczką furgonetki zostawiła mu kilka drukowanych wiadomości z opisem rozkładu dnia Meg. Zawodowiec pozbyłby się ich. No ale zawodowiec nie dałby się złapać.

W ramach przygotowań do swojej przyszłej roli pojechała pewnej nocy za Panem Białą Furgonetką, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszka. To miał być smaczny kąsek dla jej sponsorów, choć ją osobiście niewiele to obchodziło. Uznała jednak, że przyda jej się ta wiedza, jeśli będzie musiała wskazać policji wiarygodnego podejrzanego. Tymczasem ten głupiec sam to sobie zrobił. Gorzej, rzucił się Wilkom na pożarcie i tylko bogowie wiedzą, co im wypapla, zanim go zabiją.

Dlatego była tu teraz, na tym krótkim przeszukaniu. Żeby policja – albo, co gorsze, ktoś inny – nie znalazła nic, co mogłoby ich do niej doprowadzić.

Nic.

Pod materacem odkryła kilka pisemek dla mężczyzn. Przewróciła oczami, ale przejrzała je skrupulatnie, krzywiąc się z obrzydzenia, kiedy musiała rozklejać kartki. W końcu znalazła kawałek papieru z numerem telefonu. Nie był to lokalny numer.

A zważywszy, jaki był cel Pana Białej Furgonetki, ten numer oznaczał pieniądze.

Azja schowała kartkę do kieszeni, włożyła pisemka z powrotem pod materac i wyszła.



Późnym popołudniem Debany i MacDonald dostarczyli pizzę. Simon poczuł dziwną ulgę, gdy Meg z wilczym apetytem rzuciła się na jedzenie. Nie mogła być poważnie ranna, skoro jadła z tak wyraźną przyjemnością. Nie była już wystraszona po incydencie w biurze. I najwyraźniej nie bała się jego – skoro potrafiła żartować z tego, że objadł się ciastek i teraz nie ma ochoty na pizzę.

Szczęśliwa Meg działała na niego uspokajająco.

Szczęśliwa Meg chciała się dzielić jedzeniem. Oderwała nawet górną część pudełka od pizzy, położyła na nim dwa kawałki i zniosła przed biuro dla Wron.

Simon znał Wrony wystarczająco dobrze, by poradzić jej, żeby położyła te kawałki za biurem, a nie przed, gdzie mogliby je zobaczyć ludzie. Dość się już dziś napatrzyli na formy przejściowe. Lepiej żeby nie oglądali ptaków z dłońmi na końcu skrzydeł.

Ponieważ Wrony były zajęte, wziął swoją część pizzy i zjadł za ladą, obserwując ulicę.

Merri Lee przyniosła nowy sweter dla Meg i przekonała ją, żeby udała się do Elizabeth Bennefeld na masaż relaksacyjny. Kiedy Simon zamknął wreszcie biuro łącznika, Blair czekał na niego, oparty o ścianę garażu.

– Henry jest bardzo zły – poinformował go cicho. – Przemienił się i chce, żeby do jutra rana zostawiono go w spokoju.

– Powiedział coś, zanim się przemienił? – spytał Simon.

– Ktoś wynajął intruza, żeby zabrał od nas Meg. Dali mu numer telefonu, pod który miał dzwonić, ale nic więcej. Podobno ktoś zostawiał mu za wycieraczką w samochodzie informacje o tym, gdzie Meg mieszka i w jakich godzinach pracuje. Henry nie ma pojęcia, kto mu pomógł.

– Ktoś, kto wie, gdzie mieszka Meg. – Była bezpieczna w Zielonym Kompleksie, ale w biurze? – Od tej chwili cały czas ktoś ma z nią być, słyszysz? Wrony nie wystarczą. Ani strażnik w pokoju na górze. – Gdy Blair wyraźnie się zawahał, Simon dodał: – Widziała mnie jako Wilka i wcale się nie przestraszyła. Chcę, żeby ktoś z Wilczej Straży zawsze stróżował w biurze podczas godzin pracy.

Blair kiwnął głową.

– Boone chce wiedzieć, czy wystawić znak, że mamy specjalne mięso.

Simon już miał się zgodzić, kiedy pomyślał o policji. Dopuścił ich do tej sprawy, a Montgomery będzie tu węszył przez jakiś czas. Pomyślał też o Meg pytającej o specjalne mięso dla Sama. I o Ruthie, która robiła zakupy na rynku. Prędzej czy później obie poznają ten znak i będą musiały pogodzić się z tym, co on oznacza. Ale tym razem pochodzenie mięsa było aż nazbyt oczywiste.

– Nie – zdecydował. – Przekaż wszystkim wiadomość, że mięso jest dostępne.



I dopilnuj, żeby chociaż trochę krwi dostało się Erebusowi.

– To już załatwione. Nyx się tym zajęła. – Tak, Erebus na pewno będzie chciał dostać krew człowieka, który próbował zabrać Meg, człowieka, który tknął Meg. – Mamy zarezerwować mięso także dla ciebie? – spytał Blair.

Nie był człowiekiem. I nigdy nim nie będzie.

– Chcę dostać serce – powiedział Simon. – Przyjdę po nie później.

*Kiedy Meg będzie spała.*

## Rozdział 16

Gdy Meg obudziła się następnego ranka, świeciło słońce, a niebo było bezchmurne. Ale kiedy wystawiła nos przez frontowe drzwi, przekonała się, że nadal jest okropnie zimno. Ponieważ nie miała nic do roboty i nie musiała się nigdzie spieszyć, odgrzała ostatni kawałek pizzy i zjadła na śniadanie, czytając książkę, którą wypożyczyła z biblioteki Dziedzińca. W dwie ostatnie niedziele nie było zbyt spokojnie, ale dziś, wyczuła różnicę, gdy tylko wyjrzała przez okno. W Zielonym Kompleksie, a może nawet na całym Dziedzińcu, panowała cisza.

Kiedy znudziło się jej czytanie, wytarła kurz, zamiotła podłogę i wyszczotkowała dywany. Wzięła prysznic, posprzątała łazienkę i poczuła, że ma dość siedzenia w domu. Zapragnęła towarzystwa.

Czy była sama w całym kompleksie? Czy wszyscy udali się w inne części Dziedzińca?

*Jesteś tu bezpieczna, pomyślała. Nikt nie ośmieli się wejść tak głęboko na Dziedziniec.*

Zjadła gulasz, który dostarczono jej wczoraj z Mięsa i Zieleniny, i postanowiła wyjść. Zebrała swoje ubrania i ręczniki i opatulila się porządnie na krótką drogę do pralni. Kiedy wstawiła pranie, weszła na górę, do świetlicy.

Henry uśmiechnął się na jej widok.

– Nie spodziewałem się zobaczyć cię dzisiaj – powiedział.

Meg przestąpiła z nogi na nogę i nagle pożałowała, że nie została na dole.

– Ludzie nie są aż tacy delikatni. Wczoraj się tylko przestraszyłam i zarobiłam siniaka na nadgarstku. Nie wpadłam w przepaść ani nic w tym rodzaju.

Teraz roześmiał się już głośno.

– Jesteś pierwszym człowiekiem, który mieszka tu z nami, więc musimy się jeszcze wiele nauczyć.

– Ale przecież wynajmujecie ludziom mieszkania, zatrudniacie ich i pozwalacie im robić zakupy na rynku – powiedziała, podchodząc do jego stolika.

– To nie to samo.

Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, więc przyjrzała się kolorowym kawałkom leżącym na stole.

– Puzzle?

– Miła odmiana w zimowe popołudnie. – Henry wskazał gestem krzesło. – Usiądź i przyłącz się do mnie, jeśli masz ochotę. – Meg zajęła miejsce i wzięła kilka elementów układanki. – Nigdy nie układałaś puzzli? – spytał.

Pokręciła głową.

– Widziałam różne gry i układanki na obrazkach, również puzzle. To wystarczy, żebyśmy potrafiły rozpoznać je w wizjach. Nie musimy uczyć się grać.

– W takim razie czas najwyższy, żebyś doświadczyła świata, zamiast jedynie

identyfikować jego fragmenty.

Przez jakąś minutę przyglądała się, jak Henry układa puzzle, po czym sama zaczęła szukać pasujących kawałków. Zapadła między nimi spokojna, dobra cisza. Po pewnym czasie Meg poszła do pralni, by przełożyć swoje rzeczy do suszarki.

– Czy tylko my zostaliśmy w kompleksie? – spytała po powrocie, siadając znów przy stoliku.

Henry kiwnął głową.

– Większość spędza ten dzień z rodzinami w innych kompleksach. A Kojot poszedł pobiegać.

– A Tess? – Meg połączyła cztery klocki, zanim podjęła: – Widziałem ją tylko w jej ludzkiej formie.

– Nikt z nas nie wie, jak wygląda druga forma Tess. Wiemy, że należy do *terra indigena*. Wiemy, jak interpretować to, co dzieje się z jej włosami. Ale czym się staje, kiedy zrzuca ludzką skórę – to wie jedynie Namid.

Uznawszy, że zadała już dość pytań, Meg zajęła się puzzlami. Kiedy jej pranie wyschło, zapakowała je do torby, ubrała się i poszła do siebie.

Powoli zapadał zmierzch. Kiedy była w połowie drogi do domu, ujrzała biegnącego ku niej Wilka.

– Sam! Nie! – To był głos Simona.

Szczeniak minął ją, zamiast na nią wskoczyć. Potem zawrócił i spróbował chwycić róg torby z praniem.

– Jeśli ją poszarpiesz, będę musiała jeszcze raz zrobić pranie, a wtedy ciebie też wrzucę do pralki, zobaczysz – ostrzegła go Meg.

Sam przekrzywił głowę i pomachał ogonem w taki sposób, że zaczęła podejrzewać, iż właśnie poddała mu wspomniały pomysł. Ale przecież nie będzie wlaził do pralki, prawda?

Odwrócił się i pognął w stronę Simona, który stał przy drzwiach swojego mieszkania. Wilczek skoczył na wuja, ledwie dając mu czas, żeby go złapał, po czym natychmiast wyrwał się z jego ramion i pognął znów do Meg.

Kiedy podeszła na tyle blisko Simona, że Sam mógł skakać między nimi, zaczął do niej ujadać.

Meg uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie rozumiem po wilczemu.

– Nie zmieniamy się na mrozie – rzucił Simon ostrzegawczo, uprzedzając ewentualne działania siostrzeńca. Wtedy Sam zaczął ujadać na niego. – Wejdz do środka, a ja ją spytam. – Gdy Sam wpadł do mieszkania, ślizgając się na podłodze, Simon zwrócił się do Meg: – Dziś wszystko dobrze?

– Było bardzo spokojnie – odparła. – I cicho. – Szurnał nogami. I wyraźnie omijał ją wzrokiem. – Panie Wilcza Straż?

– Kiedy Sam się wykąpie, będziemy oglądać film. Chciałby – obaj chcielibyśmy – żebyś obejrzała go z nami.

W naturze trudniej było interpretować wyraz twarzy niż na obrazkach z odpowiednimi podpisami, więc Meg nie była pewna, na którą wiadomość przekazaną przez Simona powinna odpowiedzieć. Zaprosił ją do nich, ale...

– Wolałby pan, żebyś odmówiła pod jakimś pretekstem?

– Nie – warknął. Potem cofnął się o krok i usłyszała jego ciche, pełne frustracji skomlenie. Simon zapewne chodził kiedyś do szkoły, musiał odebrać jakieś wykształcenie, żeby móc kierować księgarnią i Dziedzińcem, ale nagle zrozumiała, co Henry miał na myśli, mówiąc o różnicy pomiędzy utrzymywaniem stosunków z ludźmi a przyjaźnieniem się z nimi. Chciał, żeby przyszła i obejrzała film, ale też coś go gnębiło. – Spędziłem ostatnio dużo czasu w tej skórze. – Simon uderzył się w pierś i spojrzał na śnieg odgarnięty na środek podwórza. – Niedziele to dni, kiedy mogę być Wilkiem. Ale powinienem zachęcać Sama do zmieniania się w człowieka, a to oznacza, że teraz muszę nosić ją ciągle.

Meg chłonęła jego słowa, jakby były obrazami, które można poskładać w przepowiednię – i rozumiała, o co chodzi.

– Chciałbyś spędzić ten wieczór w swojej drugiej formie.

– Tak.

– No cóż, jak przygotujesz popcorn i włączysz film, możesz się śmiało przemienić.

Spojrzał na nią.

– Nie będzie ci to przeszkadzać?

– Nie.

– To o siódmej?

Uśmiechnęła się.

– O siódmej.

Kiedy Meg wchodziła po schodach do swojego mieszkania, czuła na plecach jego wzrok. Usłyszała wycie Sama i zaczęła się zastanawiać, ilu jeszcze mieszkańców Dziedzińca wie, że wybiera się dziś wieczorem na seans filmowy do sąsiada.



Simon zmył naczynia i opanował zniecierpliwienie. Nie mógł się doczekać, kiedy pozbędzie się tej skóry, tego kształtu. Ludzka forma miała kilka zalet w stosunku do czystej formy Wilka, ale nie była naturalna. Konieczność pozostawania w tej skórze, kiedy zaczynała przeszkadzać, mogła prowadzić *terra indigena* do wybuchu wściekłości.

Tak jak na zachodzie, tylko że tam do wybuchów wściekłości dochodziło, kiedy Inni byli w swojej zwierzęcej formie.

Nie miał ochoty teraz się nad tym zastanawiać, więc potrząsnął głową, jakby w ten sposób mógł odpędzić myśli.

Meg powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, by zmienił się w Wilka, kiedy będą oglądać film. Nie sądził, żeby kłamała.

Poszedł na górę i wyciągnął Sama z kąpieli, jednym uchem słuchając jego entuzjastycznych planów na dzisiejszy wieczór. Pozwolił mu wybrać film, a sam poszedł do kuchni przygotować popcorn. Nie przepadał za nim, ale wiedział, że to tradycyjna ludzka przekąska przy oglądaniu filmów, więc przygotował wielką miskę

dla Meg i Sama. Właśnie skończył polewać popcorn roztopionym masłem, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Sam wydał dźwięk będący skrzyżowaniem okrzyku człowieka i wycia Wilka i pobiegł otworzyć.

Gadał jak nakręcony, co wskazywało, że jest szczęśliwy i podniecony. Potem Simon usłyszał głos Meg, nadal w pobliżu drzwi. Nadstawił uszu. Dlaczego wciąż stała przy drzwiach? Zmieniła zdanie i przyszła powiedzieć, że nie chce oglądać filmu?

*Nie*, stwierdził po chwili, słysząc jej głos w salonie. Po prostu zdejmowała płaszcz i buty. Dlaczego nie przyszła tylnym wejściem?

Starał się z całych sił opanować reguły rządzące światem ludzi, żeby prowadzić z nimi interesy, ale istniał jeszcze cały wachlarz zasad dotyczących stosunków osobistych.

Ogarnęła go frustracja – podejrzewał, że sam komplikuje proste sprawy – więc zaniósł popcorn do salonu. Wrócił do kuchni po dwa duże kubki wody i ustawił wszystko na stole przed kanapą. Przywitał się z Meg, a potem poszedł się rozebrać i przemienić.

Gdy przybrał wilczą formę, zakradł się pod drzwi salonu, cichy, pełen wyczekiwania. Sam i Meg włączyli film. Słuchał zapowiedzi innych filmów, słuchał ich rozmowy, kiedy usiedli razem na kanapie. Odczekał jeszcze dwie minuty, a potem wszedł do salonu.

Siedzieli wygodnie na jednym końcu kanapy i patrzyli w ekran telewizora. Meg trzymała na kolanach miskę z popcornem.

Simon przemknął za kanapą i wyszedł z drugiej strony.

Chwila napięcia. Chwila strachu.

A potem Meg poklepała poduszkę i zapytała:

– Chyba zostawiliśmy ci dość miejsca? – Wskoczył na kanapę. – Chcesz popcorn? – Podsunęła mu miskę.

W odpowiedzi odwrócił głowę, lekko przyciskając pysk i czoło do jej ramienia. Spięła się, ale kiedy nie zrobił nic więcej, powoli zaczęła jeść.

Simon zamknął oczy. Nadal przyciskając głowę do ramienia Meg, oddychał jej zapachem. Włosy wciąż jej śmierdziały, ale już nie tak bardzo, natomiast reszta pachniała miło. Uroczo. Kojąco.

Po kilku minutach wepchnął głowę pod ramię Meg i położył na jej udzie.

Znow spięła się na chwilę. A potem przesunęła miskę z popcornem, tak żeby go nią nie trącać.

Kilka minut później poczuł, jak nieśmiało zanurza palce w jego futrze.

Kiedy po raz pierwszy wciągnęła gwałtownie powietrze, omal się nie zerwał, pewien, że usłyszała coś niepokojącego na zewnątrz. Potem skojarzył rytm jej oddechu z uwagami Sama na temat filmu. Przysypiając, śledził akcję poprzez jej dotyk i oddech, prawie nie słuchając komentarzy chłopca, typu: „To będzie straszne, ale nic im się nie stanie”, albo „Patrz teraz!”.

Przyjemność. Zadowolenie. Komfort.

Z wyjątkiem włosów pachniała naprawdę miło.

Rozbudził się, kiedy Sam oświadczył:

– Możemy obejrzeć jeszcze jeden film.

– Ty może tak – odparła Meg. – Ale ja idę jutro do pracy, więc muszę już wracać do siebie.

– Ale...

Dość, mały, przerwał mu Simon. Idź umyć zęby, tak jak ci pokazywałem. Odprowadzę Meg do domu i sprawdzę teren wokół nory. Potem wrócę i poczytam ci na dobranoc.

Meg może mi poczytać.

Simon podniósł głowę i spojrzał na chłopca. Sam zgramolił się z kanapy, obdarzył Meg nieśmiałym uśmiechem, a Simonowi rzucił wyzywające spojrzenie.

– Mogę jutro pojechać z tobą do pracy – powiedział.

– Jutro masz szkołę – przypomniała mu Meg. – A ja nie mogę się na to zgodzić bez rozmowy z twoim wujkiem. Więc dobranoc, Sam.

Wysunął dolną wargę, jakby chciał zobaczyć, jak zareagują. Ale oboje tylko na niego patrzyli.

– Dobranoc... – westchnął więc i poszedł na górę.

Meg odstawiła miskę na stół.

– Chyba powinnam poszukać serwetek – stwierdziła, patrząc na swoją dłoń.

Simon wyciągnął szyję i przejechał językiem po jej dłoni. Kiedy jej nie cofnęła, polizał ją znowu, a potem starannie zlizął z jej skóry całe masło i sól. Dobrze pachniała. A smakowała jeszcze lepiej. – Wystarczy, dziękuję – powiedziała. Zabrała miskę i kubki, po czym wyszła z pokoju. Simon podniósł się z kanapy, ziewnął i przeciągnął się, a potem poszedł za nią do kuchni. – Nie wiem, czy popcorn powinien trafić na kompost, czy do spalarni, więc zostawię go tutaj – powiedziała.

Gdy zakładała płaszcz, trudno mu było nie skakać na nią, nie zapraszać do zabawy, ale nadszedł czas na spoczynek i nie chciał, żeby się przez niego zdenerwowała. Jeśli nie będzie się bała Wilków, jest szansa na wspólne spacerowanie w trójkę.

Odprowadził ją pod same drzwi. Zaczekał, aż wejdzie do mieszkania, starannie obwąchał teren, po czym ruszył sprawdzić resztę kompleksu.

Kiedy dotarł do drogi, Allison zahukała na powitanie, przemykając obok. W mieszkaniu Vlada paliło się światło, co oznaczało, że Sanguinati wrócił już z niedzielnej wizyty na Pokojach.

Żadnych nieznanych zapachów. Żadnych oznak niebezpieczeństwa.

Byli bezpieczni, przynajmniej tej nocy.

Zadowolony, wrócił do mieszkania i do siostrzeńca, który czekał na bajkę na dobranoc.

– Halo?

– Wysłannik, któremu powierzył pan odzyskanie swojej własności, zrobił się nieostrożny. Wilki dopadły go przed policją.

– Kto mówi?

– Ktoś, kto lepiej się panu przysłuży w tej sprawie. Oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem.

– Skąd pani ma ten numer?

– Jak powiedziałam, pański wysłannik zrobił się nieostrożny. – Chwila ciszy. – Doszłam do wniosku, że nie chciałby pan, żeby policja znalazła pański telefon

podczas przeszukania w jego mieszkaniu.

– Powierzyłem odnalezienie mojej własności kilku wysłannikom. Który zrobił się nieostrożny?

– Ten w Lakeside.

– Jest pani pewna, że znalazła moją własność? Proszę ją opisać.

Chwila wahania.

– Niska, drobna, szare oczy.

Milczenie. A potem:

– Ile czasu zajmie pani jej odzyskanie?

– Kilka tygodni.

– To nie do przyjęcia, stracę przez ten czas zbyt wiele pieniędzy.

– Ukryła się w bardzo niedogodnym miejscu.

– Mogę wesprzeć tę akcję. Dostarczyć niezbędne akcesoria i wsparcie.

– Wolę polegać na własnych akcesoriach, ale wsparcie się przyda.

Znów chwila milczenia.

– Daję pani tydzień na dostarczenie informacji, które pomogą mi odzyskać własność. Jeśli okaże się pani właściwą osobą, porozmawiamy o wynagrodzeniu i premii.

Koniec połączenia.

Azja słuchała przez kilka sekund ciszy, jaka zapadła, a potem odłożyła słuchawkę na widełki. Zauważyła, że ręce jej się trzęsą. Zrobiła to, nawiązała kontakt, dała do zrozumienia, że jest profesjonalistką, że na co dzień zajmuje się odzyskiwaniem własności. Mówiła jak ktoś, kto bez wahania uprowadzi żywą osobę, jeśli okaże się to konieczne.

Czyli ta brzydula, Meg, nie była jedynie złodziejką? Była też skradzioną własnością? Kimś wartym tyle, by zorganizować poszukiwania na szeroką skalę?

– Gdyby to Azja Crane, agentka do zadań specjalnych, dostała taką informację, jakie byłyby jej wnioski? – mruknęła pod nosem, a potem znów podniosła słuchawkę i wybrała numer swojej Grubej Ryby. – Kogo można uznać za skradzioną własność?

– spytała, gdy tylko odebrał.

Natychmiast wyczuła podniecenie w jego głosie.

– Dotarły do nas plotki, że zawieruszyła się jedna z wieszczek krwi – powiedział. – Jest poszukiwana w Rejonie Północno-Wschodnim. Znalazłaś ją? – Myśli Azji płynęły tak szybko, że ledwie je rejestrowała. Więc Meg była *cassandra sangue*? Nic dziwnego, że Pan Biała Furgonetka chciał ją porwać. Nic dziwnego, że ktoś naciskał na burmistrza Lakeside, żeby ją znalazł. Ta skóra musi być warta grube tysiące dolarów. Może nawet milion! A teraz strzegły ją kły, szpony i dzioby, które mogły uczynić tę skórę bezużyteczną. – Znalazłaś ją?

– Nie wiem. Być może. – Azja zawahała się. Nie miała pewności, który z nich jest w stanie dać więcej. – Ktoś próbował dziś porwać łącznika z tutejszego Dziedzińca, więc nie mogę być zbyt dociekliwa.

– Myślisz, że ona tam jest? Na Dziedzińcu? – Chwila milczenia. – Tak, to możliwe. Tamtejszy burmistrz jest bardzo sfrustrowany brakiem postępów w śledztwie, o którym ci mówiłem. Czyli wieszczka i złodziejka to ta sama osoba?

*Muszę się zdecydować. Teraz, pomyślała Azja. Albo podejmę ryzyko i zdam się*

*na kogoś, kto być może złoży mi dobrą ofertę, albo będę się trzymać ludzi, którzy zagwarantują mi program w telewizji, dzięki któremu stanę się bogatą kobietą.*

– Tak sądzę.

– Nawet jeśli nie znajdziemy jej właściciela, są inni, którzy...

– Już go znalazłam. – Cisza, jaka zapadła po tych słowach, była ciężka od znaczeń, więc Azja brnęła dalej: – Poszperałam trochę i znalazłam mieszkanie niedoszłego porywacza, a w nim numer telefonu. Zadzwoiłam tam przed chwilą. Wysła tu swoich ludzi, ale dostaniemy znaleźne i wynagrodzenie za pomoc.

– Widać naprawdę chcesz mieć własny program w telewizji.

Azja uśmiechnęła się szeroko.

– Naprawdę chcę.

Obiecała, że będzie go informować na bieżąco o postępach, rozłączyła się i zaczęła niespokojnie krążyć po mieszkaniu. Nie mogła się uspokoić.

Coś w tonie jego głosu... Jakby niechęć, kiedy powiedziała mu, że nawiązała już kontakt z człowiekiem, który zapewne był Kontrolerem Meg. Czyżby chciał sprzedać Meg temu, kto da najwięcej? A może miał nadzieję zamknąć gdzieś brzydulę i sam korzystać z jej usług?

W tej chwili nie miało to znaczenia. Ludzie Kontrolera jechali już do Lakeside. Czas zmienić cel misji. A to oznaczało, że Darrell jednak będzie miał fart.

Ona też będzie miała fart, czuła to. Niech Gruba Ryba i jego koledzy narzekają, że wieszczka krwi wymknęła im się z rąk. Ona da im w zamian coś lepszego: mały, futrzasty argument przetargowy.



## Rozdział 17

Kiedy nazajutrz rano Meg weszła do recepcji biura, po drugiej stronie lady siedział wpatrzony w nią Wilk. Rzuciła okiem na przejście w kontuarze. Choć zasuwki były zamknięte, niespecjalnie ją to uspokoiło, szczególnie że Wilk stanął na tylnych łapach, a przednie oparł o kontuar w taki sposób jak ludzie opierają się na łokciach.

Wycofała się przez drzwi z napisem NIE WCHODZIĆ, zamknęła je za sobą, przekręciła klucz w zamku i pomknęła do telefonu w sortowni. Ręce jej drżały i miała trudności z wybraniem numeru, ale w końcu udało jej się połączyć z Zabójczo Dobrymi Lekturami.

– W biurze łącznika jest Wilk! – krzyknęła.

Pełne konsternacji milczenie po drugiej stronie linii.

– A nie powinno go tam być? – spytał wreszcie John Wilcza Straż.

– Nie w wilczej formie! Gdzie jest Simon? Muszę porozmawiać z Simonem!  
Kolejna chwila ciszy.

– Jest u ciebie w biurze – odparł wreszcie John.

– Nie, nie ma go tu. Wiem, jak wygląda Simon jako Wilk. I to na pewno nie jest on!

– To jest Nathan – stwierdził beznamiętnie Simon, który właśnie wyszedł z zaplecza. – Ma zmianę dziś rano.

Meg odłożyła słuchawkę, a potem podniosła ją znowu i pomimo że połączenie zostało już zerwane, powiedziała:

– Do widzenia, John.

– Otworzyłaś frontowe wejście? – spytał Simon, szukając w szufladzie kluczy do biura. Znalazł je na blacie koło telefonu i ruszył ku recepcji.

– Nie, nie otworzyłam. Bo na drodze stanął mi Wilk!

Przyjrzał jej się uważnie.

– Dziwnie się zachowujesz. – Pociągnął lekko nosem. – Czy to ta pora miesiąca? – Meg wrzasnęła przenikliwie. Jego ludzkie uszy przyłgnęły do czaszki w nienaturalny dla ludzi sposób. W recepcji zawył Wilk, a bursztynowe oczy Simona zalśniły drapieźnie. – Nie bałaś się mnie, kiedy byłem Wilkiem – stwierdził. – Dlaczego boisz się Nathana?

– Bo ma takie wielkie łapy! – To była prawda, ale nie kluczowy argument. Po prostu to jako pierwsze wpadło jej do głowy.

– Co takiego?

Dobiegło ich obrażone „arruuu” – przypomnienie, że Wilki oprócz łap mają też wielkie uszy.

Meg zamknęła oczy, a potem odetchnęła głęboko. I jeszcze raz. Niczego nie osiągnie, jeśli będzie się zachowywać jak idiotka. Sama nie rozumiała swojej paniki.

– Obcy Wilk jest bardziej przerażający niż znajomy, szczególnie jeśli się go nie spodziewasz – wyjaśniła.

Pomimo – jej zdaniem – logicznej argumentacji Simon lekceważąco machnął ręką.

– To jest Nathan – powiedział. – Zostanie tutaj. Jako przywódca Dziedzińca podjąłem taką decyzję.

– A ja, jako łącznik Dziedzińca, powinnam zostać o tym poinformowana z wyprzedzeniem!

Simon zrobił krok w jej stronę. Meg zrobiła krok w stronę Simona.

Nathan zza drzwi głośnym warknięciem domagał się wyjaśnień.

– Ktoś zapłacił temu człowiekowi, żeby cię porwał – warknął Simon. – Ktoś próbował zrobić ci krzywdę. Dlatego od tej pory zawsze będzie tu czuwał jakiś Wilk, kiedy biuro będzie otwarte. Nathan pilnuje porządku na Dziedzińcu. Jest jednym z najlepszych wojowników.

– Ale...

– Postanowione.

Nie wygra. Nie zdoła nawet wymóc na nim, żeby Nathan nie pokazywał się kurierom. Spojrzała w stronę recepcji i wyszeptła konspiracyjnie:

– A jeśli ugryzie któregoś z dostawców?

– To zależy, czy będzie głodny.

*Ha, ha, bardzo śmieszne*, pomyślała, choć podejrzewała, że Simon nie żartuje. Zresztą miał rację w kwestii człowieka, który próbował ją porwać. Czasami Inni tak wypełniali jej myśli, że zapominała o Kontrolerze.

– Powinieneś się ze mną skonsultować – spróbowała jeszcze raz. Simon, zamiast odpowiedzieć, otworzył drzwi do recepcji, a potem drzwi do biura i wystawił tabliczkę z napisem OTWARTE. Musiał użyć przejścia w kontuarze, ponieważ na drodze stał mu Wilk. Kiedy wrócił do sortowni, wrzucił klucze do szuflady i spojrzał na Meg w taki sposób, że miała ochotę mu przywalić. – Panie Wilcza Straż? – W jej głosie brzmiały irytacja i wyczekiwanie.

Odwrócił się do niej, szczerząc zęby, które zaczęły się wydłużać.

– Jeśli powiesz na ten temat jeszcze jedno słowo, zjem cię i nie zostawię dla niego nawet ucha. – Ruchem głowy wskazał recepcję.

I wyszedł. Podskoczyła, kiedy trzasnął drzwiami na zapleczu.

Gdy zajrzała do recepcji, Nathan nie stał już przy kontuarze. Leżał na podłodze, wpatrując się we Wronę, która siedziała na drewnianej rzeźbie na zewnątrz. Kiedy przeniósł spojrzenie na Meg, spróbowała się uśmiechnąć.

– Dzień dobry, Nathanie. Przepraszam za to nieporozumienie.

Uniósł wargę, pokazując jej kiel, a potem znów skierował wzrok na Wronę.

*No tak*, pomyślała Meg. *Czuje się obrażony i raczej szybko mi nie wybaczy.*

Postanowiła wrócić do sortowni i przejrzeć katalog Pałacu Milusińskich. Może znajdzie coś, co mogłaby zamówić na przeprosiny.



– Harry, to jest Nathan. Nathanie, to jest Harry.

Kurier spojrział na Wilka i zbladł. Wilk spojrział na kuriera i oblizał się.

Meg stwierdziła, że ten poranek z każdą minutą staje się gorszy. Ale Harry ją zaskoczył.

– Krążą plotki, że mieliście kłopoty – powiedział. – Żadnych szczegółów, ale gdy chodzi o Dziedziniec, nigdy nic nie jest jasne. – Przyjrzał się jej. – Do kłopotów doszło tutaj, w biurze?

W odpowiedzi Meg podciągnęła rękaw i pokazała mu posiniaczony nadgarstek.

– Jakiś człowiek udający kuriera próbował mnie uprowadzić. Pan Wilcza Straż mu przeszkodził.

Harry wydał usta. Potem westchnął.

– Wrony na zewnątrz mogą ostrzec o kłopotach, ale nie mają dość siły, by pomóc. – Postukał palcami w ladę. – Niech pani na siebie uważa, panno Meg.

Wyszedł, kłaniając się po drodze Nathanowi.

Reszta poranka upłynęła mniej więcej tak samo. Wszyscy kurierzy reagowali przerażeniem na widok Nathana. Większość mówiła coś w rodzaju „Ma pani nowego pomocnika? A co się stało z tamtą Wroną?”. Zapewne uważali stosunki z Wroną za dziwne, ale i tak lepsze od obecności stworzenia, które waży tyle, co oni, a na dodatek warczy.

Tylko jeden kurier na widok Nathana odmówił wejścia do środka – ten, który zwracał za wiele uwagi na Sama i jego szelki. Meg musiała zadzwonić do Lorne’a z Trzech P, żeby przyszedł i odebrał paczki, ponieważ Nathan zastąpił jej drogę i nie pozwolił wyjść z biura, póki dziwny kurier nie odjechał.

Po przyjęciu paczki sprawdziła swoje zapiski z ubiegłego tygodnia. Spojrzała na Nathana, który węszył po recepcji w taki sposób, jakby nie do końca rozumiał różnicę pomiędzy kontuarem a drzewem.

– To była ostatnia regularna poranna dostawa. – Starła się nie mówić z naciskiem. – Przez chwilę będę teraz zajęta w sortowni. Chcesz wyjść na kilka minut, żeby rozprostować łapy?

Nie odpowiedział, więc poszła do sortowni, żeby zająć się pocztą i przesyłkami. Chwilę później usłyszała Wrony. Kiedy wyjrzała na zewnątrz, zobaczyła Nathana – chodził po terenie dostaw z nosem przy ziemi. W pewnym momencie podniósł głowę i zawył.

*Z pewnością usprawni w ten sposób ruch na drogach*, pomyślała, kiedy z kilku stron dobiegła ją wilcza odpowiedź.

Ludzie nie musieli już chodzić do Zabójczo Dobrych Lektur, żeby zobaczyć prawdziwego Wilka.



Nathan? zawołał Simon. Wyglądał przez okno w biurze, słuchając, jak Wilki

odpowiadają na wezwanie. Gdzie jesteś? Wycie Nathana nie dobiegało z wnętrza budynku.

Przed biurem.

Miałeś być w środku, pilnować Meg!

Meg kazała mi wyjść.

Nie przyjmujesz poleceń od Meg.

Poczuj się pewniej, jeśli będzie sądziła, że przyjmuję.

Nathan miał rację. Dziwna reakcja Meg na widok Wilka w biurze niepokoiła Simona. Większość ludzi, którzy widzieli już kiedyś Wilka, nie denerwowała się na widok innego, o ile ich nie atakował. Przynajmniej tak było w przypadku klientów księgarni. Dla nich Wilk to Wilk. Chociaż z drugiej strony, spodobało mu się, że Meg potrafi odróżnić go po wyglądzie spośród innych członków Wilczej Straży. Że rozpoznała go od razu.

Coś nowego? spytał Nathana, który wyszedł z za rogu, żeby powęszyć.

Żadnych zapachów, których nie powinno tu być, odparł, unosząc nogę, żeby nasikać na śnieg.

Simon musiał się opanować, żeby nie wybiec natychmiast z księgarni i nie zacząć znaczyć swojego terytorium. Choć oczywiście biuro łącznika tak jak reszta Dziedzińca stanowiło jego terytorium.

Zaszurał butami i zapiszczał cicho.

*Muszę pozostać w ludzkiej formie i wykonywać swoją pracę – i zaufać, że Nathan wykona swoją.*

Rozległo się krakanie Wron. Nathan ruszył do biura.

Dostawa? spytał Simon.

Kobieta, brzmiała odpowiedź. Znamy ją.

Znajoma kobieta, która wchodzi do biura, żeby porozmawiać z Meg? Ktoś, kto nie jest *terra indigena*. Wrony powiedziałyby mu, gdyby to był ktoś z nich. W takim razie możliwości są ograniczone. Heather była na dole i rozstawiała książki na półkach, a Merri Lee miała zmianę w Czymś na Ząb dopiero po południu. Ruthie? Może, ale dziś rano nie widział jej nigdzie w okolicy, a poza tym spędzała czas w Siup i Łup. Pozostawała tylko Azja Crane.

Simon wyobraził sobie ją sam na sam z Meg – i warknął. Bez powodu. Jak dotąd Azja nie zrobiła nic złego, po prostu zbyt namolnie ubiegała się o pracę łącznika. Poza tym chciała z nim iść na dziko. Ale miał wrażenie, że teraz nie jest zainteresowana ani jednym, ani drugim.

A jeśli nawet, nie wspominała o tym ostatnio.

Nathan? Trzymaj się blisko Meg.

Nie dostał odpowiedzi, zresztą wcale jej nie oczekiwał. Podeszedł do biurka i spojrzął na telefon. Razem z Elliotem w tej części Dziedzińca przebywało obecnie pięć Wilków, ale tylko dwa były w wilczej formie – Nathan i Ferus, który miał zmianę w ZDL. Dobrze byłoby mieć w pobliżu jeszcze ze dwa, szczególnie że obiecał Samowi popołudnie z Meg.

Może powinien uprzedzić ją o tym?

Simon podniósł słuchawkę, zadzwonił do Blaira i poprosił, by zwiększył wilczą obecność w tej części Dziedzińca.



Azja weszła do biura łącznika z kubkiem gorącej czekolady w ręku. Na poprzednich randkach raz czy dwa wspomniała Darrellowi, że Simon może być o nią odrobinę zazdrosny, jednak teraz, kiedy jej plany się zmieniły, chciała, by wszyscy na Dziedzińcu wiedzieli, że jest dziewczyną Darrella.

Zresztą i tak była pewna, że Simona guzik to obchodzi. Ale może stanie się mniej czujny, jeśli przestanie zwracać na niego uwagę i nie będzie miała wiele czasu dla Meg.

– O, jesteś – powiedziała, kiedy Meg wyszła za kontuar. – Umierałam z niepokoju o ciebie, ale dopiero teraz miałam okazję tu zajrzeć.

Rzuciła okiem za plecy Meg. Ku swojemu rozczarowaniu nie zobaczyła Wilczka, zauważyła natomiast pudełko kostek cukru leżące na wielkim stole. Czyli Meg naprawdę przynosi tu cukier co poniedziałek.

– Umierałaś z niepokoju? – zdziwiła się Meg.

– Słyszałam, że doszło tu do jakiejś grubszej awantury z policją. I że zostałam ranna, może nawet trafiłam do szpitala, więc musiałam to sprawdzić osobiście. Proszę. Kupiłam ci czekoladę. – Darrell właściwie nie wspomniał o Meg, powiedział tylko, że na miejscu była karetka – i że podobno koło biura widziano wilkołaka.

– Dzięki. – Meg napiła się i odstawiła kubek na kontuar. – Nic mi nie jest. Ktoś przyniósł do biura podejrzany pakunek, to wszystko.

*Akurat, pomyślała Azja. Postawiłaś na nogi cały Dziedziniec i policję.*

– No to się cieszę. Najważniejsze, że nic ci się nie stało.

Teraz już bez skrępowania zajrzała za ramię Meg.

– A powiedz mi, gdzie jest ten śliczny szczeniaczek, którego widziałam ostatnim razem? Był taki słodki.

– Dziś go tu nie ma. – Zanim Azja zdążyła zgłębić kwestię aktualnego miejsca pobytu szczeniaka, w progu stanął dorosły Wilk. Tak ją zaskoczył, że aż cofnęła się kilka kroków. Te cholery były niesamowicie ciche, mimo swoich rozmiarów. Odkąd jeden z nich wetknął jej nos w krocze, zdecydowanie wołała trzymać się od nich z daleka. Przynajmniej od dorosłych osobników. Meg spojrzała na Wilka i wyjaśniła: – Dziś mam w biurze innego towarzysza.

– Przez cały czas? – zdziwiła się Azja.

– Ten incydent w sobotę... spowodował duże zamieszanie, więc pan Wilcza Straż uznał za stosowne przydzielić biuru ochronę – taką jak w księgarni.

Czyli Pan Biała Furgonetka przewalił sprawę na całego. Cóż, najwyraźniej dalsze kręcenie się przy Meg nie ma sensu. Wszystko, co od tej pory tu powie, zostanie natychmiast przekazane Simonowi.

Chóralne rzenie dało Azji pretekst do wyjścia.

– Kolejni przyjaciele? – spytała.

– To kucyki – odparła Meg. – Przyszły po pocztę.

– I po cukier?

– Owszem. Dziękuję za czekoladę.

– Miło byłoby zjeść kiedyś razem lunch – zasugerowała Azja. – Daj znać, jak będziesz wolna.

*Albo daruj sobie*, pomyślała, wychodząc z biura. Spojrzała w stronę konsulatu, a gdy zauważyła Darrella w oknie na górze, posłała mu całusa. *Bo ja będę teraz bardzo zajęta moim nowym chłopakiem.*

Zaszła do ZDL i kręciła się tam dopóty, dopóki zyskała pewność, że została zauważona. Wtedy na chybił trafił wybrała kilka książek, zadowolona, że to nie Simon stoi za kasą.

Gdy tylko wróciła do samochodu, zadzwoniła do Darrella. Z radością skorzystał z okazji, żeby zaprosić ją na kolejną randkę.



Meg nie miała pojęcia, gdzie się podział Nathan, kiedy poszła na lunch do Czegoś na Ząb, a potem do biblioteki na rynku, ale kiedy wróciła po południu do biura, czekał na nią pod tylnym wejściem. Niewykluczone, że nie chciał jej znów zaskoczyć – fakt, że był dziś rano w biurze, wskazywał na to, że potrafi samodzielnie dostać się do budynku.

Rozłożyła „Wiadomości z Lakeside” na stole do sortowania, żeby sprawdzić, czy jest tam coś interesującego dla Innych. Nathan w tym czasie węszył w recepcji. Kiedy Wrony zaczęły krakać, Meg wyszła za ladę i zamarła na widok furgonetki podjeżdżającej z nieplanowaną dostawą. Ale kiedy samochód zawrócił na parking, zobaczyła logo Dostarczamy Wszędzie.

– To Harry – powiedziała do Nathana i poszła otworzyć kurierowi drzwi.

– Poproszono mnie, żebym wykonał dziś po południu jeszcze jedną dostawę – powiedział Harry, stawiając pudło na wózku. – To nie wszystko. Ale może lepiej najpierw przetrzeć podłogę do sucha, żeby było to gdzie położyć.

– Dobry pomysł. – Meg pobiegła na zaplecze po ręcznik. Nathan kręcił się jej pod nogami, najwyraźniej nie wiedząc, gdzie się podziać, gdy wycierała podłogę w miejscu, gdzie leżał dziś rano. – Tutaj, Harry. – Ponieważ kurier miał zaśnieżone buty, odebrała od niego paczkę i ułożyła na osuszonej podłodze.

– Musi pani pokwitować, panno Meg.

Gdy Harry odszedł, Meg wpisała przesyłkę w swój rejestr i uśmiechnęła się do Nathana.

– No już, zobacz – zachęciła go. Wilk zbliżył się nieufnie, obszedł przedmiot, powąchał i trącił łapą. Znalazł metkę i wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem odwrócił się do Meg i wyszczerzył groźnie zęby.

– Wiem, tam jest napisane, że to legowisko dla psów, ale Wilkowi też będzie na nim wygodnie. – Naburmuszone warczenie. Naburmuszony wzrok. – Świetnie. Skoro wolisz leżeć na zimnej i twardej podłodze, zamiast na czymś ciepłym i wygodnym, tylko dlatego że zamiast „Wilk” na metce napisano „pies”, proszę bardzo powiedziała ostro i poszła do sortowni, trzaskając drzwiami.

Potem przypomniała sobie o drugiej paczce, otworzyła drzwi dostawcze i wciągnęła wózek. Skoro Nathan zachowywał się jak gbur, choć próbowała być dla niego miła, z całą pewnością nie zostawi na jego łasce sześciu bezbronnych paczek z ciastkami dla psów.

Schowała je do szafki pod stołem do sortowania – trzy paczki ciastek dla psów i trzy paczki ciastek dla szczeniaków – a potem czytała gazetę, tak długo aż Wrony dały jej znać o kolejnej dostawie.



Simon wszedł do recepcji biura łącznika i popatrzył na Wilka leżącego na...

– Co to jest? – spytał, strząsając śnieg z butów i podchodząc do Nathana.

Moje, warknął Nathan.

– A jak weszło w twoje posiadanie?

Ja tu pilnuję, więc jest moje. Rzucił Simonowi chytre spojrzenie i dodał:

Dostałem też ciastka.

Ignorując warczenie, Simon wyciągnął rękę i ścisnął materiał, żeby sprawdzić, czym jest wypchany. Potem spojrział na metkę.

– Gdzie to znalazłeś? – Posłanie było nie tylko wygodne, ale też zdecydowanie bardziej dekoracyjne niż stos starych koców, które Simon miał w biurze, na wypadek gdyby zapragnął zmienić się w Wilka i uciąć sobie drzemkę.

Meg je znalazła. Nathan położył głowę na łapach, nie spuszczać wzroku z Simona.

Przywódca zawsze pierwszy wybierał sobie jedzenie i samice. Miał prawo do wszystkiego, co zwróciło jego uwagę. Ale przywódca, który zabierał wszystko innym, musiał bez przerwy walczyć o swoją pozycję.

– Niech to zostanie tutaj, na potrzeby stróżujących Wilków. Poproszę Meg, żeby zamówiła dla mnie drugie. – Simon rzucił okiem na zamknięte drzwi, zdziwiony, że Meg jeszcze nie wyszła do recepcji. Nawet człowiek musiał usłyszeć jego rozmowę z Nathanem. Jakież kłopoty?

Nie, ale Jastrząb powiedział mi, że Darrell poprosił Elliota o zgodę na skorzystanie z jednego z pokoi na górze. Chyba znalazł sobie jakąś samicę.

Simon wiedział nawet, która to samica.

Kiedy Azja po raz pierwszy zjawiała się w Zabójczo Dobrych Lekturach i dała mu do zrozumienia, że chciałaby się z nim przespać, próbował wyobrazić sobie, że z nią jest. Ale coś było nie tak – widział jedynie ukryte w poszyciu wilcze sidła. Dlatego poczuł ulgę, że w końcu zwróciła uwagę na ludzkiego samca i zostawi go w spokoju.

Nie lubił jej. Nie ufał jej. I nie obchodziło go, czy słusznie. Uznał też, że nie powinni nadal ufać Darrellowi, skoro będzie uprawiał seks z Azją. W końcu samce są w stanie narobić strasznych głupot, kiedy chcą seksu.

Nie powiedział nic Nathanowi. O swoich wątpliwościach wobec Darrella powinien porozmawiać raczej z Henrym i Vladem. Ale w tej chwili musiał odbyć

inną dyskusję.

Otworzył przejście w kontuarze, wszedł za ladę, spojrzął na zamknięte drzwi, pomyślał chwilę i zapukał, zanim je uchylił.

– Meg?

Cisza. Wszedł do sortowni. Pusto. Zanim zdążył zawyć, by zawiadomić wszystkich o jej nieobecności, usłyszał odgłos spuszczonej wody. Ustaliwszy w ten sposób miejsce pobytu Meg, zajrzał do szafki i znalazł ciastka.

Ledwie włożył rękę do pudełka, kiedy weszła. Szybko schował kilka ciastek do kieszeni płaszcza, zamknął pudełko i schował je z powrotem w szafce.

– Gdzie kupiłaś to legowisko? – spytał.

Meg westchnęła.

– Czy to naprawdę ma takie znaczenie, że na metce jest napisane „pies”, a nie „Wilk”?

Gdyby postanowili wysyłać legowiska do osad Innych – owszem, ale tu, na Dziedzińcu, niekoniecznie.

– Pytam, dlatego że chciałbym podobne do swojego biura – wyjaśnił Simon spokojnie. – I może jeszcze dwa, do księgarni.

– Zamówiłam je w Pałacu Milusińskich.

Skrzywił się. Wiedział, co powiedziałyby Elliot o zakupach w takim miejscu. Trudno. Po prostu nie powie mu, skąd wziął posłania.

– Zamów więcej – poprosił.

– Dobrze. – Meg rzuciła mu zdumione spojrzenie. – A tak w ogóle, skąd wiesz o legowisku?

– Przyszedłem spytać, czy Sam może spędzić z tobą resztę popołudnia.

Odbieram go ze szkoły. Może pojechać z tobą na dostawy albo możesz go zostawić z Henrym.

– Dobrze. – Drgnęła niespokojnie, wahając się, czy powinna o tym powiedzieć.

– Simonie... Azja pytała o Sama. Widziała go raz, kiedy wyjechałeś. Kiedy tu ze mną przychodził.

– I co jej powiedziałaś?

– Że dziś go nie ma. Potem zobaczyła Nathana i poszła sobie. – Meg wzruszyła ramionami. – Sam jest uroczy, a ludzie lubią bawić się ze szczeniakami i kociakami, więc chyba nie miała nic złego na myśli, ale pomyślałam, że powinieneś wiedzieć.

– I bardzo dobrze. – Simon kiwnął głową. – Wezmę twój PNK i pojedę po Sama.

Kiedy szedł do garażu, obejrzał się na schody prowadzące do dwóch małych mieszkań nad biurem łącznika. Miejsce spotkań. Nocleg. I miejsce łóżkowych schadzek dla tych *terra indigena*, których status w ludzkim świecie wymagał większej prywatności niż pokoje nad świetlicą.

Wilcze sidła.

Musiał dociec, czego nie rozumie w związku Azji z Darrellem, zanim wnyki się zatrzasną.



## Rozdział 18

Simon wsadził Sama na siedzenie pasażera i skierował PNK w stronę biura łącznika. Szkoła Dziedzińca umiejscowiona była w samym jego centrum, dobrze ukryta przed wzrokiem ludzi.

Chodzenie do szkoły z ludzkimi dziećmi nie było bezpieczne dla *terra indigena*, więc Dziedziniec zapewniał swoim mieszkańcom edukację zbliżoną do tej, jaką odbierali ludzie. Człowiek nie mógł oszukać Wilka, który potrafił dodawać i odejmować jak wszyscy. Dwa plus dwa równa się cztery, bez względu na gatunek, do którego się należy.

Natomiast historia Thaisii to była zupełnie inna sprawa. Ludzie i Inni mieli bardzo rozbieżne poglądy na jej temat.

Ale dziś rozmowa o rachunkach, czytaniu i pisaniu zajęła im raptem dwie minuty. Sam miał ważniejsze sprawy do omówienia.

– Ale Nathan przecież nic nie robi – stwierdził. – Więc dlaczego nie może się ze mną bawić?

– Owszem, coś robi – odparł Simon. – Pilnuje biura. Więc może się bawić tylko podczas południowej przerwy, kiedy Meg tam nie ma.

– Dlaczego Meg potrzebuje teraz stróża? Kiedy ja z nią byłem, Nathan tam nie pilnował.

Simon nie chciał mówić chłopcu o intruzie, ale jeśli jakoś mu tego nie wyjaśni, szczeniak będzie bez przerwy dopytywał, dlaczego pilnujący Wilk nie może się bawić.

– Do biura przyszedł pewien człowiek i był niedobry dla Meg. Nie spodobało nam się to, więc Nathan ma przypilnować, żeby już nigdy nikt się tak wobec niej nie zachowywał.

Sam wyjrzał przez okno. Po chwili spytał cichutko:

– Czy to ten, który skrzywdził mamę?

– Nie. Tamci ludzie uciekli. Pewnego dnia ich znajdziemy, Sam. Na pewno. Ale ten, który przyszedł do biura, to nie był żaden z nich.

– Chcę być Wilkiem, kiedy będę w biurze – oświadczył nagle Sam.

Simon spojrzał na siostrzeńca.

– Meg nie potrafi się komunikować tak jak *terra indigena*. Jeśli będziesz Wilkiem, nie będziesz mógł jej opowiedzieć, czego nauczyłeś się dziś w szkole.

– Mogę jej o tym opowiedzieć, kiedy wrócimy do domu. Jak jestem w tej formie, nie mogę nosić szelek. Muszę trzymać linę asekuracyjną w rękę, a czasami o niej zapominam i ją upuszczam.

– Lina nie jest ci już potrzebna. – Simon wolałby, żeby chłopiec w końcu zapomniał o smyczy. Inne Wilki źle się z tym czuły. No ale niedługo problem sam się rozwiąże. Przez ostatnie kilka dni szczeniak tak urósł, że za tydzień nie zmieści się

w szelki.

Sam rzucił mu pełne niedowierzania spojrzenie.

– Jeśli nie będę miał szelek, to jak zdołam wyciągnąć Meg z zasy, kiedy w jakąś wpadnie? – Simon nie odrywał wzroku od drogi. Chłopak powiedział „kiedy”, a nie „jeśli”. Jak często Meg wpada w zasy? Jest nieuważna czy to tylko ich zabawa? A może wpada w zaspę, kiedy szczeniak podcina jej nogi? – A Meg nie umie kopać – ciągnął Sam przemądrzałym głosem. – Jako Wilk kopię dużo lepiej.

– Czy to dlatego odkopywałeś PNK, kiedy utknął wczoraj w zaspie? – spytał Simon łagodnie.

Sam skulił się na siedzeniu i wymamrotał:

– Miałeś o tym nie wiedzieć.

– Aha.

Chyba z tuzin Jastrzębi, Sów i Wron, nie wspominając o dwóch Wilkach, nie mogło się doczekać, żeby mu o tym powiedzieć. Co ciekawe, nikt nie zaproponował wsparcia – Wilki celowo trzymały się na dystans, żeby Meg i Sam poradzili sobie bez niczyjej pomocy. I poradzili sobie. Wspólnymi siłami wydostali PNK z zasy i pojechali dalej, by dostarczyć resztę przesyłek.

To zapewne dlatego kiedy wrócił do domu po godzinnym wilczym pędzie z Blairem i kilkoma innymi Wilkami, zastał szczeniaka i wieszczkę śpiących na podłodze w salonie, przy włączonym telewizorze. Meg przytuliła Sama, żeby było mu ciepło, Simon uznał więc, że najrozsądniej będzie pozostać w wilczej formie i przytulić ją, żeby i ona nie zmarzła. Oczywiście fakt, że sprawiało mu to przyjemność, nie miał nic wspólnego z tą decyzją. Nic a nic.

Kiedy dojechali do biura łącznika, Simon pomógł Samowi złożyć ubranie i schować je do skrzyni w pokoju na zapleczu, a potem, kiedy chłopiec zmienił się w Wilczka, otworzył sortownię. Szczeniak przywitał się energicznie z Meg i Nathanem, po czym zaczął węszyć za ciastkami.

– Chcesz, żebym coś zaniósł do konsulatu? – Simon zwrócił się do Meg.

– Nie, dzięki – odparła. – Darrell zajął do mnie i odebrał pocztę. – Urwała, wyraźnie zdumiona.

Wyczuł niepewność w jej zapachu i podszedł o krok bliżej.

– To niedobrze, że przyszedł?

Pokręciła głową.

– Po prostu nigdy wcześniej nikt z konsulatu nie przychodził po pocztę.

Simon zastanawiał się przez chwilę, czy powiedzieć jej, że Darrell planuje pieprzyć się z Azją Crane, ale zanim zdążył podjąć decyzję, Meg nagle pisnęła.

– Masz zimny nos, Sam! Nie patrz na mnie takim niewinnym wzrokiem. Szukanie ciasteczek nie usprawiedliwia trącania mnie zimnym nosem w kostkę!

Sam zaczął ujadać, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony, a potem wrócił do szukania łakoci.

Uśmiechając się szeroko, Simon poszedł do konsulatu.

Darrell siedział przy biurku. Wyglądał tak, jakby właśnie wyczuł zapach grzejącej się suki i lada moment miał stracić dla niej głowę. Simon obrzucił go przelotnym spojrzeniem i wszedł na górę, do biura Elliota.

– Chciałeś mnie widzieć? – spytał.

– Tak. – Elliot wskazał mu krzesło dla gości, a Simon mimo woli zaczął się zastanawiać, którego z polityków naśladuje. Zaciekawilo go również, dlaczego jego ojciec jest taki skrępowany. – Czy z panną Corbyn wszystko w porządku? – spytał wreszcie Elliot.

– A dlaczego pytasz?

– Widziałem, jak Nathan i Sam gonili ją wczoraj po południu na tyłach biura. Sprawiali wrażenie, jakby robili to... na poważnie.

*Ach...*

– Henry przekonał Meg, żeby pobawiła się z nimi w pościg za jeleniem. Twierdził, że Sam musi popracować nad swoją techniką pogoni za zwierzyną, choć podejrzewam, że chciał po prostu zapewnić jej nieco ruchu. Meg jest na tyle przekonująca w roli zwierzyny, że Henry miał ich na oku – na wypadek gdyby Nathan zbyt się zapędził albo gdyby inny Wilk wziął tę zabawę za prawdziwe polowanie. W ten sposób Meg i Sam nabiorą sił, a Nathan będzie miał świetną zabawę w nagrodę za pilnowanie biura.

Rzecz jasna John strasznie narzekał, że nie wolno mu iść się pobawić. Nie wpłynęło to dobrze na samodyscyplinę Simona – szczególnie że Meg naprawdę świetnie się nadawała na piszczącą zabawkę.

– To dobrze, że szczeniak znów się bawi. Żebyśmy jeszcze tylko pozbyli się tych szelek...

– Sam twierdzi, że są mu potrzebne do wyciągnięcia Meg z zasp – powiedział Simon głosem pozbawionym emocji.

Elliot parsknął śmiechem, ale po chwili spoważniał.

– Przykro mi, że ją uderzyłem. Naprawdę. Jej instynkt działa dziwnie, ale chyba płynie z serca. – Simon kiwnął głową. Trochę go irytowało, że dla Sama Meg jest wzorem do naśladowania, jeśli chodzi o sprawy związane z ludźmi, choć tak naprawdę wiedziała o nich mniej niż dowolny członek Stowarzyszenia Przedsiębiorców. Z drugiej strony, jej brak wiedzy na temat Innych działał na jej korzyść. Jaki człowiek zgodziłby się odgrywać rolę zwierzyny i pozwolił, by goniły go Wilki? – Darrell ma dziś swoją randkę – oznajmił Elliot.

– Zgodziliśmy się, żeby skorzystał z pokoju nad biurem łącznika. – Simon wzruszył ramionami.

– Poprosił również o zgodę na zabranie swojej towarzyszki do Mięsa i Zieleniny na kolację.

– Dlaczego? To nie jest wyszukana restauracja. Jeśli chce zrobić wrażenie na kobiecie, niech idzie do ludzkiej jadłodajni.

– Mięso i Zielenina jest na rynku, niewielu ludziom wolno tam chodzić.

A niektóre kobiety podnieca to, co zakazane.

– Czy wiesz, kogo chce przyprowadzić?

– Tę kobietę, która węszyła wokół ciebie. Przynajmniej Ferus twierdzi, że wyczuł na niej zapach Darrella.

Simon kiwnął głową.

– Azja Crane. – Zakazany owoc. To dlatego młodzi ludzie z college'u zawsze węszyli wokół ZDL i Czegoś na Ząb albo spędzali wieczory w świetlicy. Mieli nadzieję, że trafią na jakichś *terra indigena*. Odnosił jednak wrażenie, że Azja węszy

za czymś jeszcze. Czy ludzie zyskują wyższy status, jeśli mają prawo wstępu na rynek Dziedzińca? Zapyta o to Ruthie, kiedy następnym razem przyjdzie do ZDL. Okazała się godna zaufania, oczywiście jak na człowieka. – Daj mu przepustkę dla gości na rynek – zdecydował. – I powiedz, że może zabrać swoją samicę do tych sklepów, które będą jeszcze otwarte. Ale niech ma świadomość, że to jednorazowa przepustka.

– Jasne.

Simon wstał z krzesła.

– Muszę iść. Vlad zajmuje się dziś księgiarnią, ale obiecałem, że zajmę się papierkową robotą.

Wrócił do ZDL, zaglądając po drodze do Czegoś na Ząb po kawę i ciastko z owocami, które wywęszył wcześniej. Zabrał jedno i drugie do biura nad księgiarnią i zajął się papierami. Ale przez cały czas dręczyły go wątpliwości, czy naprawdę powinien być pozwolić Azji Crane na wstęp na Dziedziniec.



Meg patrzyła na drogę, pokonując znajomą trasę na Pokoje.

– Pamiętaj, Sam, dziś nie skaczesz na mnie zniecka, jeśli zobaczysz jelenia. Nie możemy utknąć w zaspach dwa razy pod rząd.

Naprawdę miała nadzieję, że Simon – i Blair – nie dowiedzą się o tej zaspie. Jednak w bagażniku PNK obok szczotki i skrobaczki do lodu pojawiła się saperka, co wskazywało na to, że przynajmniej jeden z nich słyszał o wczorajszej przygodzie.

Sam uśmiechnął się do Meg i pomachał ogonem.

Oczywiście prawda była taka, że nigdy wcześniej nie widziała prawdziwego jelenia i sama zapatrzyła się na niego, spuszczać wzrok z drogi na kilka sekund. O kilka za długo.

Choć oczywiście nigdy się do tego nie przyzna.

Kiedy mijała marmurowy dom Erebusa Sanguinatiego, spojrzała w lewo. Zahamowała i popatrzyła uważniej na boczne drogi. Większość nie była odśnieżona, a te, które były, prowadziły do budynków bez oznaczeń. Ponieważ PNK nie miał dość mocy, by brnąć w śniegu, trzymała się głównych dróg, które zapewniały dostęp do wszystkich kompleksów, Stajni Kucyków i siedziby dziewczynek znad jeziora.

Może wiosną, kiedy te nieoznaczone drogi znów będą przejezdne, zwiedzi centralną część Dziedzińca i znajdzie takie miejsce, gdzie będzie się mogła zaszyć, kiedy zapragnie samotności?

Jej wzrok spoczął na jednej z wąskich, zasypanych śniegiem drózek. Skóra tuż poniżej najświeższych blizn – tych, które pokazały jej, jak skończy się jej życie – zaczęła mrowić tak strasznie, że Meg miała ochotę krzyknąć. Jeśli Simon miał rację i w ten sposób objawiał się instynkt *cassandra sangue*, ta droga stanowiła jakieś zagrożenie.

Pojechała dalej, ale mrowienie nie ustało. W zasadzie dyskomfort tylko się nasilił. Włączyła światła PNK, nie mogąc zrozumieć, jakim cudem o tym

zapomniała, skoro jest noc.

Ale przecież jest dzień... Razem z Samem robi popołudniowe dostawy. Nie potrzebuje światła, żeby widzieć drogę.

Zatrzymała gwałtownie PNK i wrzuciła luz, ignorując skomlenie Wilczka, który próbował wleźć jej na kolana, by polizać ją po twarzy.

Mrowienie zmieniło się w nieprzyjemne drgania tuż pod skórą.

Od ostatniego cięcia minął ponad tydzień, a i wówczas było to tylko przypadkowe skaleczenie papierem. Może dlatego była taka podminowana, tak strasznie chciała pozbyć się tego mrowienia? Może to dlatego doznała czegoś na kształt wizji, mimo że nie przecięła skóry?

To było coś nowego, nieznanego, przerażającego. Coś dużo gorszego niż patrzenie na jelenia o kilka sekund za długo. Skoro nie pamiętała, czy jest dzień, czy noc, wizja mogła sprawić, że rozbije PNK, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

Jechała sama, w nocy, a więc wizja dotyczyła tylko jej. Chodziło o nią. I tylko w jeden sposób mogła dowiedzieć się więcej.

Tu nie chodziło o euforię. Po prostu musiała sprawdzić, dlaczego tak zareagowała na widok tej drogi.

*Muszę zaczekać*, pomyślała, zaciskając zęby i wrzucając bieg. *Muszę zaczekać, aż skończę dostawy i odwiozę Sama do domu.*

– Nie mamy dziś wielu paczek – powiedziała, kierując się do ostatniej części Pokojów. Zostawiła Sama w PNK i włożyła dwie paczki do skrzynek przed płotem, ale kiedy dojechali do Kompleksu Jastrzębi, przypięła mu do szelek smycz i pozwoliła iść ze sobą do pokoju pocztowego.

Jeszcze dwie paczki dla Kompleksu Wilczej Straży, a potem cztery z klockami dla świetlicy w Kruczości. Meg nie miała pojęcia, co budują Wrony, ale sądząc z uwag Jenni i Crystal, które spotkała na rynku, Wrony zbierały się w świetlicy co wieczór i pracowały nad konstrukcjami. Podobno świetnie się przy tym bawiły.

Kiedy wreszcie dotarła do Zielonego Kompleksu i zaparkowała PNK w garażu, potrzeba przecięcia skóry stała się tak silna, że ledwie mogła ją opanować. Próbowała mówić i zachowywać się normalnie, ale niespokojne popiskiwanie Sama wskazywało, że szczeniak wyczuwa jej napięcie.

A skoro Sam reaguje w ten sposób, zanim zdążyła cokolwiek zrobić, z pewnością będzie musiała unikać Simona, póki rana się nie zasklepi. Ciekawe tylko, jak ma to zrobić, jeśli niedługo przyjdzie po szczeniaka.

Gdy znaleźli się w mieszkaniu, odwiesiła płaszcz, zdjęła buty i uśmiechnęła się do Sama.

– Muszę skorzystać z łazienki. Chcesz się w tym czasie przemienić?

Oczywiście próbował wejść za nią do łazienki, zamiast iść do sypialni, zmienić się w chłopca i włożyć ubranie, które dla niego naszykowała. Zamknęła mu jednak drzwi przed nosem, a potem zdjęła sweter i koszulkę. Wyjęła brzytwę z kieszeni dzinsów i przyłożyła ostrze płasko do ramienia, opierając tępy brzeg o poprzednią bliznę. Potem obróciła rękę, przysuwając ostrze do nietkniętej skóry – i nacisnęła lekko.

Skóra rozstąpiła się przed nią. Meg uniosła ostrze, położyła brzytwę na umywalce i przygotowała się na ból. Napłynął z jakiegoś mrocznego miejsca w jej

umyśle, kiedy pokazała się krew. Boczna droga, opodal domu Erebusa. Na chodnikach niewiele śniegu, ale z nieba syją się gęste płatki. Jest ciemno, ale Meg nie potrafi określić, czy to wczesny wieczór, czy już środek nocy. Dźwięk – jakby skrzyżowanie warkotu samochodu z brzęczeniem szerszeni. Jedzie sama, szybko, bez świateł, żeby nie ujawniać swojej obecności. Dźwięk się zbliża. A gdzieś za nią Sam wyje ze strachu.

Ale jest bezpieczny. Tym razem jest bezpieczny.

Wychodząc z wizji, Meg oparła się o umywalkę i z trudem opanowała krzyk. Było dużo gorzej niż w przypadku małej ranki na palcu. Może nawet gorzej niż po cięciach, które pokazały jej Dziedziniac i Simona Wilczą Straż. Ale mrowienie pod skórą ustało. Przynajmniej w tym rana przyniosła jej ulgę.

Dysząc ciężko i popłakując, przemyśla ranę, a potem posmarowała maścią antyseptyczną i przylepiła gruby opatrunek w nadziei, że ukryje w ten sposób zapach krwi. Potem starannie wyczyściła brzytwę i umywalkę. Wreszcie skorzystała z toalety. Zastanawiała się, po jakim czasie Wilki są w stanie wywęszyć krew.

Założyła koszulkę i sweter, uważając, żeby nie przesunąć opatrunku, i wyszła z łazienki. Spodziewała się, że Sam, ubrany przynajmniej w pewnym stopniu, będzie czekał na nią w kuchni z listą przysmaków. Tymczasem zastała go nadal w wilczej formie, zwiniętego w kłębek pod frontowymi drzwiami. Spojrzał na nią i zaskomlał, ale nie chciał do niej podejść, nie chciał odejść od drzwi.

Postanowiła nie nalegać. Przyniosła mu dwa ciastka dla szczeniaków, ale nie chciał ich tknąć. Po prostu siedział przy drzwiach i cały się trząsał.

Od razu wiedziała, kiedy na dole zjawił się Simon, ponieważ szczeniak zaczął na zmianę wyć i drapać w drzwi.

– Przesuń się – powiedziała do niego stanowczo. – Blokujesz drzwi i nie mogę ich otworzyć.

Gdy tylko je uchyliła, wypadł z mieszkania i zbiegł po schodach, mijając po drodze wuja.

– Jest zdenerwowany – powiedziała szybko i spróbowała zatrzaskać Simonowi drzwi przed nosem, ale nie okazała się wystarczająco szybka. Nie próbował wedrzeć się do środka, nie stawiał żadnych pytań, ale czerwone błyski w jego oczach i poruszające się szybko nozdrza, gdy łapał zapach, wskazywały, że dokładnie zna przyczynę zdenerwowania Sama.

Kiedy poszedł do siebie, Meg wróciła do kuchni. Nalała sobie szklanekę soku pomarańczowego i usiadła przy stole, czekając na następny ruch Wilczej Straży.



Umył klatkę i schował ją do piwnicy. Zamierzał jeszcze przez jakiś czas tolerować szelki i smycz, szczególnie odkąd dowiedział się, dlaczego Sam się przy nich upiera, ale nie mógł dłużej znosić tej klatki.

Jednak kiedy otworzył mieszkanie, Sam pobiegł od razu w miejsce, gdzie przedtem stała, i zwinął się w kłębek w kącie.

Simon zdjął buty, poszedł do salonu i ukląkł obok roztrzęsionego szczeniaka.

Sam? Co się stało? *Oprócz zapachu krwi Meg.* Wilczek ze skowytem wdrapał mu się na kolana. Czy coś się zdarzyło, kiedy robiliście z Meg dostawę?

Nie wiem. Ledwie słyszalny szept. Złe było potem.

Gdzie poszliście?

Do nory Meg. Popiskiwanie i dreszcze. Wreszcie: Pamiętam ten zapach. Kiedy mama... Coś w łazience zraniło Meg i... ten zapach.

*Głupia suka, pomyślał Simon, tuląc siostrzeńca. Po co się cięła, kiedy szceniak był u niej? Nie mogła poczekać, aż wróci do domu? Oszczędziłaby małemu zapachu świeżej krwi.*

Kiedy woń jej krwi zniknęła, przytłumiona znajomymi zapachami własnej nory, gniew Simona opadł.

Meg nie doświadczała euforii, jeśli nie wypowiedziała przepowiedni. Doświadczała jedynie bólu. A zapach krwi mógł się pojawić z innych powodów, szczególnie w damskiej łazience. To mógł być przypadek. Mogło chodzić o inną krew, o której Sam jeszcze nie wiedział.

Nie. Zapachowi takiej krwi nie towarzyszy woń środków dezynfekujących.

Nie zdawał sobie sprawy, że warczy, póki Sam nie zaczął go lizać po brodzie, popiskując niespokojnie.

Ostatnim razem, kiedy miał do niej pretensje, pomylił się. Drugi raz nie popełni tego błędu.

Henry? zawołał.

Tak?

Potrzebuję rady.

Jestem już blisko domu. Czeka tam na mnie.

Ogarnęła go ulga. Może to jego wspomnienia z tej strasznej nocy, kiedy znalazł Daphne i Sama, sprawiały, że tak trudno było mu racjonalnie traktować rany Meg? Może w pewnym sensie był równie bezbronny jak Sam?

– Muszę porozmawiać z Henrym – zwrócił się do szczeniaka. – Zostaniesz tu czy wolisz żebym poprosił... Elliota albo Nathana, żeby z tobą posiedział? – Dopiero teraz Simon uświadomił sobie, w jakim stopniu Meg stała się jedną z nich. To o niej pomyślał przede wszystkim, wybierając opiekuna dla szczeniaka.

Sam przemienił się. Simon owinał nagiego chłopca płaszczem, rozgrzewając go swoim ciepłem.

– Mogę obejrzeć film? – spytał Sam.

– Jasne.

– I dostać łakocie?

– Przygotuję ci jakąś przekąskę.

Te smutne szare oczy.

– Simon? Czy Meg umrze i nas zostawi?

Simon pokręcił głową.

– Gdyby Meg była ciężko ranna, powiedziała by nam. A nie wyglądała na ranną. – Nieprawda. Wyglądała na ranną. Dostrzegł na jej twarzy i w oczach ból, choć usiłowała udawać, że wszystko jest w porządku. – Zajrzę do niej, kiedy porozmawiam z Henrym.

Nic więcej nie mógł zrobić ani dla Sama, ani dla Meg. Przygotował więc przekąskę i włączył film, a potem poszedł do Henry'ego. Niedźwiedź już wrócił i parzył herbatę, kiedy Simon wszedł do jego kuchni.

Zaczekał, aż usiądą przy stole, z parującą herbatą w kubkach, i dopiero wtedy opowiedział Henry'emu o Samie i zapachu krwi.

– Wyglądała na ranną? – spytał Henry.

– Nie jest ranna – warknął Simon. – Cięła się. Obaj o tym wiemy. Ale nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

– To nie twoja decyzja.

– Jestem przywódcą. To jest moja decyzja.

Przez dłuższą chwilę Henry popijał w milczeniu herbatę, a Simon próbował powstrzymać kły. Zdawał sobie sprawę, że Henry celowo każe mu czekać.

– Ilu ludziom ufasz? – spytał wreszcie Niedźwiedź.

– Niewielu. W zasadzie żadnemu.

– Mam wrażenie, że nasza Meg jest jeszcze mniej ufna niż ty. Na swój własny sposób jest bardziej skryta niż *terra indigena*, a jak dotąd nie zapewniliśmy jej wiele prywatności. Chcesz być taki jak człowiek, który ją wykorzystywał i uważał się za jej właściciela? Czy wolisz być przyjacielem, któremu może zaufać?

Simon wyszczerzył kły i zawarczał. Rozumiał, że Henry pokazał mu, gdzie jest ukryta pułapka. Skoro Meg się cięła, ujrzała wizję. Jeśli mu ją opowie – jeśli ją do tego zmusi – może uznać, że zamieniła jednego Kontrolera na drugiego. I może znów uciec.

Westchnął, sfrustrowany.

– Założmy, że będzie się cięła raz w tygodniu, czyli pięćdziesiąt dwa razy w roku. Ile lat przeżyje w takim tempie?

– Nie wiem – odparł Henry spokojnie. – Pytanie, które powinieneś sobie postawić, brzmi raczej: Gdzie twoim zdaniem powinna spędzić te lata?

– Z nami. Chcę, żeby spędziła je z nami. – Simon wstał od stołu. – Dziękuję za herbatę.

Ruszył do domu, ale po drodze zboczył do mieszkania Meg.

Najwyraźniej na niego czekała, bo otworzyła, gdy tylko zapukał.

– Sam sądził, że źle się czujesz – powiedział. – Dlatego się zdenerwował.

– Nic mi nie jest.

Nie wyglądało na to. Sprawiała wrażenie wyczerpanej. Nie podobało mu się, że jest sama w takim stanie.

Ale nie powinien nalegać, nie powinien czegokolwiek od niej żądać. I to też mu się nie podobało.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – Zawahała się, a potem pokręciła głową. – W takim razie widzimy się jutro.

Zszedł ze schodów, nasłuchując. Czekał na choćby pojedyncze wezwanie do powrotu.

Ale usłyszał tylko ciche stuknięcie zamykanych drzwi.





Azja zamknęła oczy i pomyślała o eleganckich kolacjach, pięknych pokojach hotelowych i mężczyznach, którzy wiedzieli o seksie dużo więcej niż to, że element A należy włożyć do otworu B. Większość ludzi, których widziała w Mięsie i Zieleninie, jadła z wyraźnym apetytem. Jej zdaniem było to chore. Choć sama też nie miała zastrzeżeń do swojego kotleta, dopóki nie dowiedziała się, że je koninę.

Abstrahując od obrazów, jakie podsuwała jej wyobraźnia, kotlet nie był taki zły – szczególnie w porównaniu ze stekiem z łosia, który zamówił Darrell. Najwyraźniej Inni nie odczuwali potrzeby kategoryzowania mięsa. Mięso to mięso i już.

A te pokoje na Dziedzińcu służące do prywatnych spotkań! Nie mogła sobie wyobrazić kobiety, która marzyłaby o spędzeniu tu choćby godziny – chyba że za sowitym wynagrodzeniem albo dla szpanu.

Jeśli chodzi o sam seks, im mniej o nim myślała, tym lepiej, szczególnie że zamierzała przyjąć kolejne zaproszenia Darrella. To, co dziś zobaczyła, pozwalało opracować tylko ogólne zarysy planu. Postarała się więc, żeby Darrell pragnął więcej, a przy tym nie okazała się zbyt doświadczona. Już to wystarczyło, by dowieść jej aktorskich zdolności.

Azja Crane, agentka do zadań specjalnych. Mogła sobie wyobrazić Darrella za dwa lata, jak wychwala się wszem i wobec, że sypiał z Azją, gwiazdą popularnego programu telewizyjnego.

Westchnęła, musnęła ustami pierś Darrela i podniosła się z łóżka.

– Dokąd idziesz? – spytał, próbując ją zatrzymać.

– Kotku, jest już późno. Muszę wracać do domu.

– Myślałem, że spędzimy razem całą noc.

– Och, nie mogę. Nie za pierwszym razem. Tak się nie godzi. Poza tym zostawiłam samochód na parkingu Dziedzińca. A jeśli ktoś zauważy, że stał tam całą noc?

Darrell zmarszczył brwi.

– Nadal się martwisz, że Simon Wilcza Straż będzie zazdrosny? On o nas wie. Zgodził się wydać ci przepustkę na rynek.

Jasne, chciała, żeby ludzie pracujący na Dziedzińcu wiedzieli, że Darrell to jej chłopak. Nie przyszło jej jednak do głowy, że Simon wie, iż to ona jest kobietą, która spędza dzisiejszą noc z Darrellem. Ale Azja Crane, agentka do zadań specjalnych, powinna to przewidzieć i wymyślić sposób, w jaki wykorzysta tę wiedzę.

Tak. To dobrze, że Simon wie. Nawet lepiej niż dobrze, ponieważ teraz nie będzie go niepokoiła obecność jej zapachu w miejscach, do których normalnie nie miała dostępu.

Pocałowała jeszcze raz pierś Darrella.

– Nie, kotku. Nie martwię się o Simona Wilczą Straż. Dałam mu jasno do zrozumienia, że szukam prawdziwego mężczyzny, a nie Wilka udającego kogoś, kim nigdy nie będzie. – No dobra, nie ujęła tego w ten sposób, kiedy po raz ostatni

próbowała flirtować z Simonem, ale nie sądziła, by Darrell się o tym dowiedział.

– Więc w czym problem? – spytał.

– Już ci mówiłam. Czasami nie potrafię się oprzeć namiętności, kiedy spotkam kogoś wyjątkowego, ale nie należę do dziewczyn, które na pierwszej poważnej randce jedzą i kolację, i śniadanie. – Poglądziła jego tors. – Poza tym nic ze sobą nie zabrałam. – Przycisnęła palec do ust mężczyzny, zanim zdążył zaprotestować. – Nie psuj tego, proszę. Powiedz mi lepiej, na kiedy mam spakować torbę.

– Jak tylko znów załatwię pokój. – Przekręcił się i przycisnął ją swoim ciężarem do materaca. – Ale mamy czas na powtórkę, prawda?

– O tak... – Objęła go za szyję, kiedy zajął pozycję między jej nogami.

## Rozdział 19

– Halo?

– Czy dostała pani mój prezent? Wybrałem go specjalnie dla pani.

– Dostarczył mi go wysłannik. Ale przecież nie podałam panu swojego adresu.

– Informacje można kupić, jeśli się wie, gdzie ich szukać.

– Och, prezent bardzo mi się podoba. Wykorzystam go w pewnym stopniu na mojej jutrzejszej randce.

– Potrzebne pani towarzystwo? Wysłannik posiada liczne talenty. Tak się złożyło, że w tej chwili w Lakeside przebywa ponad dwudziestu wysłanników z tej firmy. Potrafią się obchodzić z delikatnymi przesyłkami.

Cichy śmiech.

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie. I zapewne wkrótce będę mogła przedstawić panu jakiś wyraz wdzięczności.

– W takim razie czekam z niecierpliwością na naszą następną rozmowę.

Azja odłożyła słuchawkę, po czym wciągnęła na dłonie cienkie rękawiczki, jakich używa się w szpitalach na oddziałach zakaźnych. Kiedy przeglądała fiołki przesłane przez właściciela Meg Corbyn, w myślach podziękowała Grubej Rybie za szkolenie dotyczące działania narkotyków i kar za ich posiadanie. Wówczas uważała, że ta wiedza przyda jej się raczej w programie telewizyjnym. Tymczasem okazała się pomocna w codziennym życiu.

Niektóre z tych substancji były w miarę bezpieczne, ponieważ dawały niewielkie skutki uboczne. Samo posiadanie innych kosztowałoby ją kilka lat więzienia, natomiast gdyby ich użyła, czekałoby ją dożywocie. Otrzymała też coś, o czym nigdy dotąd nie słyszała – wilczenie. Jednak póki się nie dowie, jak to działa, wstrzyma się z użyciem.

Uniosła ostatnią fiołkę, przeczytała naklejkę i ostrożnie odłożyła na miejsce.

Ten środek zapewniał użytkownikowi podróż w jedną stronę do dziczy. Żadne tam więzienie, to zbyt łagodna kara. Skazanego czekała wycieczka w głąb terytorium Innych, bez jedzenia, bez wody, bez butów.

Jeszcze nikt nie przeżył takiej kary.

Jej nowy darczyńca, jak zaczęła nazywać w myślach właściciela Meg, zapewne miał takie dojścia, że za posiadanie tych środków nic mu nie groziło, ale Azja nie łudziła się, że w razie czego ją ochroni. A Gruba Ryba i jego sponsorzy wyprą się jej, jeśli zostanie złapana choćby ze środkami, których posiadanie karano więzieniem. Więc w jej własnym najlepiej pojętym interesie leżało pilne zużycie tej ostatniej substancji. Miała już nawet pomysł, jak ją wykorzystać.



– Wiesz, na co naprawdę mam ochotę? – spytała Azja, parkując samochód na tyłach biura łącznika. Tu był zabezpieczony przed ewentualnymi złodziejami i niewidoczny dla radiowozów – policja mogłaby zainteresować się pojazdem stojącym przez całą noc na parkingu Dziedzińca. We wtorek pod tym pretekstem udało jej się zakończyć randkę. Dziś, skoro wóz został ukryty, tylko Darrell wiedział na pewno, że wróciła z nim na Dziedziniec.

– Mogę się domyślić – odparł z szerokim uśmiechem, w którym dostrzegła odrobinę podłości.

– Przed tym, co masz na myśli. – Azja wyłączyła światła. W ciemności ledwie widziała siedzącego obok mężczyznę.

Nawet jeśli sklepy Dziedzińca miały zewnętrzne oświetlenie przy tylnych wejściach, dziś nikt go nie włączył – nie paliła się nawet lampa na górze schodów. Czyżby światła to zbytnia uprzejmość wobec ludzi, czy może Inni uznali, że Darrell sam się tym zajmie?

Ciekawe, czy na łóżku będzie czysta pościel i czy ktoś korzystał z niego wczoraj...

– No więc na co masz ochotę? – spytał Darrell, a odrobina podłości zniknęła, jakby nigdy jej nie było.

Azja pochyliła się, odszukała jego rozporek i zaczęła powoli rozpinać.

– Na małą przejażdżkę.

– Przejażdżkę? – Jego głos stał się skrzekliwy. – Dokąd?

– Do Zielonego Kompleksu i z powrotem.

Nagle powstrzymał jej rękę. Zaczął dyszeć, ale Azja miała wrażenie, że to nie z powodu żądy.

– Oszalałaś?

– Przecież ludziom wolno tam przebywać.

– Tylko jeśli mają przepustkę! A nawet wtedy niebezpiecznie jest opuszczać rynek!

– Ale przecież ty masz przepustkę. – Azja sęczyła miód w swoje słowa, a jej palce sprawnie rozpinały guziki rozporka Darrella. Wrzuciła kilka płatków wilczenia do jego ostatniego drinka w Pikantnych Daniach, żeby sprawdzić, co się stanie. Jak na razie nie działo się nic. Może dawka była za mała? – Chcę być kobietą, która ma odwagę zrobić coś ryzykownego. Na przykład spędzić z mężczyzną całą noc... – Urwała, próbując cofnąć rękę, ale przytrzymał ją z taką siłą, że niemal sprawił jej ból. Puścił dopiero po chwili. Azja usiadła sztywno i popatrzyła przed siebie. – Pomyślałam tylko, że moglibyśmy przeżyć razem przygodę, zanim... – Poruszyła się niespokojnie, dając do zrozumienia, że czuje się skrępowana. – Chciałam zrobić dziś dla ciebie coś wyjątkowego. Coś takiego jak dziewczyna w filmie, który oglądaliśmy ostatnio. To, co chciałaś, żebym zrobiła, a ja nie mogłam. Kupiłam sobie nawet książkę na ten temat. No wiesz, jeden z tych podręczników, które mówią co i jak. Musiałam iść do księgarni na drugi koniec miasta, żeby nikt mnie nie zobaczył. Ale widzę, że nie chcesz...

Darrell wciągnął gwałtownie powietrze. Wygrała.

– Nie będziemy wysiadać z samochodu – zastrzegł lekko drżącym głosem.

– Oczywiście – zgodziła się natychmiast. – To byłoby zbyt ryzykowne.

– I nie możemy tam jechać twoim samochodem – zdecydował po chwili namysłu. – Po Dziedzińcu nie jeździ się takimi pojazdami, natychmiast by nas zauważyli. Za to każdy może przyjechać z wizytą do Zielonego Kompleksu w PNK.

– *Dobrze wiedzieć*, pomyślała Azja. – Zaczekaj tutaj, muszę iść po kluczyki do konsulatu. – Kiedy Darrell wysiadł z samochodu, policzyła do dwudziestu, po czym też wysiadła. Rozpięła płaszcz i wyjęła aparat fotograficzny, który ukryła w wewnętrznej kieszeni. Potem rozejrzała się. Nie, nie ma sensu robić tu zdjęć, jest za ciemno. Nie pomoże nawet lampa błyskowa. Gdy Darrell wrócił, dyszał, jakby przebiegł maraton. Albo jakby uciekał przed watahą Wilków. – Nie wiem, który PNK będzie wolny, ale na szczęście kluczyki są uniwersalne. – *To też dobrze wiedzieć*, pomyślała Azja, obserwując, jak zagląda do garaży. – Tu jest jeden. – Skinął na nią ręką.

Zamknęła samochód. Jej torba z rzeczami na jedną noc – i innymi akcesoriami – leżała w bagażniku. Nie szkodzi, że ubrania będą sztywne od mrozu – i tak nie zamierzała ich zakładać. A proszek w fiolkach przecież nie zamrznie. Pobiegła za Darrellem i zajęła miejsce dla pasażera w PNK, zastanawiając się, czy to coś ma silnik i ogrzewanie.

Okazało się, że ma i jedno, i drugie. Przynajmniej w pewnym sensie.

– Co ty robisz? – spytała przez zęby, kiedy Darrell, wyjechawszy tyłem z garażu, wysiadł i zaczął starannie zamykać drzwi.

– Jeśli jakaś Sowa zauważy otwarte drzwi, ogłosi alarm – wyjaśnił, opuszczając handlową dzielnicę Dziedzińca.

Nie ujechali daleko, kiedy Azja zauważyła żółty snop światła na poboczu drogi.

– Co to takiego?

– Lampa solarna – wyjaśnił Darrell. – Inni stawiają takie na rozwidleniach dróg. Zielony Kompleks znajduje się na zewnętrznym pierścieniu.

– A dokąd prowadzi ta droga w lewo?

– Do wnętrza Dziedzińca. Albo do Kruczości, sam nie wiem.

Był wyraźnie zdenerwowany i Azja przestała zadawać pytania.

Droga nie była oświetlona, więc nie bardzo miała co oglądać, nie widziała też żadnych znaków charakterystycznych, które mogłaby komuś opisać. Na ile zdołała się zorientować, Dziedziniec składał się z wielkiej pustki. Wkrótce dojechali do Zielonego Kompleksu, gdzie mieszkał Simon Wilcza Straż. Kiedy Darrell zaparkował na jednym z miejsc dla gości naprzeciwko kompleksu, z trudem ukryła rozczarowanie. To był zwykły dom, zbudowany na planie litery U. Czyli to tu mieszkali członkowie Stowarzyszenia Przedsiębiorców, pociągający za sznurki na Dziedzińcu? Dużo światła w oknach. Dużo Innych w mieszkaniach?

– Ludzie są w tym dużo lepsi – mruknęła.

– W czym? – zapytał Darrell.

– W budowaniu domów i samochodów, i w ogóle...

Kiwnął głową i parsknął z pogardą.

– Inni uważają, że mieszkają w luksusach, bo mają bieżącą wodę i ogrzewanie i nie muszą srać w lesie. No, chyba że mają na to ochotę.

Taki język u Darrella? Azja przyjrzała mu się z zainteresowaniem. Skąd wziął się ten gniew?

– Myślałam, że lubisz pracować w konsulacie.

– Praca w konsulacie dobrze wygląda w cv – odparł. – Poza tym zarobki są niezłe dzięki kredytowi na rynku. Zarabiam prawie dwa razy tyle, co na równorzędnym stanowisku w ludzkim rządzie. Ale to tylko środek do osiągnięcia celu.

Który Darrell Adams był prawdziwy? Ten strachajło, beznadziejny kochanek, z którym przespała się dwa dni temu, czy ten wściekły młody mężczyzna, który zapewne co wieczór fantazjował o palnięciu w łeb Elliota Wilczej Straży?

– Nienawidzisz ich, prawda? – spytała.

Zanim zdążył odpowiedzieć, z jednego z mieszkań wyszedł Vladimir Sanguinati. Spojrzał w ich stronę i zatrzymał się, a potem zaczął się im przyglądać z nadmierną, zdaniem Azji, uwagą.

– Dość się napatrzyłaś? – spytał Darrell.

Gdy wampir ruszył w ich stronę, jego brawura zniknęła. Wrzucił bieg i odjechał z piskiem opon, żeby oddalić się od Zielonego Kompleksu, zanim Vlad ich rozpozna.

Nie, wcale nie miała dosyć. Nadal nie wiedziała, które mieszkanie należy do Meg Corbyn, a które do Simona Wilczej Straży. Ale przynajmniej zdobyła trochę informacji potrzebnych specjalnemu wysłannikowi.

Musiła też zastanowić się nad działaniem substancji o nazwie wilczenie, która zmieniała tchórza w gniewnego mężczyznę, choć zmiana trwała raptem minutę, góra dwie. Masę rzeczy można zrobić w minutę czy dwie. Być może warto wypróbować ją ponownie, oczywiście jeśli będzie musiała zgodzić się na kolejną randkę. Teraz jednak należało zrealizować resztę planu na ten wieczór. Kiedy wrócą do pokoju, da Darrellowi seks, o jakim nie śmiał nawet marzyć.



Obserwowała Darrella przez dobrą minutę, zanim ostrożnie wstała z łóżka. W jego organizmie było akurat tyle wilczenia, żeby zrobił się interesujący, ale uważała, że dwa razy to więcej niż dość. Padł, tak że nie ruszy się przynajmniej przez godzinę. A godzina to dla niej masa czasu.

Założyła spodnie Darrella, ściskając je w talii paskiem, który kupiła dopiero wczoraj, żeby zachował się na nim zapach ludzi, którzy dotykali go w sklepie. Założyła też jego koszulę, skarpetki i płaszcz. Wyciągnęła z kieszeni wełnianą czapkę i schowała pod nią włosy. Wsunęła do kieszeni aparat fotograficzny i małą latarkę, a potem założyła buty – już własne, ponieważ nie chciała ryzykować, że się przewróci i coś sobie złamie.

Zawahała się nad swoją torbą z rzeczami. Wszystko mogło się pochrzanić na wiele różnych sposobów, ale jeśli jej się uda, zapłata, jaką dostanie, uczyni z niej najjaśniejszą gwiazdę w Sparkletown.

Wybrała fiolkę i schowała do kieszeni płaszcz. Potem wzięła leżące na stole klucze, wyszła z pokoju i ruszyła na tyły biura łącznika.

Trzy klucze na kółku. Jeden do pokoju, którego używali. Jeden do drugiego pokoju na piętrze. A ostatni...

*Tak!* pomyślała, otwierając tylne wejście. Zdjęła buty, a potem poszurała nogami w skarpetkach po podłodze, żeby zostawić na niej zapach Darrella. Wyjęła latarkę, włączyła i rozejrzała się.

Typowe zaplecze biura. Stół i dwa krzesła, pseudokuchnia z małą lodówką i szafkami. Łazienka i coś w rodzaju magazynu, a w nim skrzynie z ubraniami czystymi albo mocno przechodzonymi.

W lodówce nic przydatnego, ale w szafce pod ladą znalazła to, czego szukała: napoczęte pudełko z kostkami cukru. Żałując, że nie może włączyć światła, położyła latarkę na podłodze i wyjęła z kieszeni fiolkę. Kryształki wyglądały zupełnie jak cukier, a z tego, co wiedziała, także smakowały podobnie. Dlatego były takie skuteczne, a kara za ich używanie – tak wysoka. Posypała nimi wierzchnią warstwę kostek cukru, a potem lekko potrząsnęła pudełkiem, żeby równomiernie rozprowadzić substancję. Powtarzała tę czynność tak długo, aż wysypała do pudełka cały zapas kryształków.

Potem schowała pustą fiolkę do kieszeni płaszcz, odstawiła pudełko z cukrem na miejsce i weszła do następnego pomieszczenia.

Niewiele tu było do oglądania. Kim trzeba być, żeby znosić pracę w takim miejscu, i to dzień w dzień? Nie znalazła nawet listów, na podstawie których mogłaby poznać nazwiska Innych.

Gdy otworzyła szafkę, zobaczyła pudełka z ciastkami dla psów. Przez chwilę żałowała, że zużyła cały zapas substancji, ale potem doszła do wniosku, że może to i lepiej. Gdyby coś się stało Wilkowi, uznano by to za wypowiedzenie wojny. Ale te głupie kucyki to tylko zwierzęta. Nigdy nie słyszała o Innych noszących nazwisko Kucykowa Straż. Ściągną na siebie uwagę Innych i wzbudzą ich niepokój, ale pozostaną jedynie efektem ubocznym jej szczwanego planu.

Wysunęła szufladę i przez długą chwilę patrzyła na leżący tam arkusz papieru. Jej serce przyspieszyło z podniecenia. Bingo! Miała przed sobą mapę Dziedzińca! Bramy, drogi, budynki – wszystko, co będzie potrzebne oddziałowi uderzeniowemu.

Naciągnęła na dłoń rękaw koszuli Darrella, dwoma palcami wyjęła mapę i położyła na stole. Potem wyciągnęła aparat fotograficzny i... zakłęła pod nosem. Latarka i flesz aparatu nie wystarczą. Jeśli chciała zrobić zdjęcie, które do czegoś się nada, będzie musiała na chwilę zapalić światło.

W oknach nie było zasłon. Niczym nie mogła ich zakryć. *Przestań zwlekać*, pomyślała, oświetlając ściany latarką, póki nie znalazła włącznika światła. *Im szybciej zrobisz zdjęcia, tym szybciej stąd wyjdiesz*. Włączyła światło, podbiegła do stołu i zrobiła kilka zdjęć całej mapy, a potem kilka zbliżeń jej fragmentów. Schowała aparat do kieszeni, a mapę do szuflady, wyłączyła światło i... usłyszała pohukiwanie Sowy.

*Cholera jasna! Psia krew!* Czy któreś z nich siedziało na murze koło biura? Albo, co gorsze, na poręczy schodów, po których musiała wrócić?

Po cichu przemknęła na zaplecze, założyła buty, otworzyła zewnętrzne drzwi

i zaczęła nasłuchiwać. Nie usłyszała jednak ani pohukiwania, ani łopotu skrzydeł. Wyszła więc ostrożnie na zewnątrz i wyłączyła latarkę. Gdy postawiła stopę na pierwszym stopniu, pomyślała o pustej fiolce w kieszeni. Według Grubej Ryby taka szybka i zdecydowana reakcja policji na wezwanie z Dziedzińca była czymś niezwykle. A jeśli znajdą przy niej pustą fiolkę, będzie to równoznaczne z przyznaniem się do winy.

Odeszła kilka kroków od schodów, wyjęła fiolkę z kieszeni i wetknęła w zaspę, najgłębiej jak potrafiła. Potem zasypała dziurę, otrzepała śnieg z rękawa płaszcza i poszła na górę.

W pokoju Azja przebrała się w swoje ubranie, wzięła torbę i zamknęła się w łazience. Wcześniej, w ramach gry wstępnej, wzięli z Darrellem wspólny prysznic, używając mydła i szamponu, których stosowania wymagali od swoich pracowników Inni. Teraz spryskała lekko skórę i swoje rzeczy kwiatowym zapachem, który *terra indigena* kojarzyli z Azją Crane, ponieważ zawsze nim pachniała, kiedy zjawiała się w Zabójczo Dobrych Lekturach albo w Czymś na Ząb.

Potem wślizgnęła się do łóżka i przytuliła do rozgrzanego ciała Darrella, który tylko chrząknął, sapnął i odwrócił się od niej. Minęła godzina. Potem druga. Azja myślała o fiolce ukrytej w zaspie, gdzie przy odrobinie szczęścia zostanie do wiosny. Myślała o aparacie fotograficznym i obciążających ją zdjęciach zapisanych na karcie pamięci. Myślała o tym, jak zerwać z Darrellem.

I o tym, co zrobiłaby Azja Crane, agentka do zadań specjalnych.

W końcu wstała z łóżka, ubrała się, zebrała swoje rzeczy i wyszła. Wyjechała z Dziedzińca, nie czekając, aż silnik samochodu się nagrzej, ani nie odgarniając śniegu z tylnej szyby. Ulice były prawie puste – było późno – mimo to obawiała się, że może śledzić ją policja.

Minęła kolejną przecnicę i dopiero wtedy zatrzymała się, by starannie zmieść śnieg z tylnej szyby. Potem wyjęła z torby komórkę.

– Halo? – rozległo się w słuchawce.

– Potrzebny mi jeden z pańskich specjalnych wysłanników. Ktoś, kto potrafi wydrukować zdjęcia, a także jest gotów wykonywać prywatne polecenia.

– Może być u pani za pół godziny.

– Do tej pory powinnam już wrócić do domu.

Azja rozłączyła się i pojechała do siebie.

Zamieszkała w dzielnicy uniwersyteckiej, ponieważ położona była blisko Dziedzińca, ale nie graniczyła bezpośrednio z jego terenem. Zapewne żaden z Innych nie widział jej nigdy poza sklepami, więc nie mieli pojęcia, gdzie mieszka.

Teraz szczególnie ważne było, żeby się tego nie dowiedzieli.

Ledwie zdążyła włączyć światło w mieszkaniu, gdy ktoś zapukał.

Specjalny wysłannik. Ten sam, który dostarczył jej prezent.

– Ma pani coś dla mnie? – spytał, zamknawszy za sobą drzwi.

Azja zdjęła płaszcz i wyjęła z wewnętrznej kieszeni aparat fotograficzny.

– Mam zdjęcia, których nie może zobaczyć żaden pracownik zakładu fotograficznego.

Pomachał jej przed nosem czarną walizeczką, którą przyniósł ze sobą.

– A ja mam ze sobą prywatne laboratorium fotograficzne. – Podszedł do stołu



i zaczął rozstawiać sprzęt.

– Dotąd nie widziałam niczego takiego – stwierdziła z podziwem. – To musiało sporo kosztować.

– Będzie mnie kosztować rękę – i to dosłownie – jeśli coś zgubię albo uszkodzę, ale darczyńca, który finansuje tę akcję, jest zdania, że powinien zapewniać swoim ludziom najlepszy sprzęt, gdyż drugiej takiej szansy nie będzie.

– Jak udało się wyprodukować coś takiego bez wiedzy Innych? – spytała Azja. Uśmiechnął się do niej drapieżnie.

– Przed Innymi można ukryć wszystko, wystarczy wiedzieć jak. A teraz proszę dać mi kartę, zobaczymy, czy te zdjęcia są warte wyciągania mnie z łóżka w środku nocy.

Urażona sugestią, że mogłaby zirytować ważnego człowieka jakąś nieznaczącą błahostką, Azja wyjęła kartę z aparatu i podała wysłannikowi. Włożył ją do jednej ze swoich skrzynek i uruchomił program do przeglądania zdjęć.

Przyglądał się przez chwilę wyświetlonym fotografiom, a potem zagwizdał cicho.

– Bardzo przepraszam. Te zdjęcia z pewnością są warte zrywania z łóżka w środku nocy. – Przyjrzał się jej z zainteresowaniem. – Gdzie pani to znalazła?

– W biurze łącznika.

– Jak szybko Inni reagują na zagrożenie?

– Błyskawicznie. Policja niemal równie szybko.

– Cholera. Zwykle się nie spieszą, jeśli chodzi o Dziedziniec.

– Nie tutaj. – Zawahała się. Ta misja była dużo bardziej niebezpieczna niż wszystko, co dotąd robiła dla sponsorów, a praca równocześnie dla nich i dla darczyńcy niosła ze sobą dodatkowe ryzyko. Ale do cholery, to było takie ekscytujące! Dokładnie czymś takim powinna zajmować się Azja Crane, agentka do zadań specjalnych. – Dlatego przyda się kilka fałszywych alarmów – dodała, wchodząc w rolę swojego alter ego. – Żeby policja zaczęła zwalniać tempo reakcji. Mam na myśli coś, co odwróci ich uwagę, ale nie spowoduje poważnych konsekwencji.

Wysłannik zaczął drukować zdjęcia, studiując uważnie każde, które się pojawiało.

– Zamieszanie w pobliżu bram. – Przesunął palcem po obszarze, gdzie znajdowały się sklepy, konsulat i biuro łącznika. – W dzień?

– I wczesnym wieczorem. Nie pracują w regularnych godzinach jak ludzie, ale o dziewiątej większość sklepów jest już zamknięta.

– A to miejsce? Kompleks Usługowy?

Azja pokręciła głową.

– Nie wiem. Chyba pracują w dzień, ale nie mam pojęcia, czy wpuszczają tam ludzi.

– Możemy się dowiedzieć – rzucił nieuważnie, wpatrując się w mapę. – Fałszywe alarmy. Będziemy ich tak dręczyć, że nie zorientują się, kiedy pojawi się prawdziwe zagrożenie.

– Ale dopiero po poniedziałku.

Podniósł na nią wzrok.

– Dlaczego?

– Ponieważ sama przygotowałam już pierwszy fałszywy alarm. I sądzę, że uruchomi się właśnie w poniedziałek.

Wysłannik skończył drukować zdjęcia – wydrukował nawet odbitkę dla Azji – i schował swój sprzęt do walizki, a fotografie do sztywnej koperty. Potem przyjrzał się jej uważnie i uśmiechnął drapieżnie.

– Powiedziano mi, że ma pani również jakieś osobiste polecenia.

– Ale nie tego rodzaju – odparła ostro, uprzedzając dwuznaczne propozycje. – Nie chcę mieć na sobie zapachu nikogo poza mężczyzną, z którym spędziłam dzisiaj noc.

– Więc czego pani trzeba?

– Niech mnie pan pobije. Nie aż tak poważnie, żebym musiała jechać do szpitala albo wzywać policję, ale na tyle mocno, by inne kobiety nie miały wątpliwości, dlaczego chcę zerwać z tym mężczyzną i nie chodzić w miejsca, w których mogłabym go spotkać. Muszę mieć powód, żeby w poniedziałek trzymać się z dala od Dziedzińca.

Zmrużył oczy.

– Wrabia go pani?

– Powiedzmy, że będzie chronił nas wszystkich.

Posłaniec przyjrzał się jej ciału zimnym okiem fachowca, po czym włożył cienkie skórzane rękawiczki.

– No to do roboty.

## Rozdział 20

– Jesteś pewien? – spytał Simon, zamykając drzwi i wracając za biurko.

– Jestem pewien – odparł Vlad. – Poszedłem za nimi, kiedy opuścili Zielony Kompleks. A dziś rano Blair potwierdził, że PNK, który powinien mieć całkowicie naładowane akumulatory, ponieważ podłączył go do zasilania wczoraj po południu, ma tylko połowę zapasu mocy.

– Więc dlaczego nie zająłeś się tym na miejscu?

– A ty dlaczego nie zareagowałeś od razu, kiedy dziś rano Nathan powiedział ci, że poczuł zapach Darrella w sortowni i na zapleczu biura łącznika? – odparował Vlad. Simon rzucił okiem na wygodne legowisko stojące w kącie biura – już kilka Wilków miało takie w swoich miejscach pracy. Wiedział, że powód, dla którego on i Vlad nie zabili Darrella od razu, był ten sam. Nie obchodziło go, co sobie pomyśli policja, ludzki rząd czy całe cholerne Lakeside, jeśli rozszarpie gardło człowiekowi, który zawiódł zaufanie *terra indigena*. Ale istniała możliwość, że Meg poprosiła Darrella o dostarczenie jej czegoś do Zielonego Kompleksu, a on przestraszył się na widok Vlada, ponieważ zabrał ze sobą Azję Crane. Istniało również prawdopodobieństwo, choć niewielkie, że Meg poprosiła Darrella o pomoc przy czymś na zapleczu biura albo w sortowni. Od kiedy dla nich pracowała, Stowarzyszenie Przedsiębiorców nie zabraniało już tak kategorycznie ludziom przebywania w tych pomieszczeniach, głównie dlatego, że ich łącznik potrzebował do szczęścia towarzystwa ludzkich pracowników, a Inni chcieli, żeby Meg była szczęśliwa i żeby z nimi została. Nie mogli zjeść Darrella, jeśli naprawdę robił coś na prośbę Meg. – Nie możemy pozwolić małym na łamanie naszych reguł – stwierdził Vlad.

– Nie możemy – przyznał Simon. – Ale Darrell pracuje dla Elliota. Ponieważ jego wykroczenie sprowadza się do jazdy do Zielonego Kompleksu bez pozwolenia, porozmawiam z Elliotem, niech on zdecyduje, co z nim zrobić. – Pomyślał przez chwilę. – Potem wezwę Chrisa Fallacaro i każę mu zmienić zamki w konsulacie i biurze łącznika.

– A co z Azją Crane? – spytał Vlad.

– Była z Darrellem i nie wysiadła z samochodu. Nie jestem pewien, czy można to nazwać wtargnięciem – powiedział Simon. Szczególnie że Vlad pozwolił jej wczoraj w nocy opuścić Dziedziniec. – Ale od tej chwili ma całkowity zakaz wstępu, nawet do ZDL i Czegoś na Ząb. – Ulga, że wreszcie ma powód, żeby odizolować ją od Meg, była niemal bolesna.

Jeśli Meg będzie na niego wściekła za to, że wygnał Azję, trudno. Jakoś to zniesie. Przynajmniej przez jakiś czas.

– No dobrze – powiedział Vlad. – Poinformuję dziadka o decyzji Wilczej Straży. A ty porozmawiaj z Elliotem.

Kiedy wyszedł, Simon przeciągnął się, próbując rozluźnić kark i ramiona. Zadzwoił do Elliota, a później przygotował tekst ulotek, które wydrukuje dla niego Lorne, gdy tylko otworzy Trzy P.



Vlad przeleciał pod drzwiami biura Elliota – wąska smuga dymu nad dywanem, tuż przy ścianie. Miał w nosie, czy Elliot go widzi i czy wie, że zamierza posłuchać jego rozmowy z człowiekiem. Chciał tylko, żeby nie widział go Darrell.

Choć kwestia wyrzucenia Darrella z pracy była już przesądzona, to, czy w ogóle opuści Dziedziniec, pozostawało sprawą otwartą, choć od wyjścia z konsulatu na ulicę było tylko parę kroków. Wszystko jedno, jak szybko potrafi biegać, Sanguinati i tak go dogonią. Erebus zdecydował, że jeśli Vlad uzna, iż postępek Darrella to coś więcej niż tylko głupi wyskok z powodu kobiety, on lub Nyx mają się nim zająć na miejscu, zanim dotrze na terytorium ludzi.

– Panie Wilcza Straż? Chciał mnie pan widzieć? – Darrell nerwowo poprawiał węzeł krawata.

– Tak – odparł Elliot tonem niezdradzającym żadnych emocji. – Czy wiesz, z jakiego powodu?

– Nie, proszę pana, ale... ktoś opróżnił moje biurko i spakował w karton część moich rzeczy...

– Nie część. Spakowaliśmy wszystkie twoje rzeczy. Reszta przedmiotów, które były w twoim biurku, należy do konsulatu. A teraz oddaj mi klucze, które dostałeś, i przepustkę na rynek.

– Ale... dlaczego?

– Zwalniamy cię, ponieważ zawiodłeś nasze zaufanie.

Przyspieszony oddech. Bładość. Jednak mimo niepodważalnych symptomów winy, głupiec próbował zaprzeczać.

– To nieprawda.

– Mam nadzieję, że twoje wykroczenie ograniczyło się do zabrania tej kobiety do Zielonego Kompleksu. Dla twojego dobra. Zapewne zdajesz sobie sprawę z tego, co się stanie, jeśli pozwolisz sobie na niedyskrecję i zdradzisz komuś, co widziałeś albo słyszałeś w konsulacie.

– Proszę pana, przecież dobrze pracowałem!

– To prawda. Byłem zadowolony z twojej pracy. Ale ponieważ zawiodłeś zaufanie, którym cię obdarzyliśmy, musisz odejść. Jednak zanim stąd wyjdiesz, chcę usłyszeć odpowiedź na jedno pytanie: czego szukałeś w biurze łącznika?

– Nie byłem w biurze – zaprotestował Darrell. – Byłem w pokoju nad biurem, dostałem zezwolenie na jego wykorzystanie. Byłem tam z... przyjaciółką... aż do dzisiejszego ranka.

– Więc twierdzisz, że nigdy nie byłeś w biurze? – spytał Elliot łagodnie.

– Pewnie, że byłem. Kilka razy poszedłem po pocztę dla konsulatu.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – Mężczyzna zmarszczył brwi, nic nie rozumiejąc.

– Tak – powtórzył cierpliwie Elliot. – Dlaczego? Nigdy wcześniej tego nie robiłeś.

Darrell skulił się na krześle.

– Nie lubiłem poprzednich łączników. Ale Meg jest miła i zawsze ma porządknie ułożoną pocztę. Odbierałem ją ot tak, z sympatii.

Żeby mieć w zapasie *Meg, jeśli z Azją Crane ci nie wyjdzie?* pomyślał Vlad.

– Kto wpadł na pomysł, żeby pojechać do Zielonego Kompleksu? – spytał Elliot. – Twoja przepustka zezwala jedynie na wstęp do dzielnicy handlowej, a twojej przyjaciółce wolno było przebywać tylko w pokoju, który wynająłeś na to... spotkanie.

– Chciała przeżyć przygodę.

– Jaką przygodę? Przecież było ciemno.

– Chyba chciała zobaczyć, gdzie mieszka Simon Wilcza Straż. – Darrell zwiesił głowę i mówił bardziej do swojego krawata niż do Elliota. – Mówiła, że on już ją nie obchodzi, ale sędzę, że to nieprawda. Myślę, że udawała.

Wystarczy, Elliocie, powiedział Vlad. Poinformuję dziadka, że ta mała próbowała zrobić wrażenie na samicy i jest głupia, to wszystko. A ponieważ ta cała Azja dostała już zakaz wstępu na Dziedziniec, takie wyjaśnienie go usatysfakcjonuje.

Vlad zostawił Elliota, przeleciał pod drzwiami i na korytarzu przybrał ludzką formę. Kiedy wyszedł na zewnątrz, poinformował Nyx, że Darrellowi wolno opuścić Dziedziniec w jednym kawałku. Potem przeszedł między budynkami i zatrzymał się na tyłach biura łącznika.

Stała tam już furgonetka Fallacaro Zamki i Klucze. Chris Fallacaro pracował właśnie nad drzwiami do biura. Blair patrzył mu na ręce i zapewne dlatego wymiana zamka zajmowała człowiekowi tyle czasu. Co innego uczniowie, którzy przyglądają się, żeby się czegoś nauczyć, a co innego główny stróż porządku na Dziedzińcu.

Meg podjechała właśnie w swoim PNK i najwyraźniej nie bardzo wiedziała, co dalej robić, gdyż furgonetka i PNK Blaira skutecznie uniemożliwiały jej zaparkowanie.

Nie ustalili, co powiedzą Meg, a Vlad nie chciał naciskać na Simona – szczególnie że byli po tej samej stronie. Wolałby bardziej radykalne rozwiązanie, jeśli chodzi o pozbycie się Azji Crane i żałował, że nie zajął się tym wczorajszej nocy. Ponieważ podjął niewłaściwą decyzję, ustąpił pola Simonowi, żeby to on dostarczył wszystkim krwi i mięsa.

No ale co by wtedy powiedzieli łącznikowi? *Śłuchaj Meg. Nie lubiliśmy tej Azji Crane, więc ją zjedliśmy?*

*Kiedy ma się do czynienia z ludźmi, szczerłość nie zawsze się opłaca*, pomyślał Vlad, podszedł do PNK i otworzył drzwi od strony kierowcy.

– Co się dzieje? – spytała Meg, wysiadając.

– Wejdźmy do środka. Jest zimno. – Wziął ją pod rękę i zaprowadził w stronę wejścia.

Blair powiedział coś do Chrisa. Ten podskoczył, obrócił głowę tak gwałtownie, że pewnie naciągnął sobie mięśnie karku, a potem otworzył szerzej drzwi, żeby Meg mogła przejść.

Zmieniła buty, odwiesiła płaszcz i poszła otworzyć biuro. Vlad stanął w progu sortowni, a ona oparła się o kontuar.

– Co się stało? – spytała.

– Pewien człowiek, Darrell, zawiódł nasze zaufanie – odparł wprost, jakby rozmawiał z jednym ze swoich. Nagle jednak ogarnęły go wątpliwości. Co wieszczki krwi wiedzą o seksie? Uznał, że lepiej będzie pominąć milczeniem nocne zajęcia Azji i Darrella. – Został zwolniony. A ponieważ miał klucze i do konsulatu, i do tego budynku, kazaliśmy zmienić zamki.

– Czy zawsze tak robicie, kiedy któryś z pracowników odchodzi?

– Nie zawsze.

Zbladła, co go zaniepokoiło.

– Czy Sam jest w niebezpieczeństwie? – spytała.

*Ciekawe pytanie.*

– Nie sądzę.

Oczywiście właśnie tę chwilę wybrał sobie Nathan, żeby otworzyć frontowe drzwi. Zatrzymał się, kiedy zakrakała na niego jedna z Wron, a potem podniósł rękę na powitanie. Wrona podleciała do niego i razem weszli do środka. Wilk rzucił okiem na posłanie, a potem otrząsnął śnieg z butów i podszedł do kontuaru. Wrona zeskoczyła z jego ręki na ladę, ślizgając się nieco.

– Dzień dobry, Nathanie. Dzień dobry, Jake. – Meg rzuciła okiem na Vlada. – Wszystkie zamierzacie się tu dziś kręcić?

– Dopóki nie zmienią zamków – odparł. – Potem Blair pojedzie z Chrisem do Kompleksu Usługowego, żeby dorobić klucze. Zamek w drzwiach frontowych też jest do wymiany.

– Tylko dlatego, że Darrell zawiódł wasze zaufanie? – zdziwiła się Meg.

– To było poważne wykroczenie. – Vlad udawał, że nie słyszy warczenia Nathana.

Gdy z zewnątrz dobiegł ich chrzęst opon, wszyscy spojrzeli w okno. Meg wyjęła spod lady swoją podkładkę i wzięła długopis, który podał jej Jake.

– Spróbujcie nie straszyć kuriera, dobrze? – poprosiła.

– Kra – odpowiedział Jake.

Vlad wycofał się do sortowni. Nie umknęło jego uwadze, że tylko Jake dał jej swoje słowo.

Miał wrażenie, że uwadze Meg też to nie umknęło.



Przemyślawszy dokładnie swój plan, Azja weszła do Zabójczo Dobrych Lektur. Wiedziała, że jest dobrze przygotowana do roli: odrobinę zbyt mocny makijaż, jakby próbowała coś ukryć, fryzura nie tak staranna jak zwykle, sweter z kapturem, który odsłoni siniaki na ramionach, jeśli poruszy się niezręcznie – nikt się nie domysli, że pokazuje je celowo.

Specjalny wysłannik wykonał kawał dobrej roboty, imitując obrażenia zadane

przez mięczaka, który nagle zmienił się w brutala. Ale jeśli Wilk znów wsadzi nos tam, gdzie nie trzeba, poczuje tylko zapach Darrella.

Dziewczyna w kasie spojrzała na nią i zbladła. Azja z satysfakcją uznała, że to z powodu siniaków. Ale po kilku sekundach dostrzegła swoje imię wypisane dużymi literami na czymś w rodzaju ulotki leżącej przy kasie.

Podeszła bliżej, lecz już w następnej chwili drogę zablokował jej Simon Wilcza Straż, warcząc, tak że pomimo ludzkiej formy w ogóle nie sprawiał wrażenia człowieka.

– Masz zakaz wstępu na Dziedziniec – oświadczył głosem władczym i pełnym gniewu. – Dotyczy to również wszystkich sklepów należących do Dziedzińca. – Zrobił krok do przodu, zmuszając ją do cofnięcia się. – Łącznie z tym. Teraz jeszcze pozwolę ci wyjść, ale jeśli znów zobaczymy cię na swojej ziemi, zabijemy cię.

Klienci księgarni zamarli z przerażenia.

Azja zadarła podbródek, zmieniając kostium ofiary brutalnego seksu w pelerynę obrońcę ludzkości.

– Nie możesz zakazać mi wstępu do sklepu. To jest dyskryminacja! Nie moglibyście kupować tych wszystkich śmieci, które tak sobie cenicie, gdyby ludzkie sklepy zaczęły was dyskryminować!

– Och, one często nas dyskryminują – odparł Simon. – Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że weszłaś tam, gdzie nie wolno ci wchodzić, a my cię na tym przyłapaliśmy. Postanowiliśmy tym razem puścić wam to płazem, tobie i Darrellowi. Tak, on też ma zakaz wstępu na Dziedziniec. A co do was – zwrócił się do innych klientów – to jeśli nie chcecie robić zakupów w naszych sklepach, ponieważ zakazujemy wstępu na Dziedziniec dwóm osobom, które złamały obowiązujące reguły, droga wolna. – Znów spojrzał na Azję. – Twój czas minął. Wynoś się stąd albo zginiesz. – Chwycił jedną z ulotek i brutalnie przycisnął jej do piersi. – I weź to ze sobą, żebyś nie zapomniała, co cię czeka.

Azja zgmiotła ulotkę w dłoni. Miała ochotę coś powiedzieć, ale uświadomiła sobie, że Simon tylko czeka na pretekst, żeby ją zabić, tutaj, w tej chwili. Zabryzgałby jej krwią pół księgarni i nawet by się nie skrzywił.

– Czy ja ci kiedyś coś zrobiłam? – szepnęła, zadowolona, że głos drży jej w tak naturalny sposób.

Simon pochylił się ku niej i odparł równie cicho:

– Kiedy się dowiem co, przyjdę na ciebie zapolować.

Kiedy opuszczała sklep, jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Zawsze płaciła gotówką za wszystko, co tu kupiła. I w Czymś na Ząb. Prawda? Na wszystkich dokumentach, jakie dostarczyli jej sponsorzy, figurowała jako Margaret A. Crane, a to dość pospolite nazwisko. Więc niełatwo będzie ją znaleźć. Nawet Darrell nie wiedział, gdzie ona mieszka.

Kiedy wsiadała do samochodu, na parking Dziedzińca wjechał radiowóz. Wsiadł z niego policjant i ruszył do ZDL. To był jeden z tych, którzy wpadali tu codziennie. Żołądek Azji dziwnie podskoczył. Czy Wilk zamierza rozdać te ulotki glinom?

Za bardzo zwróciła na siebie uwagę, i to w niewłaściwy sposób. Jeśli ten specjalny wysłannik się dowie i poinformuje darczyńcę, to będzie oznaczało koniec

bardzo lukratywnej współpracy. Nawet jej sponsorzy wyrazili życzenie, żeby współpracowała z tym człowiekiem, i będą bardzo nieszczęśliwi, jeśli przez jej wpadkę cała operacja spali na panewce i tylko podburzy Innych przeciwko ludziom.

Ale specjalny wysłannik darczyńcy wiedział, co Azja zamierza dziś zrobić. W końcu sam pomógł jej w przygotowaniach. Więc musi go po prostu przekonać, że zakaz wstępu na Dziedziniec od początku był częścią jej planu.



## Rozdział 21

W poniedziałek rano Meg przygotowała podkładkę do notowania dostaw i odetchnęła z ulgą. Po wyrzuceniu z pracy Darrella i wydaniu zakazu wstępu na Dziedziniec dla Azji wszyscy ludzie zatrudniani przez Innych stali się nerwowi, szczególnie ci, którzy pracowali na rynku i trudniej byłoby im uciec, gdyby *terra indigena* nagle postanowili na nich zapolować. Ale wyjąwszy fakt, że koło Dziedzińca przejeżdżało teraz więcej radiowozów, piątek i sobota były zwykłymi dniami pracy. Niedzielę spędziła w miłej atmosferze, sprzątając mieszkanie i bawiąc się w śniegu z Simonem i Samem w ich wilczej formie. Ta zabawa tak ją zmęczyła, że zasnęła podczas filmu, który oglądali wieczorem.

Simon wcale się nie skarżył, że używa go jako futrzastej poduszki.

Nadal nie była pewna, dlaczego Darrellowi nie wolno było odwiedzić Zielonego Kompleksu. Przecież pracował w konsulacie. Na pewno miał tam do czynienia z bardziej poufnymi informacjami niż widok kompleksu z zewnątrz, w dodatku po ciemku. Tylko że tym razem Darrell przywiózł tu Azję, a jej naprawdę nie wolno było tu przebywać.

Meg potarła mocno ręce i poczuła ulgę, kiedy mrowienie pod skórą zelzało. Wycieczka po ciemku do Zielonego Kompleksu to dziwny pomysł. Miała w pamięci mnóstwo obrazów szkoleniowych przedstawiających ludzi siedzących po ciemku w samochodach i obserwujących różne budynki. Zazdrośni byli kochankowie. Prześladowcy. Policja. Azja nie pasowała do żadnej z tych kategorii, ale Meg uznała, że ktoś tak impulsywny jak ona mógł skorzystać z każdej szansy zajrzenia na Dziedziniec. A może chciała rzucić okiem na Sama? Przecież wyraźnie ją zainteresował.

Czy Azja wiedziała, że Sam mieszka z Simonem w Zielonym Kompleksie? Meg pokręciła głową. Nie mogła sobie przypomnieć. No ale teraz nie miało to już znaczenia. Azja odeszła, Darrell również, a żadne z nich nie występowało w wizji o mężczyznach w czerni. Jeszcze raz potarła ramiona, a potem odsunęła od siebie rozmyślenia o Azji i Darrellu i zajęła się pracą. Porozmawiała z Harrym, kiedy przywiózł paczki, i śmiała się z jego żartów, choć nie do końca je rozumiała. Przez kilka minut usiłowała przekonać Nathana, że nie może dostać wszystkich ciasteczek dla psów i musi wybrać, które woli. Kiedy uporczywie wskazywał wielką łapą wszystkie pudełka po kolei, dała mu po dwa z każdego smaku, a on zaniósł je na posłanie i schrupał ze smakiem. Przed południem dała się wciągnąć w dziwną zabawę Nathana i Jake'a. Nie miała pojęcia, który z nich przyniósł kawałek sznurka, ale Wilk, nadal leżąc na posłaniu, trzymał w zębach jeden koniec, a Wrona zaciskała w łapie drugi, gwałtownie machając skrzydłami. Meg popełniła błąd w ocenie i uznała, że położy kres zabawie i odbierze im sznurek, jeśli złapie go tuż przed pazurami Jake'a. Wtedy Nathan poderwał się z miejsca, machając ogonem i warcząc

na nią, a krakanie Wrony zrobiło się dziwnie radosne. Ponieważ podłoga była nieco mokra od śniegu, a podeszwy butów Meg śliskie, ciągnęli ją na sznurku po całym pomieszczeniu, a ona nie mogła go puścić, nie ryzykując przy tym lądowania pupą na ziemi. Udało jej się przerwać tę zabawę, tylko dlatego że zjawił się Dan z dostawą. Mężczyzna śmiał się tak bardzo, że omal nie upuścił paczek. Po pokwitowaniu ich odbioru Meg wróciła do sortowni, zastanawiając się, w co tak naprawdę bawili się Wilk i Wrona: w przeciąganie liny czy w ciąganie Meg.

Ludzie okazali się bardziej odporni, niż sądziła, gdyż już po tygodniu obecności Nathana w biurze większość kurierów zaczęła go akceptować, choć nadal zachowywali pewien dystans. Kilku rzucało mu „Cześć, jak leci?”, zanim zwracali się do niej. Tylko jedna firma musiała zmienić kuriera; tego, który nie chciał wejść do biura, gdy pierwszy raz zobaczył Wilka.

Kiedy skończyła sortować pocztę, a paczki przeznaczone dla osiedli *terra indigena* zostały odpowiednio opisane, zajrzała do recepcji. Jake, ze spuszonymi piórami, przysnął na ladzie. Nathan leżał na grzbiecie, z łapami w powietrzu, i też pochrapywał. W tej chwili na pewno nie wyglądali na czujnych strażników, ale Meg wiedziała, że obudzą się natychmiast, gdy usłyszą kroki albo chrzęst opon na śniegu. Zostawiła ich w spokoju i poszła na zaplecze. Kucyki zjawią się za pół godziny, więc chciała się przygotować.

Kiedy przestąpiła próg, jej umysł zalała nagła powódź obrazów szkoleniowych. Stare ręce, młode ręce, męskie ręce, kobiece ręce, ciemne ręce, jasne ręce... Wszystkie sięgały po coś i... Wrzaski bólu... okrzyki pełne cierpienia...

Wycofała się, wstrząśnięta. Czyżby była chora? Traciła rozum? Czy tak się dzieje z *cassandra sangue*, jeśli nie mieszkają pod nadzorem? Czy to dlatego musiały żyć w izolacji? Może to z tego powodu zabraniano im osobistych doświadczeń i prowadziły takie sterylne życie.

Potarła ramiona, nogi, brzuch, głowę, miała ochotę rozerwać skórę i drapać się tak długo, aż mrowienie ustanie. Nigdy jeszcze nie było takie okropne i nigdy dotąd nie widziała obrazów, zanim przecięła skórę.

Nieprawda, była przecież jeszcze wizja na drodze...

Oparła ręce na stole do sortowania i spróbowała zebrać myśli.

Miała delikatną skórę. Raz usłyszała, jak chodzące imiona oceniają dziewczęta. Mówili, że jej przepowiednie są najkosztowniejsze, ponieważ jej skóra jest tak wrażliwa, że dostraja się do wizji jeszcze przed cięciem. Musiała się tylko znaleźć w pobliżu czegoś, co było z nią związane.

Simon uważał, że mrowienie to jej budzący się instynkt, ponieważ teraz sama gromadziła doświadczenia, zamiast oglądać świat w formie podpisanych obrazów.

Czyżby to było nie tylko ostrzeżenie, ale i wskazówka? Lekkie, przemijające mrowienie wskazywało na drobne sprawy, które nie miały większego znaczenia, a mrowienie mocniejsze, bardziej bolesne...

Wróciła na zaplecze i aż się zachwiała, gdy obrazy znów wypełniły jej umysł. Ale nadal nie potrafiła się zorientować, co wywołuje tę reakcję.

– Coś tu jest... – szepnęła, uciekając do sortowni. – Muszę to zrobić. Muszę wyciąć tę wizję spod skóry!

Jednak tym razem potrzebowała słuchacza, ponieważ to, co usiłowało wyrwać

się na wolność, było zbyt wielkie, by zdołała zachować milczenie. Bała się też, że nie zdoła samodzielnie poskładać obrazów wizji, nie zdoła rozpoznać zagrożenia.

Do kogo zadzwonić? Simon? Nie. Będzie zły, że do niego nie zadzwoniła, ale Simon nie lubi, jak się tnie, a teraz nie ma czasu na sprzeczki z nim. Na palcach podeszła na próg recepcji. Jake i Nathan nadal spali. Zamknęła drzwi, najciszej jak zdołała, i przekreśliła klucz w zamku. Potem zadzwoniła do Czegoś na Ząb, mając nadzieję, że duch opiekuńczy, który czuwa nad wieszczkami, skłoni Tess, by sama odebrała telefon.

– Coś na Ząb – w słuchawce rozległ się wyczekiwany głos. Tess była radośnie zirytowana, co oznaczało, że w kawiarni jest spory ruch.

– Tess? Mówi Meg.

Cisza.

– Czy coś się stało? – Głos Tess nie był już ani wesoły, ani zirytowany. Teraz zabrzmiało w nim coś, od czego Meg aż zadrzała.

– Tak. Potrzebuję twojej pomocy. To pilne. Możesz przyjść zaraz? Sama?

Tess bez słowa odłożyła słuchawkę. Meg miała nadzieję, że to oznacza „tak”. Poszła do łazienki, zastanawiając się, czego będzie potrzebować każda z nich. Niewiele brakowało, żeby się rozmyśliła i zadzwoniła do Henry’ego, ale powstrzymało ją to samo, co w przypadku Simona: nie wiedziała, jak ich drapieżna natura zareaguje na widok jej krwi.



– Muszę wyjść – powiedziała Tess do Merri Lee. – Zadzwon do Julii, niech przyjdzie tu jak najszybciej. I powiedz Simonowi, że potrzebujesz pomocy Heather, dopóki Julia się nie zjawi.

– Będzie chciał wiedzieć dlaczego – zaprotestowała Merri Lee. – Co mam powiedzieć?

– Że wyjaśnię mu to, jak sama się dowiem – ucięła Tess. Włożyła płaszcz i wyszła tylnym wyjściem.

*Dlaczego nie zadzwoniłaś do Simona, Meg? Dlaczego zadzwoniłaś do mnie? Czy wieszczki wiedzą, kim jestem? Czy wezwałaś mnie, ponieważ wiesz, czy właśnie dlatego że nie wiesz?*

– Dzięki, że przyszedłaś – powiedziała Meg, zamykając drzwi na klucz, gdy tylko Tess weszła do biura.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś do Simona?

– Uznałam, że nierozsądnie jest prosić o asystę drapieżnika. – *A zatem nie wie*, pomyślała Tess. Skoro Meg obawiała się drapieżników, nie wezwałaby świadomie tego, który budzi lęk nawet w *terra indigena*. – Muszę się ciąc – dodała Meg pospiesznie. – Stanie się coś bardzo złego i coś w tym pokoju ma z tym związek.

– Ale nie wiesz co? – zapytała Tess. Meg pokręciła głową. – Do czego mnie potrzebujesz?

– Ktoś musi wysłuchać przepowiedni, zapisać to, co powiem.

- Dobrze. Gdzie?
- W łazience. Tam będzie spokój.
- Co będzie mi potrzebne?

Meg wskazała przedmioty leżące na małym stoliku. Ręce jej drżały, Tess widziała, ile wysiłku kosztuje ją ta zwłoka.

– Blok do notatek i długopis. Kiedy przetnę skórę, pojawią się obrazy. Zapisuj wszystko. Potem ktoś będzie musiał je do siebie dopasować i odszukać ich znaczenie.

Tess skinęła głową w stronę recepcji.

- Co powiedziałaś Nathanowi?
- On i Jake śpią.

Wilk pewnie zaraz się obudzi. Ten rodzaj tubylców ziemi miał bystre zmysły, dlatego brak dźwięków obudzi Nathana tak samo jak obcy dźwięk. Kiedy Wilk zorientuje się, że Meg się przed nim zamknęła, wezwie stróża porządku Dziedzińca i swego przywódcę, a nie wiadomo, kto jeszcze odpowie na wezwanie.

– Zróbmy to – powiedziała Tess. Powiesiła płaszcz na kołku, zdjęła buty i poszła za Meg do łazienki.

– Mam wrażenie, że potrzebne jest większe cięcie – stwierdziła Meg, rozpinając spodnie. – Skóra na nogach chyba najlepiej się nada.

– *Arrruuu?* – Pytanie. Niezbyt głośne, ponieważ Nathan był w recepcji, a one na zapleczu i dzieliło ich kilka par drzwi. Ale to oznaczało, że Wilk już nie śpi.

Tess spuściła wodę w sedesie.

– To nam kupi trochę czasu. Ale jeśli za drugim razem Nathan nie dostanie odpowiedzi, wezwie Simona i Blaira. – Nie musiała dodawać, że Henry i Vlad też przyjdą sprawdzić, co się stało, jeśli stróżujący Wilk zacznie robić zamieszanie. – Meg zdjęła dżinsy i rzuciła w kąt łazienki. Na klapie sedesu czekały już brzytwa, środek dezynfekujący, bandaż, gaza i plaster. Obok leżał ręcznik. Zarumieniona, usiadła na podłodze i obejrzała blizny na nogach. – Jak wybierasz miejsce cięcia? – spytała Tess, przykucając przy niej, żeby lepiej widzieć jej twarz.

– Wybiera je Kontroler w zależności od tego, ile klient jest gotów zapłacić za przepowiednię. – Meg patrzyła na swoją skórę. – Póki nie uciekłam, nie cięłam się samodzielnie. Tak naprawdę nie wiem, jak wybrać miejsce.

– Owszem, wiesz – odparła Tess. – To jest w tobie. – Wzięła brzytwę, otworzyła i podała Meg. – Wiesz, gdzie znaleźć tę przepowiednię.

Meg zamknęła oczy. Jej ręka przesunęła się po lewej nodze, w górę i w dół, po wewnętrznej i zewnętrznej stronie. Przeniosła się na prawą. Palce zatrzymały się tuż pod kolanem. Otworzyła oczy, przyłożyła brzytwę do prawej strony łydki, obróciła rękę i przecięła skórę.

Tess widziała, jak ręka Meg drży z wysiłku, gdy odkładała brzytwę. Zobaczyła, jak wieszczka blednie, ujrzała ból w jej szarych oczach i poczuła podniecenie. Ale w tym spojrzeniu odnalazła również zaufanie. Nie zabije zaufania. Nie może.

– Mów – powiedziała głosem schrypniętym z wysiłku, by opanować własną naturę. – Mów, wieszczko, a ja cię wysłucham.

Pudełko pełne kostek cukru. Cofająca się ręka. Męska ręka w cienkiej skórzanej rękawiczce. Kobięca ręka, paznokcie pomalowane na ładny, różowy kolor. Ciemny zimowy płaszcz bez cech charakterystycznych. Rękaw damskiego swetra

w dziwnym, jasnoniebieskim kolorze. Kucyki wijące się na ziemi koło stajni, krzyżące z bólu. Czarne węże wypełzają z ich brzuchów. Czaszka i skrzyżowane piszczele. Cukier pełen czarnych węży. Krzyki kucyków. Szkielet w szacie z kapturem, podający słodczyce dzieciom. Czaszka śmieje się, gdy dzieci krzyczą, gdy czarne węże wypełzają z ich brzuchów.

– Ręce... – szepnęła Meg, wyraźnie opadając z sił. – Czaszka i skrzyżowane piszczele... Czarne węże w cukrze...

– Twoje słowa zostały wysłuchane, wieszczko – powiedziała cicho Tess. – Odpocznij teraz. Odpocznij.

Z jękiem, który zabrzmiał niemal lubieżnie, Meg osunęła się na podłogę. Jej oczy zrobiły się szkliste, ciało wydzieliło zapach podniecenia.

– Arrrrrruuuu!

*Czas nam się skończył*, pomyślała Tess, podrywając się na równe nogi. Spojrzała na Meg, na ręcznik przesiąknięty krwią. Nie wiedziała, czy wpływ krwi nie jest zbyt wielki, wiedziała natomiast, że najpierw musi zająć się czymś innym.

Kiedy otwierała drzwi łazienki, zauważyła swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Włosy koloru krwi, nabierające barwy żałobnej czerni. Weszła do pomieszczenia na zapleczu, w chwili gdy Simon otwierał zewnętrzne drzwi i przeciskał się do środka przed Henrym i Blairem. Nathan wepchnął się między Henry’ego i Simona, sygnalizując całym sobą, że wyczuł krew.

– Wynoście się! – krzyknęła Tess. – Wynocha stąd! Wszyscy! Już!

– Nie waż się mi rozkazywać! – odwarknął Simon. Jego głowa zaczęła się zmieniać w wilczy łeb, by pomieścić zęby, które służyły mu lepiej niż jakakolwiek broń.

– Odejdź! – powtórzyła Tess. Coś w jej głosie musiało dotrzeć do Henry’ego, ponieważ złapał Nathana za kark, w chwili gdy Wilk ruszał do łazienki. Nathan warczał i próbował gryźć, ale nie mógł wyrwać się Henry’emu. – Musicie wszyscy wyjść. To dotyczy i ciebie, wampirze – dodała, gdy przez otwarte drzwi wpłynął obłok dymu. Jeśli teraz wybuchnie walka, z pewnością ktoś zginie. A jeśli ktoś zginie, zorientują się, kim ona jest – wtedy będzie musiała odejść. Nie chciała odchodzić. Jej rodzaj rzadko bywał akceptowany, a jeszcze rzadziej znajdował przyjaźń, nawet wśród *terra indigena*. – Simonie, musisz się o wszystkim dowiedzieć, ale w tej chwili przebywanie w tym pomieszczeniu jest dla ciebie zbyt niebezpieczne. Meg potrzebuje pomocy. Pozwól mi jej pomóc.

Oczy Simona były czerwone z drobinkami złota – znak, że jest szaleńczo wściekły.

– A możesz jej pomóc? – spytał Henry spokojnie.

Tess kiwnęła głową.

– Poprosiła mnie, żebym przyszła i wysłuchała przepowiedni. Poprosiła o moją pomoc. Więc pozwólcie, że jej pomogę.

– Ale coś możemy zrobić – stwierdził Henry.

Już miała zaprotestować, kiedy zorientowała się, że to nie propozycja, ale polecenie – i dlaczego zostało wydane. Simon warczał, niemal wibrował z wściekłości. Może to zapach krwi tak na niego działał, a może powodem było to, że on też cenił sobie przyjaźń. Ktoś z jego watahy był ranny, a ponieważ Meg nie była

Wilkiem, nie wiedział, co robić.

– Przynieście poduszkę i ze dwa koce – poleciła. – Tylko nie te, które śmierdzą innymi ludźmi. – Nie była pewna, czy zapach Azji będzie miał znaczenie dla Meg, ale dla niej miał. – W gabinecie chodzącego ciała jest wózek na kółkach.

Przyprawdźcie go tutaj. I niech ktoś zadzwoni po Jestera. Musi wziąć udział w rozmowie.

Dlaczego? spytał Simon.

Nie mógł mówić, choć jego głowa znów przypominała ludzką? Niedobrze.

– Możesz zadzwonić po Jestera albo po dziewczynkę znad jeziora. Jedno z nich musi tego wysłuchać. – Mężczyźni wzdrygnęli się. – Muszę zająć się Meg – dodała Tess. – Już wystarczająco długo jest sama. Spotkamy się w sortowni za dziesięć minut. – Żadnemu z nich to się nie spodobało, ale posłusznie wyszli. Simon oczywiście ruszył jako ostatni. Wciąż patrzył na jej włosy. – Zajmę się nią, Simonie – obiecała Tess. – Nie wiesz jeszcze, jak wiele jej zawdzięczamy, ale ja już wiem.

Gdy drzwi się zamknęły, Tess odetchnęła z ulgą i wróciła do łazienki. Meg nadal leżała na podłodze, ale odwróciła głowę i spojrzała na nią.

– Czy dostałaś odpowiedź? – spytała.

– Jedną tak. – Tess napełniła umywalkę ciepłą wodą i znalazła czysty ręcznik. – Będziemy musieli pomyśleć, jak urządzić tę łazienkę, skoro zawsze zachowujesz się tak podczas cięcia. Nie, leż spokojnie. – Powstrzymała Meg, gestem, kiedy ta chciała się ruszyć. – Nie wiem, ile krwi straciłaś, ale zdążyłaś zdenerwować Wilki, Niedźwiedzia i wampira. Nie możesz dopuścić teraz do tego, żeby zrobiło ci się słabo. Nie możesz mi tu zemdleć. – Zanurzyła ręcznik w ciepłej wodzie i starannie zmyła krew z nogi Meg, po czym przyjrzała się ranie. – Krew chyba zaczyna krzepnąć. Czy zwykle tniesz się tak głęboko?

– Cięcie musi być na tyle głębokie, żeby powstała blizna – odparła Meg. – Choć skóra *cassandra sangue* łatwo tworzy blizny.

Czy Simon o tym wiedział? Czy przyszło mu do głowy, że Meg może się zranić, kiedy bawi się z Wilkami, choć Wilki wcale nie chcą jej skrzywdzić?

Tess wytarła do sucha jej nogę, posmarowała środkiem dezynfekującym, paskami przylepca zamknęła ranę, a potem zabezpieczyła gazą. Zawinęła pokrwawiony ręcznik w dwa inne i schowała do kosza na brudną bieliznę.

– Teraz pomogę ci wstać i usiądziesz na sedesie – powiedziała, podnosząc delikatnie Meg. – Co zwykle następuje po cięciu?

– Dostajemy lekki posiłek i wracamy do celi odpocząć, żeby rana dobrze się zasklepiła. – Meg zawahała się. – Tess? Czy będę musiała porozmawiać z Simonem?

– Tak, ale dopiero kiedy odpoczniesz.

– Podasz mi spodnie? Mogę się już ubrać.

Tess spojrzała na bandaż, którym owinęła nogę Meg, i pokręciła głową.

– Potrzebujesz czegoś luźniejszego, do rany musi być łatwy dostęp. Zostań tutaj.

– Dobrze. – Meg była zbyt słaba, żeby z czymkolwiek dyskutować.

Niewiele czasu zostało do powrotu pozostałych. Tess wzięła ostatni ręcznik, poszła do kuchni i poszperała w szafkach. W końcu znalazła mały czysty słoik. Przez ręcznik, żeby nie dotknąć ręką pudełka z cukrem, wysypała kilka kostek do słoika.

Resztę zostawiła na podłodze, w ręczniku, po czym zakręciła słoik i schowała do kieszeni płaszcza. Potem pomogła Meg włożyć luźne, dresowe spodnie, które znalazła w jednej ze skrzyń z ubraniami. Były na nią za duże, ale nogawkę łatwo dawało się podciągnąć ponad kolano.

Wyrwała kartki z przepowiednią z bloku do notatek, złożyła i schowała do tylnej kieszeni spodni. Odłożyła blok i długopis na stolik i poszła do sortowni. Kiedy otwierała zewnętrzne drzwi, zorientowała się, że mają jeszcze jeden problem. Gdzie umieścić Meg podczas spotkania? Nie chciała zostawiać jej na zapleczu – samą z pudełkiem kostek cukru – a nie sądziła, żeby Meg miała ochotę na towarzystwo Innych, którzy z pewnością będą dopytywać, dlaczego się cięła. Recepcja była zbyt wyeksponowana, choć mogli zamknąć drzwi i nie przyjmować dostaw. Ten drugi pokój na górze, ten, którego Darrell nie używał, stanowił jakąś alternatywę, ale mogło kryć się w nim coś, czego nie wyczuli.

Pod drzwiami sortowni zatrzymał się PNK. Wysiedli z niego Blair i Simon. Żaden nie wyglądał przyjacielsko ani nawet łagodnie.

– Meg musi odpocząć – oświadczyła Tess. – I nie powinniśmy jeszcze wchodzić na zaplecze.

W odpowiedzi Simon wyciągnął z PNK wilcze posłanie, a Blair wózek na kółkach. Henry przyniósł poduszkę i koce, Vlad torbę na jedzenie z Czegoś na Ząb. Jester też się zjawił, wyraźnie zaniepokojony widokiem tego, co przynieśli pozostali. Nathan, wciąż w wilczej formie, tylko patrzył na nią i warczał. Wszyscy przemaszerowali obok niej w milczeniu. Simon uniósł rękę, by zrzucić ze stołu stopy poukładanej poczty, ale Jester zaczął ujadać i pospiesznie przełożył je na ladę pod ścianą. Wówczas Simon położył na stole wilcze posłanie, Henry przykrył je jednym kocem, a drugi położył obok, razem z poduszką. Blair otworzył wózek na kółkach. Vlad postawił jedzenie obok poczty, ostrożnie, żeby nie pobrudzić listów, ale tylko dlatego że Jester wytknął mu, że nie szanuje pracy Meg.

– A teraz Meg – warknął Simon.

– Jest w łazience – powiedziała Tess. – Pójdę po nią.

– Ja po nią pójdę – zaprotestował Vlad.

– Jest jednym ze stworzeń Namid, równocześnie cudownym i strasznym. –

Tess pokiwała głową, kiedy wszyscy zamarli. – Nikt nie powinien wachać ręczników, którymi ją opatrywałam. Ani pudełka z kostkami cukru.

Simon bez słowa odwrócił się na pięcie i poszedł na zaplecze.

– Co się dzieje? – spytał Jester.

– Zajmiesz się pocztą – odparła Tess. – I powiedz kucykom, że dzisiaj nie będzie przysmaków.

– Jest poniedziałek. W poniedziałki zawsze dostają cukier i wszystkie przychodzą zobaczyć Meg. Nawet stary Huragan. – Jester skrzywił się, ale Tess tylko zgromiła go wzrokiem.

Simon wrócił, niosąc Meg na rękach. Jej policzki zaróżowiły się nieco, za to jego porosły sierścią i zapadły się, choć ze wszystkich sił starał się zachować kształt, którego aktualnie potrzebował. U rąk miał pazury zamiast paznokci, ale Tess zauważyła, jak ostrożnie ułożył Meg na posłaniu, które dla niej przygotowali.

– Chcesz coś zjeść? – spytała.

– Nie – odparła Meg. – Chciałabym odpocząć.

Jej głos był słaby i Tess znów musiała walczyć ze swoją naturą. Kolor śmierci zniknął już z jej włosów, ale ten słaby głos spowodował, że w czerwieni na powrót pojawiły się czarne pasma.

Simon poprawił poduszkę pod głową Meg i przykrył ją kocem. Potem nachylił się do niej.

– Nathan ma za zadanie cię strzec – powiedział stanowczo. – Nigdy więcej się przed nim nie zamykaj.

Nathan wydał nadąsane warknięcie, a potem usiadł koło stołu.

– Zamknijcie zewnętrzne drzwi. Mamy jeszcze kilka minut do przybycia kucyków, a Meg powinno być teraz ciepło – nakazała Tess, a sama poszła obrócić tabliczkę w drzwiach na stronę z napisem ZAMKNIĘTE. Zebrali się w kącie pomieszczenia, na tyle daleko, by Meg ich nie słyszała, szczególnie że przymknęli drzwi do sortowni, by zachować ciepło. – Coś na zapleczu zaniepokoiło Meg do tego stopnia, że musiała przeciąć skórę i wygłosić przepowiednię – zaczęła Tess. – Poprosiła mnie o pomoc. – Wyjęła notatki z kieszeni spodni i podała je Simonowi. – To są obrazy, które zobaczyła.

Henry i Blair nachylili się przez ramię Simona, żeby widzieć zapiski.

– Dla mnie to nie ma sensu – mruknął Blair po chwili.

– Fragmenty układanki – stwierdził Henry. – Musimy je złożyć, żeby znaleźć odpowiedź.

– Odpowiedź brzmi: „trucizna” – powiedziała Tess cicho. – Czaszka i skrzyżowane piszczele to ludzki symbol trucizny. To właśnie Meg próbowała nam powiedzieć. Ktoś zatrul cukier, żeby zabić kucyki.

Jester zaskomlał boleśnie. Vlad odebrał notatki Simonowi i przeczytał je uważnie.

– Ten szkielet w szacie z kapturem i dzieci – powiedział. – To nie o nas.

– Być może tej trucizny użyto już wcześniej albo ktoś dopiero jej użyje – odparła Tess. – Może tylko za pomocą takich obrazów wieszczka jest w stanie opowiedzieć o takim rodzaju śmierci.

– To oznacza konieczność wezwania policji – mruknął Henry.

Simon pokiwał głową i doprecyzował:

– Montgomery’ego.

– Czy wpuszczymy go na zaplecze? – spytał Vlad.

– Nie – odparł Simon. – Ale damy mu to pudełko z kostkami cukru i pozwolimy jego ludziom ustalić, co to za trucizna. – Spojrzał na Tess. – Co możemy zrobić dla Meg?

– Powiedziała, że po cięciu zawsze dostawała jeść i odpoczywała. Trzeba posprzątać na zapleczu i w łazience i spalić wszystko, na czym jest jej krew. Ja posprzątam. Merri Lee mi pomoże.

– Kiedy policja stąd pójdzie – zdecydował Simon. – Kiedy zabiorą truciznę.

– Kiedy kucyki odbiorą pocztę, powiem Zimie – powiedział Jester. – Ale pewnie będzie chciała z tobą porozmawiać.

Simon kiwnął głową. Potem rozejrzał się.

– Gdzie jest Jake?



– Zapewne właśnie informuje całą Wronią Straż o tym, co się przytrafiło Meg – stwierdził Blair kwaśno.

– Vlad, przynieś karton i taśmę klejącą od Lorne’a – polecił Simon. – Zapakujemy to pudełko z kostkami cukru. Zadzwoń do Montgomery’ego i ściągnę go tutaj. I zajmę się dostawami, które przyjdą przed przerwą.

Vlad otworzył zasuwkę w drzwiach recepcji, wystawił tabliczkę z napisem OTWARTE i wyszedł. Jester poszedł do sortowni po pocztę, po czym wyszedł zaczekać na kucyki.

– Niech Wrony poinformują wszystkich, że dziś łącznik nie będzie dostarczać paczek – powiedział Henry, również wychodząc.

Gdy także Blair zniknął, Tess powiedziała cicho:

– Nie jestem pewna, czy euforia jest warta bólu, który ją poprzedza. Meg nie cięła się dla siebie, Simonie. Zrobiła to dla nas. Pamiętaj o tym, zanim zaczniesz na nią warczeć.

Wyszła z biura, zawahała się przez chwilę i ruszyła w stronę ulicy. Kiedy szła w kierunku Czegoś na Ząb, jej kręcone włosy stały się w równych częściach czerwone i czarne. Pozwoliła, by jej prawdziwa natura zaczęła odrobinę prześwitywać przez skórę.

I każdy, kto na nią spojrzał, odrobinę umierał.



Simon wszedł do sortowni, spojrzał na Nathana i wskazał kciukiem za siebie. Wyjdź.

Nathan wyszczerzył zęby.

Pilnuję.

Chcę z nią porozmawiać. Idź do recepcji. Wrócisz, kiedy skończę.

Wilk wyraźnie nie był zachwycony, ale usłuchał.

Kiedy Simon został sam na sam z kobietą, która nieustannie wprawiała go w zdumienie, pochylił się ku niej tak blisko, że poczuł na twarzy jej oddech. Powęszył. Pachniała bólem. I dziwnym podnieceniem, które sprawiło, że nagle zapragnął wsadzić jej nos między nogi. Pachniała też krwią i lekarstwem, którym Tess przemyła ranę. Tę ranę też chciał powąchać, chciał się pozbyć ludzkiego lekarstwa i oczyścić ją po wilczemu.

Ale Meg jest człowiekiem, więc ludzkie lekarstwa są dla niej najlepsze.

– Wiem, że nie śpisz – szepnął. – Nie oszukasz kogoś, kto słyszał, jak oddychasz podczas snu.

– Chcesz powiedzieć, że chrapię? – spytała, nie otwierając oczu.

– Nie. – Zastanowił się. – Chyba nie. Ale wiem, kiedy śpisz. – Przełknęła ślinę. Taka zachęcająca szyja, miękka, ale jędrna...*Nie*, pomyślał, przyciskając czoło do jej ramienia. *Nie ugryzę Meg*. Uniósł głowę i zajrzał w jej szare oczy. – Jestem przywódcą. Powinnaś była do mnie zadzwonić. Nawet jeśli chciałaś, żeby była przy tobie Tess, a nie Wilk, powinnaś była najpierw zadzwonić do mnie.

Dopiero teraz na niego spojrziała.

– Wiedziałam, że zaraz stanie się coś złego. Nie chciałam, żeby się stało, kiedy będziemy się spierać.

Miała trochę racji. Ale oczywiście jej tego nie powie.

Dotknął jej włosów. Nadal miały dziwny kolor i zabawne czarne odrosty. Kiedy odrosną zupełnie, być może zaczniesz tęsknić za pomarańczowym.

Tego też nie zamierzał jej mówić.

– Przypilnuję dostaw – obiecał. – Ty odpoczywaj. Masz tu jedzenie. Chcesz jeść?

– Jeszcze nie. – Zamknęła oczy, ale zaraz znów je otworzyła. – Czy Nathan jest na mnie zły?

– Tak. Jeśli znów się przed nim zamkniesz, z pewnością cię ugryzie.

Uśmiechnęła się leciutko.

– Na pewno nie, jeśli pozwolę mu zjeść wszystkie ciastka.

Obserwował ją przez chwilę, nasłuchiwał jej oddechu, aż upewnił się, że naprawdę zasnęła. Wtedy pocałował ją w czoło i stwierdził, że sprawiło mu to przyjemność. A kiedy oblizywał usta, przyznał sam przed sobą, że to było miłe także z innych powodów. Meg nie wolno było gryźć, ale lubił jej smak.

Zamienił się miejscami z Nathanem. Kiedy Jester pakował pocztę do koszyków i wyjaśniał kucykowi, dlaczego dziś nie ma łakoci, Simon wykonał telefon, który miał sprowadzić Crispina Jamesa Montgomery'ego na Dziedziniec.



Monty uświadomił sobie, że Kowalski coś do niego mówił, dopiero kiedy w radiowozie zapadła cisza.

– Przepraszam, Carl, nie słuchałem. Zamyśliłem się.

– Pewnie zastanawia się pan, dlaczego znów nas wzywają? – spytał Kowalski.

– Dziwne, mówią, że to pilne, a potem podają godzinę, o której mamy przyjechać.

Monty myślał też o tym, co powiedział mu kapitan Burke. Burmistrz podobno zaczął narzekać, że angażują za duże środki na rzecz Innych, choć ci nie są skłonni oddawać przysługi. Burke podejrzewał, że jego ekscelencja rozważa wybór hasła „Ludzie przede wszystkim” na potrzeby swojej przyszłej kampanii wyborczej.

*Ja się będę martwił o burmistrza, poruczniku. Pan niech pamięta, że wszystkie drogi prowadzą przez lasy.*

Innymi słowy, pozostanie w dobrych stosunkach z *terra indigena* jest ważniejsze niż ludzka polityka.

Zjechali na parking dla dostawców przy biurze łącznika. Monty odetchnął głęboko. Na drzwiach biura widniała tabliczka z napisem ZAMKNIĘTE, ale widział, że ktoś stoi za kontuarem. I że nie jest to Meg Corbyn.

– Chodź ze mną, Karl.

Zwykle o to nie prosił, ale tym razem chciał mieć wsparcie. Kiedy podeszli razem do drzwi, otworzył im Simon.

– Czy panna Corbyn ma dziś wolne? – spytał Monty, kiedy wszyscy podeszli do kontuaru.

– Popołudniowa przerwa – odparł Simon. – Będzie przyjmowała dostawy później.

Nie wydawał się z tego zadowolony.

Drzwi do sąsiedniego pomieszczenia były szeroko otwarte. Sam pokój nie interesował Monty’ego, ale fotel na kółkach obok wielkiego stołu już tak.

– Pannę Corbyn ostatnio wciąż spotykają wypadki – powiedział cicho. Czy Meg naprawdę będzie po południu przyjmowała dostawy, czy może Inni znajdą nowe usprawiedliwienie dla jej nieobecności?

Simon odwrócił się, spojrzał na fotel na kółkach i warknął.

– Zraniła się dziś rano w nogę. Twierdzi, że nie potrzebuje fotela na kółkach. Ale ludzie używają czegoś takiego, kiedy są ranni, prawda?

Monty nie był pewny, czy to pytanie, czy żądanie odpowiedzi, jakiej pragnął Wilk.

– Kiedy rana jest niewielka, nie korzystamy z wózków, chyba że ranny z jakiegoś powodu nie może chodzić.

– Nie chcemy, żeby dziś stawała na tej nodze. – Nagle Wilcza Straż zreflektował się, zupełnie jakby wyznanie, że Inni próbują opiekować się człowiekiem, ujawniało zbyt wiele. – Nie dlatego was wezwałem. Meg... Podejrzewamy, że coś jest nie tak z kostkami cukru, które były w pokoju na zapleczu. Łącznik zwykle daje je kucykom w poniedziałki, jako smakołyk, ale dziś wzbudziły jej podejrzliwość. Uważamy, że cukier został zatruty, ale nie potrafimy tego sprawdzić.

Monty poskładał sobie w całość fragmenty informacji i uzupełnił luki w opowiadaniu: Meg, *cassandra sangue*, cięła się i zobaczyła truciznę w cukrze. Simon nie zamierzał przyznać, że jego łącznik jest wieszczką krwi, ale to wyjaśniało jego gwałtowną reakcję na zapewne powierzchowną ranę.

– Gdzie teraz jest ten cukier? – spytał.

– Na zapleczu – odparł Simon. – Zapakowaliśmy pudełko do kartonu. Może pan podjechać pod tylne wejście, żeby nie trzeba było go daleko nosić.

*Co takiego widziała prócz trucizny, że jesteś taki czujny?* zastanawiał się Monty. – Podjedź radiowozem pod tylne wejście – polecił Kowalskiemu.

– Tak jest.

Monty znów zwrócił się do Simona:

– Czy ma pan jakieś podejrzenia, kto mógł to zrobić?

Dostał jedną z ulotek informujących o zakazie wstępu na Dziedziniec dla kobiety o nazwisku Azja Crane. I słyszał pogłoski, że z konsulatu wyrzucono pracownika, który podobno nadużył zaufania Innych – cokolwiek to oznaczało.

Simon zawahał się.

– Nie. Nikt nie miał powodu krzywdzić kucyków. – Przesząpił z nogi na nogę. – Poruczniku... – Odetchnął głęboko, a potem powiedział: – Czaszka i skrzyżowane piszczele. Szkielet w szacie z kapturem. Krzyczące dzieci i czarne węże wylazące z ich brzuchów.

– Co? – Monty oparł dłonie o kontuar. Czy to była groźba?

– Podejrzewamy, że tą trucizną zabito jakieś ludzkie dzieci. Albo ktoś dopiero je zabije.

– Tutaj? W Lakeside?

– Nie wiemy gdzie. Nie wiemy kiedy. Może to się już stało, a może jeszcze da się to powstrzymać. – Simon odszedł od kontuaru. – Otworzę drzwi pana człowiekowi.

Zaskoczony, Monty tkwił przy kontuarze, póki Kowalski nie podjechał pod drzwi dostawcze. Ponieważ Simon Wilcza Straż nie wrócił do recepcji, wyszedł.

– Wracamy na posterunek? – spytał Kowalski.

– Tak. Gdzie ten karton?

– W bagażniku. Uznałem, że lepiej nie trzymać go w samochodzie.

Monty kiwnął głową i wyglądając przez boczną szybę, zapytał:

– Karl, czy słyszałeś może o otruciu dzieci przez kogoś przebranego za szkielet albo śmierć, w szacie z kapturem?

Kowalski zahamował gwałtownie. Radiowóz przez chwilę ślizgał się po jezdni, zanim koła odzyskały przyczepność.

– Panie poruczniku?

– Być może mamy trop prowadzący do innej zbrodni.

– Na bogów na górze i na dole – mruknął Kowalski.

Nie rozmawiali ze sobą więcej w drodze na posterunek. Kiedy Kowalski zasiadł do szukania zbrodni odpowiadającej otrzymanym informacjom, Monty poszedł do kapitana, by zdać raport.

Niebieskie oczy Burke'a nabrały dzikiego wyrazu, a jego twarz pobladła.

– Tylko tyle powiedział?

– Odniosłem wrażenie, że przekazał mi wszystko, co wie – odparł Monty. – A przecież nie musiał nic mówić.

– Większość z nich nic by nie powiedziała. – Burke westchnął. – No dobrze. Mamy w Lakeside tylko jedno laboratorium, które może zidentyfikować truciznę. Zadzwoń i spróbuję przepchnąć naszą sprawę na początek kolejki. Pan niech sprawdzi wszystkie doniesienia o otrutych dzieciach. I choć to smutne, co powiem, miejmy nadzieję, że coś pan znajdzie. Jeśli to już się stało, będziemy wiedzieli, gdzie i kiedy, i może nawet jakiej trucizny użyto.

– A jeśli się nie stało? Jak ostrzeżemy inne miasta w Thaisii? – spytał Monty.

– Pomyślę o tym. Może to pana zdziwi, poruczniku, ale nie wszyscy mnie lubią. A i ci, którzy mnie lubią, nie zawsze są zadowoleni z mojej postawy wobec Innych. Nie opróżniliśmy kasy dzielnicy, żeby kupić przepowiednię, ale każdy, komu o tym powiemy, natychmiast się domyśli, że te wskazówki pochodzą od wieszczki krwi. Jeśli przyznamy, że przepowiednię ogłoszono na Dziedzińcu w Lakeside, bardzo wielu ludzi dowie się, że wśród Innych mieszka *cassandra sangue*.

– A Meg Corbyn stanie się celem. I nie wiadomo, czy przyniesie to ludziom coś dobrego.

Burke kiwnął głową.

– Podzwonię i uprzedzę, najlepiej jak się da. Jak już będzie miał pan pewność, że to się jeszcze nie zdarzyło.

– Tak jest.

Monty posłał Kowalskiego do laboratorium i podjął poszukiwania. W jakim wieku były te dzieci. I gdzie przebywały?

*Lizzy*, pomyślał, patrząc na zdjęcie stojące na biurku. *Obyś była bezpieczna, córeczko.*



Kiedy w biurze zaczął padać śnieg, Simon zerwał z siebie sweter i koszulę i przykrył komputer. Vlad wiedział zdecydowanie więcej od niego na temat tych urządzeń, ale nawet on zdawał sobie sprawę, że śnieg i urządzenie podłączone do gniazdka elektrycznego to nie jest dobre połączenie. Gdy usłyszał kroki na korytarzu, skoczył do drzwi, zanim Zima i jej furia zdołały dostać się do biura.

Otoczał ją taki mróz, że jego tors i ramiona natychmiast pokryły się futrem. Jej sukienka łopotała, choć nie było wiatru. Kawałki materii odpadały z niej i zmieniały się w śnieg, który pokrywał podłogę.

– Kto próbował otruć nasze kucyki? – Pod wpływem jej głosu, potężnego jak grom, śnieg na podłodze pokrył się lodem. – Kto śmiał podnieść rękę na nasze rumaki? Kto?!

– Nie wiem – odparł Simon cicho, patrząc jej w oczy. – Meg zobaczyła dość, by je ocalić i ostrzec nas przed niebezpieczeństwem, ale nie zobaczyła, kto zatrul cukier. Cisza. Straszna cisza. Żywioty były niebezpieczne nawet wówczas, gdy biernie kontrolowały pogodę i pory roku Namid. Bywały kapryśne i okrutne, a wtedy potrafiły oczyścić fragment świata ze wszystkiego prócz siebie. – Czy mam poprosić Meg, żeby spróbowała jeszcze raz? – spytał Simon.

Zima dotknęła zielonego szalika, którym owinęła szyję.

– Nie – powiedziała, już spokojniej. – Nie. Jester mówi, że nasza Meg krwawiła, żeby ochronić kucyki. Że cierpiała.

– Zgadza się.

– Uczyniła dość. – Zima już miała odejść, ale powstrzymała się, choć nie spojrzała na Simona. – Jej noga. Będzie jej trudno chodzić po śniegu. To może sprawiać jej ból.

– Tak – zgodził się, choć tak naprawdę nie wiedział, do czego zmierza.

– Poproszę siostrę, żeby obudziła się na kilka dni. Meg będzie łatwiej chodzić, jeśli na drogach nie będzie śniegu.

– Na pewno to doceni. Ja również.

Zima wyszła, ciągnąc za sobą wir śniegu.

Simon podszedł do komputera i zdjął z niego koszulę i sweter. W sumie niezbyt dużo śniegu napadało w biurze. A ponieważ komputer nadal działał i nie wybuchł, kiedy dotknął klawiatury, uznał, że nic mu nie będzie. Wytarł wszystko na biurku koszulą, zaim Vlad wszedł na górę.

– Mam wrażenie, że była wściekła – powiedział wampir. Zniknął na chwilę, a potem wrócił z ręcznikami i pomógł Simonowi wytrzeć resztę mebli.

– Ale nadal kontrolowała się na tyle, by nie wywołać w księgarni śnieżycy. –

Swoją drogą, ciekawe, jak tu weszła. – Czy książki w magazynie też są ośnieżone?

– Nie, tylko podłoga. John ją wyciera. Przyniosę szczotkę, zmieciemy śnieg na korytarzu i schodach. – Vlad rozejrzał się, po czym wyciągnął rękę. – Daj mi ten sweter i koszulę. Wrzucę je do suszarki w świetlicy. Wyschną, zaim przyjdzie pora, żeby przywieźć Meg do biura na popołudniowe dostawy. – Urwał, po czym spytał: – Co zamierzasz zrobić z Samem?

– Blair go zabierze. Obaj z Nathanem mamy problemy, żeby nie ruszać bandaża na nodze Meg. Szczeniak pewnie się nie opanuje i może niechcący sprawić jej ból. Będzie u nas wieczorem, Sam może się do niej tulić w ludzkiej formie.

Kiedy zmiotli śnieg, Simon usunął futro z piersi, włożył zapasową koszulę, którą trzymał w dolnej szufladzie biurka, i wrócił do pracy.

## Rozdział 22

Meg zatrzymała się na skrzyżowaniu, opuściła szybę i odetchnęła powietrzem, które miało już w sobie ciepło wiosny. Wprawdzie nadal czaiła się pod nim zima, ale z dróg zniknęły śnieg i lód, a ona miała przerwę i była sama po raz pierwszy od dwóch dni – odkąd się cięła.

Nawet przyjaźń może przytłaczać, szczególnie jeśli przyjaciele są wielcy, puchaci i spragnieni fizycznego kontaktu. Uświadomiła sobie, że choć Inni przyjmują ludzki kształt, ich znajomość ludzkiej anatomii ogranicza się do tego, które części ciała są smaczne, a które nie. Zareagowali na ranę z taką atencją, jakby ucięła sobie nogę.

Wczoraj poprosiła Merri Lee, Heather, Ruth i Elizabeth Bennefeld, żeby wyjaśniły im, że taka rana szybko się goi i nie wymaga fotela na kółkach, kierowcy czy strażnika, który bez przerwy pilnuje, żeby Meg się nie przewróciła. I choć początkowo Simon nie chciał się z tym pogodzić, nie pozwoliły mu na żadne wykręty.

To dzięki temu sama prowadziła w tę środę swój PNK, szukając miejsca, gdzie mogłaby się zatrzymać i zjeść lunch, który przygotowała dla niej Tess. Wewnętrzne drogi Dziedzińca były przejezdne po raz pierwszy, odkąd się tu zjawiała, więc skręciła w tę, która najbardziej jej się podobała.

Polany i drzewa. Na jednym z nich Meg zauważyła Jastrzębia. Nie sprawdzała, czy właśnie je lunch. Zatrzymała się przed skrzyżowaniem i ujrzała kucyki, radośnie biegnące wzdłuż drogi. Skręciła w stronę, z której przybiegły, ale szybko zawróciły i ruszyły za nią. Zwalniały i przyspieszały wtedy kiedy ona, skręcały, gdy ona skręcała. Porzuciły ją, dopiero kiedy skierowała się ku małym domkom należącym do dziewczynek znad jeziora. Zatrzymała się przy jednym z nich i wysiadła, by pospacerować ścieżką, która opasała jezioro niczym szeroka wstęga.

Zima ślizgała się po tafli wody. Przybrała formę dorosłej kobiety z włosami do pasa, białymi jak śnieg wirujący w powietrzu wokół niej. Pomachała do Meg i zawołała:

– Zostań tam. – Jej głos nie dobiegał z jeziora. Zdawał się dochodzić raczej z okolicznych zasp. Bez wysiłku wyszła na ląd, nie zostawiając śladów na śniegu. Uśmiechnęła się do Meg. – Gdzie twoi towarzysze?

– Dziś spaceruję bez nich – odparła Meg, odwzajemniając uśmiech.

– Podoba ci się prezent ode mnie i od mojej siostry? – spytała Zima.

Obrazą byłoby przyznanie, że nie wie, o jaki prezent chodzi. Ale kiedy tylko się rozejrzała, wszystko stało się dla niej jasne.

– Ciepłe powietrze. Przejezdne drogi. Słońce wpadające do pokoju. – Meg spojrzała na Zimę. – Zrobiłyście to dla mnie?

– Lubisz być na ziemi, dotykać jej. Chciałyśmy, żeby było ci łatwiej chodzić

i cieszyć się tym bez narażania nogi na ból. – Zima odwróciła wzrok. – Kucyki są nam drogie. Nie zapomnimy o tym, co chciano im uczynić. Ale ty je ocaliłaś. O tym również nie zapomnimy. – Spojrzała na Meg i znów się uśmiechnęła. – Wiosna chce cię poznać. Czeka nad strumieniem.

– Więc pójdę się przywitać.

Meg szła ścieżką nad jeziorem, aż dotarła do strumienia. Dziewczynka stała na skałach, które formowały naturalny wał. Obserwowała, jak dwie kaczki pływają po oczku wody, nie większym niż okrąg, jaki Meg mogłaby objąć rękami. Przy brzegu można było dostrzec ciemniejsze plamy – znak, że lód się topi.

Dziewczynka odwróciła się i na widok Meg pobiegła ścieżką między zaspami. Jej włosy były w wielu odcieniach brązu, a sukienka...

Meg nie miała pewności, czy ta sukienka miała przypominać kwiaty, czy może naprawdę została uszyta z kwiatów, które pierwsze wyłaniają się spod śniegu. Poznała tulipany, hiacynty i krokusy, ale były też inne – niebieskie i delikatne – które wyglądały, jakby kwitły wyłącznie w lesie.

Dziewczynka ujęła dłoń Meg, a jej radosny śmiech sprawił, że kilka dzikich kwiatków zakwitło u jej stóp.

– Ty jesteś nasza Meg – stwierdziła. – A ja jestem Wiosna. Zwykle budzę się na kilka dni, kiedy panuje Zima, choć nigdy tak wcześnie. Ale chciałyśmy podziękować ci jakoś za uratowanie kucyków, a ponieważ byłoby niewłaściwe, gdyby Lato albo Jesień już wstały, więc oto jestem. – Powietrze aż wibrowało od jej śmiechu.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. – *Chociaż nie wiem, czy ktoś nie próbował ich otruć, właśnie dlatego że tu jestem.* – Wpadłaś na kilka dni?

Wiosna skinęła głową.

– Za dzień lub dwa znów zasnę. Już nie tak głęboko jak przedtem, ale będę spała jeszcze kilka tygodni. Zima ma listę nowych książek, które przysły do naszej biblioteki, odkąd ostatni raz tańczyłam na Dziedzińcu, i powiedziała, że jeśli spiszę te, które chcę przeczytać, przywieziesz mi je. Czy to prawda?

Jak można odmówić dziewczynce o takim uśmiechu?

– Oczywiście – przytaknęła Meg.

Znów śmiech i rozkwitające wokół kwiaty.

Ale nagle Wiosna spoważniała.

– Ciepło budzi, ale również osłabia. Strzeż się, nasza Meg. – Wskazała na strumień. – Widzisz? Lód zniknął w kilku miejscach, a w innych jest słabszy. Teraz nie można po nim chodzić ani się ślizgać. Wzmocni się znowu za kilka dni, ale nie tak bardzo jak wcześniej.

– Dlaczego się wzmocni? – spytała Meg.

– Od naszych braci i siostr z północy nadciąga burza. W sobotę przekroczy jezioro Etu. Wrócę do łóżka, a Zima, Powietrze i Woda znów będą tu rządzić przez jakiś czas. – Kolejny uśmiech. – Cieszę się, że cię poznałam. Będę wyglądać następnego spotkania.

*Mam nadzieję, że naprawdę się spotkamy.*

– Lepiej już pójdę – powiedziała Meg. – Jeśli się spóźnię, pan Wilcza Straż wyśle na poszukiwania całą watahę.



To miał być żart, ale Wiosna najwyraźniej wzięła jej słowa na poważnie.

– To oczywiste – powiedziała. – Namid podarowała nam ciebie, a my cenimy dary świata.

Obdarzyła Meg jeszcze jednym uśmiechem, po czym odbiegła drogą, podskakując radośnie.

Meg wróciła do swojego PNK i pojechała do biura. Zjadła lunch w pachnącym czystością pokoju na zapleczu, czytając książkę pożyczoną z biblioteki.

*Jeśli się spóźnię, pan Wilcza Straż wyśle na poszukiwania całą watahę. Namid podarowała nam ciebie, a my cenimy dary świata.*

Przez resztę popołudnia starała się ignorować słowa, które powodowały lekkie mrowienie pod skórą.



Azja siedziała Pod Jeleniem i Zającem, czekając na specjalnego wysłannika, i obserwowała wjazd na parking dla dostawców na Dziedzińcu. Wczoraj poszła do ekskluzywnego salonu fryzjerskiego i zmieniła swój naturalny, jasny kolor włosów na głęboki cynamon. Nowy stanik zmniejszył jej biust, zamiast go podkreślać, a luźniejszy sweterek dopełnił odmiany jej powierzchowności. Nie wyglądała źle i uznała, że to wersja przebrania, jakiego Azja Crane, agentka do zadań specjalnych, mogłaby używać podczas tajnych misji.

Wysłannik przyszedł, rozejrzał się, po czym posłał jej szeroki uśmiech. Kiedy podszedł do stolika, pochylił się nad nią, jakby chciał ją pocałować, ale zawahał się i ostatecznie tylko dotknął jej ręki.

*On też jest w pewnym sensie aktorem*, pomyślała Azja. Na kelnerkach zrobił wrażenie mężczyzny, który jeszcze nie jest kochankiem, ale z pewnością ma takie aspiracje.

– Coś interesującego? – spytał, wieszając na oparciu krzesła swoją krótką zimową kurtkę.

– Nic – odparła, starając się ukryć frustrację. W poniedziałek na Dziedzińcu powinien się zrobić zamęt z powodu kucyków, ale nic się nie działo – ani wtedy, ani teraz.

Otworzył menu, przeleciał wzrokiem wkładkę z ofertą dnia i gdy tylko zjawiała się kelnerka, złożył zamówienie. Azja zamówiła zupę i kanapkę reklamowaną jako specjalność zakładu. Starła się zachowywać grzecznie, zmieniła też głos ze słodkiego w przyjacielski, ale trzeźwy. Dzięki temu, zważywszy zmiany w jej powierzchowności, obsługa lokalu nie była pewna, czy widziała ją już wcześniej, czy jest tu po raz pierwszy.

Kiedy zostali sami, wysłannik znów pochylił się ku niej, co dla postronnych wyglądało, jakby z nią flirtował.

– Ktoś nabrał podejrzeń co do cukru i nie dał go kucykom – mruknął. – Policja sprawdza go teraz na obecność trucizny.

– Niedobrze – odmruknęła Azja.

– Tak naprawdę to bez znaczenia. Nasz darczyńca wykonał odpowiedni telefon i załatwił sprawę. Ludzie mają pierwszeństwo przed Innymi, więc badanie cukru spadło na dalekie miejsce w kolejce. Znikniemy, zanim ktoś się nim zajmie.

– Więc nic nam to nie dało.

– Ależ dało. Potwierdziło, że własność naszego darczyńcy ukrywa się na Dziedzińcu i zużywa cenne zasoby, by pomagać tym bestiom. Dysponując tą wiedzą, możemy przygotować się do następnego etapu. – Kelnerka przyniosła zamówienie i dołała im wody do szklanek. W takich restauracjach pierwszą szklankę wody i pierwszą dolewkę serwowano gratis do posiłku. Potem, zważywszy wysokość podatku od wody, szklanka kosztowała tyle, co kieliszek wina. – Rozpuściłem wśród miejscowych wieści, że do Lakeside przyjechała duża grupa moich znajomych ze studiów na zimowe wakacje – no wiesz, żeby pojeździć na nartach, skuterach śnieżnych i tak dalej. W parku są niezłe szlaki, a w pobliżu stoi gospoda, gdzie zachodzą ludzie, którzy uprawiają zimowe sporty. Jest tam nawet parking tylko dla skuterów śnieżnych. Ta odwilż nieco pokrzyżowała nam plany, ale badamy teren i cieszymy się z okazji do rozmowy ze starymi druhami. Nie skarżymy się gospodarzom na pogodę, dzięki czemu uznali nas za dobrych klientów. – Uśmiechnął się do niej ponownie i ugryzł wielki kęs kanapki.

– Wynajęcie dwudziestu kilku ludzi to duży wydatek jak na odzyskanie jednej własności. – Azja przełknęła łyżkę zupy. Nie sądziła, że darczyńca przyśle do tego zadania aż tylu ludzi. Jej sponsorzy zażądają dużej części znaleźnego, jakie jej obiecano, ale jej udział i tak będzie znaczny. A mowa tu tylko o pomocy w odzyskaniu Meg. Prawdziwe pieniądze dostanie za zdobycie Wilczka.

– Według prognoz w sobotę będzie zamieć. – Wysłannik wytarł usta serwetką.

– Wykorzystamy ją, żeby ukryć ślady i odzyskać własność.

– A nie lepiej skończyć misję przed burzą? – spytała Azja, lecz po chwili sama sobie odpowiedziała: – Nie. Te cholerne Wrony bez przerwy pilnują.

Wysłannik kiwnął głową.

– Moi ludzie obejrzeliby teren, łącznie z częścią parku, która przylega do Dziedzińca. Wrony zauważyły skutery śnieżne i leciały za nimi spory kawałek. Burza śnieżna je zatrzyma i nikt nas nie będzie szpiegował.

– Ryzykujesz, bo miasto może zamknąć drogi.

– Burza nadciąga z północy, a my ruszymy na południe albo na wschód.

Wyprzedzimy ją, a nawet jeśli będziemy musieli zaszyć się gdzieś na kilka godzin, odjedziemy na tyle daleko, że pogoń straci trop. Poza tym przygotujemy niespodzianki.

– Jakie? – Apetyt rósł w miarę jedzenia. Azja spróbowała kanapki.

– Paru chłopaków z college'u z dobrym celem w oku, furgonetka z odsuwanymi drzwiami i kilka tuzinów jaj. Petardy wrzucane za płot przez ludzi na skuterach śnieżnych. Podpalone szmaty przy wjazdach na Dziedziniec. To samo na ulicach w sąsiedztwie. – Znów uśmiechnął się szeroko. – Sprawimy, że policja będzie miała pełne ręce roboty, i sprawdzimy, jak reagują Inni – ilu zajmie się takim problemem, ilu uda się w miejsca, które ich zdaniem wymagają ochrony, co zostawia bez ochrony...

– Dzielnica handlowa Dziedzińca po zamknięciu sklepów zwykle wymiera –

zauważyła Azja.

Wysłannik kiwnął głową.

– A brama w tylnej ścianie parkingu to tylko drewno i prosty zamek. Ich zabezpieczenia są żałosne. Niewiarygodne, że nadal są w stanie kontrolować cały kontynent.

– Kiedy zaczną się niespodzianki? – spytała Azja. I omal nie schowała się pod stół, gdy nagle rozległa się seria głośnych wybuchów.

Wysłannik tylko uśmiechnął się z okrutną złośliwością.



– Czy to typowa wiosenna gorączka? – spytał Monty, kiedy wraz z Kowalskim jechali na kolejne miejsce zdarzenia. Odebrali już trzy zgłoszenia z Dziedzińca. Simon Wilcza Straż był zirytowany petardami, które ktoś wrzucił na parking dla dostawców przy biurze łącznika, a potem na parking dla klientów. I wcale nie rozbawiły go jaja, którymi ktoś obrzucił okna Zabójczo Dobrych Lektur i Czegoś na Ząb. Ale naprawdę wkurzył się, gdy ponownie wrzucono fajerwerki na parking dla dostawców, ponieważ te durne nastolatki stały na chodniku i natrząsały się z Nathana, który wypadł wściekły z biura. Meg pobiegła za nim, potknęła się i poleciała wprost na Wilka, skutecznie uniemożliwiając mu zapolowanie na amatorów fajerwerków.

Louis Gresh przyjął to zgłoszenie i Monty czekał teraz na potwierdzenie, że fajerwerków nie wzbogacono czymś, co mogłyby skrzywdzić człowieka albo Wilka.

– Typowa? – Kowalski pokręcił głową. – Większość dzieciaków nie ryzykuje lania za zmarnowanie tygodniowego przydziału jajek, więc ciskanie nimi w okna to raczej nowość.

– Może sami kupują te jajka – wyraził przypuszczenie Monty.

– Bez kartek jajka są dwa razy droższe – zaproponował Kowalski. – Ktoś przecież zwróciłby uwagę na dzieciaki z liceum czy college’u kupujące jajka za podwójną cenę. A gdyby kupowali je w sklepie po sąsiedzku, albo my byśmy się o tym dowiedzieli, albo ich rodzice.

Monty ścisnął nos u nasady.

– Nie podoba mi się to, Karl. Ktoś nas chyba wrabia.

– Kto?

– Nie mam pojęcia. – Pochylił głowę i westchnął.

Zaparkowali przy krawężniku i wysiedli. Nie musieli nawet pytać zirytowanego właściciela, co się stało. Wystarczył widok jajek rozbryzanych na sklepowej witrynie.

– W sobotę będzie burza śnieżna – powiedział Kowalski. – Pewnie położy kres tym wygłupom.

Monty wyjął notes i długopis.

– Obyś miał rację, Karl. Obyś miał rację.

## Rozdział 23

Kapitan Burke z przesadną starannością odłożył słuchawkę na widełki. Potem spojrzał na Monty'ego.

– Utracono nas, poruczniku. Laboratorium właśnie mnie poinformowało, że muszą najpierw zająć się dowodami z bieżących dochodzeń. Nasza prośba dotyczy przestępstwa, które udaremniono. Podejrzewam, że raport zobaczymy najwcześniej latem.

– Ludzie przede wszystkim – mruknął Monty, myśląc o kampanii wyborczej burmistrza.

Burke kiwnął głową.

– Też tak to odczytuję. No dobrze, to co powiemy Simonowi Wilczej Straży? – Uśmiechnął się do Monty'ego swoim szalonym uśmiechem. – Niewiele na komisariacie umyka mojej uwadze, więc wiem, że dziś już raz dzwonił i domagał się informacji.

– Powiem mu prawdę. Laboratorium wykona badania, najszybciej jak się da.

– Myśli pan, że uwierzy? – Monty nie odpowiedział. – Wilcza Straż domyśli się, że laboratorium próbuje go wypieprzyć, nie stawiając mu kolacji – powiedział Burke cicho. – Miejmy nadzieję, że nadal będzie wierzył w pana szczerość.



Kiedy Vlad, Henry i Tess weszli do biura ZDL, Simon nie tracił czasu na zbędne wstępy.

– Małpy nam nie pomogą. Montgomery przepraszał, ale nie dowiemy się od nich, czy cukier był zatruty.

– Dotąd zachowywał się wobec nas uczciwie – stwierdził Henry, wyraźnie rozczarowany.

Simon opanował gniew.

– Był sfrustrowany, nawet trochę zły. Laboratorium kryminalne nie chce pomóc nam i nie chce pomóc jemu.

Vlad wzruszył ramionami.

– To uderzy w małpy. Nie zapomnimy im tego.

– Oczywiście, że nie. – Rano dowiedział się od Elliota, że burmistrz lansuje w Lakeside politykę „Ludzie przede wszystkim” i szuka popleczników. Głupcy próbowali już tego w innych częściach Thaisii. Las nie porósł jeszcze do końca ostatniego miasta, które stosowało tę politykę, więc nie było to znowu tak dawno temu.

Tess poruszyła się, a właściwie poruszyły się jej włosy – skręciły się i zmieniły

kolor na czerwony.

– Możemy inaczej sprawdzić, czy cukier jest zatruty – stwierdziła.

– Jak? – spytał Simon. Kiedy jej się przyjrzał, zorientował się, że stara się nie patrzeć im w oczy, kiedy jest zła.

– Daj mi adres domowy Darrella Adamsa. Elliot powinien go mieć w aktach pracowników.



Tess zaczekała do wieczora, po czym udała się na przystanek autobusowy dwie przecznice od Dziedzińca. W ramach umowy z Lakeside *terra indigena* mogli jeździć za darmo wszelkimi środkami transportu miejskiego, ale Tess wiedziała, że jeśli skorzysta z przepustki, zwróci na siebie uwagę. Nie chciała tego, więc zapłaciła za przejazd tak jak ludzie, a potem zajęła miejsce z przodu autobusu. Schowała włosy pod wełnianą czapkę, ale rozluźniła szalik, którym owinęła twarz.

Przesiadła się do innego autobusu i wreszcie wysiadła na przystanku kilka przecznic od budynku, w którym mieszkał Darrell Adams. Szła szybko, przy każdym kroku walcząc ze swoją naturą. Pragnęła przybrać swą naturalną formę, ale w tej chwili musiała pozostać człowiekiem. Nikt, kto ujrzał jej naturalną formę, nie uszedł z życiem. A choć przyszła tutaj przetestować cudzą broń i ostrzec policję, blok mieszkalny pełen trupów byłby pewną przesadą.

Kiedy dotarła do mieszkania Darrella, usłyszała zza zamkniętych drzwi dźwięki telewizora. Czy sąsiadom to nie przeszkadzało? Przechyliła głowę i rozpoznała muzykę dobiegającą z innego mieszkania. A może pogłaśniają dźwięk, żeby się przebić przez konkurencję i coś usłyszeć?

Zapukała do drzwi Darrella, raz, potem drugi raz, głośniejsze. W końcu drzwi naprzeciwko otworzyły się i wyjrzała zza nich stara kobieta. Tess zignorowała ją i zapukała po raz kolejny.

Darrell wreszcie otworzył. Dźwięk telewizora wypełnił korytarz, niemal pochłaniając trzaśnięcie drzwi naprzeciwko.

– Czego chcesz? – spytał, kiedy już ją rozpoznał.

Tess pozwoliła, by w jej oczach pojawił się ślad jej prawdziwej formy, i spojrzała na niego.

– Musimy o czymś porozmawiać. – Odszedł od drzwi chwiejnym krokiem, a ona weszła za nim, chwyciła go pod ramię i zaprowadziła na kanapę. Tylko lekkie drżenie serca, tylko chwilowa słabość kończyn od tego jednego spojrzenia. Musiał zachować dobrą formę na potrzeby testu. Zdjęła wełnianą czapkę. Jej włosy – czarne z pasmami czerwieni – opadły na ramiona, kręcąc się i falując. Wyjęła mały słoik z zapinanej na suwak kieszeni, odkręciła wieczko i podsunęła słoik Darrellowi. – Weź dwie kostki – nakazała. – Zjedz.

– Dlaczego?

– Możesz wybierać między cukrem a tym. – Znów spojrzała mu w oczy i uchyliła bardziej ludzką maskę. – Darrell posikał się ze strachu. Potrząsnęła

słoikiem i powtórzyła: – Dwie.

Posłusznie wziął dwie kostki, wrzucił do ust, pogryzł kilka razy i połknął. Tess przywróciła swojej twarzy wygląd, do jakiego przywykli klienci Czegoś na Ząb i *terra indigena*, ale jej włosy zachowały kolor śmierci z kilkoma czerwonymi pasmami gniewu.

Nie spuszczając z niego oczu, wytrząsnęła na podłogę dwie kostki. Nie musiała długo czekać. Dwa razy pogłośniła telewizor, ale jego krzyki i tak zaalarmowały sąsiadów.

Ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

– Co tam się dzieje? Bo zadzwonię na policję!

*Proszę bardzo*, pomyślała rozzłoszczona Tess. Wsadziła wełnianą czapkę do kieszeni i wyszła z mieszkania, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Nie patrzyła nikomu w oczy, ale jej naturalna forma unosiła się blisko powierzchni, a kręcone włosy przyciągały spojrzenia przechodniów. Smakowała tę odrobinę śmierci, która dotykała każdego, kto na nią spojrzał.

Szła przed siebie, a jej włosy nadal były czarne, choć powoli zaczynały się prostować. Nadal odwracała wzrok, choć wątpiła, by kierowcy samochodów patrzyli w jej stronę, przechodniów zaś było bardzo niewiele.

Jakiś mężczyzna, kryjący się w bramie, zauważył ją i zastąpił jej drogę. Nie wiedziała, czy chciał ją obrabować, czy zgwałcić. I nie zważała na to. Mogła na nim zaspokoić swój głód.

Spojrzała mu w oczy i zaczęła, aż upadnie. Potem przeszła nad jego ciałem i ruszyła dalej. Wreszcie, kiedy mróz zaczął ją kasać dotkliwiej niż gniew, schowała włosy pod czapkę, poszła na najbliższy przystanek autobusowy i wróciła do domu.



W piątek po południu Monty siedział przy biurku i pijąc gorącą herbatę, przeglądał raporty. Poprzedniego wieczoru w końcu zabrakło jajek – w sklepach nie było ich w ogóle, a na targowiskach sprzedawano je tylko znajomym klientom. I to wyłącznie dorosłym. Nadal tu i ówdzie rzucono petardy, a ktoś podpalił kilka jałowców, którymi Inni odgradzili Dziedziniec od Alei Parkowej. Świadkowie – mężczyźni jeżdżący po parku na skuterach śnieżnych – mówili o furgonetce odjeżdżającej z miejsca, gdzie widzieli dym. Ogień strawił krzaki, głównie dlatego że żaden ze świadków nie zabrał ze sobą telefonu komórkowego, a kierowcy przejeżdżający Aleją Parkową nie zawiadomili o pożarze. Kiedy wreszcie strażacy przybyli na miejsce, w zasadzie nie mieli nic do roboty, ponieważ coś wyrwało krzaki z korzeniami i rzuciło je, wraz z częścią żelaznego ogrodzenia i masą śniegu, na północną jezdnię Alei Parkowej, skutecznie blokując ruch.

Zniszczenia przypominały te po przejściu tornada, choć meteorolodzy, do których rano dzwonił Monty, zarzekali się, że nic takiego nie zaobserwowali, a ponadto gdyby faktycznie przez Lakeside przeszło tornado, straty nie ograniczyłyby się do kilku krzaków i kawałka płotu.

No cóż, użycie tornada do tłumienia ognia to może lekka przesada, ale również przypomnienie, że ludzie nie mają pojęcia, co tak naprawdę mieszka na Dziedzińcu.

Wyrwa w płocie niepokoiła Monty'ego, ponieważ stanowiła dodatkowe wejście na teren Dziedzińca. I to już drugie. Wcześniej jakiś samochód wpadł w poślizg i staranował ogrodzenie przy ulicy Głównej. Dwie różne furgonetki i dwa przypadkowe zdarzenia? A może ta sama furgonetka i ci sami sprawcy?

Monty zadrżał. Za dużo ostatnio tych przypadków. Czyżby ktoś chciał sprowadzić na Lakeside kłopoty?

*Chyba nie tylko ja tak myślę*, uznał, gdy kapitan Burke podszedł do jego biurka, ubrany jak do wyjścia. Zatrzymał się i założył rękawiczki, nie patrząc na Montgomery'ego.

– Niech pan weźmie płaszcz, poruczniku – powiedział tak cicho, że usłyszał go jedynie Monty. – Pójdziemy na spacer. Czekam na pana na zewnątrz.

Monty zdenerwował się jeszcze bardziej. Ubrał się szybko i spotkał z Burke'em przed komisariatem.

– Idziemy w jakieś konkretne miejsce? – spytał.

– Nie – odparł kapitan, ruszając przed siebie. – Ma pan ze sobą komórkę?

– Tak.

– Proszę ją wyłączyć. – *O bogowie...* Minęli dwie przecznice, potem trzecią, zanim Burke wreszcie się odezwał. – Kilka minut temu miałem telefon od kapitana Zająca. Pamięta pan Darrella Adamsa?

Monty kiwnął głową.

– Pracował w konsulacie. Kilka dni temu został wyrzucony z pracy.

– Umarł wczoraj wieczorem – oznajmił Burke. – Zjadł zatruty cukier.

Znaleziono dwie kostki koło kanapy, na której siedział.

Monty zdołał wydobyć z siebie głos, dopiero gdy minęli kolejną przecznicę.

– Nie pomogliśmy im, więc Inni przeprowadzili własne testy na osobie, którą uznali za winną?

– Nie sądzę, żeby pan Adams wyszedł z Dziedzińca żywy, gdyby Inni podejrzewali, że próbował otruć kogoś z nich. Ale z pewnością nie był też przypadkową ofiarą.

– Czy teraz, w związku z jego śmiercią, laboratorium przyspieszy badania? – spytał Monty.

– Poruczniku, niech pan nie będzie taki rozgoryczony – odparł Burke spokojnie. – Teraz mają powód, żeby je przyspieszyć. Wyszły na jaw pewne fakty i Zajac wystraszył się śmiertelnie, gdyż nie wiadomo, ile jeszcze osób umrze.

Monty zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

– Co do Adamsa sprawa jest jasna: zjadł trochę tego cukru i nie żyje. Ale jeden z sąsiadów twierdzi, że kiedy wyszedł sprawdzić, co się dzieje, zobaczył kobietę, która od niego wychodziła. Chwilę później stracił czucie w lewej ręce. Zabrano go do szpitala. Nie został ranny, ale mięśnie w jego ręce obumarły. Druga sąsiadka, pewna starsza dama, która również widziała tę kobietę, straciła wzrok w jednym oku. Żadnych obrażeń, żadnego wyjaśnienia. Wkrótce ludzie zaczęli się zgłaszać do szpitali, skarżąc się na spłycony oddech, zawroty głowy, ból w klatce piersiowej albo

nagłą słabość w kończynach. Dziś rano na szczęście większość doszła do siebie, choć wciąż nie wiadomo, co spowodowało ich dolegliwości. Te przypadki łączy ze sobą jedno: wszyscy przechodzili wczoraj w pobliżu mieszkania Adamsa mniej więcej o tej samej porze.

– A co z policjantami, którzy przybyli na wezwanie? – Mimo mrozu Monty czuł, że się poci.

– Nic im nie jest. – Burke urwał, kiedy czekali na zmianę świateł. Po drugiej stronie ulicy odezwał się znowu: – Podobnie jak mężczyźnie i chłopcu, którzy wchodzili do budynku, gdy ta kobieta wychodziła. Mężczyzna mówi, że rzucił na nią okiem i natychmiast odwrócił się tyłem, osłaniając syna. Dłonią zakrył mu oczy. Powiedział policjantom: „Nie patrzyliśmy na nią. Pamiętam, co mówią mity, więc nie patrzyliśmy”. Nie potrafił wyjaśnić nic więcej, a Zajac nie naciskał.

– Nie chce się dowiedzieć? – zapytał Monty. – A co to za mity? Czy na uniwersytecie jest ktoś, kto może ustalić ich źródło?

– Nie, Zajac nie chce się dowiedzieć. My też nie. – Burke rzucił Monty’emu ostrzegawcze spojrzenie. – Zna pan wyrażenie „zabić kogoś wzrokiem”? – spytał po chwili. – Wygląda na to, że wśród *terra indigena* żyje coś, co naprawdę to potrafi.



## Rozdział 24

„...W rezultacie odradza się podróżowanie do jutra, do szóstej rano. WZAS radzi, by nie wychodzić z domu bez potrzeby – wkrótce ratusz wyda oficjalne oświadczenie na ten temat. Więc zaopatrzyć się w mleko i papier toaletowy i ruszajcie do domów, ludzie. Na ulicach leży już kilkanaście centymetrów śniegu, a będzie go dużo więcej. Prognozy pogody ostrzegają, że na Lakeside może spaść prawie metr śniegu, zanim burza ucichnie. Nawet my nie chcemy spekulować, jak wielkie będą zasy. Dziś wieczorem temperatura opadnie do minus dwudziestu stopni. Co pół godziny będziemy was informować o sytuacji. Mówiła Ann Hergott z WZAS, radia, które przekazuje wam najświeższe informacje, czy tego chcecie, czy nie. A teraz posłuchajcie przeboju z zeszłorocznego filmu *Jeśli lato nie nadejdzie*”...

Monty wyłączył radio. Nie miał dziś służby, ale wszystkich postawiono w stan gotowości. W Toland przeżył kilka paskudnych śnieżyc, kilka razy Wielkie Miasto zamknęło się nawet na jeden dzień. Ale kiedy słuchał wczoraj Kowalskiego, Debany'ego i MacDonalda – ludzi, którzy mieszkali w Lakeside przez całe życie – uświadomił sobie nagle, że nigdy nie przeżył śnieżycy, którą oni uważali za wielką. A właśnie taka śnieżycy ich czekała.

Sprawdził, czy ma klucze, i wyszedł na zewnątrz.

Ciemne chmury piętrzyły się na niebie, czekając tylko, by runąć śniegiem na miasto. Na policzkach czuł igiełki mrozu. Śnieg padał coraz szybciej. Niedawno przejeżdżał tędy pług śnieżny, ale ulica znów była zasypana. Wątpił, że za godzinę czy dwie jakikolwiek pojazd będzie w stanie poruszać się po mieście. Wrócił do mieszkania i zadzwonił do Kowalskiego.

– Co sądzisz o tej burzy? – spytał, gdy Karl odebrał telefon.

– Nadchodzi szybciej niż się spodziewano – odparł Kowalski. – Słyszałem właśnie w radiu, że w centrum miasta odwołano wszystkie dzisiejsze imprezy. Ruch na drogach już zaczyna utykać, a będzie tylko gorzej.

– Pługi śnieżne?

– Będą się starały utrzymać przejezdność głównych ulic, ale nic więcej nie da się zrobić, zanim śnieżycy nie minie.

Monty pomyślał przez chwilę.

– W takim razie spakuję się na noc i przyjadę taksówką na komisariat, dopóki to jeszcze możliwe. A ty?

– Niech pan każe taksówkarzowi czekać na rogu. Wątpię, żeby jakakolwiek taksówka zaryzykowała wjazd w boczne ulice. Za duże prawdopodobieństwo utknięcia w zaspie. Pomogłem odkopać samochody dwóm sąsiadom, którzy musieli dostać się do pracy. Personel medyczny, sanitariusze i straż pożarna też zostali postawieni w stan gotowości. – Chwila wahania. – Myślałem, że dzwoni pan, żeby przyszedł.

*A to jakiś problem?* zdziwił się Monty, słysząc dziwną nutę w głosie Karla. Nie chodziło tylko o pogodę. Miał wrażenie, że Kowalski będzie się starał zostać w domu najdłużej jak się da.

– Próbowałem dzwonić do gospód i hoteli w pobliżu parku, ale mam wrażenie, że część linii telefonicznych została już zerwana – powiedział Monty łagodnie. – Czy coś cię niepokoi?

– Do miasta przyjechała grupa mężczyzn, na jakiś zjazd. Mają skutery śnieżne. Pomyślałem, że dobrze byłoby ich spytać, czy w razie czego udzielą nam wsparcia...

– Czego mi nie mówisz, Karl?

– Nie sądziliśmy, że burza nadejdzie tak szybko, więc Ruthie poszła poćwiczyć do Siup i Łup. Potem miała wpaść na zakupy do sklepu spożywczego na rynku... – Kowalski zawahał się. – Nikt nie odbiera w Zabójczo Dobrych Lekturach ani w Czymś na Ząb, a komórka Ruthie nie działa. Mieszkamy zaledwie kilka przecznic od Dziedzińca, ale w taką pogodę Ruthie może nie dotrzeć do domu.

Monty obserwował powoli jadący ulicą samochód.

– Karl, muszę lecieć. Poszukaj tych skuterów śnieżnych. Mam ze sobą komórkę, więc daj znać, kiedy uda ci się skontaktować z Ruth.

– Tak zrobię – odparł Kowalski i rozłączył się.

Monty szybko spakował najpotrzebniejsze rzeczy, zadzwonił po taksówkę i umówił się z kierowcą na rogu ulicy. Potem wyszedł w śnieżycę.



Azja wjechała wypożyczonym samochodem w śnieg blokujący parking Dziedzińca. Usiłowała przygotować sobie drogę ucieczki, kiedy już zdobędzie Wilczka. Wolałaby zaparkować po drugiej stronie ulicy, ale wszystkie miejsca w pobliżu Pod Jeleniem i Zającem były już zajęte, a kiedy mijała parking dla klientów okolicznych sklepów, stwierdziła, że tylko ostatni samochód, który zdoła tam wjechać, zdoła również wyjechać. A i to nie było pewne.

Dodała gazu, aż opony zaczęły buksować, a potem wrzuciła wsteczny, żeby wycofać się na ulicę i ponownie staranować śnieg. Ignorując klakson samochodu, który ledwie zdołał ominąć tył jej pojazdu, wrzuciła bieg i wjechała ponownie w zaspę blokującą wjazd. Samochód skręcił gwałtownie i utknął, całkowicie uniemożliwiając innym wyjazd z parkingu.

Klnąc na czym świat stoi, Azja wysiadła na zewnątrz. *Co za kupa gówna!* Powiedziała przecież w wypożyczalni, że potrzebuje wozu, który może jeździć po śniegu, a oni zapewnili ją, że ten da sobie radę w prawie każdym warunkach.

*Prawie każdym, akurat,* pomyślała, sięgając po plecak leżący na tylnym siedzeniu. Zrzuciła plecak na ramiona, wzięła czekan i ruszyła w stronę muru tworzącego tylną ścianę parkingu.

Najpierw spróbowała otworzyć drewniane drzwi, w nadziei że Inni zapomnieli je zamknąć. Niestety nie miała tyle szczęścia. Ale zaspą nawiana pod murem sięgała prawie do samej góry. Łatwo było się na nią wspiąć.

Z pomocą czekana wdrapała się na zaspę, przerzuciła nogi przez mur i zeszła po drugiej stronie. Ta część parkingu nie była odśnieżana przez cały dzień, a stojące tu samochody w najbliższym czasie raczej nigdzie nie pojadą. Wiedziała, że zostawia za sobą ślady, ale nie zamierzała się tym przejmować.

Przyjrzała się kłódce zamykającej z drugiej strony drewniane drzwi pomiędzy parkingami i zakląła. Musi znaleźć klucz. Nie wyjdzie stąd w taki sposób, w jaki weszła, zważywszy, że będzie taszczyć sporego szczeniaka.

Zdjęła plecak z jednego ramienia i przyjrzała się parterowemu budynkowi z cegły, tworzącemu prawą ścianę parkingu. Drzwi do garażu, a obok drugie – zwyczajne. Najpierw spróbowała tych drugich. Były otwarte, więc wślizgnęła się do środka. Pełno tu było sprzętu do odśnieżania i narzędzi ogrodniczych. Czyli to coś w rodzaju szopy dozorczy.

Zamknęła za sobą drzwi, na wypadek gdyby Inni, pomimo pogody, kręcili się po dworze. Wyjęła z kieszeni płaszcz małą latarkę i oświetliła ścianę. I uśmiechnęła się szeroko na widok kołków na klucze. Na ostatnim, na kawałku sznurka, wisiał klucz podpisany po prostu KŁÓDKA. Wzięła go, poszła otworzyć kłódkę i na wszelki wypadek przerzuciła ją przez mur, żeby nikt nie odciał jej złośliwie drogi ucieczki. Potem odniosła klucz na miejsce i obejrzała pozostałe.

Jeden był podpisany PNK.

Z radosnym błyskiem w oku Azja schowała go do kieszeni. Darrell mówił, że kluczyki pasują do wszystkich PNK, więc teraz musi tylko znaleźć któryś z tych pojazdów.

Na przeciwległej ścianie znajdowała się taka sama para drzwi. Podeszła do tych zwykłych, wyłączyła latarkę i uchyliła je lekko, by upewnić się, że znajduje się w garażu, który widziała, kiedy spędzała noc z Darrellem.

Wysłannik zmienił plan, kiedy stało się jasne, że burza będzie gorsza, niż się spodziewali, i uderzy szybciej, niż przewidywały prognozy pogody. Jedyne problem polegał na tym, że Meg nie zamknęła jeszcze biura. Powinna siedzieć w swoim mieszkaniu w Zielonym Kompleksie, gdzie byłaby łatwa do przejęcia, kiedy wysłannik i jego ludzie odwrócą uwagę Simona Wilczej Straży i reszty Innych w różnych częściach Dziedzińca.

Azja podciągnęła rękaw skafandra i spojrzała na fluorescencyjne wskazówki zegarka. Dochodziło wpół do czwartej, ale z uwagi na burzę było już ciemno. To na pewno działało na ich korzyść.

Wycofała się i już prawie domknęła drzwi, kiedy ktoś otworzył tylne wejście do Zabójczo Dobrych Lektur.

Azja usłyszała głos Simona Wilczej Straży:

– Powiedz jej, żeby zaczekała. Wrócę za chwilę.

Zobaczyła, że idzie w stronę biura łącznika. Nagle zatrzymał się, jakby coś zwróciło jego uwagę. Przez chwilę stał w miejscu, a potem ruszył dalej, do biura.

Spojrzała jeszcze raz na zegarek. Teraz trzeba czekać.



Gdy tylko Simon wszedł na zaplecze biura łącznika, od razu wyczuł niepokój Nathana. Usłyszał też głos Meg. Rozmawiała z kimś, ale chyba nie z Wilkiem.

Nathan? zawołał.

Chcę iść do nory, powiedział Nathan, wyraźnie zdenerwowany. Wszyscy powinniśmy iść do nor.

Nie dostaniesz się chyba do Kompleksu Wilczej Straży, ale wszyscy opuszczamy tę część Dziedzińca.

To dobrze. Musimy wrócić do nor.

Miał rację. Księgarnia i kawiarnia zostały zamknięte pół godziny temu, ale wciąż nie wiedział, co zrobić z ludzkimi pracownikami, szczególnie tymi, których Meg uważała za przyjaciół. Nie mógł po prostu wyrzucić ich za drzwi, żeby wracali do domu na własną rękę. Z okien księgarni widział, że ruch na ulicach w zasadzie utknął w śniegu, a miało być jeszcze gorzej.

Dwa miesiące temu po prostu zamknąłby ZDL, nie zastanawiając się nad losem Merri Lee i Heather. Były ludźmi, a oni uznawali je za niejadalne, tylko dlatego że były przydatne. I to wszystko. Ale jakoś tak się porobiło, że należały teraz do ludzkiej watahy Meg, więc w zasadzie należały też do Dziedzińca i znajdowały się pod jego ochroną.

Nie lubił myśleć o ludziach w ten sposób. Naprawdę nie lubił.

No cóż, skoro musi, zajmie się Merri Lee i Heather. Ale najpierw zajmie się Meg. Oraz Nathanem.

Co się z tobą dzieje? spytał, idąc przez sortownię. Meg stała za kontuarem, plecami do niego. Nathan, nadąsany, opierał się łapami o ladę. Strażnik nie powinien tak wyglądać, kiedy w pobliżu nie ma nic, co mógłby złapać i zjeść.

To przez nią! odparł Nathan. Jest niespokojna i drapie się, jakby miała pchły. Próbowałem sprawdzić, czy nie czuć od niej krwi, ale walnęła mnie w głowę! Warcząc cicho, popatrzył na Meg i uniósł łapę.

– Żaden problem – powiedziała Meg do słuchawki, niecierpliwie odsuwając Nathana, żeby nie rozłączył rozmowy. – Może pan przywieźć paczki w poniedziałek. Proszę jechać ostrożnie. Dziękuję. Panu też życzę. – Odłożyła słuchawkę i pogroziła Wilkowi palcem. Potem zauważyła Simona i zaczerwieniła się.

Widzisz? spytał Nathan. Każ jej iść do domu.

Meg była niespokojna i drapała się? Czyby czuła mrowienie, które sygnalizowało wizję? A może tylko martwiła się śnieżycą, jak oni wszyscy?

Nie obchodziło go, dlaczego jest niespokojna. Zamierzał zabrać ją z tej części Dziedzińca. Jak najszybciej.

– Zamykasz – oświadczył, blokując wyjście do sortowni, by ograniczyć Meg pole manewru.

– Właśnie próbuję. Byłoby mi łatwiej, gdybym nie miała tylu pomocników – odparła takim głosem, jakby miała ochotę kogoś ugryźć. Nathan zaskomlił i rzucił Simonowi błagalne spojrzenie. Wstyd było słuchać, jak jeden z najlepszych stróżów porządku na Dziedzińcu piszczy jak szczeniak. – Zadzwońłam do wszystkich firm przewozowych, które zwykle realizują dostawy w sobotnie popołudnia – ciągnęła Meg. – Większość nie miała dziś paczek dla Dziedzińca, a tym, które miały, kazałam

dostarczyć je w poniedziałek. Przed chwilą dzwonił Harry z Dostarczamy Wszędzie i powiedział, że w całym mieście wprowadzono zakaz ruchu. Żadnych niepotrzebnych podróży. Więc w zasadzie mogłabym już iść.

– Ale...? – Simon znał ją na tyle, by wiedzieć, że to nie wszystko.

Odetchnęła głęboko.

– Dwie sprawy. Mój PNK był prawie zupełnie rozładowany, kiedy wróciłam z przerwy. Nie jestem pewna, czy dojadę do domu. A poza tym nie wiem, czy potrafię prowadzić w takim śniegu.

– Nie będziesz prowadzić. Jester dotrze tu za kilka minut z kucykiem.

Meg uśmiechnęła się radośnie.

– Pojedziemy saniami?

Simon pokręcił głową.

– Tylko Żywioty jeżdżą saniami. Jester przyprowdzi sanki. Zmieście się na nich razem z Nathanem. Ja odprowadzę PNK do Zielonego Kompleksu. Jeśli nie dojadę, przemienię się i resztę drogi pokonam jako Wilk. – Nie zaprotestowała. Zapewne dlatego że chciała się przejechać sankami. – A ta druga rzecz? – spytał Simon.

Popatrzyła na niego niepewnie, jakby zamierzała nadepnąć mu na ogon.

– Merri Lee dojeżdża do pracy autobusem. – Spojrzała w okno, na padający śnieg.

Simon odprężył się, zadowolony, że przewidział jej reakcję.

– Zostanie tutaj. I Heather też. Mogą sobie wziąć jedzenie z Mięsa i Zieleniny albo ze sklepu na rynku, a noc spędzą w mieszkaniach nad pracownią krawiecką. Spytaam Lorne'a, czy też chciałby zostać. Marie Jastrzębia Straż i Julia będą tu pilnować.

Spodziewał się, że będzie chciała zostać z przyjaciółkami w tej nadmiernie wyekspozowanej części Dziedzińca. Ale Meg nagle pobrała.

– Muszę się dostać do domu – powiedziała cicho. – Dziś muszę się dostać do domu.

– Dlatego Jester idzie tu z kucykiem i sankami. – Simon przyjrzał się jej. Dlaczego tak pobrała? Dlaczego jest taka przestraszona? – Meg?

Pokręciła głową.

– Muszę iść do łazienki.

Zaniepokojony tym, co może tam zrobić, Simon warknął:

– Meg?

– Nie mogę po prostu podnieść łapy tak jak ty, więc muszę się wysuszać, zanim wyjdę na mróz – odwarknęła.

Cofnął się, pozwalając jej przejść. Ale gdy przechodziła, powęszył szybko. Nathan miał rację – nie pachniała świeżą krwią.

Otworzył Wilkowi przejście w kontuarze i nakazał:

– Zaczekaj na nią przy tylnym wyjściu. Ja tu zamknę.

Wyjął klucze z szuflady w sortowni i wyszedł do recepcji.

Nathan powiedział mu, że Meg zwykle zmywa podłogę po ostatniej dostawie, ponieważ jest śliska od śniegu, który wnoszą na butach kurierzy. Ponieważ dziś tego nie zrobiła, wolał nie przeszkakiwać przez kontuar. Mógłby się poślizgnąć i złamać

łapę. Dlatego skorzystał z przejścia w kontuarze.

Kiedy obracał tabliczkę na napis ZAMKNIĘTE, do drzwi podeszła jakaś zakapturzona postać w zielono-białym skafandrze. Miał zamiar ją zignorować i zamknąć drzwi na klucz, ale przypomniał sobie, że kilka minut temu widział już ten skafander przy wyjściu z Dziedzińca.

– Czego? – warknął, otwierając drzwi. Jednak po chwili rozpoznał Ruthie. Widać było, że walczy z łzami.

– Panie Wilcza Straż – powiedziała bez tchu. – Cieszę się, że pana jeszcze złapałam. Mój samochód jest na waszym parkingu.

– To dobrze. – Nie będzie nikomu przeszkadzał, a jutro młode Wilki będą miały frajdę, odkopując go.

– We wjeździe na parking utknął jakiś samochód. Nie ma kierowcy, a ja nie mogę go ominąć.

Najwyraźniej doszła do innych wniosków niż on.

– Zostajesz na Dziedzińcu. Idź do tylnego wejścia do Zabójczo Dobrych Lektor. Spotkamy się tam za dwie minuty.

– Ale...

– Idź to tylnego wejścia – warknął. – Czas znaleźć schronienie, a nie biegać po śniegu.

Po chwili wahania Ruthie kiwnęła głową.

– Dziękuję.

Obserwował ją, póki nie upewnił się, że naprawdę idzie na tyły budynku, zamiast brnąć do domu przez śnieżycę jak Meg tamtej nocy, kiedy zjawiała się na Dziedzińcu. Co jest nie tak z ludzkimi samicami, że nie mają dość rozsądku, by szukać schronienia?

Oczywiście, gdyby Meg schroniła się gdzie indziej, zamiast dotrzeć na Dziedziniec, mogłaby w ogóle do nich nie trafić. Mógłby jej nigdy nie spotkać. Więc może Namid celowo sprawiła, że ludzkie kobiety robią głupoty?

Jedziemy, zaraportował Nathan. Jester zabiera Meg do jej nory. Zaczekam tam na ciebie.

Simon, uspokojony, skończył zamykać biuro. Zajrzał jeszcze na chwilę do Trzech P, żeby kazać Lorne'owi zamknąć i przyjść do ZDL. Potem wrócił do księgarni i zaprosił Ruthie do środka. W magazynie czekały na niego zaniepokojone kobiety oraz Tess. Ta ostatnia sprawiała jednak wrażenie rozbawionej.

– Samochody utknęły na parkingu, więc wy dwie nigdzie nie pojedziecie – oświadczył, wskazując głową Ruthie i Heather. Potem zwrócił się do Merri Lee: – A jazda autobusem w taką pogodę to głupota. Więc zostajecie tutaj. Otworzymy dla was mieszkania nad pracownią krawiecką i przyniesiemy wam jedzenie. Marie i Julia z Jastrzębiej Straży również zostaną tu na noc.

– Mam pudełko czekoladek i dwa filmy – powiedziała Ruthie i szybko dodała: – Planowaliśmy z Karlem wieczór przed telewizorem.

– A inni ludzie, którzy utknęli w śnieżycy? – spytała Merri Lee.

Simon pokręcił głową.

– Ktoś próbuje skrzywdzić *terra indigena*. Niech obcy szukają sobie schronienia gdzie indziej. Tu nie będą bezpieczni.

Kiedy Tess poszła na górę, do jego biura, po klucze do mieszkań, John odciągnął Simona na bok.

– Ja też mogę zostać – powiedział. – To dobrze, że Jastrzębie będą pilnować, ale Wilk to jeszcze lepsza ochrona.

– Świetnie. Weź sanki dostawcze i idź do Mięsa i Zieleniny. Niech dadzą ci dość jedzenia dla wszystkich. I weź ze sobą Lorne’a.

Gdy Simon wbiegł na górę, Tess właśnie wychodziła z jego biura. Gdy zaproponował, że ją podwiezie, jej brązowe włosy skręciły się gwałtownie, a potem rozprostowały na znak, że nie może się zdecydować. Wreszcie pokręciła głową.

– Będę miała oko na tę część Dziedzińca.

– Wolałbym, żebyśmy się nie rozdzielali. – Simon wątpił, żeby z własnej woli zgodziła się dzielić z kimś mieszkanie, a choć pokoje nad biurem łącznika znajdowały się niedaleko mieszkań nad pracownią krawiecką, dziś w nocy wydawały mu się wręcz odcięte od świata. Nie chciał, żeby ktoś z jego watahy został odcięty.

– Nic mi nie będzie – odparła. – W kawiarni mam ubranie na zmianę. Planowałam pożyczyć z biblioteki kilka książek, ale chyba po prostu wezmę coś z Zabójczo Dobrych Lektur. Może nawet upiekę ciasteczka i razem z dziewczynami obejrzę film.

Jej słowa brzmiały tak rozsądnie i normalnie. I dlatego Simon w nie nie uwierzył. Tess rzadko interesowała rzeczy normalne i rozsądne.

– No dobrze – powiedział. – Mogę...

– Przestań zachowywać się jak przedszkolanka próbująca spędzić szczeniaki w jedno miejsce – przerwała mu z irytacją. – Idź do domu i spróbuj powstrzymać własnego głupiego szczeniaka od biegania w śnieżycy.

Skoro ujęła to w taki sposób...

– Odprowadzę ludzi do mieszkań – warknął, nieco wkurzony za to porównanie. Wyciągnął rękę, a Tess rzuciła na nią klucze.

Kiedy zszedł na dół, Heather i Ruthie wracały właśnie z księgarni.

– Wreszcie dodzwoniłam się do Karla – powiedziała Ruthie, uśmiechając się szeroko. – Jest panu wdzięczny, że mogę tu zostać.

Simon nie wymyślił żadnej odpowiedzi, więc po prostu zaprowadził swoje stadko rozgadanych kobiet do mieszkań nad pracownią krawiecką. Otworzył część sklepów Dziedzińca dla ludzi, żeby móc ich obserwować, tak jak Elliot obserwował tych z ludzkiego rządu. Opiekowanie się nimi było nieco zbyt... osobiste. Ludzie i *terra indigena* nie przyjaźnili się ze sobą. Nigdy.

Ale czy naprawdę nigdy?



Meg chciała się cieszyć swoją pierwszą przejażdżką sankami, ale wiatr ciskał im śnieg w twarz i trudno się było cieszyć czymkolwiek oprócz perspektywy dotarcia w jakieś ciepłe i suche miejsce. Skuliła się na tyle sanek z Nathanem, a Jester, który powoził, opatulił się tak mocno, że z trudem go poznała. Tylko Trąba Powietrzna

cieszył się przejażdżką – dzwoneczki przy jego uprzęży dzwoniły w rytm kroków, a kiedy uderzał kopytkami w ziemię, śnieg usuwał się z drogi.

*Zmiecie w ten sposób dość śniegu, żeby dało się przejechać PNK do Zielonego Kompleksu*, pomyślała Meg. Chociaż i tak droga nie będzie przejezdna zbyt długo.

Czy to coś zmienia? W jaki sposób? Kiedy śnieg zaczął padać, zrobiła się dziwnie niespokojna, doprowadzając do szaleństwa Nathana, który to wyczuwał, ale nie rozumiał powodu. Była niespokojna, jednak mrowienie poczuła, dopiero kiedy zobaczyła Simona.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział w końcu Jester, wykręcając się na siedzeniu.

Nathan wyskoczył z sanek i zaczął czekać, aż Meg zabierze torby z jedzeniem, które kupiła podczas przerwy. Ruszył przodem, wydeptując jej ścieżkę, za co była mu naprawdę wdzięczna. Jednak zawahała się, kiedy stanął przy jej schodach, zmienił się w niepokojącą krzyżówkę człowieka z Wilkiem, wziął od niej jedną torbę i wbiegł na górę.

Schody były zasypane śniegiem i Meg byłoby trudno wejść po nich z dwiema siatkami, ponieważ nie było nawet widać, gdzie są stopnie. Wiedziała, że Nathan tylko starał się jej pomóc, niemniej wołała omijać go wzrokiem – szczególnie te części jego ciała, które nie były wystarczająco zakryte futrem. Otworzyła drzwi i strząsnęła śnieg z butów, zanim weszła do środka.

Nathan wetknął jej w rękę torbę i zmienił się z powrotem w Wilka.

– Chcesz wejść? – spytała.

W odpowiedzi wybrał sobie miejsce na jej obudowanej drewnianą kratką werandzie. Był tu osłonięty od śniegu i wiatru – a jeśli ktoś wejdzie na górę, nie od razu go zauważy.

Położył się i rzucił jej spojrzenie typu: „No zamknij te drzwi, idiotko”. Więc zamknęła drzwi, zdjęła z siebie mokre ubrania i rozwiesiła je w łazience. Schowała jedzenie do lodówki i szafek. Przepowiednie i wizje nie działały tak samo w prawdziwym świecie jak w kompleksie. Kontekstem stawały się jej własne doświadczenia, jej własne wspomnienia. To dlatego kiedy zobaczyła Simona stojącego w drzwiach recepcji, doznała kolejnej wizji, która nie wymagała przecięcia skóry.

Futro. I zęby. I okropne zimno. Potem przebłyski obrazów zapamiętanych z wizji, które miała na temat Dziedzińca. Burza śnieżna. Mężczyźni ubrani na czarno. Dźwięk przypominający skrzyżowanie silnika samochodu z brzęczeniem szerszeni. Boczna droga koło domu Erebusa Sanguinatiego. Sam wyjący ze strachu. Biały pokój z wąskim łóżkiem. I Simon Wilcza Straż.

Zmieniała kolejność obrazów, jakby to były elementy układanki, szukając w nich sensu i wskazówek. Mogła ocalić Sama. Jeśli zrealizuje jeden z możliwych scenariuszy, tyle zdoła osiągnąć. A potem? Nie zamierzała się poddać. Nie zamierzała dopuścić, by jej ciało znów stało się własnością kogoś innego. Będzie walczyć z całych sił, jak długo zdoła. Choć jedyne, co na tym zyska, to poczucie, że jest osobą, a nie rzeczą, ponieważ koniec będzie taki sam.

To był początek przepowiedni dotyczącej jej samej.

To była ostatnia noc jej życia.





## Rozdział 25

*Powoli, żadnych gwałtownych ruchów*, myślał Monty, kiedy taksówka w ślimaczym tempie ślizgała się ulicą Białego Ogoną. *Powoli, żadnych gwałtownych ruchów*.

Za każdym razem, kiedy ruszali spod świateł, słyszał wycie buksujących opon samochodów, które usiłowały ruszyć z miejsca. Gdy wreszcie dotarli do skrzyżowania z ulicą Orzechową i stało się jasne, że będą musieli poczekać kilka zmian świateł, zanim taksówka zdoła skręcić, Monty zdecydował, że wysiądzie tutaj, i zapłacił za kurs.

– Myślę, że przetrwamy tę śnieżycę bez szwanku – powiedział taksówkarz na pożegnanie. – Śnieg chyba nie jest już tak gęsty.



Azja przez chwilę wsłuchiwała się w terkot silnika PNK, przedzierającego się przez śnieg. Potem zadzwoniła do specjalnego wysłannika.

– Simon Wilcza Straż jedzie do Zielonego Kompleksu – oznajmiła. – Własność naszego darczyńcy już powinna tam być. Niektórzy pracownicy zatrzymali się chyba na noc w mieszkaniach nad sklepami, ale w części handlowej Dziedzińca nie został nikt, kto mógłby wam przeszkodzić.

– Jesteśmy na pozycjach. Pod Jeleniem i Zającem jest nadal otwarte, pełno tam ludzi. Możesz się wtopić w tłum. Wyjeżdżamy z miasta, jak tylko odzyskamy własność. Zadzwonię do ciebie.

Może zadzwoni, może nie zadzwoni. Azja miała przecucie, że raczej o niej zapomni.

Nie szkodzi. Wysłannik i jego ludzie to tylko dywersja, która umożliwi jej zdobycie szczeniaka i wydostanie się z Dziedzińca, zanim Inni zorientują się w sytuacji.

Odczekała jeszcze minutę, a potem wyszła z garażu i weszła do tego, z którego w zeszłym tygodniu Darrell pożyczył sobie PNK.

Garaż okazał się pusty, ale kiedy otworzyła następny, zobaczyła PNK. Odłączyła go od zasilania i wsiadła. PNK rzeźił przez chwilę, kiedy przekręciła kluczyk w stacyjce, ale w końcu silnik zaskoczył. Znalazła włączniki świateł i wycieraczek. Kiedy włączyła reflektory, zauważyła, że akumulatory są naładowane jedynie w trzydziestu procentach.

Nie mogła sobie przypomnieć, ile mocy zużył PNK podczas przejażdżki do Zielonego Kompleksu z Darrellem, i to ją zirytowało. Azji Crane, agentce do zadań specjalnych, wystarczyłby jeden rzut oka na tablicę rozdzielczą, żeby zapamiętać

takie detale.

*Wystarczy na drogę w obie strony, pomyślała, wyłączyła światła i wyjechała z garażu. W końcu to nie ja będę przecierać szlak.*

Wjechała w koleiny, zostawione przez pojazd Simona, i ruszyła ku Zielonemu Kompleksowi, ku kłębkowi futra, który przyniesie Grubej Rybie i sponsorom kupę kasy, a ją uczyni sławną kobietą.



Podmuch wiatru zakołysał PNK. Simon warknął. Nie wiedział, czy to wina pogody, czy też Powietrze się z nim bawi. W każdym razie kierunek wiatru się zmienił, a to oznaczało, że burza postanowiła ominąć miasto, zamiast zaatakować je z pełną mocą. Zapewne zawdzięczali to Zimie i Powietrzu. Mimo to dzień nadal sprzyjał raczej siedzeniu w domu. Na szczęście jutro była niedziela i będą mogli odśnieżyć wszystko bez pośpiechu. Podobał mu się pomysł, żeby Wilki odkopały samochody zasypane na parkingu. Będą miały więcej zabawy, niż gdyby machały szuflami w ludzkiej formie.

A może mogliby pozwolić kucykom...? Nie, nie miał ochoty zachęcać ich do ujawniania prawdziwej natury, tam gdzie ludzie mogliby je zobaczyć. Ale na Dziedzińcu to była inna sprawa. Tornado, Cyklon i Trąba Powietrzna miały wielką moc, ale lubiły się też bawić. Najwyraźniej Jester zaprzął jednego z nich do sanek, którymi odwoził Meg do domu, i dlatego droga jest teraz przejezdna. Blair wspomniał mu o niewielkich wirach śniegu, które poruszały się wewnętrznymi drogami Dziedzińca z prędkością kłusującego kucyka. Wszystkie trzy kucyki były zapewne wniebowzięte, gdyż nie często wolno im było ujawniać swoją prawdziwą naturę w tej części Thaisii. Blair też był zadowolony, ponieważ nie będzie musiał marnować czasu i paliwa na odśnieżanie dróg.

A Meg dojedzie wszędzie, gdzie będzie chciała, i nie utknie w śniegu. Wszyscy będą zadowoleni.

Droga zajęła mu więcej czasu niż zwykle, ale wreszcie dotarł na parking dla gości przed Zielonym Kompleksem. Zwolnił, żeby się zastanowić. Dróżka dojazdowa do garaży na tyłach nie była odśnieżona i pojazdy, które się tam znajdowały, przez dzień czy dwa raczej nigdzie nie pojadą. Pozostawało mu tylko zaparkować naprzeciwko kompleksu.

Ktoś o wielkich, silnych łapach odgarnął większość śniegu z miejsc dla gości. Simon nie miał pewności, czy w oczyszczonej przestrzeni zmieszczą się obok siebie dwa PNK w taki sposób, żeby kierowcy zdołali z nich wysiąść, ale na jeden było aż nadto miejsca, a o ile mu wiadomo, nikt inny nie zamierzał wracać do domu w PNK. Vlad w formie dymu przemieszczał się przy tej pogodzie szybciej niż jakikolwiek *terra indigena*, wyjąwszy Żywioly.

Simon przyjrzał się śniegowi wokół oczyszczonego miejsca. Potem wyłączył światła i zaczekał, aż jego oczy przystosują się do ciemności. W świetle reflektorów miał wrażenie, że obok parkingu stoi słup śniegu, ale w mroku słup zmienił się

w Henry'ego Niedźwiedzią Straż w jego niedźwiedziej formie. Henry jako człowiek był wielki – jako Niedźwiedź był naprawdę ogromny. A jeśli stawał na tylnych łapach, tak jak w tej chwili, sprawiał wrażenie, jakby mógł pościągać gwiazdy z nieba.

Henry?

Thaisia jest niespokojna. Ja również. Nadchodzi burza innego rodzaju. Henry urwał. Kiedy za pierwszym razem Meg podzieliła się z nami przepowiednią, widziała śnieżycę.

Simon warknął. Podzieliła się tymi słowami z Henrym, duchowym przewodnikiem ich Dziedzińca. A teraz Niedźwiedź był niespokojny.

Henry opadł na cztery łapy i zaczął się oddalać.

Burza coś mówi. Muszę słuchać.

Simon widział, jak odchodzi, tylko dlatego że wiedział, gdzie patrzeć. Zaparkował PNK i ruszył na drugą stronę drogi, zastanawiając się, czy zastanie Sama w swoim mieszkaniu czy w mieszkaniu Meg. Nagle zatrzymał się, nasłuchując.

Tess? zawołał. Zmieniłaś zdanie i nie chcesz przeczekać burzy w Czymś na Ząb?

Nie, dlaczego?

Jakiś PNK jedzie w tę stronę. Nie widział go, ale słyszał.

Sprawdzę garaże i dam ci znać, odparła Tess.

Simon ruszył do mieszkania. Kiedy wkładał klucz do zamka, odezwał się Nathan:

Sam jest tutaj. Z Meg.

Przekręcił klucz w zamku, po czym poszedł na górę, prosto na ganek Meg. Futro Nathana pokryte było cienką warstewką śniegu, dzięki czemu był praktycznie niewidoczny na swoim stanowisku.

Wilk przekrzywił głowę.

Simon?

Nie miał czasu odpowiedzieć, gdyż w tym samym momencie zgłosiła się Tess.

Simon!

Mów.

Ktoś zabrał PNK z garażu i nie pofatygował się zamknąć drzwi.

Blair odgryzie mu za to ogon. Nagle przyszło mu coś do głowy, w gardle poczuł narastającą gulę. Gdzie są ludzie, którym pozwoliliśmy zanoćować na Dziedzińcu?

W mieszkaniach, szykują kolację i wybierają film. Tess urwała na chwilę. Znalazłam ślady, prawie zasypane. Prowadzą od strony parkingu dla klientów. Intruz mógł się wspinać na zaspę i przejść na Dziedziniec. Niewykłuczone, że zabrał PNK.

Na ulicach miasta PNK nikomu się nie przyda, szczególnie w taką pogodę, ale można było zajechać nim daleko w głąb Dziedzińca, zanim trafi się na drogi, których kucyki nie odśnieżyły.

Simon zszedł schodami na dół, a Nathan w krok za nim. Stanęli nieruchomo i nasłuchiwali.



Jester popatrzył na swoich podopiecznych, a potem na wielkie płatki śniegu, które wyglądałyby ładniej, gdyby nie było ich aż tyle.

*Dwanaście małych kucyków śpi sobie spokojnie w przytulnej stajni, pomyślał. A jeden Kojot prześpi się obok nich na słomie.*

Nie ma sensu wracać do Zielonego Kompleksu. Miał tu wszystko, czego mu było trzeba.

Poza tym chciał mieć oko na kucyki, szczególnie na starego Huragana, któremu niełatwo już było brnąć przez śnieg. Musiał o tym wspomnieć Zimie. Rumaki Żywiołów starzały się powoli, ale nawet ich czas na świecie kiedyś dobiegał końca i ich miejsce zajmowały młodsze.

Jednak kiedy kucyk dożywał swoich dni, nigdy nie było łatwo, a Huragan był ulubieńcem Powietrza i Wody.

Już prawie zamknął drzwi stajni, kiedy usłyszał jakiś dźwięk. Wyszedł na zewnątrz. To był silnik, owszem, ale nie PNK ani żadnego pojazdu używanego na Dziedzińcu. Wyszczrzył zęby, a jego uszy przybrały kojoci kształt, by lepiej wychwytywać dźwięki. Więcej niż jeden pojazd z brzęczącym motorem.

Czy Meg nie mówiła o brzęczących silnikach? Nagle uświadomił sobie, że w ciągu ostatnich kilku dni słyszał je w okolicach Dziedzińca. W okolicach, owszem, ale nie w samym centrum.

Intruzi! krzyknął.

Jego ostrzeżenie utonęło w wybuchu, który rozległ się od strony Kompleksu Usługowego.



Simon usłyszał wybuch, namierzył kierunek i wrzasnął:

Blair!

Nathan zaczął wyc.

Atakują nas! Niedowierzenie w głosie Blaira szybko zmieniło się w furię. Zajmę się tymi intruzami.

Mogą mieć strzelby!

Żadnej odpowiedzi. Nie była potrzebna. Każdy, kto ośmielił się wysadzić w powietrze część Dziedzińca, musiał mieć broń.

Kolejny wybuch, słabszy, dochodzący z zachodniej części Dziedzińca – tej położonej najbliżej parku, gdzie kilka dni temu ktoś podpalił jałowce i powstała dziura w ogrodzeniu.

Wycie Wilków, które zareagowały na to zagrożenie. Nathan u boku Simona powarkiwał niespokojnie. Chciał biec, rzucić się do walki, chciał znaleźć wroga i go zniszczyć.

Simon odwrócił się. Musi uprzedzić Meg, że odchodzi. Wrony wykrzykiwały ostrzeżenia o napastnikach. A potem usłyszał pełen furii i strachu okrzyk Jester: Stajnia Kucyków płonie!



Jester słyszał wezwanie do boju przekazywane przez Wronią Straż, słyszał zbliżające się do Stajni Kucyków brzęczące motory. Zobaczył dym nad Kompleksem Usługowym i pomyślał, że Blair wypruje za to komuś flaki.

Co jeszcze mówiła Meg o tych brzęczących motorach? Mężczyźni ubrani na czarno. Mężczyźni ze strzelbami. Wycie Sama. Ale przecież Sam nie wył. Wyło wiele Wilków, ale nie szczeniak, więc...

Huragan wyrwał się z boksów na tyłach stajni i pognał w stronę otwartych drzwi, w których stał Jester. Cyklon i Mgła pognały za nim. Chwilę później w stajni wyleciało z brzękiem jedno okno, potem drugie. A potem...

– Na dwór! – krzyknął Jester do kucyków, kiedy bele siana w dwóch boksach zajęły się ogniem. – Wszystkie na dwór! Natychmiast! – A potem ostrzegł wszystkich, którzy mogli go usłyszeć:

Stajnia Kucyków płonie!

Huragan wypadł na zewnątrz.

Brzęczące motory. Wystrzał. Krew na śniegu, tam gdzie padł stary kucyk.

Jester zawył z wściekłości i rzucił się ku Huraganowi. Kolejny strzał zmusił go do szukania schronienia za ciałem konającego kuczka.

Reszta kucyków przemieniła się. Wypadając ze stajni, wyglądały jak zwykłe konie, ale teraz były rumakami Żywiolów. Kiedy Huragan wydał z siebie ostatnie tchnienie, Jester usłyszał dobiegające z głębi Dziedzińca okrzyki wściekłości Ziemi, Powietrza, Ognia, Wody... i Zimy.

Cyklon i Mgła wypadły na zewnątrz. Mgła ukryła cały teren wokół Stajni Kucyków, a Cyklon porwał z ziemi śnieg, zmieniając go w groźną broń. Oba rumaki runęły w pościg za pojazdami. Ich ciałom nie groziły już kule intruzów.

Ruchome Piaski i Trąba Powietrzna pogalopowały za nimi, natomiast Tornado i Tsunami pobiegły w kierunku Kompleksu Usługowego. Śnieg formował leje wokół kopyt jednego, za drugim wznosił się wielką falą. Lawina zebrała śnieg wokół stajni, uderzyła nim w ścianę i zasypała ogień w boksach.

Trzęsienie Ziemi i Poranna Mgła pognały w kierunku zachodniej części Dziedzińca. Grom i Błyskawica wydostały się ze stajni ostatnie. Niebo rozjaśniły błyskawice, a gromy raz za razem wstrząsały ziemią.

– Zaczekajcie! – krzyknął za nimi Jester.

Zawróciły, parszkając i tupiąc niecierpliwie.

Nie miał pojęcia, co im powiedzieć. Opiekował się nimi, na tym polegała jego praca na rzecz Dziedzińca, a one – choć słuchały go do pewnego stopnia – nie podlegały mu.

Na szczęście okazało się, że nie musi sam decydować.

Kojocie, sprowadź sanie nad jezioro, zawołała Zima głosem pełnym furii.



Simon wbiegł po schodach i omal nie przewrócił Meg, kiedy wpadł do jej mieszkania. Chwycił ją za ramiona, by się nie przewróciła. Sam wybiegł z kuchni. Oczy miał jasne, ale Simon nie miał teraz czasu, by zastanawiać się, czy to z podniecenia, czy ze strachu.

– Meg, muszę iść. Ktoś atakuje Dziedziniec. Zostaniesz tu z Samem do mojego powrotu. Rozumiesz? Zostaniecie tutaj.

– Idź – powiedziała. – Nic się nam nie stanie.

Zbiegł ze schodów i wraz z Nathanem ruszył do PNK. Jednak po kilku metrach zatrzymał się. Kiedy drogi były przejezdne, na teren Dziedzińca można było wjechać trzema wjazdami. Od niedawna mieli jeszcze dwie dziury w płocie, którymi można było się tu zakraść. Ktoś wdarł się za bramę Kompleksu Usługowego. Ktoś inny wszedł na teren Dziedzińca przez dziurę przy Alei Parkowej i spowodował wybuch w zachodniej części. Pozostawała druga dziura...

Warcząc, spojrzął na Nathana.

– Dziura w płocie przy ulicy Głównej znajduje się w połowie drogi między naszymi sklepami a Zielonym Kompleksem.

Śnieg jest głęboki, odparł Nathan. Trudno przetrzeć szlak.

– Mają płozy, które przyczepiają sobie do nóg. Narty – poprawił się, odnajdując właściwe ludzkie słowo. – I te sanie z silnikami. – Brzęczące denerwująco pojazdy, ale może użyteczne. – Poszukam Blaira. Ty sprawdź dziurę w płocie i dopilnuj, żeby żadna małpa tamtędy nie weszła.

Nathan ruszył w swoją stronę, a Simon pobiegł do PNK i z niebezpiecznie dużą prędkością odjechał w kierunku Kompleksu Usługowego.



Meg wytarła spoczone ręce o spodnie, po czym wyciągnęła dłoń do chłopca.

– Chodź, Sam. Poczekamy na Simona w waszym mieszkaniu.

– Ale ja chcę zostać tutaj – zaprotestował.

Pokręciła głową, nie potrafiąc wyjaśnić, nawet sobie samej, dlaczego chce być w miejscu, z którego można wyjść bezpośrednio na dwór, a nie na schody.

Sam popiskiwał cicho, kiedy wprowadziła go do mieszkania Simona tylnym wejściem, znajdującym się na piętrze. Gdy znaleźli się w salonie, uklękła przy nim. Ten chłopiec o szarych oczach sprawił, że zaczęła się zastanawiać, czy sama nie ma gdzieś przypadkiem młodszych braci. Wprawdzie nigdy nie słyszała o *cassandra sangue* rodzaju męskiego. Nie miała też pojęcia, co się dzieje z chłopcami urodzonymi przez dziewczęta poddane rozmnażaniu. Porzucano ich? Zabijano? Nigdy się tego nie dowie. Ale przez chwilę miała w swoim życiu kogoś, kto mógłby

być jej młodszym bratem. I pokochała go całym sercem.

– Posłuchaj mnie, Sam – powiedziała cicho. – Jacyś źli ludzie wdarli się na Dziedziniec i powodują kłopoty. – Zobaczyła, że kuli się w sobie, a kiedy wzięła go za ręce, okazały się porośnięte futrem; nie przypominały już ludzkich dłoni. – Musisz mnie słuchać i robić dokładnie to, co ci powiem. Rozumiesz? – Kiwnął głową. Nie wiedziała, czy jeszcze może mówić. – Chcę, żebyś przemienił się w Wilka. Jesteś silniejszy i szybszy jako Wilk.

– Lina asekuracyjna? – Z trudem wypowiadał słowa.

– Nie – pokręciła głową. – Nie tym razem, Sam. Nie pozwól, żeby ktokolwiek założył ci szelki albo przywiązał ci linę asekuracyjną. Jeśli ktoś spróbuje, ugryź go z całych sił, a potem uciekaj. Rozumiesz?

Kiwnął głową.

– Ugryźć i uciekać.

Pomogła mu zdjąć buty, sweter i koszulę.

– A teraz się przemień.

Sam wszedł za kanapę, żeby zdjąć resztę rzeczy. Meg przysiadła na piętach. Może do niczego nie dojdzie. Może jest głupia albo źle to wszystko zrozumiała. Przepowiednie mogą się zmieniać. Jedna decyzja może zmienić całą sekwencję wydarzeń. Ona i Sam byli w mieszkaniu, a nie na zewnątrz, gdzie powietrze przepełniały strach, ból i śmierć. Dlaczego mieliby stąd wychodzić, zanim Simon i Nathan wrócą?

Nagle wróciło mrowienie pod skórą, a w ciszy, która spowijała Zielony Kompleks, rozległo się warczenie silnika PNK.



## Rozdział 26

Vlad, Nyx i kilkoro ich pobratymców lecieli nad śniegiem niczym pierścienie czarnej dżdżownicy utkanej z dymu. Kierowali się ku Kompleksowi Usługowemu. Inni Sanguinati ruszyli ku zachodniej części Dziedzińca, by pomóc Jastrzębiom i Wilkom w walce z intruzami.

Ani Vlad, ani Nyx nie zamierzali kwestionować rozkazu Erebusa, który kazał im zabić każdego, kto ośmieli się tknąć *terra indigena*.

Czy małpy rozpoczęłyby wojnę z Innymi, gdyby Meg nie przybyła na Dziedziniec? Być może nie. Ale tak się złożyło, że chciały odzyskać osobę, którą *terra indigena* postanowili zatrzymać. Vlad lubił Meg, a jej troska o przesyłki dziadka Erebusa sprawiała wielką przyjemność patriarsze Sanguinatic.

Vlad, patrz! wykrzyknęła Nyx.

Ku budynkom Kompleksu Usługowego zmierzał wielki lej śniegu. Obok, równie szybko, płynęła ogromna śnieżna fala.

Wystrzały. Okrzyk bólu. Brzęczący dźwięk skuterów śnieżnych.

Vlad i jego pobratymcy minęli zwęglone skrzydło Jastrzębia. Reszty ciała nigdzie nie dostrzegli. Kiedy wypłynęli zza głównego budynku, Vlad ujrzał kilku intruzów na skuterach śnieżnych i Ferusa, który próbował odczołgać się ku płonącym ruinom – widział też, jak jeden z intruzów podnosi broń i strzela do rannego Wilka.

Przemienił się częściowo, odwracając uwagę strzelca. Intruz, zaskoczony tym, że dym przybrał nagle ludzki kształt, nie zauważył Blaira, znajdującego się pomiędzy formami, póki ten nie zrzucił go ze skutera, skacząc mu do gardła.

Vlad pomyślał z wściekłością, że reszta intruzów zapewne zdoła uciec. Opuść Dziniec na swoich maszynach i wykorzystają śnieżycę, żeby ukryć się wśród innych małp.

Nagle stwierdził, że lej ze śniegu zmierza prosto ku bramie kompleksu i dotrze do niej przed intruzami. A jeśli chodzi o falę...

Bierz Ferusa, nakazała Nyx, gdy fala śniegu zaczęła się przełamywać. Ja wezmę Blaira.

Nyx od pasa w górę zmieniła się w człowieka, chwyciła Ferusa i popłynęła nad śniegiem, na wpół niosąc, na wpół ciągnąc rannego Wilka. Vlad przemienił się zupełnie, chwycił Blaira za kark i spróbował odciągnąć go od powalonego wroga. Blair omal nie rozharatał mu zębami twarzy, usiłując się wyrwać.

– Chodź ze mną! – rozkazał Vlad.

Na szczęście Blairowi wystarczył rzut oka przez ramię, by ruszyć biegiem przed siebie. Vlad znów przybrał bezpieczną formę dymu i poleciał za nim. Fala tsunami wreszcie uwolniła śnieg i cisnęła na trzy małpy, które uciekały przed Tornadem. Jedna z nich, porwana trąbą Tornada, przeleciała im nad głowami i wylądowała prosto w chmurze dymu – dymu, który miał ręce, usta i zęby.

Ignorując pożywienie, Vlad dołączył do Nyx, która czekała na niego z Ferusem.

– Tornado opuścił Dziedziniec – stwierdził Blair. Gdy do nich podbiegł, przemienił się w człowieka. – Należy się spodziewać poważnych zniszczeń w części miasta należącej do ludzi.

– Obchodzi nas to? – spytał Vlad.

Blair spojrział na Ferusa i czerwony śnieg wokół niego.

– Zupełnie nie. – Rozejrzał się. – Chodźcie. Może uda nam się wydostać z garażu PNK i zawieźć Ferusa do chodzącego ciała Wilczej Straży.



Gwałtowne pukanie do drzwi mieszkania Simona.

– Meg? Jesteś tam? – Meg spojrziała na Sama, który wystawił włochaty pyszczek zza kanapy. Potem podeszła do drzwi, otworzyła je i zagapiła się na niebieski sweter wystający spod białego skafandra Azji. – Meg... – zaczęła Azja.

– Nie znam nazwy tego odcienia błękitu – oświadczyła, czując jak lodowacieje od środka.

Azja energicznym krokiem weszła do mieszkania.

– Wiem, że nie powinnam tu przychodzić – powiedziała pospiesznie, jakby chciała uciszyć protesty. – Ale Meg, musisz mnie wysłuchać. Idą po ciebie jacyś ludzie. Wszystko, co się teraz dzieje, ma tylko odwrócić uwagę Innych. Te zajścia w ostatnich dniach... Ci ludzie sprawdzali reakcje Wilków. Mam na zewnątrz PNK. Pomogę ci uciec.

– Nie znam nazwy tego koloru...

– A jakie to ma teraz znaczenie?! – krzyknęła zniecierpliwiona Azja.

– Widziałam taki błękit w wizji o cukrze i czaszce ze skrzyżowanymi piszczelami – odparła Meg głosem tak schrypniętym, że Sam warknął jej do wtóru. – To ty próbowałaś otruć kucyki.

Coś w twarzy Azji zmieniło się. Udawana troska zniknęła z jej spojrzenia.

– Och, to był tylko środek do osiągnięcia celu. Tak jak to.

– Tak jak co?

– Mówiłam prawdę. Idą po ciebie, Meg, ale ty zupełnie mnie nie interesujesz. Daj mi tylko tego szczeniaka. Pójdę w swoją stronę, a ty może zdołasz uciec. Może uda ci się wydostać z Dziedzińca i znaleźć inną kryjówkę, na dłużej. Kto wie, może nawet na zawsze?

*Ona gra na zwłokę*, uświadomiła sobie nagle Meg. Cała ta gadanina to gra na zwłokę. Ale jedno musiała wiedzieć.

– Po co ci Sam?

Azja uśmiechnęła się chytrze.

– Znam ludzi, którym bardzo zależy na argumentach przetargowych w rozmowach z przywódcą Dziedzińca. Są wpływowi i mogą wiele zrobić dla ludzkości. A któryś z nich na pewno chciałby mieć takiego egzotycznego pupila.

*Sam nie jest niczyją własnością*, pomyślała z wściekłością Meg, a chłód w środku zmienił się nagle w gorący gniew. Z całej siły pchnęła Azję i krzyknęła:

– Sam! Uciekaj!

Azja też ją pchnęła i Meg poleciała na ścianę. Sam wypadł zza kanapy. Urósł bardzo przez ostatnie trzy tygodnie, nadrabiając dwa lata opóźnienia. Choć złapał Azję zębami tylko za rękaw skafandra, sama jego waga i impet wystarczyły, by znalazła się na podłodze.

Meg odepchnęła się od ściany, krzyknęła: „Sam!” i wybiegła na zewnątrz. Nie była odpowiednio ubrana – nie miała płaszcza ani butów, jedynie dzinsy, najgrubszy ze swoich swetrów i kaptcie. Mimo to bez wahania podbiegła do PNK, którym przyjechała Azja, i jednym mocnym szarpnięciem otworzyła drzwi. Sam wskoczył do środka. Wsiadła za nim, ruszyła i już w trakcie jazdy zamknęła drzwi. Wyjeżdżała z kompleksu, kiedy Azja wybiegła na drogę.

Rzuciwszy okiem we wsteczne lusterko, dostrzegła ruchome światła zbliżające się do Zielonego Kompleksu. To pewnie ci ludzie, którzy jej szukają.

– Dobrze się spisałeś, Sam – powiedziała. Gdzieś przed nimi rozległ się wybuch, więc skręciła w pierwszą drogę w lewo i dodała gazu. O dziwo nawierzchnia była wolna od śniegu. – Bardzo dobrze – powtórzyła i dodała w myślach: *Teraz moja kolej*.



Na pierwszy rzut oka Kompleks Usługowy wyglądał jak zwykle. Dopiero po chwili Simon dostrzegł Blaira, klęczącego obok Ferusa, i plamy krwi na śniegu. Zatrzymał przy nich PNK i wyskoczył na zewnątrz.

– Bardzo źle? – spytał Blaira, w myślach wołając Vlada.

– Jeden z Jastrzębi nie żyje. A Ferus dostał dwie kulki – odparł Blair. – Nie wiem, jak ciężko jest ranny, ale bardzo krwawi. Musimy zawieźć go do chodzącego ciała Wilczej Straży.

Simon poderwał się i otworzył tylne drzwi PNK. W zimie w większości Pudełek na Kółkach wożono podstawowe wyposażenie: dwa koce, saperkę, szczotkę do odgarniania śniegu i drapaczkę do lodu. Wziął koce i położył na śniegu obok Ferusa. Obaj z Blairem przenieśli na nie rannego Wilka, otulili go i położyli z tyłu PNK. Blair wsiadł na miejsce pasażera, ale Simon zaczekał na Vlada.

– Coś nowego? – spytał, odsuwając się nieco od PNK.

– Nyx mówi, że będziemy ucztować – odparł Vlad. – Trzech intruzów nie żyje, już stygną, ale dwaj pozostali... Ich serca nadal biją, a krew jest ciepła.

– Więc jej nie zmarnujcie.

– Z tyłu budynku jest wielka dziura. Fala śniegu stłumiła ogień. Nie wiem, co dzieje się w środku. – Simon z trudem opanował zniecierpliwienie. Ferus krwawił, czas mu się kończył. Sanguinati nie zawsze rozumieli takie rzeczy, ale znał Vlada dość dobrze, żeby wiedzieć, iż nie mówi tego bez przyczyny. – Rumaki Żywiółów biegają samopas, nikt nie trzyma ich na wodzy – powiedział Vlad.

Simon wzruszył ramionami.

– To nie zależy od nas.

– Co zrobimy, jeśli Zima uwolni swój gniew?

Na to znał odpowiedź.

– Dołożymy starań, by przeżyć – odparł.



Pod Zielony Kompleks zajechało sześć skuterów śnieżnych. Specjalny wysłannik wybrał trzech swoich ludzi.

– Jedźcie za nią, zaraz was dogonię.

Gdy pomknęli za PNK, wysłannik zdjął gogle i rzucił Azji Crane zimne spojrzenie.

– Nie potrafisz słuchać rozkazów, co nie?

– Ty chciałeś dostać Meg Corbyn, a ja tego Wilczka. – Kiedy wyraz jego twarzy się nie zmienił, Azja dodała: – Chciała uciec. Przytrzymałam ją, jak długo się dało.

Odwrócił głowę.

– Odwieź ją do samochodu – polecił jednemu ze swoich ludzi.

– Mój samochód utknął na parkingu – zaprotestowała Azja.

– To lepiej go odkop, zanim te stworzenia zwrócą na ciebie uwagę – powiedział obcesowo wysłannik. – Możesz skorzystać z podwózki albo wrócić pieszo.

Założył gogle, a potem odjechał wraz z ostatnim członkiem swojego zespołu.

Azja zawahała się, niepewna, co dalej robić. Nagle zorientowała się, że mężczyzna zamierza odjechać bez niej, i pośpiesznie wsiadła na jego skuter. Razem ruszyli ku handlowej części Dziedzińca.

Musiła pomyśleć. Specjalny wysłannik zamierzał wykluczyć ją z gry, chciał doprowadzić do tego, żeby darczyńca nie musiał płacić ani jej, ani jej sponsorom za pomoc w odnalezieniu Meg Corbyn. Taki rozwój wydarzeń zapewne położyłoby kres jej marzeniom o własnym programie telewizyjnym. Ale wysłannik jeszcze nie zdołał schwytać Meg, a jeśli ona jako pierwsza zadzwoni do sponsorów, odwróci kota ogonem i zostanie sownie wynagrodzona.



Zespół, który podpalił Stajnię Kucyków, pędził teraz ku bramie Kruczości. Dowódca obejrzał się przez ramię i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Głupie zwierzaki. Nie wiedzą, że otwarta brama działa jak zaproszenie?

Wrony leciały za nimi, trzymając się kilka stóp nad ziemią. Byłyby dobrym celem, ale miał rozkaz wydostać się z Dziedzińca, gdy tylko wykona misję.

Zastrzelenie jednego z tych kuców było dobrym pomysłem. Nie wymagało

wiele czasu, za to spotęgowało zamieszanie. Zresztą po co Innym kucyki? Do transportu? Do jedzenia?

Nagle otoczyła ich mgła, tak gęsta, że ledwie widział światła innych skuterów.

– Zatrzymać się! – krzyknął, mając nadzieję, że nikt na niego nie najedzie.

Jakim cudem mgła opadła tak nagle? I gdzie, do diabła, podziela się droga prowadząca do bramy? I co to za dźwięk?

Powiew wiatru pchnął skuter do przodu. Nagle mężczyznę przemoczył rzęsy deszcz. Deszcz? Przy takim mrozie? Co u licha...?

Któryś z jego ludzi krzyknął, gdy wiatr i deszcz zmieniły śnieg w pole lodowe. Skutery zaczęły się od siebie oddalać, ślizgały się po lodzie, gubiły się we mgle, którą powinien przecieź rozwiać wiatr. Ale nie rozwiewał.

Z trudem łapiąc oddech, dowódca zespołu próbował dostrzec coś przed sobą.

– Zgłosić się! – krzyknął.

– Tutaj! – odpowiedział któryś z członków jego zespołu.

Dowódca nie miał nawet czasu zawołać, gdy z mgły wynurzył się wir śniegu, porwał jego człowieka ze skutera i zaczął obracać nim w sposób niemożliwy w normalnej burzy.

Kolejny krzyk. Światła skutera tuż przed nim. Dodał gazu, lecz z przerażeniem stwierdził, że płozy jego skutera przymarzły do śniegu. Nadjeżdżający pojazd zdołał skrócić w ostatniej chwili, potrącając skuter dowódcy na tyle mocno, że oderwał się od lodu. Jego maszyna, dotąd ślizgająca się po lodzie, nagle zakopała się w miejscu, a mężczyzna przeleciał przez kierownicę.

Mgła podniosła się równie szybko, jak się pojawiła, i oczom dowódcy ukazał się jeden z jego ludzi, tonący z wrzaskiem w śniegu. Ujrzał też konia piaskowej maści, który stał koło tego dziwnego śniegu i przyglądał się tonącemu.

Śnieg zachowuje się jak ruchome piaski. Na bogów na górze i na dole, co to za miejsce, że śnieg może się zmienić w ruchome piaski?!

Kilka sekund później zapadła cisza. Nie było śladu po miejscu, gdzie przed chwilą zniknął człowiek. Był tylko zakopany skuter. I koń patrzący na dowódcę oczami pełnymi nienawiści.

Zaczął uciekać, ignorując poprzewracane skutery i powykręcane ciała. Chciał tylko prześcignąć konia, który ruszył za nim w pogoń.

Prawa strona skutera zapadła się nagle w śnieg. Dowódca spadł i poturlał się po ziemi. Spróbował wstać, ale nogi ugrzęzły mu w śniegu. Stracił równowagę i padł na wznak, a ręce zapadły się w zaspę aż po łokcie. Nie mógł się ruszyć.

– Ratunku! – krzyczał. – Ratunku!

Koń uciekł, kiedy nadleciały Wrony. Zanim zdołał oswobodzić rękę, obsiadły go i nagle zmieniły się w trzy nagie kobiety i nagiego mężczyznę. Zerwały mu gogle i maskę narciarską, rozerwały skafander.

– Co z nim zrobimy, Jenni? – odezwał się mężczyzna.

Kobieta przechyliła głowę na jedną stronę, a potem na drugą.

– Zabił kucyka. To jeden z tych, którzy chcieli zabrać naszą Meg. Więc jedno będzie dla mnie. – W miejscu ust wyrósł jej nagle dziób. Chwyła głowę dowódcy w obie ludzkie ręce i wydziobała mu oko. Potem odchyliła głowę do tyłu, połknęła je i zmieniła się znowu w kobietę, z kilkoma czarnymi piórami we włosach. – A drugie

dla ciebie.

Teraz zmieniła się głowa mężczyzny. Jednym ruchem wydziobał dowódcy drugie oko.

Potem Wrony odleciały, ignorując wrzaski mężczyzny. Został sam, ślepy, zakrwawiony, na wpół zakopany w śniegu.



Meg zwolniła prawie do zera, kiedy przejeżdżała przez Szemrzący Most. Niebo było teraz ciemnoszare i bez świateł trudno było coś zobaczyć, ale reflektory naprowadziłyby pogoń na jej trop.

Kiedy znalazła się po drugiej stronie mostu, opuściła szybę i nasłuchiwała przez chwilę. Potem zwróciła się do Sama:

– Słyszysz złych ludzi?

Zaskomlił, co wzięła za odpowiedź twierdzącą.

Podniosła szybę i pełnym gazem skierowała PNK ku Pokojom. Musi dokonać chociaż tego. Musi.

Wewnętrzne drogi nie były odśnieżone i PNK ślizgał się strasznie, a kilka razy omal nie utknął na dobre. Wreszcie dotarła do bramy przed domem Erebusa.

Wyskoczyła z PNK i otworzyła drzwi Samowi. Nim zdążył wyskoczyć, wzięła go na rękę i chwiejnym krokiem podbiegła do bramy.

– Panie Erebusie! Panie Erebusie! Potrzebujemy pomocy!

Drzwi otworzyły się i Erebus przepłynął nad pokrytą śniegiem ścieżką.

– Dlaczego nasza Meg nie siedzi w domu podczas burzy, gdy są wśród nas wrogowie?

Spróbowała przerzucić Sama nad bramą, ale nie dała rady.

– Ci ludzie... – wydyszała. – Oni chcą zabrać Sama... Wiem, że chcą zabrać Sama. Proszę, niech pan go weźmie, panie Erebusie. Simon strzeże Dziedzińca i nikt z wyjątkiem pana nie zdoła ochronić Sama przed tymi ludźmi. Ja wiem, że to wbrew zasadom, żeby ktoś wchodził na Pokoje, ale on potrzebuje pomocy. Pańskiej pomocy.

– Sam zaczął pisać i wyrwać się, ale przytrzymała go, nie spuszczając oczu ze starego wampira. – Proszę nam pomóc.

Erebus otworzył bramę.

– Wejdźcie. Oboje będziecie tu bezpieczni.

Meg słyszała już silniki skuterów śnieżnych, zbliżających się z dwóch stron. Nie musieli trzymać się dróg, więc pewnie się rozdzielili i próbowali ją okrążyć. To oznaczało, że właśnie skończył jej się czas.

Wepchnęła Sama w ramiona Erebusa i cofnęła się.

– Odciągnę ich stąd.

– Nie! – zaprotestował gwałtownie Erebus. – Ty również wejdź.

– Sam nie będzie bezpieczny, jeśli zostanę. Wiem to – rzuciła pospiesznie Meg, po czym wsiadła do PNK i ruszyła, trzęsąc się z zimna i mrugając szybko, by pozbyć się łez.

Jechała boczną drogą, która nieubłaganie prowadziła ją ku jej przeznaczeniu.



*Wybuch*, powtórzył w myślach Monty, odkładając słuchawkę. *Na Dziedzińcu. O bogowie.* Chwycił płaszcz i poszedł sprawdzić, czy jakiś wóz jest wolny. Omal nie zignorował dzwoniącej komórki, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że Debany i MacDonald są już na patrolu i mogą mieć coś ważnego do przekazania.

– Montgomery.

– Tu Kowalski. Ruthie właśnie dzwoniła. Na Dziedzińcu był wybuch. Chyba więcej niż jeden, ale nie w pobliżu sklepów. Jadę tam. Pomyślałem, że powinien pan wiedzieć.

Więc zapewne celem był Kompleks Usługowy.

– Jak się tam dostaniesz?

– Na nartach biegowych. Powinno mi się udać.

Monty wiedział, dlaczego Kowalski chce dotrzeć do Ruthie, ale jak Inni zareagują w takiej sytuacji na uzbrojonego człowieka?

– Uważaj na siebie, Karl. Bądźmy w kontakcie.

– Tak jest.

Kiedy wyszedł z komisariatu, czekał na niego Louis Gresh.

– Słyszałem – powiedział. – Przyda ci się pomoc. I ktoś, kto potrafi jeździć w takim śniegu.

– Dzięki – odparł Monty, wsiadając do samochodu Louisa.

– Po prostu chcę, żebyśmy przeżyli – stwierdził Gresh.

Kiedy dotarli do skrzyżowania Alei Parkowej i ulicy Orzechowej, zobaczyli migające światła radiowozów i karetok pogotowia. Louis westchnął i ruszył dalej Orzechową.

– Podjedziemy do ulicy Głównej. Z niej jest największa szansa przebicia się na Dziedziniec.

Monty tylko kiwnął głową. Miał nadzieję, że zdążą.



Specjalny wysłannik i jego towarzysz połączyli się z tymi, których posłał przodem za własnością darczyńcy. Zatrzymali skutery przy czarnym płocie z kutego żelaza.

Wedle informacji, jakimi dysponował, ta cholerna kobieta powinna być fizycznie słaba i nie posiadać wiedzy praktycznej, potrzebnej do obsługiwania maszyn czy prowadzenia pojazdów. O ile nie ścigają przynęty, w co osobiście nie wierzył, informacje darczyńcy były mocno zdezaktualizowane.

– Gdzie? – warknął.

– Zostawiła szczeniaka u starca, który mieszka w tym domku – odparł jeden

z jego ludzi. – Widzieliśmy, jak skręciła w tamtą drogę. – Pokazał. – Dogonimy ją bez problemu.

*Niewykluczone*, pomyślał. Niepokoiły go jednak rzeczy, z którymi nie zetknęli się podczas próbnich ataków – na przykład wiry śnieżne, które zjawiały się nagle znikąd i równie szybko znikały. Na dodatek zespół, który podpalił stajnię, nie odpowiadał na wezwania, a ludzie, którzy weszli na Dziedziniec od zachodu, donosili o trzęsieniu ziemi i wodzie, która zamarzała w wysokie ściany i blokowała im drogę. Zmierzali do bramy koło miejsca, gdzie gnieździły się Wrony, czy co tam do cholery robią te ptaszyska. Problem polegał na tym, że wedle mapy dostarczonej przez Azję Crane pomiędzy punktem, gdzie weszli na Dziedziniec, a Wronią Bramą, siedziały Wilki. Może powinien był się zastanowić, dlaczego zapłata za tę misję była taka hojna. Ale się nie zastanowił. W dodatku żaden z nich nie zobaczy złamanego grosza, jeśli nie odzyskają własności darczyńcy.

Pokiwał palcem na dwóch ludzi. Przynajmniej dzięki tej Azji Crane zyskają dodatkową zdobycz.

– Wy dwaj, zabierzcie szczeniaka starcowi. My pojedziemy odzyskać własność, a potem wszyscy się stąd wyniesiemy.

Powiedziawszy to, ruszył drogą, którą uciekła własność.



Simon i Blair zanieśli Ferusa do nory chodzącego ciała w Kompleksie Wilczej Straży.

– Kule – zawarczała chodzące ciało, rozwijając koc. – Czy te mały ze strzelbami nadal żyją?

– Nie – odparł Blair.

Kiwnęła głową, wyraźnie usatysfakcjonowana.

– Idźcie – powiedziała. – Zrobię dla niego, co w mojej mocy, a Namid zdecyduje, czy ma pozostać z nami, czy stać się częścią Thaisii.

Wycofali się i spojrzeli po sobie, nie bardzo wiedząc, gdzie są w tej chwili najbardziej potrzebni. W pewnym momencie Simon usłyszał pełne paniki wycie Sama.

Arruuu! Arruuu! Meg sobie poszła! Meg mnie zostawiła!

Sam! zawołał. Gdzie jesteś?

Szczeniak nie odpowiedział. Ale Vlad tak.



Sanguinati zebrali się wokół domu Erebusa, kładli się na śniegu jak dym i cienie, kiedy dwóch mężczyzn otworzyło bramę i weszło na Pokoje. Sam przestał się wyrywać z ramion dziadka i teraz wył i wył, jakby miało mu pęknąć serce. Erebus stał na progu, uśmiechając się do zwierzyny, która była tak wspaniałomyślna, że



sama przyszła na ucztę.

– Oddaj nam szczeniaka, staruchu – powiedziała jedna z małp.

– He? – Erebus obrócił głowę, jakby niedośłyszał. Jakby nie słyszał bicia ich serc wszędzie na ziemiach Sanguinatich.

– Daj nam szczeniaka, tak będzie dla ciebie lepiej.

– Chodź, mały – szepnął Erebus, cofając się o krok. – To nie jest widok dla ciebie.

– Hej! – krzyknęła małpa i wraz z towarzyszem ruszyła biegiem ku zamykającym się drzwiom.

Oni są czymś więcej niż zwierzyną, ogłosił Erebus, a jego słowa usłyszeli wszyscy Sanguinati. To są wrogowie naszej Meg i wrogowie Sanguinatich. Zabierzcie ich i ukarźcie przykładowo.

Vlad był tak zaskoczony tymi słowami, że mimowolnie uformował się w kształt człowieka. Przykładowa kara trwała wiele dni i łamała umysł, zanim pozwolono skazanemu umrzeć. Tylko najbardziej znienawidzeni wrogowie kończyli w ten sposób, słowa Erebusa ujawniły więc głębię jego nienawiści do tych ludzi. Dlatego Vlad nie zdziwiło następne polecenie dziadka.

Vlad, znajdź naszą Meg. Zapewnij jej bezpieczeństwo.

Kiedy jego pobratymcy otoczyli intruzów, Vlad posłał wiadomość do Simona: Sam jest u dziadka.

Potem zmienił się w dym i ruszył za ludźmi, którzy ścigali Meg.



Azja podniosła się z ziemi. Nie do końca wiedziała, co się stało. Uderzyli w coś. Albo coś uderzyło w nich. Usłyszała trzask łamanej kości, potem kierowca poszybował w powietrzu, a skuter śnieżny wbił się w zaspę i przewrócił na bok. Na szczęście zdążyła wcześniej zeskoczyć, ale...

Czy naprawdę tuż przed kraksą widziała olbrzymiego niedźwiedzia uformowanego ze śniegu?

Nie, to niemożliwe...

Spojrzała na martwego kierowcę i z trudem przełknęła ślinę. Najwyraźniej coś pozbawiło go twarzy.

Gdzieś za sobą usłyszała wycie. Nic nie wiedziała o sposobach wyrażania uczuć przez Wilki, ale ten wydał jej się naprawdę wkurzony. Nie miała najmniejszej ochoty natknąć się na niego.

Ruszyła w stronę skutera śnieżnego. Zamierzała wyciągnąć go z zasy i uciec z Dziedzińca, może nawet dotrzeć nim do mieszkania. Spakuje się i zniknie z tego miasta, gdy tylko cofną zakaz podróży.

Coś zawarczało w pobliżu.

Azja zrezygnowała z odkopywania skutera i ruszyła w stronę rynku. Gównem ją obchodzi zakaz podróży. Po prostu odkopie swój samochód i wyjedzie z tego cholernego miasta od razu.

Warczenie ustało, ale w oddali znów rozległo się wycie.  
Puściła się biegiem przed siebie.



Meg zahamowała zbyt gwałtownie i PNK wykonał na drodze elegancki piruet, zanim odzyskała nad nim kontrolę. Dodała gazu. Później będzie się bała, teraz musi dotrzeć nad jezioro. Nie wiedziała, czy zastanie tam Zimę, ale na pewno będzie Wiosna, a może nawet Powietrze i Woda. Nie poznała jeszcze Ziemi i Ognia, dwóch pozostałych kuzynek, ale w zeszłym tygodniu przywiozła dla nich książki z biblioteki. Pomogą jej, jeśli są gdzieś w okolicy. Prawda?

Żółty trójkąt obok wskaźnika zasilania świecił ostrzegawczo. PNK nie pociągnie już długo. Za sobą wciąż widziała światła. Wrogowie trzymali ją na muszce.

Już prawie dotarła do Mostu nad Strumieniem. Kiedy go przekroczy, znajdzie się w części Dziedzińca należącej do Żywiołów.



Simon zerwał z siebie ubranie, zmienił się w Wilka i wypadł z Kompleksu Wilczej Straży. Blair i Elliot ruszyli za nim.

Meg?

Jedzie w stronę jeziora, odpowiedział natychmiast Vlad. Goni ją trzech intruzów, a ja trzymam się tuż za nimi.

Jezioro. Niedaleko terenów Wilczej Straży. Niedaleko niego.

Pędził galopem, zapadając się w zaspę, coraz bardziej zbliżając się do jeziora. I do Meg.



Kiedy Grom i Błyskawica ruszyły w stronę jeziora, Jester przytrzymał się przedniego siedzenia sań. Za każdym razem, gdy kopyta koni uderzały w ziemię, rosła siła kolejnej burzy. Mogła się jeszcze rozproszyć, ale Jester wątpił, by tak się stało.

Ludzie często powtarzają, że zemsta jest kobietą. No cóż, dziś Zima szukała zemsty.

A ponieważ sam raz przeżył jej furię, zrobiło mu się trochę żal ludzi.

Ale tylko trochę.



Ostrzegawczy żółty trójkąt zmienił się w mrugającą błyskawicę – symbol równoznaczny z prośbą „Naładuj mnie”. Kilka sekund później PNK stanął. Most nad Strumieniem znajdował się już w zasięgu wzroku, więc Meg wysiadła i zaczęła biec w jego stronę. Ale zaraz potem pojawiły się skutery śnieżne, oślepiając ją blaskiem reflektorów.

Ostatnio dowiedziała się, jak to jest być wolną, mieć przyjaciół, mieć życie. Mieć ludzi do kochania. Nie zamierzała oddać tego bez walki.

Zbiegła ze skarpy ku zamrożonej tafli strumienia. Trudniej będzie im ją złapać, trudniej będzie im zniknąć, jeśli dotrze do otwartego terenu i Inni będą mogli ją zobaczyć.

Potknęła się i zjechała na skraj murku wzmacniającego brzeg koło mostu.

– Na pomoc! – krzyknęła, kiedy wyszła na taflę lodu, i zaczęła ślizgać się na butach, usiłując dotrzeć na drugą stronę.

– Stój! – zawołał za nią jakiś męski głos. – Stój, ty głupia dziwko!

Meg ślizgała się dalej, a ścigający ją ludzie dalej krzyczeli, żeby się zatrzymała.

– Zimo! – wołała, ile sił w płucach. – Zimo!

– Meg? – Głos zdawał się dochodzić zewsząd – ze śniegu i z mrozu, tak dotkliwego, jakby z każdym oddechem płuca wypełniał jej łód.

– Stój! – krzyknął mężczyzna.

Nagle usłyszała wystrzał. Coś uderzyło w łód niedaleko jej prawej stopy. Posypały się na nią odłamki lodu. Odruchowo odskoczyła w lewo, nadal zdążając ku drugiemu brzegowi.

Trzeszczenie lodu przypomniało jej o ostrzeżeniu Wiosny, więc skręciła w prawo. Kolejny wystrzał kazał jej jednak zawrócić ku łamiącej się tafli.

Nagle na brzegu pojawiła się Zima.

– Mają strzelby! – krzyknęła Meg. Próbowwała przyspieszyć i zejść z lodu, zanim napastnicy zauważą jej przyjaciółkę. *Jeszcze jeden krok*, pomyślała. *Jeszcze jeden...*

– Meg, nie! – krzyknęła Zima.

Kiedy zrobiła ten ostatni krok, sięgając rękami do kamiennego murku po drugiej stronie strumienia, łód pękł pod jej nogami.

## Rozdział 27

Specjalny wysłannik zaklął, kiedy na jego oczach własność darczyńcy wpadła pod lód. Ale przecież nadal miał szansę ją wyciągnąć. Jeśli tylko odpędzi tę dziwkę stojącą na drugim brzegu, jego ludzie przejadą przez most i...

Nagle, nie wiadomo skąd, zjawiły się jeszcze dwie kobiety. Jedna zeskoczyła z brzegu i przebiła się przez lód, a w stronę dziury sunął po lodzie czarny dym. Kobieta o białych włosach, która ubrana była jak postać z powieści grozy, nagle wrzasnęła. Towarzyszka zawtórowała jej. Potem nie widział już nic, nawet własnych rąk, ponieważ uderzył w niego gęsty śnieg, niesiony przez szalony wiatr. Kiedy z trudem wspinał się po skarpie ku swojemu skuterowi, słyszał, jak wokół niego łamią się gałęzie drzew.

Kim były te dziwki?

Teraz nie miał już szans odzyskać własności. Dobrze, że darczyńca zawarł dodatkowy kontrakt na Wilczka z Grubą Rybą ze Sparkletown – facetem, który wynajął Azję Crane. Czy Azja usiłowała oszukać ich wszystkich, skoro sama poszła po szczeniaka? Nie wiedział i w tej chwili guzik go to obchodziło. Miał tylko nadzieję, że Wilczek okaże się na tyle dochodowy, że wynagrodzi mu straty poniesione podczas misji.

Na czworakach pokonał resztę drogi do skutera.

– Zgłosić się! – krzyknął.

Spróbował się podnieść, ale potknął się o zwłoki jednego ze swoich ludzi, którego głowa trzymała się tylko na pasku skóry. Gdzie jest drugi? Cholerny tchórz musiał zwiać!

A może coś go porwało?

Nagle niebo przecięła błyskawica, a ziemię wstrząsnął grom. Kiedy dotarł do skutera, przez chwilę nie wiedział, w którą stronę musi pojechać, żeby się stąd wydostać. W końcu ruszył przez most.

*Pieprzyć tę misję i całe to cholerne miasto.* Jak tylko przekaze Wilczka i dostanie forszę, wraca do cywilizacji. I prędzej jaja mu odpadną, niż znów podejmie się czegoś związanego z pieprzonymi Innymi.



Zimno. Tak zimno. Niemal nie da się oddychać.

Nagle Meg poczuła na rękach ukłucie lodowatego powietrza. Spróbowała złapać się czegoś, czegokolwiek. Miała wrażenie, że przez chwilę czuje pod palcami futro, ale nie zdołała się go przytrzymać.

Zimno. Tak zimno.

Potem znów pochłonęła ją ciemność.



Meg!

Simon zacisnął zęby na jej rękę na tyle mocno, by przytrzymać ją na miejscu. Kiedy Vlad wyciągał ją na powierzchnię, poczuł przez chwilę jej palce na swoim futrze, jakby próbowała się go chwycić. Ale nie wystarczyło jej siły.

Ziemia zadrżała pod nim, stracił oparcie i głowa Meg znów zniknęła pod wodą. Wciąż trzymał jej rękę, ciągnął wytrwale. A Blair starał się mu pomóc.

Vlad z całych sił przytrzymał Meg, tak by mogli do niej sięgnąć, ale jako dym nie mógł jej unieść, a w ludzkiej postaci sam wpadłby pod lód. Nawet Woda starała się wydostać Meg, ale nie miała pojęcia – nikt z nich nie miał pojęcia – jak jej pomóc.

Simon częściowo przemienił się w człowieka, zachowując głowę i zęby Wilka. W tej postaci wreszcie udało mu się chwycić Meg za pasek od spodni i wyciągnąć ją na brzeg.

Meg! Poczul krew i zobaczył rozcięcie na jej podbródku. Polizał ranę, żeby ją oczyścić. Meg!

Niebo przecięła błyskawica. Zagrzmiął grom.

Nie znamy się na ludzkiej medycynie, powiedział Blair. Jak ją naprawimy?

Zabierzemy ją do ludzkich chodzących ciał. Do szpitala, odparł Simon. Była taka zimna. Gdyby była Wilkiem, wiedziałby, co robić. Ale nie była Wilkiem, była Meg, więc mógł tylko zabrać ją do ludzi, którzy ją naprawią.

Zmrużył oczy i przysiadł nad nią, by osłonić ją od padającego śniegu.

Jak zdołają dotrzeć do szpitala?

Nagle koło niego pojawił się Jester z kocami. Zima położyła lodowatą dłoń na ramieniu Simona.

– Zawiozę cię do tego ludzkiego miejsca – powiedziała.

Zawinął Meg w koc i zaniósł na sanie. Usiadł razem z nią na tylnym siedzeniu, Jester podparł ją z drugiej strony. Okrył ich wszystkich kocem, najciaśniej jak się dało.

Simon spojrział na Blaira, stróża porządku na Dziedzińcu, i na Vlada, który był najbardziej zaufaną bronią Erebusa Sanguinatiego.

Żywioły dały intruzom nauczkę, a ta burza spowolni ich ucieczkę. Znajdźcie ich. Nie pozwólcie, by choć jeden opuścił Dziedziniec.

Blair zawył Wezwanie do Boju i odszedł. Vlad kiwnął głową, zmienił się w dym i ruszył jego śladem.

Powietrze wskoczyła na przednie siedzenie obok Zimy, która obejrzała się na Simona. Musiał zebrać całą odwagę, by nie pisnąć na widok wyrazu jej oczu.

– Biegnijcie, moje kochane! Biegnijcie! – krzyknęła Zima do Gromu i Błyskawicy. – Biegnijcie dla naszej Meg. I NIECH BURZA LECI Z NAMI!

Wrzasnęła, a Powietrze jej zawtórowała.

Simon tulił Meg, wylizując ranę na jej podbródku, gdy Żywioty wypuściły swoją wściekłość na miasto Lakeside. Zastanawiał się, czy szpital i ludzkie chodzące ciała nadal będą na miejscu, kiedy zjawią się sanie.



Monty i Louis znajdowali się dwie przecznice od skrzyżowania Orzechowej z Główną, kiedy nagle w Lakeside z szaleńczą furią uderzyła kolejna burza. Mgła zrobiła się tak gęsta, że ledwie widzieli światła samochodu przed nimi – a czasami nie widzieli nawet tyle. Szron pokrył warstewką lodu ulice, a wycieraczki nie były w stanie oczyścić szyby. Śnieg padał tak szybko, że samochody utknęły na jezdniach. Opony ślizgały się po lodzie, a wiatr porywał małe pojazdy i ciskał nimi w te większe. Co chwilę pojawiały się i znikwały wiry śniegu. Urwały drzwiczki jakiegoś samochodu i cisnęły w okna budynku. Zerwały skrzynki pocztowe z betonowych fundamentów i uniosły ze sobą. Wiatr porywał ludzi i rzucał na ukryte we mgle ulice, tuż przed maski samochodów. Błyskawice rozbłyskiwały szybko jedna po drugiej, jakby ktoś zapalił na niebie potężny reflektor stroboskopowy, a grom, który rozlegał się po każdej z nich, wstrząsał budynkami i tłukł szyby w oknach.

– Włącz radio – powiedział Louis. – Może się czegoś dowiemy.

Monty włączył odbiornik.

„...pojawiła się znikąd, ale już teraz zyskała miano burzy stulecia. W ciągu piętnastu minut spadło trzydzieści centymetrów śniegu, a to jeszcze nie koniec. Pioruny uszkodziły transformatory i kilka dzielnic Lakeside jest pozbawionych prądu. Telefony też nie działają. Lód osadza się na liniach, które zrywają się pod jego ciężarem. Łamią się gałęzie drzew. Wyjść teraz na dwór to samobójstwo. Spotkało nas coś złego i potężnego. Zejdźcie z ulic. Szukajcie schronienia. Mówiła Ann...”

Szumy. Monty wyłączył radio.

Burza uderzyła w miasto z furią szaleńca. W radiu mogli sobie mówić, że przyszła nie wiadomo skąd, ale Monty podejrzewał, że wszyscy mieszkańcy Lakeside już wiedzą, skąd się wzięła. Ciekawe, ile osób słyszało o eksplozji na Dziedzińcu i pojęło, dlaczego miasto dosięgnęła zemsta? Kiedy burza minie, ilu ludzi zostanie, by pochować zmarłych i naprawić zniszczenia? Ilu będzie musiało budować swoje życie od nowa, nie znając nawet powodu tych zniszczeń?



Tess.

Henry?

Ta Azja Crane była z ludźmi, którzy przyszli skrzywdzić Meg. Nathan zagania ją na rynek. Nie pozwól jej uciec.



Specjalny wysłannik mknął na pełnym gazie ku bramie Kruczości. Te cholerne Wrony na pewno nie będą latać w taką burzę.

Ale coś tam stało. Na jego drodze. Dwie postacie.

Światła skutera wydobyły z mroku sylwetki dwóch kobiet. Jedna miała brązowe włosy, a druga rude z żółtymi i niebieskimi końcówkami. Odskoczyły na bok, kiedy chciał je przejechać, ale gdy je mijał, ta o brązowych włosach tupnęła.

Ziemia uniosła się pod nim, wyrzucając go wraz ze skuterem w powietrze. Czuł, że skuter się przechyla, i pojął, że nie zdoła utrzymać równowagi. Więc kiedy zaczął spadać, puścił kierownicę, żeby maszyna go nie przygniotła.

Uderzył w śnieg, ale ten topniał pod nim tak szybko, że po chwili znalazł się na dnie krateru wypełnionego kilkunastoma centymetrami parującej wody. Nagle dziwka o rudych włosach wskoczyła do krateru, złapała go za ramiona, przycisnęła usta do jego ust i dmuchnęła w nie.

Ogień spalił mu gardło i poparzył płuca. Tam, gdzie żółte i niebieskie końce jej włosów otarły się o jego skafander, powstały dziury. Walcząc z całych sił o oddech, sięgnął po broń, ale kobieta chwyciła go za ręce. Ogień przepalił mu rękawiczki, zmieniając dłonie w pochodnie.

A ona trzymała go i śmiała się w głos. Potem go puściła, wyskoczyła z krateru i zniknęła.

Musiał się wydostać. Musiał uciekać.

Walcząc o każdy oddech, którego odmawiały mu poparzone płuca, nadal próbował wyjść z krateru, kiedy znalazły go Wilki. I wciąż jeszcze żył, kiedy zaczęły pożywiać się jego ciałem.



Azja starła szron z rzęs.

Udało jej się. Dotarła na rynek. Krążyły plotki, że Inni nie zawsze zamykają na klucz drzwi swoich sklepów. Może znajdzie coś otwartego i schroni się na chwilę przed burzą?

Gdzieś za nią rozległo się wycie. Ten cholerny Wilk. Dlaczego w taką pogodę nie zaszyje się w jakiejś norze?

Gdzieś przed nią inny Wilk zawył w odpowiedzi.

Na bogów na górze i na dole! Jeszcze jeden?

Odwróciła się tyłem do wiatru i kilka razy odetchnęła pełną piersią.

Nie mogła się schronić na rynku. Jeśli Wilki ją tam znajdą, zabiją ją. Musiała się dostać do samochodu. A może powinna porzucić ten cholerny samochód, iść Pod Jelenia i Zająca i tam przeczekać śnieżycę?

Być może specjalny wysłannik ukrył już gdzieś Meg i Wilczka. Zapewne nie

dostanie tyle pieniędzy, na ile miała nadzieję, ale zebrane doświadczenia są bezcenne. Dzięki nim w swoim programie telewizyjnym będzie sprawiała wrażenie osoby, która przeżyła to wszystko naprawdę – a tego nie uda się zagrać żadnej aktorce.

Gdy tylko wyjedzie z tego przeklętego miasta, uda się do Sparkletown, spotka się z Grubą Rybą, który zostanie jej producentem, a potem spędzi ze dwa dni na plaży, wygrzewając się w słońcu, żeby wygonić z kości ten wszechobecny chłód.

Ale zanim to się stanie, musi wydostać się z tego pieprzonego Dziedzińca!

Trzymając się blisko budynków, przebrnęła przez parking dla pracowników do muru, który oddzielał go od parkingu dla klientów. Z trudem łapiąc oddech na wietrze, chwyciła drzwi zamykające dostęp na drugi parking.

Prawie się wydostała. Już niemal jest bezpieczna. Uda się jej.

Odkopała śnieg wokół drzwi, aby uchylić je trochę i prześlizgnąć się przez szparę. Potem zaczęła brnąć w śniegu sięgającym jej prawie do bioder, raz po raz wpadając na zaparkowane samochody. Wreszcie udało jej się dotrzeć do nieforemnego kształtu we wjeździe na parking. Zaśmiała się z ulgą, strząsając śnieg z drzwiczek od strony kierowcy. Musi choć na kilka minut ukryć się przed śnieżycą, zanim ruszy dalej, Pod Jelenia i Zająca po drugiej stronie ulicy.

– Kluczyki – powiedziała do siebie i zdjęła rękawiczkę, by rozpiąć kieszeń. Kiedy je znalazła, poszła na tył samochodu i oczyściła ze śniegu rurę wydechową.

– Wynoszę się stąd – mruknęła pod nosem, wracając do drzwiczek. – Gdzieś, gdzie jest ciepło.

– Tak ci się tylko wydaje.

Azja odwróciła się i poczuła, jak na widok czarnych skręconych włosów, na widok twarzy Tess, zwykle ukrytej za ludzką maską, coś w jej mózgu zaczyna się rozpadać. Spróbowała odwrócić wzrok, ale nie mogła zmusić oczu do posłuszeństwa, nie mogła nic zrobić. Musiała patrzeć.

Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Tess nie przytrzymała jej za ramię.

Nie miała czucia w tym ramieniu, nogi też odmówiły jej posłuszeństwa. A po wewnętrznej stronie jej czaszki zaczęły spływać kropelki potu.

Ale to przecież niemożliwe...

Tess posadziła ją troskliwie na siedzeniu kierowcy, ustawiła jej nogi, tak by mogła bez trudu dosięgnąć pedału gazu, a ręce położyła na kolanach. Potem pochyliła się i rzuciła kluczyki na siedzenie pasażera. Azja widziała je kątem oka, ale nie mogła odwrócić głowy, nie mogła unieść ręki, żeby po nie sięgnąć. Siedziała nieruchomo, świadoma tych wszystkich strasznych rzeczy, które działy się w jej ciele.

A w jej czaszce padał deszcz.

– Czym... – Tess odwróciła jej głowę w swoją stronę. Azja znów widziała tę straszną twarz, ten straszny uśmiech. – Czym... ty... jesteś?

Tess patrzyła na nią jeszcze przez chwilę, a potem odetchnęła głęboko, z zadowoleniem, jakby właśnie zjadła coś pysznego.

– Wy, małpy, nie macie słowa na określenie tego, czym jestem – odparła.

Po chwili Azja znów patrzyła przez przednią szybę i widziała wyłącznie śnieg. Drzwiczki samochodu trzasnęły.

Jej umysł rozpadał się dalej, podobnie jak jej ciało. Nerwy wreszcie zaczęły



krzyczeć z bólu, ale nie mogła się ruszyć, nie mogła mówić.

A w jej głowie wciąż padał deszcz.



Tess prześlizgnęła się przez uchylone drzwi z powrotem na parking dla pracowników i zamknęła je za sobą.

W dawnych czasach jej rodzaj miał swoją nazwę, ale ponieważ wabiła tych, których nią określano, uznano to określenie za przeklęte. Mijały wieki, zmieniały się rasy i języki. Prymitywna część ludzkiego umysłu nadal rozpoznawała symbol, którym oznaczano takich jak Tess, jednak samej nazwy nigdy nie przeniesiono do nowych języków. Wyjąwszy kilka niejasnych mitów, nawet *terra indigena* nie znały już najgroźniejszego drapieżnika Namid.

Ale dawno, dawno temu istniała nazwa określająca jej rasę. Wówczas, jak i teraz, znaczyła to samo: „żniwiarz życia”.

## Rozdział 28

Na skrzyżowaniu utknął samochód, blokując ruch we wszystkie strony. Kierowca wysiadł i po prostu sobie poszedł.

– Nie. Nie, nie, nie. Nie możesz tego zrobić – powiedział Louis.

Monty popatrzył niepewnie za mężczyzną.

– On przed czymś ucieka – ocenił. Nagle w skrzyżowanie uderzyła błyskawica, grom zatrzęsł ulicą, a poryw wiatru zwał samochód z drogi. Potem przed ich nosem przemknęły wielkie sanie, zmierzające w stronę szpitala. – Jedź za nimi – powiedział Monty. Serce objęło mu się o żebra. Tylko jedna osoba na Dziedzińcu potrzebowałaby pomocy ludzi, gdyby została ranna. Jeśli Meg Corbyn była w tych saniach, wszyscy w szpitalu znajdują się w poważnym niebezpieczeństwie, gdyż nie wiadomo, co zrobią *terra indigena*. Wystarczająco złą reakcją była już sama burza. Louis nie zadawał pytań, tylko skręcił w prawo, w ulicę Główną, i ruszył za saniami. Jezdnia przed nimi, zupełnie nagle, zrobiła się wolna od wszelkich przeszkód. – Tam. – Monty pokazał ręką, kiedy dojeżdżali do szpitala.

Louis kiwnął głową i skręcił ku wejściu na oddział ratunkowy. Sanie zatrzymały się dokładnie przed nimi. Konie – jeden czarny, drugi biały – tupęły nerwowo i podrzucały łbami. Błyskawica przecięła niebo, a grom wstrząsnął samochodem, który nagle stracił przyczepność i wbił się w zaspę obok wejścia.

– Cholera – powiedział Louis cicho, patrząc na wał śniegu za oknem od strony kierowcy. – Potrzebne ci wsparcie?

Monty otworzył drzwi od swojej strony.

– Jeszcze nie wiem. Spróbuj usunąć stąd samochód, żeby nie blokować dojazdu karetkom.

– Jasne.

Z wielkim trudem Monty wspiał się na rampę prowadzącą do drzwi na oddział ratunkowy. Musiał pochylać mocno głowę, by dostrzec coś przez śnieg – by w ogóle móc oddychać. To były naprawdę skrajne warunki, zabójczy wiatr przenikał do szpiku kości. Nagle tuż przed nim wyrosły dwie kobiety.

*To nie są ludzie*, pomyślał na widok ich twarzy. Nie były też Innymi w takim sensie jak zmiennokształtni czy wampiry. Żywioty. Przełknął strach i postanowił chwilowo nie zastanawiać się, z kim konkretnie ma do czynienia.

– Nazywam się porucznik Montgomery – powiedział. – Jestem przyjacielem panny Corbyn. – Może była to lekka przesada, ale w tej chwili był gotów dowolnie naciągać prawdę, jeśli w ten sposób zdoła dotrzeć do szpitala i dowiedzieć się, co się stało.

– Nasza Meg jest w środku – oświadczyła kobieta o białych włosach.

– Czy jest ranna?

– Tak.

W jej głosie usłyszał wściekłość, nienawiść do ludzi.

– Chciałbym pomóc.

Przez chwilę taksowała go nieludzkimi oczami. A potem zrobiła mu przejście.

– Powiedz małpom, że burza nie ucichnie, dopóki Simon Wilcza Straż nie zapewni nas, że nasza Meg wyzdrowieje.

Monty wpadł do środka. Musiał odszukać kogoś, kto wie, gdzie znaleźć Meg Corbyn. Na widok pielęgniarki sięgnął po odznakę, ale zanim ją wyciągnął, usłyszał ujadanie i zaskoczony okrzyk.

– Ona potrzebuje ludzkiej medycyny, więc ją tu przynieśliśmy! – oświadczył jakiś pełen wściekłości głos. – Teraz ją naprawcie!

Monty pobiegł w stronę, z której dobiegały krzyki, i ujrzał pokrytego futrem, nagiego Simona Wilczą Straż. Chwycił go za rękę, odrywając od pobladłego, ale równie wściekłego lekarza.

– Panie Wilcza Straż! – krzyknął. – Simonie! – *Coś jest nie tak z jego oczami*, pomyślał. *I to nie dlatego że jest w pośredniej formie*. Usłyszał skomlenie i zobaczył drugiego *terra indigena*, który przykucnął na podłodze. W objęciach trzymał owiniętą w koc Meg Corbyn. – Panie Wilcza Straż, proszę pozwolić mi porozmawiać z lekarzem. Chcę pomóc – dodał stanowczo, kiedy Simon na niego warknął. Ostatecznie wziął lekarza za ramię, odciągnął go na bok i przedstawił się.

– Doktor Dominick Lorenzo – odparł lekarz. – Niech pan posłucha, poruczniku, karetki przywożą nam tu ludzi, którzy naprawdę potrzebują pomocy. Nie możemy dawać pierwszeństwa tym tam, tylko dlatego że...

– Panie doktorze, rozumiem pańskie emocje. Ale kobieta, którą przywieźli, jest człowiekiem. To ich łącznik. Przyszli tu, szukając dla niej pomocy. Jeśli nie zapewni pan jej najlepszej opieki, to miasto nigdy więcej nie ujrzy wiosny. Przykro mi, że zrzucam na pana taką odpowiedzialność, ale życie wszystkich mieszkańców Lakeside leży w tej chwili w pana rękach.

Lorenzo, zaskoczony, spojrzał w stronę wyjścia z oddziału.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Wiem, ponieważ furia, która napędza tę burzę, minutę temu stała przed szpitalem i powiedziała mi wprost, że nasze życie zależy od zdrowia ich łącznika.

– Na bogów na górze i na dole... – Lorenzo zgarbił się, a potem podszedł do trzęsącego się z wściekłości Simona Wilczej Straży. – Czy wie pan, co przydarzyło się pańskiej przyjaciółce? – spytał.

– Wpadła pod lód, kiedy uciekała przed intruzami – warknął Simon.

– To zapewne hipotermia, ale lepiej sprawdźmy, czy nic więcej – zdecydował lekarz. – Przenieśmy ją do gabinetu, tam na końcu.

Simon wyrwał Meg z objęć drugiego *terra indigena* i poszedł za doktorem Lorenzo. Monty ruszył za nimi, a jego kompan za nim.

Jednym uchem słuchał pospiesznych poleceń doktora, wydawanych pielęgniarkom, które zdejmowały z Meg mokre ubranie. Nim lekarz zdążył zamknąć drzwi gabinetu, Simon wdarł się do środka. Monty wszedł za nim. Musiał pilnować, by nie przeszkadzał.

Odwrócił wzrok, by zapewnić Meg choć trochę prywatności, i zwrócił się do Simona:

– Co się panu stało? Jest pan chory?

To pytanie sprawiło, że w oczach Wilczej Straży pojawił się jakby przeblysk inteligencji.

– Jestem... wściekły.

– Czy brał pan coś, zanim to się zaczęło? – Narkotyki? Mało prawdopodobne, ale być może Simon przyjął je, nie zdając sobie z tego sprawy.

Wilcza Straż pokręcił głową, nie spuszczając wzroku z ludzi, którzy dotykali Meg.

Nagle pielęgniarka syknęła przez zęby. Monty odwrócił głowę i zobaczył nagie ramiona Meg Corbyn, a na nich równe rzędy blizn – a także ślady biegnące w poprzek.

– Tak, to *cassandra sangue* – powiedział Simon, odpowiadając na milczące pytanie lekarza.

– Przynieście koc elektryczny – polecił Lorenzo. Kiedy jedna z pielęgniarek pobięła spełnić jego polecenie, pokiwał na nich, wskazując, że chce porozmawiać poza gabinetem. – Ile czasu była w wodzie? – zwrócił się do Simona, gdy znaleźli się na korytarzu.

– Niedługo. Usłyszeliśmy krzyk Zimy, kiedy wpadła pod lód. Wyciągnęliśmy ją.

– A wcześniej? Zdjęliście jej płaszcz, zanim zabraliście ją do szpitala?

Simon pokręcił głową.

– Nie miała płaszcza ani butów. Uciekała przed intruzami.

– Jak ją tu przywieźliście?

– Saniami.

Lorenzo wyraźnie się zasepił.

– No dobrze. Zaczniemy od rutynowych działań i przekonamy się, czy wystarczą. Jest jeszcze ta rana na podbródku... Mogę ją zamknąć bez zakładania szwów, pod warunkiem że nie będziecie ruszać opatrunku. W przeciwnym wypadku trzeba ją zeszyć, żeby się zasklepiła. Jednak szwy oznaczają konieczność przebicia skóry, co może spowodować u pacjentki nieprzyjemne doznania umysłowe, nawet w jej obecnym stanie. Poza tym jeśli zeszyję ranę, cały podbródek nie będzie się już nadawał do cięcia.

Oczy Simona zapłonęły czerwienią.

– Uważasz, że zależy nam na niej z powodu jej skóry? – warknął. – Ona nie jest dla nas własnością. To jest Meg.

Monty przytrzymał Wilka, żeby nie rzucił się na lekarza.

– Doktor musiał to panu powiedzieć, Simonie. Występuje pan w roli krewnego Meg i jego obowiązkiem jest poinformować pana o wszystkich aspektach jej stanu, by mógł pan zdecydować, co jest dla niej najlepsze.

Simon dyszał ciężko, próbując się opanować.

– Naprawcie ją.

– Najlepiej będzie, jeśli zaczeka pan tutaj podczas zabiegu.

Wyczuwając opór Wilka, Monty wtrącił szybko:

– Jeśli da mi pan słowo, że zaczeka tutaj, będę nadzorował zabieg w pana imieniu.

Sądził, że Lorenzo zaprotestuje, ale doktor po prostu czekał na decyzję Simona.

Krótkie skiniecie głową. Ponieważ Wilcza Straż cały czas dyszał i warczał, tylko ono sygnalizowało, że się zgadza.

Gdy po chwili przybiegła pielęgniarka z kocem elektrycznym, Lorenzo i Monty weszli za nią do gabinetu. Kiedy Lorenzo zamknął drzwi, na korytarzu rozległo się przeciągłe wycie.

– Może go pan powstrzymać? – spytał lekarz, przystępując do oczyszczania i zamykania rany na podbródku Meg. – Wystraszy wszystkich pacjentów na oddziale.

– Myślę, że się uspokoi, jeśli pozwolimy mu tu z nią zostać. – Monty spojrział na stół zabiegowy, a potem odwrócił wzrok. – Leczył pan już kiedyś wieszczki krwi?

– Widziałem kilka, kiedy byłem na stażu. Przy każdym przecięciu skóry dziewczyna zaczyna wieszczyć.

– Czyli jeśli panna Corbyn będzie wymagała szycia...?

– Tylko bogowie wiedzą, co widzi w tej chwili – odparł z powagą Lorenzo. – Każdy szew tylko nasili wizję.

Monty oparł się o ścianę. Nagle zrobiło mu się słabo. Nie odzywał się, dopóki lekarz nie skończył opatrywać Meg i nie kazał przenieść jej na łóżko. Wtedy też pozwolił wpuścić Wilczą Straż.

Simon wpadł do gabinetu, gdy tylko Monty otworzył drzwi. Spojrział na Meg i rzucił ostro:

– Jest jej zimno. Trzęsie się.

– To dobry znak – odparł Lorenzo. – Rozgrzewamy ją kocem elektrycznym, obserwujemy jej oddech i pracę serca.

– To tak jak u Wilków – stwierdził Simon, już nieco spokojniej.

– Wezwę moich ludzi – oświadczył Monty, choć wiedział, że do końca śnieżycy jedynym jego wsparciem będzie Louis. – Ktoś przez cały czas będzie jej pilnował.

– Czy to konieczne? – spytał Lorenzo.

– Tak, proszę pana.

Simon zamrugął.

– Zima jest na zewnątrz – powiedział i wyszedł z gabinetu.

– Muszę się zająć innymi pacjentami. – Lorenzo spojrział z wahaniem na dwie pielęgniarki.

– Będę miał oko na pannę Corbyn – obiecał Monty. – Pański zespół potrzebny jest gdzie indziej. – Kiedy ekipa medyczna opuściła gabinet, Monty zauważył Innego, który przykucnął pod ścianą na korytarzu. – Jestem porucznik Montgomery. Może mi pan powiedzieć, co zaszło na Dziedzińcu?

– Wiem, kim jesteś – odparł mężczyzna ze znużeniem, podnosząc się z podłogi. – Nazywam się Jester. – Wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. – Mogę ci trochę powiedzieć.

Kiedy Jester skończył, Monty wyszedł na korytarz i spróbował skontaktować się ze swoimi ludźmi. Kowalski, który usiłował dostać się na Dziedziniec na nartach, nie odbierał komórki. Monty miał nadzieję, że znalazł gdzieś schronienie. Debany i MacDonald byli kilka przecznic od szpitala, wieźli tu rannych. Kiedy dodzwonił się

do Burke'a i naświetlił mu sytuację, kapitan zgodził się, że dopóki łącznik przebywa w szpitalu, ochrona jest niezbędna, gdyż nadal istnieje groźba uprowadzenia.

Następnie Monty posłał Jestera po plastikowe krzesła do poczekalni, a sam stanął przy łóżku Meg. Czy miała kłopoty z oddychaniem? Czy nie była zbyt blada? Pochylił się nad nią.

– Panno Corbyn – powiedział cicho. – Jest pani tutaj bezpieczna. Zadbamy o to, ale musi nam pani pomóc. Musi pani wydobreć. – Jej powieki drgnęły. – Meg?

– Zimno... – Jej głos był ledwie słyszalny. – Zimno.

– Ogrzejemy panią.

Chwilę później usłyszał, jak Jester siada na krzesło pod drzwiami. Wrócił też Simon Wilcza Straż. Na futrze pokrywającym jego ludzkie ciało topniał śnieg. Kiedy Monty powiadomił ich, że Meg na chwilę się ocknęła, Simon natychmiast podbiegł do łóżka.

– Meg? Meg!

– Powiem o tym doktorowi. – Monty zostawił na straży Simona i Jestera i poszedł poszukać Lorenza. Przy okazji znalazł Louisa, który usiłował skontaktować się z własnym zespołem. Na koniec kupił sobie kawę w automacie i wrócił do gabinetu zabiegowego, by podjąć obowiązki strażnika.



Jester, nadal w ludzkiej formie i w ubraniu zachlapanym krwią Huragana, zwinął się w kłębek w kącie gabinetu zabiegowego i przycisnął czoło do kolan. Popiskiwał cicho przez kilka minut, aż wreszcie zasnął.

Simon stał przy łóżku, wciąż obserwując Meg. Czuł się taki skołowany, taki... wściekły. I miał ku temu powody. Wróg wdarł się na Dziedziniec, dokonał zniszczeń i zabił kilku *terra indigena*. Groził też Samowi i chciał porwać Meg. Mimo to ten gniew nie był normalny, a im bardziej Simon zbliżał się do ludzkiej formy, tym mocniej to odczuwał.

Monty zapytał go, czy brał coś, zanim poczuł tę wściekłość. Odpowiedź była co najmniej niepokojąca, więc postanowił o niej nie myśleć.

Przynajmniej chwilowo.

Rzucił okiem na zamknięte drzwi gabinetu. Meg było zimno, trzęsa się. Koce nie pomagały. Wiedział, co by zrobił, gdyby była członkiem jego watahy. Ostrożnie wspiął się na szpitalne łóżko, pomrukując z niezadowolenia, gdyż było tak wąskie, że ledwie wystarczyło dla jednego człowieka. Okrył kocami siebie i Meg, a potem zmienił się w Wilka i owinał ogonem jej stopy.

Lepiej.

Dużo lepiej.

Meg? Nie mogła go słyszeć, nie mogła mu odpowiedzieć, ale i tak ją wołał.

Meg?

Wyciągnął szyję i powąchał opatrunek na jej podbródku. Nie podobał mu się. Nie powinno go tam być. Chciał go ściągnąć i wylizać ranę. Wylizywać ją tak długo,

aż się zagoi.

Cofnął głowę. Obiecał, że nie będzie ruszał opatrunku. Przyniósł ją tutaj, żeby zajęli się nią ludzcy medycy, więc nie może im przeszkadzać. Wściekłość zaczęła opadać. I nie czuł się już taki samotny, kiedy jej dotykał.

Gdy wyszedł do Zimy, siedziała w saniach wraz z Powietrzem. Zmierzyła go lodowatym, pełnym furii wzrokiem.

Zajmują się Meg, powiedział. Sprawia, że wyzdrowieje.

Kiwnęła głową, a potem obie odjechały. Zanim wrócił na oddział, wiatr zdążył ucichnąć, śnieg przestał padać.

Kiedy drzwi się otworzyły, Simon uniósł głowę i wyszczerzył zęby, gotów zaatakować. Ale to był tylko doktor Lorenzo, więc nie ruszył się z miejsca.

– Przyszedłem sprawdzić, co z panną Corbyn – wyjaśnił lekarz. – Zbadam jej puls, a potem posłucham stetoskopem jej serca i płuc. – Wziął rękę Meg i popatrzył na zegarek. Później przyłożył metalowy dysk do jej piersi i nasłuchiwał przez chwilę. Czy zwrócił uwagę na to ciche rżenie w jej płucach, które Simon słyszał nawet bez tego dziwnego dysku? – Należy się obawiać zapalenia płuc – stwierdził w końcu cicho. – Ale może unikniemy komplikacji. – Spojrzał na Wilka przykrytego kocami. – Teraz najważniejsze, żeby ją rozgrzać.

Kiedy wyszedł, Simon znów wyciągnął szyję w stronę podbródka Meg. Chciał ściągnąć opatrunek i pozbyć się zalegającego pod nim zapachu lekarstw. Ale tylko polizał ją po ramieniu z cichym pomrukiem.

Jej palce poruszyły się, zagłębiły w jego futrze.

Meg?

– Nie mów Simonowi, że PNK kręcił piruety – wymamrotała.

Podniósł głowę.

Meg?

Ale ona znowu zasnęła.

Nie miał dokąd iść. Póki tu była, nie mógł nic zrobić. Więc położył głowę na jej ramieniu, zamknął oczy i zasnął.

## Rozdział 29

Vlad przyglądał się dwóm spopielonym ciałom. Ostatnia para wrogów została schwytana w okolicach bramy Kruczości. Mało brakowało, a zdołaliby uciec na tych swoich maszynach. Ale przeszkodziła im Ogień.

Nagle dotarło do niego, że świst, który słyszał od dobrej chwili, ucichł. Spojrzał w stronę otwartej bramy. Stojąca w niej postać na nartach zawahała się, a potem powoli podjechała bliżej.

– Panie Sanguinati? Jestem posterunkowy Kowalski. Pracuję z porucznikiem Montgomerym.

Rozpoznał głos, ale nadal był podejrzliwy.

– Czy ludzie jeżdżą na nartach podczas śnieżycy?

– Nie proszę pana, na pewno nie z wyboru. Ale usłyszałem o wybuchu na Dziedzińcu i jechałem sprawdzić, czy mogę jakoś pomóc, kiedy złapała mnie śnieżycy. Moja komórka nadal działa, miałem telefon z komisariatu. Zespół porucznika jedzie do szpitala, by zapewnić ochronę panie Corbyn. – Vlad, nadal niepewny, czy pod tymi słowami nie kryje się jakiś podstęp, spojrzał w stronę części Dziedzińca należącej do Wilczej Straży, skąd dobiegało wycie. – Jakiś problem? – spytał Kowalski.

– Jeden z Wilków zginął.

– W burzy?

– Nie, został zastrzelony przez intruzów.

– Przykro mi.

Wyglądało na to, że Kowalskiemu naprawdę jest przykro. Vlad spojrzał na dwa skutery śnieżne, które zostały nietknięte przez Ogień.

– Potrafi pan jeździć na tych maszynach?

– Kilka razy miałem okazję się przejechać.

– Więc niech mi pan pokaże, jak to się robi. Pojedziemy do szpitala.



Henry wziął parujący kubek z herbatą i podszedł do okna w swojej pracowni. Ale nie chciał niczego widzieć. Nie dzisiaj. Dziś umarł *terra indigena*, a potem w śnieżycy, jaką Żywioty rozpełtały w odpowiedzi na tę śmierć – i krzywdę uczynioną Meg – zginęli ludzie.

Intruzów również dotknęła śmierć. To dobrze.

Teraz czekają, czy ludzie wybiorą pokój z *terra indigena*, czy wojnę. Miał nadzieję, że będą rozsądni. Tyle lat minęło, odkąd Inni zniszczyli ludzkie miasto. Jeśli dojdzie do tego tutaj, będzie żałował śmierci niektórych ludzi.



Kręcąc głową, Henry napił się herbaty. Nie ma sensu drażnić pszczół, jeśli nie szuka się miodu.

Kiedy wracał do pracowni, natknął się na Nathana – wyczerpanego i zamarzniętego niemal na kość. Próbował dalej ścigać Azję Crane, ale Tess już się nią zajęła, więc Henry przemienił się w Niedźwiedzia i oczyścił Wilkowi drogę aż do mieszkań nad pracownią krawiecką. Dziewczyny włożyły łapy Nathana do ciepłej wody, żeby stopić kulki lodu między palcami, wytarły go do sucha ręcznikami, nakarmiły i napoiły. Teraz obaj z Johnem zwinęli się w kłębek w mieszkaniu i spali, a dziewczyny poszły do Czegoś na Ząb przygotować jedzenie i ciepłe napoje. Lorne, za pozwoleniem Henry'ego, wpuścił do świetlicy ludzi, którzy utknęli w śnieżycy, pozwalał im skorzystać z toalety i odpocząć w ciepłe.

Zeszłej zimy staliby za zamkniętymi drzwiami i przyglądali się, jak ludzie umierają. Ale Dziedziniec w Lakeside zaczął się zmieniać, a te zmiany dobrze wróżyły wszystkim dzieciom Namid. Więc miał nadzieję, że ludzki rząd okaże dość rozsądku, by nie wszczynać wojny.



Meg powoli się budziła. Czowała palenie w piersi. Jej oddech rzęził.

Biały pokój. Znienawidzone, budzące lęk łóżko. I postać w jego nogach.

– Nie... – jęknęła. Czy to był sen? Majaki?

– Meg? – Postać skoczyła ku niej. Ręce o dziwnym kształcie spoczęły po obu stronach jej głowy. – Meg, nie zasypiaj. Nie zasypiaj!

Twarz rodem z koszmarów, z wizji o ciemnej wodzie i okropnym zimnie. Nagle futro cofnęło się i rozpoznała tę twarz.

– Si-Simon?

W bursztynowych oczach zamigotały czerwone iskry, kiedy na nią warknął.

– Jeśli jeszcze kiedyś tak mnie nastraszysz, to cię zjem! – zagroził, ale zaraz przycisnął czoło do jej ramienia i zaskomlił.

Więc nie śniła? Naprawdę dotarła na Dziedziniec i zbudowała sobie życie, które pojawiało się w mrocznych snach?

– Gdzie my jesteśmy?

– W szpitalu. – Uniósł głowę i znowu warknął. – Ty głupia kobieto! Wpadłaś pod lód i rozcięłaś sobie brodę!

Krażył po pokoju, dyszał, warczał i skomlił. Z pięć razy zagroził, że ją zje. A kiedy zawył, do gabinetu zbiegli się ludzie.

Meg poczuła przerażenie na widok mężczyzny w białym fartuchu – takie same fartuchy nosiły chodzące imiona – ale zaraz potem do pokoju wszedł porucznik Montgomery, a za nim Vladimir Sanguinati.

– Panno Corbyn, nazywam się doktor Lorenzo – powiedział mężczyzna w bieli. – Obudziła się pani, i to bardzo dobrze. – Rzucił okiem na Simona i dodał z naciskiem: – Choć generalnie w szpitalach obowiązuje cisza, nawet jeśli zdarza się coś dobrego.

Simon tylko warknął na doktora.

– Chcę stąd iść – oświadczyła Meg, próbując wstać z łóżka. Chciała jak najszybciej opuścić pokój. Tak bardzo przypominał jej kompleks, w którym czuła się jak w klatce.

Ale doktor Lorenzo pokręcił głową.

– Zważywszy stan ulic, do rana nikt nigdzie nie pójdzie. Poza tym musi się pani rozgrzać i odpocząć. Dlatego porucznik Montgomery, pan Sanguinati i ja ustaliliśmy, że przeniesiemy panią do jednoosobowej sali na piętrze. Będzie tam spokojniej, a szczerze mówiąc, gabinety na oddziale ratunkowym są nam potrzebne dla innych pacjentów.

– Doktor ma rację – powiedział Vlad. – Jednoosobowy pokój będzie dla wszystkich mniej stresujący.

– Ale ja chcę stąd wyjść – powtórzyła Meg, patrząc na Simona. Czy on rozumie, dlaczego boi się tu być?

Simon zawahał się, a potem pokręcił głową.

– W płucach ci rzezi, ja to słyszę. Zostaniemy tu, aż przestanie.

Opatulili ją, wsadzili na wózek na kółkach i zawieźli do innego pokoju, gdzie znów zapakowali ją do łóżka, dali miskę zupy i coś ciepłego do picia, a potem zostawili ją z wampirem i Wilkiem.

– Sam? – spytała, zaniepokojona, gdy już trochę się posiliła.

– Nic mu nie jest – zapewnił ją Simon.

– Zachrypl trochę, bo strasznie długo wył – uściślił Vlad. – Ale poza tym nic mu się nie stało. Kiedy przesłaliśmy na Dziedziniec wiadomość, że z tobą w porządku, uspokoił się. Jest u dziadka Erebusa. Oglądają razem filmy.

– Uważajcie na niego – szepnęła.

– Ty też powinnaś była zostać u Erebusa – warknął Simon. – Głupia kobieta. I nie chcę nic wiedzieć o piruetach PNK, bo naprawdę musiałbym cię ugryźć.

Zamrugła. A więc to też nie był sen?

Vlad zachichotał.

– Daj spokój, Simonie. Im mniej wiemy o tym, w jaki sposób Meg znalazła się w strumieniu, tym lepiej.

– Azja... – jęknęła Meg. – Przyszła do mieszkania Simona. Chciała zabrać Sama. Czy uciekła?

Obaj wzruszyli ramionami, ale zauważyła spojrzenia, jakie wymienili, i zaciekało ją, ile specjalnego mięsa będą mogli kupić mieszkańcy Dziedzińca w najbliższych dniach.

## Rozdział 30

Przez całą noc Monty, Louis i Kowalski na zmianę pilnowali drzwi pokoju Meg Corbyn, a Debany i MacDonald wozili lekarstwa osobom, które ich potrzebowały i do których można było dotrzeć. W pewnym momencie Jester i Vlad wrócili na Dziedziniec. Vlad przyjechał potem do szpitala z ubraniami dla Simona i Meg, dwoma kolejnymi skuterami śnieżnymi, które przekazał do użytku MacDonaldowi i Debany'emu, oraz... Jake'em Wronią Strażą.

Monty nie pytał o miejsce pobytu poprzednich właścicieli skuterów. Może wypełnią dla nich formularze ZMN. A może nie.

O świcie zaczęły spływać wieści.

Lakeside było chwilowo odcięte od świata, nie tylko przez rekordowe opady śniegu, ale również przez „lodowce”, które blokowały wszystkie drogi z miasta. Monty myślał o tym, czy uda się je stopić przynajmniej na jednej czy dwóch drogach – o ile ktoś odważy się udać na Dziedziniec i grzecznie o to poprosić.

Posterunkowy Debany poinformował go, że Azję Crane znaleziono martwą w samochodzie. Monty miał nadzieję, że nigdy już nie usłyszy takiego przerażenia w głosie współpracownika.

*Zmiennokształtni i wampiry stanowią bufor między nami a tymi, którzy zamieszkują Dziedzińce, pomyślał. Wczoraj mieliśmy okazję ich zobaczyć. Miejmy nadzieję, że będziemy mieli dość rozsądku, by zapamiętać tę lekcję.*

Kiedy zobaczył na szpitalnym korytarzu Douglasa Burke'a, wyszedł mu na spotkanie – tylko kilka kroków, żeby nie musieli rozmawiać bezpośrednio pod drzwiami pokoju Meg Corbyn.

– Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć, poruczniku – zaczął Burke z wahaniem. – Nasz burmistrz zmarł podczas burzy. – W jego głosie słyhać było przerażenie.

– Wyszedł na zewnątrz? – zdziwił się Monty.

– Nie, był w łazience, zamknięty od środka. Okna też były pozamykane. Kiedy znaleziono go dziś rano, łazienka była pełna śniegu, od podłogi po sam sufit. Patolog ustali, czy zamarł na śmierć, czy się udusił; niewykluczone, że umarł z innej przyczyny, ponieważ ma kilka podejrzanych ran na szyi, a w jego ciele jest bardzo mało krwi. – Urwał na chwilę. – Jego zastępca oświadczył, że dołoży wszelkich starań, by zachować serdeczne stosunki z *terra indigena*. – Znów zamilkł na chwilę, a potem jeszcze bardziej zniżył głos i podjął: – Prywatnie powiem panu, że moim zdaniem *terra indigena* połączyli zainteresowanie jego ekscelencji Meg Corbyn z atakiem na Dziedziniec i próbą jej porwania. I dlatego go zabili.

– Ale przecież to gubernator wydawał rozkazy. – Monty przyjrzał się kapitanowi i poczuł, że robi mu się zimno. – Stało się coś jeszcze?

– Gubernator Rejonu Północno-Wschodniego również umarł dziś w nocy.

– Przecież on mieszka w Dyspozytorni! – Tak naprawdę miasteczko, które było ośrodkiem władzy dla Rejonu Północno-Wschodniego, nosiło nazwę Centrum Północ-Wschód, ale wszyscy nazywali je Dyspozytornią. Znajdowało się o godzinę jazdy pociągiem od Toland, setki mil od Lakeside. – Jak zmarł? Zawał serca? – Miał nadzieję, że tak. – Wypadek drogowy?

– Zamarzł na śmierć we własnej wannie. – W uśmiechu Burke’a nie było rozbawienia. – Woda wokół niego zamarzła tak szybko, że nie zdołał uciec. Na domiar złego dostała mu się do gardła i zamroziła płuca. Straszna śmierć, tak podejrzewam.

– Dość podobna do tej, jaka mogła spotkać kobietę, która wpadła pod lód, uciekając przed pogonią – stwierdził Monty, wzdrygając się.

– Dość podobna – zgodził się Burke. Czyli Inni uznali, że gubernator też ponosi winę za atak? Dopadli go setki mil stąd i po prostu wyeliminowali? – Cóż poradzić. – Kapitan wzruszył ramionami. – W szpitalu zapewne przygotowano miejsce odpoczynku dla personelu i sił policyjnych, więc może prześpi się pan z dwie godziny?

Monty wskazał głową drzwi.

– To moja zmiana.

– Przejmę ją od pana, poruczniku. Niech pan odpocznie. Zasłużył pan.

Istotnie, Monty ledwie trzymał się na nogach, więc nie protestował za bardzo. Ciekaw był tylko, kto pierwszy wystawi głowę z pokoju Meg, żeby obejrzeć nieznanego policjanta: Wilk, wampir czy Wrona.

## Rozdział 31

W czwartek, niemal tydzień po śnieżycy, Monty wszedł do Zabójczo Dobrych Lektur i uklonił się lekko Heather. Rozejrzał się po księgarni, podszedł do lady i uśmiechnął się ciepło do dziewczyny.

– Zauważyłem, że macie otwarte – powiedział. On i jego ludzie przejeżdżali tędy kilka razy dziennie, odkąd oczyszczono drogi, wyczekując tej chwili. – Klienci nie dopisali?

– Jeszcze nie – odparła Heather, siląc się na lekki ton. Potem wskazała na stosy papierów na ladzie i wózek pełen książek. – Ale mamy masę zamówień do wysłania.

*Nie jesteś pewna, czy klienci wrócą*, domyślił się Monty. Też się nad tym zastanawiał. Tak jak nad tym, czy Inni jeszcze kiedyś otworzą swoje sklepy dla ludzi. Dziedziniec w Lakeside był najbardziej postępowy w całej Thaisii, miał ludzkich pracowników i ludzkich klientów. Oczywiście mieli oni ograniczony dostęp do Dziedzińca, ale był to krok w dobrym kierunku. Być może *terra indigena* zechcą go naśladować w innych miejscach, a wówczas wszechobecne napięcie między ludźmi i Innymi powinno nieco opaść. Z drugiej strony wieść, że burmistrz Lakeside i gubernator Rejonu Północno-Wschodniego wspierali ludzi uznanych tu za wrogów, zapewne rozeszła się już po kontynencie. Śnieżycy w Lakeside i masakra w Georgette stanowiły przypomnienie, w jaki sposób Inni rozwiązywali problemy z ludźmi.

Ale nie wszystko, co się zdarzyło, było złe – i to właśnie sprowadziło go do ZDL, gdy tylko księgarnia znów się otworzyła.

– Chciałbym zamienić słówko z panem Wilczą Strażą, jeśli jest – powiedział.

– Sprawdzę. – Heather podniosła słuchawkę i wybrała numer wewnętrzny. – Panie Wilcza Straż? Porucznik Montgomery chciałby z panem porozmawiać. – Słuchała przez chwilę. – Dobrze, powtórzę. – Uśmiechnęła się do Monty'ego. – Powiedział, żeby przyszedł pan do magazynu.

Kiedy ruszył na zaplecze sklepu, uświadomił sobie, że to spotkanie też będzie brzemienne w skutki – a następne kilka minut przesądzi, czy będą one dobre, czy złe.

– Witam, poruczniku. – Simon spojrzał na niego, a potem sprawdził coś na liście i zdjął z półki kilka książek.

– Ja również, panie Wilcza Straż. Dziś nie pilnuje tu żaden Wilk?

– Och, zjawiają się i odchodzą. Zawsze tak było, choć Ferus i Nathan spędzali najwięcej czasu w ZDL. Ale Ferus jest w Zagajniku Prochów, a Nathan uważa, że nasza Meg jest zabawniejsza niż klienci księgarni.

– Panna Corbyn wróciła do pracy? – Monty widział światła w biurze łącznika, kiedy przejeżdżali obok z Kowalskim. I to też był dobry znak.

Simon kiwnął głową.

– Powinna zostać w norze do przyszłego tygodnia, ale gdy jej to

zapropnowałem, nawarczała na mnie. – Monty nie był pewien, czy Wilk czuje się dotknięty, czy obrażony, więc nie skomentował tego. Jednak w myślach pogratulował Meg. – Co pana do mnie sprowadza, poruczniku? – spytał Simon.

Wiele rzeczy, ale zacznij od tej najbardziej neutralnej.

– Dowiedziałem się, że podczas śnieżycy pozwolił pan moim ludziom korzystać z jednego z mieszkań nad pracownią krawiecką. Chciałem podziękować.

Simon, wyraźnie skrępowany, wzruszył ramionami.

– Mielśmy miejsce. Przekazaliśmy dwa mieszkania ludziom, którzy dla nas pracują, żeby nie musieli wracać do domu w śnieżycę, a Henry zatrzymał to, w którym lubi nocować, jeśli chce zostać blisko pracowni. Oddanie ostatniego mieszkania pańskim ludziom nic nas nie kosztowało.

A zapewniło Dziedzińcowi dodatkową ochronę...

– Słyszałem też, że zwolnił pan z podatku od wody komisariat na ulicy Orzechowej i szpital, który leczył pannę Corbyn.

– I co z tego?

Simon zniknął na chwilę, a potem wrócił z naręczem książek, które ułożył na wózku.

– Doceniamy pański gest. – Właśnie przeszli na nowy poziom dyskusji. – Doktor Lorenzo chciałby okazać swoją wdzięczność, otwierając mały gabinet dla ludzi, których zatrudniacie.

Nie zamierzał dodawać, że Lorenzo zaproponował to głównie z powodu *cassandra sangue*, która mieszkała wśród Innych. Nie chciał stracić okazji poznania kogoś z jej rodzaju.

– Nie mamy miejsca na... – Simon urwał, a Monty wstrzymał oddech. – Może i mamy – stwierdził po chwili zastanowienia. – Ale nawet jeśli się zgodzę, niech pan pamięta, że w naszych oczach większość z was to po prostu mięso. – *Będę pamiętać*, pomyślał Monty. *Ale „większość z was” to i tak wielki postęp w stosunku do „wszyscy”. Jeśli nauczycie się ufać wybranym ludziom, wszyscy będziemy mieli większą szansę na przeżycie.* – Przedyskutuję to ze Stowarzyszeniem Przedsiębiorców – dodał Simon. – Niech doktor Lorenzo przyjdzie do nas porozmawiać o tym gabinecie. Przy okazji sprawdzi stan Meg.

– Powiem mu, żeby zadzwonił do Zabójczo Dobrych Lektur i umówił się z panem na spotkanie – obiecał Monty.

Na tyle dobrze potrafił odczytywać język ciała, by domyślić się, że Simon jest zaniepokojony perspektywą wpuszczenia na Dziedziniec kolejnych ludzi. Dlatego postanowił nie ciągnąć dalej tego tematu.

– Mam sporo pracy – powiedział Simon z naciskiem, a w jego głosie słychać było cichy warkot.

– W takim razie będę się streszczał – odparł Monty i przeszedł do rzeczy. – Odniosłem wrażenie, że pański gniew w szpitalu był niewspółmierny do okoliczności. Myślę, że pan również zdaje sobie z tego sprawę. Czy ma pan jakieś podejrzenia, co wywołało taką agresję?

– Nie.

Po prostu. Lodowaty ton. Głos przywódcy, który nie pozwoli, by ktoś stawiał mu wyzwanie.

A przy tym jawne kłamstwo.

– W porządku – odparł Monty, cofając się o krok. – Chciałbym jakoś pomóc.

Proszę o tym pamiętać.

Czerwone iskry w bursztynowych oczach Wilka.

Trzaśnięcie drzwiami.

Chwilę później podszedł do nich Jester.

Monty uklonił się Kojotowi i wyszedł z magazynu. Na moment zatrzymał się w księgarni, obejrzał świeżo wystawione kryminały i wybrał coś dla siebie.

*Ludzie mają w sobie odwagę i odporność, więc przetrwają, pomyślał, płacąc. Oczyszczymy drogi, odbudujemy domy i życie będzie toczyło się dalej.*

A ci, którzy mieli kontakt z Dziedzińcem, dołożą starań, by wszyscy przetrwali.



Simon zmierzył wzrokiem Kojota. W głowie dźwięczały mu jeszcze słowa Montgomery'ego: *Pański gniew w szpitalu był niewspółmierny do okoliczności.*

– Ile słyszałeś? – spytał.

– Podoba mi się tutaj – powiedział Jester. – Chcę zostać.

Obaj mieli wrażenie, że słowa Montgomery'ego odbijają się echem od ścian.

*Czy ma pan jakieś podejrzenia, co wywołało taką agresję?*

– Ile słyszałeś? – warknął Simon.

– Nikomu nie powiem – obiecał Jester. – Nigdy.

Bystry Kojot, który czasami widział za dużo, słyszał za dużo. Ale w przeciwieństwie do swoich pobratymców Jester nie łamał raz danego słowa.

– Możesz zostać. – Oczywiście Simon nie dodał, że gdyby nie ufał mu na tyle, by pozwolić mu zostać, nie pozwoliliby mu również odejść. Podejrzewał jednak, że Kojot to wie.

– Dzięki, Simonie. – Jester zaczął się wycofywać. – Pójdę sprawdzić, co z Meg. Zapytam, czy chce, żeby kucyki przyszły dziś po pocztę.

Wyszedł.

*Czy ma pan jakieś podejrzenia, co wywołało taką agresję?*

O tak. Simon miał wiele czasu na przemyślenia, kiedy czekali, by zabrać Meg do domu. Był prawie pewien, że wie, co spowodowało ten dziwny gniew. Nawet Sanguinati nie pili słodkiej krwi *cassandra sangue*, a on połknął jej dużo, oczyszczając ranę na podbródku Meg.

Zima i Powietrze nie zwracały na niego uwagi, kiedy jechali do szpitala, ale Jester siedział obok. A Blair i Vlad byli z nim nad strumieniem, kiedy wyciągnęli Meg z wody. Jeśli dodadzą dwa do dwóch, też domyślą się prawdy.

Zatrzyma swoje podejrzenia dla siebie jeszcze przez kilka dni. Potem porozmawia z Henrym i razem zdecydują, kto jeszcze powinien wiedzieć, że krew *cassandra sangue* stanowi źródło choroby, która dotykała ludzi i Innych na zachodzie.

Ale to kiedy indziej. Henry dźwiga już ciężar jednego sekretu.

Simon był w szpitalu i pilnował Meg, kiedy odnaleziono Azję Crane. Nie widział jej, ale Henry owszem. „Wiem, czym jest Tess”, powiedział tylko Simon. „I nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiać”.

Niebezpiecznie być jedynym, który zna prawdę o takim drapieżniku. Albo może mądrze? Tak czy inaczej, Tess nadal prowadziła Coś na Ząb i piekła ciasteczka z kawałkami czekolady dla Meg i Sama.

– Dość – warknął Simon pod nosem. – Prowadzisz księgarnię, więc skup się na swoich obowiązkach. – Póki nie znajdzie wszystkich zamówionych książek, zostanie tutaj, zamiast iść do biura łącznika pobawić się kilka minut z Meg.

Sprawdził listę i zdjął z półek kolejne książki, cały czas myśląc o Meg – ponieważ kiedy myślał o Meg, czuł się spokojniejszy. I szczęśliwszy.

Wypuszczono ją ze szpitala w poniedziałek, ale zatrzymał ją w norze jeszcze dwa dni pod pretekstem, że Sam jej potrzebuje. Poza tym większość sklepów w Lakeside nadal była zamknięta i nie wysyłała dostaw. Mimo to Meg nie chciała siedzieć w domu.

No cóż, on też potrafił być uparty, szczególnie że ubieranie Meg zmieniło się w rodzaj gry. Razem z Vladem i Jenni urządzili mały najazd na sklepy w rynku i zgromadzili ubrania, w których miało jej być ciepło. Zrobili jej rękawiczki bez palców, a potem uparli się, żeby zakładała na nie takie z jednym palcem, kiedy wychodziła z domu. Jeśli zamierzała wystawić nos za drzwi choć na minutę, musiała włożyć podkoszulek, koszulkę, sweter i zapinaną kamizelkę, żeby nie przeziębic płuc. Do tego płaszcz, szalik i wełniana czapkę. I dwie pary skarpet. I botki.

Żadne z nich nie poświęciło najmniejszej uwagi kwestii kolorów, więc kiedy Merri Lee odwiedziła Meg w środę, zaczęła narzekać, że jej przyjaciółka wygląda jak sklep z farbami po wybuchu.

Potem podsłuchał, że Merri Lee, Heather i Ruthie zamierzają zamówić stroje, które ich zdaniem będą pasować do tych, które Meg już ma, uznał więc, że gra w ubieranie wkrótce dobiegnie końca.

No ale zawsze zostawała mu jeszcze zabawa w kapelusz.

Raz jeszcze przejrzał półki w poszukiwaniu zamówionych książek. Dopisał do zamówienia kolejny thriller o ludziach uwięzionych przez śnieżycę. Choć klienci dziś nie dopisali, od rana był na nogach i szykował do wysyłki zamówienia z osad *terra indigena*.

Wolał się tylko nie zastanawiać, dlaczego Żywioły zamawiają książki o ludziach uwięzionych przez burzę.

Nagle przeszedł go dreszcz. Nawet *terra indigena* potrzebowali czasu, żeby dojść do siebie po wybuchu furii Żywiołów. Ale odkąd Meg wróciła do domu, Zima stała się jakby spokojniejsza.

Spotkanie Elliota z zastępcą burmistrza także wpłynęło na uspokojenie nastrojów. Konsul otrzymał zapewnienie, że wszystkie listy gończe, które spowodowały tak tragiczny przypadek błędnej identyfikacji osoby poszukiwanej, zostały już zniszczone, a policja przypilnuje, by w przyszłości nikt nie niepokoił Meg Corbyn.

Cóż, Inni mieszkający na Dziedzińcach Thaisii będą czuwać nad tym, czy rząd



w Lakeside dotrzymuje słowa.

Ale gdzieś wśród ludzi nadal ukrywał się człowiek, który przysłał intruzów na Dziedziniec i nadał Meg oznaczenie zamiast imienia. Jej skóra była dla niego warta zbyt wiele, by porzucił myśl o jej odzyskaniu.

Kontroler będzie dalej szukał Meg, a *terra indigena* będą szukać jego. Gubernator nie wiedział wiele, lecz Żywioty, które odwiedziły jego dom w Dyspozytorni, wyciągnęły od niego wszystkie informacje o wrogu Meg. Prędzej czy później Inni go znajdą i lasy porosną kolejny fragment Thaisii należący do ludzi.

Simon spojrział na swoje ręce, które zaczęły porastać futrem. Warknął, gdy nie udało mu się przywrócić im ludzkiej formy. Najwyraźniej był zbyt pobudzony, by nosić tę skórę. A ponieważ nie chciał przerazić Heather, zrobił jedyną rozsądną rzecz, jaką mógł w tej chwili zrobić. Zdjął ubranie, zmienił się w Wilka i poszedł do biura łącznika pobawić się chwilę z Meg.



Meg włożyła płytę do odtwarzacza i włączyła muzykę. Miała dość radia. Nie chciała słuchać o ludziach, którzy zginęli w śnieżycy, ani o zniszczeniach w mieście. Być może powinna czuć wyrzuty sumienia, ale to, co się stało, nie było jej winą. Nawet gdyby dobrowolnie poszła z tymi ludźmi, Żywioty i tak zaatakowałyby Lakeside z powodu śmierci starego Huragana. W zasadzie można było stwierdzić, że jako przyczyna burzy więcej ludzi ocalała swoją obecnością, niż skrzywdziła.

Jednak to nie zmniejszyło jej współczucia wobec tych, którzy ucierpieli. Ciekawe, czy porucznik Montgomery czuje to samo.

Spodziewała się, że umrze na Dziedzińcu. Widziała takie obrazy w swoich wizjach. Ale rzeczywistość okazała się inna. Nie tylko przeżyła, ale również uniemożliwiła Azji Crane i tym mężczyznom uprowadzenie Sama.

Zawsze będzie niska, ale nie była ani bezsilna, ani mała. Już nie.

Spojrzała na zegar, położyła worek z pocztą na stole do sortowania i przyszykowała się na wycie Nathana. Najwyraźniej zamierzał tak wyć co godzinę, dopóki biuro będzie otwarte.

Raport o Meg. Meg jest tutaj. Meg czuje się dobrze.

Miała ogromną nadzieję, że ta zabawa wkrótce mu się znudzi.

Kiedy usłyszała jakiś dźwięk na zapleczu, wzięła garść listów i ledwie rzuciła okiem na Simona, który właśnie wszedł do sortowni.

Coś się między nimi zmieniło, odkąd wylądowała w szpitalu. Nie była pewna, czy Simon uważa ją za przyjaciółkę, towarzyszkę zabaw czy cenną zabawkę, ale wyraźnie lubił się z nią bawić.

A skoro mowa o zabawie...

Stał na tylnych łapach, jedną przednią oparł na stole, a drugą wyciągnął, żeby dotknąć jej nosa. Podejrzewała, że ta gra nazywa się Wsadzić Meg Kapelusz na Głowę. Jeśli doszedł do wniosku, że jej nos nie jest dostatecznie ciepły, przynosił miękki wełniany kapelusz, który dla niej kupił, i zmuszał ją, by go założyła.

Ale przecież nie była już ani bezradna, ani mała. Skoro musi być piszczącą zabawką wielkiego puchatego Wilka, przynajmniej sama będzie decydować o tym, w co się będą bawić. I to od teraz.

Odsunęła głowę i zmierzyła go wzrokiem.

– Jeśli jeszcze raz spróbujesz dziś dotknąć mojego nosa, nie dam ci ciasteczek.  
– Cofnął łapę, zastanowił się przez chwilę, a potem wyciągnął ją znowu, jakby chciał sprawdzić, czy Meg nie blefuje. – Mówię poważnie, Simonie. Ani jednego ciasteczka przez cały dzień.

Nos albo ciasteczka.

Ciężki wybór.

Ostatecznie wygrały ciasteczka.

